



KRONIKI

TOM IV

Margaret Weis, Tracy Hickman

**SMOKI
LETNIEGO
PŁOMIENIA**

Przełożyła Dorota Żywno



Zysk i S-ka
Wydawnictwo



DRAGONLANCE™ *CHRONICLES*

Volume Four

DRAGONS OF SUMMER FLAME

Copyright © 1995, 1997 TSR, Inc. All rights reserved.
TSR, Inc. is a subsidiary of Wizards of the Coast, Inc.

First published in Poland by
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c., Poznań 1997
Polish language rights with
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c., Poznań

Wiersze Michael Williams
Ilustracja na okładce i w tekście Larry Elmore

All DRAGONLANCE characters
and the distinctive likenesses thereof are trademarks of TSR, Inc.
DRAGONLANCE and the TSR logo are trademarks owned by TSR, Inc.
Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek
podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących czy zmarłych,
jest zupełnie przypadkowe.

U.S., CANADA.
ASIA, PACIFIC & LATIN AMERICA
Wizards of the Coast, Inc.
P.O. Box 707
Renton, WA 98057-0707
+1-206-624-0933

EUROPEAN HEADQUARTERS
Wizards of the Coast, Belgium
P.B. 34
2300 Turnhout
Belgium
+32-14-44-30-44

Visit our website at <http://www.tsrinc.com>

Wydanie I

ISBN 83-7150-284-2

Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c.
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
fax 852-63-26
Dział handlowy tel./fax 853-27-51
Redakcja tel. 853-27-67



Sancrist
Góra
Klewašne

Biały Kamień
Kryształ

Morze Striona

Nostar

Północny
Ergoth

Gwynned

Południowy
Ergoth

Daltigoth

Wieża
Nemurkiego
Magna

Palanthis

Wieża
Najwyższego
Kierysta

Thelgaard

Garnet

Abanasinia

Qualinesti

Thorbardin

Tarsis

Zamek
na Lodowej Scianie

Lodowa Sciana

Miasto
Straconych
Nasw

Solanntia

Throyll

Solanthuis

Lemishi

Schalsea

Xak Isaroth

Des Tarkas

Równiny Pyłu

Kalaman

Twierdza
Dargaard

Gargath

Godshome

Sanction

Zahakar

Bloden

Takar

Shalost

Twierdza
Północna

Nordmaar

Valkinord

Kornen

Neraka

Khuri-Khan

Silvanesti

Silvanost

Wieża
Eliego

Wieża

Winstona

Mithra

Kothas

Krwawe
Morze Istar

Krwawa
Zatośka

Good Lund

The Ruins

Bloodswath



PODRÓŻUJĄCYM PO KRYNNIE

Oby twój Miecz nigdy się nie złamał.

Oby twa Zbroja nigdy nie zardzewiała.

*Oby Trzy Księżycy były przewodnikami twojej
Magii.*

Oby twe Modlitwy zostały wysłuchane.

Oby twoja Broda była długa.

*Oby twój Życiowy Cel nigdy nie wybuchł ci w
twarz.*

Oby twój Hoopak śpiewał.

Oby twa Ojczyzna kwitła.

Oby Smoki wiecznie latały w twoich Snach.

Margaret Weis i Tracy Hickman

NABOŻEŃSTWO NA LODOWEJ ŚCIANIE

*W najdalej wysuniętej na południe krainie,
gdzie w bladym, corocznym słońcu,
wznosi się Lodowa Ściana,*

*gdzie legendy krzepną
w rosę wspomnień
i krople rozlanej rtęci,*

*szykują już długie kadzie,
jak każe pradawny obyczaj,
nalewając złota, nalewając bursztynu,*

*starych destylatów,
zboża, krwi bardów,
lodu i wspomnień.*

*W tej topieli bard się zanurza,
w złocie, w bursztynie,
cały czas wsłuchując się*

*w mroczną topiel
nurtu i pamięci,
które go otaczają,*

*aż jego płuca i serce
przegrają z topielą,
aż napelni się nasłuchiwaniami*

*i świat wpłynie w niego
głębiej niż myśl, a wtedy utonie
albo straci rozum, albo zostanie bardem.*

Na północy czynią to inaczej:

*mądrze, w świetle księżycy,
gdy fazy przychodzą na świat,
pojawiając się z ciemności
w blasku monet i luster
w rozległej, swobodnej przestrzeni.*

*Słyszałem, że byliście obcy
tej skrzywdzonej krainie,
gdzie bardowie zanurzają się*

*w wodach, gdzie wiara
przemienia się w wizje,
w eliksirze nocy,*

*w ostatnim oddechu tonącego
poświęconym wspomnieniu,
gdzie przychodzi samotnie poezja.*

*Słyszałem, że byliście obcymi
na litościwej północy,
że Hylo, Solamnia*

*i tuziny nie nazwanych prowincji
oczyściły was z zazdrości, z samotności.*

Więc woda rzekła mi prawdę:

*jak bardzo pamiętacie swą śmierć,
gdzie połowy królestwa
jednoczą się na zaginionym obszarze,*

*jak odchodzicie niczym księżyce, czerwony i srebrny
kierując się ku niebiańskiemu zachodowi,
w sojuszu litości i światła.*

*Od samego początku niebios
miały to na myśli, to przejście*

*przez ciemność i podejrzaną krainę,
drogę niknącą w oddali w słońcu,
w przestworzach, na horyzoncie ziemi
nie śmierć w topieli, ani utopienie harfy.*

*Wy nigdy nie zapomnieliście
kąpieli bardów, krainy snu,
czasu poprzedzającego narodziny światów,*

*gdzie każdy z nas czekał
w czulej ciemności,
w śmierci, jaką przepowiada karta,*

*lecz jedzicie, razem i w samotności,
ku umieraniu, umieraniu i opowieści,
która oznacza, że zaczynamy od nowa.*

Spis treści

Księga pierwsza	11
Rozdział I ZWIAD. PROROCTWO. NIESPODZIEWANE SPOTKANIE	13
Rozdział II MAGICZNA WYSPA. WAŻNE SPOTKANIE. DECYDUJĄCY.....	20
Rozdział III ROZSTANIE. POŻEGNALNY DAR OPIEKUNA.....	32
Rozdział IV LIST DO DALAMARA	41
Rozdział V OŁTARZ I SZARY KLEJNOT. KRASNOLUD PRZYBYWA ZA PÓŹNO. STRZASKANIE KAMIENIA	56
Księga druga.....	65
Rozdział I CZCIGODNI ZMARLI. JEDYNY JENIEC. NIEUCHRONNE SPOTKANIE	66
Rozdział II KUZYNI. DŁUG HONOROWY. WYROK ŚMIERCI. PORĘCZENIE	76
Rozdział III PALANTHAS. NUŻĄCE POSZUKIWANIA, NIE CAŁKIEM BEZOWOCNE	85
Rozdział IV NAPAŚĆ. ARESZTOWANA. TASSLEHOFF SIĘ DZIWI	93
Rozdział V CZARODZIEJKA. PANI JENNA JEST ZASKOCZONA	99
Rozdział VI WIEŻA NAJWYŻSZEJ MAGII. PRZYJĘCIE. DALAMAR JEST NIEMILE ZASKOCZONY.....	106
Rozdział VII GOSPODA „OSTATNI DOM”. DYSKUSJA STARYCH PRZYJACIÓŁ	115
Rozdział VIII SMOCZY LOT. SMOCZA RADA. STRAŻNIK I JENIEC	125
Rozdział IX OSTRZEŻENIE. ELFWIE SIĘGAJĄ PO BRONŃ. TIK SIĘGA PO PATELNIĘ	134
Rozdział X DOSKONAŁE MIEJSCE NA ZASADZKĘ.....	141
Rozdział XI OKUP. POKÓJ RAISTLINA. PLAN PALINA	149
Rozdział XII ROSZCZENIA USHY. DALAMAR NIE JEST PRZEKONANY. ZASKAKUJĄCE ODKRYCIE	163
Rozdział XIII OBLĘŻENIE KALAMANU	172
Rozdział XIV KOŁO SIĘ OBRACA. KOŁO SIĘ ZATRZYMUJE. KOŁO ZNÓW RUSZA.....	179
Rozdział XV STEEL POPRZYSIĘGA ZEMSTĘ. PALIN SŁYSZY ZNAJOMY GŁOS. PODRÓŻ DO PALANTHAS.....	185
Rozdział XVI WIEŻA NAJWYŻSZEGO KLERYSTA. NIEMILE WIDZIANY POSŁANIEC.....	192
Rozdział XVII UCIECZKA PRZED PATROLEM. OSOBLIWA HANDLARKA RYBAMI. JEDNOOKA I ŻÓŁTOOKI...	200
Rozdział XVIII ŚWIĄTYNIA ŻYCIA. ZAGAJNIK ŚMIERCI.....	216
Rozdział XIX TAS SIĘ NUDZI. ROZMOWA Z WIDMEM. POTĘŻNA MAGIA KENDERÓW	228
Rozdział XX BIAŁE SZATY. CZARNA ZBROJA.....	240
Rozdział XXI BRAMA OTWIERA SIĘ. OGRÓD NUITARI. DROGA STOI OTWOREM.....	246
Rozdział XXII PODEJRZENIA. ZAMYŚLENIE. PRACOWNIA RAISTLINA	255
Rozdział XXIII DALAMAR POWRACA. WIADOMOŚĆ. MAGIA USHY	264
Rozdział XXIV KOMNATA WIDZENIA	271
Rozdział XXV WYTWORNY KRASNOLUD. PODWÓJNA STAWKA ALBO NIC	278
Rozdział XXVI LABORATORIUM. TASSLEHOFF PRZEJMUJE INICJATYWĘ (MIĘDZY INNYMI)	284
Rozdział XXVII CECH ZŁODZIEI. NOWA UCZENNICA	289
Księga trzecia.....	298
Rozdział I OSTRZEŻENIE. SPOTKANIE TROJGA. TANIS MUSI DOKONAĆ WYBORU	299
Rozdział II POWRÓT. SĄD. WYROK ZOSTAJE WYDANY	315
Rozdział III BITEWNY PLAN ARIAKANA. BITWA STEELA.....	325

Rozdział IV DYSKUSJA STARYCH PRZYJACIÓŁ. STURM BRIGHTBLADE PROSI O PRZYŚLUGĘ	330
Rozdział V OBIETNICA ZŁOŻONA. OBIETNICA DOTRZYMANA.....	336
Rozdział VI SMOKI MILKNĄ. OTWIERAJĄ SIĘ DRZWI. KTOŚ CZEKA PO DRUGIEJ STRONIE	343
Rozdział VII OTCHŁAŃ. POSZUKIWANIA. NARADA NIEŚMIERTELNYCH.....	348
Rozdział VIII ROZCZAROWANIE. ZWYCIĘSTWO JEST NASZE. KAPITULACJA	357
Rozdział IX PORTAL. POWRÓT STARYCH PRZYJACIÓŁ. WYZNANIE TASSLEHOFFA.....	362
Rozdział X WIĘZIEŃ. CHŁOSTA.....	371
Rozdział XI ZEMSTA KRÓLOWEJ. WYBÓR RAISTLINA.....	377
Księga czwarta.....	386
Rozdział I ZMIENIAJĄCY SIĘ ŚWIAT. GOSPODA. NIESPODZIEWANY GOŚĆ	387
Rozdział II ŻALE. POLECENIA. WYBORY	395
Rozdział III BRACIA. ZNÓW RAZEM	403
Rozdział IV OJCIEC I CÓRKA	413
Rozdział V POWRÓT DO PALANTHAS. SKLEP Z MAGICZNYMI TOWARAMI. PODEJRZENIA SZAREGO RYCERZA	427
Rozdział VI WYŚLANNIK JENNY. GEŚ I GAŚSIOR. DOSKONAŁE PIWO IMBIROWE.....	436
Rozdział VII BÓJKA. UCIECZKA. ZŁODZIEJSKA DROGA.....	444
Rozdział VIII PRZERAŻAJĄCE SPOTKANIE. RATUNEK. PRZYJACIELE USHY	454
Rozdział IX WIELKA BIBLIOTEKA. BERTREM JEST WSTRZAŚNIĘTY. ASTINUS Z PALANTHAS	458
Rozdział X WYBÓR.....	466
Rozdział XI EGZEKUCJA.....	469
Rozdział XII STARZY PRZYJACIELE. PROPOZYCJA SPOTKANIA	476
Rozdział XIII NOTATKA. PLAN USHY. ZAMIESZANIE W BIBLIOTECE.....	480
Rozdział XIV PANI NOCY OSKARŻA. PALIN ODPOWIADA. ZŁOWIESZCZY ZNAK.....	488
Rozdział XV NIEPOKÓJ. ŚCIEŻKI SIĘ PRZECINAJĄ. ŻARNICA	497
Rozdział XVI PUŁAPKA NA SMOKI.....	504
Rozdział XVII PUŁAPKA SIĘ ZATRZASKUJE	510
Rozdział XVIII WSZYSCY MUSZĄ ZJEDNOCZYĆ SIŁY	518
Rozdział XIX POGŁOSKI. GROMY I PŁOMIENIE. STATEK PODNOSI ŻAGLE.....	525
Rozdział XX POPIÓŁ I PROCH	531
Rozdział XXI DOUGAN REDHAMMER. SZARY KLEJNOT. SŁUDZY CHAOSU	536
Rozdział XXII TASSLEHOFF W OPALACH PLAN DOUGANA. ZŁODZIEJKA.....	542
Rozdział XXIII NIE JESTEM NICZYM!	549
Rozdział XXIV WOJOWNICZKA MROKU. SPISEK. CHARAKTER NIEPRZYJACIELA.....	556
Rozdział XXV ROZKAZY. UKRYCI	563
Rozdział XXVI OBJAWIENIE	569
Rozdział XXVII PRZYGOTOWANIA.....	579
Rozdział XXVIII PODARUNEK. POLECENIA	582
Rozdział XXIX W OTCHŁANI. KSIĘGA, LASKA, MIECZ.....	588
Rozdział XXX CHAOS. OJCIEC. WSZYSTKO I NIC.....	591
Rozdział XXXI Światło. Cierń. Nóż zwany zabójcą królików.....	596

Rozdział XXXII DESZCZ. JESIEŃ. POŻEGNANIE.....	605
Epilog	613

Księga pierwsza



Rozdział I

ZWIAD.

PROROCSTWO.

NIESPODZIEWANE SPOTKANIE

Tego poranka było gorąco, piekielnie gorąco. Stanowczo za gorąco jak na późną wiosnę na Ansalonie. Niemal tak gorąco, jak w środku lata. Dwaj nieszczęśni rycerze siedzący przy sterze łodzi w ciężkich, stalowych zbrojach oblewali się potem i spoglądali z zawiścią na półnagich mężczyzn przy wiosłach.

Czarne rycerskie zbroje ozdobione czaszkami i lilią śmierci zostały pobłogosławione przez arcykapłankę i miały chronić od wiatru, deszczu, upału i mrozu. Błogosławieństwo Królowej Ciemności jednak, jak widać, nie skutkowało w tej nietypowej fali upałów. Kiedy łódź zbliżyła się do brzegu, rycerze pierwsi skoczyli do płytkiej wody i obmyli poczerwieniałe twarze i poparzone od słońca karki. Woda jednak nie była zbyt orzeźwiająca.

- Zupełnie jakbym brodził w zupie - narzekał jeden z nich, brnąc ku brzegowi. Mówiąc to, przyglądał się uważnie zarośłom, drzewom i wydmom, wypatrując śladów życia.

- Bardziej przypomina krew - rzekł jego towarzysz. - Wyobraź sobie, że brodzisz we krwi wrogów i nieprzyjaciół naszej królowej. Widzisz coś?

- Nie - odparł ten pierwszy. Nie oglądając się za siebie, machnął ręką, a wtedy usłyszał plusk spowodowany przez mężczyzn wskakujących do wody, rechot i rozmowy w barbarzyńskim, gardłowym języku.

Jeden z rycerzy odwrócił się. - Wciągnijcie łódź na brzeg - rozkazał, niepotrzebnie jednak, mężczyźni bowiem już unieśli ciężką szalupę i biegli z nią po płytkiej wodzie. Rzucili ją na piaszczystą plażę i czekali na dalsze polecenia rycerza.

Rycerz zaś, zdumiony ich siłą, wytarł czoło i nie po raz pierwszy podziękował Królowej Takhisis za to, że ci barbarzyńcy - dzikusy, jak ich zwano - są po ich stronie.

Dzikusy to nie była prawdziwa nazwa tego plemienia, tej bowiem, którą sami sobie nadali, nie sposób było wymówić. Tak więc rycerze nimi dowodzący zaczęli ich nazywać po prostu dzikusami.

Miano to dobrze do nich pasowało. Barbarzyńcy pochodzili ze wschodu, z kontynentu, o którego istnieniu mało kto wiedział na Ansalonie. Wszyscy mężczyźni mieli dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a niektórzy nawet przekraczali dwa metry. Mimo że rośli i muskularni, poruszali się z elfim wdziękiem i zwinnością. Uszy mieli szpiczaste jak elfy, ale gęsty zarost upodabniał ich do ludzi albo krasnoludów. Siłą równali się z krasnoludami i tak samo jak oni kochali walkę. Zaciekli w boju i wierni dowódcom, stanowili idealną piechotę, lecz obraz ten mąciły ich niektóre obyczaje, jak choćby obcinanie części ciała zabitego wroga i robienie z nich trofeów.

- Daj znać kapitanowi, że dotarliśmy na miejsce bezpiecznie i nie natrafiliśmy na opór - powiedział rycerz do swego towarzysza. - Zostawimy kilku ludzi przy łodzi i udamy się w głąb wyspy.

Drugi rycerz skinął głową. Wyciągnął zza pasa chustę z czerwonego jedwabiu, rozwinął ją, uniósł nad głowę i trzy razy powoli pomachał. W odpowiedzi na pokładzie zakotwiczonego w oddali olbrzymiego, czarnego okrętu ze smokiem na dziobie załopotiała czerwona flaga. Miała to być misja zwiadowcza, nie inwazja. Rozkazy w tej kwestii były zupełnie jasne.

Rycerze rozesłali patrole, niektórym nakazując przeczesać plażę, a innym pójść dalej w głąb lądu, gdzie wylaniające się spośród drzew wysokie wzgórza, kredowobiałe i nagie, rozszarpywały niebo niczym kocie pazury. Szczeliny w tych skałach wiodły do wnętrza lądu. Okręt już wcześniej opłynął wyspę, więc wiadano, że nie jest rozległa. Patrole miały niebawem wrócić.

Później obaj rycerze z ulgą przenieśli się w skąpy cień rzucany przez karłowate i kalekie drzewo, a dwaj dzicy stanęli na straży, Rycerze byli czujni i ostrożni, nawet podczas odpoczynku. Usiedli i napili się świeżej wody, którą przynieśli ze sobą. Jeden z nich skrzywił się.

- To paskudztwo jest gorące.

- Zostawiłeś manierkę na słońcu. Jasne, że woda jest gorąca.

- A gdzie, do diabła, miałem ją położyć? Na tej przeklętej łodzi nie było cienia. Wydaje mi się, że na całym przeklętym świecie nie została odrobina cienia. Wcale mi się tu nie podoba. Ta wyspa robi jakieś dziwne wrażenie, jakby była zaczarowana, czy co.

- Masz rację - przyznał posepnie jego towarzysz. Cały czas zerkał przez ramię na drzewa i rozglądał się po plaży. Widział jedynie dzikusów, a tych nie dręczyły żadne złowieszcze przeczucia. W końcu to jednak tylko barbarzyńcy. - Ostrzegano nas, żebyśmy tu nie płynęli. Słyszałeś o tym?

- Tak? - Drugi rycerz był zdumiony. - Nie wiedziałem. Kto ci o tym powiedział?

- Brightblade. Usłyszał to od samego lorda Ariakana.

- Brightblade wie, co mówi. Należy do sztabu Ariakana, choć słyszałem, że poprosił o przeniesienie do szponu bojowego. Poza tym Ariakan jest jego poręczycielem. - Rycerz zaniepokoił się nagle i spytał cicho: - Takie informacje nie są chyba tajne?

Jego towarzysz miał rozbawioną minę. - Nie znasz dobrze Steela Brightblade, jeśli sądzisz, że złamałby przysięgę i zdradził coś, co kazano mu zatrzymać dla siebie. Prędzej dałby sobie wyrwać język rozżarzonymi obcęgami. Nie, przed podjęciem decyzji Ariakan otwarcie rozmawiał o tym z wszystkimi dowódcami.

Rycerz wzruszył ramionami. Podniósł garść kamyków i zaczął wrzucać je od niechcenia do wody. - Wszystko zaczęli Szarzy Rycerze. Dowiedzieli się o położeniu tej wyspy z jakiejś wróżby, która mówiła też, że mieszka tu liczny lud.

- Więc kto nas ostrzegał, żebyśmy tu nie przybywali?

- Szarzy Rycerze. Ta sama wróżba, z której pochodzą informacje o wyspie, ostrzegała ich przed zbliżaniem się do niej, więc próbowali przekonać Ariakana, żeby ją omijał z daleka. Mówili, że miejsce to może być niebezpieczne.

Drugi rycerz zmarszczył brwi i rozejrzał się z rosnącym niepokojem. - W takim razie, po co nas tu wysłano?

- Z powodu zbliżającej się inwazji na Ansalon. Lord Ariakan uważa, że to konieczne, aby nieprzyjaciel nie zaszedł nas z flanki. Szarzy Rycerze nie potrafili powiedzieć dokładnie, dlaczego ta wyspa jest dla nas taka groźna. Nie potrafili też stwierdzić jednoznacznie, czy nasze lądowanie na niej może być powodem jakiejś katastrofy. Lord Ariakan twierdzi, że nieszczęście może się wydarzyć nawet wtedy, gdy niczego nie zrobimy. Postanowił zatem postąpić zgodnie ze starym powiedzeniem krasnoludów: „Lepiej poszukać smoka niż czekać, aż smok poszuka ciebie”.

- Racja - zgodził się jego towarzysz. - Jeśli rzeczywiście na wyspie jest armia rycerzy solamijskich, lepiej rozprawić się z nimi tutaj. Nic jednak na to nie wskazuje.

Wyciągnął rękę ku rozległym połaciom piaszczystej plaży, wydmom pokrytym szarozielonkawą trawą i położonemu w głębi lądu lasowi brzydkich, pokręconych

drzew, który rozciągał się u podnóża stromych wzgórz. - Nie mogę pojąć, czego mieliby tu szukać Solamniczycy. Nie mogę pojąć, czego ktokolwiek miałby tu szukać. Elfowie nie mieszkaliby w tak odstręczającej okolicy. Nie ma jaskiń, więc nie spodobałoby się tu krasnoludom. Minotaurzy dawno by już nas zaatakowali. Kenderzy zwędziliby nam szalupę i zbroje, a gnomowie powitaliby nas jakąś piekielną maszyną do połowu ryb. Tylko ludzie są na tyle głupi, by żyć na tak nędznej wyspie - dokończył wesoło rycerz i podniósł kolejną garść kamiaków.

- Może jest tutaj osamotniona banda smokowców albo hobgoblinów, a może nawet banda ogrów, która uciekła dwadzieścia kilka lat temu po Wojnie Lancy i zbiegła na północ za morze, by nie dać się pojmać rycerzom solamnijskim.

- Ci byliby po naszej stronie - odparł jego towarzysz. - A nasi rycerze-czarodzieje nie trzęsiliby tak ze strachu szarymi szatami. Spójrz, wracają już zwiadowcy z meldunkiem. Zaraz się wszystkiego dowiemy.

Rycerze wstali. Dzikusy wysłani do wnętrza wyspy wracali biegiem do swych dowódców. Barbarzyńcy uśmiechali się od ucha do ucha, a ich prawie nagie, pomalowane ciała błyszczały od potu. Niebieska farba, która miała podobno magiczną moc - na przykład powodowała odbijanie się strzał - spływała strużkami po ich muskularnych torsach. Długie, zdobione barwnymi piórami, związane w kity włosy podskakiwały na wygolonych głowach mężczyzn, którzy biegli lekko po piaszczystych wydmach.

Dwaj rycerze z ulgą wymienili spojrzenia.

- Co znaleźliście? - Spytał jeden z nich wodza, górującego wzrostem nad obydwoma rycerzami rudowłosego olbrzyma, który prawdopodobnie mógłby obu mężczyzn podnieść i utrzymać nad głową, a jednak darzył ich niezmierną czcią i szacunkiem.

- Ludzie - odparł dzikus. Barbarzyńcy szybko się uczyli i bez trudu przyjęli język, którym mówiła większość rozmaitych ras Krynnu. Niestety, dzikusy wszystkich nie należących do ich rasy nazywali „ludźmi”.

Dzikus zniżył dłoń ku ziemi, by pokazać, że ludzie byli mali, co mogło oznaczać krasnoludów lub, co bardziej prawdopodobne, dzieci. Podniósł dłoń na wysokość pasa, co zapewne oznaczało kobiety. Barbarzyńca potwierdził to, kręcąc biodrami i przykładając do klatki piersiowej złożone dłonie. Jego koledzy parsknęli śmiechem i tręcili się łokciami.

- Mężczyźni, kobiety i dzieci - powtórzył rycerz. Wielu mężczyzn? Dużo ludzi?

Wysokie domy? Mury? Miasta?

Dzicy najwyraźniej uważali, że to śmieszne, bo wszyscy wybuchnęli chrapliwym śmiechem.

- Co znaleźliście? - Z groźną miną powtórzył ostro rycerz. - Dość tych żartów.

Dzicy szybko spowaźnieli.

- Dużo mężczyzn - oznajmił wódz - ale żadnych murów. Domy. - Skrzywił się i wzruszył ramionami, potem potrząsnął głową i dodał coś we własnym języku.

- Co to znaczy? - Spytał rycerz towarzysza.

- Coś na temat psów - powiedział ten drugi, który już wcześniej dowodził dzikusami i trochę rozumiał ich język. - Moim zdaniem chciał powiedzieć, że ci ludzie żyją w budach dobrych tylko dla psów.

Kilku dzikusów zgarbiło się i zaczęło się przechadzać, wymachując rękoma na wysokości kolan i pochrzäkując. Potem wszyscy wyprostowali się, wymienili spojrzenia i znów gruchnęli śmiechem.

- W imię Jej Mrocznego Majestatu, co oni robią? - Spytał rycerz.

- Nie mam pojęcia - odparł jego towarzysz. - Sądzę, że powinniśmy sami się rozejrzeć. - Zaczął wysuwać miecz z czarnej, skórzanej pochwy. - Niebezpieczeństwo? - Spytał dzikus. - Potrzebna nam stal?

Barbarzyńca znów się zaśmiał. Wydobył krótki miecz (dzikusy walczyli dwoma - długim i krótkim, a także strzelali z łuków), wbił go w drzewo i stanął do niego plecami.

Uspokojony rycerz schował miecz do pochwy. We dwóch ruszyli za swym przewodnikiem. Zostawili za sobą plażę i zagłębili się w lesie pokręconych drzew. Przeszli jakieś pół mili ścieżką wydeptaną przez zwierzęta, a potem dotarli do wioski.

Pomimo żartów dzikich, rycerze byli zupełnie nie przygotowani na widok, jaki ukazał się ich oczom. Wydało im się, że napotkali lud porzucony na płyciźnie przez wielką rzekę Czasu, która płynęła obok, zostawiając ich w stanie nietkniętym.

- Na Hiddukela - rzekł ściszym głosem jeden z rycerzy do drugiego - „ludzie”, to za mocne określenie. To są ludzie? A może to zwierzęta?

- To ludzie - powiedział drugi, rozglądając się ze zdumieniem. - Tacy stąpali podobno po powierzchni Krynnu w Erze Półmroku. Spójrz! Ich narzędzia są wykonane z drewna. Mają drewniane dzidy. I to w dodatku prymitywne.

- Z grotami drewnianymi, nie kamiennymi - oświadczył jego towarzysz. - Lepianki zamiast domów. Gliniane naczynia do gotowania. Ani kawałka stali czy

żelaza w zasięgu wzroku. Co za żalosna banda! Nie sędzę, żeby mogli nam zaszkodzić, chyba że swoim brudem. Sądząc po zapachu, nie myli się też od Ery Półmroku.

- Jacy brzydcy. To bardziej małpy niż ludzie. Nie śmiej się. Zrób minę surową i groźną.

Kilku mężczyzn - jeśli były to istoty ludzkie, co trudno było ustalić z powodu zwierzęcych skór, w jakie byli odziani - podkradło się do rycerzy. „Zwierzoludzie” szli zgarbieni, wymachując rękoma i prawie wlokąc po ziemi dłonie. Ich głowy porastały długie, kudłate włosy, a zmierzwione brody zasłaniały prawie całe twarze. Kołysali się, przestępowali z nogi na nogę i gapili na rycerzy z otwartymi ustami. Jeden z nich podszedł nawet dość blisko i wyciągnął brudną rękę, by dotknąć czarnej i lśniącej zbroi.

Dzikus stanął przed rycerzem i zasłonił go swym masywnym ciałem.

Rycerz nakazał mu gestem, aby się odsunął, i wyciągnął miecz. Klinga błysnęła w słońcu. Mężczyzna odwrócił się ku jednemu z niskich drzew, które swymi pokręconymi konarami i sękatymi pniami przypominały żyjący w ich cieniu lud. Wzniósł miecz i ściął gałąź jednym szybkim cięciem.

Zwierzolud padł na kolana i zaczął bić głową w ziemię, wydając żalosne i płaczliwe dźwięki.

- Zaraz chyba zwymiotuję - powiedział rycerz do swego towarzysza. - Nawet krasnoludowie żlebowi nie chcieliby się z nimi zadawać.

- Masz rację. - Rycerz nadal się rozglądał. - Sami moglibyśmy wyciąć w pień całe to plemię.

- Owszem, ale potem nigdy nie doczyścilibyśmy mieczy - stwierdził drugi.

- Więc co zrobimy? Zabijemy ich czy nie?

- To dla nas żaden honor. Przecież widać, że ci nędznicy nie mogą nam zagrozić. Mieliśmy rozkaz dowiedzieć się, kto lub co zamieszkuje tę wyspę, a następnie wrócić i złożyć meldunek. Skąd możemy wiedzieć, czy ci ludzie nie są ulubieńcami jakiegoś boga, którego możemy rozgniewać, gdy wyrządzimy im krzywdę. Może, mówiąc o katastrofie, Szarzy Rycerze właśnie to mieli na myśli.

- Wątpię - stwierdził drugi rycerz. - Trudno sobie wyobrazić, aby ci ludzie byli ulubieńcami jakiegoś boga.

- Może Morgiona? - Rzekł tamten z wymuszonym uśmiechem.

Jego kompan burknął pod nosem:

- Samym patrzeniem z pewnością nie uczyniliśmy im krzywdy. Szarzy Rycerze nie

mogą mieć do nas żadnych pretensji. Wyślij dzikusów, aby przeszukali resztę wyspy. Wracajmy na brzeg. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Dwaj rycerze wrócili spacerem na plażę. Siedli w cieniu drzewa i w oczekiwaniu na powrót zwiadowców rozmawiali o inwazji nadchodzącej na Ansalon i o olbrzymiej flocie czarnych smoczycich statków z załogami minotaurów, która mknęła po falach oceanu Courrain, niosąc kolejne tysiące barbarzyńskich wojowników. Wszystko było prawie gotowe do natarcia na kontynent, które miało nastąpić z dwóch stron w przeddzień lata.

Rycerze Takhisis nie wiedzieli dokładnie, gdzie nastąpi atak; takie informacje utrzymywano w tajemnicy. Jednakże nie wątpili w zwycięstwo. Tym razem Królowa Ciemności wygra. Tym razem jej wojska zatriumfują. Tym razem bogini znała tajemnicę zwycięstwa.

Dzicy wrócili po kilku godzinach i złożyli meldunki. Wyspa nie była duża, miała może pięć mil długości i tyle samo szerokości. Barbarzyńcy nie znaleźli innych ludzi. Całe plemię zwierzoludzi zniknęło, zapewne ukryło się w swych norach do czasu, gdy dziwne istoty oddały się.

Rycerze wrócili do łodzi na brzegu. Dzicy zepchnęli ją na wodę, wskoczyli do środka i chwycili za wiosła. Łódź lekko sunęła po powierzchni wody w stronę czarnego okrętu, nad którym powiewała flaga rycerzy Takhisis: lilia śmierci, czaszka i cierń.

Rycerze zostawili za sobą pustą plażę.

Jednakże ktoś zauważył ich odejście, podobnie jak przedtem przybycie.

Rozdział II

MAGICZNA WYSPA.

WAŻNE SPOTKANIE.

DECYDUJĄCY

Kiedy czarny statek ze smokiem na dziobie zniknął za horyzontem, obserwatorzy zeszli z drzew.

- Czy oni wrócą? - Spytał jeden ze zwierzoludzi drugiego, samicę.

- Słyszałeś ich. Odeszli zameldować, że jesteśmy „niegroźni”, nie stanowimy dla nich niebezpieczeństwa. A to oznacza - dodała samica po chwili namysłu - że wrócą. Nie teraz. Nie w najbliższym czasie. Ale wrócą.

- Co możemy zrobić?

- Nie wiem. Zebraliśmy się na tej wyspie, by chronić naszą tajemnicę. Może to był błąd. Może lepiej byłoby, gdybyśmy rozproszyli się po całym świecie. Tu grozi nam odkrycie i napaść. Tam przynajmniej mogliśmy się skryć wśród innych ras. Nie wiem - powtórzyła bezradnie. - Nie potrafię powiedzieć. Wszystko będzie zależało od Decydującego.

- Tak. - Samiec najwyraźniej odczuł ulgę. - To prawda. Na pewno niecierpliwie czeka na nasz powrót. Powinniśmy szybko pójść do niego.

- Ale nie tak - ostrzegła go towarzyszka.

- Oczywiście. - Samiec smutno popatrzył na morze spod zmierzwionych i gęstych kudłów. - Wszystko to takie straszne, takie przerażające. Nawet teraz nie czuję się bezpieczny. Wciąż widzę ten okręt majaczący na horyzoncie. Widzę czarnych rycerzy. Słyszę ich głosy, słyszalne i te niesłyszalne. Rozmowy o podboju, bitwach i zagładzie. Powinniśmy... - Zawahał się. - Powinniśmy chyba ostrzec... Kogoś na Ansalonie. Może rycerzy solamnijskich?

- To nie nasza sprawa - odparła ostro kobieta. - Musimy dbać o siebie samych, jak to czynimy od wieków. Możesz być pewien - dodała z goryczą - że w podobnych

okolicznościach oni nie zatroszczyliby się o nas. Wróć do swej prawdziwej postaci i chodźmy stąd.

Oboje wyszeptali magiczne słowa - słowa, których żaden czarodziej na Ansalonie nie rozumiałby, ani tym bardziej nie powtórzyłby, słowa, za które jednak każdy ansaloński mag oddałby duszę. Żaden jednakże ich nigdy nie pozna, gdyż z takimi zdolnościami trzeba się urodzić, nie można się ich nauczyć.

Niezgrabna, plugawa powłoka zwierzoluda rozpadła się, tak jak rozwiera się brzydka skorupa poczwarki, odsłaniając uwięzioną wewnątrz przepiękną wróżkę zmierzchu. Dwie nieziemskiej urody istoty zrzuciły przebrania.

Trudno opisać ich piękno. Były wysokie, smukłe, miały delikatny kościec i ogromne, błyszczące oczy. Na świecie jest jednak wiele podobnych istot, wiele stworzeń uznanych za piękne. Ale to, co dla jednego jest urodziwe, drugiemu takie wcale się nie wydaje. W oczach mężczyzny krasnoluda bokobrody krasnoludek są bardzo pociągające; jego zdaniem gładkie oblicza ludzkich niewiast są nagie i mdłe. A mimo to, nawet krasnolud byłby świadom krasy tych istot, choć nie ucieleśniały jego ideału urody. Były piękne jak zachód słońca nad górami, jak poświata księżycy na morzu, jak mgła wstająca o świcie z dolin.

Jedno słowo zmieniło niewyprawione zwierzęce skóry, jakimi były okryte, w cienko utkany i lśniący jedwab. Następne słowo odmieniło drzewo, na którym chowali się oboje; wyprostowały się pokręcone konary i wygładził sękaty pień. Wysokie drzewo wznosiło się teraz proste, a ciemnozielone liście szeleściły w wietrze wiejącym od oceanu. Kwiaty roztaczały słodką woń. Na dźwięk kolejnego słowa pozostałe drzewa przeszły tę samą transformację.

Dwie istoty opuściły plażę i udały się w głąb wyspy tą samą drogą, którą rycerze doszli do osady lepianek. Nic nie mówiły; czuły się dobrze ze swym milczeniem. Przed chwilą prawdopodobnie zamieniły ze sobą więcej słów niż ktokolwiek z ich rasy w przeciągu lat. Irdowie kochają odosobnienie i samotność. Nie lubią nawet, gdy ktoś dłuższy czas przebywa w ich pobliżu. Trzeba było zagrożenia, żeby tych dwoje obserwatorów wszczęło rozmowę.

Dlatego też scena, którą zastali po powrocie, wstrząsnęła nimi prawie w równym stopniu, jak widok lepianek z błota i glinianych naczyń rycerzami. Dwoje Irdów ujrzało całe swe plemię - ponad kilka setek osób - zgromadzone pod ogromną wierzbą, co było wydarzeniem niemal niespotykanym w ich historii.

Brzydkie, zniekształcone drzewa zastąpił gęsty, bujny las dębów i sosen.

Niewielkie, lecz starannie obmyślane domostwa stały pośród drzew lub wokół nich. Każdy dom miał inny charakter i wygląd. Przeważnie miały po cztery izby: kuchnię, pokój do medytacji, pomieszczenie do pracy i sypialnię. Domy pięciopokojowe należały do rodzin posiadających potomstwo. Dziecko mieszkało z rodzicem (zazwyczaj matką, jeśli okoliczności nie nakazywały inaczej), póki nie osiągnęło wieku osobności. Wtedy wyprowadzało się i zakładało własny dom.

Gospodarstwa Irdów były samowystarczalne. Każdy Irda uprawiał swoje poletko, przynosił wodę i zgłębiał tajniki nauk. Nie zakazywano kontaktów towarzyskich - coś takiego po prostu nie istniało. Irdom by to nawet na myśl nie przyszło - a nawet gdyby - zostałyby uznane za cechę typową dla innych, pomniejszych ras, jak ludzie, elfowie, krasnoludowie, kenderzy i gnomowie; ras ciemności, jak minotaurzy, gobliny i smokowcy; albo jedynej rasy, o której nigdy nie wspomiano wśród Irdów: ogrów.

Irdowie wiążą się z innymi Irdami tylko raz w życiu i to jedynie w celu spłodzenia potomstwa. Jest to wstrząsające przeżycie zarówno dla kobiety, jak i mężczyzny, Irdowie bowiem nie łączą się w pary z miłości. Do zbliżenia zmusza ich magiczny obrzęd zwany *Valin*, który został stworzony przez starszyznę w celu przedłużenia istnienia gatunku. *Valin* powoduje, że dusza jednego Irda bierze w posiadanie duszę drugiego. Nie ma przed tym ucieczki, żadnej obrony, żadnego wyboru czy selekcji. Kiedy *Valin* zaistnieje pomiędzy dwojgiem Irdów, musi dojść między nimi do zbliżenia, bo inaczej *Valin* będzie zadawał im katusze, które mogą doprowadzić nawet do śmierci. Kiedy kobieta staje się brzemienna, *Valin* zostaje zdjęty i para rozstaje się, wprawdzie podjąwszy decyzję, które weźmie na siebie ciężar wychowania dziecka. Tak straszliwe jest to przeżycie dla dwojga Irdów, że rzadko zdarza się więcej niż raz. Dlatego Irdom rodzi się niewiele dzieci i dlatego ich plemię jest nieliczne.

Irdowie żyli na Ansalonie od chwili swego stworzenia wieki temu, lecz niewielu przedstawicieli innych, płodniejszych ras wiedziało o ich istnieniu. Tak cudowne istoty należały do świata legend i baśni ludowych. Każde dziecko jeszcze na kolanach matki poznawało historię ogrów, którzy niegdyś byli najpiękniejszymi istotami, jakie zostały stworzone, lecz które później - z powodu grzechu pychy - zostały przeklęte przez bogów i zmienione w brzydkie, straszne potwory. Były to zawsze opowiadki z morałem.

„Rolandzie, jeśli jeszcze raz pociągniesz siostrę za włosy, zmienisz się w ogra”.

„Marigold, jeśli nie przestaniesz podziwiać swej ślicznej buzi, któregoś dnia zajrzysz do lusterka i zobaczysz, że jesteś brzydka jak ogr”.

Irdowie, jak utrzymywała legenda, byli ogami, których nie dosięgnął gniew bogów, tak więc nadal byli piękni i zachowywali wszystkie swe cnoty oraz magiczne moce. Irdowie byli tak potężni, urodziwi i błogosławieni, że nie zadawali się z resztą świata. Szybko zniknęli innym z oczu. Dzieci wchodzące do ciemnego i pęsnego lasu zawsze szukały Irdów, bo - jak głosiła legenda - kto złapał Irde, mógł go zmusić, aby spełnił jego życzenie.

Było w tym tyle prawdy, co w większości bajek, lecz dobrze obrazowało główną troskę Irdów: jeśli ktoś z innej rasy odkryje któregoś z nich, będzie starał się posłużyć jego potężnymi czarami dla własnych celów. Obawa przed takim wykorzystaniem zmusiła ich do życia w samotności i w ukryciu. Irdowie więc żyli pod przybranymi postaciami, unikając wszelkich kontaktów z innymi rasami.

Minęło wiele lat od czasów, gdy Irdowie żyli na Ansalonie - w ciemnym i mrocznym lesie, czy gdzieś indziej. Po Wojnie Lancy Irdowie spodziewali się, że na długo zapanuje pokój. Czekali jednak rozczarowanie. Różne ludy Ansalonu i ich odłamy nie mogły dojść do porozumienia w kwestii traktatu pokojowego. Co gorsza, walczyły teraz między sobą. A później nadeszły pogłoski o wielkiej ciemności gromadzącej się na północy.

W obawie, by kolejna niszczycielska wojna nie zaskoczyła jego narodu, Decydujący rozesłał wieść do wszystkich Irdów, nakazując im opuścić Ansalon i popłynąć na tę nieznaną nikomu, odległą wyspę. Przybyli więc i żyli tu przez wiele lat w spokoju i samotności. W spokoju i samotności, które właśnie zakłócono w tak dramatyczny sposób.

Irdowie zgromadzili się pod wierzbą, by naradzić się w obliczu zagrożenia. Zebrali się, by radzić o rycerzach i barbarzyńcach, lecz każdy stał osobno, jeden z dala od drugiego. Wymieniali tylko spojrzenia i zerkali z ukosa na drzewo, niespokojni, wytrąceni z równowagi i nieszczęśliwi. Gałąź, którą rycerz odrąbał klingą z zimnej stali, leżała na ziemi. Z żywego drzewa sączył się sok. Duch drzewa zawodził boleśnie, a Irdowie nie mogli go pocieszyć. Doskonalona przez lata pokojowa egzystencja dobiegła kresu.

- Zerwano naszą magiczną zasłonę. - Decydujący zwracał się do grupy jako do całości. - Rycerze ciemności wiedzą o naszym istnieniu. Wróć tu.

- Nie zgadzam się, Decydujący - sprzeciwił się z szacunkiem inny Irda. -

Rycerze nie wrócą. Zmyliły ich pozory. Sądzą, że jesteśmy dzikusami podobnymi do zwierząt. Po co mieliby wracać? Czego mogliby od nas chcieć?

- Wiesz, jacy są ludzie - odparł Decydujący głosem, w którym słychać było smutek stuleci. - Rycerze ciemności może teraz nie chcą od nas niczego, ale nadejdzie pora, gdy ich wodzowie będą potrzebować ludzi do zasilenia szeregów swoich wojsk albo uznają tę wyspę za odpowiednie miejsce do budowy okrętów, albo zechcą umieścić tu garnizon. Człowiek nie zniesie myśli o zostawieniu czegoś w spokoju. Musi coś zrobić z każdym przedmiotem, który znajdzie - poszukać dla niego jakiegoś zastosowania, rozebrać go na części, by zobaczyć, jak działa, przypisać mu jakiś sens albo znaczenie. Tak samo będzie z nami. Oni wrócą.

Żyjący zawsze w samotności i izolacji Irdowie nie potrzebowali żadnego rządu. Zdawali sobie jednak sprawę z konieczności istnienia kogoś, kto będzie podejmował decyzje za całe plemię. Tak więc z dawien dawna wybierali spośród swego grona osobę, czasem kobietę, a czasem mężczyznę, której to osobie nadawano miano Decydującego. Decydujący nie był ani najstarszym, ani najmłodszym z Irdów, ani najmądrzejszym, ani najsprytniejszym, nie był też najpotężniejszym z magów ani najslabszym. Decydujący był przeciętny i dzięki swej przeciętności nie podejmował drastycznych kroków, zajmując zawsze umiarkowane stanowisko.

Obecny Decydujący okazał się dużo silniejszy i znacznie agresywniejszy niż wszyscy poprzedni. Twierdził, że musi być taki, ponieważ nadchodzą złe czasy. Wszystkie jego decyzje były mądre, tak przynajmniej twierdziła większość Irdów. Ci, którzy byli innego zdania, nie chcieli zakłócać spokoju, więc jak dotąd milczeli.

- W każdym razie nie wrócą w najbliższej przyszłości, Decydujący - powiedziała kobieta będąca jednym z dwojga obserwatorów na brzegu. - Widzieliśmy, jak ich okręt zniknął za horyzontem. Zauważyliśmy też, że powiewała na nim flaga Ariakana, syna nieżyjącego Ariakusa, smoczego władcy. Ariakan, jak jego ojciec, jest wyznawcą bogini mroku, Królowej Takhisis.

- Gdyby nie był wyznawcą Takhisis, czciłby Paladine'a. Jeśli nie Paladine'a, to innego boga czy boginię. To niczego nie zmienia. - Decydujący założył ręce na piersi i potrząsnął głową. - Powtarzam, oni wrócą. Choćby tylko dla chwały swej królowej.

- Mówili o wojnie, Decydujący, o inwazji na Ansalon - odezwał się obserwator. - To z pewnością przykuje ich uwagę na wiele lat.

- No i widzicie? - Decydujący powiódł triumfującym wzrokiem po zebranych. - Wojna. Znow wojna. Wiecznie wojna. Powód, dla którego opuściliśmy Ansalon.

Łudziłem się, że przynajmniej tu nam ona nie grozi. - Westchnął głęboko. - Najwyraźniej tak nie jest.

- Co powinniśmy zrobić?

Irdowie stojący z dala jeden od drugiego wymieniali pytające spojrzenia.

- Moglibyśmy zostawić tę wyspę i popłynąć gdzie indziej, gdzie nic by nam nie groziło - zaproponował jeden.

- Opuściliśmy Ansalon, by tu zamieszkać - rzekł Decydujący. - Nie jesteśmy bezpieczni tutaj i nigdzie nie będziemy.

- Jeśli wrócą, będziemy z nimi walczyć, przepędzimy ich - powiedziała bardzo młoda kobieta, która dopiero co osiągnęła wiek osobności. - Wiem, że w całej naszej historii nie zdarzyło się, abyśmy przelali krew innej rasy. Ukrywaliśmy się i unikaliśmy zabijania. Mamy jednak prawo do obrony. Każdy na tym świecie ma takie prawo.

Inni, dojrzałsi Irdowie spoglądali na młodą kobietę z niezmiernie cierpliwymi minami, jakie przybierają dorośli wszelkich ras, gdy młodzi wygłaszają poglądy zawstydzające starszych.

Toteż poważnie się zdumieli, gdy Decydujący powiedział: - Tak, Avril, masz rację. Mamy prawo się bronić. Mamy prawo żyć w spokoju wedle własnego uznania. Uważam też, że powinniśmy bronić tego prawa. Kilku Irdów, wstrząśniętych, odezwało się jednocześnie. - Decydujący, nie uważasz chyba, że powinniśmy walczyć z ludźmi?!

- Nie - odparł. - Skądże znowu. Oczywiście, że nie. Niemniej nie proponuję też, abyśmy spakowali swój dobytek i opuścili domy. Czy tego chcielibyście?

Przemówił jeden z protestujących, mężczyzna zwany Opiekunem, który czasami nie zgadzał się z Decydującym i niekiedy okazywał swe niezadowolenie. Skutkiem tego nie zaliczał się do jego ulubieńców. Decydujący, słuchając jego słów, przybrał niechętną minę.

- Ze wszystkich miejsc, w jakich mieszkaliśmy, to najlepiej odpowiada naszej naturze i jest najpiękniejsze. Tu jesteśmy razem, a jednak osobno. Tu możemy pomagać sobie w chwili potrzeby, a jednak pozostawać w samotności. Trudno będzie porzucić tę wyspę, lecz... Teraz już nie jest taka sama. Moim zdaniem powinniśmy się przenieść.

Opiekun wskazał na schludne, zaciszne domostwa otoczone żywopłotami i czule pielęgnowanymi ogrodami kwiatowymi. Inni Irdowie zrozumieli go. Domy były te same, nie działała magia, która przedtem wywołała złudny obraz glinianych lepiarek.

Różnicy nie można było zobaczyć, lecz można było ją wyczuć, usłyszeć, poczuć smakiem i węchem. Zwykle gadatliwe i rozśpiewane ptaki zamilkły ze strachu. Dzikie zwierzęta, które chodziły swobodnie wśród Irdów, zniknęły w swych norach lub na drzewach. W powietrzu unosił się silny zapach stali i krwi.

Niewinność i pokój zostały pogwałcone. Rany zagoją się, blizny znikną, lecz wspomnienie zostanie. A teraz jeszcze Decydujący proponował, żeby Irdowie bronili swej ojczyzny. Sama myśl o tym budziła wstręt. Pomysł przeprowadzki przyjął się i zyskiwał coraz większe poparcie.

Decydujący zobaczył, że musi zmienić podejście i przedstawić swoją propozycję w inny sposób.

- Nie proponuję, żebyśmy szli na wojnę - rzekł tonem łagodnym i kojącym. - Przemoc nie leży w naszej naturze. Od dawna badałem ten problem i przewidziałem zbliżającą się katastrofę. Właśnie wróciłem z podróży na Ansalon. Pozwólcie, że opowiem o swych odkryciach.

Pozostali Irdowie spojrzeli na Decydującego ze zdumieniem. Byli tak wielkimi odludkami, że nikt nie zdawał sobie sprawy z nieobecności wodza, a co dopiero z faktu, że odważył się przebywać wśród obcych.

Na twarzy Decydującego zagościł smutek i powaga. - Nasz pobłogosławiony magią statek zaniósł mnie do ludzkiego miasta Palanthas. Chodziłem po jego ulicach i przysłuchiwałem się rozmowom ludzi. Stamtąd udałem się do twierdzy rycerzy solamnijskich i dalej do żeglarskich ludów Ergothu. Dotarłem do Qualinesti, krainy elfów. Przekroczyłem bramy Thorbardinu, królestwa krasnoludów. Niewidzialnym wiatrem przemknąłem ponad granicami przeklętego kraju elfów Silvanesti, wędrowałem po Równinach Pyłu, spędziłem jakiś czas w Solace, Kenderówku i Flotsam. Wreszcie spojrzałem na Krwawe Morze Istar i przepłynąwszy je, minąłem Twierdzę Burz, skąd przybyli czarni rycerze.

Ponad dwadzieścia pięć lat - ludzkiej miary czasu - upłynęło od Wojny Lancy. Lud Ansalonu łudził się nadzieją na pokój; daremną nadzieją, jak mogliśmy im powiedzieć. Dopóki bogowie będą toczyć wojny między sobą, ich zmagania będą przenikać do świata śmiertelników. Królowa Takhisis zyskała na potęgę dzięki służącym jej rycerzom ciemności.

Ich władca, lord Ariakan, syn dostojnego Ariakusa, miał czelność i śmiałość wytknąć Królowej Ciemności przyczynę jej słabości. „Zło samo obraca się przeciwko sobie”. Wojnę Lancy przegrano z powodu chciwości i samolubstwa dowódców

Królowej Mroku. Ariakan, więziony przez rycerzy solamnijskich podczas wojny, a także później, uświadomił sobie, że zakon solamnijski odniósł zwycięstwo dzięki gotowości do poniesienia ofiar na rzecz sprawy - co najlepiej obrazowała śmierć rycerza Sturma Brightblade'a.

Ariakan urzeczywistnił swe idee i stworzył armię składającą się z mężczyzn i kobiet oddanych Królowej Ciemności ciałem i duszą, a także, co ważniejsze, sprawie podboju świata w jej imieniu. Ludzie ci poświęcą wszystko - bogactwo, władzę, własne życie - dla osiągnięcia zwycięstwa. Łączą ich więzy honoru i krwi. To nieubłagany wróg, tym bardziej że Ansalon jest znów podzielony.

Elfowie toczą wojnę pomiędzy sobą. Qualinestycy mają nowego władcę, młodziutkiego syna Tanisa Półelfa i Laurany, córki nieżyjącego Mówcy Słońc. Chłopca wpierw oszukano, a później nakłoniono do zostania królem. W rzeczywistości to tylko marionetka, której sznurki ciągnie starsza gwardia elfów, izolacjonistów nienawidzących każdego, kto jest od nich odmienny. Dotyczy to także ich kuzynów z Silvanesti.

Ponieważ elfowie urosli w siłę, krasnoludowie z Thorbardinu obawiają się napaści i rozważają ponowne zatrzaśnięcie bram swej góry. Rycerze solamnijscy budują umocnienia - nie w obawie przed rycerzami ciemności, lecz przed elfami. Rycerze Paladine'a zostali ostrzeżeni przed czarnymi paladynami zła, lecz uparcie nie chcą uwierzyć, że tygrys mógł zmienić swe pręgi, jak głosi przysłowie. Solamnijscy wciąż wierzą, że zło samo obróci się przeciw sobie, jak pod koniec Wojny Lancy, gdy smocza władczyni Kitiara walczyła z własnym dowódcą, Ariakusem, a czarodziej czarnych szat, Raistlin Majere, zdradził ich oboje. Tym razem tak się nie stanie.

Szala ponownie się przechyliła na korzyść Królowej Ciemności. Lecz tym razem, moi przyjaciele - Decydujący spojrzął na swój lud, przyglądając się wszystkim i każdemu z osobna - sądzę, że tym razem Królowa Takhisis zwycięży.

- A co na to Paladine? Co Mishakal? Modlimy się do nich jak za dawnych lat. Oni czuwają nad nami. - Powiedział to Opiekun, a wielu innych przytaknęło mu skinieniem głowy.

- Czy Paladine ocalił nas przed złymi rycerzami? - Spytał surowo Decydujący. - Nie. Pozwolił im przybić do naszego brzegu.

- Nie uczynili nam krzywdy - zauważył Opiekun.

- Tak - rzekł złowieszczo Decydujący - bogowie dobra, w których opiekę tak długo ufaliśmy, nie mogą wiele dla nas zrobić. Dowodem jest ten przerażający

incydent. Nasza magia - ich magia - zawiodła. Czas już, żebyśmy zawierzyli czemuś potężniejszemu.

- Najwyraźniej masz jakiś pomysł. Podziel się nim z nami - zażądał Opiekun.

- Mój pomysł jest następujący: użyjmy jednego z najpotężniejszych magicznych artefaktów na świecie, by spuścić zasłonę, która raz na zawsze oddzieli nas od obcych. Znaście imię artefaktu, o jakim mówię - to Szary Klejnot Gargatha.

- Szary Klejnot Gargatha nie należy do nas - oznajmił surowo Opiekun. - Nie jest naszą własnością. Należy do narodów świata.

- Już nie - oświadczył Decydujący. - To my odszukaliśmy ten artefakt. Znaleźliśmy go. To my go zdobyliśmy i przenieśliśmy w bezpieczne miejsce.

- Ukradliśmy go - powiedział Opiekun. - Ocieżałem umyślowo rybakowi, który znalazł klejnot wyrzucony na brzeg, zabrał do domu i zatrzymał dla błyszczących faset i radości, jaką sprawiało mu pokazywanie go sąsiadom. Nie korzystał z niego, nie miał pojęcia o jego czarodziejskiej mocy i ani trochę o niego nie dbał. Szary Klejnot nie mógł zatem posłużyć się rybakiem. Być może, przeznaczeniem tego człowieka było zostać jego powiernikiem. Być może, odbierając mu go, nieświadomie pokrzyżowaliśmy zamysły bogów. Być może, dlatego przestali nas osłaniać.

- Niektórzy mogliby nasz czyn nazwać kradzieżą. - Decydujący wbił wzrok w Opiekuna. - Ja jednak twierdzę, że odzyskując Szary Klejnot Gargatha, wyświadczylimy światu przysługę. Klejnot od dawna stanowił problem i siał zamęt, gdzie tylko się pojawił. Uciekłyby temu prostaczce, tak jak setkom ludzi przedtem. Teraz jest w matni naszych czarów. Fakt, że klejnot znajduje się pod naszą kontrolą, czyni z nas dobroczyńców ludzkości.

- O ile pamiętam, powiedziałaś, że magia Szarego Klejnotu ochroni nas przed zakusami świata zewnętrznego. Najwyraźniej myliłeś się - rzekł Opiekun. - Jak możesz teraz utrzymywać, że jego czary nas obronią?

- Wiele lat spędziłem, badając Szary Klejnot i niedawno dokonałem ważnego odkrycia - odparł Decydujący. - Siła, która napędza Szary Klejnot i skłania go do wędrowania po świecie, nie jest właściwością samego kamienia, lecz, jak sądzę, zawarta jest w jego wnętrzu. Kamień jest tylko naczyniem - pojemnikiem - który kryje w środku spętana moc. Uwolniona magiczna siła bez wątpienia okaże się niezwykle potężna. Proponuję zgromadzeniu, abyśmy rozłupali Szary Klejnot, wypuścili zamkniętą w nim moc i użyli jej do obrony naszej ojczyzny.

Irdowie mieli wyraźnie nieszczęśliwe miny. Nie lubili podejmować

jakichkolwiek działań, woleli oddawać się rozmyślaniom i nauce. Tak drastyczne postępowanie było dla nich czymś wręcz niewyobrażalnym! Jednakże wystarczyło rozejrzeć się dokoła, by dostrzec, jaką krzywdę wyrządzono ich ukochanej ojczyźnie, ostatniemu miejscu, w którym schronili się przed światem.

Opiekun znowu zaprotestował. - Jeśli w Szarym Klejnocie jest jakaś siła, musi być, jak powiedziałeś, bardzo potężna. Czy jesteś pewien, że zdołamy nad nią zapanować?

- Teraz bez wysiłku panujemy nad samym Szarym Klejnotem. Nie przewiduję trudności w zawładnięciu tą mocą i posłużeniu się nią do obrony.

- Skąd możesz być pewny, że panujesz nad Szarym Klejnotem? Może to Szary Klejnot panuje nad tobą!

Ten głos - bardziej szorstki od melodyjnych tonów Irdów - dobiegł gdzieś zza pleców Opiekuna. Wszyscy odwrócili głowy w tym kierunku i odsunęli się, aby zobaczyć, kto mówi. Była to młoda ludzka kobieta; trudno było określić jej wiek - mogła mieć osiemnaście lat, a mogła też mieć dwadzieścia pięć. W oczach Irdów była wyjątkowo brzydkim stworzeniem. Pomimo tej brzydoty - a może z jej powodu - Irdowie okazywali dziewczynie czułość, rozpieszczali ją i psuli. Czynili to od lat - od chwili, gdy zamieszkała wśród nich jako osierocone niemowlę.

Niewielu Irdów ośmieliłoby się odezwać tak impertynencko do Decydującego. Ta młoda ludzka istota powinna mieć więcej rozumu. Wszyscy spojrzeli z dezaprobatą na Irdę, któremu powierzono jej wychowanie - mężczyznę, dlatego właśnie nazywanego Opiekunem.

Teraz sprawiał wrażenie mocno zakłopotanego i mówił coś do młodej kobiety, najwyraźniej starając się skłonić ją do powrotu do domu.

Decydujący przybrał minę wyrażającą nieskończoną cierpliwość. - Nie jestem pewien, czy cię rozumiem, Usho, moje dziecko. Może zechciałabyś wyjaśnić, co masz na myśli.

Znalezienie się w centrum zainteresowania najwyraźniej sprawiło dziewczynie ogromną przyjemność. Odsunawszy łagodnie powstrzymującego ją Opiekuna, wyszła naprzód i stanęła pośrodku kręgu Irdów.

- Skąd wiesz, że Szary Klejnot nie zawładnął tobą? Gdyby tak było, z pewnością nie powiedziałaby ci o tym, prawda? - Usha rozejrzała się dokoła, dumna ze swego wyводу.

Decydujący zgodził się z tym, pochwalił jej bystrość, powstrzymując się od

śmiechu. Sam pomysł był oczywiście śmieszny, lecz dziewczyna była tylko człowiekiem.

- Od czasu, gdy Szary Klejnot znalazł się w naszych rękach, okazuje dużą pokorę - oświadczył Decydujący. Spoczywa na ołtarzu, który dla niego zbudowaliśmy i ledwie migocze. Wątpię, czy nami zawładnął, dziecko. Sądzę, że nie musisz się o to martwić.

Żadna rasa na Krynnie nie dorównywała Irdom siłą czarodziejskich mocy. Nawet bogowie - jak szeptali niektórzy Irdowie, w tym Decydujący - nie byli tak potężni. Klejnot zgubił bóg Reorx. Znaleźli go Irdowie, zabrali i trzymali u siebie. Irdowie znali opowieści z historii Szarego Klejnotu, które mówiły o tym, jak podczas swej wędrówki po świecie siał zamęt i spustoszenie. Legenda głosiła, że Szary Klejnot był odpowiedzialny za stworzenie ras kenderów, gnomów i krasnoludów. Stało się to jednak, zanim Irdowie wzięli klejnot pod swoją opiekę. Wcześniej znajdował się w rękach ludzi. Czego można było się spodziewać?

Spotkanie ciągnęło się dalej, a Irdowie za wszelką cenę starali się znaleźć jakieś wyjście i uniknąć gwałtownych posunięć.

Usha szybko znudziła się - ludzie łatwo się nudzą - i oznajmiła swemu Opiekunowi, że wraca do domu przygotować kolację. Mężczyzna z pewnością odczuł ulgę.

Opuszczając zgromadzenie, Usha początkowo miała zamiar złościć się. Jej dobry pomysł zbyt szybko utracono. Złość jednak wymagała wiele energii i skupienia, a ona miała inne sprawy na głowie. Zagłębiła się w puszczy, lecz nie po to, by nazbierać ziół na wieczorny posiłek.

Zamiast tego poszła w stronę plaży. Kiedy dotarła do brzegu, stanęła i przyglądała się zafascynowanym wzrokiem odciskom zostawionym na piasku przez dwóch młodych rycerzy. Uklękła i przyłożyła dłoń do jednego ze śladów. Był znacznie większy od jej małej dłoni. Rycerze byli wyżsi i potężniejsi od niej. Kiedy wyobrażała ich sobie, przebiegł ją przyjemny i budzący zakłopotanie dreszcz. Po raz pierwszy widziała innego człowieka, ludzkiego mężczyznę.

W porównaniu z Irdami byli oczywiście brzydcy, ale nie aż tak bardzo.

Usha siedziała na plaży i marzyła jeszcze bardzo, bardzo długo.

Irdowie powzięli decyzję - postanowili zostawić kwestię Szarego Klejnotu w rękach Decydującego. On będzie najlepiej wiedział, co zrobić. Cokolwiek uzna za stosowne, tak się stanie. Uzgodniwszy to, wrócili do domów, pragnąc w ich zaciszu jak najprędzej zapomnieć o nieprzyjemnościach.

Decydujący nie wrócił od razu do siebie. Wezwał trzech najstarszych Irdów i odprowadził ich na bok na prywatną rozmowę.

- Nie poruszałem tej kwestii publicznie - powiedział cicho - bo wiedziałem, jak bolesne to będzie dla naszego ludu. Musimy jednakże podjąć jeszcze jeden krok, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. My jesteśmy odporni na pokusy Szarego Klejnotu, ale żyje wśród nas ktoś, kto nie jest tak odporny. Wiecie wszyscy, o kim mówię.

Wiedzieli - sądząc po ich zasmuconych i pełnych żalu minach.

Decydujący ciągnął dalej. - Żałuję niezmiernie, że zmuszony jestem podjąć taką decyzję, lecz musimy wypędzić tę osobę. Wszyscy widzieliście i słyszeliście dziś Uszę. Z powodu swej ludzkiej krwi narażona jest na niebezpieczeństwo ze strony Szarego Klejnotu.

- Tego nie wiemy na pewno - zaprotestował nieśmiało jeden z Irdów.

- Znamy opowieści - powiedział ostro Decydujący. - Zbadałem je i odkryłem, że mówią prawdę. Szary Klejnot wypacza umysły wszystkich ludzi, którzy się doń zbliżą, napełniając je pragnieniami i żądzami, nad którymi nie umieją zapanować. Wedle doniesień, jego ofiarą omal nie padli synowie bohatera wojennego, Caramona Majere. Sam bóg Reorx musiał stanąć w ich obronie. Usha może już znajdować się w szponach Szarego Klejnotu, który próbuje posłużyć się nią do zasiania wśród nas niezgody. Musimy ją odesłać, dla jej i naszego bezpieczeństwa.

- Wychowaliśmy ją od niemowlęctwa - zaprotestował jeden ze starszych. - Tu jest jedyny dom, jaki ma!

- Usha jest już dość dorosła, by żyć sama wśród swych pobratymców. - Surowy ton Decydującego złagodniał. - Już wcześniej zauważyliśmy, że dziewczyna nie może sobie znaleźć miejsca i nudzi się wśród nas. Jak wszyscy ludzie, potrzebuje zmian, aby móc się rozwijać. My ją tłamsimy. Rozstanie leży zarówno w jej, jak i naszym interesie.

- Ciężko będzie się z nią rozstać. - Jeden ze starszych otarł łzę, a Irdowie nie płaczą z byle powodu. - Szczególnie Opiekunowi. On uwielbia to dziecko.

- Wiem - rzekł łagodnie Decydujący. - To się wydaje okrucieństwem, lecz im szybciej zadziałamy, tym lepiej będzie dla nas, także dla Opiekuna. Czy wszyscy się zgadzają?

Uszanowano mądrość Decydującego, który następnie udał się do Opiekuna, by go o swej decyzji powiadomić. Pozostali Irdowie pośpiesznie wrócili do domów.

Rozdział III

ROZSTANIE.

POŻEGNALNY DAR OPIEKUNA

Mam odejść? - Usha popatrzyła nierozumiejącym wzrokiem na mężczyznę, którego zawsze znała jako Opiekuna. - Opuścić wyspę? Kiedy?

- Jutro, dziecko - powiedział Opiekun. Już krzątał się po małym domu, zbierając rzeczy Ushy i kładąc je na łóżku, by je później spakować. - Twoją łódź już szykują do drogi. Jesteś wprawna żeglarką, a statek wzmocniono czarami. Nie przewróci się, choćby nie wiem jak wzburzone było morze. Jeśli wiatr ucichnie, łódź nie zatrzyma się, lecz popłynie dalej z prądem naszych myśli. Przeniesie cię bezpiecznie przez ocean do ludzkiego miasta Palanthas, które leży prawie dokładnie na południe od nas. Podróż zajmie dwanaście godzin, nie więcej.

- Palanthas... - Powtórzyła Usha, nie rozumiejąc i nawet nie wiedząc, o czym mówi.

Opiekun pokiwał głową. - Myślę, że ze wszystkich miast na Ansalonie Palanthas najbardziej przypadnie ci do gustu. Zamieszkuje je liczna i zróżnicowana ludność. Mieszkańcy Palanthas są tolerancyjni wobec kultur odmiennych od ich własnej. Choć może to komuś wydać się dziwne, przyczyną tego jest zapewne obecność Wieży Wielkiej Magii i jej mistrza, lorda Dalamara. Choć należy do bractwa Czarnych Szat, szanuje...

Usha nie słuchała dłużej. Znała Opiekuna i wiedziała, że przemawia przez niego rozpacz. Ten milczący, łagodny i czuły mężczyzna od miesięcy nie powiedział do niej tylu słów i zapewne przemawiał tylko po to, by pocieszyć ich oboje. Wiedziała o tym, kiedy bowiem podniósł z podłogi lalkę, którą bawiła się jako dziecko, nagle przerwał i przycisnął zabawkę do piersi, tak jak niegdyś tulił ją samą.

Usha poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Odwróciła się szybko, by Opiekun nie zobaczył, że płacze.

- Więc wysyłacie mnie do Palanthas, tak? Świetnie. Wiesz, że od dawna już

chciałam odejść. Już zaplanowałam sobie całą podróż. Myślałam o popłynięciu do Kalamanu, ale wzruszyła ramionami - może być Palanthas. Co to za różnica.

Wcale nie myślała o popłynięciu do Kalamanu. Była to pierwsza nazwa, jaka jej przyszła na myśl, lecz oznajmiła to takim tonem, jakby planowała tę podróż od lat. W rzeczywistości była przerażona. Straszliwie, niesamowicie przerażona.

Irdowie wiedzą, gdzie byłam zeszłego wieczoru! - Pomyślała z poczuciem winy. Wiedzą, że byłam na plaży. Wiedzą, o czym myślałam i o czym marzyłam!

W marzeniach wyczarowała obraz rycerzy: ich młodzieńcze twarze, wilgotne od potu włosy, mocne i gibkie ręce. W tych snach spotkali ją, rozmawiali z nią, porwali na swój smoczy statek. Przysięgali, że ją kochają, wyrzekli się dla niej wojny i miecza. Wiedziała, że to niemądre. Który mężczyzna pokochałby kogoś tak brzydkiego jak ona? Wolno jej jednak było pomarzyć o tym, że jest piękna, nieprawdaż? Policzki Ushy pałały rumieńcem, kiedy teraz myślała o swoich marzeniach. Wstydziła się ich, wstydziła się uczuć, jakie w niej obudziły.

- Tak, oboje wiemy, że już czas, abyś odeszła - powiedział nieco zbyt skwapliwie Opiekun. - Rozmawialiśmy o tym już wcześniej.

To prawda, Usha mówiła o odejściu już od trzech lat. Planowała podróż, decydowała, co zabierze, a nawet wyznaczała dzień. Był to zawsze dość odległy, bliżej nie określony termin, na przykład „Wieczór Letniego Przesilenia” albo „Pora Trzech Księżyców”. Dni nadchodziły i mijały. Usha zawsze zostawała. A to morze było zbyt wzburzone albo pogoda brzydka, a to łódź nieodpowiednia i znaki niekorzystne. Opiekun łagodnie przyznawał jej rację, zawsze bowiem zgadzał się ze wszystkim, co mówiła i robiła, i więcej tego tematu nie poruszano. Aż do następnego razu, gdy Usha znów zaczynała szykować się do wyprawy.

- Masz rację. I tak zamierzałam odejść powiedziała w nadziei, że drzenie w jej głosie zostanie uznane za podniecenie. - Już jestem w połowie spakowana.

Przetarła dłonią oczy i odwróciła się do mężczyzny, który wychowywał ją od maleńkości. - Co robisz, Opi? - Tak brzmiało imię, którym go nazwała w dzieciństwie. - Chyba nie wyobrażasz sobie, że popłynę do Palanthas z lalką? Zostaw ją tutaj. Będzie ci dotrzymywać towarzystwa podczas mojej nieobecności. Będziecie mogli rozmawiać ze sobą, póki nie wrócę.

- Ty nie wrócisz, dziecko - rzekł cicho Opiekun.

Nie patrzył na nią, tylko tulił mocno wytartą lalkę. Potem w milczeniu podał jej zabawkę.

Usha utkwiała w niej wzrok. Drżenie zmieniło się w ściskanie w gardle, a od tego znów napłynęły jej łzy do oczu. Wyrwała mu lalkę z rąk i cisnęła w kąt małego pokoju.

- To kara! Kara za mówienie tego, o czym myślę! Kara za to, że się go nie boję! Decydujący mnie nienawidzi! Wszyscy mnie nienawidzicie! Bo jestem brzydka, głupia i... Jestem człowiekiem! Co tam! - Usha wytarła łzy wierzchem dłoni, przyglądała włosy i zaczerpnęła głęboko tchu. - I tak nie miałam zamiaru wracać. Kto by chciał? Komu podobaloby się takie nudne miejsce, gdzie ludzie nie odzywają się do siebie miesiącami? Nie mnie! Odejdę dziś wieczorem! Natychmiast! Do diabła z pakowaniem się! Nigdy niczego od was nie wezmę! Nigdy! Nigdy więcej!

Teraz już płakała - płakała i jednocześnie obserwowała, jaki skutek wywrą jej łzy. Opiekun patrzył bezradnie jak zawsze, gdy szlochała. Ustąpi. Zawsze ustępował. Zrobi wszystko, żeby ją sobie zjednać i ukoić, da jej wszystko, czego zapragnie. Zawsze tak robił.

Irdowie nie są przyzwyczajeni do okazywania uczuć, chyba że są one wyjątkowo gwałtowne, toteż nie potrafili pojąć burzliwych kaprysów ludzkiego temperamentu. Nie mogli znieść widoku osoby znajdującej się w stanie silnego wzburzenia. Dla nich było to coś żenującego, niestosownego i pozbawionego godności. Usha wcześniej odkryła, że płaczem i histerią osiągnie wszystko, na co ma ochotę. Coraz głośniej szlochała więc i lkała, a potajemnie była pewna zwycięstwa. Teraz jej nie odeślą. Nie teraz.

Odejdę! Pomyślała z oburzeniem, ale dopiero wtedy, gdy sama uznam to za stosowne!

Ogarnęła ją w końcu bolesna czkawka i wreszcie pomyślała, że czas przestać i dać Opiemu szansę, by pokornie przeprosił ją za wyprowadzenie z równowagi, gdy nagle usłyszała coś niespodziewanego.

Trzask zamykanych drzwi.

Usha przełknęła ślinę i wyciągnęła chusteczkę, żeby przetrzeć oczy. Kiedy już znowu mogła normalnie patrzeć, rozejrzała się ze zdumieniem.

Opiekun zniknął. Wyszedł i zostawił ją samą.

Osamotniona Usha siedziała w cichej, pustej chatce, która była jej domem od chwili, gdy, nie wiadomo ile lat temu, Opiekun przyniósł ją jako małe dziecko. Kiedyś próbowała pilnować rachuby czasu, licząc lata od dnia, w którym wedle słów Opiego się urodziła. Zaprzestała jednak tego około trzynastego roku życia. Dotychczas była to tylko zabawa, lecz gdy osiągnęła już ten wiek, z jakiejś przyczyny przeliczanie mijających lat stało się przykre. Nikt nie chciał jej niczego powiedzieć o rodzicach ani

wyjaśnić ich nieobecności. Irdowie nie lubili rozmawiać o takich sprawach. Na ich twarzach pojawiał się smutek za każdym razem, gdy poruszała ten temat.

Nikt nie potrafił jej powiedzieć, kim jest... Zawsze tylko słyszała, kim nie jest. Nie jest Irdą. Tak więc w przyływie złości przestała zaznaczać upływające lata, a gdy znów nabrały dla niej wagi, straciła rachubę czasu. Czy minęły cztery lata, czy pięć albo sześć? A może dziesięć?

Nie miało to zresztą znaczenia. Nic już nie było ważne.

Wtedy Usha zrozumiała, że tym razem płacz nie pomoże.

*

Następnego dnia, gdy słońce stało niemal w zenicie, Irdowie znów się zebrali - już po raz drugi w ciągu dwóch dni, co w ich historii nie miało precedensu - aby pożegnać ludzkie „dziecko”.

Usha opancerzyła się w zbroję gniewu i oburzenia. Żegnała się wyniośle i oficjalnie, jakby odprowadzała jakiegoś odległego kuzyna, który przypadkiem przyszedł złożyć wizytę.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Opiekun usłyszał, jak mruknęła pod nosem - niezbyt cicho - te właśnie słowa. - Cieszę się, że odchodzę! Nie chcecie mnie. Nikt mnie nigdy nie chciał. Nie dbam o nikogo z was. Nie mówcie tylko, że wam na mnie zależy!

Irdom jednakże na niej zależało. Opiekun żałował, że nie potrafił jej o tym powiedzieć, lecz takie słowa przychodziły mu z trudnością. Irdowie bardzo polubili to beztroskie, rozśpiewane i roześmiane dziecię, które oderwało ich od intelektualnych rozmyślań i zmusiło do otworzenia zamkniętych na cztery spusty serc. Jeśli ją rozpieścili - a Opiekun wiedział, że tak - uczynili to nieumyślnie. Byli szczęśliwi, widząc jej zadowolenie, dlatego robili wszystko, co było w ich mocy, by była zawsze taka radosna.

Zaczynał niejasno podejrzewać, że mogli popełnić błąd. Świat, w którego objęcia tak brutalnie popychali Ushę, nie dbał o nią ani trochę. Świata nie obchodziło, czy jest szczęśliwa czy smutna, przeżyje czy zginie. Opiekun uprzytomnił sobie - trochę za późno - że być może Ushę trzeba było trochę surowiej chować i nauczyć tego, by radziła sobie z obojętnością świata.

Nie podejrzewał jednak nigdy, że przyjdzie mu wypuścić tego rozćwierkanego ptaszka na wolność. Wreszcie czas nadszedł i choć obyło się bez okazywania emocji, Irdowie wyrazili swe uczucia w jedyny sposób, w jaki potrafili - obdarowując ją

prezentami.

Usha przyjmowała podarunki, zdawkowo dziękując. Włożyła je do skórzanej torby, nie rzuciwszy nawet na nie okiem. Kiedy któryś z obdarowujących usiłował wyjaśnić, do czego służy upominek, zbywała objaśnienia milczeniem. Dziewczyna miała głębokie poczucie krzywdy i zamierzała ich za to ukarać. Opiekun nie mógł jej za to winić.

Decydujący wygłosił wzruszającą przemowę, której Usha wysłuchiwała w głuchym milczeniu, a potem nadeszła pora rozstania. Był odpływ i wiał odpowiedni wiatr. Irdowie wyszeptali modlitwy i życzyli jej szczęścia. Usha odwróciła się od wszystkich i powędrowała przez las ku plaży, przyciskając mocno do piersi torbę z upominkami.

- Nic mnie nie obchodzi! Nic mnie nie obchodzi! - Powtarzała bez przerwy. Opiekun miał nadzieję, że to zaklęcie doda jej sił.

Tylko on towarzyszył jej w drodze do łodzi. Nadal nie odzywała się do niego choćby słowem. Zaczął podejrzewać, że źle ją ocenił. Może była jedną z tych nieczułych i obojętnych istot ludzkich. W połowie drogi na plażę, kiedy znaleźli się sami w lesie, Usha nagle się zatrzymała.

- Opi! Proszę! - Objęła go i uściskała mocno. Był to przejaw czułości, jakiej nie okazywała mu od czasu, gdy przestała być dzieckiem. - Nie odsyłaj mnie! Nie każ mi odchodzić! Będę już grzeczna! Nie przysporzę więcej kłopotów! Kocham cię! Kocham was wszystkich!

- Wiem, dziecko, wiem. - Opiekun ze łzami w oczach poklepał ją niezdarnie po plecach. Doskonale pamiętał, jak robił to samo, gdy była jeszcze niemowlęciem. Tulił ją wtedy w ramionach, próbując obdarzyć miłością, której nigdy nie dałaby jej matka.

Kiedy Usha przestała płakać, odsunął ją na odległość ramienia i spojrzał jej w oczy.

- Dziecko, miałem ci tego nie mówić. Nie mogę jednak pozwolić, żebyś odeszła w przekonaniu, że już cię nie kochamy, że w jakiś sposób zawiodłaś nasze oczekiwania. Nigdy nie mogłabyś nas rozczarować, Usho. Kochamy cię całym sercem. Chciałbym, abyś w to wierzyła. Widzisz, prawda jest taka... Zamierzamy odprawić czary, bardzo potężne czary, aby źli rycerze więcej już nie wrócili. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale te czary mogą ci zaszkodzić, ponieważ nie jesteś Irdą. Mogą być dla ciebie groźne. Odsyłamy cię, gdyż boimy się o twoje bezpieczeństwo.

To kłamstwo, ale być może, że niegroźne. W rzeczywistości przecież Uszę oddalano, aby nie zagroziła magii. Będąc człowiekiem, Usha była jedyną skazą w

doskonałej, krystalicznej strukturze czaru, jakim Irdowie mieli zamiar się posłużyć, aby uwięzić moc Szarego Klejnotu. Opiekun wiedział, że właśnie to spowodowało, iż Decydujący nakazał wypędzić Uszę.

Usha zachlipała. Opiekun wytarł jej nos i twarz jak w czasach, gdy była małą dziewczynką.

- Te... Te czary. - Usha przełknęła ślinę. - Zapewnią wam bezpieczeństwo? Ochronią was przed złem?

- Tak, dziecko. Tak twierdzi Decydujący, a my nie mamy powodu wątpić w jego mądrość.

Kolejne kłamstwo. Przez całe swe trwające stulecia życie Opiekun nie skłamał tyle razy, ile tego jednego dnia. Bardzo go to zaskoczyło, gdy zorientował się, jak świetnie mu to idzie.

Usha zdobyła się na blady uśmiech.

- Dziękuję, że byłeś ze mną szczery, Opi. Tak mi przykro, że byłam dla pozostałych taka niedobra. Przekaż im to ode mnie. Powiedz im, jak bardzo będę za nimi tęsknić. Codziennie będę myśleć o was wszystkich... - Znow groziło jej, że wybuchnie płaczem. Przełknęła ślinę i przetarła oczy.

- Powiem im, Usho. A teraz chodź już. Słońce i przypyły nie czekają na nikogo, jak powiadają minotaurzy.

Poszli ku plaży. Usha zachowywała się bardzo spokojnie. Sprawiała wrażenie oszołomionej, odrętwiałej i pełnej niedowierzania. Dotarli do statku - dużej, dwumasztowej łodzi, którą zbudowali minotaurzy. Stała się własnością Irdów kilkanaście lat temu, kiedy wyprawiali się po Szary Klejnot. Po wykonaniu zadania łódź nie była już im potrzebna, więc pozwolili Opiekunowi nauczyć Uszę żeglarstwa. Choć myśl ta budziła w Opiekunie lęk, Irda zawsze podejrzewał, że dzień taki jak dzisiejszy musiał w końcu nadejść.

Dziewczyna i jej towarzysz umieścili w łodzi dwie torby - małą, nadającą się do wzięcia na plecy, pełną osobistych drobiazgów i dużą z podarunkami Irdów. Usha miała na sobie strój, jaki Irdowie uznali za odpowiedni na podróż w upale: luźne i przewiewne spodnie z jasnozielonego jedwabiu, marszczone w kostkach i przytrzymywane haftowanym pasem, bluzkę z jedwabiu w tym samym kolorze, rozciętą pod szyją i przewiązaną w pasie złotą szarfą oraz kamizelę z czarnego aksamitu, haftowaną ręcznie w barwne wzory. Zielona jedwabna chusta przykrywała jej głowę.

- Tyle pakunków... Wyglądasz jak kender. - Opiekun próbował zażartować.

- Kender! - Usha zdobyła się na wesołość. - Opowiadałeś mi o nich, Opi. Myślisz, że spotkam któregoś?

- Łatwiej jest ich spotkać, niż się ich pozbyć. O tak, dziecko. - Opiekun uśmiechnął się do starych wspomnień. - Spotkasz beztroskich kenderów o lepkich palcach. A także posępnych i ponurych krasnoludów, przebiegłych i sprytnych gnomów, śmiałych i przystojnych rycerzy, elfów o srebrnych głosach. Spotkasz ich wszystkich...

Mówiąc to, Opiekun ujrzał, jak Usha odwraca od niego wzrok. Spoglądała na morze z odmienioną twarzą, nie tak już oszołomioną i obojętną. Dostrzegł malującą się na niej tęsknotę, chęć ujrzenia, usłyszenia, dotknięcia i posmakowania życia. Na horyzoncie gromadziły się coraz większe białe chmury. Usha nie widziała obłoków, lecz białe, jaśniejące w słońcu miasta. Opiekun miał wrażenie, że gdyby ocean był z ołowiu, dziewczyna natychmiast pobiegłaby po nim przed siebie.

Irda westchnął. Wreszcie ludzka natura tego osieroconego dziecka wzięła górę. Z błyszczącymi z podniecenia oczami i z półotwartymi ustami wyrывała się naprzód z uczuciem nie uświadamianej tęsknoty, gotowa - jak każdy człowiek - rzucić się na oślep ku przyszłości.

Będąc jednym z nielicznych Irdów, którzy przewędrowali świat, Opiekun znał dużo lepiej od naiwnej Ushy niebezpieczeństwa, jakie na nią czyhają. Mało brakowało, by zaczął ją ostrzegać. Opowiadał jej już o rycerzach i kenderach, teraz powinien powiedzieć o okrutnych smokowcach, złych goblinach, ludziach o plugawych sercach i duszach, kapłanach ciemności, którzy popełniają ohydne czyny w imię Morgiona albo Chemosha, spowitych w czerń czarodziejach ze śmiercionośnymi pierścieniami, łajdakach, złodziejach, kłamcach i uwodzicielach.

Milczał jednak. Nie udzielił ostrzeżenia. Nie miał serca, by przyćmić tym jej radość, ten promienny blask, jaki od niej bił. Wystarczająco szybko sama się dowie. Miał tylko nadzieję, że bogowie będą nad nią czuwać, jak ponoć czuwają nad śpiącymi dziećmi, zabłąkanymi zwierzętami i kenderami.

Opiekun pomógł Ushy wsiąść do łódki.

- Magia pokieruje twą łódź do Palanthas. Wystarczy, jeśli będziesz pilnować, byś zawsze miała zachodzące słońce po stronie lewego policzka. Nie obawiaj się burzy, łódź nie może się wywrócić. Gdyby wiatr ucichł, nasze czary zastąpią morską bryzę i popchną statek. Pozwól falom ukołysać się do snu, a kiedy zbudzisz się rankiem, ujrzysz błyszczące w słońcu wieżyczki Palanthas.

Razem podnieśli żagiel. Przez cały czas Opiekun był zamyślony i zmagał się sam ze sobą. Wreszcie powziął decyzję.

Kiedy łódź była gotowa do zepchnięcia na wodę, Opiekun posadził Ushę przy sterze i jeszcze raz poprawił bagaże. Na koniec wyjął przewiązany czarną wstążką zwój pergaminu i podał go dziewczynie.

- Co to jest? - Spytała, przyglądając się ciekawie. - Mapa?

- Nie, dziecko. To nie mapa, to list.

- Do mnie? Czy napisane jest w nim - jej twarz rozpromieniła nadzieja - kim był mój ojciec? Dlaczego mnie porzucił? Obiecałeś, Opi, że któregoś dnia wszystko wyjaśnisz.

Zaskoczony Opiekun zaczerwienił się mocno. - No... Nie, dziecko. Znasz już tę historię. Co więcej mógłbym dodać?

- Powiedziałeś, że opuścił mnie po śmierci mojej matki, ale nigdy nie powiedziałeś, dlaczego to zrobił. Czy dlatego, że mnie nie kochał? Bo mama umarła przez mnie. Nienawidził mnie...

- Skąd ci to przyszło do głowy, dziecko? - Opiekun był wstrząśnięty. - Twój ojciec kochał cię całym sercem. Wiesz, co się stało, już raz ci opowiadałem.

Usha westchnęła. - Tak, Opi - powiedziała. Każda rozmowa o jej rodzicach tak się kończyła. Nie chciał powiedzieć jej prawdy. Trudno, nieważne. Sama do tego dojdzie.

Opiekun wskazał ręką list, chcąc czym prędzej zmienić temat.

- Ta przesyłka nie jest dla ciebie, ale kiedy stracisz już z oczu naszą wyspę, możesz ją otworzyć i przeczytać. Ten, któremu masz ją doręczyć, może zadawać pytania, na które tylko ty będziesz umiała odpowiedzieć.

Usha spojrzała na pergamin ze zdumieniem.

- Więc do kogo jest ten list, Opi?

Opiekun milczał przez chwilę w rozterce, po czym potrząsnął głową, jakby pozbył się wątpliwości i odparł:

- W Palanthas mieszka pewien potężny czarodziej imieniem Dalamar. Kiedy przeczytasz już ten list, zaniesiesz mu go. Powinien wiedzieć, co zamierzamy uczynić. Na wypadek, gdyby... - Przerwał, lecz Usha szybko się zorientowała.

- Na wypadek, gdyby stało się coś złego! Och, Opi! - Przyłgnęła do niego w chwili rozstania. - Boję się!

Tak będzie przez całe twoje życie, dziecko. To przekleństwo ludzkiego istnienia.

Schylił się i ucałował ją w czoło.

- Błogosławieństwo twojej matki - i twego ojca będzie ci zawsze towarzyszyć.

Irda wyszedł z łodzi i zepchnął ją na fale.

- Opiekunie! - Krzyknęła Usha, wyciągając rękę, jakby chciała go zatrzymać.

Jednakże woda albo czary, a może jedno i drugie, szybko zniosły łódź na morze.

Plusk bijących o brzeg fal zagłuszył jej słowa.

Opiekun stał na piaszczystej plaży, dopóki statek był widoczny. Nie ruszył się z miejsca nawet wtedy, gdy biała plamka znikła za horyzontem.

Dopiero kiedy fale zmyły ostatnie ślady stóp Ushy na piasku, Opiekun odwrócił się i odszedł.

Rozdział IV

LIST DO DALAMARA

Osamotniona Usha przyglądała się z łódki, jak z każdą chwilą maleje smukła sylwetka Opiekuna, a ojczysty brzeg zmienia się w czarną kreskę na horyzoncie. Kiedy Opiekun i brzeg całkiem znikli jej z oczu, pchnęła ster, by pożeglować z powrotem.

Rumpel nie reagował. Nieustannie wiał silny wiatr, a magia Irdów pchała statek w stronę Palanthas.

Usha rzuciła się na dno łodzi i wybuchnęła żalonym płaczem. Łkała tak długo, że omal nie dostała mdłości.

Płacz nie pomógł w ukojeniu bólu serca, natomiast sprawił, że dostała czkawki. Załzawione oczy piekły i szczypały, a z nosa ciekło. Szukając niezdarnie chusteczki, natrafiła na list, który dostała od Opiekuna. Otworzyła go bez większego entuzjazmu - spodziewając się kolejnego uzasadnienia swej banicji - i zaczęła czytać.

Moja Usho. Kiedy to piszę, jesteś pogrążona we śnie. Patrząc na ciebie - leżysz spokojnie z ręką odrzuconą za głowę, potarganymi włosami i śladami łez na policzkach - i przypominam sobie to dziecko, które wniosło do mojego życia radość i ciepło. Już tęsknię za tobą, a nawet jeszcze nie wyjechałaś!

Wiem, że czujesz się skrzywdzona i jesteś zła, że tak cię samą odprawiam. Proszę, uwierz mi, najdroższe dziecko, że nigdy tak bym nie postąpił, gdybym nie był przekonany, że jest to dla twojego dobra.

Wielu z nas zadawało to samo pytanie, które ty postawiłaś na spotkaniu, dotyczącym Szarego Klejnotu i jego władzy nad nami. Nie jesteśmy przekonani, że rozbięcie Szarego Klejnotu jest najlepszym rozwiązaniem. Godzimy się ze zdaniem Decydującego, mówiąc bowiem całkiem szczerze, uważamy, że nie mamy innego wyjścia.

Wolą Decydującego jest, by świat zewnętrzny nie domyślił się, co planujemy. Jestem zdania, że tu się myli. Zbyt długo spoglądaliśmy na świat z

góry. Okazało się to - nieraz - tragiczne w skutkach. Moja własna siostra...

Pozostała część tekstu została zamazana. Opi nigdy nie wspominał, że ma siostrę. Gdzie była? Co się z nią stało? Usha spróbowała odcyfrować zamazane pismo, jednak na próżno. Westchnęła i wróciła do lektury. Następna część listu była adresowana do lorda Dalamara, mistrza Wieży Wielkiej Magii w Palanthas.

Pominęła więc uprzejmy wstęp i opis tego, jak Irdom udało się skraść Szary Klejnot. Słyszała już tę historię bardzo wiele razy, aż do znudzenia. Przeskoczyła wzrokiem na dół, ku ciekawszej części.

Szary Klejnot spoczywa na ołtarzu, który zbudowaliśmy specjalnie dla niego. Na pierwszy rzut oka kamień wygląda skromnie. Znacznie ciekawszy okazuje się po bliższym zbadaniu. Wielkość klejnotu zdaje się zmieniać w zależności od obserwatora. Decydujący utrzymuje, że kamień ma wielkość dorodnego kota, podczas gdy według mnie ma rozmiar kurzego jaja.

Nie sposób ustalić liczbę jego faset. Wszyscy je liczyliśmy i żadne z nas nie uzyskało takiego samego wyniku. Rezultaty różnią się nie jednostkami, lecz są radykalnie odmienne, jakby każde z nas liczyło ścianki innego klejnotu.

Wiemy, że kamień jest z natury chaotyczny. Wiemy też, że bóg Reorx czynił wiele starań, by pochwycić Szary Klejnot, lecz zawsze były to daremne wysiłki. Nie jest dość potężny, by go zatrzymać. Dlaczego więc nam się udało?

Decydujący odpowiada na to, iż Reorx jest słabym, niedyscyplinowanym bogiem, któremu trudno się skupić. Może to prawda, lecz zastanawia mnie fakt, czemu żaden z pozostałych bogów nie pokusił się o zawładnięcie klejnotem. Czyżby dlatego, że w jego obliczu oni również są słabi? Skoro jednak bogowie są wszechpotężni, jakże to możliwe? Czyżby Szary Klejnot obdarzony był magiczną mocą, która znacznie przekracza siły boskie?

Jeśli to prawda, Szary Klejnot jest dużo potężniejszy od nas. Oznacza to także, że nie my panujemy nad nim. To on nas oszukuje i wykorzystuje - w jakim celu czy zamiarze, nie wiem. Jednak boję się go.

Załączam zatem kopię historii stworzenia świata i Szarego Klejnotu wedle tego, co wiedzą na ten temat Irdowie. Zobaczysz, dostojny Dalamarze, że różni się ona poważnie od innych zanotowanych opowieści, dlatego uznałem wysłanie tej informacji Konklawe Czarodziejów za konieczność. Być może opis

ten pozwoli na wysnucie wniosków dotyczących Szarego Klejnotu.

- Historia Irdów! - Usha westchnęła i mało brakowało, a ponownie zwinęłaby list. - Słyszałam to setki razy! Znam ją na pamięć!

Usha umiała czytać i pisać w języku Irdów, a także znała ich mowę zwaną wspólną. Irdowie nigdy nie rozmawiali tym językiem między sobą, lecz uznali, że jego znajomość przyda się dziewczynie. Choć Usha dobrze sobie radziła z lekcjami, nie przepadała za nauką. W odróżnieniu od rozmiłowanych w studiach Irdów, wolała działać, niż czytać o działaniu.

Teraz jednak nie pozostało jej nic innego poza płaczem, łkaniem i uzalaniem się nad sobą. Wychyliwszy się za burtę, umoczyła chusteczkę w słonej wodzie i wytarła zgrzaną twarz i czoło. Od razu poczuła się lepiej. Żeby zapomnieć o smutku, wróciła do czytania - początkowo z nudów - lecz stopniowo dała się ponieść lekturze. Wydawało jej się, że w tych słowach słyszy głos Opiekuna i znów siedzi przy małym stole, słuchając jego opowieści o stworzeniu świata.

Zdaniem naszych przodków¹, trzy bóstwa, Paladine, Takhisis i Gilean, mieszkały razem na płaszczyźnie nieśmiertelnych. Były rodzeństwem, potomstwem Chaosu, Ojca Wszystkiego i Niczego. Paladine był najstarszym synem, sumiennym i odpowiedzialnym. Gilean środkowym, pilnym i skłonny do rozmyślań. Takhisis była jedyną córką, najmłodszym dzieckiem, zdaniem niektórych, ulubionym, ale tę niesforną i ambitną boginię dręczyła nuda.

Pragnęła władzy, rządzenia pozostałymi. Próbowwała dominować nad swymi braćmi, lecz bez skutku. Paladine obdarzony był zbyt silną wolą, a Gilean w ogóle nie zauważał jej wysiłków. Z tego powodu my, Irdowie, jesteśmy przekonani, że Krynn i wszystko, co żyje na tej płaszczyźnie, powstało dzięki przebiegłości Takhisis.

Takhisis, kiedy chce, potrafi być bardzo czarująca i sprytna. Bogini

¹ Badacze Krynnu zauważają, że legenda o stworzeniu świata przekazana przez Opiekuna różni się pod pewnymi względami od podobnych legend innych ras. Jest to naturalne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że każda z nich uważa się za środek wszechświata. Przykładowo, krasnoludowie nie chcą przyznać, że zostali stworzeni z zamętu, jaki spowodował Szary Klejnot. Utrzymują, że są dziełem Reorxa. Wielu elfów uważa, że są jedyną prawdziwą rasą, a wszystkie pozostałe to zaledwie kleksy w Wielkiej Księdze Gileana. Irdowie są jednakże ludem o najdłuższej trwającej nieprzerwanie historii na Krynnie, toteż jesteśmy zdania, że ich opowieść jest zapewne najbliższa prawdy.

poszła do starszych braci i podsunęła im pomysł stworzenia świata oraz duchów, które miały w nim zamieszkać. W rozmowie z Paladine'em przekonywała, że duchy wniosą do chaotycznego wszechświata ład. Paladine'a od dawna gnębiło poczucie braku sensu i znaczenia życia bogów. Wraz ze swą małżonką Mishakal ucieszyli się więc z pomysłu wprowadzenia zmian i wyrazili zgodę.

- Oczywiście rozmawiałaś o tym z ojcem - rzekł Paladine - i otrzymałaś jego pozwolenie.

- Ależ oczywiście, drogi bracie - odparła Takhisis.

Paladine musiał wiedzieć, że siostra skłamała, lecz tak śpieszno mu było uporządkować wszechświat, że przymknął na to oczy.

Takhisis poszła wtedy do Gileana. Rozmawiała z nim o nadarzających się okazjach ujżenia i zbadania tego, jak w różnych sytuacjach zachowują się istoty odmienne od nich samych.

Pomysł ten zaintrygował Gileana. Ponieważ nie miał małżonki (nie mamy żadnych zapisków mówiących, co się z nią stało), udał się po poradę do Zivilyna, boga, który przybył z innej płaszczyzny nieśmiertelnych, którą nazywa się po prostu Zaświatami. Mówią, że Zivilyn istnieje na wszystkich płaszczyznach i we wszystkich czasach.

Zivilyn spojrzał przed siebie i za siebie. Spojrzał w lewo i w prawo. Spojrzał w górę i w dół, i wreszcie oznajmił, że to dobry pomysł.

Gilean udzielił więc zgody.

- Oczywiście wspomniałaś o tym ojcu? - Spytał po chwili Gilean, nie zadając sobie nawet trudu, by podnieść głowę znad księgi.

- Oczywiście, drogi bracie - odrzekła Takhisis.

Gilean wiedział, że Takhisis skłamała - Zivilyn uprzedził go, że tak będzie. Możliwość zdobycia wiedzy okazała się jednakże zbyt wielką pokusą i Gilean także przymknął oczy.

Uzyskawszy pozwolenie od swych braci, Takhisis wprowadziła plan w życie.

W Zaświatach żył bóg imieniem Reorx. Niewiele wiadomo o jego przeszłości, choć krążą pogłoski o straszliwej tragedii, która sprawiła, że zaczął unikać towarzystwa innych nieśmiertelnych. Mieszkał sam na swej płaszczyźnie, spędzając cały czas w kuźni na tworzeniu rzeczy pięknych i

straszliwych, cudownych i przerażających. Dzieło stworzenia napawało go radością. Nie potrzebował żadnego z wytworzonych przedmiotów, więc kiedy były gotowe, po prostu je wyrzucał. Wciąż je widzimy. Co jakiś czas jeden z nich spada na ziemię. Znane są jako spadające gwiazdy.

Takhisis udała się do Reorxa i zaczęła wychwalać jego dzieła.

- Jaka szkoda - rzekła - że je tak wyrzucasz! Mam w zanadrzu plan. Stworzysz dla mnie coś, co cię nie znudzi, lecz każdego dnia twego nieśmiertelnego życia będzie dla ciebie nowym wyzwaniem. Stworzysz świat i zaludnisz go duchami, a potem nauczysz je wszystkiego, co sam umiesz.

Reorxa urzekł ten pomysł. Wreszcie jego nie kończąca się twórczość będzie miała jakiś sens i przyniesie jakiś pożytek. Zgodził się bez wahania.

- Spytałaś ojca o zgodę? - Zapytał Takhisis.

- Inaczej nie przyszedłbym do ciebie - odparła.

Prostoduszny i szczerzy Reorx nie miał pojęcia, że Takhisis kłamie.

Zgromadzili się bogowie: Paladine i Mishakal z dziećmi; Gilean ze swą jedyną naturalną córką i przybranymi dziećmi oraz Takhisis z małżonkiem Sargonnasem i potomstwem. Potem przybył Reorx, rozpalił w kuźni, w środku mrocznej, nieskończonej nocy Chaosu umieścił kawał rozpalonego do czerwoności metalu i uderzył młotem po raz pierwszy.

W tym momencie obaj bracia zmuszeni byli przejrzeć na oczy.

Takhisis nie spytała o pozwolenie Chaosu, Ojca Wszystkiego i Niczego. Dobrze wiedziała, że sprzeciwiłby się jej zamiarowi zaprowadzenia ładu we wszechświecie, celowo zatem zataiła przed nim swój plan. Nie było wątpliwości, że jej bracia wiedzieli o tym.

Chaos mógł natychmiast unicestwić swe dzieci wraz z ich zabawką, lecz - jak to bywa w zwyczaju rodziców - uznał, że lepiej będzie dać im naukę.

- Rzeczywiście stworzycie ład - zagrzmiął - lecz już ja dopilnuję, żeby ład ten zrodził niezgodę zarówno wśród was, jak i tych, którzy zamieszkają w waszym świecie.

Nie można było już odmienić tego, co zaszło. Iskry spod młota Reorxa stały się gwiazdami. Światło tych gwiazd zrodziło żyjące duchy. Sam Reorx wykuł świat, w którym te duchy miały zamieszkać.

Wtedy to spełniła się klątwa Chaosu.

Takhisis chciała zagarnąć sobie dopiero co stworzone duchy, aby nimi

rządzić i zmuszać je do wykonywania swych rozkazów. Paladine chciał wziąć je sobie, by mieć je pod swoją pieczę i prowadzić je ścieżką prawości. Gilean, jako uczonec, nie widział pożytku z żadnego z rozwiązań. Jego pragnieniem było, by duchy mogły swobodnie wybrać tę ścieżkę, którą będą chciały. W ten sposób świat byłby dużo ciekawszy.

Rodzeństwo pokłóciło się. Ich potomstwo i bogowie z innych płaszczyzn zostali wciągnięci do walki i tak się zaczęła Wojna Wszystkich Świętych.

Ojciec Wszystkiego i Niczego wybuchnął śmiechem, a jego śmiech był straszny.

Wreszcie Paladine i Gilean zdali sobie sprawę, że ich bitwa może zniszczyć dzieło stworzenia. Zjednoczyli siły przeciwko siostrze i choć nie zdołali osiągnąć całkowitego zwycięstwa, przynajmniej zmusili ją do zawarcia ugody. Niechętnie zgodziła się, że będą władać nowym światem we troje, wspólnie dbając o równowagę. Bogowie mieli nadzieję, że w ten sposób położą kres przekleństwu, jakie rzucił na nich Ojciec Chaosu.

Trójka bogów zdecydowała, że każde z nich obdarzy czymś duchy, aby pomyślnie żyło im się w tym nowym świecie.

Paladine dał im potrzebę panowania. Dzięki temu będą starały się zawładnąć swym otoczeniem i uporządkować świat.

Takhisis dała im ambicję i pożądanie. Duchy nie tylko zapanują nad światem, lecz także stale będą pragnąć ulepszać go - i siebie.

Gilean obdarzył duchy zdolnością wyboru. Każdy z nich będzie miał swobodę decydowania za siebie. Żaden z bogów nie będzie miał władzy absolutnej.

Wszystkie te dary były dobre i żaden nie był zły - chyba że zostanie wykorzystany w skrajny sposób: posunięta do ostateczności potrzeba panowania prowadzi do obawy przed zmianą, dławienia nowych pomysłów i braku tolerancji dla wszystkiego, co odmienne; skrajnie wybujała ambicja wiedzie do chęci zdobycia władzy za wszelką cenę i zniewolenia; pragnienia mogą stać się obsesjami, które prowadzą do zachłanności, pożądlivosti, skąpstwa i zazdrości, wolność w najbardziej krańcowej postaci jest anarchią.

Duchy uzyskały postać materialną, wyskakując z wyobraźni bogów. Dziełem umysłu Paladine'a są elfowie, jego idealna rasa. Uwielbiają ujarzmiąć świat i naginać go do swej woli. Żyją długo i niewiele się zmieniają.

Takhisis wyobraziła sobie rasę niezwykle pięknych istot, równie jak ona

ambitnych i samolubnych. Byli to ogrowie. Kiedy ich żądze zbyt wybujały, stracili urodę, lecz nadal są niezmiernie silni i bardzo potężni.

Można powiedzieć, że my, Irdowie, jesteśmy dziełem Takhisis, bowiem byliśmy pierwotnymi ogrami. Widząc, co się dzieje z naszym ludem, niektórzy z nas zwrócili się do Paladine'a z błaganiem o pomoc. Umożliwił nam wyrwanie się spod władzy Królowej Ciemności, lecz drogo za to zapłaciliśmy. Nie mogliśmy żyć w pobliżu innych ras, abyśmy nie ulegli pokusie i znów nie upadli. Mieliśmy stać się odciętą od reszty świata rasą samotników, kochających odosobnienie i pielęgnujących swą samotność. Nawet zejście się w celu wydania potomstwa miało sprawiać nam trudność, więc nasze plemię nigdy nie miało być liczne. Zgodziliśmy się na wszystkie te warunki, aby uniknąć losu naszych pobratymców. Dlatego świat nic o nas nie wie - a jeśli coś wie, jest to nieprawdą.

Z wyobraźni Gileana powstała rasa ludzka. Ludzie żyją najkrócej, najszybciej się zmieniają i łatwo skłaniają się ku jednej lub drugiej ze stron.

Dla swej własnej przyjemności i wprowadzenia większego zamętu Ojciec stworzył zwierzęta. Bardzo rozżłościł swe dzieci, gdy wielu zwierzętom dał przewagę nad innymi; wśród nich królują smoki, obdarzone mądrością, inteligencją, długim życiem, magią, siłą i potężną bronią.

Od chwili zjawienia się smoków na Krynnie pozostałe gatunki śmiertelników albo toczyły z nimi boje, albo starały się wejść z nimi w sojusze. Wtedy ustanowiono równowagę świata. Elfowie uważali siebie za ucieleśnienie „dobra”, ogrow zaś za wcielenie „zła”. (Jako ciekawostkę należy odnotować, że z punktu widzenia ogrow, prawdą jest pogląd całkowicie przeciwny. Ogrowie uznają siebie za „dobrych”, a elfowie i im podobni zwolennicy wytopienia rasy ogrow są „źli”.) Ludzie znajdując się pośrodku, mogli opowiedzieć się po dowolnej stronie i czynili to - bez przerwy.

Dlatego to właśnie człowiek, w którego krwi mieszają się wszystkie dary bogów - potrzeba wywierania wpływu, ambicja, żądza i wolność wyboru skorzystania z nich w pożyteczny lub szkodliwy sposób - pędzi przez czas, tworząc, zmieniając, niszcząc. Nazwano to postępem.

W tym samym czasie na świecie pojawiła się magia. Troje boskich dzieci wychowało się razem. Stali się sobie niezwykle bliscy: Solinari, syn Paladine'a i Mishakal; Nuitari, syn Takhisis oraz Sargonnasa; i Lunitari, córka Gileana.

Wszyscy bogowie obdarzeni są mocą czynienia czarów, lecz u nich siłę wzmocniło zamiłowanie do magii i poświęcenie dla sztuki czarnoksięskiej. Stworzyło to między nimi więź, choć niemal pod każdym innym względem różnili się od siebie.

Kiedy wybuchła Wojna Wszystkich Świętych, rodzice wywierali presję na troje bogów, aby stanęli po którejś ze stron. Kuzyni obawiali się, że wojna zniszczy to, co było im najdroższe: magię. Złożyli więc przysięgę, że jej będą wierni, a także sobie nawzajem, po czym opuścili panteon bogów. Przyjąwszy śmiertelną postać, zstąpili na Krynn.

Każdy z kuzynów znalazł sobie wśród śmiertelników ucznia i obdarował go magią. Dar ten można było przekazać innym śmiertelnikom, a ci z kolei mogli w razie potrzeby poprosić trzech bogów o pomoc. Następnie trójka kuzynów opuściła Krynn, lecz pozostała w jego pobliżu. Krąży po niebiosach i nieruchomymi oczyma obserwuje śmiertelników, którzy posługują się ich darami. Śmiertelnicy znają te „oczy” jako trzy księżycy Krynnu: srebrny Solinari, czerwony Lunitari i niewidzialny dla wszystkich (z wyjątkiem swych wyznawców) Nuitari.

My, Irdowie, jesteśmy obdarzeni niezwykle silnymi mocami magicznymi, lecz nie wiemy, z jakiego źródła biorą one swój początek. Nie jesteśmy sprzymierzeńcami kryńskich czarodziejów i w rzeczy samej jesteśmy nazywani „renegatami”. Widzicie w nas niebezpieczeństwo, zagrożenie dla waszych bractw. Magia jest jednym z licznych powodów, dla których unikamy kontaktów z innymi gatunkami. Nie moglibyśmy bez niej przeżyć. Każdy Irda rodzi się z nią. Można by powiedzieć, że mamy magię we krwi, jest ona bowiem dla nas czymś równie naturalnym, jak pozostałe zmysły: wzrok, węch, słuch, dotyk i smak. Czy ktoś nam każe tłumaczyć, jak widzimy? Nie rozumiem, czemu świat miałby żądać od nas wyjaśnień, w jaki sposób dokonujemy tego, co w jego oczach uchodzi za cuda.

Wróćmy jednak do historii stworzenia.

Nowy świat był młody i dziki jak duchy śmiertelników, którzy go zamieszkiwali. Elfowie włożyli wiele wysiłku, by podporządkować sobie własną część świata. Ogrowie nauczyli się dostosować do swojej. Ludzie pragnęli zmienić swoją część i ulepszyć ją. Osamotniony bóg Reorx zaproponował, że im pomoże. Powiadają, że Reorx jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy schodzi między

śmiertelników i miesza się w ich życie.

Reorx nauczył grupę ludzi niezliczonych umiejętności, a wśród nich sztuki wytapiania stali. Tak elfowie, jak i ogrowie pożąдали tego metalu, którego sami nie umieli wytworzyć. Przybywali więc do ludzi, by kupować stalowe miecze, noże i narzędzia. Ludzie stali się niezwykle dumni i zaczęli pysznić się przed nimi. W swej pysze zapomnieli okazywać cześć Reorxowi, który był ich nauczycielem. Gdy pojawiał się wśród nich, stronili wręcz od niego i śmiali z jego niskiego wzrostu. Szydzili z jego zainteresowania rzemiosłem, które przyniosło im tyle bogactwa. Rozzłoszczony Reorx rzucił na nich przekleństwo. Odebrał im te umiejętności, zostawiając jedynie pragnienie tworzenia wynalazków, budowania i konstruowania. Oznajmił, że odtąd ludzie ci będą niscy, pomarszczeni i wyśmiewani przez wszystkie pozostałe rasy. Zmienił ich w gnomów.

W tym czasie, znanym jako Wiek Półmroku, dotychczas stosunkowo stabilna równowaga świata została naruszona. Niezadowoleni z tego, co już posiadają, ludzie zaczęli pożądać własności sąsiadów. Podburzeni przez Takhisis ogrowie pragnęli władzy. Elfowie chcieli tylko spokoju i gotowi byli walczyć w obronie swej izolacji.

Hiddukel był jednym z bogów, którego sprowadziła z Zaświatów Takhisis dla zwiększenia swojego wpływu na istoty ludzkie. Hiddukel celuje w zawieraniu umów. Uwielbia targować się, a jest w tym nie zrównany. W zachwianiu równowagi ujrzał szansę wzrostu swej potęgi. Wojna jest korzystna dla interesów, powoduje zwiększoną produkcję broni, zbroi, żywności dla wykarmienia wojska i tak dalej. A że do tego był jeszcze handlarzem duszami zmarłych, Hiddukel dostrzegł niezły zysk również w tej dziedzinie.

Licząc na wszczęcie jeszcze większego zamętu, Hiddukel udał się do Chislev, bogini lasów i przyrody, i przekonał ją - wykorzystując swój krasomówczy talent - że zbliża się zagłada.

- Wybuch wojny jest tylko kwestią czasu - żalił się.

- Wiesz, jakie to pociągnie za sobą skutki dla środowiska? Lasy wyrąbane na wieże oblężnicze, młode drzewka przerobione na łuki i strzały, pola splądrowane lub spalone. Musimy raz na zawsze położyć kres tym wojnom między rasami. Oczywiście dla dobra przyrody.

- A co ty będziesz z tego miał? - Spytała Chislev. - Nie powiesz chyba, że

robisz to dla dobra małych króliczków.

- Nikt nie chce uwierzyć, że mam serce - poskarżył się Hiddukel.

- To dlatego, że trudno dostrzec, co kryje się za twymi śliskimi słowami - odparła Chislev.

- Skoro już musisz wiedzieć, wojna bardzo zakłóciłaby działanie rynku finansów. Spadłaby wartość złota; właściwie metal ten stałby się bezwartościowy. Rolnicy nie mogą dostarczać swych produktów na targ, jeśli te są oblegane przez najeźdźców. Poza tym bardzo lubię króliczki.

- Chyba w potrawce - westchnęła Chislev. - Masz jednak rację. Zauważyłam rosnący niepokój wśród ras i sama zaczęłam się tym martwić. Rozmawiałam z Gileanem, ale wiesz, jaki on jest! Nawet nie podniesie głowy znad książki. Wiecznie tylko pisze i pisze.

- Spróbowałabyś zamienić słówko z Takhisis - parsknął Hiddukel. - Albo wybiera się gdzieś z Sargonnasem popatrzeć, jak minotaurzy rozwalają sobie nawzajem łby, albo zajęta jest sprowadzaniem zarazy, głodu, powodzi i czego tylko chcesz. Nie ma już czasu dla takich, jak my.

- Co więc proponujesz? Rozumiem, że masz plan.

- Jakże inaczej, moja tuląca drzewa przyjaciółko? Gdyby neutralność rządziła światem, zapanowałaby stała i niezmienna równowaga. Zgadzasz się ze mną?

- Chyba tak - rzekła ostrożnie Chislev, nie ufając Hiddukelowi, lecz nie umiejąc przy tym zaprzeczyć jego wywodom. - Nie rozumiem jednak...

- Właśnie! Idź do Reorxa. Poproś go, żeby stworzył klejnot, który pomieści w sobie samą kwintesencję neutralności. Kamień ten posłuży za kotwicę dla neutralnego położenia szal. Neutralność stanie się najpotężniejszą siłą na Krynnie i zniweluje skrajności. Zostaną związane ze środkiem i nie będą mogły się od niego oddalić.

- A co zrobimy z tym klejnotem, gdy już zostanie stworzony? Oddamy ci na przechowanie? - Chislev była łagodną boginią, lecz skłonną do sarkazmu, szczególnie w towarzystwie Hiddukela.

- Niech mnie niebiosy bronią! - Hiddukel był wstrząśnięty. - Nie życzyłbym sobie takiej odpowiedzialności! Daj go jednemu ze swoich towarzyszy. To najrozsądniejsze rozwiązanie.

Chislev przyjrzała się uważnie Hiddukelowi, lecz bóg spoglądał jej w

oczy absolutnie niewinnie, okazując szczerą niepokoj o los świata. Powiadają, że sama Królowa Takhisis nieraz dała się zwieść Hiddukelowi w interesach.

Skutkiem tej rozmowy Chislev opuściła swój las i powędrowała w świat, przybierając śmiertelną postać. To, co ujrziała, bardzo ją wzburzyło. Dymarki wytapiające stal płonęły w nocy gniewną czerwienią, elfowie polerowali nowo nabyte miecze, ludzie liczyli pieniądze, ogrowie ćwiczili ścinanie głów. Zasmucona Chislev postanowiła coś z tym zrobić.

Zastanawiała się, czy nie porozmawiać o tym ze swym mężem, Zivilynem, bogiem, który widział wszystkie płaszczyzny i wszystkie czasy, przyszłość i przeszłość. Chislev jednakże wiedziała, że trudno uzyskać jednoznaczną odpowiedź od Zivilyna, który zawsze decydował się na jedno, potem - patrząc na problem w innym świetle - zmieniał zdanie, by uczynić coś odmiennego - co znów miało wpływ na jego punkt widzenia - i ponownie zmieniał zdanie, by wreszcie nic nie zrobić.

Problem domagał się działania i Chislev postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Sama udała się do Reorxa.

Nikt z bogów nie odwiedzał Reorxa, co było jednym z powodów, dla których tak często spoufalął się z ludźmi. Reorx był zdumiony i uradowany widokiem gościa, szczególnie bogini o tak delikatnej urodzie i czarującym usposobieniu jak Chislev.

Ją z kolei ujęły względy, jakie okazywał jej Reorx, krzątając się po swym zaniedbanym mieszkaniu, szykując ciasteczka, potykając o meble, gubiąc imbryk i proponując wszystkie smakołyki, na jakie miałyby ochotę.

Chislev zrobiło się troszkę wstyd, kiedy spostrzegła, jak bardzo był samotny. Miała wyrzuty sumienia, że tak go zaniedbała. Przysięgła sobie, że w przyszłości będzie go częściej odwiedzać, teraz zaś wypila herbatę i przedstawiła swą prośbę.

Reorx z radością zgodził się ją spełnić. Bogini życzy sobie klejnotu? Będzie miała klejnot. Setkę klejnotów! Najpiękniejszych we wszechświecie.

Chislev spłoniła się i odparła, że chciałaby tylko jeden klejnot, zwykły kamyczek, który pomieściłby istotę neutralności.

Reorx pogładził swą brodę i zmarszczył brwi w zadumie.

- A dokładnie, co to miałyby być?

Chislev była nieco zbita z tropu. - Ależ, istotą neutralności byłby... Cóż...

- Chaos? - Podsunął Reorx.

Chislev zaczęła się nad tym zastanawiać, rozglądając się wokół bojaźliwie, czy przypadkiem Ojciec Wszystkiego i Niczego - wcielenie Chaosu - jej nie podsłuchuje. - Sądysz, że udałoby nam się uwięzić jego małą część? Niewielką. Dość tylko, by umocnić pozycję neutralności na tym świecie.

- Możesz na mnie polegać, pani - rzekł Reorx z niesłychaną pewnością siebie. - Gdzie mam dostarczyć ten klejnot?

Chislev od dawna rozważała tę kwestię. - Daj go Lunitari. Ona jest najbliższa światu. Stale ma do czynienia ze śmiertelnikami i ich sprawami. Będzie najlepszym jego powiernikiem.

Reorx zgodził się. Ucałował jej dłoń, potknął się o otomanę, przewrócił filiżankę i z rumieńcem na twarzy natychmiast udał się do kuźni.

Pozbywszy się ciężaru zmartwień, Chislev z ulgą wróciła do swego lasu.

Nie wiadomo, jak Reorx zdołał pochwycić i zamknąć w klejnocie odrobinę Chaosu. Jeśli jednak wziąć pod uwagę przyszłe zdarzenia, najwyraźniej odniósł sukces. Sporządził klejnot, który nazwał „Szarym”, a gdy skończył dzieło, powierzył go Lunitari. Bogini natychmiast pokochała ten drogocenny przedmiot i umieściła go pośrodku czerwonego księżycy. Rzadko spuszczała go z oczu, albowiem klejnot ten miał dziwną moc - sprawiał, że ten, kto na niego spojrzał, pragnął go posiadać.

Na nieszczęście dotyczyło to także jego stwórcy, Reorxa. Po oddaniu klejnotu Lunitari, zaniepokojony bóg przekonał się, że śni o nim każdej nocy. Żałował, że się z nim rozstał. Poszedł do Lunitari i pokornie poprosił o zwrot drogiego kamienia.

Lunitari odmówiła. Jej również klejnot śnił się co noc. Lubiała po przebudzeniu widzieć, jak błyszczy na tarczy czerwonego księżycy.

Reorx złościł się i wściekał, aż wreszcie wpadł na pomysł, jak odzyskać Szary Klejnot. Przybrał postać śmiertelnika i zstąpił pomiędzy stworzoną przez siebie rasę gnomów. Wybrał jednego gnoma, którego wynalazki były najmniej szkodliwe dla życia, zdrowia i majątku i pokazał mu we śnie Szary Klejnot.

Oczywiście gnom zapragnął tego kamienia, jak niczego innego na Krynnie, być może z wyjątkiem wielogłowicowego śrubokrętu na parę. Ponieważ ten był nieosiągalny (projekt utknął w obradach komisji), gnom postanowił zdobyć Szary Klejnot. Jak się do tego zabrał, opisano w wielu

innych podaniach, lecz w przedsięwzięciu tym niezbędna okazała się magiczna drabina, rozmaite przekładnie i bloczki, zaczarowana sieć i odrobina pomocy Reorxa.

Wystarczy powiedzieć, że gnomowi udało się porwanie Szarego Klejnotu i wyniesienie go w magicznej sieci w czasie, gdy Lunitari przebywała na drugiej stronie świata.

- Właśnie tego mi było trzeba - powiedział gnom, podziwiając drogocenny kamień - do napędzania wirującego ostrza mojego kombinowanego przyrządu do siekania pikli i przystrzygania brody. - Gnom właśnie zamierzał umieścić klejnot w swym wynalazku, gdy pojawił się Reorx w postaci innego gнома, żądając zwrotu kamienia.

Dwaj gnomowie pokłócili się, a podczas tej sprzeczki Szary Klejnot wyślizgnął się z sieci i uciekł.

Był to pierwszy znak, że w Szarym Klejnocie kryje się coś, czego ani Reorx, Lunitari, gnom, ani nikt inny nie podejrzewał.

Reorx patrzył ze zdumieniem na szybujący w przestworzach klejnot. Ruszył za nim w pościg (podobnie gnom i niezliczeni jego krewni), lecz nikt nie mógł go dogonić. Szary Klejnot szalał po Krynnie, zostawiając za sobą zamęt. Odmienił zwierzęta i rośliny, wpłynął na zaklęcia czarodziejów i wszystkim porządnie dokuczył.

Wszyscy bogowie wiedzieli już o Szarym Klejnocie. Paladine i Takhisis byli wściekli na Reorxa za to, że stworzył go bez pytania ich o zgodę. Zawstydzona Chislev przyznała się do udziału w intrydze, wskazując na Hiddukela, który wzruszył ramionami i wybuchnął donośnym śmiechem.

Jego plan poskutkował. Szary Klejnot zakłócił i tak już rozchwianą równowagę. Elfowie zamierzali wydać wojnę ludziom, ludzie szykowali się do wojny z elfami, a ogrowie palili się do bitki z każdym.

Przejdźmy jednak szybko do końca tej opowieści. Pewnemu człowiekowi imieniem Gargath udało się schwycić Szary Klejnot. Uwięził go w swym zamku przy pomocy rozmaitych czarnoksiężskich przyrządów. (Przynajmniej tak mu się zdawało. Osobiście jestem zdania, że Szary Klejnot pozwolił się pojmać, bowiem żaden ludzki czar, z jakim się zetknąłem, nie spętałby go na długo.)

Gnomowie, którzy od dziesiątków lat ścigali Szary Klejnot, obiegli zamek Gargatha. Przypadkowo udało im się przedrzeć przez mury. Wpadli na

dziedziniec i chwycili Szary Klejnot w swe chciwe ręce. Część gnomów zaczęła się domagać, by bezzwłocznie rozciąć kamień, bowiem trawiła ich ciekawość, co jest wewnątrz. Druga część gnomów chciała zabrać klejnot do swej siedziby i zamknąć w skarbcu ze względu na jego wartość.

Jaskrawe, szare światło zalało dziedziniec i wszystkich oślepiło. Kiedy ludzie odzyskali wzrok, ujrzeli dwie walczące ze sobą grupy gnomów. Bardziej zdumiewał jednak fakt, że gnomowie nie byli już gnomami. Odmieniła ich moc Szarego Klejnotu, przemieniając tych, którzy pożąдали klejnotu dla jego wartości w krasnoludów, a tych, którzy pragnęli go z ciekawości, w kenderów.

Ci gnomowie, którzy zostali za murami zamku i pracowali nad swym najnowszym wynalazkiem - obracającą się, wielostrzałową kuszą, którą od imienia wynalazcy, Czubka Gatlinga, nazwano kuszą Gatlinga - okazali się niewrażliwi na wpływ magicznego światła Szarego Klejnotu. Przypuszczali, że rzucił je oliwny kandelabr, który miał oświetlać w nocy pole bitwy. Kandelabr ten posłano w niebo balonem napełnionym gazem, który uzyskiwano nową techniką - zbyt skomplikowaną, by tu ją objaśniać - a która wymagała soku cytrynowego, metalowych widełek i wody. Nastąpił wybuch, a ci, którzy go przeżyli, pozostali gnomami.

Szary Klejnot znikł za horyzontem. Reorx i pozostali wiele razy próbowali go łapać. Szary Klejnot pozwala się ludziom chwytać. Posługuje się nimi dla jakiegoś celu - może dla zabawy - a gdy znudzi mu się ta zabawa, uwalnia ich. Wtedy Szary Klejnot „ucieka”.

Teraz posiadamy go my, Irdowie. Jesteśmy pierwszymi, którzy go okiełznali - tak przynajmniej utrzymuje Decydujący. Tej nocy roztrzaska klejnot i rozkaże zamkniętej w nim magicznej sile po wieczne czasy chronić nas i naszą ojczyznę przed najazdem ludzi.

Tak kończył się list do Dalamara, starannie napisany przez Opiego. Na spodzie znajdował się dopisek uczyniony tym samym, lecz mniej zgrabnym charakterem pisma, jakby piszącemu drżała dłoń. Jego adresatką była Usha.

Moja miłość i modlitwa będą ci towarzyszyć, dziecię mego serca, choć nie mego ciała. Módl się za nami.

Usha długo zastanawiała się nad tymi słowami. Niegdyś śmiała się z fragmentów tej historii. Opiekun często ją zabawiał „bajkami o gnomach”, jak je nazywał. Rzadko widziała, żeby się uśmiechał, ale te nieliczne okazje zdarzały się wówczas, gdy opisywał fantastyczną maszynę gnomów. Uśmiechnęła się do swych wspomnień, lecz uśmiech powoli zamarł jej na wargach.

Czyżby tylko jej ludzki umysł dostrzegał niebezpieczeństwo?

Uświadomiła sobie, że nie ona jedna o tym wiedziała. Opi też to dostrzegał. Dlatego dał jej ten zwój. Irdowie byli zdesperowani. Najazd cudzoziemców - nieokrzesanych, barbarzyńskich, cuchnących krwią i stalą - ogromnie ich przeraził. Stanęli w obronie swojego sposobu życia, jaki znali od niezliczonych pokoleń.

Upuściła zwój na kolana. Miała w oczach łzy, lecz nie płakała już z żalu nad sobą. Były to łzy tęsknoty i miłości do tego, który ją wychował. Jak utrzymują elfowie, takie łzy tryskają z innego źródła. Płyną z serca i choć ich przyczyną jest cierpienie, mają dziwną moc łagodzenia bólu.

Wyczerpana, ukołysana chybotliwym ruchem łodzi i szumem wiatru w wantach, Usha płakała, póki nie zmorzył jej sen.

Rozdział V

OŁTARZ I SZARY KLEJNOT. KRASNOLUD PRZYBYWA ZA PÓŹNO. STRZASKANIE KAMIENIA

Irdowie nie zgromadzili się ponownie. Kiedy nadszedł czas, by rozbić Szary Klejnot - pora, gdy na niebie nie można było dostrzec żadnego z księżyców, a szczególnie Lunitari, która wedle legendy wciąż go pożyła - Decydujący sam podszedł do ołtarza, na którym spoczywał kamień.

Reszta Irdów pozostała w domach. Każdy z nich rzucał czary, które miały dopomóc Decydującemu. Według Irdów bowiem to samotność jest źródłem siły. Kiedy jedność staje się wielością, nie ma skupienia, a energia się rozprasza.

Ołtarz, na którym Irdowie umieścili kamień, stał w geograficznym środku wyspy. Znajdował się w pewnej odległości od tego, co dla Irdów było osadą, a dla każdej innej rasy zaledwie zbiorowiskiem rzadko rozmieszczonych domów. Irdowie nie brukowali ulic, nie otwierali targów, nie uczęszczali na posiedzenia cechów. Nie budowali świątyń ani pałaców, oberży ani gospody, niczego oprócz rozrzuconych przypadkowo po wyspie domów, zbudowanych w najdogodniejszych dla właścicieli miejscach.

Ołtarz zrobiono z polerowanego drewna, pokrytego zawilými, tajemnymi symbolami. Postawiono go na polanie otoczonej siedmioma gigantycznymi sosnami, które zostały magicznie przetransportowane na wyspę z tajnego miejsca na Ansalonie.

Drzewa były wiekowe. Mogły nawet widzieć przelot Szarego Klejnotu, gdy po raz pierwszy wymknął się on z rąk Reorxa. Odnosiło się wrażenie, że sosny zamierzają nie dopuścić do kolejnej ucieczki kamienia. Ich gałęzie splotły się i zrosły, tworząc litą barierę z kory, igliwia, konarów i gałązek, przez którą nawet bóg przedarłby się z trudem.

Decydujący zatrzymał się przed kępą siedmiu sosen i poprosił o

błogosławieństwo siedem duchów zamieszkujących drzewa.

Sosny pozwoliły Decydującemu wejść na polanę i zwały szeregi, gdy tylko znalazł się w środku. Nad jego głową zwieszały się masywne konary. Kiedy Irda spojrział w górę, nie ujrzał ani jednej gwiazdy, a co dopiero konstelacji. Nie widział Takhisis ani Paladine'a. A skoro on ich nie dostrzegł, łudził się nadzieją, że dla nich też jest niewidoczny. Sklepienie z igliwia świętych sosen miało zasłonić Decydującego i Szary Klejnot przed oczami ciekawskich.

Gdyby nie poświęta samego Szarego Klejnotu, w gąszczu panowałby nieprzenikniony mrok, choć kamień świecił blaskiem wątłym, posępnym i ledwo widocznym.

Zupełnie jakby się dąsał, pomyślał Decydujący.

Klejnot rzucał jednak dość światła, by umożliwić widzenie. Co prawda, Irda nie potrzebował jego blasku. Gdyby chciał, mógłby posłużyć się czarami i w zagajniku stałoby się jasno jak w dzień, lecz wolał nie zwracać na siebie uwagi. Któryś z nieśmiertelnych mógłby dostrzec tę magiczną poświętę i zainteresować się, co się tam dzieje. Irda wdzięczny był więc Szaremu Klejnotowi za pomoc.

Decydujący stanął w skupieniu przed ołtarzem. Rozkoszował się swym odosobnieniem i samotnością, którą jego lud tak bardzo cenił. Jednocześnie odczuwał przepelniającą go siłę umysłu i dusz swych rodaków. Schylił głowę i zaczerpnął tej energii. Następnie wziął Szary Klejnot w dłonie, przyglądając się mu uważnie.

Kamień nie był miły w dotyku. Kanciasty i gładki, ciepły i zimny jednocześnie, zdawał się wyslizgiwać z rąk. Kiedy Decydujący go trzymał, szara poświęta zaczęła pulsować coraz silniej się, aż wreszcie blask raził go w oczy. Wzmocnił psychiczną kontrolę nad Szarym Klejnotem i światło przygasło, jakby spokorniało. Irda pogładził klejnot, muskając jego gładkie ścianki i wodząc uważnie palcami po ostrych krawędziach. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Odkrył to, kiedy tylko wziął kamień do ręki i wtedy właśnie przyszedł mu do głowy ten pomysł.

Była to skaza. Dokładniej mówiąc, okluzja. Wyczuł ją, zanim jeszcze zobaczył. Najwyraźniej jakaś odrobina obcej materii ugrzęzła wewnątrz Szarego Klejnotu podczas jego formowania, zupełnie jak owady, które czasami znajdowano w bursztynie. Zapewne stało się tak w trakcie ochładzania klejnotu, gdy w skomplikowanym procesie krystalizacji zaczęły się wytrącać minerały. Przynajmniej takie wnioski wysnuł Decydujący. Obca substancja nie była jednak istotna. Ważne było istnienie słabego punktu. W tym miejscu utworzą się rysy. Decydujący odłożył

kamień na ołtarz. Tajemne symbole wyryte w drewnie uwięziły Szary Klejnot swą czarodziejską mocą.

Podczas wzmocniania zaklęcia Decydujący odniósł dziwne wrażenie, że magia nie była tu potrzebna, a Szary Klejnot spoczywa na ołtarzu tylko dlatego, że tego pragnie, a nie dlatego, że musi.

Nie było to szczególnie pocieszające. To Decydujący miał panować nad klejnotem, a nie odwrotnie. Wzmocnił siłę zaklęcia.

Drogocenny kamień otaczała teraz skrząca sieć energii współdziałających Irdów. Decydujący wziął do ręki dwa narzędzia - młotek i dłuto. Oba wykonano ze srebra i wykuto przy blasku srebrnego księżyca, Solinari. Oba też obłożono czarami. Decydujący przyłożył czubek dłuta do skazy w klejnocie. Starannie umieścił narzędzie, chwycił je mocno i wznosił nad nim młotek.

Myśli wszystkich Irdów zbiegły się w jedno i spłynęły na Decydującego, obdarzając go siłą i potęgą.

Decydujący z całych sił uderzył młotkiem w dłuto.

*

Kilkanaście staj od osady Irdów i ołtarza, na plaży, wylądowała łódź. Nie przyplęnęła zwyczajnie morzem. Spłynęła z niebios, z czerwonej gwiazdy - jedynej czerwonej gwiazdy na nieboskłonie. Krasnolud o gęstej, kędzierzawej, czarnej brodzie i takich samych włosach zasiadał za jej sterem - rzecz niesłychana, gdyby ktoś patrzył, żaden bowiem jeszcze krasnolud żyjący na Ansalonie czy w innej części Krynnu nie przyplęnął łodzią z gwiazd. Irdowie jednakże nie patrzyli. Zamknęli oczy i skupili myśli na Szarym Klejnocie.

Burcząc coś i mrużąc do siebie, krasnolud wygramolił się z łódki i natychmiast ugrzązał po kostki w ruchomych piaskach. Zaklął i poczłapał w stronę lasu.

- Więc to są ci złodzieje - mruczał pod nosem. - Mogłem się domyśleć. Nikt inny nie potrafiłby tak długo ukrywać przede mną mojego skarbu. Odbiorę go jednak. Co mi tam Paladine! Klnę się na mą brodę, że mi go zwrócą, albo nie nazywam się Reorx!

Wśród nocnej ciszy rozszedł się brzęk przypominający uderzenie metalu o metal.

Reorx zatrzymał się i nadstawił uszu. - Dziwne. Nie wiedziałem, że Irdowie uprawiają piękną sztukę obróbki metalu. - Poglądził się po brodzie. - Być może, nie doceniłem ich.

I znów coś zadzwoniło. Tak, to był z pewnością odgłos młotka. Brak mu było

jednak głębokiego tonu żelaznego młota. Nawet krasnolud nie mógł wmówić sobie, że Irdowie nagle zainteresowali się wytwarzaniem podków i gwoździ. Prędej obróbką srebra. Tak, taki dźwięk wydaje srebro.

Więc robią imbryki albo piękne puchary. Może biżuterię. Krasnoludowi błysnęły oczy. Praca z błyszczącymi klejnotami, oprawianie ich w metal...

Klejnoty.

Jeden klejnot. Uderzenie młotem...

Strach zdjął Reorxa; strach, jakiego nie zaznał na tej płaszczyźnie istnienia. Spróbował przeniknąć ciemność wzrokiem. Bóg miał bystre oczy. W pogodną noc potrafił dostrzec stalową monetę, którą przez nieuwagę upuszczono na ulicę miasteczka na kontynencie pod odległą gwiazdą. Nie mógł jednakże przeniknąć mroku w gąszczu sosen. Coś zasłaniało mu widok.

Roztrzęsiony krasnolud szedł chwiejnym krokiem, czując, jak strach go ściska swymi zimnymi, spoconymi dłońmi. Niejasno przedstawiał sobie to, czego się obawia, lecz lęk ten wzmagają pewne podejrzenia, które od stuleci nie dawały mu spokoju. Nigdy się do tych podejrzeń nie przyznał i nie przyglądał się im z bliska, albowiem ewentualność ich potwierdzenia przerażała go. Oczywiście nigdy nie zdradził się z tym przed żadnym ze swych nieśmiertelnych towarzyszy.

Reorx zastanowił się nad wezwaniem pomocy Paladine'a, Takhisis albo Gileana, lecz musiałby wtedy im wyjaśnić, co zrobił, a zawsze istniała szansa powstrzymania szaleństwa Irdów. Nikt by się wtedy o niczym nie dowiedział.

Zawsze istniało też prawdopodobieństwo, że się myli i niepotrzebnie zamartwia.

Krasnolud przyspieszył kroku. Już widział błysk szarego światła.

- Nie ukryjesz się przede mną długo! - Wykrzyknął i ruszył przed siebie.

Nie spuszczać blasku z oczu, Reorx pędził, nie patrząc pod nogi. Biegł na oślep przez krzaki, potykał się o wystające korzenie drzew i ślizgał na mokrej trawie. Tupał, sapał i robił tyle zgiełku, co pułk wojska. Hałas wyrwał ze skupienia Irdów, którzy myśleli, że to rzeczywiście wojsko - wracający rycerze w czarnych zbrojach. Przerazili się i wpadli w jeszcze większą desperację. Nakazali Decydującemu, by się pospieszył.

Krasnolud dotarł do kępy sosen. Z jej środka tryskało szare światło; widział, jak posępnie prześwieca przez splecione gałęzie. Reorx szukał wejścia, lecz sosny stały ciasno jak żołnierze w bojowym szyku, którzy zasłaniając się tarczami przed

natarciem wroga, tworzą lity mur. Nie chciały wpuścić nawet boga. Sapiąc i klnąc ze złości, bezsilny już Reorx biegał dookoła, pragnąc dostać się do środka.

Srebrzysty brzęk stawał się coraz bardziej intensywny. Przy każdym uderzeniu szary blask odrobinę gasł, by potem jeszcze mocniej zajaśnieć.

Reorx był pewien, że wie, co się dzieje, a wraz z tą pewnością wzrosło jego przerażenie. Próbował zawołać do Irdów, by przestali, lecz brzęk młota zagłuszał jego słowa. Wreszcie zrezygnował z krzyków i biegania.

Zdyszany, zlany potem kapiącym mu z brody i włosów, wskazał na dwie największe sosny i zagrział jak wichur: - Przysięgam na czerwony blask mej kuźni, że spalę wam korzenie, zasuszę gałęzie i naślę robaki, żeby wam zjadły nasiona, jeśli mnie nie przepuścicie!

Drzewa zadygotały. Zaskrzypiały konary. Na rozwścieczonego krasnoluda posypało się zewsząd igliwie. Pojawił się otwór, zaledwie taki, by mógł nim się prześlizgnąć.

Pękaty bóg wciągnął brzuch, wsunął się między pnie i tak długo szarpał i przeciskał, aż wreszcie sapnął i wypadł na drugą stronę. Właśnie w tej samej chwili, gdy bóg znalazł się na polance, mrużąc oczy przed coraz ostrzejszym światłem, Decydujący uderzył w dłuto po raz siódmy.

Ciszę nocy rozdarł taki trzask, jakby rozstąpiła się ziemia. Szare światło klejnotu rozbłysło, oślepiając. Reorx, przyzwyczajony do patrzenia w ogień swego paleniska, które płonie na niebie jako czerwona gwiazda, nie mógł znieść takiej jasności i zmuszony był zamknąć oczy. Decydujący wrzasnął i chwycił się za głowę. Jęcząc z bólu, osunął się na ziemię. Ołtarz, na którym spoczywał klejnot, roztrzaskał się.

Wtedy zgasło światło.

Krasnolud zaryzykował i otworzył oczy.

Na ołtarzu, gdzie leżał Szary Klejnot, zalegała teraz ciemność. Nie była to zwykła ciemność, lecz straszliwa i złowieszcza.

Reorx poznał tę ciemność; z niej się narodził.

W panice chciał podejść z jakimś szaleńczym zamiarem naprawienia szkody, lecz buty ciążyły mu bardziej niż cały świat, który kiedyś stworzył. Spróbował ostrzec krzykiem innych bogów, lecz język miał jak z żelaza, całkiem nieruchomy. Był zupełnie bezradny. Mógł tylko, bezsilny, wydierać sobie brodę ze złości i czekać na to, co miało nastąpić.

Ciemność zaczęła gęstnieć, nabierać kształtu i formy. Przybrała postać

śmiertelnego człowieka, nie w geście hołdu - jak czynią bogowie, gdy przyjmują ludzką powłokę - lecz okrutnego szyderstwa. Stała się rozdętym do ogromnych rozmiarów mężczyzną. Olbrzym wyłonił się z mroku i rósł bez przerwy, dopóki nie stał się wyższy od sosen.

Obleczony był w zbroję z płynnego metalu. Włosy i brodę miał z trzaskających płomieni, a oczy były mrocznymi jamami, w których płonęła wściekłość.

Reorx z drzeniem padł na kolana.

- Ojciec! - Wyszeptał ze strachem.

Olbrzym ryknął zwycięsko. Rozprostował ramiona i przedarł się przez gąszcz sosnowych gałęzi, jakby były słomkami. Czubkami palców sięgnął chmur i rozdarł je na strzępy. Gwiazdy i konstelacje rozbłysły z przerażenia.

- Wolny! Wreszcie uwolniony z tego nędznego więzienia! Ach, moje kochane dzieci! - Olbrzym rozpostarł szeroko ramiona i spojrzał na gwiazdy, które przed nim zadrżały. - Przyszedłem do was z wizytą! To tak witacie swojego ojca? Zaśmiał się w głos.

Reorx był przerażony jak jeszcze nigdy, lecz strach nie odebrał mu rozumu. Gdy olbrzym skupił uwagę na niebiosach, krasnolud zdobył się na wielką odwagę i podpełzł na czworakach do strzaskanego ołtarza.

Wśród jego resztek leżał rozłupany na połowy Szary Klejnot, a obok Irda, który go rozbił. Reorx dotknął mężczyzny, szukając tętna. Śmiertelnik żył jeszcze, lecz był nieprzytomny.

Reorx nie mógł żadnym sposobem ocalić Irdy. Będzie miał szczęście, jeśli sam ujdzie z życiem. Coś trzeba było zrobić, by zapobiec katastrofie, lecz nie miał pojęcia, co. Szybko chwycił obie połówki Szarego Klejnotu, wsunął je pod zniszczony ołtarz i nakrył kawałkami drewna. Potem czmychnął najdalej jak mógł od ołtarza.

Olbrzym wyczuł ruch, spuścił głowę i dostrzegł krasnoluda, który usiłował wkopać się między korzenie sosen.

- Chcesz mi uciec, Reorxie? Ty nędzny, niewdzięczny, boski pokurczu!

Olbrzym nachylił się nad drżącym ze strachu krasnoludem. Węgielki z brody wielkoluda spadły między sosny. Znad wysuszonego na ziemi igliwia zaczęły unosić się smużki dymu.

- Myślałeś, że jesteś taki sprytny, że udało ci się mnie uwięzić, co, robaku?

Reorx posłał nerwowe spojrzenie w górę. - Tak... Tak się składa, czcigodny Ojcze Wszystkiego...

- Ojciec Wszystkiego i Niczego - poprawił olbrzym z naciskiem na ostatnie słowo.

Reorx był wstrząśnięty, lecz zdołał wyjąkać - To... To był czysty przypadek. Tworzyłem właśnie klejnot, zamierzając uwięzić w nim malusieńki kawałeczek Chaosu, gdy - sam nie wiem, jak to się stało - zdaje się, że w końcu uwięziłem całego Ciebie.

- A dlaczego mnie od razu nie wypuściłeś?

Żar gniewu Ojca buchał na krasnoluda, który zakaszlał od gęstniejącego dymu.

- Zrobiłbym to! - Wysapał Reorx z rozpaczliwą szczerością. - Wierz mi, Ojciec Wszystkiego i Niczego, że natychmiast bym cię wypuścił, gdybym tylko wiedział, co uczyniłem. Ale nie wiedziałem. Przysięgam! Naprawdę...

- Głupiec! - Trawa rosnąca wokół krasnoluda zajęła się ogniem od wściekłości Ojca. - Ty i moje niewdzięczne dzieci uknuliście spisek, by mnie uwięzić. Miałbym być więźniem jednego nędznego boga? Musieliście wszyscy złączyć siły, by mnie trzymać w niewoli. Choć pojмалиście mnie, nie mogliście jednak nade mną zapanować. Uczyniłem dość szkód waszym cennym zabawkom. Przez cały ten czas nie ustawałem w poszukiwaniach jednej z waszych marionetek, którą można będzie tak omamić, by zwróciła mi wolność. I wreszcie ją znalazłem.

Olbrzym rzucił okiem na Decydującego. Od niechcienia postawił na ciele mężczyzny ogromną, obutą stopę i nacisnął, miażdżąc go i wgniatając w ziemię. Trzasnęły kości. Spod olbrzymiego, ciężkiego buta pociekła krew.

Reorx, czując mdłości, odwrócił głowę. Domyślał się wyraźnie, że następny będzie on.

Olbrzym wiedział, o czym myśli krasnolud. Ojciec spuścił wzrok i posłał Reorxowi przeciągłe, posępne spojrzenie, rozkoszując się widokiem dygoczącego boga.

- Tak, mógłbym cię też rozgnieść, lecz nie uczynię tego teraz. Jeszcze nie teraz. - Ojciec ponownie wzniosł oczy ku niebu i pogroził pięścią gwiazdom. - Nie chcieliście mi oddawać czci. Nie chcieliście słuchać mych rad. Poszliście własną drogą i „stworzyliście” świat, zapelniając go lalkami i marionetkami. Tak, moje dzieci, jak dałem wam życie, mogę je wam odebrać. Jestem teraz słaby, zmuszony bowiem byłem przyjąć postać śmiertelnika, lecz moja siła rośnie z każdą sekundą. Kiedy będę gotowy, zniszczę wasze cacko, a potem zepchnę was i wasze dzieło z powrotem w nicość, z której powstaliście. Strzeżcie się, dzieci. Ojciec Wszystkiego i Niczego

powrócił.

Ojciec ponownie zwrócił się do krasnoluda. - Będziesz moim posłańcem. Na wypadek, gdyby moje dzieci mnie nie usłyszały, pójdziesz do nich i ostrzeżesz je przed czekającą je zgubą. Z rozkoszą popatrzę, jak teraz one próbują uciec przede mną! I pokaż im to!

Ojciec wyrwał pasemko płomieni z brody i rzucił je między sosny. Najpierw jedna, a potem druga stanęła w ogniu. Wciąż żywe drzewa wiły się z bólu, trawione straszliwą pożogą.

Reorx klęczał wśród dymu i popiołu, nie mogąc powstrzymać ognia, który szybko przerzucił się z sosen na inne drzewa w suchym jak pieprz lesie. Płomienie przeskakiwały z drzewa na drzewo i ze skwierczeniem pełzyły po ziemi. Spaliły nawet powietrze, po którym została tylko rozżarzona pustka. Pożar wywołał wiatr, który z hukiem pędził ogień przed sobą.

W ciągu kilku chwil pożar dotarł do osady Irdów.

Wśród huku wichru i trzasku płomieni Reorx słyszał krzyki konających. Zasłoniwszy twarz rękoma, bóg płakał... Nad Irdami, nad całym światem.

*

Oślupiały Opiekun siedział nieruchomo w swym domu. Wiedział - podobnie jak wszyscy Irdowie - że Decydujący nie żyje. Usłyszeli donośny grzmot, który przypominał słowa, lecz słowa zbyt olbrzymie, zbyt potworne, by dało się jej zrozumieć.

Wtedy Opiekun wyjrzał przez okno i zobaczył czerwoną poświatę pożaru. Usłyszał krzyk umierających sosen.

Łuna była coraz jaśniejsza. Czuł już gorąco. Na dom posypały się węgielki i wkrótce dach stanął w ogniu. Irda spojrział przez okno, nie wiedząc, co robić, czy w ogóle podejmować jakiegokolwiek działania.

Pokazało się kilku starszych Irdów, którzy próbowali powstrzymać pożar czarami. Sprowadzili ulewę - deszcz wyparował. Sprowadzili zamieć - lód roztopił się i znikł z sykiem. Sprowadzili wichur - powiał w niewłaściwym kierunku i tylko rozniecił ogień. Opiekun patrzył, jak Irdowie, jeden po drugim, giną w płomieniach.

Sąsiadka mieszkająca obok wybiegła z płonącego domu. Krzyczała coś o oceanie. Jeśli dotrą do morza, ocaleją.

Biegnące po trawie płomienie, złapały rąbek spódnicy kobiety jak rozbawione, śmiertelnie groźne dziecko. Strój kobiety stanął w ogniu, a ona sama stała się żywą

poходnią.

Dach domu Opiekuna płonął już na dobre. Gdzieś z zaplecza dobiegł trzask spadającej belki. Opiekun zakaszłał, dusząc się. Póki jeszcze mógł coś zobaczyć w dymie, przetrząsnął dom, aż znalazł cenny przedmiot.

Trzymał lalkę przyciśniętą do piersi i czekał - niedługo - na koniec.

*

Daleko na morzu łódź żaglowa zaczęła przechylać się i skakać na falach w gorącym północnym wietrze. Ten nietypowy ruch - odmienny od łagodnego kołysania, które uspiło Ushę - zbudził ją z mocnego snu. Z początku miała mętlik w głowie i nie mogła przypomnieć sobie, gdzie jest. Widok żagli i masztów, które wskazywały niebiosa i gromady gwiazd, dodał jej otuchy.

Kiedy usłyszała grzmot, usiadła i spojrzała w ciemne niebo z obawą, czy nie idzie burza. Nie martwiła się, że łódź się wywróci; magia Irdów nie pozwoli jej zatonać, nawet przy najsilniejszej wichurze.

Na północy, gdzie leżała jej ojczyzna, błysnął piorun. Dziewczyna przyjrzała mu się, a po chwili ujrzała upiorną, czerwoną lunę, która rozjaśniła niebo. Zapewne to Decydujący rzuca czary.

Usha nie mogła ponownie usnąć. Siedziała skulona przy sterze i patrzyła, jak czerwony blask się wzmaga. Potem zauważyła, że luna przygasa i maleje.

Usha uśmiechnęła się. Czary musiały być bardzo potężne i z pewnością odniosły skutek.

- Teraz będziesz bezpieczny, Opiekunie - szepnęła.

W tej samej chwili usłyszała czysty, miły dźwięk trąbki, unoszący się nad wodą. Usha odwróciła się.

Słońce już wstawało, przypominając czerwone, ogniste oko, które patrzy z nienawiścią na świat. Skąpane w tym dziwnym świetle iglice Palanthas połyskiwały krwawą czerwienią.

Księga druga

Rozdział I

CZCIGODNI ZMARLI. JEDYNY JENIEC.

NIEUCHRONNE SPOTKANIE

Zwłoki rycerzy solamnijskich ułożono rzędem na piaszczystym brzegu zatoki Thoradin. Nie było ich wielu, zaledwie osiemnastu. Zostali wybici co do nogi. Giermkowie leżeli w rzędzie za nimi. Oni również wszyscy zginęli. Prócz wrogów nie było nikogo, kto zająłby się poległymi.

Gorący wiatr dmuchał wśród wysokich traw na piasku, szarpiąc za porwane i splamione krwią opończe, którymi przykryto trupy.

Starszy rangą rycerz nadzorował pracę oddziału zajmującego się pochówkiem.

- Walczyli dzielnie. - Wygłosił nad poległymi rycerzami mowę pogrzebową. - Mniej liczni od wroga i zaskoczeni mogli zawrócić i nikt by się nie dowiedział o ich ucieczce. Mimo to nie cofnęli się nawet wtedy, gdy już wiedzieli, że czeka ich pewna klęska. Lord Ariakan polecił nam pochować ich z całym szacunkiem. Ułóżcie każdego rycerza godnie z orężem u boku. Grunt jest zbyt bagnisty, by zakopać ciała, ale podobno znaleziono w pobliżu grotę. Złożymy je tam, zamurujemy wejście i zostawimy znak, że spoczywają w niej mężni rycerze. Czy obejrzelście zabitych? Rycerzu Brightblade, czy możemy jakoś ustalić ich imiona?

- Jedna osoba uszła z życiem, panie podkomendancie - zameldował rycerz, salutując przełożonemu.

- Doprawdy? Nie wiedziałem o tym.

- To mag Białych Szat. Pojmano go pod sam koniec.

- No tak, oczywiście. - Podkomendant nie był zaskoczony. Magowie walczyli na tyłach wojsk, rzucając czary z bezpiecznego miejsca, bowiem wymogi sztuki zabraniały im noszenia zbroi i bardziej konwencjonalnej broni. - To dziwne, że rycerze solamnijscy korzystali z usług czarodzieja. Za dawnych czasów byłoby to nie do pomyślenia. Cóż, czasy się zmieniają. Ten mag pewnie zna imiona poległych. Każcie go sprowadzić. Niech zidentyfikuje zabitych, abyśmy mogli oddać im honory podczas

pogrzebu. Gdzie jest teraz?

- Zatrzymali go Szarzy Rycerze, panie podkomendancie.

- Idźcie po niego, Brightblade.

- Tak jest, panie podkomendancie.

Rycerz wyszedł wypełnić polecenie. Nie było to łatwe zadanie. Pole walki na szczycie nadmorskiego urwiska było w tej chwili jedynym spokojnym miejscem na południowym wybrzeżu zatoki Thoradin. Na rozległym pasie czarnego piasku tłoczno było od ludzi i sprzętu. Brzeg plaży zapełniały szalupy ocierające się o siebie burtami, a z każdą chwilą przybijały kolejne. Barbarzyńcy pod dowództwem czarnych rycerzy wyładowywali sterty ekwipunku i prowiantu - począwszy od ciężkich zwojów lin do baryłek z wodą, od kołczanów ze strzałami po olbrzymie tarcze z wizerunkiem lilii śmierci, znakiem rycerzy Takhisis.

Właśnie przywożono na brzeg konie. Stajenni nie oddalali się od zwierząt, łagodząc ich przerażenie obietnicą, że długa podróż wkrótce się skończy. Niebiosa patrolowały niebieskie smoki z rycerzami na grzbietach, choć lord Ariakan nie lękał się za bardzo przeszkód w lądowaniu. Zwiadowcy donieśli o ucieczce garstki ludności zamieszkującej pobliską rybacką wioskę na wschód od Kalamanu.

Bez wątpienia doniosą o jego przybyciu, lecz zanim przeciwnik zdoła zebrać i wysłać jakiś większy oddział, jego już tu nie będzie. Po zdobyciu przyczółka zamierzał szybko pomaszerować na zachód i zdobyć dalekomorski port Kalaman. Kiedy Kalaman padnie, będzie mógł wezwać resztę swych wojsk z Twierdzy Burz, nie zdobytej fortecy rycerzy na Oceanie Turbidus. Mając w rękach dalekomorski port dla swych okrętów, zgromadzi wojska i skieruje główne natarcie w górę rzeki Vingaard, do samego serca Równiny Solamnijskiej.

Zamierzał zająć jedyną, nie zdobytą przez wroga twierdzę na Krynnie, fortecę, w której spędził długie lata niewoli. Oczywiście traktowano go z szacunkiem, lecz mimo wszystko nie przestawał być więźniem. Ariakan pragnął podbić to jedyne miejsce, które śniło mu się co noc. Nie miał też wątpiwości, że uda mu się osiągnąć cel. Tam odkrył tajemnicę siły zakonu rycerzy. Tajemnicę ich słabości już znał. Celem lorda Ariakana była Wieża Najwyższego Klerysta. A wraz z nią - cały świat.

Brightblade przepychał się wśród ciżby. Prawie ogluchł od krzyków oficerów, przekleństw i sapania dzikusów dźwigających ciężkie paki, rżenia przerażonych koni oraz dobiegającego co jakiś czas z góry przenikliwego wrzasku niebieskiego smoka wołającego swego towarzysza.

Poranne słońce przypiekało; panujący upał już był dotkliwy, a to dopiero początek lata. Po zakończeniu bitwy rycerz zdjął część zbroi, lecz nadal miał na sobie kirys i naramienniki. Wizerunek lilii śmierci oznaczał, że należał do rycerzy Lilii. Jako smoczy jeździec nie brał udziału w bitwie, którą stoczono na ziemi. Po zakończeniu walk jego szponowi przydzielono obowiązek zajęcia się poległymi po obu stronach i mimo iż był zastępcą dowódcy, został gońcem.

Brightblade nie czuł się jednak tym dotknięty, podobnie jak jego przełożonego nie oburzyło polecenie nadzorowania grabarzy. Służenie Królowej Ciemności w rozmaity sposób i w każdej roli, przysparzanie jej chwały, stanowiło część regulaminu rycerzy Takhisis.

Idąc plażą, Brightblade zatrzymał się i zapytał o sztab Szarych Rycerzy, rycerzy Ciernia. Z ulgą dowiedział się, że schronili się w zagajniku.

- Mogłem się domyśleć - powiedział do siebie z lekkim uśmiechem. - Jeszcze nie widziałem czarodzieja, któremu nie zależałoby na wygodzie.

Brightblade opuścił tłoczną, gorącą i głośną plażę i zapuścił się w stosunkowo chłodny cień drzew. Hałas i skwar zmalowały. Rycerz zatrzymał się na chwilę, by rozkoszować się chłodem i ciszą, a potem znów ruszył w drogę. Chciał czym prędzej wykonać polecenie i oddalić się z tego miejsca, nie zważając na jego kuszący chłód. Zaczynał doświadczać typowego uczucia lęku i niepokoju, którego doznają osoby nie obdarzone siłami magicznymi przebywające w towarzystwie ludzi tak uzdolnionych.

Rycerzy Ciernia zastał w oddalonym od plaży lasku wysokich sosen. Na ziemi stało kilka wielkich drewnianych kufrów rzeźbionych w skomplikowane, tajemne symbole. Ich zawartość porządkowali uczniowie, zaznaczając każdy przedmiot na kartach pergaminu. Rycerz ominął skrzynie z daleka. Zapach bijący od nich przyprawiał o mdłości. Brightblade zastanawiał się, jak uczniowie mogli go znieść. Przypuszczał, że po jakimś czasie musieli się po prostu przyzwyczaić. Rycerze Ciernia zawsze zabierali ze sobą ekwipunek.

Brightblade skrzywił się, czując wyjątkowo wstrętną woń dochodzącą z jednej ze skrzyń. Kątem oka zobaczył w środku rozkładające się i budzące obrzydzenie rzeczy, których pochodzenia lepiej było nie ustalać. Odwrócił się ze wstrętem i zajął szukaniem tego, po co przybył. W cieniu drzew mignęła mu błyszcząca w promieniach słońca plama bieli, którą częściowo przesłaniała szarość. Brightblade zwykle nie fantazjował, lecz ten widok przypomniawszy mu białe, barankowe obłoki, które doścignęła szara burza. Wziął to za dobry znak. Nieśmiało zbliżył się do głowy zakonu - potężnej

czarodziejki w wysokiej randze, Pani Nocy.

- Pani, melduje się rycerz Steel Brightblade. - Zasalutował. - Przysłała mnie podkomendant Trevalin z prośbą o przekazanie mu pani jeńca, maga Białych Szat. Lord Trevalin pragnie, by jeniec dokonał identyfikacji ciał poległych w celu wyprawienia im pogrzebu z honorami. Chciałby również - dodał cicho, aby go nie podsłuchano - by potwierdził liczbę ofiar.

Trevalin chętnie dowiedziałby się, czy nie uciekł jakiś rycerz solamnijski, który mógłby urządzić zasadzkę, łudząc się, że zabije przywódcę.

Pani Nocy, do której adresowane były te słowa, nie odpowiedziała na salut rycerza, ani też nie wyglądała na ucieszoną z jego prośby. Lilith, kobieta już niemłoda - być może około pięćdziesiątki - niegdyś należała do bractwa Czarnych Szat, lecz zmieniła strony, gdy tylko nadarzyła się okazja. Jako rycerz Ciernia była renegatem w oczach innych czarodziejów na Ansalonie, łącznie z tymi, którzy nosili czarne szaty. Niektórych może to dziwić, oba zakony służyły bowiem tej samej Królowej Ciemności. Jednakże Czarne Szaty najpierw były poddane Nuitari, bogowi czarnej magii, a dopiero na drugim miejscu jego matce, Królowej Takhisis. Dla rycerzy Ciernia Królowa Ciemności była pierwszą i jedyną panią.

Pani Nocy przyjrzała się bacznie Steelowi Brightblade. - Dlaczego Trevalin przysłał właśnie was?

- Pani - odparł Brightblade, starając się nie okazać irytacji, wywołanej tym nieproszonym przesłuchaniem. - Tylko ja byłem w tym czasie wolny.

Pani Nocy zmarszczyła czoło, a ciemna bruzda między jej brwiami pogłębiła się jeszcze bardziej. - Wróćcie do podkomendanta Trevalina. Powiedzcie mu, żeby przysłał kogoś innego.

Brightblade wzruszył ramionami. - Proszę o wybaczenie, pani, ale wykonuję rozkazy podkomendanta Trevalina. Jeśli życzy pani sobie, by je zmienił, należy udać się z tym do niego osobiście. Pozostanę tu tak długo, aż porozmawia pani z moim dowódcą.

Pani Nocy sposepniała jeszcze bardziej, lecz nie mogła wybrnąć z matni regulaminu. Aby zmienić rozkazy Steela, musiałaby wysłać jednego ze swych uczniów z powrotem na plażę, by porozmawiał z Trevalinem. Wyprawa zapewne i tak nie przyniosłaby skutków, jako że Trevalinowi brakowało ludzi. Nie przysłałby następnego rycerza do zrobienia tego, co ten mógł uczynić bez wysiłku.

- Taka musi być wola Jej Mrocznego Majestatu - mruknęła Pani Nocy, mierząc

Steela przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu. - Niech tak będzie. Jestem posłuszna jej wyrokom. Mag, którego szukacie, jest tam.

Steel nie miał pojęcia, czego miała dotyczyć ta dziwna rozmowa i nie zamierzał pytać.

- Do czego Trevalinowi potrzebny ten mag? - Zapytała Pani Nocy.

Steel zdobył się na cierpliwość i powtórzył jeszcze raz. - Chce, by zidentyfikował zabitych. Ten czarodziej Białych Szat jest jedyną osobą, która ocalała.

Słyszac te słowa, jeniec uniósł głowę. Zbladł i zrobił się prawie tak biały na twarzy, jak włoki ułożone na piasku. Czarodziej zerwał się na równe nogi, ku zaskoczeniu tych, którzy mieli go pilnować.

- Nie wszyscy! - Wykrzyknął zrozpaczonym głosem. - Chyba nie wszyscy!

Steel Brightblade odpowiedział salutem pełnym szacunku i godności, zgodnie z tym, czego go nauczono. *Traktuj z szacunkiem wszystkie utytułowane, wykształcone i zajmujące stanowiska osoby, nawet jeśli są wrogami. Szczególnie jeśli są wrogami. Zawsze szanuj przeciwnika; w ten sposób nigdy nie pomylisz się w ocenie jego sił.*

- Tak przypuszczamy, panie magu, choć nie możemy być pewni. Zamierzamy pochować poległych z honorami i zapisać ich imiona na grobie. Jesteś jedynym, który może ich rozpoznać.

- Zaprowadź mnie do nich - zażądał młody czarodziej.

Na twarzy miał gorączkowy rumieniec, a szaty splamione krwią, zapewne także i swoją. Jedna jego skroń była mocno posiniaczona i rozcięta. Torby i sakwy odebrano mu i położono na uboczu. Przeszuka je jakiś nieszczęsny uczeń, narażając się na poparzenie - albo coś gorszego - przez czarodziejskie przedmioty, które służyć miały tylko magowi Białych Szat.

Z takich przedmiotów Szarzy Rycerze nie mogliby skorzystać bezpośrednio, bo choć rycerze Ciernia potrafią czerpać moc z wszystkich trzech księżyców - białego, czarnego i czerwonego - każdy rodzaj magii rozpozna bratnią duszę, a na obecność osoby o odmiennym usposobieniu często reaguje gwałtownie. Być może rycerz Ciernia mógłby posłużyć się artefaktem poświęconym Solinari, lecz mogłoby to nastąpić dopiero po długich godzinach bardzo uważnych i pilnych studiów. Składniki zaklęć i inne rzeczy zabrane magowi Białych Szat zostaną przekazane do zbadania, a następnie te, których nie da się bezpiecznie dotknąć, wymieni się na czarnoksiężskie przedmioty więcej warte i mniej groźne dla rycerzy Ciernia.

Brightblade zauważył jednak, że czarodziej Białych Szat zatrzymał laskę. Jej drzewce zakończone było srebrną, smoczą łapą, która trzymała w szponach kryształ o licznych fasetach. Rycerz znał się wystarczająco dobrze na sprawach czarnoksiężkich, by wiedzieć, że laska niewątpliwie jest magiczna i zapewne bardzo wartościowa. Zastanawiał się, czemu pozwolono czarodziejowi ją zatrzymać.

- Mag może iść - oznajmiła niechętnie Pani Nocy. - Ale tylko pod warunkiem, że będę mogła mu towarzyszyć.

- Oczywiście, pani.

Brightblade starał się nie pokazać po sobie, jak jest wstrząśnięty. Poziom umiejętności tego czarodzieja nie mógł być zbyt wysoki. Wskazywał na to jego młody wiek. Tym bardziej, że żaden wysoki rangą mag Białych Szat nie pozwoliłby się wziąć do niewoli. Pomimo tego Lilith, przełożona zakonu rycerzy Ciernia, traktowała młodzieńca z taką ostrożnością i rozważą, z jaką odnosiłaby się, powiedzmy, do lorda Dalamara, słynnego mistrza Wieży Wielkiej Magii w Palanthas.

Czarodziej Białych Szat poruszał się z trudem i wspierał całym ciężarem na lasce. Twarz zniekształcał mu grymas bólu i cierpienia. Idąc, krzywił się i przygryzał wargi, żeby nie krzyknąć. Włókł się w tempie krasnoluda żlebowego. Jeśli będą się posuwać naprzód z taką szybkością, dotarcie do poległych zajmie im resztę dnia i kawałek nocy. Podkomendant Trevalin nie będzie zadowolony z opóźnienia.

Steel zerknął na Panią Nocy. Mag był jej jeńcem. To ona powinna zaproponować mu pomoc, tymczasem przyglądała się im obu z niezadowoleniem zmieszonym, o dziwo, z ciekawością, jakby chciała zobaczyć, co Steel zrobi w tej sytuacji. On postąpił tak, jak go nauczono - godnie. Jeśli Pani Nocy to się nie podoba...

- Oprzyj się na moim ramieniu, panie maga - zaproponował Steel Brightblade. Jego ton był chłodny, beznamiętny, lecz pełen szacunku. - Będzie ci lżej iść.

Czarodziej Białych Szat uniósł głowę i spojrzał ze zdumieniem, które szybko przerodziło się w podejrzliwość.

- Cóż to za podstęp?

- Żaden podstęp, panie. Cierpisz i wyraźnie trudno ci się poruszać. Proponuję ci swą pomoc, panie.

Na twarzy maga pojawiło się zdumienie. - Ale... Jesteś jednym z jej...

- Jeśli masz na myśli sługę naszej Królowej Ciemności, Takhisis, nie mylisz się - odparł z powagą Steel Brightblade. - Należę do niej ciałem i duszą, co nie oznacza, że nie jestem człowiekiem honoru, który z przyjemnością oddaje hołd odwadze i dzielności,

kiedy ma z nią do czynienia. Proszę cię, panie, zechciej wesprzeć się na moim ramieniu. Droga jest długa, a widzę, że jesteś ranny.

Młody mag spojrzał ukradkiem na Panią Nocy, jakby spodziewał się, że może tego nie pochwalać. Jeśli nawet tak było, nic nie powiedziała. Wyraz jej twarzy nadal był nieodgadniony.

Z wahaniem, najwyraźniej wciąż obawiając się jakiegoś podstępu ze strony wroga, czarodziej Białych Szat przyjął pomoc czarnego rycerza. Najwyraźniej spodziewał się, że zostanie przewrócony na ziemię, skopany i pobity. Zdziwiony, a być może także rozczarowany, stwierdził, że tak się nie stało.

Dzięki pomocy Steela młody mag szedł sprawniej i szybciej. Wkrótce opuścili chłodny cień drzew i znaleźli się w upalnym słońcu. Na widok oddziału desantowego na twarzy czarodzieja Białych Szat pojawiło się osłupienie i przerażenie.

- Tyle wojska... - Szepnął do siebie.

- To nie hańba, że wasz niewielki pułk poniósł klęskę - zauważył Brightblade. - Nas było wielokrotnie więcej.

- Mimo to... - Czarodziej cedził przez zęby zaciśnięte z bólu. - Gdybym tylko był silniejszy... - Zamknął oczy, zachwiał się i sprawiał wrażenie, że za chwilę straci przytomność. Rycerz podtrzymał mdlejącego maga. Obejrawszy się przez ramię, Brightblade spytał: - Pani, dlaczego uzdrowiciele, rycerze Czaszki, nie zatroszczyli się o niego?

- Odmówił przyjęcia ich pomocy - odparła bezceremonialnie Pani Nocy. Wzruszyła ramionami. - Poza tym, skoro są sługami Jej Mrocznego Majestatu, może i tak nic by nie mogli dla niego uczynić.

Brightblade nie umiał nic na to powiedzieć. Bardzo słabo znał się na zwyczajach kapłanów ciemności. Wiedział natomiast, jak opatrzyć rany na polu walki, sam bowiem doświadczył ich kilku.

- Dam ci przepis na okład - obiecał magowi, znów pomagając mu iść. - Moja matka - przerwał i poprawił - kobieta, która mnie wychowała, nauczyła mnie, jak się go robi. Nie trudno znaleźć odpowiednie zioła. Jesteś ranny w bok?

Młody czarodziej skinął głową, przyciskając dłoń do żeber. Biała tkanina szaty maga przesiąkła krwią i przywarła do rany. Lepiej jej nie ruszać. Dzięki temu rana była zasklepiona.

- Włócznia - rzekł młody czarodziej. - Draśnięcie. Mój brat...

Przerwał nagle i zamilkł.

Ach, więc to tak, pomyślał Steel. To dlatego rycerzom solamnijskim towarzyszył czarodziej. Jeden brat walczy mieczem, a drugi laską. Dlatego tak bardzo chce zobaczyć zabitych. Łudzi się nadzieją, lecz w głębi serca wie, co zastanie. Czy powinienem powiedzieć coś, żeby go ostrzec? Nie, może nieświadomie ujawni jakąś przydatną nam informację.

Steel nie był bez serca. Po prostu nie potrafił zrozumieć tak jawnie okazywanego przez młodego maga niepokoju o los brata. Przecież rycerz solamnijski spodziewa się śmierci w bitwie, a nawet oczekuje jej z otwartymi ramionami! Krewniak poległego z honorem powinien być dumny, a nie zrozpaczony.

No tak, ale on jest jeszcze młody - pomyślał Brightblade. Być może to jego pierwsza bitwa. To wiele tłumaczy.

Podczas wędrówki przez zatłoczoną plażę rycerz i jego więzień wzbudzali spore zainteresowanie. Nie usłyszeli jednak żadnych komentarzy. Pani Nocy szła ich śladem, nie spuszczać ich z oczu. Steel mógłby przysiąc, że czuje, jak jej przenikliwy wzrok wypala mu dziurę w ciężkim kirysie.

Gdy wreszcie dotarli na pole walki, gdzie leżeli polegli, ociekające czerwienią słońce stało już w pełni nad horyzontem. Wschodowi towarzyszył widowiskowy, płomienisty rozbłysk gniewnej czerwieni i zwycięskiego fioletu, jakby słońce pyszniło się swą władzą nad spaloną i wyschniętą ziemią. Zapowiadał się upalny dzień. Nawet noc nie przyniesie ulgi. Żar będzie promieniować spod piasku, dusząc jak kocem wszystkich, którzy spróbują spać na ziemi. Tylko ludzie zbyt zmęczeni, by to odczuć, zaznają tej nocy odpoczynku.

Steel odprowadził maga Białych Szat do swego przełożonego, podkomendanta Sequora Trevalina.

- Panie, oto jeniec, jak rozkazaliście.

Podkomendant spojrział na więźnia, a potem przeniósł wzrok na towarzyszącą im Panią Nocy. Trevalin również wyglądał na zaskoczonego tym zaszczytnym towarzysztwem. Zsalutował Pani Nocy, która była od niego wyższa stopniem.

- Dziękuję ci za pomoc w tej sprawie, pani.

- Nie miałam dużego wyboru - odparła z goryczą. - Taka jest wola Jej Majestatu.

Uwaga ta najwyraźniej zdumiała Trevalina. Królowa Takhisis nadzorowała wszystkie poczynania rycerzy - przynajmniej tak sami uważali - niemniej Jej Mroczny Majestat miał chyba na swej nieśmiertelnej głowie ważniejsze sprawy niż

identyfikacja więźniów. Czarodzieje to jednak dziwni ludzie, a Pani Nocy była bardziej tajemnicza od innych. Kto wie, co miała teraz na myśli? Trevalin z pewnością nie zamierzał o to pytać. Szybko przeszedł do czekających go obowiązków.

- Panie magu, gdybyś zechciał podać nam imiona i tytuły tych rycerzy, zapiszemy je, aby potomni mogli złożyć należny ich dzielności hołd.

Młody czarodziej był wyczerpany drogą, skwarem i bólem, który mu dokuczał. Sprawiał wrażenie oszołomionego. Patrzył na poległych i nie rozpoznawał ich, zupełnie jakby spoglądał na zwłoki nieznanym. Jego dłoń spoczywająca na ramieniu Steela drżała.

- Panie, może mag mógłby dostać wody - spytał Steel. - Albo kubek wina.

- Oczywiście. - Trevalin podał mu jednak kubek mocnej brandy z flaszki, którą nosił u pasa.

Młody czarodziej nierozważnie wychylił napój, zapewne nieświadom tego, co pije, lecz już po pierwszym łyku wróciły mu rumieńce. Alkohol i krótki odpoczynek najwyraźniej pomogły magowi. Do tego stopnia, że odepchnął Steela i stanął o własnych siłach.

Czarodziej Białych Szat zamknął oczy. Poruszał wargami. Odmawiał chyba modlitwę, bowiem Steelowi wydawało się, że dosłyszał szeptane słowo: „Paladine”.

Po odzyskaniu sił, co prawdopodobnie zawdzięczał bardziej modlitwie niż brandy, młody mag podszedł z trudem do pierwszego z zabitych. Nachylił się i podniósł pelerynę, którą zasłonięto twarz trupa. Kiedy czarodziej wypowiadał imię i tytuł, dodając nazwę ojczystych ziem rycerza, w drżącym głosie słychać było zarówno ulgę, jak i smutek.

- Sir Llewelyn ap Ellsar, rycerz Róży z Guthar na Sancrist.

Szedł wzdłuż szeregu poległych, okazując większą siłę i hart ducha, niż można się było spodziewać.

- Sir Horan Devishtor, rycerz Korony z Palanthas; sir Yori Beck, rycerz Korony z Caergoth; sir Percival Nelish... Ciągnął dalej.

Za nim szedł pisarz wezwany przez podkomendanta Trevalina i notował wszystkie szczegóły na rogowej tabliczce.

Wtedy młody czarodziej doszedł do dwóch ostatnich zabitych. Zatrzymał się i obejrzał na ciała leżące w szeregu. Wszyscy widzieli, że przeliczył poległych. Młodzieniec spuścił głowę, zasłonił oczy dłonią i stał bez ruchu.

Steel zbliżył się do Trevalina.

- Wspomniał coś o bracie, panie.

Trevalin pokiwał głową ze zrozumieniem i milczał. Czarodziej Białych Szat ujawnił wszystko, czego oficer chciał się dowiedzieć. Nie było więcej rycerzy; nie ocalał żaden.

Czarodziej przykląkł. Drżącą dłonią odsunął połę płaszcza, która zasłaniała nieruchomą, zimną twarz. Zdławił jęk żalu i skulił się przy zwłokach.

- Wybacz mi, panie - rzekł pisarz. - Nie zrozumiałem tego, co powiedziałaś. Jak nazywa się ten wojownik?

- Majere - wyszeptał z trudem mag. - Sturm Majere. A to - podniósł oponczę zasłaniającą oblicze drugiego rycerza - jest Tanin Majere.

Nachyliwszy się nad nimi, otarł poranione twarze z krwi i ucałował zimne czoło każdego z nich.

- Moi bracia.

Rozdział II

KUZYNI. DŁUG HONOROWY.

WYROK ŚMIERCI. PORECZENIE

Majere. - Steel odwrócił się do młodego maga. - Majere. Znam to nazwisko. Zdjęty żalem czarodziej Białych Szat nie odpowiedział. Być może nawet go nie słyszał. Usłyszała natomiast Pani Nocy i syknęła cicho, wciągając powietrze i mrużąc zielone oczy. Spojrzała na Steela spod przymkniętych powiek.

Rycerz nie zwracał uwagi na Panią Nocy. Wysunął się naprzód i podszedł do maga. Młody czarodziej był wysoki i dobrze zbudowany, choć nie dorównywał masywnością mięśni swym wojującym braciom. Jego długie do ramion włosy miały intensywną kasztanową barwę, a dłonie - prawdziwe dłonie maga - były zwinne, szczupłe, o smukłych palcach. Gdy Steel Brightblade przyjrzał się młodzieńcowi, dostrzegł podobieństwo nie tylko do zabitych, którzy leżeli na piachu, lecz także do mężczyzny, który niegdyś ocalił Steelowi życie.

- Majere. Caramon Majere. Ci dwaj - Steel wskazał na nieżyjących rycerzy - muszą być jego najstarszymi synami. A ty jesteś tym młodszym. Jesteś synem Caramona Majere?

- Nazywam się Palin - odparł drżącym głosem młody czarodziej. Jedną ręką odgarnął wilgotne, rude loki z zimnego czoła swego brata. Drugą ścisnął mocno laskę, jakby czerpał z niej siłę, która trzymała go przy życiu. - Palin Majere.

- Syn Caramona Majere, bratanek Raistlina Majere! - Syknęła z naciskiem Pani Nocy.

Słyszając to, podkomendant Trevalin, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie jednym uchem, zajęty układaniem planów przenoszenia zwłok i przydzielania ludzi do tego zadania, uniósł głowę i spojrzał na młodego maga z większym zainteresowaniem.

- Bratanek Raistlina Majere? - Powtórzył.

- Wielka zdobycz - oznajmiła Pani Nocy. - Cenny łup. Jego stryj był

najpotężniejszym czarodziejem, jaki kiedykolwiek żył na Ansalonie. - Czarodziejka mówiła o Palinie, nie spuszczała jednakże oczu ze Steela.

Rycerz nie zauważył tego. Wydawało się, że patrzył na zwłoki, ale wzrok jego skierowany był gdzieś głębiej, rozmyślał nad czymś. Sądząc po posępnym wyrazie twarzy, podejmował niełatwą decyzję.

Wtem Palin drgnął i uniósł oczy zaczerwienione od łez. - Ty jesteś Steel. Steel Brightblade. Syn Sturma... - Głos mu się znów załamał, gdy wypowiedział imię brzmiące tak samo, jak jego brata.

Steel mruknął prawie do siebie: - To dziwny przypadek, że tak się spotkaliśmy...

- To nie przypadek - oznajmiła głośno Pani Nocy. Jej zmrużone zielone oczy błyszczały jak klejnoty. Usiłowałam temu zapobiec, lecz zwyciężyła wola Jej Mrocznego Majestatu. I cóż to oznacza? Co zwiastuje?

Steel z irytacją spojrzał na kobietę. Rycerz darzył wielkim szacunkiem Panów Nocy i ich pracę. W odróżnieniu do rycerzy solamnijskich, którzy gardzili mieszaniami magii z wojną, rycerze Takhisis posługiwali się w swych bitwach sztuką czarnoksiężką. Czarodzieje byli w hierarchii równi walczącym rycerzom, zajmowali szanowane i zaszczytne stanowiska na każdym szczeblu dowodzenia. Pomimo to czasami dochodziło do zatargów między tymi dwiema grupami, choć lord Ariakan dokładał wszelkich starań, by do nich nie dopuszczać. Praktyczny żołnierz, który widział prostą linię od A do B i nic więcej, nie miał szans zrozumieć czarnoksiężnika, który dostrzegał nie tylko A i B, lecz także wszystkie zmienne płaszczyzny istnienia pomiędzy tymi punktami.

Ze wszystkich rycerzy Ciernia, ta kobieta była najmniej praktyczna - widziała sześć stron każdego czworościennego przedmiotu, jak powiadano. Bezustannie doszukiwała się znaczeń w najdrobniejszych przypadkach, rzucała kamienie wróżebne trzy razy dziennie i zaglądała we wnętrza kogutów. Podkomendant Trevalin nieraz rozmawiał ze swym sztabem o trudnościach we współpracy z nią.

Zbieg okoliczności. Nic więcej. Nawet nie taki znów nadzwyczajny. Rycerze solammjscy i ich brat-czarodziej spotykają swego kuzyna, rycerza Takhisis. Na świecie trwała wojna, choć nie cały świat zdawał sobie z tego sprawę. Ci trzej musieli kiedyś się spotkać. Steel był tylko wdzięczny za jedno: że nie był odpowiedzialny za śmierć dwóch chłopców Majere. Co prawda, wykonywałby wtedy tylko swój obowiązek, lecz mimo wszystko czuł ulgę. Zwrócił się do swego przełożonego.

- Podkomendancie Trevalin. Proszę o przysługę. Pozwólcie mi zabrać ciała tych dwóch rycerzy do ich ojczyzny na pogrzeb. Jednocześnie odprowadzę czarodzieja

Białych Szat do rodziny i odbiorę za niego okup.

Trevalin spojrział na Steela ze zdumieniem; Palin gapił się na niego w osłupieniu. Pani Nocy mruknęła coś, parsknęła i pokręciła głową.

- Skąd oni pochodzą? - Spytał Trevalin.

- Z Solace w środkowej Abanasinii, tuż na północ od Qualinostu. Ich ojciec jest tam karczmarzem.

- To daleko na terytorium wroga. Bylibyście w ogromnym niebezpieczeństwie. Gdybyście mieli do spełnienia jakąś specjalną misję związaną ze swoim Objawieniem, wtedy udzieliłbym pozwolenia. Ale tak... - Trevalin machnął dłonią. - Żeby odwieźć ciała... Nie, jesteście zbyt dobrym żołnierzem, żebym miał ryzykować, że was stracę, Brightblade. Nie mogę zgodzić się na waszą prośbę. - Starszy rycerz popatrzył z zaciekawieniem na młodszego. - Zwykle nie powodują wami kaprysy, Brightblade. Jaki jest powód tej dziwnej prośby?

- Ich ojciec, Caramon Majere, jest moim Wujem, przyrodnim bratem mojej matki, Kitiary uth Matar. Polegli rycerze i mag są moimi kuzynami. W dodatku... - Oblicze Steela nadal niczego nie wyrażało, a głos brzmiał obojętnie. - Caramon Majere walczył u mego boku, kiedy omal mnie nie pojmano w Wieży Najwyższego Klerysta. Mam wobec niego dług honorowy. Wedle słów lorda Ariakana taki dług należy spłacić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Chciałbym więc skorzystać z tej sytuacji i dotrzymać zobowiązania.

Podkomendant Trevalin nie zawahał się. - Caramon Majere ocalił wam życie? Tak, słyszałem o tej historii. A to są jego synowie? - Rycerz zastanowił się poważnie nad sytuacją, porównując ją w myślach do Objawienia - wielkiego planu Królowej Mroku. Podczas ceremonii pasowania na rycerza każdy z młodzieńców doznaje Objawienia i widzi, w jaki sposób jego pojedyncza nić jest wpleciona w olbrzymi Gobelin. Nic nie mogło stać w sprzeczności z Objawieniem, nawet dług honorowy.

Bitwa jednakże została wygrana, a cel osiągnięty. Przed wyruszeniem na zachód rycerze ciemności spędzą jakiś czas na umacnianiu przyczółka na plaży. Trevalin nie sądził, aby brakowało mu tego jednego rycerza, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Poza tym, w interesie zakonu zawsze leżało zdobycie jak najwięcej informacji o nieprzyjacielu. Podczas wyprawy w głąb terytorium wroga Steel niewątpliwie ujrzy i usłyszy wiele użytecznych rzeczy.

- Macie moje zezwolenie na wyjazd, Brightblade. Podróż będzie niebezpieczna, ale im większe niebezpieczeństwo, tym większa nagroda. Odwiezicie ciała tych

rycerzy do ich ojczyzny na pogrzeb. A co do okupu za maga, decyzja, co z nim zrobić, należy do naszej czcigodnej towarzyszki.

Trevalin spojrział na Panią Nocy, która była oburzona, że ją pominięto podczas podejmowania decyzji. Nie była jednakże dowódcą Steela i nie miała nic do powiedzenia w kwestii jego podróży. Za to czarodziej Białych Szat był jej jeńcem i przysługiwało jej prawo zadecydowania o jego losie.

Zamyśliła się, najwyraźniej rozdarta pomiędzy chęcią zatrzymania maga a pragnieniem okupu, jaki otrzymałaby za jego zwrot. A może dręczyło ją coś innego. Płonące spojrzenie jej zielonych oczu padało raz na Steela, raz na Palina.

- Czarodziej Białych Szat został skazany na śmierć - oznajmiła niespodziewanie.

- Co? Dlaczego? Z jakiego powodu? - Trevalin był zdziwiony i jakby zniecierpliwiony. - Przecież poddał się. Jest jeńcem wojennym. Ma prawo zostać wykupiony.

- Już zażądano okupu - odparła Pani Nocy. - Odmówił zapłacenia, więc jego życie należy do nas.

- Czy to prawda, młodzieńcze? - Trevalin spojrział na Palina surowym wzrokiem. - Odmówiłeś zapłaty?

- Kazano mi oddać coś, czego dać nie mogę - powiedział Palin. Zaciśnął dłoń na drzewcu laski i wszyscy natychmiast odgadli, czego dotyczyło żądanie. - Ta laska nie należy do mnie. Wypożyczono mi ją tylko.

- Laska? - Trevalin odwrócił się do Pani Nocy. - Chciałaś tylko tego? Jeśli on odmówił, sama weź tę przeklętą laskę!

- Próbowałam. - Lilith odsłoniła prawą rękę. Cała dłoń była poparzona i pokryta pęcherzami.

- Czy to twoje dzieło, maga Białych Szat? - Zapytał Trevalin.

Palin spojrział mu prosto w twarz. Oczy miał bystre, choć zaczerwienione od nieprzelanych łez. - Czy to ma jakieś znaczenie, panie? Laska Magiusa została powierzona mojej opiece jako święty depozyt. Nie „należy” do mnie. Władam nią jedynie w ograniczonym stopniu. Laska nie jest niczyją własnością, sama jest sobie panią. Nie rozstanę się jednak z nią, choćbym nawet miał stracić życie.

Obu paladynom ciemności zaimponowała odpowiedź młodego człowieka. Ale nie Pani Nocy. Kobieta zerknęła na nich ponuro i potarła sparzoną rękę.

- Ciekawy problem - zauważył Trevalin. - Nie wolno zmuszać człowieka do zapłacenia za swe życie czymś, czego nie posiada. Jeniec może udać się do swych

przyjaciół oraz rodziny i poprosić o zebranie pieniędzy na okup, lecz nie wolno mu tej sumy im ukraść. Temu młodemu człowiekowi honor nakazuje odmówić oddania łaski. Zatem ty, pani, masz prawo odebrać mu życie. Jednak nie sądzę, aby było to zgodne z nakazami Objawienia.

Pani Nocy posłała Trevalinowi palające złością spojrzenie i otworzyła usta, by zaprotestować. Odwołanie się do Objawienia miało jednakże pierwszeństwo. Musiała zamilknąć, póki podkomendant nie skończy.

- Objawienie nakazuje nam popierać sprawę Jej Mrocznego Majestatu w każdej sytuacji i w każdy sposób. Odebranie temu młodzieńcowi życia nie przysłuży się sprawie. Jego dusza uleci do Paladine'a i to jego bóg na tym skorzysta, nie my. Z drugiej strony, gdybyśmy wymienili życie tego młodego człowieka na coś innego, na jakiś potężny przedmiot magiczny znajdujący się w posiadaniu czarodziejów z Wayreth...

Sroga mina Pani Nocy złagodniała. Kobieta w zamyśleniu przyjrzała się Palinowi i co dziwniejsze, spojrzała również na Steela. - Być może - szepnęła do siebie - być może to jest przyczyna. Dobrze - powiedziała na głos - zgadzam się z twą mądrością, podkomendancie Trevalinie. Jest coś, co przyjmujemy w zamian za Palina Majere. - Dramatycznie zawiesiła głos.

- Cóż to takiego, pani? - Spytał zniecierpliwiony Trevalin, pragnąc wrócić do swych obowiązków.

- Chcemy, by czarodzieje otworzyli portal do Otchłani - oznajmiła Pani Nocy.

- Ależ... To niemożliwe! - Wykrzyknął Palin.

- Decyzja nie należy do ciebie, młodzieńcze - odparła chłodno Pani Nocy. - Znajdujesz się pod jurysdykcją Konklawe Czarodziejów. Oni muszą o tym zdecydować. Otworzenie portalu to nie to samo, co oddanie łaski Magiusa. Taką decyzję musi podjąć Konklawe.

Palin potrząsnął głową. - To, czego żądacie, nie może zostać spełnione. To niemożliwe. Równie dobrze możecie od razu mnie zabić. Nie mógłbym umrzeć w lepszym towarzystwie - dodał cicho, kładąc dłoń na ramieniu niezującego brata.

- Wyrok został wydany, magu Białych Szat. Jesteś naszym jeńcem i musisz być posłuszny naszej woli. - Trevalin był nieugięty. - Udasz się do Wieży Wayreth w towarzystwie rycerza Brightblade i przekażesz Konklawe Czarodziejów żądanie okupu. Jeśli odmówią, zapłacisz życiem. Wrócisz do nas po swą śmierć.

Palin wzruszył ramionami i nie odezwał się. Nic go nie obchodziło.

- Wy, Steelu Brightblade, ręczycie za tego więźnia. Jeśli ucieknie, weźmiecie za to odpowiedzialność. Zapłacicie swym życiem. Poniesiecie śmierć zamiast niego.

- Rozumiem, panie podkomendancie - oświadczył Steel. - Godzę się na to.

- Macie dwa tygodnie na ukończenie podróży. Pierwszej nocy, gdy czerwony i srebrny księżyc razem zalśni na niebie, musicie zameldować się u mnie, swego dowódcy, bez względu na to, czy powiodło wam się, czy nie. Jeśli jeniec ucieknie, musicie bezzwłocznie powiadomić mnie o tym.

Steel zasalutował i wyszedł osiodłać swą niebieską smoczycę. Z ulgą wracając do swych obowiązków, Trevalin rozkazał giermkowi przygotować do przewiezienia dwa ciała. Zwłoki pozostałych rycerzy załadowano na wóz, aby odprowadzić je do grobowca. Palin został przy swych braciach i dokładał starań, by umyć trupy, zetrzeć krew i zamknąć zmętniałe, wytrzeszczone oczy.

Lilith stała w pobliżu Palina, nie spuszczać go z oczu. Nie obawiała się, że czarodziej ucieknie. Szukała raczej jakiejś wskazówki. Czemu spośród wszystkich młodych magów świata wysłano na ten bój właśnie jego? Dlaczego tylko on ocalał? I co najważniejsze, dlaczego Palin Majere zetknął się ze swym kuzynem, Steelem Brightblade?

W myślach ujrzała, jak spacerują razem i rozmawiają. Nie dostrzegą uderzającego rodzinnego podobieństwa. Prawdę mówiąc - na pierwszy rzut oka - nie mogliby się bardziej różnić. Steel Brightblade był wysokim, muskularnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Długie, czarne i kędzierzawe włosy okalały twarz o silnych i regularnych rysach, a ciemne, duże oczy spoglądały przenikliwie. Steel Brightblade był niewątpliwie przystojny, lecz choć wiele kobiet wzdychało do niego, z reguły kończyło się na jednym, pełnym uwielbienia spojrzeniu. Obdarzony był niezaprzeczalną urodą, lecz na tym kończyła się jego atrakcyjność. Dla każdego było jasne, że sercem i duszą należy do surowej pani: Wojny.

Tylko ona potrafiła zaspokoić jego żądze, jego pragnienia. Tylko w walce, tylko podczas bitwy ten chłodny, dumny i butny rycerz nabierał wigoru. Brzęk oręża brzmiał dla niego jak najpiękniejsza muzyka, a hymn bojowy był jedyną miłosną pieśnią, jaką potrafił zaśpiewać.

W przeciwieństwie do swego kuzyna Palin Majere był smukły, rudowłosy i jasnoskóry. Jego delikatne rysy i przenikliwe, inteligentne oczy natychmiast przywiodły na myśl Pani Nocy jego stryja. Raz tylko widziała kiedyś Raistlina Majere i na pierwszy rzut oka rozpoznała jego bratanka. To ze względu na jego dłonie,

pomyślała. Ma delikatne, zręczne palce swego stryja.

Kuzyni, ta sama krew płynie w obu. Tak, byli do siebie podobni, choćby duszą, jeśli nie ciałem. Steel znał swą siłę, Palin musi ją dopiero poznać. Tkwiła jednak w nim tak samo, jak w jego stryju. Jak obrócić to wydarzenie na korzyść Jej Mrocznego Majestatu? Musi przecież istnieć jakiś powód, dla którego ci dwaj się zetknęli!

To nie przypadek. Nie, działa tu jakiś wielki plan, lecz Pani Nocy nie potrafiła go jeszcze odszyfrować. Odpowiedź nadejdzie, co do tego nie miała wątpliwości. Musiała być tylko cierpliwa. Tak więc patrzyła i czekała.

Palin, sądząc, że jest sam, albo nie dbając już o nic, zaczął rozmawiać z braćmi.

- To była moja wina, Taninie - rzekł cicho, zachrypnięty od łez. - To przeze mnie zginąłeś. Wiem, że mi wybaczysz. Zawsze mi wybaczasz, bez względu na to, co zrobię. Jak mam jednak wybaczyć sam sobie? Gdybym był potężniejszym magiem, uczył się pilniej, zapamiętał więcej zaklęć... Gdybym nie zdrętwiał ze strachu i nie zapomniał wszystkiego, czego się nauczyłem, nie zawiódłbym was pod koniec. Gdybym bardziej przypominał stryja...

Bardziej przypominał stryja!

Lilith usłyszała te słowa. Przeszedł ją dreszcz lęku i podniecenia, od którego dostała gęsiej skórki na ramionach. Ujrzała plan. Myśli Jej Mrocznego Majestatu stały się dla niej jasne, przynajmniej na tyle, na ile mogą stać się jasne dla śmiertelnika. Tak musiało być! To musiał być powód. Ci dwaj mężczyźni - jeden pełen powątpiewań i bez wiary w swe siły, a drugi pyszny i dumny - sprowadzą na siebie klęskę.

Pani Nocy nie ufała Steelowi Brightblade od chwili, gdy dowiedziała się o jego pochodzeniu. Była przeciwna przyjęciu go w szeregi rycerzy Takhisis. Wróżby były złe; kamienie przepowiadały zgubę.

Biały kamień po lewej stronie - to jego ojciec, Sturm Brightblade, słynny i poważany rycerz solamnijski, szanowany nawet przez wrogów za bohaterskie poświęcenie. Czarny kamień po prawej stronie - to jego matka, Kitiara uth Matar, przywódczyni jednej ze smoczyc armii, słynąca z umiejętności bojowych, nieustraszona w walce. Oboje nie żyli, lecz Pani Nocy wyczuwała, że razem wyciągają rękę do syna, którego wydali na świat przez przypadek, nie z zamysłu.

W na pozór spokojnym i bezgranicznie oddanym Królowej Mroku Steelu Brightblade musiał szaleć istny huragan. Tak przynajmniej podejrzewała Pani Nocy i miała ku temu powody. Steel Brightblade nosił miecz rycerza solamnijskiego - miecz swego ojca. Nosił również, choć był to dobrze strzeżony sekret, klejnot elfiej roboty.

Ten zwany gwiazdny klejnotem drobiazg był niczym więcej niż pamiątką, jaką obdarowywali się zakochani. Alhana Starbreeze, królowa elfów Silvanesti podarowała ją w czasie Wojny Lancy Sturmowi Brightblade. A Sturm - lub raczej jego trup, jeśli wierzyć słowom Steela - dał ten klejnot swemu synowi.

Biały kamień z lewej, czarny z prawej, a pośrodku kamyk ze znakiem fortecy. Na fortecę spadł kamień ze znakiem ognia. Zdaniem Lilith przepowiednia głosiła, że młodzieniec był w rozterce, a jego wewnętrzny konflikt zakończy się katastrofą. Cóż innego mogła zwiastować twierdza stojąca w płomieniach?

Pani Nocy sprzeczała się długo i zawzięcie, lecz nikt jej nie słuchał. Nawet Pani Czaszki, potężna kapłanka - bardzo stara kobieta będąca ulubienicą Królowej Takhisis - poparła wniosek o przyjęcie Steela w szeregi rycerzy.

- Tak, on nosi gwiazdny klejnot - wymamrotała bezzębna starucha. - Ta błyskotka jest jedyną rysą na jego żelaznej fasadzie. Dzięki niej zajrzemy do jego serca, a stamtąd do serc naszych wrogów!

Czcza gadanina głupiej staruchy.

Teraz jednak Pani Nocy już rozumiała. Rzuciła pomysł na czarne sukno swego umysłu, jak to czyniła zwykle ze swymi wróżebnymi kamieniami. Spadł na stół czysto, nie potoczył się ani nie poturlał i spadł właściwą stroną ku górze. Po namyśle Pani Nocy dobrała starannie słowa i zbliżyła się do młodego maga.

- Wspomniałeś o swym stryju - rzekła, stając nad Palinem. Założyła ręce na piersi i spoglądała na niego z góry. - Wy się chyba nigdy nie spotkaliście, prawda? Nie, skądże. Jesteś za młody.

Palin nic nie powiedział, tylko mocniej ścisnął laskę Magiusa. Młodzieniec uczynił dla braci wszystko, co mógł. Teraz zostało mu tylko przykre zadanie zabrania ich do domu i powiadomienia rodziców. W tej chwili był słaby i bezbronny. Przed Panią Nocy stało zatem łatwe zadanie.

- Raistlin opuścił ten świat, zanim się urodziłeś.

Palin podniósł wzrok i choć wciąż milczał, ten błysk oczu zdradził wszystko.

- Opuścił świat. Postanowił zostać w Otchłani, gdzie każdego dnia cierpi męki z rąk naszej straszliwej królowej.

- Nie - odezwał się urażony Palin. - To nieprawda. Za swe poświęcenie mój stryj został nagrodzony spokojnym snem. Paladine zesłał tę wiedzę mojemu ojcu.

Lilith uklęknęła, nachylając się ku niemu. Nie brak jej było powabu i kiedy chciała, potrafiła być czarująca, fascynująca jak wąż.

- Tak twierdzi twój ojciec. Cóż innego mógłby powiedzieć, prawda?

Młody mężczyzna drgnął niespokojnie, a Panią Nocy przeszedł dreszcz emocji. Mag nie patrzył na nią, jednak wyczuwała jego zwątpienie. Już przedtem myślał o tym. Wierzył ojcu, lecz nie całym sercem. Wątpliwość była rysą w jego zbroi, a ona przez to pęknięcie dodatkowo wbiła zatrute ostrze niepokoju.

- A jeśli twój ojciec się myli? Jeśli Raistlin Majere żyje? - Przysunęła się jeszcze bliżej. - On cię woła, prawda?

Był to tylko domysł, lecz Pani Nocy natychmiast odgadła, że miała rację. Palin wzdrygnął się i opuścił wzrok.

- Gdyby Raistlin wrócił do tego świata, zostałbyś jego uczniem. Studiowałbyś u największego maga, jaki żył na tej płaszczyźnie istnienia. Twój stryj dał ci już jeden bezcenny dar. Czegoż jeszcze nie zrobiłby dla swego najdroższego bratanka?

Palin zerknął na nią, ledwie musnął wzrokiem, lecz Pani Nocy dostrzegła już ogień płonący w jego oczach i wiedziała, że w końcu płomień ten go strawi.

Wstała z zadowoleniem i odeszła. Teraz mogła zostawić jeńca. Był niegroźny - bezpiecznie uwikłany w sploty pokusy. Mimowolnie pociągnie też za sobą kuzyna. Oto powód, dla którego Królowa Ciemności doprowadziła do ich spotkania.

Lilith wsunęła dłoń do woreczka z czarnego aksamitu i wyjęła na oślep garść kamyków. Mruczając zaklęcia, rzuciła je na ziemię. Zadrzała.

Jej podejrzenia potwierdziły się. Takhisis musi dostać obie dusze - i to szybko.

Zagłada była bardzo blisko.

Rozdział III

PALANTHAS. NUŻĄCE POSZUKIWANIA, NIE CAŁKIEM BEZOWOCNE

Słoneczny żar lał się z nieba jak płonąca oliwa na wody zatoki Branchali. Największy ruch na przystani w Palanthas panował właśnie w południe, gdy łódź Ushy znalazła się wśród chmary innych, które tłoczyły się w porcie. Nieprzyzwyczajona do takiego gorąca, hałasu i wrzawy dziewczyna siedziała w kołyszącej się łódce i rozglądała z przerażeniem.

Olbrzymie galery kupieckie o załogach złożonych z minotaurów ocierały się burtami o wielkie statki rybackie, których pilotami byli czarnoskórzy żeglarze z Północnego Ergothu. Przez tę ciżbę przepychały się mniejsze, „targowe” barki, a zderzywszy się z większymi statkami, ściągały na siebie huragan przekleństw i nierzadko wiadro wody z zęzy lub kubeł rybich łbów. Zamieszanie potęgował zawijający właśnie do portu okręt gnomów. Pozostałe jednostki podnosiły kotwice z zamiarem odpłynięcia od niego jak najdalej. Nikt o zdrowych zmysłach nie chciał narażać życia i zdrowia, zostając w pobliżu tego bekającego parą potwora. Między statkami kręcił się komendant portu w specjalnie pomalowanej łodzi, ocierając z potu łysinę i krzycząc do kapitanów przez tubę.

Mało brakowało, a Usha podniosłaby żagle, zawróciła łódkę i popłynęła z powrotem. Okrutnie brzmiące przekleństwa minotaurów (słyszała o tej rasie, ale żadnego z nich nie widziała) przeraziły ją, a statek gnomów, którego dymiące kominy majaczyły niebezpiecznie blisko, napawał ją grozą. Nie miała pojęcia, co robić, ani dokąd pójść.

Zauważył ją starzec, który kołysał się spokojnie w rybackiej łódeczce na obrzeżu zamętu. Kiedy spostrzegł, że dziewczyna ma kłopoty, wyciągnął linkę i przywiosłował do niej.

- Nietutejsza, co? - Zaciekawiał się staruszek, przez co Usha dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że pyta, czy jest cudzoziemką.

Potwierdziła i spytała, gdzie mogłaby zacumować łódź.

- Nie tutaj - powiedział dziadek, pykając z obtłuczonej fajki. Wyjął ją z ust i wskazał na barki. - Cholernie dużo farmerów.

W tym momencie za łodzią Ushy niespodziewanie pojawił się kliper minotaurów i omal jej nie zatopił. Kapitan wychylił się przez burzę i zagroził, że rozpląta jej łódkę - i ją samą - jeśli nie usunie mu się z drogi.

Usha w panice chwyciła za wiosła, lecz starzec ją zatrzymał.

Stojąc na łódce, co Usha uznała za niesamowity wyczyn, biorąc pod uwagę szaleńcze kołysanie, dziadek odpowiedział kapitanowi w języku, który zapewne był mową minotaurów, brzmiał bowiem jak trzask miażdżonych w zębach kości. Usha nie miała pojęcia, co dokładnie starzec powiedział, lecz kapitan minotaurów burknął coś na zakończenie i rozkazał zmienić kurs statku.

- Banda chuliganów - mruknął dziadek, ponownie siadając. - Za to nie znajdziesz lepszych żeglarzy. Wiem, co mówię. Nie raz z nimi pływałem. - Przyjrzał się ciekawym okiem statkowi dziewczyny. - Ładna łódź. Robota minotaurów, jeśli mnie oczy nie mylą. Skąd ją masz?

Usha przemilczała pytanie. Przed odpłynięciem Opiekun ostrzegł ją, by nikomu nie mówiła o sobie. Udała, że nie usłyszała starca, co nie było trudne pośród plusku wiosel, przekleństw i trąbienia komendanta portu. Podziękowała staruszkowi i raz jeszcze spytała, gdzie może zacumować łódź.

- A tam, na wschodzie. - Starzec pokazał ustnikiem fajki.

- Tam jest publiczna przystań. Zwykle każą płacić za cumowanie, ale... - Teraz już nie łodzi, lecz dziewczynie się przyglądał - z taką buzią i oczętami wpuszczą cię za darmo.

Usha zaczerwieniła się z gniewu i wstydu i powściągnęła zamiar rzucenia zgryźliwej odpowiedzi. Starzec okazał jej serdeczność i pomoc. Jeśli chciał drwić z jej brzydoty, miał prawo. A co do reszty jego słów - mówił coś o „płaceniu” i wpuszczeniu jej za „darmo” - nie miała pojęcia, o co mu chodziło. Znalazła w gąszczu masztów wspomniany pomost, który w porównaniu z główną częścią portu wydał jej się oazą spokoju. Podziękowawszy starcowi jeszcze raz dość oziębło, Usha popłynęła w tamtym kierunku.

W publicznej przystani panował znacznie mniejszy ścisk, ponieważ wpuszczano tam tylko mniejsze statki, przeważnie jachty bogaczy. Usha spuściła żagle, podpłynęła do pomostu i rzuciła kotwicę. Zebrawszy swe bagaże, zarzuciła jedną torbę na ramię, a

drugą zawiesiła u paska, po czym zeszła z pokładu i przywiązała łódź do pachołka. Chciała już odejść, lecz zatrzymała się jeszcze, by po raz ostatni obejrzeć się za siebie.

Łódka była ostatnią rzeczą, jaka wiązała ją z ojczyzną, z Opiekunem i wszystkim, co kochała. Kiedy zostawi ją, zostawi za sobą całe swe dotychczasowe życie. Przypomniała sobie dziwną czerwoną lunę na niebie, która pojawiła się zeszłej nocy, i nagle strasznie zapragnęła zostać. Poglądziła cumę łączącą ją z łodzią, która z kolei łączyła ją z ojczyzną, i łzy stanęły jej w oczach. Na wpół oślepią odwróciła się i wpadła na coś ciemnego i dużego, co chwyciło ją za rękaw.

Usłyszała głos dobiegający gdzieś z okolic jej talii: - Dokąd to, laluniu? Została jeszcze drobna kwestia uiszczenia opłaty.

Usha, zawstydzona faktem, że przyłapano ją na płaczu, pośpiesznie wytarła oczy. Napastnikiem był ogorzały na twarzy krasnolud o siwej, zaniedbanej brodzie i zmrużonych oczach osoby, która cały dzień patrzy na słońce odbijające się w wodzie.

- Opłata? Nie wiem, co masz na myśli, panie - odparła Usha, starając się nie patrzeć na niego. Krasnoludów też nigdy nie widziała, ale słyszała o nich od Opiekuna.

- Opłata za zostawienie łodzi tam, gdzie ją zacumowałaś! Nie sądzisz chyba, laluniu, że mieszkańcy Palanthas prowadzą ten interes z dobrego serca? To kosztuje! Na jak długo chcesz ją zostawić? Na dzień, tydzień, miesiąc? Opłata jest zróżnicowana.

- No... Nie wiem - wyjąkała bezradnie Usha.

Irdowie nie znają pojęcia pieniądza. Ponieważ mają małe potrzeby, każdy sam wykonuje to, co jest mu potrzebne - własnoręcznie albo za pomocą czarów. Żadnemu z nich nawet w myślach nie powstało, by wymieniać przedmioty z kimś innym. Taki czyn byłby równoznaczny z zakłóceniem wewnętrznego spokoju cudzej duszy.

Usha zaczęła przypominać sobie, co Opiekun mówił jej o krasnoludach. - Czy mam rozumieć, że jeśli dam ci coś, ty w zamian pozwolisz mi zostawić tu łódkę?

Krasnolud popatrzył na nią złym wzrokiem, mrużąc oczy. - Co z tobą, laluniu? Czyżbym uderzył cię w głowę? Zmienił ton i szczebiotał teraz jak do dziecka. - Tak, dziewczynko, dasz coś miłemu krasnoludowi - najlepiej zimną, twardą stal - a miły krasnolud pozwoli ci zostawić łódź na miejscu. Jeśli nie dasz czegoś miłemu krasnoludowi - jak już mówiłem, najlepiej zimnej, twardej stali - miły krasnolud zarekwiruje twoją cholerną łódź. Zrozumiałaś?

Usha czuła, że jej policzki płoną. Nie miała stali i nawet nie była pewna, co

przez to rozumiał, ale wokół zaczął się gromadzić tłum szczerzących zęby mężczyzn, z których część wyglądała groźnie. Usha myślała tylko o tym, jak się stąd wydostać. Włożyła rękę na oślep do sakwy i natrafiła na jakiś przedmiot. Wyciągnęła go i podsunęła krasnoludowi.

- Nie mam stali. Czy to wystarczy?

Krasnolud wziął drobiazg i obejrzał go starannie. Zapewne od stu lat jego zmrużone oczy nie rozwarły się tak szeroko. Widząc zainteresowanie zgromadzonych wokół mężczyzn, krasnolud spojrział na nich wrogo i czym prędzej zamknął przedmiot w dłoni.

- Na brodę Reorxa, to platyna. Z rubinem - usłyszano jego szept. Krasnolud machnął ręką do gapiów. - Precz stąd! Zajmijcie się swoimi sprawami, bo naśle na was straż miejską!

Mężczyźni zaśmiali się, rzucili kilka sprośnych uwag i pomału się rozeszli. Krasnolud chwycił Uszę za rękaw i nachylił ku sobie.

- Panienko, czy wiesz, co to jest? - Był teraz dla niej dużo bardziej uprzejmy.

- To pierścień - powiedziała Usha, myśląc, że krasnolud mógł nie wiedzieć, co to takiego.

- O, tak. - Krasnolud oblizał wargi. Jego chciwe spojrzenie padło na sakwę dziewczyny. - Pierścień. A może... Może masz takich więcej?

Nie podobało jej się spojrzenie krasnoluda. Zasłoniła dłonią mieszek i przycisnęła go do ciała. - Czy to wystarczy, by zostawić łódź pod twoją opieką?

- O, tak, panienko! Tak długo, jak tylko sobie życzysz. Zajmę się nią bardzo troskliwie. Czy mam wyszorować pokład? Zeskrobać pąkle? Może pocerować żagle?

- Co tylko chcesz, panie. - Usha ruszyła w stronę brzegu i stojących wzdłuż niego dużych budynków.

- Kiedy po nią wrócisz? - Spytał krasnolud, przebijając krótkimi nogami, by dotrzymać jej kroku.

- Nie wiem - rzekła Usha, mając nadzieję, że sprawia wrażenie osoby beztroskiej i niedbałej, a nie zakłopotanej. - Wystarczy, że łódź będzie na mnie czekała, kiedy wrócę.

- Oczywiście, panienko. A ja wraz z nią - oznajmił krasnolud. Szybko poruszał palcami ubrudzonej dłoni, jakby coś na nich rachował. - Może być kilka dodatkowych opłat...

Usha wzruszyła ramionami, nie zwalniając tempa.

- Platyna! - Usłyszała jeszcze chciwe westchnienie krasnoluda. - I rubin!

Niepostrzeżenie ominęła władze portu w Palanthis, nie miała bowiem pojęcia, kim są ci ludzie, i nie zdawała sobie sprawy, że powinna podać imię i powód, dla którego przybyła do Palanthis. Minęła strażników przy bramie w odbudowanej części murów miejskich z takim spokojem i chłodną pewnością siebie, że żaden z bardzo przepracowanych wartowników nie zadał sobie trudu, by ją zatrzymać i przepytąć. Dziewczyna sprawiała wrażenie osoby, która ma pełne prawo znajdować się tam, gdzie się znajdowała.

Jej spokój był w rzeczywistości niewinnością, a tupet warstewką lodu, pokrywającą strach i dezorientację.

Następnych kilka godzin zeszło dziewczynie na wędrowaniu po rozpalonych, zakurzonych i zatłoczonych ulicach Palanthis. Za każdym zakrętem widziała coś, co ją zdumiewało, przerażało, oszałamiało lub budziło odrazę. Nie miała pojęcia, co ma robić i dokąd iść. Wiedziała tylko, że musi jakoś znaleźć lorda Dalamara. Potem, jak przypuszczała, powinna rozejrzeć się za miejscem na nocny spoczynek.

Opiekun czynił niejasne aluzje do „noclegów”, „pracy” i „zarabiania pieniędzy”. Nie potrafił jednakże powiedzieć niczego bliżej. Kontakty, jakie nawiązał z istotami ludzkimi podczas swego długiego żywota, były ograniczone i choć Irda znał pojęcie „zarabiania na własne utrzymanie”, miał bardzo mętne wyobrażenie o tym, co to znaczy. Usha nie miała o tym nawet zielonego pojęcia.

Gapiała się na wszystko, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Okazałe budowle, tak odmienne od małych, parterowych domków Irdów, zdawały jej się niebotyczne, wyższe od sosen. Czowała się zagubiona w tym marmurowym lesie. A jaki panował tu ścisk! W ciągu jednej minuty w Palanthis ujrzała więcej osób niż przez całe życie spędzone wśród Irdów. Wszystkim strasznie się gdzieś śpieszyło - mieszkańcy uwijali się, pchali i szli bardzo szybko, zasapani i zaczerwienieni na twarzach.

Z początku Usha podejrzewała, że w mieście wydarzyła się jakaś straszna katastrofa - może wybuchła wojna. Kiedy jednak spytała o to dziewczynkę, która czerpała wodę ze studni, dowiedziała się, że to tylko „dzień targowy” i że w mieście panuje niezwykle spokoj, zapewne z powodu dokuczliwego gorąca.

W pobliżu zatoki panował upał; słońce odbijające się od wody paliło jasną skórę Ushy nawet w cieniu. Na przystani czuła przynajmniej nieustanne chłodne muśnięcia morskiej bryzy, lecz przynoszący ulgę powiew wiatru nie docierał do środka miasta. Palanthis dusiło się w skwarze. Żar promieniował z brukowanych ulic, które prażyły

przechodniów nie gorzej od rozpalonych do czerwoności patelni. Ulice i tak były chłodne w porównaniu z wnętrzem sklepów i domów. Kupcy, którzy nie mogli opuścić swych kramów, wachlowali się i starali nie zapaść w drzemkę. Nędzarze porzucili swe duszne siedziby i spali w parkach albo na dachach, łudząc się nadzieją, że odetchną choćby odrobiną świeżego powietrza. Bogaci nie opuszczali marmurowych domów, pili ciepłe wino (lodu zabrakło, bowiem śniegi na górskich szczytach stopniały prawie całkowicie) i rozleniwieni uskarżali się na upały.

Zapach zbyt wielu spoconych i nadmiernie stłoczonych ciał, śmieci oraz odpadków, które prażyły się w słońcu, zapierał dech w piersi i przyprawiał Ushę o mdłości. Dziwiła się, jak można żyć w tak okropnym smrodzie, ale zapytana dziewczyna stwierdziła, że nie czuje niczego poza letnią wonią Palanthas.

Usha szła i szła bez końca przez miasto. Kiedy minęła olbrzymi gmach, który wedle słów przechodnia był „Wielką Biblioteką”, przypomniała sobie, że Opiekun wspominał o niej z wielkim szacunkiem jako o źródle wszelkiej wiedzy o świecie.

Pomyślała, że to dobre miejsce, aby spytać, gdzie może znaleźć lorda Dalamara. Zatrzymała ubranego w brązowy habit młodzieńca, który spacerował po terenie „Wielkiej Biblioteki”, i zadała mu pytanie. Mnich wytrzeszczył oczy, odsunął się od Ushy na jakieś sześć kroków i wskazał ulicę.

Idąc zgodnie z jego wskazówkami, Usha wyszła z zaułka w cień makabrycznie wyglądającej wieży, otoczonej gajem ciemnych drzew. Choć jeszcze przed chwilą była złana potem, teraz przeszedł ją nagły dreszcz. Wydawało się, że z lasu płynie zimna, wilgotna ciemność. Dziewczyna zadrżała, odwróciła się, uciekła i z prawdziwą ulgą stwierdziła, że znów stoi w upalnym słońcu.

A co do lorda Dalamara, mogła jedynie przypuszczać, że mnich się pomylił. Nikt nie mógł mieszkać w tak okropnym miejscu.

Minęła piękny gmach, który wedle napisu był świątynią poświęconą Paladine'owi. Mijała parki i przepiękne, choć sterylne wyglądające domostwa bogatych mieszczan. Myślała, że to muzea. Przechodziła obok sklepów pełnych rozmaitych cudownych przedmiotów, od błyszczącej biżuterii do mieczy i zbroi podobnych do tych, jakie mieli młodzi rycerze.

I wszędzie widziała tłumy ludzi.

Zagubiona i zdezorientowana Usha wciąż wędrowała po ulicach, nie mając pojęcia, czemu ją przysłano do tego przyprawiającego o zawrót głowy miasta. Skwar i zmęczenie nadwerężyły jej siły. Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę z tego, że

ludzie się za nią oglądają. Niektórzy wręcz stawali i wytrzeszczali oczy ze zdumienia. Inni - przeważnie modnie odziani mężczyźni - zdejmowali przed nią czapki z piórami i posyłali jej uśmiechy.

Usha oczywiście myślała, że drwią sobie z jej wyglądu, i uważała, że to bardzo okrutne z ich strony. Czuła się okropnie - żalosna, wymięta i nieszczęśliwa i trudno jej było zrozumieć, jak Opiekun mógł ją wysłać w tak nieprzyjazne jej strony. Stopniowo jednak zaczęła sobie uświadamiać, że owe spojrzenia, pokłony i zamiatanie czapkami były przejawem podziwu.

Podjeżdżając, że podróż mogła ją jakoś odmienić, stanęła, by spojrzeć na swe odbicie w witrynie sklepu. Szyba była pofalowana i zniekształcała jej obraz tak samo, mały staw, w którym Usha przeglądała się w ojczyźnie. Nie zmieniła się. Nadal miała włosy barwy srebrzystego lnu, oczy też w tym dziwnym kolorze i regularne, lecz pozbawione kunsztownego, wyszukanego, niezwykłego piękna Irdów, rysy. W swych oczach była taka sama, jak zawsze - brzydka.

- Co za bardzo dziwni ludzie - rzekła do siebie na widok młodzieńca, który tak się na nią zagapił, że wpadł na drzewo.

Wreszcie kiedy niemal zdarła podeszwy skórzanych butów, zauważyła, że rozpalone słońce wreszcie zachodzi. Cienie domów wydłużyły się i dawały odrobinę chłodu. Na ulicy było coraz mniej przechodniów. W bramach pojawiły się matki, które wołały dzieci do domu. Usha zajrzała przez okno do kilku bogatych domostw i zobaczyła zbierające się rodziny. Poczowała się znużona, strudzona i osamotniona. Nie miała gdzie spędzić nocy i nagle poczuła, że umiera z głodu.

Opiekun zaopatrzył ją w prowiant na drogę, lecz wszystko zjadła, zanim jeszcze przyплыnęła do Palanthas. Na szczęście przypadkiem zawędrowała do handlowej części miasta.

Sprzedawcy właśnie mieli zakończyć pracę i zwijali kramy. Przedtem Uszę dręczyło pytanie, skąd mieszkańcy tego ruchliwego miasta biorą jedzenie. Teraz znalazła odpowiedź. Najwyraźniej w Palanthas nie podawano go na stołach. Wydawano je na ulicy. Uznała to za dość osobliwe zjawisko, lecz w końcu co w tym mieście nie było dziwne?

Podeszła do straganu, na którym zostały resztki owoców. Wyszły i pomarszczyły się od całodziennego leżenia w słońcu, lecz jej wydawały się wspaniałe. Zagarnąwszy kilka jabłek, wbiła zęby w jeden z owoców i zjadła go łakomie, a resztę schowała do sakwy.

Usha oddaliła się od kramów handlarzy owocami i podeszła do piekarza, by uzupełnić posiłek bochenkiem chleba. Właśnie się rozglądała za straganem z winem, gdy wokół podniósł się nieziemski rwetes.

- Łapać ją! Trzymać! Złodziejka! Złodziejka!

Rozdział IV

NAPAŚĆ. ARESZTOWANA.

TASSLEHOFF SIĘ DZIWI

Oślupiała Usha przyglądała się ubranemu w skórzany fartuch wysokiemu chudzielcowi, który tańczył i skakał wokół niej. - Złodziejka! - Wrzasnął, pokazując na nią. - Ukradła mi owoce!

- Uciekła z moim chlebem! - Wysapała przyprószona mąką kobieta, która przybiegła za mężczyzną. - O, jeszcze wystaje jej z torby! Już ja ci go zabiorę, ty ladacznico!

Piekarzowa usiłowała odebrać bochenek, lecz Usha uderzyła ją po ręce.

Kobieta zaczęła wrzeszczeć. - Mordują! Chciała mnie zamordować!

Po rynku zazwyczaj kręcą się obiboki i rzezimieszki, którzy piją kiepskie wino i szukają zwady. Szybko zwęszyli ku temu okazję. Wokół dziewczyny zgromadził się rozwrzeszczany tłum. Jakiś obdartus o bandyckim wyglądzie złapał Uszę.

- Chętnie ją obszukam! - Krzyknął. - Coś mi się zdaje, że schowała te jabłka pod bluzkę!

Tłum zaśmiał się i otoczył dziewczynę jeszcze ciaśniej.

Do tej pory Usha nie zetknęła się z tak obcesowym traktowaniem. Rozpieszczana, hołubiona i wychowana w społeczności istot, które rzadko podnosiły głos, a co dopiero pięści, omal nie zemdląła z przerażenia. Nie miała broni, a w pierwszej chwili nawet nie przyszło jej do głowy, by użyć któregoś z magicznych przedmiotów, które dostała od Irdów. I tak nie wiedziałaby, jak to zrobić, bo nie słuchała zbyt uważnie instrukcji, których jej udzielano.

Mężczyzna brudnymi rękoma rozdarł bluzkę dziewczynie, zamierzając ją obłąpić. Towarzysze zachęcali go okrzykami.

Panika dziewczyny przerodziła się w furię. Rozgorzała w niej wściekłość zapędzonego w kąt zwierzęcia. Z siłą zrodzoną z przerażenia wymierzyła cios na oślep. Biła, gryzła, kopała i wymachiwała pięściami, nie patrząc, kogo rani. Nie dbała o to.

Pragnęła zranić wszystkich, każdą żywą istotę w tym znieprawionym mieście.

Krwawa mgła ustąpiła sprzed jej oczu dopiero wtedy, gdy ktoś boleśnie wykręcił jej ramię i oznajmił wyraźnym, stanowczym głosem: - Dość już tego, moja panno!

Zdyszana Usha zmrużyła oczy, rozglądając się wokół błędnym wzrokiem.

Trzymał ją rosły, muskularny mężczyzna, który wyglądał na urzędnika. Przyodziały był w ciemnoszkarłatną tunikę i takie same nogawice. Po jego przybyciu gapie szybko się rozeszli, rzucając rozmaite barwne uwagi pod adresem straży, która psuje im zabawę. Mężczyzna, który napastował Ushę, leżał na ziemi, jęcząc i trzymając się za krocze.

- Kto zaczął? - Strażnik rozejrzał się z ponurą miną.

- Panie władzo, ona ukradła chleb z mojego straganu! - Krzyknęła piekarczowa - a potem chciała nas wszystkich pozabijać.

- To moje jabłka - oznajmił oskarżycielskim tonem sprzedawca owoców. - Wzięła je sobie i poszła, jak gdyby nigdy nic.

- Niczego nie chciałam ukraść - protestowała Usha, chlipiąc cicho. Łzy zawsze działały na Opiekuna, gdy coś spsociła, więc szybko poszukała ratunku w starych nawykach. - Myślałam, że te owoce i pieczywo wystawiono po to, żeby każdy mógł je sobie wziąć. - Wytarła oczy. - Nikogo nie chciałam skrzywdzić. Jestem zmęczona, głodna i zagubiona, a ten mężczyzna... On mnie obmacywał...

Na wspomnienie okropnego przeżycia Usha wybuchła prawdziwym płaczem. Strażnik spojrział na nią bezradnie, usiłując jakoś pocieszyć.

- No już, dobrze. Nie becz. Pewnie pomieszało ci się w głowie od tego gorąca. Zapłać tym dwojgu rzetelną cenę i będziecie kwita. Prawda? - Dodał strażnik, mierząc groźnym wzrokiem dwoje straganiarzy, którzy odpłacili mu tym samym. Niechętnie kiwnęli głowami na zgodę.

- Nie mam pieniędzy - chlipnęła Usha.

- Włóczęga! - Warknął mężczyzna.

- Gorzej - parsknęła kobieta. - Czegóż innego można by się po niej spodziewać? Spójrzcie tylko na jej cudzoziemski strój! Domagam się, aby ją zakuto w dyby i wychłostano!

Strażnik nie miał zadowolonej miny, lecz nie mógł wiele zdziałać. Chleb będący przedmiotem sporu leżał na ziemi, bowiem podczas szamotaniny wypadł Ushy z torby, a dziewczynę na odległość czuć było nadgniłymi, rozgniecionymi jabłkami.

- Niech to rozstrzygnie sąd. Chodźmy, młoda kobieto. A wy, jeśli chcecie składać

zeznania pod przysięgą, będziecie musieli pójść ze mną.

Strażnik zabrał Ushę. Sprzedawcy poszli za nimi - kobieta ze świętym oburzeniem, sprzedawca jabłek zaprzątnięty niespokojną myślą, czy nie będą od niego chcieli za to pieniędzy.

Otępiała ze zmęczenia Usha nie dbała o to, gdzie ją prowadzą. Wlokła się obok strażnika ze spuszczoną głową i nie chciała więcej patrzeć na tę okropną okolicę. Ledwie do niej dotarło, że weszli z ulicy do ogromnego gmachu, wybudowanego w całości z kamienia. Budynek miał olbrzymie, drewniane wrota, których strzegli ludzie w takich samych szkarłatnych tunikach, jak pilnujący ją mężczyzna. Drzwi się otworzyły i wprowadzono ją do środka.

W kamiennym pomieszczeniu, w którym się znalazła, panował miły mrok i chłód. Usha zadarła głowę i rozejrzała się. Strażnik sprzeczał się z dwojgiem kramarzy. Usha nie zwracała na nich uwagi. Choć sprawa dotyczyła jej, miała wrażenie, że nie ma z tym nic wspólnego. Wszystkiemu winne było to okropne miasto, które zamierzała opuścić, kiedy tylko doręczy list.

Masywny mężczyzna o znudzonym wyglądzie siedział za biurkiem i zapisywał coś na zatłuszczonych stronicach księgi. Za nim znajdowało się ogromne pomieszczenie pełne osób, które siedziały lub spały na zimnej, kamiennej posadzce. Liczne żelazne pręty wpuszczone w sufit i podłogę oddzielały ludzi w środku od tych będących na zewnątrz.

- Jeszcze jedna, dozorczo. Drobną kradzież. Zamknij ją z pozostałymi, dopóki rano sąd nie rozpatrzy jej sprawy - powiedział strażnik.

Gruby mężczyzna podniósł wzrok na Ushę. Oczy mu wyszły na wierzch. - Jeśli cech złodziejski zaczął przyjmować takich czeladników, to sam się zapiszę - rzucił półgębkiem do strażnika. - No, panienko, będziesz musiała zostawić te torby u mnie.

- Co takiego? Dlaczego? Nie ruszaj! - Usha mocno przycisnęła tobołki do piersi.

- Prawdopodobnie dostaniesz je z powrotem - uspokoił ją strażnik, wzruszając ramionami. - No, moja panno, tylko nie sprawiaj kłopotów. I tak już siedzisz w nich po uszy.

Usha jeszcze przez chwilę ścisnęła torby. Grubas zmarszczył brwi i napomknął o odebraniu ich siłą.

- Nie, nie dotykaj mnie! - Powiedziała Usha, niechętnie zdjęła z ramienia sakwy - małą z ubraniami i dużą z podarkami - i położyła je na biurku przed dozorcą.

- Powinnam cię ostrzec - oznajmiła drżącym z gniewu głosem - że niektóre

przedmioty w tej torbie są magiczne i lepiej traktować je z szacunkiem. Poza tym mam zwój, który powinnam dostarczyć komuś imieniem Dalamar. Nie wiem, kim jest ten lord Dalamar, ale jestem pewna, że byłby niezadowolony, gdyby dowiedział się, że dotykałeś jego rzeczy.

Usha miała nadzieję, że wywrze wrażenie na swych prześladowcach, i dopięła swego, choć w sposób niezupełnie zamierzony. Dozorca dokładnie przetrząsający jej bagaże nagle cofnął rękę, jakby sakwa była jakimś wynalazkiem gnomów, który mógł w każdej chwili wybuchnąć.

Sprzedawca jabłek krzyknął: - Wycofuję wszystkie oskarżenia! - I szybko wyszedł.

- To wiedźma - oświadczyła piekarczowa, nie ustępując ani na krok. - Od razu wiedziałam. Spalcie ją na stosie!

- Tego już się nie praktykuje - warknął dozorca. Był jednak błady i wstrząśnięty.
- Powiedziałaś: Dalamar?

- Powiedziałam. - Usha była zdziwiona całym rozgardiaszem. Gdy zauważyła, że imię to najwyraźniej coś tym ludziom mówi, postanowiła z tego skorzystać. - Lepiej traktujcie mnie uprzejmie, bo jestem przekonana, że lord Dalamar będzie niezadowolony.

Dwaj mężczyźni rozmawiali ściszymi głosami.

- Co powinniśmy zrobić? - Szepnął dozorca.

- Poślij po panią Jennę. Ona będzie wiedziała - odparł strażnik.

- Czy mam ją wsadzić za kratki?

- A chcesz, żeby chodziła samopas?

Po zakończeniu rozmowy odprowadzono Uszę do dużego pomieszczenia za kratami. Natychmiast otoczyły ją osoby, które w pierwszej chwili wzięła za ludzkie dzieci. Zastanawiała się, jakie przestępstwa mogli popełnić ci malcy, gdy usłyszała klnącego na nich dozorcę.

- Precz z łapami, przekłeci kenderzy! Hej, ty tam! Gdzie są moje klucze? Ach, ty łobuzie! Oddaj je natychmiast! Znajdź sobie miejsce, panienko - krzyknął do niej dozorca, usiłując jednocześnie wyłapać kenderów. - Wkrótce ktoś po ciebie przyjdzie. Co robisz z moją fajką? A ty, oddaj ten kapciuch z żelaznym zielem, bo jak mi Gilean miły, zrobię z ciebie...

Klnąc i mrucząc pod nosem, dozorca wyszedł z celi i z ulgą wrócił za biurko.

Więc to są kenderzy! Usha bardzo była ciekawa spotkania z istotami, którym

Opi nadał miano „kryńskich wesołych złodziejasków”. Nie było ich trudno poznać, albowiem ciekawscy kenderzy zawsze chętnie zaznajamiają się z każdym obcym, który zjawiał się w „ich własnym” więzieniu.

Wnet otoczył ją tłum rozchichotanych i trajkoczących kenderów, którzy dotykali ją, klepali i zadawali trzydzieści pytań w ciągu pięciu sekund, a wszyscy mówili jednocześnie. Zgiełk, jazgot, upał, głód i strach - wszystko to nagle przerosło siły Ushy. Pomieszczenie zakołysało jej się przed oczami, a potem przechyliło. W powietrzu zaiskrzyły się gwiazdki.

Kiedy dziewczyna przysła do siebie, stwierdziła, że leży na podłodze i widzi nad sobą zmartwioną twarz jednego z kenderów. Był to osobnik wyglądający na starszego od pozostałych; oczy miał otoczone pajęczyną zmarszczek, a bruzdy od częstego śmiechu podciągały mu kąciki ust. Długie włosy z pasmami siwizny nosił związane na czubku głowy w kitkę, która sięgała mu do ramienia. Twarz miał miłą, przyjazną i zaciekawioną jak dziecko czy każdy inny kender, lecz wydawał się dojrzalszy od pozostałych.

Kiedy któryś z kenderów podchodził zbyt blisko, ten starszy odpędzał ich. Nawet bardziej nieokrzesani przedstawiciele rasy ludzkiej, których również zamknięto w tej celi, szanowali go i trzymali się z dala.

- Co się stało? - Spytała Usha, próbując usiąść.

- Zemdląłeś - wyjaśnił kender. - Naprawdę uważam, że powinnaś jeszcze trochę poleżeć. Sam nigdy nie straciłem przytomności, a przynajmniej nie pamiętam tego. Cały czas tak sobie myślę, że powinienem kiedyś spróbować, ale jakoś mi się nie udaje. Jak się czujesz? Dozorca powiedział, że zemdląłeś na pewno dlatego, że dawno nie jadłeś, i że za chwilę przyjdiesz do siebie. No i proszę, już oprzytomniałaś! Jesteś głodna? Może za godzinę przyniosą nam chleb i zupę. Jedzenie jest całkiem smaczne. W Palanthas jest bardzo miłe więzienie, jedno z najmiłszych na całym Ansalonie. Jakie zdumiewające są twoje oczy. Jakby złote, prawda? Bardzo mi kogoś przypominasz. Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali? Byłaś kiedyś w Solace?

- Nie sądzę - odparła zmęczona Usha. Paplanie kendera podtrzymywało ją na duchu, lecz jego niezliczone pytania wprawiały ją w zakłopotanie. - Nigdy nie słyszałam o Solace.

Czuła się bardzo kiepsko. Bolała ją głowa i dokuczało ściskanie w pustym żołądku. Opi przestrzegał ją przed kenderami, lecz ten był pierwszą napotkaną osobą, która odezwała się do niej dobrym słowem. Kiedy rozejrzała się, zauważyła, że ma pod

głową coś, co, sądząc po jaskrawozielonym kolorze, identycznym jak nogawice kendera, było zapewne płaszczem rozmówcy.

Usha była mu wdzięczna i spróbowała się uśmiechnąć. - Kim jesteś?

Kender sprawiał wrażenie wstrząśniętego, a potem skruszonego. - Czyżbym się nie przedstawił? Chyba nie. Miałem zamiar to uczynić, kiedy właśnie się przewróciłaś. - Wyciągnął małą, ogorzałą rączkę. - Nazywam się Tasslehoff Burrfoot. Przyjaciele mówią do mnie Tas. A ty jak masz na imię?

- Usha. - Dziewczyna uścisnęła z powagą podaną dłoń.

- Tylko Usha? Większość znanych mi ludzi nosi dwa miana.

- Tylko Usha.

- I tak bardzo ładnie. Na tyle ładnie, żeby wystarczyło za dwa imiona razem wzięte. - Kender przyjrzał jej się bacznie. - Wiesz co, Usho, ty rzeczywiście kogoś mi przypominasz. Ciekawe, kogo?

Usha nie miała pojęcia i mało ją to obchodziło. Zamknęła oczy i czując, że jest pod opieką nowego przyjaciela, odprężyła się i usnęła.

Tuż przed zapadnięciem w sen usłyszała, jak kender szepnął zaleknionym głosem: - Już wiem! Ona ma złote oczy - zupełnie jak Raistlin!

Rozdział V

CZARODZIEJKA.

PANI JENNA JEST ZASKOCZONA

Zapach gorącej zupy wyrwał Ushę z drzemki. Po krótkim odpoczynku poczuła się lepiej. Oparta o mur popijała rosół z wyszczerbionej glinianej miski i zastanawiała się nad swym przyszłym losem. Przynajmniej rozwiązała problem noclegu.

Była już noc. Mrok w celi rozświetlało tylko kilka skwierczących pochodni na ścianie przy wejściu do więzienia.

Kender imieniem Tas wypił swoją zupę, a potem podał Ushy swój kawałek czarnego chleba. - Proszę, ciągle wyglądasz na głodną.

Ze swoją kromką chleba Usha uporała się w trzech kęsach. Zawahała się. - Jesteś pewny, że go nie chcesz?

Tas pokręcił głową. - Nie, weź go. Jeśli zgłodnieję, na pewno znajdę coś do jedzenia w swoich torbach. - Wskazał na rozliczne pękate sakiewki zdobiące jego drobną postać.

Usha zmarszczyła czoło. - Dlaczego ty mogłeś zatrzymać swoje rzeczy? Mnie wszystko zabrali.

- Tak jest zawsze. - Tas wzruszył ramionami. - Nie wiem czemu, ale nam, kenderom, niczego nie zabierają. Może dlatego, że zabrakłoby im miejsca na magazynowanie naszych rzeczy. Podczas podróży z reguły gromadzimy spore kolekcje. A może dlatego, że następnego ranka byłoby zbyt trudno ustalić, co należy do kogo. Nam to zresztą szczególnie nie przeszkadza. My - wskazał na pozostałych członków swojej rasy, którzy obrzucali się nawzajem kawałkami chleba - dzielimy się wszystkim.

- Moi rodacy także - powiedziała Usha bez zastanowienia.

- Twoi rodacy. Kim są? Skąd jesteś? Nie pochodzisz z tutejszych stron, to pewne. - Tas pokiwał głową tak zdecydowanie, że aż kitka przeleciała mu nad głową i pacnęła go w nos.

- Skąd wiesz? - Spytała Usha, ignorując pytanie.

- Cóż... - Tas popatrzył na nią i zastanowił się. - Po pierwsze, jesteś inaczej ubrana. Mówisz inaczej. Używasz tych samych słów, ale wymawiasz je w osobliwy sposób. I jesteś stokroć piękniejsza od każdej kobiety, jaką widziałem, z wyjątkiem Laurany - to żona Tanisa, ale ty go pewnie nie znasz, prawda? Tak myślałem. No i Tiki. Tika wyszła za mąż za Caramona. Znasz go? Miał bliźniaczego brata imieniem Raistlin.

Przy tym pytaniu Tas dziwnie spojrział na Ushę. Dziewczyna przypomniała sobie, że przed zaśnięciem słyszała to imię, lecz nie pamiętała, co kender o nim powiedział. Nie było to zresztą ważne. Nigdy nie słyszała o żadnym z tych mężczyzn, co też mu oznajmiła.

- A co do mojej urody, wiem, że chcesz być miły, ale nie musisz mnie okłamywać. Wiem, jak wyglądam. - Usha westchnęła.

- Nie kłamie! - Zaprotestował Tas. - Kenderzy nigdy nie kłamią. A jeśli mi nie wierzysz, spytaj tych mężczyzn w kącie. Mówili o tobie. Wiesz, może lepiej jednak nie rozmawiaj z nimi. To niedobrzy ludzie. Złodzieje! - Szepnął wstrząśnięty.

Usha była lekko zdezorientowana. - To ty nie jesteś złodziejem?

- Na brodę wielkiego Paladine'a, skądże! - Oczy Tasa zrobiły się okrągłe z oburzenia.

- Więc dlaczego trafiłeś do więzienia?

- Przez pomyłkę - stwierdził wesoło Tas. - Nam, kenderom, ciągle się to zdarza, każdego dnia! Możesz w to uwierzyć? Oczywiście oni wiedzą, że to pomyłka. - Skinął głową w kierunku dozorczy. - Nigdy nie stajemy przed sądem i zawsze rano jesteśmy puszczani wolno. Potem przez cały dzień strażę łapią nas i ponownie tu sprowadzają. Jak widzisz, dzięki temu każdy ma zajęcie.

Usha nic nie rozumiała. Zastanawiała się nad tym, jak wydobyć z kendera informacje bez wzbudzania podejrzeń.

- Może mógłbyś mi coś wyjaśnić, Tas. Tam, skąd pochodzę, ludzie żyją podobnie jak wy. Dzielimy się wszystkim. Tutaj zaś wszyscy są tacy, no wiesz, chciwi. Wzięłam od pewnego mężczyzny kilka jabłek. Byłam głodna, a owoce były nadgniłe. I tak musiałby je wyrzucić. Dlaczego wpadł w taką złość? I ta kobieta. Jej pieczywo sczerstwiało do rana.

- Wiem, o czym mówisz. To wszystko dlatego, że oni pragną posiadać - wyjaśnił Tas. - Istotom ludzkim bardzo zależy na przedmiotach. Lubią mieć coś na własność, a

kiedy jakaś rzecz znudzi im się, nie oddają jej, tylko domagają się w zamian czegoś innego. Pamiętaj o tym, a dasz sobie radę w życiu. A tak przy okazji, skąd pochodzisz, Usho?

Tas zadał to pytanie od niechcienia. Kender był zapewne tylko ciekawy, lecz Usha pamiętała ostrzeżenie Opiekuna, by nie ujawniać, że mieszkała wśród Irdów.

- Właściwie zewsząd - odparła, obserwując spod półprzymkniętych powiek reakcję kendera. - Wędruję tu i tam, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej.

- Wiesz co, Usho - oznajmił z podziwem Tas - byłby z ciebie wspaniały kender. Podobno nie byłaś w Solace?

- Och, może i byłam. Te miasteczka są tak do siebie podobne. Kto by potrafił spamiętać ich nazwy?

- Ja potrafię! Rysuję mapy. Ale spytałem cię o Solace, bo bardzo jesteś podobna do...

W drzwiach celi zazgrzytał klucz. Wszedł dozorca. Tym razem niósł kij, którym opędzał się od kenderów. Rozejrzał się po ciemnej celi. - Gdzie jest ta nowa? - Dostrzegł Ushę. - Hej, ty tam, ktoś chce z tobą rozmawiać.

- Ze mną? - Usha była przekonana, że zaszła pomyłka.

- Ty. Ruszaj się. Pani Jenna nie będzie czekała całą noc.

Usha spojrzała na Tasa, oczekując wyjaśnień.

- Pani Jenna jest magiem Czerwonych Szat - oznajmił kender. - Ma w mieście sklep z magicznymi przyborami. Prawdziwie fantastyczne miejsce!

- Czego ona chce ode mnie?

- Dozorca zawsze ją wzywa, żeby zbadała skonfiskowane rzeczy, jeśli wydają mu się magiczne. Czy miałaś przy sobie jakieś przedmioty, które mogły być zaczarowane?

- Może - powiedziała Usha, przygryzając wargę.

- Ty! Złodziejko jabłek! - Dozorca szturchał kijem chichoczących kenderów. - Podejdz tu natychmiast!

- Idź, Usho. - Tas wstał i wyciągnął rękę. - Nie bój się. Pani Jenna jest bardzo miła. Jesteśmy starymi znajomymi. Wiele razy wyrzucono mnie z jej sklepu.

Usha wstała. Nie przyjęła podanej przez kendera ręki. Przybrała minę beztrioskiej obojętności i sama podeszła do okratowanych drzwi.

Dozorca wypuścił Ushę i złapał Tasslehoffa w chwili, gdy kender wyslizgiwał się w jej cieniu. - A dokąd to się wybieramy, panie Burrfoot?

- Przywitać się z panią Jenną, oczywiście. Nie chciałbym być nieuprzejmy.

- Jakżeby inaczej. A teraz bądź tak uprzejmy i grzecznie wróć do celi.

Dozorca pchnął Tasa i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Kender uczeplił się prętów i wyglądał na zewnątrz.

- Halo, pani Jenno! - Zawołał, wymachując rączkami. - To ja! Tasslehoff Burrfoot, jeden z Bohaterów Lancy!

Przy biurku dozorca więziennego stała kobieta w czerwonym aksamitnym płaszczu z kapturem. Odwróciła się w kierunku, z którego dobiegał krzyk kendera, uśmiechnęła chłodno i lekko skinęła głową. Następnie wróciła do poprzedniego zajęcia - przeglądania mienia Ushy, które zgrabnie ustawiono rzędkiem na biurku.

- Oto i ona, pani Jenno. Ta, która pytała o Mistrza Wieży.

Czarodziejka zsunęła kaptur, by lepiej jej się przyjrzeć. Była ludzką kobietą o twarzy pięknej, lecz chłodnej, jakby wyrzeźbionej z tego samego kamienia, co białe, marmurowe gmachy. Ciemne oczy na wskroś przeszywały Ushę.

Usha poczuła ściskanie w dołku. Nogi pod nią drżały. Zaszło jej w ustach. Natychmiast zdała sobie sprawę, że ta kobieta wie o wszystkim. Co teraz z nią będzie? Opiekun ostrzegwał ją. Ludzie uważają Irdów za nie lepszych, a może nawet dużo gorszych, od ogrów. A ogrów ludzie zabijają bez litości.

- Zbliź się, dziecko - rzekła kobieta, wzywając ją majestatycznym gestem uczynionym kształtną i delikatną dłonią. - Podejdz do światła.

Czarodziejka Czerwonych Szat była zapewne niewiele starsza od Ushy, lecz otaczająca ją aura tajemniczości, potęgi i magii dodawała jej lat.

Usha zuchwale wystąpiła naprzód, żeby czarodziejka nie pomyślała sobie, że się jej boi. Podeszła do światła.

Jenna wytrzeszczyła oczy. Podeszła krok bliżej i westchnęła. - Niech nas Lunitari ma w swej opiece! - Szepnęła.

Szybkim ruchem znów narzuciła kaptur na głowę i zwróciła się do dozorca. - Więziarka będzie teraz pod moją opieką. Zabieram ją i jej rzeczy.

Kobieta zgarnęła podarunki Irdów. Biorąc każdy do ręki ostrożnie i z szacunkiem, włożyła je z powrotem do torby Ushy. Dozorca przyglądał im się podejrzliwie.

- Nie myliłem się więc, pani Jenno. Są magiczne.

- Słusznie postąpiłeś, wzywając mnie. Cieszy mnie też, Torgu, że zmadrzałeś i nie dotykasz już nieznanym przedmiotów. Niełatwo było odwrócić ten czar, który przypadkowo rzuciłeś na siebie.

- Więcej tego nie zrobię, obiecuję, pani Jenno! - Dozorca wzdrygnął się. - Niech ją sobie pani weźmie na szczęście. Proszę jednak tu podpisać. Teraz pani bierze za nią odpowiedzialność. Niech no okradnie jeszcze jeden kram z owocami, a...

- Nie będzie więcej okradać straganów - stwierdziła rzeczowo Jenna, zabierając sakwy Ushy. - Chodźmy, dziecko. Przy okazji, jak ci na imię?

- Usha. I chcę dostać z powrotem swoje rzeczy - głos dziewczyny zabrzmiał donośnie, znacznie głośniejsze niż zamierzała.

Jenna uniosła pierzaste brwi.

Usha zaczerwieniła się i przygryzła wargę. - Należą do mnie - oznajmiła nadąsanym tonem. - Nie ukradłam ich.

- Wiem o tym - odparła Jenna. - Tak cenne magiczne przedmioty nie pozwalają się skraść. Na głupca, który się na to poważy, spada klątwa. - Zerknęła na dozorcę więzienia, który zaczerwienił się, spuścił głowę i z wściekłą miną coś notował w swym rejestrze. Jenna oddała sakwy właścicielce.

Usha wzięła je i poszła za Jenną w kierunku wyjścia.

- Dziękuję ci, pani, że wydostałaś mnie stąd. Gdybym kiedyś mogła dla ciebie coś zrobić, proszę dać mi znać. Gdzie jest pani sklep? Może kiedyś tam zajrzę...

Jenna znów się uśmiechała.

- Tak, z pewnością tam zajrzysz. I to natychmiast. Nie martw się, Usho. Zamierzam zabrać cię dokładnie tam, gdzie sobie życzyłaś.

- To znaczy gdzie? - Spytała oszołomiona Usha z rozpaczą w sercu.

- Oczywiście zobaczycie się z Dalamarem. Mistrz Wieży bardzo będzie ciekaw spotkania z tobą, Usho.

- Jasne, że będzie ciekaw! - Pisnął z tyłu przenikliwy głosik.

- Powiedz Dalamarowi, że pozdrawia go Tasslehoff Burrfoot. Pani Jenno, prawda, że Usha strasznie przypomina Raistlina?

Czarodziejka zatrzymała się. Przez chwilę, jaką zajmuje policzenie do dziesięciu, stała nieruchomo i cicho. Potem powoli odwróciła się i podążyła tą samą drogą, którą przyszła.

Usha została przy wyjściu, zastanawiając się nad ucieczką. Miała jednak wrażenie, że nie zaszłaby daleko; nogi miała jak z galarety. Poza tym, dokąd miała uciekać? Znużona, oparła się o drzwi.

Jenna zbliżyła się do dozorcę więzienia. - Proszę wypuścić i przekazać mi także kendera.

Torg skrzywił się. - Aby na pewno? Jest okropnie dokuczliwy...

- Jestem pewna - powiedziała Jenna tonem, który zabrzmiał ostro i zimno jak stal. - Wypuść go natychmiast.

Torg wyjął klucze i szybko poszedł otworzyć drzwi celi.

Obwieszony dyndającymi sakiewkami Tasslehoff wymaszerował na zewnątrz, wymachując kitką włosów. Wyciągnął uprzejmie rękę do Jenny.

- Jak pani zdrowie? Zdaje się, że nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Nazywam się Tasslehoff...

- Wiem, kim jesteś - rzekła kobieta. - Sądzę, że Dalamar chciałby również z tobą zamienić kilka słów.

- Czyż to nie cudowne! Nie widziałem się z Dalamarem od lat. Czy to prawda, że jest twoim kochankiem? Nie musisz tak na mnie patrzeć. Caramon mi o tym mówił. Powiedział, że...

- Idź już - rzekła dość surowo Jenna, wyprowadzając kendera na ulicę. - Pięć kroków przede mną i trzymaj ręce tak, żebym je widziała. Usho, zostaniesz ze mną.

- Mam prowadzić? - Tas był podekscytowany.

- Jeśli tak chcesz to nazwać - odparła Jenna. - Nie, nie w tym kierunku. Idziemy za mury miasta, z powrotem do mojej siedziby.

- A ja myślałem, że odwiedzimy Wieżę Wielkiej Magii! - Biadolił Tas. - Chciałem przejść przez zagajnik Shoikan! Raz widziałem go z daleka. Był naprawdę zły, przerażający i śmiertelnie groźny. Kiedyś nieomal zabił Caramona. Proszę, moglibyśmy pójść tamtędy?

- Nie bądź śmieszny - ucięła Jenna. - Nikt o zdrowych zmysłach - choć zdaję sobie sprawę, że, być może, z wyjątkiem kenderów! - Nie chciałby iść przez zagajnik Shoikan, szczególnie w nocy. Nawet ja nie przejdę przez gaj, a studiowałam w Wieży. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przeniosę nas tam spokojniejszą trasą. Dlatego wracamy do mojego sklepu.

Tas przez chwilę był niepoczyszony, a potem wzruszył ramionami. - Och, cóż - stwierdził i poweselał. - Przynajmniej zwiedzimy Wieżę.

- Ale będzie zabawa! - Dodał, oglądając się na Ushę i wybiegając naprzód w podskokach. Jak na osobę w podeszłym wieku kipiał wręcz energią. - Wieża Wielkiej Magii jest fascynująca! Uprzedzam jednak, że nie odwiedzałem jej od wielu lat. Mnóstwo tam różnych czarów - w większości złych i bardzo, bardzo potężnych. Dalamar jest magiem Czarnych Szat, ale pewno już o tym wiesz, skoro chcesz się z

nim widzieć. To czarny elf i najpotężniejszy obecnie czarodziej na całym Ansalonie...

Usha stanęła i spojrzała na kendera.

- Czarodziej Czarnych Szat? Czarny elf? Ale... To niemożliwe! Opiekun nie wysłałby mnie do jednego z nich. Chyba... Może jest jakiś inny Dalamar?

Usłyszała śmiech, który dźwięczał w mroku nocy jak srebrne dzwoneczki.

- Nie zatrzymuj się - rzekła Jenna, ukrywając rozbawienie. - I bądź pewna, dziecko - jest tylko jeden Dalamar.

Rozdział VI

WIEŻA NAJWYŻSZEJ MAGII. PRZYJĘCIE.

DALAMAR JEST NIEMILE ZASKOCZONY

Za dnia Wieża Wielkiej Magii w Palanthis była miejscem budzącym grozę, którego wszyscy unikali. W nocy była wręcz upiorna.

Niegdyś istniało pięć takich wież, rozrzuconych po całym Ansalonie. Teraz zostały tylko dwie. Jedna z nich znajdowała się w lesie Wayreth i nie sposób było do niej dotrzeć, chyba że tamtejsi magowie tego chcieli. Wtedy zaczarowany las, który otaczał wieżę, odnajdował gościa i prowadził do celu.

Wieża Wielkiej Magii w Palanthis była również prawie niedostępna. Strzegł jej zagajnik Shoikan, kępa drzew zamieszкана przez nieumarłych strażników. Gaj otaczała tak silna atmosfera grozy, że większość ludzi nie mogła znieść nawet jego widoku. Tylko wierni poddani Królowej Takhisis, bądź ci, którzy otrzymali od mistrza Wieży specjalny amulet, mogli wejść do przekłętą zagajnika. Jednak nawet oni nie mogli czynić tego bezkarnie. Zmuszeni udać się do Wieży w interesach - lub, jak w przypadku Jenny, dla przyjemności - zazwyczaj wybierali mniej niebezpieczną drogę. Szli ścieżkami magii.

Jenna wyprowadziła swych podopiecznych za stare mury miasta. Znajdowali się teraz w części nazywanej Nowym Miastem. Zaprojektowane i zbudowane przez krasnoludów gdzieś w Wieku Potęgi, Palanthis dzieliło się na dwie części: Stare i Nowe Miasto. Otoczoną murem starą dzielnicę wzniesiono precyzyjnie na planie koła z ośmioma szprychami dróg prowadzącymi do środkowej piasty, gdzie stał pałac władcy. Ponieważ w ciasnym Starym Mieście dawno zabrakło miejsca, dobudowano nową część Palanthis.

Rozciągające się za murami Nowe Miasto stanowiło centrum dzielnicy handlowej. Tu można było znaleźć siedziby wszystkich ważniejszych cechów, a także domy kupców.

Magiczny sklep Jenny stał w najlepszej części Nowego Miasta. Budziło to

wyraźny niepokój pobliskich kupców, którzy odnosili się do jej czarnoksięskiej klienteli z głęboką podejrzliwością. Powszechnie było jednak wiadomo, że Jenna jest ulubienicą Dalamara, Mistrza Wieży. Co prawda, jawnie władcą miasta był lord Palanthas, jednak nikt z obywateli nie ośmieliłby się zrobić czegoś, co mogłoby rozzłościć Mistrza Wieży.

Kupcy więc narzekali, ale czynili to jednak po cichu.

Gdy dotarli do sklepu z magicznymi przyborami, nad którym wisiał szyld z wizerunkami trzech księżyców: srebrnym, czerwonym i czarnym, Jenna, dla zachowania ostrożności, najpierw związała ręce kenderowi jedwabnym sznurkiem. Dopiero wtedy zdjęła zakłęcie strzegące drzwi i wpuściła gości do środka.

- Czy to konieczne? - Spytała oburzona Usha, wskazując na więzy kendera. - On nie jest złodziejem.

Jenna spojrzała na Ushę i uniosła brwi. Dziewczyna oblała się rumieńcem i przygryzła wargę, zastanawiając się, co takiego niezwykłego powiedziała.

- Mnie to nie przeszkadza, naprawdę - rzekł wesoło Tas, podziwiając jedwabny sznureczek na nadgarstkach. - Jestem do tego przyzwyczajony.

- To bardziej dla bezpieczeństwa jego i nas samych niż z obawy o kradzież pieniędzy - odparła Jenna. Wypowiedziała słowo, które dla Ushy zabrzmiało jak trzeszczenie kruchego lodu, i lampa w pokoju zapaliła się. Jenna spojrzała przenikliwie na młodą kobietę. - Ty chyba nie znasz kenderów, prawda?

Usha rozpaczliwie myślała o tym, co Opi jej powiedział, żałując, że nie przywiązywała wówczas do tego większej uwagi. Postanowiła skłamać, choć z przygnębieniem czuła, że marnuje czas. - Co za dziwne pytanie. Oczywiście, że wiem wszystko o kenderach. Zna ich przecież każdy, kto mieszka na Ansalonie.

- Na nieszczęście to prawda. Właśnie dlatego zadałam ci to pytanie. Tędy proszę. Odlóż to natychmiast! - Rozkazała surowo Jenna. Usha właśnie wzięła do ręki śliczną buteleczkę i chciała ją obejrzeć. - Jeśli choć kropla tego skapnie na skórę, ciało zacznie ci odpadać kawałkami. Na miłość boską, nie dotykaj niczego więcej! Jesteś nie lepsza od kendera. Oboje chodźcie ze mną.

Usha ostrożnie odstawiła flaszkę na półkę. Stanowczym gestem założyła ręce do tyłu i szła dalej, chcąc zobaczyć wszystko jednocześnie. Przez to niewiele jednak widziała. Kuszący, a zarazem odrażający zapach sklepu wywarł na niej szczególne wrażenie. Słoje z korzennymi przyprawami stały obok tych pełnych martwych i gnijących rzeczy. Księgi magiczne, niekiedy spleśniałe i zatechłe, poukładano równym

rzędkiem na półkach zajmujących całą ścianę. Wewnątrz szklanych gablot połyskiwała biżuteria.

- Moja pracownia jest w piwnicy - powiedziała Jenna, otwierając drzwi. - Tam również nie wolno niczego dotykać!

Drzwi z dziwnymi i nieczytelnymi znakami wiodły na schody. Jenna osobiście prowadziła Tasslehoffa, trzymając go mocno za kitkę i szarpiąc za nią boleśnie za każdym razem, gdy wydawało się, że kender ma ochotę coś spsocić. Gestem nakazała, by Usha zeszła za nimi po schodach.

Laboratorium znajdowało się w podziemiach sklepu. Gdy weszli, zapaliło się światło, lecz była to słaba i upiorna błękitna poświata, która dawała niewiele jasności. Usha musiała bardzo uważać na schodach.

- Teraz stańcie tu oboje i nie ruszajcie się! - Rozkazała Jenna, kiedy zeszli już na dół. Zniknęła gdzieś w mroku. Po chwili usłyszeli, jak przyciszonym i niewyraźnym głosem z kimś rozmawia.

Usha złapała Tasslehoffa za kołnierz zielonej koszuli w chwili, gdy kender chciał się oddalić.

- Powiedziała, żeby się nie ruszać! - Skarciła go Usha.

- Przepraszam - odszepnął Tas. Sprawiał wrażenie szczerze skruszonego. - Nie miałem takiego zamiaru. To moje nogi. Głowa powiedziała im, żeby się nie ruszały, ale czasami to, co mówi głowa, nie dociera aż tak daleko. Mam wrażenie, że myśli zatrzymują mi się gdzieś w okolicach kolan. Nie sądzisz, że to wszystko jest straszliwie podniecające? Spójrz tam! - Z wrażenia zaparło mu dech w piersi. - To ludzka czaszka! Pani Jenna chyba nie miałaby nic przeciwko temu, gdybym...

- Myślę, że miałyby - rzekła rozgniewana Usha. - Przestań się wreszcie kręcić. - Trzymała mocno Tasa nie dlatego, żeby bardzo martwiła się jego nieposłuszeństwem, lecz dlatego, że rozpaczliwie pragnęła w ogóle kogoś trzymać.

- Cieszę się, że pani Jenna zabrała cię z nami - dodała odruchowo Usha - choć doprawdy nie rozumiem, dlaczego. Mam wrażenie, że cię nie lubi.

- Och, nie miała wielkiego wyboru - oświadczył Tas, wzruszając ramionami. - Nie po tym, co powiedziałem o Raistlinie.

- Co to miało znaczyć, że jestem podobna do Raistlina? Nic nie rozumiem. Kim jest Raistlin?

- Kim jest Raistlin? - Powtórzył oszołomiony Tasslehoff, zapominając o szeptaniu. - Nigdy nie słyszałaś o Raistlinie Majere? Nie sądziłem, że na Ansalonie

może żyć ktoś, kto nie słyszał o Raistlinie!

Usha uświadomiła sobie popełniony błąd i zaśmiała się cicho.

- Och, ten Raistlin! Jasne, że o nim słyszałam. Po prostu nie wiedziałam, o którym Raistlinie mówisz. Tam, skąd pochodzę, Raistlin jest dość często spotykanym imieniem. W naszej osadzie żyje kilku Raistlinów. To imię elfa, prawda?

- Nie sądzę - odrzekł poważnie Tas. - Raistlin nie był elfem, a Caramon z pewnością nim nie jest! Caramon jest tak duży, że gdybyś go porąbała na kawałki, starczyłoby na trzech elfów. Do tego byli bliźniakami, a o ile mnie pamięć nie myli, u elfów bliźnięta nie zdarzają się zbyt często. Dawno już nie byłem w Qualinesti. Nie wpuszczają mnie za granicę, choć znam nowego Mówcę Słońc. To chłopiec Tanisa, Gil. Słyszałaś chyba o Tanisie Półelfie, prawda?

- Kto o nim nie słyszał! - Wykrzyknęła Usha, choć powinna siebie zaliczyć do tego grona.

Przynajmniej dowiedziała się, że Raistlin jest mężczyzną, czego przedtem nie była całkiem pewna. I że miał coś wspólnego z kimś o imieniu Caramon. Gratulując sobie sprawności, z jaką zacierała za sobą ślady, zastanawiała się nad swym następnym pytaniem, gdy wróciła Jenna.

- Ona wie, kim jest Raistlin. Nie daj jej się zmylić, kenderze. Pójdziecie teraz ze mną. Rozmawiałam z Dalamarem i...

- Dalamar! On jest tutaj? Dalamarze! - Tasslehoff pomachał rękoma i wykrzyknął: - Hop, hop! To ja, Tas. Pamiętasz mnie?

- Jego tu nie ma - przerwała Jenna surowo i oziębło. - Jest w Wieży. Mamy swoje metody porozumiewania się. Widzicie ten krąg z soli na posadzce?

Usha nie widziała; w mroku nie dostrzegała nawet posadzki, lecz w tej samej chwili lampa zapłonęła jaśniej. Krąg był wyraźnie widoczny.

- Wejdźcie ostrożnie do środka - poleciła Jenna. - Uważajcie, żeby nie poruszyć soli.

- Już wiem! - Wrzasnął ogromnie podekscytowany Tas.

- Widziałem, jak Par-Salian robił to z Caramonem. To było wtedy, gdy przypadkiem zmieniłem się w mysz. Bo widzisz, Usho, byłem w Wieży w Wayreth i znalazłem tam pierścionek - taki biały z dwoma czerwonymi oczkami - nałożyłem go i...

- Na miłość Gileana, zamilcz! - Wybuchła Jenna. - Albo ja zamienię cię w mysz! A sama stanę się kotem.

- Naprawdę potrafiłabyś? A w kota jakiej rasy? - Plótl dalej Tas. - Może zamiast w mysz mogłabyś mnie zamienić w kota? Nigdy jeszcze nie byłem kotem...

- Weźcie mnie oboje za ręce - dokończyła Jenna, ignorując kendera. - Zamknijcie oczy, to nie zakręci się wam w głowie. I cokolwiek się stanie, nie puszczajcie moich dłoni.

Czarodziejka wypowiedziała słowa, które pełzały i wiły się w głowie Ushy. Nagle dziewczyna odniosła wrażenie, że podłoga ucieka jej spod nóg. Żołądek podszedł jej do gardła i poczuła, że wiatr okropnie nią szarpie. Nie potrzebowała zachęty, by ścisnąć dłoń Jenny. Kurczowo przywarła do czarodziejki.

A potem stała już na twardym gruncie. Świsł i podmuchy wiatru ustały. Mrok się rozproszył. Rażące światło sprawiło, że Usha zacisnęła powieki.

- Możesz już otworzyć oczy - rozległ się głos Jenny. - Dotarliśmy bezpiecznie do Wieży Wielkiej Magii w Palanthas.

Usha nie była pewna, czy chce popatrzeć. Sądząc z opisu kendera, Wieża była przerażająca i zła. Tasslehoff był już pochłonięty rozmową z kimś, kto odpowiadał mu uprzejmym, lecz roztargnionym tonem osoby będącej myślami daleko stąd.

- Otwórz oczy, Usho - powtórzyła surowo Jenna.

Usha posłusznie otworzyła zmrużone oczy i ku swemu zdumieniu ujrzała nie budzące zgrozę lochy, pełne ciał zakuty w kajdany i wiszących w łańcuchach na ścianach, lecz przepięknie urządzone pokój. Na kamiennych ścianach wisiały barwne gobeliny przedstawiające fantastyczne zwierzęta. Podłogę zaścielały dywany w cudowne, zawile wzory. Usha nigdy jeszcze nie widziała tylu mebli naraz.

- Witaj, Usho. Witaj w mej Wieży - usłyszała czyjś głos.

Usha odwróciła się i ujrzała kogoś, kto, sądząc z opisów Opiego, mógł być tylko elfem. Wysoki i smukły mężczyzna o rysach, których uroda nieomal dorównywała pięknu Irdów, odziany był w miękkie, czarne szaty ozdobione kabalistycznymi symbolami.

- Jestem Dalamar - rzekł elf.

Głos miał słodki, dźwięczny i uwodzicielski jak muzyka fletów. Mężczyzna podszedł do Ushy wdzięcznym, płynnym, kocim ruchem. Ciemne, miękkie włosy spływały mu na ramiona. Usha była urzeczona i zafascynowana elfem, dopóki nie spojrzała mu w oczy. Jego spojrzenie sparaliżowało ją i zaczęło pożerać. Przerazona dziewczyna chciała odwrócić wzrok, lecz oczy elfa nie pozwoliły na to.

- Te sakwy wyglądają na ciężkie. Wezmę je - zaproponował Dalamar.

Usha bez namysłu oddała mu bagaże.

- Ty drzysz, moja droga - zauważył Dalamar, dodając kojącym tonem: - Nie bój się. Nie chcę cię skrzywdzić, a mogę zrobić dla ciebie wiele dobrego. Usiądź, proszę. Mogę ci nalać wina? Może życzysz sobie coś do jedzenia?

Wskazał na stół i tym samym gestem uwolnił Uszę spod uroku swego spojrzenia. Dziewczyna zerknęła na stół. Zakryte naczynia wydzielaly kuszącą woń. Półmiski pełne schłodzonych owoców połyskiwały w jasnym świetle kandelabrow. Tasslehoff już siedział za stołem, unosił pokrywki i węszył z podziwem.

- To naprawdę smakowicie wygląda. Umieram z głodu. A ty nie jesteś głodna, Usho? Nie mam pojęcia, czemu. Jadłem zaledwie godzinę temu. No tak, więzienna zupka na długo nie starcza. Nie mam zresztą nic przeciwko zupie w palanthańskim więzieniu - dodał Tas, oglądając się z niepokojem na Dalamara. - Nie powiesz im, że mi nie smakowała, dobrze? Naprawdę jest całkiem dobra. Nie chciałbym urazić uczuć kucharza.

- Nie pisnę ani słowa - obiecał Dalamar z poważnym uśmiechem. - Mogę mieć tylko nadzieję, że mój skromny poczęstunek będzie równie smaczny. Pieczony drób, chleb, owoce, słodczy, orzechy w cukrze - obawiam się, że to wszystko, co mogę zaproponować o tak późnej porze.

Usha nagle poczuła straszliwy głód.

- Wygląda cudownie! - Powiedziała i zanim się obejrzała, już siedziała w wygodnym krześle i nakładała sobie jedzenie na talerz.

- Nigdy w życiu nie byłam taka głodna - zwierzyła się Tasowi.

- Ja też - kender wymamrotał niezrozumiale, wypychając sobie usta całym pieczonym jabłkiem. Przeżuł je z ogromnym wysiłkiem, przełknął i sięgnął po następne. - To pewnie z powodu tych emocji.

- Z pewnością - rzekła Usha, nadgryzając chrupką, brązową skórkę na piersi pieczonego kurczęcia.

Była tak pyszna, że Usha westchnęła z rozkoszy, pożarła całą pierś kurczęcia i sięgnęła po następny kawałek. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest w pokoju sama z Tasem.

- Jak myślisz, gdzie poszła Jenna z Dalamarem? - Spytała Usha bez szczególnej ciekawości. Upiła łyk gorącego, przyprawionego korzeniami cydru napoju, stwierdziła, że jeszcze nie próbowała czegoś tak wyśmienitego, i wychyliła następne dwie szklanice.

- Nie mam pojęcia. - Tas z zapalem gryzł pajdę chleba. - Nie widziałem, kiedy

wyszli. W końcu to nic niezwykłego. Tu ludzie cały czas tak przychodzą i wychodzą. Spójrz tylko, moich sakw też nie ma.

- Rzeczywiście. - Z jakiegoś powodu Ushę to rozbawiło.

Wybuchła śmiechem. Tas też zachichotał. Od tego śmiechu poczuli się spragnieni i znów napili się jabłecznika. Pragnienie obudziło w nich głód, więc jedli... I jedli.

Wreszcie Usha przestała i wytarła dłonie w czystą serwetkę. Potem rozparła się w krześle i powiedziała do Tasa: - Opowiedz mi coś więcej o tym Raistlinie.

*

W drugim pokoju Jenna wyłożyła zawartość torby Ushy na stół. Dalamar nachylił się nad przedmiotami, dbając o to, by żadnego nie dotknąć, a jedynie uważnie im się przyjrzeć.

- To wszystko - rzekła Jenna.

- Co jest w drugiej sakwie?

- Stroje, wszystkie jedwabne, podobne do tych, jakie ma na sobie. Nic więcej.

- Mówiłaś, że ma dla mnie jakąś wiadomość.

- Tak powiedziała dozorczy w więzieniu. Istnieją trzy możliwości: dziewczyna kłamie, ma ją w pamięci albo nosi przy sobie.

Dalamar zastanowił się. - Wątpię, żeby kłamała. W jakim celu? Najwyraźniej nie ma pojęcia, kim jestem.

Jenna zachnęła się. - Utrzymuje również, że nie zna imienia Raistlin Majere.

- To możliwe, kiedy się wszystko rozważy. Dalamar wrócił do przeglądania zawartości torby. Trzymając nad nimi dłoń, wyrecytował pewne słowa. Każdy przedmiot na stole rozjarzył się delikatnym blaskiem, kilka jaśniej od pozostałych. Czarodziej opuścił dłoń i westchnął z zadowoleniem. - Masz rację. Wszystkie są magiczne, niektóre o wyjątkowo potężnej mocy.

Żaden z nich nie został wykonany przez czarodzieja z któregośkolwiek bractwa. Zgadzasz się ze mną, najdroższa?

- Absolutnie. - Jenna objęła go jednym ramieniem i ucałowała lekko w policzek.

Dalamar uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od magicznych parafernaliów. - Ciekaw jestem, jakie czary w nich zamknięto - westchnął tęsknie.

Znów wyciągnął rękę, tym razem ku niewielkiemu kawałkowi bursztynu, któremu nadano kształt jelonka. Skrzywił się - jakby już wiedział, co go czeka - i z wahaniem dotknął figurki czubkiem palca.

Błysnęło błękitne światło i rozległo się skwierczenie. Dalamar jęknął z bólu i czym prędzej cofnął dłoń.

Jenna zacisnęła wargi i pokręciła głową.

- Mogłam ci powiedzieć, że tak się stanie. Są przeznaczone do użytku tylko i wyłącznie jednej osoby.

- Tak, sam się tego domyślałem. Mimo to warto było spróbować.

Czarodzieje wymienili spojrzenia i doszli do takich samych wniosków.

- Dzieło Irdów? - Zaciekawiała się Jenna.

- Nie ulega wątpliwości - odparł Dalamar. - W Wieży Wayreth przechowujemy kilka takich artefaktów. Poznają robotę, a także skutki - potrząsnął ręką, by złagodzić ból zranionej dłoni.

- Nie możemy się nimi posłużyć, lecz najwyraźniej, skoro Irdowie dali je tej dziewczynie, ona może. Ja jednak nie wyczuwam, by miała w sobie choć odrobinę mocy.

- Musi mieć trochę talentu, jeśli jest tą, za kogo ją bierzemy.

Jenna wyglądała na zaskoczoną. - Wątpisz w to? Nie widziałeś jej oczu? Jak płynne złoto! Tylko jeden człowiek na Krynnie miał takie oczy. Nawet kender ją poznał.

- Tasslehoff? - Dalamar oderwał wzrok od badanych artefaktów. - Doprawdy? Zastanawiałem się, co cię skłoniło do podjęcia ryzyka, jakim jest sprowadzenie go tutaj. Co powiedział?

- Zbyt wiele. I zbyt głośno - odrzekła posępnie Jenna. - Ludzie zaczęli zwracać uwagę.

- Kender również. - Dalamar podszedł do okna i wyjrzał w noc, która wydawała się jedynie pogłębionym mrokiem, jaki wiecznie otulał Wieżę. - Czy to możliwe, żeby legenda mówiła prawdę?

- A cóżby innego? To oczywiste, że dziewczyna wychowała się gdzieś daleko od Ansalonu. Ma przy sobie bezcenne magiczne przedmioty wykonane przez Irdów. Została rozpoznana przez kendera i co ważniejsze, ma złote oczy. Jej wiek jest odpowiedni. No i sam fakt, że coś ją tu skierowało.

Dalamar zmarszczył brwi, niezbyt zadowolony z takich wniosków. - Przypominam ci, że Raistlin Majere nie żyje. Minęło ponad dwadzieścia lat od jego śmierci.

- Tak, mój drogi. Nie denerwuj się. - Jenna przeczesła dłonią miękkie włosy

Dalamera i delikatnie ucałowała go w ucho. - Zostaje jednak drobna kwestia laski Magiusa, zamkniętej w laboratorium Wieży. Strzeżonej przez nieumarłych, którzy otrzymali rozkazy, by nie wpuszczać nikogo, nawet ciebie. A jednak, kto ma teraz laskę? Palin Majere, bratanek Raistlina.

- Laska mogła być równie dobrze podarunkiem Magiusa, jak i Raistlina - stwierdził Dalamar z irytacją, uchylając się przed jej dotykiem. - Magius jest bardziej prawdopodobnym kandydatem, przyjaźnił się bowiem z rycerzem Humą, a wszyscy wiedzą, że bracia Palina zamierzali wstąpić w szeregi rycerstwa. Wyjaśniałem to wszystko Konklawe...

- Tak, mój kochany - powiedziała Jenna, spuszcżając oczy. - Lecz to ty nie chcesz wierzyć w zbiegi okoliczności. Czyżby więc tylko przypadek sprowadził tu tę młodą kobietę? A może coś innego?

- Może masz rację - oznajmił Dalamar po chwili przemyśleń.

Zbliżył się do dużego, ściennego zwierciadła w ozdobnej ramie. Jenna dołączyła do niego. Przez chwilę widzieli tylko swoje odbicia. Dalamar wyciągnął rękę i musnął tafel. Odbicia znikły, zastąpione przez obrazy Ushy i Tasslehoffa, którzy jedli zaczarowane potrawy, pili czarodziejski jabłecznik i śmiali się z wszystkiego i z niczego.

- To dziwne - szepnął Dalamar, obserwując ich. - Myślałem, że to tylko bajki, a oto i ona.

- Córka Raistlina - rzekła cicho Jenna. - Znaleźliśmy córkę Raistlina!

Rozdział VII

GOSPODA „OSTATNI DOM”.

DYSKUSJA STARYCH PRZYJACIOŁ

W Solace była noc. Upał odczuwany za dnia nie ustąpił i promieniował wciąż z ziemi, drzew i ścian domów. Przynajmniej noc przepędziła rozgniewane, płomienne słońce, które wściekle lypało na nieboskłonie jak złe oko jakiegoś rozgniewanego boga. W nocy oko się zamykało i ludzie z westchnieniem ulgi zaczęli wychodzić na ulice.

Tak suchego i gorącego lata nie pamiętał jeszcze nikt w Solace. Spalona słońcem nawierzchnia nie brukowanych ulic popękała. Każdy przejeżdżający wóz wzbijał obłoki duszącego kurzu, który wisiał w powietrzu i przykrywał dolinę jak całun. Przepiękne liście olbrzymich vallenów zwiędły i zwisały jak martwe z zeschniętych, skrzypiących gałęzi.

Życie w Solace stanęło na głowie. Zazwyczaj dzień był porą krzątania - ludzie szli na rynek, rolnicy pracowali w polu, dzieci bawiły się, a kobiety prały bieliznę w strumieniu. Teraz dni były puste i martwe, zwiędłe, przypominały liście na drzewach.

Żar lejący się z nieba wypalił do cna plony w polu, więc rolnicy przestali chodzić na targ. Zamknięto większość straganów na rynku. Na zabawę było za gorąco, więc dzieci nie wychodziły z domów, marudząc, nudząc się i naprzykrzając rodzicom. Bystre potoki wyschły i zmieniły się w kręte, błotniste rzeczulki. Wody jeziora Crystalmir były nienaturalnie ciepłe, a fale wyrzucały na brzeg śnięte ryby. Niewielu ludzi opuszczało za dnia względny chłód swych domów. Zaczynali wychodzić dopiero po zmierzchu.

- Jak nietoperze - rzucił posepnie Caramon Majere do swego przyjaciela, Tanisa Półelfa. - Wszyscy zmieniliśmy się w nietoperze, które śpią w dzień, a latają w nocy...

- Zaglądają wszędzie, tylko nie tutaj - zauważyła Tika. Stała za krzesłem Caramona i wachlowała się tacą. Nawet podczas wojny interesy nie szły tak kiepsko.

Wybudowana wysoko w koronie ogromnego vallenu gospoda „Ostatni Dom”

była jasno oświetlona, co zazwyczaj zwabiało podróżnych wędrujących późną nocą. Przeświecająca przez barwne witraże ciepła poświata podsuwała myśl o chłodnym piwie, grzanym winie z korzeniami, miodzie, musującym jabłeczniku i oczywiście, słynnych korzennych ziemniakach Otika. Tej jednak nocy karczma świeciła pustkami, podobnie jak od dłuższego już czasu. Tika nawet nie zadawała sobie trudu, by palić w kuchennym piecu. Może to i lepiej, bo w kuchni i tak panował taki upał, że nie sposób było tam wytrzymać.

Wokół szynkwasy nie gromadzili się już goście, by opowiadać historie o Wojnie Lancy czy wymieniać najświeższe plotki. Chodziły słuchy, że wśród elfów wybuchła wojna domowa. Powiadano, że krasnoludowie z Thorbardinu wysłali wieść do wszystkich swych rodaków, by wracali do ojczyzny, jeśli nie chcą zostać na zewnątrz, gdy w obawie przed atakiem elfów bramy górskiej twierdzy zostaną zatrzaśnięte. Domokrażcy nie wydeptywali znajomych ścieżek. Kotlarze nie przyjeżdżali już lutować garnków. Nie przybywali minstrele z pieśniami. Jedynymi podróżnymi byli kenderzy, a ci spędzali zwykle noce w więzieniu, nie w gospodzie.

- Ludzie są zdenerwowani i spięci - powiedział Caramon, czując się powołany do usprawiedliwienia nieobecnej klienteli. - Całe to gadanie o wojnie. A jeśli upały nie skończą się wkrótce, nie będzie co zbierać z pola. Tej zimy trudno będzie o jedzenie. Dlatego nie przychodzą...

- Wiem, najdroższy. Wiem. - Tika odłożyła tacę na kontuar. Objęła męża za muskularne barki i uściskała go mocno. - Tylko tak sobie mówię. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Jakbym mógł nie zwracać na ciebie uwagi - rzekł Caramon, gładząc żonę po włosach.

Minione lata nie były dla nich łatwe. Oboje ciężko pracowali w gospodzie, a choć kochali swą pracę, nie szło im lekko. Kiedy większość gości jeszcze smacznie spała, Tika już była na nogach i nadzorowała szykowanie śniadania. Przez cały dzień trzeba było sprzątać pokoje, gotować jedzenie, witać gości pogodnym uśmiechem i robić pranie. Kiedy zapadał zmrok i goście szli spać, Tika zamiatała podłogi, szorowała stoły i układała plan zajęć na następny dzień.

Caramon wciąż miał krzepę trzech mężczyzn i także same rozmiary. Jego pokaźna figura znacznie zmieniła kształt z powodu owego świętego obowiązku, którym było próbowanie wszystkich potraw. Włosy mu trochę posiwiały na skroniach, a czoło pobruździły „zmarszczki od myślenia”, jak je nazywał. Caramon był miłym i

dobroduszną mężczyzną, który ze spokojem przyjmował wszystko, co mu życie przynosiło. Był dumny ze swych synów, uwielbiał córeczki, darzył wielką miłością swą żonę. Jedyne utrata bliźniaczego brata, którego zgubiła ambicja i skłonność do złego, przepełniała go smutkiem i żalem. Nigdy jednakże nie pozwolił, by ta jedyna chmurka przyćmiła mu radość życia.

Chociaż Tika była jego żoną od ponad dwudziestu pięciu lat i urodziła mu pięcioro dzieci, nadal wzbudzała zainteresowanie mężczyzn, kiedy szła przez gospodę. Przez lata nabrała obfitych kształtów, a jej dłonie poczerwieniały i popękały od stałego moczenia w mydlinach. Wciąż jednak miała zniewalający uśmiech i mogła z dumą powiedzieć, że w jej bujnych, rudych kędziorach nie znajdzie nikt choćby pasemka siwizny.

Tanis nie mógł powiedzieć tego samego o sobie. Jego ludzka krew stygła - szybko, jak mu się zdawało. Elfia krew nie mogła wiele uczynić, by go ogrzać. Mimo to wciąż był krzepki i dzielnie się trzymał w walce, choć miał nadzieję, że do niej nie dojdzie.

Może to smutek, zmartwienie i rozterki ostatnich kilku miesięcy przyprószyły mu włosy i brodę siwizną.

Tika i Caramon przez chwilę ściskali się czule, znajdując w swych objęciach spokój i pociechę.

- Poza tym - dodała Tika, oglądając się na Tanisa całe szczęście, że nie jesteśmy zajęci. Kiedy zamierzają przybyć goście?

Tanis wyjrzał przez okno. - Dopiero, kiedy porządnie się ściemni. Przynajmniej taki był plan Porthiosa. Wszystko będzie zależało od samopoczucia Alhany...

- Żeby kazać kobiecie włóczyć się po pustkowiu! I to w takim upale i w jej stanie! Ach, ci mężczyźni! - Narzekała Tika. Wyprostowała się i dla żartu palnęła męża w głowę.

- Dlaczego mnie bijesz? - Spytał Caramon, rozcierając skórę na głowie i spoglądając ukradkiem na żonę. - Ja nic nie miałem z tym wspólnego.

- Wszyscyście tacy sami, ot co - oznajmiła trochę niejasno. Gniotąc bez przerwy fartuch w dłoniach, wyjrzała przez okno w zapadający zmrok.

Nagle Tanis uświadomił sobie, że jest już kobietą w średnim wieku. Dziwne, myślał. Do tej pory tego nie zauważałem. Być może dlatego, że za każdym razem, gdy myślę o Tice Waylan, widzę tę zuchwałą, rudowłosą dziewczynę, która waliła smokowców patelnią po łbach. Przedtem udawało mi się ją rozpoznać w zielonych

oczach Tiki, lecz nie dziś. Teraz widzę zmarszczki wokół jej ust i zgarbione ramiona. A w oczach - strach.

- Coś się przytrafiło chłopcom - powiedziała niespodziewanie. - Coś się stało. Wiem o tym.

- Nic się nie stało - rzekł czule Caramon z odrobiną irytacji. - Jesteś zmęczona. To ten upał...

- Nie jestem zmęczona. I to nie upał! - Krzyknęła Tika w przypiływie złości. - Nigdy się jeszcze tak nie czułam. - Przycisnęła dłoń do serca. - Jakbym się dusiła. Nie mogę zaczerpnąć tchu, tak mnie boli serce. Chyba pójdę zajrzeć do pokoju Alhany.

- Od chwili, gdy przyjechałeś, Tanisie, zagląda do tego pokoju równo co godzinę. - Caramon westchnął. Ze zmartwioną miną przyglądał się, jak żona wchodzi na górę. - Cały dzień dziwnie się zachowywała. Zaczęło się wczoraj w nocy od jakiegoś straszego snu, którego nie umiała sobie przypomnieć. Ale w końcu tak samo było od chwili, gdy chłopców pasowano na rycerzy. Podczas uroczystości nie było osoby bardziej dumnej od Tiki. Pamiętasz, Tanisie? Byłeś tam z nami.

Tanis uśmiechnął się. Tak, pamiętał.

Caramon pokręcił głową. - Ale w nocy, kiedy zostaliśmy sami, płakała, póki jej sen nie zmorzył. Sama nie bała się walczyć ze smokowcami, kiedy była młoda. Przypomniałem jej o tym. Nazwała mnie głupcem. Powiedziała, że to było wtedy, a teraz jest inaczej, i że nie potrafię zrozumieć matczynego serca. Kobiety!

- Gdzie jest młody Sturm i mój imiennik?

- Kiedy mieliśmy od nich ostatnie wieści, jechali na północ w stronę Kalamanu. Wygląda na to, że solamijskie władze nareszcie zaczynają traktować cię poważnie, Tanisie. Miałem na myśli rycerzy Takhisis. - Caramon ściszył głos, choć poza nimi w głównej izbie nie było nikogo więcej. - Palin pisał, że jada na północ patrolować wybrzeże.

- Palin pojechał z nimi? Czarodziej? - Tanis był zdumiony. Przez chwilę zapomniał o własnych strapieniach.

- Nieoficjalnie. Rycerze nigdy nie zgodziliby się zabrać maga, lecz ponieważ miał to być rutynowy patrol, Palinowi pozwolono towarzyszyć braciom. Przynajmniej tak twierdziło naczelne dowództwo. Palin najwyraźniej sądził, że za tym kryje się coś więcej. Przynajmniej tak sugerował.

- Co go skłoniło do takich przypuszczeń?

- Cóż, na przykład śmierć Justariusza.

- Co takiego? - Tanis otworzył oczy ze zdumienia. - Justarius... Nie żyje?

- Nie wiedziałeś?

- Skąd mogłem wiedzieć? - Spytał Tanis. - Od miesięcy włóczę się po lasach, robiąc wszystko, żeby nie dopuścić do rozpętania wśród elfów wojny domowej. Dzisiejszej nocy będę spał w prawdziwym łóżku po raz pierwszy, odkąd opuściłem Silvanesti. Co się przytrafiło Justariusowi? I kto jest teraz głową Konklawe Czarodziejów?

- Nie domyślasz się? Nasz stary przyjaciel. - Caramon miał posępną minę.

- Dalamar. Oczywiście. Powinienem był zgadnąć. Ale Justarius...

- Nie znam szczegółów. Palinowi nie wolno było wiele powiedzieć. Niemniej czarodzieje spod znaku wszystkich trzech księżyców bardzo poważnie potraktowali twoje ostrzeżenia dotyczące rycerzy ciemności, nawet jeśli nikt inny na Ansalonie tego nie uczynił. Justarius zarządził magiczny atak na Szare Szaty z Twierdzy Burz. Razem z kilkoma innymi magami wdarł się do tamtejszej Wieży. Ledwo uszli z życiem, a Justariusowi nawet to się nie udało.

- Głupcy - rzekł Tanis z goryczą. - Czarodzieje Ariakana są niesłychanie potężni. Z tego, co mi powiedział Dalamar, czerpią swą moc z wszystkich trzech księżyców. Niewielka grupka magów z Wayreth próbująca wdrzeć się do Szarej Wieży była skazana na zagładę. Nie mogę uwierzyć, że Dalamar przystał na tak bezsensowny pomysł.

- On z tego wyszedł cały i zdrowy - stwierdził oschle Caramon. - Cały czas się zastanawiam, po której stoi stronie. On też służy Królowej Ciemności.

- Niemniej w pierwszym rzędzie wierny jest magii. Zgodnie z naukami swego *shalafi*.

Tanis uśmiechnął się do starych wspomnień i z zadowoleniem ujrzał, że Caramon też się uśmiecha. Raistlin, bliźniaczy brat Caramona, był dla Dalamara *shalafim*, co w języku elfów oznacza nauczyciela. Choć związek ten zakończył się katastrofą - i niemalże zagładą Krynny - Dalamar bardzo wiele nauczył się od swego *shalafiego*. Był to długi, do którego nigdy nie wahał się przyznać.

- No tak, ty znasz lepiej tego elfa ciemności - przyznał Caramon. - W każdym razie, wziął udział w tym wypadku i należał do nielicznych, którzy cało stamtąd wrócili. Palin powiedział, że Dalamar był ogromnie wstrząśnięty i zdenerwowany i nie chciał mówić o tym, co zaszło. To czarny elf przyniósł ciało Justariususa, choć podejrzewam, że skoro jest towarzyszem Jenny, jego córki, nie miał wielkiego

wyboru. W każdym razie czarodzieje oberwali niezłe cięgi. Justarius nie był jedynym, który zginął, choć był najwyższy rangą. Teraz na czele Konklawe zasiada Dalamar.

- Sądzisz, że to on wysłał Palina z rycerzami?

- Palin musiałby dostać pozwolenie na przerwanie studiów.

- Caramon burknął. - Teraz czarodzieje są znacznie bardziej surowi niż za dawnych czasów. Raistlin chodził, gdzie mu się podobało.

- Raistlin nikogo nie słuchał - rzekł Tanis, ziewając. Żałował, że wspomniał o spaniu w łóżku. Nagle nie mógł się oprzeć myśli o czystej pościeli, miękkim materacu i puchatej poduszce. - Będę musiał porozmawiać z Dalamarem. Najwyraźniej wie coś o tych rycerzach ciemności.

- A powie ci? - Caramon miał wątpliwości.

- Jeśli uzna, że przyniesie mu to korzyść - odparł Tanis.

- Porthios zatrzyma się tu co najmniej na kilka tygodni. Alhanie będzie potrzebny odpoczynek, a i sam Porthios jest na granicy wyczerpania, choć się do tego nie przyznaje. Mam nadzieję, że znajdę czas, by się wymknąć i złożyć wizytę Dalamarowi. A wracając do sprawy - nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny, Caramonie - Tanis położył rękę na wielkiej dłoni ogromnego mężczyzny - za to, że pozwoliłeś Porthiosowi i Alhanie zatrzymać się u siebie. Gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, ich obecność mogłaby narazić cię na niebezpieczeństwo. Zostali oficjalnie wypędzeni, skazani na wygnanie. Są elfami ciemności, a to oznacza, że są łatwym łupem...

- Wielkie mi co! - Caramon machnął lekceważąco dłonią, odpędzając jednocześnie dokuczliwą muchę. - Ludzie w Solace nie znają się na zatargach wśród elfów i nic ich to zresztą nie obchodzi. Co z tego, że Porthios i Alhana zostali wygnani i napiętnowani jako „elfowie ciemności”. Jeśli oboje nie zrobili się nagle fioletowi, nikt tutaj nie zauważy różnicy. Dla nas elf to elf.

- Jednak krążą pogłoski, że na życie Porthiosa i Alhany czyhają zabójcy nasłani zarówno przez Qualinestyjczyków, jak i Silvanestyjczyków. - Tanis westchnął. - Niegdyś byli władcami najpotężniejszych elfich narodów na Ansalonie. Małżeństwo zawiązało między dwoma królestwami sojusz, który mógł uczynić z elfów jedną z ważniejszych sił politycznych na kontynencie. Po raz pierwszy od stuleci urodzi się dziecko będące dziedzicem obu królestw! A już są tacy, którzy poprzysięgli temu dziecku śmierć!

Tanis zacisnął pięści. - Myśl, że większość elfów pragnie pokoju nie tylko ze swymi kuzynami, lecz także z sąsiadami, doprowadza mnie do największej frustracji.

To ekstremiści po obu stronach dążą do tego, abyśmy wrócili do dawnych dni izolacji, zamknęli granice i strzelali do każdego człowieka czy krasnoluda, jakiego zobaczymy. Reszta elfów godzi się z tym, bo łatwiej jest na to przystać niż zaprotestować i wywołać konflikt.

Tanis potrząsnął głową. - Nie podejrzewam, żeby zabójcy ośmielili się zaatakować gospodę, ale w dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo...

- Przetrzyliśmy smoki - rzekł pogodnie Caramon. - Przetrzyjemy elfów, suszę i wszystko, co jeszcze się wydarzy.

- Mam nadzieję - stwierdził Tanis, wpadając w ponury nastrój. - Mam taką nadzieję, przyjacielu.

- Skoro mówimy już o Qualinesti, co u Gila?

Tanis długo milczał. Ból po odejściu Gila nie stał się mniej dokuczliwy, choć minęło wiele miesięcy od chwili, gdy jego syn uciekł z domu, podstępnie nakłoniony do zostania przywódcą - lub raczej marionetkowym władcą - elfów Qualinesti.

Gilthas - nazwany tak na cześć nieszczęsnego brata Laurany, Gilthansa - był dzieckiem, którego oboje pragnęli, choć nie wierzyli, że kiedykolwiek będą mogli je mieć. Laurana źle znosiła ciążę, a Gilthas był wątłym dzieckiem, kilkakrotnie bliskim śmierci. Tanis wiedział, że on i jego żona byli nadmiernie opiekuńczymi rodzicami, którzy nie pozwalali swemu synowi odwiedzić kraju, w którym urodził się. Starali się chronić go przed rasowo podzielonym światem, któremu trudno było przyjąć dziecko mieszanej krwi.

Kiedy Porthios, Mówca Słońc Qualinesti, opuścił swój kraj, by z narażeniem życia walczyć w obronie Silvanesti, ekstremiści skorzystali z jego nieobecności, by okrzyknąć go zdrajcą i wybrać nowego Mówcę. Zdecydowali się na Gilthasa, którego matka, siostra Porthiosa, byłaby jako następna przeznaczona na to stanowisko, gdyby nie zrzekła się tego prawa przez poślubienie Tanisa Półelfa.

Przekonani, że z powodu swej ludzkiej krwi Gil jest wątłym głupcem, z którego można bez trudu uczynić marionetkowego króla, radykałowie nakłonili młodzika, by uciekł z domu i udał się do Qualinesti. Na miejscu jednak okazało się, że jest silniejszy niż senatorowie przypuszczali, więc grozili użyciem przemocy wobec Alhany Starbreeze, uwięzionej przez nich władczyni Silvanestyjczyków, by nakłonić Gila do przyjęcia obowiązków Mówcy.

Tanis usiłował - z pomocą Dalamara - ocalić syna, lecz poniósł porażkę.

A może to zwycięstwo, powiedział do siebie Tanis z pełną smutku dumą. Gil

postanowił zostać i służyć swojemu ludowi, dokładając wszelkich starań, by pokrzyżować zamysły radykałów i przywrócić pokój narodom elfów.

Z upływem czasu ból z powodu braku syna nie zmniejszył się, a teraz w dodatku rozwścieczony, pragnący zemsty Porthios zbiera siły, by wydać wojnę Qualinesti. Była to tragedia, której Tanis pragnął zapobiec. Kiedy poczuł, że znów panuje nad swym głosem, odpowiedział.

- Słyszałem, że Gil ma się dobrze. Wiesz, że nie wolno mi go widywać - pod karą śmierci.

Caramon pokiwał głową, a na jego dużej twarzy malował się wyraz serdecznego współczucia.

- Laurana wciąż próbuje pojechać do Qualinesti. Od miesięcy już prowadzi rozmowy z elfami. W ostatnim liście pisała, że zaczynają ustępować. Gil ma z tym coś wspólnego. Jest silniejszy niż im się wydaje. Pomimo to... - Tanis wzruszył ramionami i pokręcił głową - brak mi go, Caramonie. Nie potrafisz sobie wyobrazić...

Caramon, który tęsknił za swoimi chłopcami, potrafił sobie wyobrazić, lecz wiedział, co Tanis ma na myśli. Istniała różnica. Syn Tanisa był w zasadzie więźniem swego własnego ludu, a chłopcy Caramona któregoś dnia wrócą do domu.

Ciągnęli dalej rozmowę o minionych i obecnych czasach, gdy przerwało im ciche pukanie do drzwi.

Wystraszony Caramon podskoczył. - A to kogo diabli niosą? Tak późno w nocy? Nie słyszałem, żeby ktoś wchodził po schodach...

- I nie usłyszysz - rzekł Tanis, wstając. - To eskorta Porthiosa. Jego żołnierze stąpają cicho, nawet jak na elfów. Blask księżyca, padając na trawę, czyni więcej hałasu od nich.

Tanis podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce. Pamiętając o tym, co mówił Caramonowi o zabójcach, cicho gwizdnął.

Odpowiedział mu gwizd o wyższej tonacji. Pukanie znów się powtórzyło.

Tanis otworzył drzwi.

Do środka wślizgnął się elfi wojownik. Szybko powiódł wzrokiem po sali, po czym skinął głową z zadowoleniem. Zakończywszy inspekcję, przeniósł wzrok na Tanisa.

- Wszystko zabezpieczone?

- Wszystko zabezpieczone. Przedstawiam waszego gospodarza, Caramona Majere. Caramonie, poznaj Samara z rodu Protektorów.

Samar zmierzył Caramona chłodnym spojrzeniem. Wylewający się ze spodni brzuch i nieco gapiowate oblicze rosłego mężczyzny nie wywarło szczególnie korzystnego wrażenia na elfie.

Ci, którzy stykali się z Caramonem po raz pierwszy, często brali jego przyjazny uśmiech i powolność myślenia za oznaki głupoty. Nie było to jednak prawdą, o czym wiedzieli jego przyjaciele. Caramon nie udzielał odpowiedzi, póki nie obszedł w myślach pytania i nie zbadał go ze wszystkich stron. Kiedy już skończył, częstokroć wyciągał niezwykle celne wnioski.

Caramon nie należał jednak do tych, którzy daliby się zastraszyć elfowi. Odpowiedział mu tym samym spojrzeniem, trzymając głowę wysoko i pewnie. W końcu to była jego gospoda.

Na chłodną twarz Samara wypłynął półuśmiech. - Caramon Majere, Bohater Lancy. „Wielki mężczyzna, lecz serce ma większe od ciała”. Tak mawia moja królowa. Witam cię w imieniu Jej Wysokości.

Nieco skrzepowany Caramon zamrugął. Niezdarnie skinął elfowi głową. - Jasne, Samarze. Cieszę się, że mogę pomóc Alhanie. To znaczy... Jej... Hm... Wysokości. Możesz do niej wrócić i powiedzieć, że wszystko gotowe. Nie musi się o nic martwić. Ale gdzie Porthios? Myślałem...

Tanis nadepnął zwałistemu mężczyźnie na stopę i szepnął: - Nie nadmieniam o Porthiosie Samarowi. Później ci wyjaśnię. - Głośno natomiast czym prędzej zmienił temat. - Porthios też przybędzie, Caramonie. W towarzystwie osobnej eskorty. Wcześniej przyszedłeś, Samarze. Nie spodziewałem się...

- Jej Wysokość nie czuje się dobrze - przerwał Samar. - Dlatego też zmuszony jestem prosić waszmościów o wybaczenie i wracać do niej. Czy jej komnata już przygotowana?

Tika pośpiesznie zbiegła na dół z wyrazem niepokoju na twarzy. - Caramonie! Co tam się dzieje? Słyszałam czyjeś głosy. Och! - Dostrzegła Samara. - Witajcie, panie.

- To moja żona, Tika - oznajmił z dumą Caramon. Choć byli już dobrze ponad dwadzieścia lat po ślubie, wciąż uważał swą żonę za najpiękniejszą kobietę na świecie, a siebie za najszczęśliwszego mężczyznę.

Samar złożył jej pełen wdzięku, choć śpieszny ukłon. - Pani. A teraz, jeśli zechcecie mi wybaczyć, moja królowa nie czuje się dobrze...

Tika otarła twarz fartuchem. - Czy zaczęły się już bóle porodowe?

Samar splonął się. Wśród elfów nie uważano takich spraw za odpowiednie do

rozmowy w mieszanym towarzystwie. - Nie potrafię powiedzieć, pani...

- Czy wody już jej odeszły? - Nie przestała wypytywać Tika.

- Pani! - Samarowi twarz płonęła. Był najwyraźniej zgorzony. Nawet Caramon się zaczerwienił.

Tanis odchrząknął. - Tiko, nie sędzę...

- Mężczyźni! - Parsknęła Tika. Złapała swój płaszcz, który wisiał na kołku na drzwiach. - A jak, waszym zdaniem, miała się dostać na górę? Może umie latać? A może spodziewaliście się, że wejdzie po schodach? W tym stanie? Tak blisko rozwiązania?

Wojownik obejrzał się na liczne stopnie wiodące do obergerzy. Było oczywiste, że wcale się nad tym nie zastanawiał.

- Nie... Nie mam pojęcia...

Tika wyminęła go i już w drzwiach wydawała polecenia. - Tanisie, napal w kuchni i zagotuj wodę. Caramonie, biegnij sprowadzić Dezrę. To nasza akuszerka - Tika wyjaśniła Samarowi, łapiąc go po drodze za rękaw i ciągnąc za sobą. - Uprzedziłam ją, żeby się tego spodziewała. Chodź, panie Samowar, czy jak ci tam. Zaprowadzisz mnie do Alhany.

Samar wyrwał się jej z rąk. - Pani, tak nie można! To wykluczone! Mam rozkazy...

Tika utkwiała w nim zielone oczy i wysunęła podbródek. Caramon i Tanis zamienili spojrzenia. Obaj znali tę minę.

- Przepraszam, najdroższa - Caramon precyzyjnie się obok niej, otworzył drzwi i skierował się w stronę schodów.

Tanis uśmiechnął się pod wąsem i odszedł szybko, znikając w kuchni. Słyszał jeszcze Tikę.

- Jeśli mnie nie zaprowadzicie, wyjdę na zewnątrz, stanę po środku rynku i wrzasnę ile sił w płucach...

Samar był dzielnym wojownikiem. Walczył z ogami i smokowcami, lecz Tika Waylan Majere rozbroiła go i pokonała w pierwszym starciu.

- Nie, pani! - Błagał Samar. - Proszę! Nikt nie może się dowiedzieć o naszej obecności. Zaprowadzę cię do mojej królowej.

- Dzięki ci, panie. - Tika była wielkodusznym zwycięzcą. - A teraz ruszaj czym prędzej!

Rozdział VIII

SMOCZY LOT.

SMOCZA RADA. STRAŻNIK I JENIEC

Błękitna smoczyca i jej jeźdźcy opuścili Valkinord po zachodzie słońca. Lecieli nad Ansalonem w ciemności i ciszy.

Nocne niebo było czyste, a powyżej, na wysokości rzadkich chmur, panował chłód, którego na Ansalonie darmo by szukać gdzie indziej. Steel zdjął hełm w kształcie czaszki i rozpuścił długie, czarne włosy, by wiatr od smoczyczych skrzydeł osuszył mu spoconą głowę i kark. Zdjął większą część ciężkiej zbroi, którą nosił podczas bitwy i zatrzymał jedynie napierśnik przykryty ciemnoniebieskim podróżnym płaszczem. Do ramion i nóg powyżej wysokich, skórzanych butów przypiął ochraniacze ze skóry. Był ciężko uzbrojony, bowiem zapuszczał się na terytorium wroga. Długi łuk, kołczan ze strzałami i oszczep przymocował do siodła smoka. Przy sobie miał miecz - prastary miecz swego ojca, rycerza solamnijskiego, oręż, który niegdyś należał do Sturma Brightblade.

Steel trzymał dłoń na jego rękojeści - był to gest, do którego przywykł. Z góry spoglądał w mrok, usiłując dostrzec coś w ciemności. Może światła wioski albo blask czerwonego księżyca odbijający się w jeziorze. Niczego jednak nie zobaczył.

- Gdzie jesteśmy, Flare? - Spytał nagle. - Nie widziałem żywego ducha od chwili, gdy opuściliśmy wybrzeże.

- Nie sądziłam, że miałbyś na to ochotę - odparła smoczyca. - Każda napotkana tu osoba będzie nieprzyjaźnie do nas nastawiona.

Steel wzruszył ramionami, okazując lekceważenie wobec takiej rozwagi. Trevalin mówił o „niezmiernym niebezpieczeństwie”, bowiem podróżowali przez terytorium wroga, lecz w rzeczywistości niewiele im groziło. Największym niebezpieczeństwem były inne smoki, srebrne i złote. Według doniesień, te nieliczne, które pozostały na Ansalonie, gdy ich pobratymcy wrócili na Smoczą Wyspę, skupiły się na północy wokół Solamnii.

Niewielu ludzi w tej części kraju odważyłoby się walczyć z rycerzem ciemności i niebieską smoczą. Flare, choć mała jak na przedstawiciela swej rasy - miała zaledwie dwanaście metrów - była młoda, dzika i zażarta w boju. Większość błękitnych smoków doskonale posługiwała się magią; Flare była wyjątkiem. Zbyt porywczej smoczyca zabrakło cierpliwości niezbędnej do rzucania czarów. Wolą używać w walce kłów i pazurów oraz miotać z paszczy niszczycielskie błyskawice, zdolne strzaskać mury zamku i podpalić las. Flare nie miała najlepszego zdania o czarodziejach, dlatego nie cieszyła się na wieść o tym, że będzie transportować jednego z nich. Steel musiał bardzo długo ją prosić, nakłaniać, a wreszcie przekupić ćwiartką jeleniny, zanim zgodziła się, by Palin siadł na jej grzbiecie.

- On tego nie robi, wiesz przecież. - Flare zauważyła złośliwie, pożerając smakowity kąsek. - Wystarczy, że raz spojrzysz na mnie i pobrudzi cię ze strachu te śliczne białe szatki.

Steel też się tego obawiał. Najdzielniejszy wojownik na świecie może zamienić się w tchórzliwą babę z powodu smoczego strachu - tego przerażenia i zgrozy, jakie smoki wzbudzały w swych wrogach. Palin rzeczywiście zbladł jak trup na widok smoczycy o roziskrzonych, niebieskich łuskach, płonących oczach i rzędach ostrych zębów, które ociekały krwią spożytej przed chwilą przekąski.

Początkowo Steel bał się, że młodzieniec zrezygnuje i będą zmuszeni poszukać innego, powolniejszego środka transportu. Jednakże widok umocowanych za siodłem zwłok braci dodał młodemu magowi odwagi. Palin zacisnął wargi, śmiało podszedł do smoczycy i korzystając z pomocy Steela, wdrapał się na jej grzbiet.

Steel wyczuł drżenie młodego czarodzieja, lecz Palin powstrzymał się od wydania okrzyku i nie pisnął ani słowa. Zachowywał się z dumą i godnością. Steel był pełen uznania dla jego odwagi.

- Uprzedzam cię, że wiem, gdzie jestem, na wypadek gdybyś myślał, że się zgubiłam - dodała cicho Flare. Leciałyśmy z Sarą tą trasą... Tamtej nocy. Tej nocy, gdy przyszła do Caramona. Tej nocy, gdy przyszła cię zdradzić.

Steel wiedział, o której nocy wspomina smoczą, i zachował ponure milczenie. Na siedzeniu za jego plecami - rycerz wymienił swe jednoosobowe siodło na takie, w którym mieściły się dwie osoby - Palin wiercił się i mamrotał niezrozumiałe słowa. Nawet smoczy strach nie mógł pokonać wycieńczenia. Mag zapadł w sen, który najwyraźniej przynosił mu niewiele otuchy, bowiem młodzieniec skrzywił się, przeraźliwie krzyknął na głos i zaczął się miotać.

- Ucisz go - ostrzegła smoczyca. - Możemy nie widzieć w dole śladów życia, jednak nie znaczy to, że ich tam nie ma. Lecimy nad górami Khalkist, które zamieszkują podgórcy krasnoludowie. Ich zwiadowcy są czujni i przebiegli, a nas dobrze widać na tle rozgwieżdżonego nieba. Bez trudu nas rozpoznają i przekażą wiadomość dalej.

- Ani im, ani nikomu innemu wiele by z tego nie przyszło - zauważył Steel, lecz wiedział, że lepiej nie drażnić smoczycy.

Odwrócił się w siodle i złapał mocno maga za ramię.

Jego dotyk uspokoił Palina. Młodzieniec westchnął głęboko i ułożył się wygodniej. Dwuosobowe siodło skonstruowano tak, by niosło do boju dwóch rycerzy: jednego władającego stalą, a drugiego albo magią, albo kapłańskimi zaklęciami przydatnymi do przeciwdziałania czarnoksiężskim atakom nieprzyjaciela. Siodło było wykonane z lekkiego drewna obciążonego skórą i wyposażone w kieszenie i uchwyty nie tylko na oręż, lecz także na składniki zaklęć i artefakty. Jeźdźców dzieliła półka obita pikowaną skórą. Wewnątrz znajdowała się szuflada na zwoje, prowiant i inne przybory. Palin wsparł głowę na tej właśnie półce, kładąc splamiony krwią policzek na ramieniu. W drugiej ręce, nawet przez sen, ścisnął laskę Magiusa, którą - zgodnie z jego poleceniem - przywiązano do siodła.

- Znów przeżywa bitwę - zauważył Steel. Widząc, że mag się uspokoił, rycerz cofnął rękę i odwrócił twarz do świszczącego wiatru.

Smoczyca pokazała parsknięciem i podrzuceniem swego błękitnołuskiego łba, co sądzi na ten temat. - To była druzgocąca klęska. Nie zaszczycaj jej mianem „bitwy”.

- Solamniczycy walczyli dzielnie - odparł Steel. Nie ustępowali pola. Nie rozpierzchli się, ani też nie zhańbili złożeniem broni.

Flare potrząsnęła grzywą, lecz nic nie powiedziała. Steel miał dość rozumu, by nie obstawać przy swoim. Smoczyca brała udział w Wojnie Smoków dwadzieścia sześć lat temu. W tamtych czasach żołnierze Królowej Mroku nie przepuszczali okazji, by ośmieszyć nieprzyjaciela albo mu ubliżyć. Każdy smoczy władca, który ośmieliłby się wychwalać rycerzy solamnijskich, jak to przed chwilą uczynił Steel, straciłby stopień, a może także życie. Flare, jak większość smoków wiernych Takhisis, z trudem godziła się z nowym sposobem myślenia. Żołnierz powinien szanować wrogów, w tym podzielała zdanie lorda Ariakana. Ale wychwalanie nieprzyjaciela było jej zdaniem przesadą.

Steel nachylił się i poklepał smoczycę po karku, okazując tym samym, że

szanuje jej punkt widzenia i nie będzie miał więcej uwag.

Flare, która ogromnie lubiła swego pana - szczerze mówiąc, świata za nim nie widziała - okazała swą wdzięczność, zmieniając przedmiot rozmowy. Jednak, jak się okazało, temat, który wybrała, potwierdził, że błękitne smoki nie słyną z taktu.

- Pewno nie miałaś żadnych wieści od Sary? - Spytała Flare.

- Nie - odparł Steel oziębło, trzymając emocje na uwięzi. - Wiesz dobrze, że nie wolno nam wymieniać jej imienia.

- Jesteśmy sami. Kto nas usłyszy? Może dowiemy się czegoś o niej podczas pobytu w Solace.

- Nie chcę o niej słyszeć - odrzekł Steel, wciąż tym samym nieprzyjaznym tonem.

- Pewnie masz rację. Gdybyśmy przypadkiem odkryli jej kryjówkę, bylibyśmy zmuszeni ją pojmać i przyprowadzić z powrotem. Lord Ariakan może sobie do woli chwalać nieprzyjaciół, ale nie znosi zdrajców.

- Sara nie jest zdrajczynią! - Wykrzyknął Steel. Wybuch gniewu stopił jego chłód. - Wiele razy mogłaby nas zdradzić, ale pozostała wierna...

- Tobie - stwierdziła Flare.

- Wychowywała mnie, gdy opuściła mnie moja własna matka. To oczywiste, że mnie kochała. Byłoby to nienormalne, gdyby było inaczej.

- A ty kochałaś ją. Nie miałam na myśli nic, co by ci uwłaczało - dodała Flare, wyczuwszy, że Steel poruszył się niespokojnie w siodle. - Ja również kochałam Sarę, jeśli można powiedzieć, że smoki darzą miłością śmiertelników. Traktowała nas jak istoty rozumne. Pytała nas o zdanie, zasięgała naszej rady i w większości przypadków słuchała jej. Gdy nadarzyła się jedyna okazja, kiedy mogłam jej pomóc, nie przyszła do mnie. - Flare westchnęła. - Szkoda, że nigdy nie potrafiła zrozumieć naszej sprawy. Powinna była otrzymać Objawienie. Wysunęłam taką propozycję, lecz oczywiście lord Ariakan nie chciał mnie słuchać.

- Z tego co słyszałem, nie jestem pewien, czy moja prawdziwa matka miałaby zrozumienie dla naszej sprawy - stwierdził zgryźliwie Steel.

- Pani Kitiara? - Zachichotała rozbawiona tą myślą Flare. - Tak, ona chadzała własnymi ścieżkami i do Takhisis z każdym, kto stanął jej na drodze. Cóż to jednak była za wojowniczką! Nieustraszona, śmiała, zręczna. Jestem jedną z walczących pod jej dowództwem nad Wieżą Najwyższego Klerysta.

- Ta bitwa nie przysporzyła jej wielkiej chluby - rzucił oschle Steel.

- To prawda, że Kitiara poniosła porażkę, lecz potem podźwignęła się, by pokonać lorda Ariakusa i zdobyć dla siebie koronę władzy.

- Co przyczyniło się do naszej ostatecznej klęski. „Zło obraca się przeciwko sobie”. To manifest zdrady i zazdrości, który oznaczał zagładę. Ale nigdy więcej. Jesteśmy teraz sprzymierzeńcami, braćmi w Objawieniu i poświęcimy wszystko, by spełniły się nasze plany.

- Ty nigdy nie ujawniłeś swej części Objawienia, Steelu Brightblade - zauważyła Flare.

- Nie wolno mi. Ponieważ nie zrozumiałem jej w pełni, opowiedziałem o tym lordowi Ariakanowi. On również tego nie rozumiał i oznajmił, że najlepiej będzie zachować wizję dla siebie i nie mówić o niej nikomu innemu.

- Ja nie jestem ktoś „inny”! - Żachnęła się Flare, strosząc z oburzenia niebieską grzywę.

- Wiem o tym - powiedział serdeczniej Steel, znów klepiąc smoczycę po karku. - Jednak mój dowódca zabronił mi rozmawiać o tym z kimkolwiek. Widzę jakieś światła. Musimy być już blisko.

- Światła, które widzisz, to Sanction. Musimy tylko przelecieć nad Nowym Morzem i znajdziemy się w Abanasinii, bardzo blisko Solace. - Flare rozejrzała się po niebie i sprawdziła wiatr. Wydawało się, że powoli ucichł. - Już prawie świt. Posadzę ciebie i maga na obrzeżu wioski.

- Gdzie się skryjesz w ciągu dnia? Nikt nie powinien cię widzieć.

- Schronię się w Xak Tsaroth. Nawet po tylu latach miasto wciąż jest puste. Ludzie uważają je za nawiedzone. Owszem, ale tylko przez gobliny. Zjem ich sobie kilku na śniadanie przed snem. Czy mam wrócić po ciebie o zmroku, czy czekać na twoje wezwanie?

- Zaczekaj, aż cię wezwę. Nie wiem jeszcze, jakie będę miał plany.

Oboje mówili nonszalancko i żadne nie wspomniało o tym, że znajdują się daleko na terytorium wroga i w każdej chwili narażeni są na śmiertelne niebezpieczeństwo, a nie mogą liczyć na niczyje wsparcie. Na Ansalonie mieszkało kilku rycerzy zakonu Takhisis, którzy pełnili rolę szpiegów, przenikając w szeregi wroga i werbując chętnych. Jednak nawet gdyby Steel rozpoznał tych rycerzy, nie mógłby skorzystać z ich pomocy. Nie mógł uczynić niczego, co uchyliłoby rąbka otaczającej ich tajemnicy. Oni mieli własne, zgodne z Objawieniem zadania, a on swoje. Tylko że nie był zupełnie pewien, czego miało dotyczyć.

Flare zostawiła łąd daleko za sobą i szybowała nad falami Nowego Morza. Czerwony księżyc jeszcze nie zaszedł, lecz szare światło poranka przyćmiło połysk Lunitari. Księżyc spiesznie zanurzał się w morzu, jakby wdzięczny, że może zamknąć swe czerwone oko.

Palin jęknął przez sen i wymówił imię swego nieżyjącego brata. - Sturm...

Zabrzmiało niesamowicie w kontekście przypomnianego Objawienia. Tak nazywał się brat maga, lecz jemu nadano imię na cześć ojca, Steel.

- Sturm... - Powtórzył Palin.

Steel odwrócił się w siodle.

- Zbudź się! - Rozkazał szorstko poirytowany rycerz. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

*

Ani Steel, ani Palin nie wiedzieli o tym, że smoczyca postawiła ich na ziemi niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym wiele lat temu spotkało się dwóch przyjaciół.

Tamte czasy nie były szczególnie odmienne od obecnych. Jedyne różnice to chyba pora roku - wtedy była jesień, nie lato.

Podobnie jak teraz, panował pokój i większość twierdziła, że będzie trwał wiecznie.

Palin Majere opierał się o ten sam głaz, na którym niegdyś odpoczywał Flint Fireforge. Steel Brightblade kroczył ścieżką, po której niegdyś stąpał Tanis Półelf. Palin spojrzął w dolinę. Zwykle korony vallenów przesłaniały wszelkie ślady życia w osadzie, którą wzniesiono wysoko wśród gałęzi drzew. Jednakże teraz gęste, zielone listowie miało kolor przykurzonego brązu, a wiele liści uschło i opadło. Odsłonięte domy były nagie, osamotnione i bezbronne.

Choć było jeszcze wcześnie, a mieszkańcy Solace budzili się i rozpoczynali dzień, w dolinie jednak nie było widać dymu z palenisk domów czy kuźni. Rozpalenie ognia groziło pożarem. W zeszłym tygodniu wyschnięty na pieprz vallen stanął w płomieniach, od których zajęło się kilka domów. Na szczęście nikt nie zginął; ich mieszkańcy zdołali wyskoczyć i się ocalić. Od tej pory ludzie wystrzegali się zapalania ognia.

Gospoda „Ostatni Dom” była największym budynkiem w Solace i pierwszym, jaki ujrzeli dwaj wędrowcy. Palin spoglądał na swój dom i pragnął pobiec do niego, a jednocześnie stamtąd uciec. Steel zdjął zwłoki braci Palina z grzbietu smoczyce.

Owinięte w płótno szczątki spoczywały teraz na prostych, prowizorycznych włókach, które rycerz robił z gałęzi. Związywał właśnie ostatnie draگی. Kiedy skończy, zaczął podróż z boczem na dół.

- Gotowe - oznajmił Steel i pociągnął sanie. Podskoczyły na kamieniu, a potem ruszyły drogą, wzbijając za sobą obłok kurzu.

Palin nie spojrział na włóki. Usłyszał ich skrobanie o ziemię, pomyślał o ciężarze, jaki na nich spoczywa i zacisnął pięści z rozdzierającego bólu.

- Czujesz się na siłach iść dalej? - Spytał Steel. Choć głos rycerza brzmiał srogo i szorstko, był pełen szacunku i nie drwił z żalu Palina.

Palin był mu wdzięczny za to, niemniej czuł się upokorzony tym pytaniem. Sturm i Tanin chcieliby, aby w obliczu wroga sprawiał wrażenie silnego mężczyzny, a nie mięczaka.

- Nic mi nie jest - skłamał. - Sen przyniósł mi ulgę, podobnie ten okład, który mi przyłożyłeś na ranę. Idziemy?

Podniósł się i zaczął schodzić ze wzgórza, wspierając się całym ciężarem na lasce Magiusa. Steel poszedł jego śladem, ciągnąc za sobą włóki. Palin obejrzał się i zobaczył, jak leżące na saniach ciała podskakują na wyboistej drodze do wtóru grzechoczącej zbroi. Potknął się i stracił równowagę.

Steel złapał Palina i postawił go na nogi.

- Najlepiej patrzeć przed siebie i nie oglądać się - rzekł rycerz. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie możesz tego zmienić.

- Mówisz, jakbym rozlał mleko! - Odparł ze złością Palin. - To moi bracia! Kiedy pomyślę, że nigdy więcej już z nimi nie porozmawiam, że nie usłyszę ich śmiechu, ani... Ani... - Zmuszony był przerwać i przełknąć łzy. - Nie przypuszczam, abyś kiedyś stracił kogoś, na kim ci zależało. Wam wszystkim nie zależy na niczym - z wyjątkiem rzezi!

Steel nic nie powiedział, jednak sposepniał na wspomnienie utraty bliskiej osoby. Kroczył dalej, ciągnąc bez trudu ciężkie sanie. Jego ocienione ściągniętymi, czarnymi brwiami oczy stale się poruszały, jednak nie bez celu. Badał otoczenie. Steel czujnie przyglądał się kępom drzew i splątanym zarośłom.

- Co się stało? - Palin rozejrzał się dokoła.

- To byłoby doskonałe miejsce na zasadzkę - zauważył Steel.

Ściągnięte bólem oblicze Palina rozpogodziło się lekko. - Rzeczywiście kiedyś zostało wykorzystane. Właśnie tutaj hobgoblin znany jako Małomistrz Toede

zatrzymał Tanisa Półelfa, Flinta Fireforge i Tasslehoffa Burrfoota, pytając ich o laskę z błękitnego kryształu. Ten moment zmienił ich życie.

Zamilkł, rozmyślając o straszliwych chwilach, jakie zmieniły jego życie i zakończyły życie jego braci. Głos Steela nie zakłócił jego myśli, a raczej im towarzyszył.

- Czy wierzysz w przeznaczenie, panie magu? Spytał zniecierpliwiony Steel, patrząc na spaloną słońcem drogę. - Ta chwila, ta zasadzka, jak mówisz, zmieniła życie półelfa. Z tego wniosek, że jego losy potoczyłyby się inaczej, gdyby to wydarzenie nie miało miejsca. A jeśli tak się musiało stać, jeśli nie było możliwości, aby tego uniknąć? Może ta chwila przyczaiła się i czyhała na niego tak samo, jak hobgobliny. A jeśli... - Ciemne oczy Steela spoczęły na Palinie. - Jeśli twoi bracia urodzili się po to, by zginąć na tej plaży?

To pytanie było jak cios w brzuch. Przez chwilę Palin nie mógł oddychać. Cały świat zdawał się przechylać, wszystko, czego go uczono, wymykało się. Czyżby jakieś nieubłagane fatum czatowało na niego gdzieś w zaroślach? Czyżby był zaplątanym w pajęczynie czasu owadem, który wije się i drga, beznadziejnie próbując ucieczki?

- Nie wierzę w to! - Odetchnął głęboko i poczuł się lepiej. Przejaśniło mu się w głowie. - Bogowie dają nam wybór. Moi bracia postanowili zostać rycerzami. Nie musieli tego robić. Prawdę mówiąc, nie przyszło im to łatwo, bowiem nie byli Solamniczycami i nie mieli rycerskich przodków...

- Więc postanowili zginąć - rzekł Steel, przenosząc wzrok na trupy. - Mogli uciec, ale nie zrobili tego.

- Nie zrobili tego - powtórzył cicho Palin.

Zdumiony pytaniem czarnego rycerza i ciekaw, co też się za nim kryje, Palin przyjrzał się uważnie Steelowi. Przez chwilę młody czarodziej widział, jak spod żelaznej maski zimnego, bezlitosnego zdecydowania wylania się ludzkie oblicze - twarz wyrażająca powątpiewanie, dążenie do czegoś i udrękę.

On o coś prosi, ale o co? O pociechę? Zrozumienie? Palin zapomniał o własnych strapieniach i gotów był wyciągnąć do niego rękę, by wesprzeć go swą skromną pomocą. Jednakże w tej samej chwili Steel odwrócił się i zobaczył patrzącego nań Palina.

Żelazna maska znów przysłoniła twarz rycerza. - Więc powzięli dobrą decyzję. Polegli na polu chwały.

Palin poczuł nawrót gniewu i goryczy. - Powzięli złą decyzję. Ja powziąłem złą

decyzję. Co w tym chwalebne! - Wskazał ciała leżące na prymitywnych włókach. - Jaka to dla mnie chwała, że muszę powiedzieć matce... Powiedzieć jej...

Odwróciwszy się na pięcie, Palin opuścił miejsce, gdzie Tanis po raz pierwszy usłyszał o lasce z błękitnego kryształu i ruszył w dalszą drogę.

Usłyszał za sobą głos Steela, który w myślach snuł przypuszczenia: - Mimo wszystko, to doskonałe miejsce na zasadzkę.

A potem zgrzyt włóków, które podskakiwały i ślizgały się w kurzu.

Rozdział IX

OSTRZEŻENIE. ELFOWIE SIĘGAJĄ PO BRONŃ.

TIKA SIĘGA PO PATELNIĘ

Promień wczesnego słońca zaglądał do oberży przez jedno z okien o szybkach w kształcie rombów i zaświecił Tanisowi prosto w oczy. Oślepiiony Półelf obudził się i uświadomił sobie, że spał. Zdrzemnął się w jednej z drewnianych łóż o wysokich oparciach. Usiadł, przetarł twarz i oczy. Był więcej niż tylko trochę zły na siebie, gdyż miał szczery zamiar czuwać przez całą noc, a tu masz, sen go zmorzył jak pijanego krasnoluda.

Po drugiej stronie pokoju wygnany król elfów, Porthios, siedział przy stole zasłanym mapami, mając przy łokciu butelkę elfiego wina i kielich. Pisał coś, lecz Tanis nie miał pewności, co - raport, list do sprzymierzeńca. Może notował plany albo uzupełniał dziennik. Tanis przypomniał sobie, że Porthios prawie nie zmienił pozycji od chwili, gdy półelf zapadł w sen. Tylko fakt, że we flaszcze ubyło wina, świadczył o tym, że minęło trochę czasu.

Byli braćmi, choć nie łączyły ich więzy krwi. Tanis poślubił siostrę Porthiosa, Lauranę. Wszyscy wychowali się i dorośli razem. Najstarszy Porthios urodził się po to, by zająć miejsce przywódcy swego narodu i traktował ten obowiązek poważnie. Nie pochwalał tego, iż jego siostra poślubiła półczłowieka, jakim nieodmiennie był w jego oczach Tanis.

Porthiosowi brak było wdzięku swego ojca, nieżyjącego Mówcy Słońc. Z natury surowy, poważny i aż nadmiernie szczery w rozmowie, gardził wypowiedzianymi dyplomatycznymi kłamstwami. Był dumnym mężczyzną, lecz powściągliwość i brak ufności we własne siły sprawiały, że tym, którzy go nie znali, duma ta wydawała się arogancją. Zamiast starać się pozbyć tej wady, Porthios przy jej pomocy zbudował mur dzielący go od wszystkich, którzy go otaczali, nawet od kochających i podziwiających go osób. A było co podziwiać - Porthios był utalentowanym wodzem i dzielnym wojownikiem. Przyszedł z pomocą Silvanestyjczykom i narażał życie w walce

z przerażającym snem Loraca, który dręczył ich krainę. To ich zdrada sprawiła, że zgorzkniał. Z tego samego powodu Tanis uważał, że chyba nie może mieć do szwagra pretensji za chęć zemsty.

Zmagania odcisnęły na Porthiosie swe piętno. Niegdyś wysoki, przystojny, królewski z wyglądu elf przygarbił się lekko, jakby przygnieciony ciężarem gniewu i żalu. Włosy miał długie, potargane i upstrzone pasemkami siwizny, czego prawie nigdy nie widywano nawet u najstarszych elfów. Skórzana zbroja, którą miał na sobie, była sztywna i nadwerężona; niegdyś piękne ubranie strzępiło się na obrębieniach i rozchodziło w szwach. Twarz elfa przypominała maskę, zimną, nieubłaganą i pełną goryczy. Tylko czasami maska odsłaniała to, co kryło się pod spodem - oblicze mężczyzny, który bolał nad swym narodem, szykując się jednocześnie do wydania mu wojny.

Tanis podniósł głowę, gdy brzuchaty Caramon, ziewając, przywłókł się i usadowił w łoży naprzeciwko przyjaciela.

- Zasnąłem - powiedział Tanis, drapiąc się po brodzie.

Caramon uśmiechnął się szeroko. - Komu to mówisz? Twoje chrapanie obudziłoby umarłego!

- Trzeba było mnie zbudzić. Miałem trzymać straż!

- Po co? - Caramon znów ziewnął i potargał sobie włosy. - Nie jesteśmy przecież w wieży obleżonej przez czterdzieści siedem pułków hobgoblinów. Jechałeś cały dzień. Należał ci się odpoczynek.

- Nie o to chodzi - odparł Tanis. - Robię złe wrażenie.

Spojrzał na swego szwagra. Choć król elfów nie patrzył na Tanisa, po zaciętym wyrazie jego twarzy i sztywnej postawie odgadywał myśli Porthiosa: „Mięczak! Żałosny półczłowiek!”

Caramon rzucił okiem w tym samym kierunku i wzruszył ramionami. - Obaj dobrze wiemy, że byłby takiego samego zdania, choćbyś nawet nie zasnął już do końca życia. Chodź, pójdziemy się umyć.

Zwalisty mężczyzna pierwszy zszedł po schodach na parter. Już było gorąco. Tanis miał wrażenie, że lada moment powietrze stanie w ogniu. Poniżej gospody znajdowała się beczka, która powinna być wypełniona wodą. Caramon zajrzał do jej wnętrza i westchnął. Kadź była niemal w połowie pusta.

- Co się stało ze studnią? - Spytał Tanis.

- Wyszła. Prawie u wszystkich studnie wyschły jeszcze pod koniec wiosny.

Ludzie wożą wodę z jeziora Crystalmir, a to daleka droga. Beczka była pełna jeszcze zeszłego wieczoru. Niektórzy wystawiają strażę, żeby pilnowały ich wody.

Caramon sięgnął po czerpak, nachylił się nad kadzią i napełnił naczynie. Podał je Tanisowi.

Ten przyjrzał się zabłoconym odciskom stóp, które otaczały beczkę. Błoto było wciąż wilgotne.

- Ale nie ty - stwierdził Tanis. Z uśmiechem wypił słonawą ciecz. - Ty każdego dnia pokonujesz drogę do Crystalmir i z powrotem, by przywieźć wodę dla oberży. I nawet nie korzystasz z połowy tej wody, bo sąsiedzi cię okradają.

Caramon zaczerwienił się i chlusnął sobie w twarz. - Wcale nie okradają. Powiedziałem im, że mogą sobie wziąć, ile potrzebują, ale niektórzy czują się zawstydzeni. Za bardzo przypomina im to zebranie, a w Solace jeszcze nikt nie musiał żebrać. Nawet wtedy, gdy po wojnie nadeszły ciężkie czasy. Nikt nie był też wtedy zmuszony kraść tylko po to, żeby przeżyć.

Caramon westchnął głęboko, po czym wytarł twarz rękawem koszuli, parszkając i sapiąc. Tanis obmył sobie twarz ostrożnie, by zużyć jak najmniej cennej wody. Niektóre ze śladów wokół beczki były nieduże, wielkości stóp dziecka.

Tanis odwiesił czerpak na hak na drzewie. - Czy Porthios czuwał przez całą noc?

Wrócił z Caramonem do schodów, lecz nie od razu weszli na górę. Wspólna izba pełna ponurych elfów o skwaszonych minach, z których połowa nie odzywała się do drugiej połowy, nie była najmiłym miejscem na świecie.

- Nie widziałem, by choć zmrużył oko - stwierdził Caramon, spoglądając w górę na okno, przy którym siedział król elfów. - Jego żona rodzi. Wiem, że ja nie spałem, kiedy Tika... Była w tym samym stanie.

- To potrafię zrozumieć - powiedział ze złością Tanis. - Każdy mąż potrafiłby. Porthios jednak sprawia wrażenie, jakby bardziej szykował się do wojny, niż do roli ojca. Nie sądzę, aby choć raz spytał o samopoczucie Alhany.

- Nie dosłownie - rzekł powoli Caramon. - Tika w końcu dość często schodziła na dół i dodawała mu otuchy. Naprawdę nie ma potrzeby, aby pytał. Obserwowałem Porthiosa i sądzę, że mylisz się co do niego. Myślę, że bardzo kocha Alhanę i w tej chwili ona i nienarodzone dziecko są dla niego najważniejsi na świecie.

- Chciałbym w to uwierzyć. Moim zdaniem oddałby ich oboje, żeby odzyskać królestwo. Chodzi tylko o to, że... Na Otchłań, co tam...?

Wiszący nad ich głowami most, jeden z tych, które służyły za „drogi” łączące domy w koronach drzew w Solace, zakołysał się i zaszeleścił. Przemknął po nim elfi żołnierz. Z jego posępnej miny można było zgadnąć, że niesie złe wieści. Tanis zamienił spojrzenie z Caramonem i obaj pobiegli na górę. Gdy dotarli do gospody, elf już składał meldunek Porthiosowi.

- Co tam? Co się dzieje? - Spytał spóźniony Caramon, zasapany i zaczerwieniony z wysiłku, do którego nie był przyzwyczajony. - O czym oni mówią?

Pilną rozmowę prowadzono w języku elfów Qualinesti.

Przysłuchujący się Tanis uciszył wielkiego mężczyznę ruchem ręki. Zasłyszane słowa wyraźnie go zaniepokoiły. Odwróciwszy się do Caramona, wciągnął go za szynkwas.

- Zwiadowcy meldują, że zauważyli żołnierza, człowieka o długich, czarnych włosach, przyodzianego w strój sił ciemności. Szedł głównym traktem w stronę Solace. Caramonie Tanis złapał go za ramię - towarzyszy mu czarodziej w białych szatach. Młody czarodziej.

- To Palin - rzekł natychmiast Caramon. - A ten drugi? Czy myślisz o tym samym, co ja?

- Opis wskazuje na Steela Brightblade.

- Ale po co Steel miałby tu przychodzić? Jest z nim ktoś jeszcze?

- Oprócz Palina najwyraźniej nie.

- W takim razie, na wszystkich bogów, co oni robią razem?

I to tutaj?

Tanis przemilczał resztę meldunku - fakt, że paladyn ciemności ciągnął za sobą włóki, obciążone najprawdopodobniej ciałami dwóch rycerzy. Miał ponure przeczucie, że zna odpowiedź na pytania przyjaciela, lecz mógł się mylić. Łudził się taką nadzieją i modlił do Paladine'a, oby rzeczywiście był w błędzie.

Porthios wydawał rozkazy. Cały oddział elfów zerwał się na nogi, sięgając po łuki i strzały i wydobywając miecze.

Caramon przyglądał się z niepokojem temu zamieszaniu.

- Co oni robią, Tanisie? Tam przecież może być Palin!

- Wiem. Ja się tym zajmę. - Tanis podszedł do Porthiosa i wtrącił się do jego rozmowy. - Zechciej mi wybaczyć, bracie, lecz opis tego młodego maga skłania mnie do przypuszczeń, iż jest to syn Caramona Majere, twojego gospodarza - dodał z naciskiem. - Ten młodzieniec należy do bractwa Białych Szat. Chyba nie chcesz na

niego napaść?

- Nie napadniemy na nich, bracie - odwarknął Porthios, zniecierpliwiony wtrącaniem się. - Zamierzamy nakazać im, aby się poddali. Potem przesłucham ich obu. - Spojrzał ze złością na Caramona i odezwał się w mowie wspólnej. - Twój syn może i jest magiem Białych Szat, lecz przebywa w towarzystwie żołnierza zła.

Twarz Caramona oblała się wściekle czerwonym rumieńcem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Porthiosie - wtrącił się Tanis - doskonale wiesz, że paladyn ciemności nie złoży broni. Będzie walczył, twoi ludzie będą walczyć i...

- Jeśli skrzywdzisz mojego syna - oznajmił chłodno Caramon, zaciskając pięści - pożałujesz tego.

Zrobił krok naprzód.

Elfi żołnierze - ci, którzy byli z Qualinesti - natychmiast zasłonili sobą Porthiosa. Zazgrzytały miecze, błysnęła stal.

- Co wy, mężczyźni, sobie wyobrażacie? Wypowiedziawszy te słowa z pogardą, pobladła z wściekłości

Tika odepchnęła męża na bok, patrząc ze złością na niego i pozostałych w izbie. Sięgnęła za kontuar i wyjęła starą, żelazną patelnię, którą niegdyś tyłu smokowcom przyłożyła po głowach. Zbliżając się do najbliższego elfa, pogroziła mu nią.

- Czyście wszyscy poszaleli? - Spytała syczącym szeptem.

- Ty, panie. - Wskazała patelnią na Porthiosa. - Twoja żona rodzi! I mogę ci powiedzieć, że nie przychodzi jej to łatwo! To wszystko przez te wąskie biodra elfich kobiet. A wy, mężczyźni - zatoczyła łuk patelnią - pobrzękujecie tu na dole mieczkami i zachowujecie się gorzej od dzieci! Nie pozwolę na to! Słyszeliście mnie! Nie pozwolę!

I brzdęk, patelnią w stół.

Elfowie, z minami jednocześnie głupimi i zawziętymi, nie ruszyli się z miejsca. Caramon nie ustąpił kroku. Tika ścisnęła patelnię mocniej w garści.

Tanis podszedł do Porthiosa. Mówił cicho w mowie elfów, żeby ani Tika, ani Caramon nie zrozumieli go. - Twój zwiadowca wspomniał, że paladyn ciemności ciągnie sanie, na których leżą dwa ciała. Istnieje możliwość, że to synowie Caramona i Tiki. Chcesz zmącić spokój umarłym?

Był to jedyny argument, który mógł skłonić Porthiosa do zmiany zdania. Z powodu swego niezwykle długiego życia elfowie szanują śmierć i obdarzają czcią

zmarłych.

Porthios obejrzał się na Caramona. Sprawiał wrażenie niezdecydowanego.

Chcąc wykorzystać przewagę, Tanis ciągnął dalej. - Może się mylę, lecz myślę, że znam tego paladyna ciemności. Pozwól mi porozmawiać z nim i młodym magiem na osobności. Jeśli dzieje się to, co przypuszczam, wtedy czarny paladyn - bez względu na to, czy jest sługą Królowej Mroków - postępuje szlachetnie i szlachetnie, choć grozi mu to śmiercią. Pozwólcie mi dowiedzieć się prawdy, zanim poleje się krew, a zmarli zostaną zbezczeszczeni.

Porthios zastanowił się. - Moja straż będzie ci towarzyszyć.

- To nie jest konieczne, bracie. Spójrz, w najgorszym przypadku mnie zabiją - dodał zgryźliwie Tanis.

Jedna strona srogiej twarzy elfa drgnęła. Porthios naprawdę się uśmiechnął. - Możesz temu dać wiarę lub nie, Półelfie, lecz twoja śmierć zasmuciłaby mnie. Zawsze cię lubiłem, choć możesz w to nie wierzyć. Bywało nawet, że cię podziwiałem. Uważam cię tylko za nieodpowiedniego partnera dla mojej siostry.

Uśmiech rozplynął się, a na jego miejscu pojawił się smutek, znużenie i nieodparte zmęczenie. Porthios podniósł oczy ku pokojowi, w którym leżała Alhana, być może walcząca o życie swoje i jego dziecka.

- Idź, Półelfie - rzekł Porthios cichym i zmęczonym głosem. - Idź porozmawiać z tym honorowym czarcim pomiotem. Zrobisz wszystko po swoim. Zawsze tak było. - Znów spojrzał w górę i oczy mu rozbłysły. - Ale moja straż i tak będzie ci towarzyszyć.

Było to swego rodzaju zwycięstwo i Tanis wiedział, że lepiej nie walczyć o kolejne ustępstwa. Udało mu się tyle zdobyć tylko dlatego, że Porthios był zbyt zmęczony i stroskany, by się sprzeczać.

Być może, pomyślał Tanis, przypasując miecz, ten surowy i niezłomny elf rzeczywiście kocha swoją żonę. Tanis zastanawiał się, co Alhana, elfia królowa Silvanesti, sądzi o mężczyźnie, którego poślubiła z powodów politycznych. Czy ona również go pokochała?

- Wszystko w porządku - oznajmił Tanis Caramonowi i Tice, przechodząc znów na mowę wspólną. - Porthios udzielił mi zgody, bym zajął się sytuacją. Tiko, wróć lepiej do Alhany.

Tika nic z tego nie rozumiała, lecz poczuła ulgę, że problem został zażegnany. Prychnęła pogardliwie, mruknęła coś pod nosem, cisnęła z hukiem patelnię i pobiegła po schodach na górę.

Tanis szedł w kierunku drzwi, kiedy zauważył, że Caramon starannie odwiązuje fartuch, którym miał przepasaną okazałą talię. Najwyraźniej wybierał się towarzyszyć przyjacielowi. Tanis szybko podszedł do Caramona i położył rękę na jego ramieniu.

- Pozwól mi się tym zająć, Caramonie. Możesz być potrzebny tutaj.

Caramon potrząsnął głową. - Nie mylisz się. Ten chłopiec może okazać się moim Palinem. Jeśli to prawda, coś mu się przytrafiło.

Tanis spróbował jeszcze raz z innej strony. - Musisz zostać. Miej na oku tych elfów. Porthios jest zdesperowany, doprowadzony do ostateczności. Może wywołać jakieś kłopoty. Nie chcielibyśmy tu jatki.

Caramon zawahał się i obejrzał ukradkiem na elfiego króla-banitę.

- Jeśli to Palin, zajmę się nim - ciągnął Tanis. Jakby był moim własnym synem. - Głos zadrzął mu lekko na wspomnienie ukochanego syna, z którym od miesięcy nie miał kontaktu ani osobistego, ani listownego.

Caramon przeniósł spojrzenie na Tanisa i zmierzył go uważnym, nieustępliwym wzrokiem. - Ty wiesz o czymś, czego nie chcesz mi powiedzieć.

Tanis zaczerwienił się. - Caramonie, ja...

Rosły mężczyzna westchnął, a potem wzruszył ramionami. - Idź już. Wiem, że zaopiekujesz się moim chłopcem - i Steelem, jeśli to naprawdę on. Kto wie, może jeszcze przejdzie na naszą stronę. Będę miał oko na naszego pana Skwaszonego. - Wskazał kciukiem na Porthiosa.

- Dzięki, przyjacielu - rzekł Tanis i wyszedł, by Caramon albo Porthios nie zmienili zdania.

Rozdział X

DOSKONAŁE MIEJSCE

NA ZASADZKĘ

Palin i Steel zatrzymali się na odpoczynek w lesie otaczającym Solace. Właściwie to raczej Palin stanął, by odpocząć. Steel zatrzymał się, by z nim zostać. Rana dokuczała młodemu magowi. Był zbolący i znużony. Co prawda, do domu było już blisko, lecz powrót nie oznaczał dla niego pociechy, a jedynie okropny obowiązek powiadomienia rodziców o śmierci ich dzieci. Przysiadł na pniu wykarczowanego drzewa.

- Proszę, napij się. - Steel podsunął magowi manierkę z wodą.

Palin przyjął ją i wypił skromny łyk, pomny, czego nauczył się podczas wędrówek z rycerzami. Oddał bukłak Steelowi.

- Dziękuję. Zdaje się, że swoją zgubiłem w czasie... Tam na plaży.

Steel nie słyszał go i nie widział podsuwanej mu manierki. Znajdowali się na niewielkiej polanie, która, sądząc po zostawionych zabawkach i porozrzucanych wokół śmieciach, służyła miejscowym dzieciom za plac zabaw. Steel patrzył w górę, w koronę jednego z vallenów. Kiedy Palin też tam spojrzał, dostrzegł ciemny obiekt przyczajony wśród gałęzi. W pierwszej chwili przestraszył się, lecz potem wróciły wspomnienia.

- Nie bój się. To tylko fort na drzewie - powiedział. - Moi bracia bawili się tu w wojnę, kiedy byliśmy mali. Bawili się w wojnę. Wtedy to była dla nas tylko zabawa. Oni byli wojownikami, a ja ich magiem. Kiedy „ginęli”, ja ich wskrzeszałem swoimi „czarami”...

- Mówisz, że tu bawią się dzieci - przerwał głośno Steel.

Mocno schwyił Palina za ramię. Mag z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że rycerz nie okazuje mu swego współczucia. Ten uścisk był ostrzeżeniem.

- Mów dalej - powiedział cicho Steel. Prawą dłoń trzymał na barku Palina, a w lewej ścisnął sztylet. Palin dostrzegł błysk klingi pod ciemnoniebieskim płaszczem rycerza.

Czarodziej zeszywniał i instynktownie sięgnął po swój woreczek ze składnikami zaklęć. Wtedy przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Na litość boską, to było Solace!

Wstał z pewnym trudem. - To pewno tylko miejscowe dzieci...

Steel posłał szybko Palinowi spojrzenie błyszczących oczu. - To nie dzieci. - Znow przyglądał się drzewom. - Elfowie. Rób, co ci rozkażę i nie wchodź mi w drogę.

- Elfowie! Nie mówisz chyba...

Steel boleśnie zacisnął palce na ramieniu Palina. Czarodziej ściszył głos do szeptu. - Tu nie ma żadnych elfów w promieniu stu pięćdziesięciu mil od...

- Zamilcz - powiedział chłodno Steel. - Jakie masz przygotowane zaklęcia?

Palin był skonsternowany. - Ja... Ja... Właściwie żadne. Nigdy nie myślałem... Popatrz, to mój dom...

Przerwał im cichy świst, a potem głuchy stuk. Opierzone drzewce drżało w pniu, na którym uprzednio siedział Palin. Strzała była elfiej roboty.

Pięciu elfich wojowników zeskoczyło z drzew i wylądowało lekko na ziemi. W mgnieniu oka podnieśli napięte łuki. Cztery groty były wymierzone w Steela. Jeden w Palina.

Zdumiony i oszołomiony czarodziej wybałuszał oczy na elfów. Jedyne, co mu przychodziło na myśl wśród zamętu, jaki czuł w głowie, to świadomość, że znow zawiódł. Nieliczne zaklęcia, jakie posiadał, były - jego zdaniem - bezużyteczne, nawet gdyby wcześniej powierzył je pamięci. Poza tym i tak w chwili rozpoczęcia recytacji z pewnością padłby martwy ze strzałą w sercu.

Steel wypuścił Palina. Wsunąwszy sztylet za pasek, rycerz wydobył miecz i stanął twarzą w twarz z wrogiem.

- Jesteś złą istotą, choć nie wiemy, jakiego rodzaju - powiedział jeden z elfów do Steela. - Mogliśmy zabić cię jeszcze na trakcie, lecz zainteresowała nas twoja rozmowa z magiem Białych Szat. Ponadto wiesz zwłoki dwóch rycerzy solamnijskich. Widać to, co słyszeliśmy, jest prawdą. Mój pan chciałby z tobą porozmawiać.

Steel przerzucił pelerynę przez ramię, z dumą odsłaniając insygnia na napierśniku: czaszkę i lilię śmierci. - Spójrzcie na nie i ujrzyjcie swą zgubę. Jestem rycerzem Takhisis. Nie obchodzi mnie, co słyszeliście, a co do waszego pana, to niech go Otchłań pochłonie. Elfowie napięli łuki.

- Jeśli zamierzasz coś zrobić, panie magu, radzę, abys uczynił to teraz - rzekł cicho i ponuro Steel.

Palin oblizal spierzchnięte wargi i wymówił pierwsze i jedyne magiczne słowo, jakie mu przyszło na myśl. *Shirak!*

Kryształowa kula na czubku laski Magiusa zapłonęła jaskrawym światłem, oślepiając na chwilę wojowników. Elfowie zmrużyli oczy i odwrócili głowy.

- Świetnie się spisałeś! - Pochwalił Steel i skoczył naprzód, zataczając mieczem śmiertelny łuk.

- Nie! Zaczekaj! - Palin złapał Steela za ramię, próbując go powstrzymać.

Blask laski przygasł. Elfowie odzyskali wzrok, jeszcze nie całkowicie, lecz przynajmniej w wystarczającym stopniu. Strzała rozdarła rękaw habitu Palina. Kolejna uderzyła w kirys Steela i odbiła się od niego. Dwie następne niechybnie trafią do celu.

-- *Astanti!* - Padł wydany ostrym tonem rozkaz w mowie, w której Palin rozpoznał język elfów Qualinesti.

Elfowie opuścili łuki, szukając tego, kto wydał owo polecenie.

- Odlóżcie broń - ciągnął dalej, przechodząc już na wspólną mowę. - Ty też, Steelu Brightblade.

Zaskoczony dźwiękiem swego imienia, Steel cofnął się, lecz tylko po to, by sprawdzić, jakie nowe niebezpieczeństwo mu zagraża. Nie opuścił miecza.

Na polanę wszedł Tanis Półelf, któremu towarzyszyło sześciu elfów. Był sam i nie trzymał broni, choć u pasa miał miecz. Przemknął wzrokiem po dwóch trupach przywiązanych do włóków, na chwilę zatrzymał się na Palinie i Steelu, aby wreszcie skupić się na elfich wojownikach, którzy trzymali dwóch mężczyzn jako zakładników.

- Wysłał mnie wasz władca, Porthios - powiedział Tanis do elfów, nadal w mowie wspólnej, by Palin - i szczególnie Steel - mogli zrozumieć słowa półelfa. - Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie swych towarzyszy, którzy przybyli ze mną.

Jeden z elfów z eskorty Tanisa skinął lekko głową.

- Znam obu tych mężczyzn - ciągnął dalej Tanis, podchodząc do Palina i Steela, zasłaniając ich własnym ciałem. - Jestem przekonany, że źle zrozumieliście ich zamiary...

- Jakie zamiary przypisujesz temu niewolnikowi ciemności? - Zapytał jeden z elfów. - Oprócz zgładzenia nas?

- Tego zamierzam się dowiedzieć - odparł Tanis. Położył dłoń na ramieniu Steela, ostrzegając rycerza, by się opanował. - Zaufaj mi - rzekł cicho. - Zaufaj mi tak, jak ufałeś mi w Wieży Najwyższego Klerysta. Nie zdradzę cię. Wydaje mi się, że wiem, po co przybyłeś.

Steel usiłował zrzucić jego rękę. Krew wrzała w młodzieńcu, który aż rwał się do walki.

- Nie możesz wygrać - powtórzył cicho Tanis. - Zginiesz nadaremnie. Czy twoja królowa pragnęłaby tego?

Steel zawahał się, walcząc z bitewnym zapalem. Ogień zgasł w jego oczach, które były teraz zimne i ciemne. Rycerz niechętnie schował miecz do pochwy.

- Teraz wasza kolej. - Tanis obejrzał się na elfów.

Obrażeni elfowie powoli opuścili łuki. Może nie uczyniliby tego na polecenie Tanisa, lecz gest elfa wysłanego przez Porthiosa świadczył o tym, że rozkaz jest niezwyklej wagi.

- Wracajcie na swoje posterunki - polecił Tanis. - Zostawcie nas na chwilę samych - dodał do żołnierzy króla elfów.

Elfowie zniknęli w cieniu drzew vallen, lecz pozostali w zasięgu wzroku, a ich strzały tkwiły wciąż na łuku.

Kiedy zostali sami, Tanis zwrócił się do Palina. - Powiedz mi, synu. Powiedz, co się stało.

Dźwięk serdecznego głosu, widok znajomej twarzy i myśl o nowinie, jaką niósł, okazały się ponad siły Palina. Oczy zaszkły mu łzami i nie mógł wykrztusić słowa.

- Odwagi - rzekł Tanis i dodał: - nie trzeba wstydzic się łez, Palinie; jest pora na płacz, ale wierz mi, że nie teraz! Muszę się dowiedzieć, co tu obaj robicie. I to natychmiast, zanim wszyscy zaczniemy wyglądać jak jeden z przyborów z koszyka do szycia twojej matki.

Odwagi, młodzieńcze, rozległ się szept. Jestem przy tobie.

Palin wzdrygnął się. Słyszał już kiedyś ten głos, znał go równie dobrze, jak głos swego ojca. A może nawet lepiej. Nie przemawiał do niego od bardzo, bardzo dawna.

To musi być znak! Pomyślał.

Łzy mu obeschły. Opowiedział o wczorajszych wydarzeniach, które wydawały mu się tak odległe.

- Wysłano nas do Kalamanu, abyśmy przyjrzeni się umocnieniom i złożyli raport o najlepszych metodach obrony na wypadek napaści z północy. Było nas bardzo niewiele, może w sumie pięćdziesięciu ludzi. I tylko dwudziestu rycerzy. Reszta to giermkowie, paziowie i ludzie z gminu, którzy powozili wozami taboru. Przez kilka miesięcy nadzorowaliśmy rozbudowę fortyfikacji w Kalamanie. Potem pojechaliśmy na wschód z zamiarem dotarcia do Twierdzy Północnej. To właśnie w drodze tam...

Przerwał, westchnął z drżeniem i dokończył. - Jechaliśmy konno wzdłuż wybrzeża. Tej nocy rozbiliśmy obóz. Morze było spokojne i puste. Z nastaniem świtu ujrzeliśmy pierwszy okręt.

- Przecież wraz z waszymi oddziałami musiały lecieć smoki. Jak to możliwe, że przegapiły...

- Nie mieliśmy smoków, Tanisie - rzekł Palin, a jego blade policzki przybrały barwę lekkiego szkarłatu. - Najwyższe dowództwo nie uważało tego za konieczne i nie chciało im się narzucać.

- Głupcy! - Rzucił z goryczą Tanis. - Powinniście mieć smoki. Powinno być pięciuset rycerzy, nie dwudziestu. A mówiłem im. Ostrzegałem ich!

- W rzeczywistości nie uwierzyli w ani jedno twoje słowo, Tanisie. - Palin westchnął. - Wysłano nas tylko po to, by cię „udobruchać”. Przykro mi, Tanisie. Tak nam powiedział dowódca. Żaden z rycerzy nie brał na serio tej wyprawy. Traktowali ją raczej jak... Wakacje.

Tanis pokręcił głową i rzucił okiem na spowite całunami ciała. - Dlaczego nie wróciliście do Kalamanu, żeby ostrzec pozostałych?

- Początkowo dostrzeżono tylko jeden okręt - wyjaśnił Palin. - Jeden z wyższych rangą rycerzy zaśmiał się i powiedział coś mniej więcej w tym sensie, że skoro pobiliśmy ich dwadzieścia sześć lat temu, to pobijemy i teraz.

- Głupcy - powtórzył Tanis, lecz wyszeptał to pod nosem.

- Stanęliśmy na brzegu i czekaliśmy na nich. Wszyscy żartowali i śmiali się. A potem... - Głos zadrżał Palinowi. - Potem w polu widzenia pojawił się drugi okręt. A potem trzeci. Później straciliśmy rachubę.

- A wy zostaliście, żeby walczyć. W obliczu przeważających sił wroga, pozbawieni szans.

- Nieprzyjaciel mógł nas zobaczyć z okrętów - odparł na swą obronę Palin. - Jakby to wyglądało, gdybyśmy uciekli?

- Rozsądnie? - Podsunął Tanis.

Rumieniec Palina pociemniał. Młodzieniec spuścił wzrok na ciała zabitych i szybko zamrugnął.

Tanis westchnął, drapiąc się po zaroście. - Wszyscy polegli? - Spytał przyciszonym głosem.

Palin przełknął ślinę i pokiwał głową. - Tylko ja przeżyłem.

- Powiedział to tak cicho, że Tanis musiał się nachylić, by go usłyszeć.

- Twoi bracia, Tanin... Sturm...

Palin wskazał włóki.

- Niech Paladine ma ich w swej opiece - rzekł Tanis. Przygarnął Palina do siebie. Młodzieniec drżał, lecz trzymał się dzielnie. - Zostałeś wzięty do niewoli, jak sądzę. - Rzucił okiem na Steela.

Palin pokiwał głową, nie będąc w stanie mu odpowiedzieć.

- To rozumiem - ciągnął Tanis - ale nie bardzo pojmuję, co ty tu robisz, Steelu Brightblade. - Głos Tanisa nabrał nieprzyjemnego brzmienia. - Czy byłeś odpowiedzialny za ich śmierć?

Steel zrobił pogardliwą minę. - A cóż to byłaby za różnica, gdybym rzeczywiście ich zabił? Jesteśmy żołnierzami. Zakładam, że znali ryzyko, bo inaczej nie zostaliby rycerzami.

- Jest różnica, możesz mi wierzyć - stwierdził Tanis. - Jesteście kuzynami z tej samej krwi. Pytam raz jeszcze: zabiłeś ich?

Palin wtrącił się. - On tego nie zrobił, Tanisie. Napadli nas dziwni cudzoziemcy, barbarzyńcy, którzy malowali swe ciała na niebiesko. Niemniej dowodzili nimi rycerze.

- Jestem rycerzem. Walczę z grzbietu smoka - oznajmił dumnie Steel. - Solamniczyców rozgromiły wojska piesze.

- Rozumiem - powiedział poważnie Tanis, najwyraźniej notując sobie w pamięci ten ważny fakt, by go później przekazać dowódcy rycerzy solamnijskich w Wieży Najwyższego Klerysta. Znów spojrzął na Steela. - Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego tu przybyłeś. Gdyby tylko chodziło o okup za Palina, mógłby tym się zająć pierwszy lepszy posłaniec...

- Przybyłem spłacić dług. Ciała poległych miały być złożone we wspólnym grobie. Oczywiście z wszelkimi honorami - dodał Steel z błyskiem w czarnych oczach. - Walczyli dzielnie. Nie uciekli, jak niektórzy mogliby radzić. Wieść jednak o ich śmierci jeszcze długo nie dotrze do rodzin. Być może nigdy. Kiedy poznałem imię tego oto młodego maga i dowiedziałem się, że jego dwaj bracia polegli w bitwie, skorzystałem z okazji, by spłacić dług zaciągnięty wobec ich ojca, Caramona Majere. Przywoziłem ciała jego dwóch synów, by urządzić im odpowiedni pogrzeb.

- Narażałeś życie, by przywieźć zabitych? - Spytał Tanis z niedowierzaniem.

Steel wzruszył ramionami. - Czymże jest życie bez honoru?

- *Est Sularus Oth Mithas* - szepnął Tanis. - „Mój honor jest moim życiem”.

Jesteś taki sam, jak twój ojciec.

Steel naburmuszył się. Ścisnął rękojeść miecza w garści. - Jestem rycerzem Takhisis - oznajmił chłodno. - Czczę pamięć mego ojca, ale to tylko pamięć - nic więcej. Żyję jedynie po to, by służyć mej królowej.

Tanis spojrział znacząco w kierunku szyi rycerza. Miecz nie był jedynym podarunkiem, jaki zmarły ojciec wręczył synowi. Magiczny, elfiej roboty niepojęty dla Tanisa symbol - gwiazdny klejnot - oznaka dobra i uczucia, który Sturm nosił na szyi, został także przekazany synowi. Nie mógłby go dotknąć, a co dopiero nosić ten, którego serce wypełniał mrok. A mimo to Tanis widział, jak kamień błyszczał na piersi Steela Brightblade.

Czy ukrywał go teraz pod tą odrażającą zbroją, pokrytą symbolami śmierci i zniszczenia? A może pozbył się go, zerwał go z szyi, złożył w ofierze na splamionym krwią ołtarzu Królowej Ciemności?

Tanis nie widział klejnotu. Steel spokojnie wytrzymał spojrzenie półelfa, nie skrzępowany w najmniejszym stopniu. Jeśli nosił kamień, był dość opanowany, by się z tym nie zdradzić.

Niebezpieczny człowiek, pomyślał Tanis. Jeśli wszyscy paladyni Takhisis są do niego podobni, to rzeczywiście jesteśmy w opałach.

- Czy Kalaman został zaatakowany? - Spytał Tanis, patrząc na Steela.

- Wkrótce tak się stanie - odparł rycerz. - A do tego czasu również Twierdza Północna. Nie zdradzam żadnych sekretów. Lord Ariakan chce, żeby Solamnijczycy usłyszeli o sromotnej klęsce, jaką ponieśli.

Tanis przyglądał się przez chwilę Steelowi w ponurym milczeniu, po czym zwrócił się do Palina, który wyglądał, jakby mógł w każdej chwili zemdleć. - Porozmawiamy o tym później. Teraz musimy zabrać cię do domu. Pomogę ci zawiadomić rodziców o śmierci twoich braci. Pamiętaj, Palinie, twoi rodzice oboje byli żołnierzami. To ich oczywiście zmartwi, ale...

- To nie wszystko, Tanisie - oznajmił Palin.

Tanis już się tego domyślił. - Zostałeś zatrzymany dla okupu.

- Tak. I jeśli okup nie zostanie zapłacony, stracę życie.

- Ile wynosi ten okup? Nieważne - dodał szybko Tanis. - Bez względu na wysokość sumy, znajdziemy pieniądze. Z przyjemnością się dołożę. Tak samo...

- Oni nie domagają się pieniędzy, Tanisie - przerwał Palin, trochę zniecierpliwiony. - W końcu jestem czarodziejem.

- Uczniem czarodzieja - powiedział z udawaną beztróską Tanis. Miał straszne przeczucie, że wie, co za chwilę usłyszy i łudził się, że zdoła ten moment odwlec. Klepnął Palina po ramieniu.

- Nie zadzieraj nosa, młody człowieku.

Tanis obejrzał się na Steela. - Jak już mówiłem, ten młodzieniec jest uczniem. Dopiero co przeszedł próbę. Czarodzieje może zechcą oddać za niego kilka pomniejszych magicznych przedmiotów, lecz nic wartościowego. Znacznie korzystniejszą dla waszego zakonu transakcją byłaby zgoda na przekazanie wam pieniędzy...

- Palin Majere może być zaledwie uczniem, lecz jego stryj, Raistlin Majere, był kimś więcej - odparł zgryźliwie Steel. - Przekazał swemu bratankowi jeden cenny podarunek. - Rycerz pokazał laskę Magiusa. - Bez wątpienia nie poprzestałby na tym, gdyby się dowiedział, że temu młodzieńcowi grozi śmierć.

- Czy cały świat oszalał? - Domagał się odpowiedzi Tanis.

- Raistlin Majere nie żyje! Nie żyje od dwudziestu lub więcej lat. Nie wręczył Palinowi laski. Dał mu ją Dalamar Mroczny...

Steel przyglądał mu się tymi obojętnymi, ciemnymi oczyma.

- Niepotrzebnie strzępię sobie język! Czego żądacie w zamian? - Spytał Tanis.

- Chcą, żeby otworzyć Portal - odpowiedział mu cicho Palin. - Szarzy Rycerze chcą znaleźć drogę do Otchłani.

- Kiedy portal się otworzy - oznajmił Steel - nasza królowa wejdzie do tego świata. A my rzucimy jej świat do stóp!

Rozdział XI

OKUP. POKÓJ RAISTLINA.

PLAN PALINA

Steel stanął tuż za drzwiami gospody Ostatni Dom. Trzymał się na uboczu, chłodny i dumny, stojąc bez ruchu i nie okazując żadnych uczuć, gdy Tanis najdelikatniej, jak potrafił, powiadomił Tikę i Caramona o śmierci ich dwóch najstarszych synów.

- Wiedziałam o tym! - Zakrzyknęła w pierwszym odruchu Tika. Przycisnęła ręce do serca. - Błogosławiony Paladine, wiedziałam o tym. Czułam to tutaj. Och, dobrzy bogowie, czemu? Czemu? - Załamywała ręce i kiwała się na krześle.

Palin objął matkę. - Przykro mi - powiedział załamującym się głosem. - Tak mi przykro...

Caramon siedział jak ogłuszony. - Moi chłopcy - szepnął. - Moi chłopcy. - A potem z głośnym szlochem wyciągnął ręce i przygarnął Palina mocno do piersi. - Przynajmniej ty jesteś bezpieczny...

Tanis stał na uboczu i przeczekał pierwszy przyływ żalu, by przekazać jeszcze gorsze wieści pogrążonym w żałobie rodzicom. Palin nie był bezpieczny. Groziło mu znacznie większe niebezpieczeństwo, niż potrafili sobie wyobrazić.

Wreszcie Palin otarł łzy i spojrzał na Tanisa.

- Ty im powiedz - poprosił cicho.

- Co powiedz? Co nam masz powiedzieć? - Spytał Caramon, który siedział ze spuszczoną głową i trząsł się.

- Palin jest jeńcem rycerzy ciemności - oznajmił Tanis. - Żądają za niego okupu.

- Oczywiście zapłacimy bez względu na jego wysokość - odparł Caramon. - Sprzedamy cały nasz majątek, jeśli zajdzie taka potrzeba...

- Nie pieniędzy się domagają, Caramonie - rzekł Tanis, bezskutecznie szukając jakiegoś delikatnego sposobu, żeby o tym powiedzieć. - Chcą, żeby czarodzieje otworzyli portal do Otchłani. Chcą posłużyć się Palinem do uwolnienia Królowej

Ciemności.

Caramon uniósł stroskaną twarz i popatrzył najpierw na Tanisa, a potem na Palina i Steela. - Ależ... To kpina! Czarodzieje nigdy nie otworzą portalu! To wyrok śmierci! Nie zabierzecie go! Nie zabierzecie!

Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, Caramon zerwał się z krzesła i rzucił się na Steela. Ciężar masywnego mężczyzny sprawił, że obaj z impetem uderzyli w ścianę.

- Caramonie, przestań! - Tanis i Palin starali się oderwać Caramona od czarnego rycerza. Caramon usiłował zacisnąć dłonie na gardle Steela. - To nie pomoże!

Steel nie sięgnął po broń. Unosząc ręce, złapał potężnego mężczyznę za ramiona i zdołał rozerwać jego chwyt. Popchnął Caramona w objęcia syna i przyjaciela. Steel stał, dysząc ciężko i wodząc czujnym i nieufnym wzrokiem.

- Biorę teraz poprawkę na twój żal - rzekł oziębło. - Innym razem tego nie zrobię.

- Caramonie! Najdroższy mężu! - Tika przygarnęła go i uspokoiła. - Poradzimy sobie z tym. Tanis jest z nami. On nam pomoże. Nie pozwoli zabrać Palina. Prawda, że nie pozwolisz, Tanisie?

Jej przerażone oczy spoglądały błagalnie. Tanis całym sercem pragnął móc jej powiedzieć to, co tak rozpaczliwie pragnęła usłyszeć. W tej sytuacji mógł jednak tylko przecząco pokręcić głową.

Tika znów opadła na krzesło, ściskając w dłoniach tkaninę fartucha, w którą zawinęła dłonie. Nie miała łez w oczach. Jeszcze nie teraz. Rana była zbyt głęboka. Teraz czuła chłodne odrętwienie. Siedziała z wzrokiem utkwionym w podłodze, czekając na cierpienie.

- Ojciec - odezwał się cicho Palin. - Gdybym mógł z tobą porozmawiać...

- Do wszystkich diabłów, weźcie mnie! - Zażądał Caramon, wyrывая się z czułych objęć Tiki. - Moje życie w zamian za życie mojego syna. Możecie mnie trzymać w niewoli, dopóki nie nadejdzie odpowiedź czarodziejów.

- Przemawiasz jak przystoi ojcu, panie - odparł Steel - lecz musisz wiedzieć, że spełnienie takiej prośby jest niemożliwe.

Nasi czarnoksiężnicy znają wartość bratanka Raistlina Majere. Według nich jest wielce prawdopodobne, że arcymag sam zainteresuje się losem tego młodzieńca.

- Mój brat! - Caramon osłupiał. - Mój brat nie żyje! Co on może zrobić?

- Ojcze! - Nalegał szeptem Palin, ciągnąc go za rękaw. - Proszę! Musimy porozmawiać!

Caramon nie zwracał na niego uwagi.

Steel szyderczo się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

- Miejmy nadzieję, panie, że będzie mógł coś zrobić. - Uśmiech Steela stał się bardziej wymuszony. - Albo stracisz trzeciego syna.

Tika jęknęła głucho i wetknęła do ust zaciśniętą pięść. Tanis był przy niej, lecz Dezra, która zesłała właśnie na dół, odepchnęła go na bok. Objęła Tikę i szeptała do niej pocieszające słowa.

- Chodź. Chodź ze mną, kochanie. Chodź na górę i odpocznij.

Tika popatrzyła na przyjaciółkę, jakby była kimś obcym. Potem zamknęła oczy, położyła głowę na piersi Dezry i wybuchnęła płaczem.

Dezra, sama ze łzami w oczach, obejrzała się na Tanisa. - Możesz powiedzieć temu elfiemu panu, że jego żona jest już bliska rozwiązania. Czuje się nieźle i jest dobrej myśli. Sądzę, że poród odbędzie się pomyślnie, a ona i jej dziecko będą zdrowi.

- Porthios czeka na zewnątrz - powiedział Tanis. Na miłość boską, zupełnie zapomniał o tym drugim kłopotcie. - Dam mu znać.

- Powinien być w pobliżu - powiedziała rozgniewana Dezra. - Kto to widział, żeby tak uciekać!

- Lepiej, że go nie ma, Dezro. I tak ledwo udało mi się go przekonać, żeby wyszedł. Mało brakowało, a rozpętałyby się tu wojna.

Na wzmiankę o elfie, Steel chwycił za miecz. Skrzywił usta.

- Wojna! - Stwierdziła z goryczą Dezra. - Nowe życie przychodzi na świat pełen smutku. Może byłoby lepiej, gdyby dziecko urodziło się martwe!

- Nie mów tak, Dezro! - Krzyknęła nagle Tika. - Każde nowo narodzone dziecko to nadzieja na lepszy świat. Muszę w to wierzyć. Życie moich chłopców miało sens!

- Tak, kochanie. Miało. Przepraszam, nie pomyślałam.

Chodź na górę - powiedziała Dezra przez łzy. - Przydałaby mi się twoja pomoc przy pani Alhanie. Jeśli czujesz się na siłach.

- Nowe życie - szepnęła Tika. - Jedno odchodzi, inne przychodzi. Tak, mogę pomóc. Mogę pomóc...

- Ojcze - powiedział Palin, kiedy jego matka opuściła pokój. - Musimy porozmawiać. Natychmiast.

Zaskoczony nietypową stanowczością w głosie swego syna, Caramon spojrzał

na niego.

Palin był wynędzniały na twarzy i blady jak trup. Pod oczami miał sińce.

- Przepraszam, synu - wymamrotał Caramon, przeczesując dłonią włosy. - Nie bardzo wiem, co robię. Ty powinieneś natomiast się położyć. Idź odpocząć...

- Dobrze, ojcze - powiedział cierpliwie Palin. Chwycił ojca za rękę. - Chodź ze mną. Chodź porozmawiać. Czy możemy pomówić na osobności?

Steel, do którego adresowane były te słowa, udzielił zezwolenia krótkim skinieniem głowy. - Dałeś mi słowo honoru, panie magu, że nie będziesz próbować ucieczki.

- I dotrzymam go - oświadczył z godnością Palin. - Ojcze, proszę.

- Idź z nim, Caramonie - nalegał Tanis. - Twój dwaj pozostali synowie są z Paladinem. To Palin potrzebuje cię teraz.

- Nic z tego nie rozumiem, Tanisie. - Twarz Caramona wykrzywił grymas żalu i zdumienia. - Raistlin nie żyje! Czego jeszcze mogą chcieć od niego? Nie pojmuję.

Tanis sam miał wątpliwości. Czy Raistlin naprawdę umarł? A może noszący szare szaty rycerze Takhisis odkryli coś przeciwnego? Tanis domyślał się, że Palin wie więcej niż chce powiedzieć.

- Muszę pomówić z Dalamarem - mruknął Tanis, kiedy Caramon wyszedł z Palinem z izby. - Muszę pomówić z dowódcą rycerzy. Jesteśmy w opałach. Poważnych opałach.

Jednak w tej chwili musiał porozmawiać wyłącznie z Porthiosem. I powiedzieć mu, że wkrótce urodzi się jego dziecko. Jeden odchodzi ze świata. Inny nań przychodzi. Nadzieja? W chwili obecnej Tanis jej nie dostrzegął.

Wiele lat temu Caramon wybudował dla Tiki najwspanialszy dom w Solace. Gmach był wystarczająco duży, by pomieścić rozrastającą się rodzinę, i przez wiele lat rozbrzmiewał śmiechem i echem harców trzech chłopców Majere. Później przyszły na świat dwie dziewczynki - wyłącznie po to, by dokuczać starszym braciom, jak częstokroć utrzymywał Palin.

Do tego czasu Caramon i Tika byli już pełnoprawnymi właścicielami gospody Ostatni Dom. Chłopcy wkrótce osiągnęli wiek męski i wyruszyli w świat w poszukiwaniu własnych przygód. Dom stał w pewnej odległości od gospody. Podróż w tę i z powrotem o każdej porze dnia i nocy (Tika często budziła się w nocy święcie przekonana, że karczma się pali i stale wysyłała Caramona, by to sprawdził) była czasochłonna i nużąca. Choć oboje uwielbiali ten dom, Tika i Caramon uznali w

końcu, że lepiej będzie go sprzedać i zamieszkać w samej gospodzie.

Jedna z izb w starym domu została ochrzczona mianem „Pokoju Raistlina”. Na początku, kiedy jego bliźniaczy brat wstąpił do bractwa Czarnych Szat i przeniósł się do Wieży Wielkiej Magii w Palanthas, Caramon dbał o ten pokój w serdecznej, acz złudnej nadziei, iż pewnego dnia Raistlin zrozumie swój błąd i powróci.

Kiedy Raistlin zmarł, Caramon zamierzał przeznaczyć jego pokój na „jeszcze jedną zwykłą izbę”, lecz jego marzenia i nadzieje tak mocno skupiały się wokół tego pomieszczenia, że przypominały duchy, których nie można było przepłoszyć. „Pokój Raistlina” nosił tę nazwę do czasu, gdy dom sprzedano. Kiedy rodzina Majere przeprowadziła się do oberży, nikt nie myślał o założeniu kolejnego „Pokoju Raistlina” do chwili, gdy zaskoczony Caramon usłyszał, jak jego dwie córeczki nazywają w ten sposób jedno z pomieszczeń - małą komórkę na tyłach domu.

Tika złożyła to na karb chęci, z jaką dziewczynki usilnie próbowały upodobnić nowy i nieznajomy dom do tego, który opuściły. Caramon przyznał jej rację, lecz wkrótce oboje mieli już zwyczaj mówienia o izdebce jako pokoju należącym do Raistlina. Usłyszał ich przypadkiem wędrujący mag, który zatrzymał się w gospodzie, i zaczął gorąco błagać, by pozwolono mu obejrzeć pokój, w którym bez wątpienia słynny czarodziej spędzał większość czasu.

Caramon robił, co mógł, żeby wyperswadować magowi ten mylny pogląd - ta część gospody nawet nie istniała za życia Raistlina. Czarodziej Czerwonych Szat był jednakże nieugięty, a ponieważ był stałym i cenionym klientem (płacił stałą, nie jaszczurczymi zębami), Caramon pozwolił gościowi zajrzeć do składziku.

Zdaniem czarodzieja izdebka była pełna wdzięku, choć nieco zagraconamiotłami i drewnianą skrzynią. Spytał, czy wolno mu na „znak szacunku” zostawić magiczny pierścień. Caramon nie mógł przecież odmówić. Mag położył klejnot na wieku pustej beczki i wyszedł.

Caramon dość się napatrzył na czary i wiedział, że mogą wiele zdziałać, np. zmienić kogoś w jaszczurkę, dlatego bojąc się czarodziejskiego przedmiotu, nawet się do niego nie zbliżał. Miesiąc później dwaj magowie w białych szatach przybyli specjalnie po to, by odwiedzić „kaplicę”. Wszystko wskazywało na to, że gdy ów pierwszy czarodziej opuścił gospodę, los zesłał mu nieprawdopodobne szczęście. Ponieważ to dość niecodzienne zdarzenie w życiu maga Czerwonych Szat, natychmiast przypisał je dobrej woli Raistlina. Czarodziej nadał rozgłos owej historii i ci dwaj zjawili się tu po to, by dołożyć jeszcze kilka drobnych „upominków”.

Na beczce od piwa pojawił się jeszcze jeden zwój i magiczny eliksir. Czarodzieje zatrzymali się na noc, trwoniąc pieniądze i rozmawiając o Raistlinie z Caramonem, który zawsze był chętny do wspomnień. W następnym miesiącu przybyła czarodziejka Czarnych Szat. Przyszła i wyszła, nie odezwawszy się do nikogo słowem, z wyjątkiem zapytania o „pokój”. Nie została na noc, lecz zamówiła najlepsze wino i zapłaciła stałą.

Wkrótce do gospody zaczęli ściągać czarodzieje z całego Ansalonu. Niektórzy zostawiali tajemnicze obiekty w darze, inni zostawiali składniki zaklęć, aby „nabrały mocy”, i wracali po nie później. Ci przysięgali, że przedmioty zwiększały swą magiczną siłę.

Tika drwiła z przekonania, że izba ma jakieś specjalne właściwości. Przypisywała ten pomysł ogólnemu dziwactwu czarodziejów. Caramon zgadzał się z nią aż do chwili, gdy pewnego dnia, szperając w starych papierach Otika, natrafił na niedbale narysowany szkic starej gospody, jeszcze sprzed zburzenia jej przez smoki podczas Wojny Lancy. Przyglądając się jej i przeżywając gorzko-słodkie wspomnienia, ku swemu zdumieniu i nie lada zaskoczeniu Caramon stwierdził, że „Pokój Raistlina” jest usytuowany dokładnie nad tym miejscem przy ogniu, gdzie lubił przesiadywać jego brat.

Po dokonaniu tego odkrycia, na myśl o którym Tice „ciarki przechodziły po plecach”, jak to określiła, Caramon opróżnił składzik i wyniósł miotły oraz drewniany kufer. Pozostawił natomiast beczkę, na której leżały teraz niezliczone obiekty o tajemniczym wyglądzie.

Zaczął starannie spisywać wszystkie czarnoksiężskie przedmioty. Nigdy nie sprzedawał tych, które zostawiono jako „podarunki”, lecz często dawał je w prezencie czarodziejom, których przycisnęła bieda, lub młodym magom, szykującym się do wyczerpującej, a czasami zgubnej próby w Wieży Wielkiej Magii w Wayreth. Miał wrażenie, że takie prezenty będą szczególnie błogosławione, albowiem - pomimo wszystkich swych wad - Raistlin zawsze miał szczególny sentyment do słabych i uciemiężonych, którym za wszelką cenę starał się pomóc.

Właśnie do tego pomieszczenia, do „Pokoju Raistlina”, Palin zaprowadził swego ojca.

Z upływem lat w izdebce zaszły poważne zmiany. Beczka po piwie nadal tam stała, lecz dodano także specjalnie rzeźbione drewniane szkatuły na liczne magiczne pierścienie, brosze, broń i woreczki ze składnikami zaklęć. Na stojaku pod ścianą umieszczono rozmaite zwoje przewiązane schludnie białymi, czerwonymi lub czarnymi

wstażkami. Jedną ścianę zajmowały czarodziejskie księgi, a bardziej odrażające magiczne przedmioty schowano w ciemnym kącie. Przez małe okienko wpadało słońce - i co ważniejsze dla czarodziejów - światło czerwonego i srebrnego księżyca oraz niewidzialny blask czarnego. Na stole przy oknie stała miseczka ze świeżo ściętymi kwiatami. Dla tych, którzy przyszli medytować lub uczyć się, wstawiono tam miękkie krzesło, by było im wygodnie. Nie pozwalano też do pokoju zbliżyć się żadnemu kenderowi.

Caramon wszedł do środka, zobojętniały na otoczenie. Siadł na jedynym krześle w pokoju. Pomimo rany i zmęczenia Palin był w tej chwili silniejszy od ojca. Dla niego ten straszny, porażający smutek zaczynał już przygasać. Może to skutek uspokajającego wpływu pomieszczenia, które zawsze kochał. A może to ten tajemniczy głos w jego głowie, ten głos, który znał tak dobrze, choć nie słyszał go nigdy w życiu. Czuł, że jest za to odpowiedzialny. Wiedział bowiem, że gdzieś, w jakiś niewytłumaczalny sposób, Raistlin żył.

- Moim obowiązkiem jest odnaleźć go, choćbym nawet musiał wejść do Otchłani.

- Co takiego? - Caramon podniósł gwałtownie głowę i posępnie przyjrzał się synowi. - Co powiedziałaś?

Palin nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos. Nie zamierzał tak niespodziewanie poruszać tej kwestii, ale - skoro już się wygadał i skoro jego ojciec najwyraźniej odgadł jego myśli - doszedł do wniosku, że najlepiej będzie nie przerywać.

- Chciałem, żebyś o tym wiedział, ojcze. Ułożyłem plan i zamierzam go wykonać. Nie spodziewam się twojej aprobaty - Palin przerwał, przełknął ślinę i dokończył zdecydowanie: - Powinieneś jednak wiedzieć, co robię, na wypadek, gdyby stało się coś złego. Nie jadę do Wieży w Wayreth...

- Mądry chłopiec! - Wykrzyknął z ulgą Caramon. - Coś wymyślimy. Gotów jestem walczyć z samą Takhisis, żeby tylko zapewnić ci bezpieczeństwo. Nie pozwolę, żeby ci źli rycerze zabrali cię...

- Ojcze, proszę! - Przerwał ostro Palin. - Nie jadę do Wieży w Wayreth, ponieważ wybieram się do Wieży Wielkiej Magii w Palanthis. Spróbuję wejść do Otchłani. Spróbuję odnaleźć stryja.

Caramon otworzył usta ze zdumienia i z osłupieniem wpatrywał się w syna. - Ale Raistlina nie ma w Otchłani, synu. Paladine przyjął jego ofiarę. Twój stryj śpi

snem wiecznym.

- Nie wiesz tego na pewno, ojcze. Kiedy ostatni raz go widziałeś, był w Otchłani.

- Ale ja go widziałem, Palinie! Widziałem go śpiącego zupełnie jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

- To był majak, ojcze, sam tak powiedziałeś. Wiesz, co powiadają bardowie: że Raistlin przebywa w niewoli w Otchłani, każdego dnia dręczony przez Takhisis, poraniony i broczący krwią. Że każdego dnia kona w mękach tylko po to, by wrócić do życia i...

Caramon już wiedział wszystko. Zazwyczaj ogromny mężczyzna potrzebował czasu, by przemyśleć jakiś problem, lecz na to pytanie mogła być tylko jedna odpowiedź. Wstał.

- Wiem, co mówią bardowie - powiedział zaciekle. - Wiem, że twierdzą, jakoby Sturm Brightblade poleciał na czerwony księżyc! Wszystko brednie! Raistlin umarł! Nie żyje i spoczywa w spokoju od wielu lat! Zabraniam ci jechać. Zostaniesz tutaj i będziemy pertraktować z lordem Ariakanem. Tanis nam pomoże...

Laska Magiusa grzała dłoń Palina. Ciepło rozlało się po jego ciele jak grzane wino z korzeniami i dodało mu śmiałości.

- Ty chcesz wierzyć, że Raistlin nie żyje, ojcze. Inaczej musiałbyś przyznać, że go opuściłeś.

Cios został wymierzony, strzała wypuszczona z łuku, włócznia ciśnięta.

Zadano straszliwą ranę.

Caramon zbladł jak trup; można by go złożyć do grobu razem z jego dwoma synami. Oddech miał płytki i przyspieszony. Otwierał i zamykał usta bez słowa. Potężnym ciałem wstrząsał dreszcz.

Palin przygryzł wargę i z całych sił opierał się na lasce. Był wstrząśnięty tym, co zrobił i powiedział. Nie miał takiego zamiaru. Słowa padły z jego ust, zanim zdążył się powstrzymać. Kiedy raz już wyleciały, Palin nie mógł odwrócić wyrządzonej krzywdy, tak samo jak nie mógł zatrzymać życia, które opuszczało ciała jego braci.

- Chyba tak nie myślisz - rzekł Caramon ściszym, drżącym głosem.

- Nie, ojcze. Przepraszam. Wiem, że gotów byłbyś na każde ryzyko, by wrócić po Raistlina. Wiem, że sen przyniósł ci pociechę i że szczerze w niego wierzysz. Mimo to, ojcze - ciągnął Palin - możesz się mylić.

Możesz się mylić...

Te słowa rozbrzmiewały w jego umyśle, nabierając życia, formy i kształtu, aż

wydawało mu się, że widzi, jak płoną przed nim i jego ojcem.

Caramon przełknął ślinę i potrząsnął głową, jakby szukał argumentów.

Zamierza mi wyperswadować ten pomysł. Nie mogę mu na to pozwolić, uświadomił sobie Palin. Zbyt łatwo mogłoby mu to przyjść. Pamiętam, jak to wtedy wyglądało, tam w Wieży. To było tylko złudzenie, tylko próba. Strach i zgroza były jednak prawdziwe.

- Przemyślałem to sobie, ojcze. Steel Brightblade przysiągł, że będzie mi towarzyszył. Zaprowadzi mnie do Wieży. Kiedy będę już na miejscu, porozmawiam z Dalamarem i przekonam go, by pozwolił mi wyminąć strażnika. Jeśli nie pozwoli - głos Palina nabrał zawziętości - sam spróbuję. Upiór już raz pozwolił mi przejść...

- To było złudzenie! - Caramon wpadł w złość. - Czarodzieje wszystko to wymyślili! Wiesz o tym! Powiedzieli ci przecież.

- To też wymyślili, ojcze? - Palin podsunął mu laskę Magiusa. - To też przywidzenie? A może to laska mego stryja?

Caramon spojrział z zakłopotaniem na magiczny przedmiot i nie odpowiedział.

- Laska stała zamknięta w pracowni stryja wraz z portalem do Otchłani. Nawet sam Dalamar nie może tam wejść. Mimo to laska Magiusa jakoś opuściła pracownię. I przysłała do mnie. Wejść do tego pokoju, ojcze. Zamierzam znaleźć stryja, a on nauczy mnie wszystkiego, co sam wie. Nikt już nie będzie musiał umrzeć dlatego, że byłem zbyt słaby, by go ratować!

- Sam spróbujesz otworzyć wrota? A gdzie prawdziwy kapłan, który ci pomoże? Zapomniałeś już? Do portalu może wejść tylko mag o wielkiej mocy i osoba duchowna prawdziwej wiary. Dlatego twojemu stryjowi potrzebna była pani Crysania...

- Ja nie zamierzam otwierać portalu, ojcze - rzekł ściszym głosem Palin. - Wrota nie otworzą się w ogóle z tej strony.

- Raistlin! - Wykrzyknął Caramon. - Spodziewasz się, że Raistlin ci je otworzy! To obłąd! - Potrząsnął głową. - Rycerze ciemności zażądali rzeczy niemożliwej. Nic im nie jesteś winien! Nie martw się - dodał zaciekle - już ja i Tanis policzymy się z panem Brightblade.

- Dałem słowo honoru, ojcze, że nie ucieknę - odparł ostro Palin. - Chciałbyś, żebym je złamał - ty, który uczyłeś mnie, że dane słowo jest święte?

Caramon przyglądał się synowi i łzy błyszczały mu na rzęsach. - Wydaje ci się, że jesteś taki sprytny, prawda, Palinie? Zapędziłeś mnie w kozi róg, wykorzystałeś przeciwko mnie moje własne słowa. Twój stryj robił to samo. Był w tym świetny.

Doskonale potrafił postawić na swoim bez względu, kogo tym krzywdził. Idź więc. Rób, co chcesz. Nie mogę cię powstrzymać, tak samo, jak nie mogłem powstrzymać jego.

Po tych słowach Caramon wstał, z godnością wyminął syna i wyszedł z pokoju.

Zziębnięty i wstrząśnięty Palin nie ruszył się z miejsca. Jego ojciec oczywiście miał rację. Palin często posługiwał się byстрыm umysłem i gładkimi słówkami, by zataczać kręgi wokół wolniej myślącego ojca i braci, jak pies drażniący uwiązanego na łańcuchu niedźwiedzia. Zawsze mu ustępowali. Po jednej takiej namowie bracia pozwolili mu - wbrew zdrowemu rozsądkowi - pojechać z nimi do Kalamanu. Błagał, wyklócał się, manipulował nimi tak długo, aż ustąpili. A teraz obaj nie żyli, bo wszystkie swoje siły skupili na tym, by go chronić, a nie walczyć.

Rana odezwała się pulsującym bólem. Palin patrzył na krzesło, które przed chwilą zajmował ojciec i przypominał sobie...

*

Uciekać. To jedyna sensowna rzecz, jaką można było zrobić.

Odwrót przed natarciem wroga byłby rozsądnym posunięciem. Grupka rycerzy i ich młody czarodziej rozmawiali o ucieczce w ostatnich, pełnych podniecenia chwilach, kiedy jeszcze mieli czas na rozmowy.

Statki o czarnych dziobach odcinały się wyraźnie na tle morza. Do brzegu płynęły szalupy pełne ludzi. Skrzydła niezliczonych niebieskich smoków przesłaniały słońce. Niewielka grupka rycerzy solamnijskich zaskoczona na otwartej przestrzeni na plaży, na którą wybrali się cieszyć pięknem dnia i krajobrazu, w żaden sposób nie mogła się równać z siłami wroga.

- Jeśli zaczniemy uciekać, rozproszymy się - oznajmił dowódca, przekrzykując huk fal bijących o brzeg.

- Gdzie moglibyśmy pójść, żeby smoki nie podążyły za nami? - Powiedział Tanin. - Ruszą za nami w pościg, wyłapią nas jednego za drugim i będą po wieczne czasy szydzić z tchórzostwa rycerzy solamnijskich! Moim zdaniem powinniśmy zostać i walczyć!

- Ja zostanę - oznajmił stanowczo Palin.

- Nie, Palinie, ty nie. - Tanin odwrócił się ku niemu. - Ty nie masz ciężkiego bagażu, a twój koń jest rączy. To nie miejsce dla ciebie. Wracaj do Kalamanu i ostrzeż ich, że wróg się zbliża.

- Ja? Mam odjechać i zostawić moich braci, żeby walczyli sami? - Palin był

oburzony. - Naprawdę sądzisz, że zrobiłbym to?

Tanin i Sturm skrzyżowali spojrzenia. Sturm potrząsnął głową, odwrócił oczy i popatrzył na morze, pełne łodzi wypełnionych ludźmi. Nie zostało im wiele czasu. Tanin podjechał do Palina i chwycił go za ramię.

- Sturm i ja zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, kiedy wstępowaliśmy do zakonu rycerskiego. Ale ty nie, Palinie...

- Nie odjadę - powtarzał zawzięcie mag. - Kiedy tylko są jakieś kłopoty, zawsze odsyłasz mnie do domu. Ale nie tym razem.

Tanin z twarzą zaczerwienioną od gniewu przechylił się w siodle.

- A niech cię diabli, Palinie! To nie utarczki z jakimś chamem z sąsiedztwa! Zginiemy wszyscy! Jak myślisz, jak mama i tata będą się czuli, kiedy będą zmuszeni pochować wszystkich swoich trzech synów? Szczególnie ciebie, najmłodszego?

Przez chwilę Palinowi zabrakło słów. Widział w myślach, jak podwija pod siebie ogon i zmyka, zmuszony później ze wstydem powiedzieć rodzicom: „Nie wiem, co się stało z moimi braćmi...”

Palin uniósł głowę. - Czy ty zostawiłbyś mnie, Taninie?

- Nie, ale... - Usiłował oponować Tanin.

Palin ciągnął dalej. - Czy w mniejszym stopniu obowiązuje mnie słowo honoru dlatego, że jestem czarodziejem? My też składamy przysięgi. Na magię i Solinari, zostanę i będę walczyć z tym złem u waszego boku, choćby przyszło mi zapłacić życiem.

Sturm gorzko się uśmiechnął. - Tu cię mam Taninie. Niewiele możesz na to poradzić.

Tanin wahał się. Był odpowiedzialny za Palina, a przynajmniej do tego się poczuwał. Potem niespodziewanie wyciągnął rękę. - Zgoda, braciszku. - Ogarnął spojrzeniem Sturma i Palina.

- Dziś walczymy za Paladine'a - uśmiechnął się lekko - i za Solinari.

Trzej bracia uścisnęli sobie dłonie, a potem rozdzielili się, by dołączyć do pozostałych rycerzy, którzy zajmowali pozycje na piaszczystej plaży.

Tylko tyle zapamiętał Palin. Bitwa trwała krótko, była zaciekła i rozpaczliwa. Pomalowani na niebiesko barbarzyńcy z dzikim wrzaskiem wyskoczyli z łodzi i pobiegli do brzegu z otwartymi ustami, jakby chcieli chleptać krew wrogów. W ich oczach płonął bojowy szal. Zderzyli się z rycerzami niczym przybój i w przerażający sposób, bezlitośnie walczyli, rozkoszując się rzezią.

Rycerze, jako lepsi i bardziej zdyscyplinowani wojownicy, wycięli pierwszy szereg napastników; jedna z ognistych kul Palina eksplodowała w samym środku gromady barbarzyńców, rozrzucając na wszystkie strony popalone i dymiące trupy.

Ale potem nadeszła druga fala, a po niej trzecia. Dzicy tratowali ciała poległych towarzyszy, by dostać się do rycerzy, którzy ich zabili. Palin zapamiętał, jak bracia stanęli przed nim i starali się go zasłonić - przynajmniej wydawało mu się, że to zapamiętał. Mniej więcej wtedy coś uderzyło go w głowę, może ciśnięta włócznia, którą częściowo odbił jeden z jego braci.

Wtedy widział ich po raz ostatni.

Kiedy Palin ocknął się, było już po bitwie. Dwóch czarnych rycerzy trzymało nad nim straż. Rozpaczliwie chciał spytać o los pozostałych, lecz powstrzymał się, bojąc się poznać prawdę.

Wtedy przyszedł Steel i Palin dowiedział się...

*

Palin westchnął, wstał i podszedł do drzwi „Pokoju Raistlina”. Wyjrzał na korytarz. Spojrzał w dół na prawie opustoszałą salę. Był tam tylko Steel, który siedział sztywno na krześle, uparcie czuwając i odmawiając sobie snu, choć jedni tylko bogowie wiedzieli, jak bardzo go potrzebował.

Palin spoglądał na wspólną izbę w gospodzie i tęsknił za braćmi. Tak bardzo chciałby ich zobaczyć, usłyszeć ich śmiech, podokuczać sobie wzajemnie, co niegdyś doprowadzało go do szału. Oddałby całe bogactwo Ansalonu, by posłuchać, jak Tanin wygłasza kolejny ze swoich „wykładów starszego brata”, albo widzieć jak Sturm zabawnie rechocze. Tęsknił za młodszymi siostrzyczkami, które niemiłosiernie się z nim droczyły. Caramon i Tika, obawiając się kłopotów, które mogłyby wyniknąć z powodu przybycia elfów, wysłali dziewczynki do Goldmoon i Riverwinda, wodzów plemienia w Que-shu. Palin był jednak wdzięczny, że jego siostry, Laura i Dezra, nie zobaczą starszych braci składanych do grobu. Wystarczy, że wrócą do domu i zastaną mogiły. W tym momencie skończy się ich beztrioskie dzieciństwo.

Tanis Półelf wszedł po schodach i zatrzymał się na górze.

- Caramon powiedział mi, że postanowiłeś pojechać.

Palin pokiwał głową. - Gdzie jest ojciec?

- Z twoją matką. Daj mu spokój, Palinie - poradził łagodnie Tanis. - Pozwól mu uporać się z tym na swój sposób i w swoim czasie.

- Nie chciałem... - Zaczął Palin, przełknął ślinę i rozpoczął raz jeszcze. - Muszę

to zrobić, Tanisie. Mój ojciec tego nie rozumie. Nikt tego nie rozumie. To jego głos. Słyszę jego głos...

Tanis przyglądał się Palinowi z troską. - Zostaniesz na pogrzebie?

- Oczywiście - odparł Palin. - Potem jednak wyjeżdżam.

- Zanim gdziekolwiek się wybierzesz, musisz wypocząć, zjeść i napić się. Tak samo Steel Brightblade - powiedział Tanis - jeśli uda mi się go przekonać, że nikt nie zamierza go otruć ani zadźgać we śnie. Jak bardzo przypomina swojego ojca! - Dodał Tanis, odprowadzając Palina do dużej sali. - Ile to razy widziałem, jak Sturm Brightblade siedział tak samo, śmiertelnie zmęczony, lecz zbyt dumny, by się do tego przyznać.

Na widok zbliżających się mężczyzn Steel wstał. Nie było całkiem jasne, czy zrobił to z szacunku dla Tanisa, czy z nieufności, a może z obu tych powodów. Z tego surowego i bezlitosnego oblicza nie można było odgadnąć jego myśli ani uczuć.

- Czas ruszać w drogę - powiedział Steel, patrząc na Palina.

- Usiądź - rzekł Palin. - Nigdzie nie pojedę, dopóki moi bracia nie zostaną pochowani. Częstuj się jedzeniem i napojami. Mięso jest zimne, ale zimne jest także piwo. Przygotuję ci pokój. Możesz dziś tu przenocować.

Steel spochmurniał. - Nie potrzebuję...

- Właśnie, że potrzebujesz - odparł Palin. - Tam, dokąd się wybieramy, przydadzą ci się świeże siły. Podróż do Palanthas i tak będzie bezpieczniejsza po zmroku.

- Palanthas! - Steel zmarszczył czoło. - Po co mielibyśmy udawać się do Palanthas - twierdzy rycerzy solamnijskich? Chyba że to jakaś pułapka...

- Żadna pułapka - powiedział Palin, siadając zmęczony na krześle. - Jedziemy do Palanthas, albowiem tam jest portal, w Wieży Wielkiej Magii.

- Mielіśmy nakłonić czarodziejów, by zgodzili się otworzyć te wrota. To sprzeczne z moimi rozkazami - odparł Steel.

- Ja otworzę portal - oznajmił Palin. - Z pomocą swego stryja - dodał, widząc poważne powątpiewanie na twarzy Steela.

Steel nic na to nie odpowiedział. Zmierzył wzrokiem Palina. Wydawało się, że rozważa tę kwestię.

- Podróż będzie niebezpieczna - kontynuował Palin. - Mam zamiar nie tylko otworzyć wrota, lecz także spróbować je przestąpić i wejść do Otchłani. Zamierzam odnaleźć stryja. Możesz iść ze mną, albo nie, jak chcesz. Sądziłem - dodał od

niechcenia - że mógłbyś mieć ochotę osobiście porozmawiać ze swą królową.

Ciemne oczy Steela nagle błysnęły i rozgorzały ogniem. Palin powiedział coś, co przebiło jego zimny pancerz i dotknęło żywego ciała. Odpowiedź rycerza, tak charakterystyczna dla niego, była zwięzła i lakoniczna.

- Zgoda. Polecimy do Palanthas.

Palin westchnął. Wygrał dwie zaciekle potyczki. Jako zwycięzca mógł teraz pozwolić sobie na zmęczenie i położyć się spać. Był nawet zbyt wyczerpany, żeby pójść do swego pokoju. Oparł głowę na stole. Kiedy już przykrywały go kojące fale snu, usłyszał szept...

Świetna robota, młodzieńcze. Świetna robota!

Oczekuję twego przybycia.

Rozdział XII

ROSZCZENIA USHY. DALAMAR NIE JEST PRZEKONANY. ZASKAKUJĄCE ODKRYCIE

To doprawdy najwspanialszy posiłek, jaki jadłem - oświadczył Tasslehoff Burrfoot. - Opchałem się po uszy. Rozparty w fotelu kender trzymał nogi na stole i oglądał srebrne łyżeczki. Były to dość niezwykle sztuce. Wszystkie ozdobione były zawiłym wzorem, elfim, jak mniemał Tas.

- Może to inicjały Dalamara - mruknął do siebie sennie.

Chyba rzeczywiście zjadł za dużo, ale wszystko było takie smaczne! Czule gładził łyżeczkę. Miał szczerzy zamiar odłożyć ją na stół, lecz jego palce zaniósł ją w roztargnieniu do kieszeni i tam zostawiły. Tas ziewnął. Doprawdy wspaniała ucztą!

Usha najwyraźniej czuła się tak samo. Rozparła się w fotelu, wyciągnęła nogi przed siebie, ręce założyła na brzuchu i przymknąwszy oczy, przechyliła bezwładnie głowę na bok.

Było jej ciepło, czuła się bezpieczna i cudownie zadowolona. - Chyba jeszcze nigdy nie jadłam czegoś takiego! - Mruknęła, ziewając.

- Ani ja - stwierdził Tas, mrugając i starając się nie zasnąć. Stercząca kitka upodabniała go do sowy czubatej.

Kiedy Dalamar i Jenna weszli do pokoju, Tas i Usha podnieśli na nich mętny wzrok i uśmiechnęli się, ociążali z przejedzenia.

Czarodzieje wymienili spojrzenia spiskowców. Elf ciemności pobieżnie obejrzał pokój, szybko dokonując w myślach inwentaryzacji.

- Brak jednej łyżeczki - stwierdził. - A zostawiliśmy kendera samego w komnacie na ponad godzinę. To chyba jakiś rekord. - Nachylił się i wyjął srebrny przedmiot z kieszeni Tasa.

- Znalazłem ją na podłodze - powiedział Tas i nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, sennie wyliczył całą litanię kenderskich wymówek. - Wpadła mi do sakiewki przez przypadek. Jesteś pewny, że to twoje? Myślałem, że już jej nie chcesz.

Poszedłeś sobie, a ona została. Miałem właśnie zamiar umyć ją i ci oddać.

- Dziękuję - powiedział Dalamar i położył łyżeczkę na stole.

- Nie ma za co - oświadczył Tas z uśmiechem i zamknął oczy.

Dalamar zwrócił się do Ushy, która, uśmiechając się głupio, pomachała mu ręką. - Pyszne jedzenie.

- Dziękuję. Zdaje się, że masz dla mnie list - rzekł Dalamar.

- A tak. Tutaj. Mam go gdzieś tutaj. - Usha wsunęła dłoń do kieszeni w jedwabnych spodniach. Wyjęła zwitek pergaminu i zaczęła nim radośnie wymachiwać w powietrzu.

- Czego nasypałeś do tego jabłecznika, najdroższy? - Szepnęła Jenna do Dalamara. Wzięła zwój od dziewczyny i obejrzała go uważnie.

- Czy to ten, dziecko? Jesteś pewna?

- Nie jestem twoim dzieckiem - powiedziała urażona Usha.

- Nie jesteś moją matką, damulko, a w ogóle nie jesteś wiele ode mnie starsza, więc przestań zadzierać nosa.

- Czym dzieckiem więc jesteś? - Spytał od niechcienia Dalamar, biorąc list.

Nie otworzył go od razu, lecz przyglądał się Ushy w zamyśleniu, szukając podobieństwa pomiędzy nią a jego *shalafim* - człowiekiem, którego elf podziwiał i kochał, obawiał się i nienawidził.

Usha spojrzała na niego spod na wpół przymkniętych powiek.

- A jak myślisz, czym jestem dzieckiem?

- Nie wiem - odparł Dalamar, siadając na fotelu obok Ushy.

- Opowiedz mi o swych rodzicach.

- Mieszkaliśmy na Równinach Pyłu - zaczęła dziewczyna.

- Nieprawda. - Ostry głos Dalamara smagnał Ushę jak bicz.

- Nie okłamuj mnie, dziewczyno.

Drgnęła, siadła prosto i zmierzyła go nieufnym wzrokiem. - Nie kłamię...

- Kłamiesz. Te magiczne przedmioty - Dalamar rzucił jej na kolana torbę - zostały zrobione przez Irdów. Poznają je. - Podniósł list. - Bez wątpienia z niego dowiem się prawdy...

- Wcale nie - odparła Usha. Głowa zaczęła ją boleć, a język wysechł i stanął kołkiem. Nie podobało jej się już w Wieży, nie podobał jej się już ten czarodziej w czarnym stroju. Spełniła swoje zadanie. Czas było iść. - To tylko taka historyjka o kamieniu. Nie mam pojęcia, czemu Opi uznał ją za ważną. - Zebrała swoje torby i

wstała z niejakim trudem. - A teraz, skoro już dostarczyłam list, pójdę sobie. Dzięki za poczęstunek... Zatrzymała się. Jenna trzymała dłoń na jej ramieniu.

- Stąd nie ma wyjścia - oświadczył Dalamar, stukając się w wargi zwiniętym pergaminem - chyba że ja je otworzę. Proszę, usiądź, Usho. Przez jakiś czas będziesz moim gościem. Ty i kender. Tak jest lepiej. A teraz - ciągnął przymilnym, lecz groźnym tonem - opowiesz mi o swych rodzicach.

- Ja niczego nie wiem - zarzekała się z niepokojem i nieufnością Usha. - Prawie nic nie wiem. Byłam sierotą. Irdowie mnie przygarnęli i wychowywali od niemowlęctwa.

Jenna usiadła na poręczy fotela Dalamara.

- Musieli powiedzieć ci coś więcej.

- Nie powiedzieli - zastrzegła się Usha. - Ale udało mi się czegoś dowiedzieć na własną rękę. Słyszeliście kiedyś o *Valum*?

- *Valin* - poprawił Tasslehoff. Wścibstwo i senność walczyły w nim o pierwszeństwo. Ziewnął i uszczypnął się, żeby nie usnąć. - Powinno się mówić *Valin*...

- Sama wiem - warknęła Usha, posyłając kenderowi szybkie, pełne złości spojrzenie. Uśmiechając się pusto, zwróciła się ponownie do Dalamara - Oczywiście, *Valin*. To pewnie przez ten jabłecznik płacze mi się język.

Dalamar nic nie powiedział i ścisnął Jennę za dłoń, kiedy chciała się odezwać.

- No więc - ciągnęła Usha - pewnej nocy, kiedy miałam już być w łóżku, usłyszałam, że ktoś wszedł do naszego domu. Irdowie prawie nigdy się nie odwiedzają, więc zakradłam się, żeby zobaczyć, kto to. Gościem okazał się mężczyzna, którego Irdowie nazywają Decydującym. Rozmawiał z Opim, i to o mnie! Oczywiście zaczęłam podsłuchiwać.

- Mówili o wielu rzeczach, których nie rozumiałam - o *Valin* i o tym, że moja matka była Irdą, która opuściła swój lud i poszła w świat. Że spotkała młodego czarodzieja w karczmie w zaklętym lesie. W tej karczmie napadło ją kilku zbirów, ten czarodziej i jego starszy brat...

- Bliźniaczy brat - powiedział Tasslehoff, lecz słowa zagłuszyło ziewnięcie od ucha do ucha.

- ...I ten mag ujrzał twarz mojej matki i pomyślał, że w życiu nie widział piękniejszej kobiety. A ona spojrzała na niego i wtedy między nimi zaistniał *Valin* i...

- Objasnij, co znaczy *Valin* - rzekł cicho Dalamar.

Usha ściągnęła brwi. - Mówiłeś, że wiesz, co to jest.

- Nie - zaprotestował delikatnie Dalamar. - To ty twierdziłaś, że ja wiem.

- Ja wiem, co to takiego! - Wykrzyknął Tas, prostując się nagle i wymachując ręką w powietrzu. - Pozwól mi powiedzieć!

- Dziękuję, Burrfoot - odparł chłodno Dalamar. - Wolałbym usłyszeć relację ze strony Irdów.

- No więc... *Valin* to... Coś takiego, co się dzieje... Między kobietą i mężczyzną - zaczęła Usha, a na jej policzkach wykwił rumieniec. - Przez to oni... Hm... Zbliżają się do siebie. Tak mi się wydaje. - Znów wzruszyła ramionami. - Opi nigdy mi o tym dużo nie mówił. Twierdził tylko, że mnie się to nigdy nie przydarzy.

- A dlaczego nie? - Spytał cicho Dalamar.

- Bo jestem po części człowiekiem - odpowiedziała Usha.

- Tak? A kto jest twoim ojcem?

- Ten młody czarodziej z opowieści - oznajmiła beztrąsko Usha. - Nazywa się Raistlin. Raistlin Majere.

- A nie mówiłem! - Powiedział Tas.

Dalamar zacisnął wargi i postukał w nie brzegiem zwiniętego pergaminu. Tak długo w milczeniu przyglądał się Ushy, że dziewczyna poczuła się nieswojo i nerwowo próbowała uniknąć spojrzenia jego niezgłębionych oczu. W końcu elf ciemności wstał raptownie i podszedł do stołu. Usha westchnęła z ulgą, jakby została właśnie wypuszczona z celi więziennej.

- To wyśmienite wino - rzekł Dalamar, biorąc karafkę. - Powinnaś go spróbować. Pani Jenno, zechcesz pomóc mi obsłużyć gości?

- Co się stało? - Spytała cicho Jenna. - W czym rzecz?

Dalamar nalał złotego wina do kryształowych kieliszków. - Nie wierzę jej - szepnął. - Ona kłamie.

- Co powiedziałaś? - Zapytał głośno Tasslehoff, wpychając głowę pomiędzy ich dwoje. - Nie dosłyszałem, o czym mówiłaś.

Zirytowana Jenna włożyła dłoń do woreczka przy pasie, wyciągnęła garść piasku i cisnęła ją kenderowi w twarz. - *Drzemli* - rozkazała.

- A-psik! - Kichnął Tas i zanim jeszcze dokończył kichnięcie, westchnął z zadowoleniem, padł bezwładnie na stół i zasnął.

- Ta jej historia. Ja w to nie wierzę - powtórzył Dalamar.

- Usłyszała ją od kendera. Błędem było zostawienie ich razem.

- Ale te złote oczy...

- Możliwe, że każdy Irda rodzi się ze złotymi oczyma - odparł Dalamar. - Skąd mamy wiedzieć? Nigdy żadnego nie widziałem. A ty?

- Nie bądź uszczypliwy, najdroższy - ożywiła się Jenna.

- To oczywiste, że nie widziałam. Nikt na Ansalonie nie widział. Co mówi list?

Dalamar, będąc w złym humorze, zsunął czarną wstążeczkę ze zwoju, rozwinął go i przejrzał pośpiesznie. Parsknął pogardliwie. - Zdaje się, że to historia stworzenia świata. Nie, moja droga, tu chyba nie znajdziemy odpowiedzi na nasze pytanie.

Rzucił list na stół, na którym cicho chrapał Tas. Ziarnka piasku przykleiły się do kity jego siwiejących włosów.

Dalamar strzepnął piach z koronkowego obrusa. - Być może, istnieje sposób, by dowiedzieć się prawdy.

- Sprawdź, czy ona ma talent - zaproponowała Jenna, odgadując jego myśli. Podniosła list i zaczęła go czytać uważnie.

- Zajmij się tym, a ja to przejrzę. W liście musi być coś ważnego, skoro Irdowie ci go posłali.

Dalamar wrócił do Ushy, która skuliła się w fotelu, więcej niż na wpół uspiona z głową wspartą na ramieniu. Dalamar potrząsnął ją za ramię.

- Hę? Czego chcesz? Zostaw mnie - Usha obróciła się, chowając twarz w poduszkach.

Dalamar ścisnął mocniej.

- Auu! - Usha siadła prosto i spojrzała na niego wściekle.

- To boli.

Dalamar wypuścił ją powoli. - Jeśli jesteś córką Raistlina Majere...

- Jestem - oznajmiła Usha z dumą i wyniosłością.

- ...W takim razie musiałaś odziedziczyć po nim talent do sztuki.

- Jakiej sztuki? - Spytała podejrzliwie Usha.

- Sztuki tajemnej. Magii. Raistlin był jednym z najpotężniejszych czarodziejów, jacy żyli na Ansalonie. Zdolności czarodziejskie są z reguły dziedziczne. Bratanek Raistlina, Palin Majere, odziedziczył wiele z talentu swego stryja. Córka Raistlina musi władać olbrzymią mocą...

- O tak - oznajmiła Usha, wyciągając się na poduszkach.

- W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko zademonstrowaniu swych zdolności pani Jennie i mnie.

- Zrobiłabym to - stwierdziła Usha - ale mi nie wolno. Bo widzicie, Irdowie

mnie ostrzegali. Jestem zbyt potężna. - Rozejrzała się dookoła. - Nie chciałabym zniszczyć takiego ładnego pokoju.

- Zaryzykuję - powiedział oschle Dalamar.

- Och, nie. Nie mogłabym - odparła Usha, szeroko otwierając niewinne oczy. - Opi ostrzegł mnie, że bym nigdy...

- Wielka Lunitari! - Jenna raptownie wciągnęła powietrze. - Błogosławiona bogini czerwonego księżyca. Jeśli to prawda...

Dalamar odwrócił się. - Co jest prawdą? Jenna podała mu list. - Nie doczytałeś do końca, mój kochany. Spójrz.

Dalamar szybko przeczytał i podniósł oczy.

- Irdowie mają Szary Klejnot - oznajmiła Jenna.

- Tak utrzymują... - Zamyślił się Dalamar. - Co o tym wiesz, dziewczyno? - Gwałtownie zażądał odpowiedzi od Ushy.

Całkiem już oprzytomniawszy, Usha przyglądała mu się z zakłopotaniem.

- O czym?

Dalamar przypominał węża drzemiącego w jasnym, gorącym słońcu. Jego cichy głos z charakterystycznym dla elfów sykliwym akcentem brzmiał kojąco i zwodniczo. Fascynował swą ofiarę eleganckimi manierami i delikatną urodą, a gdy była już całkiem w jego mocy, pożerał ją.

- Nie udawaj głupiej! - Rozprostował się jak wąż i przysunął ku niej. - Co wiesz o Szarym Klejnocie? Tym razem, panienko, bądź łaskawa oszczędzić mi swych łgarstw...

Usha przełknęła ślinę i oblizała wargi. - To nie łgarstwa - zdołała nieśmiało zaprzeczyć. - I nic nie wiem o Szarym Klejnocie. Tylko raz go widziałam...

- Jak wygląda?

- To był szary... Klejnot... - Zaczęła.

Dalamar zmarszczył z niezadowolenia czarne, pierzaste brwi. Jego migdałowe oczy zabłysły.

Usha sapnęła i pośpiesznie dokończyła. - Miał mnóstwo ścianek, więcej niż mogłam zliczyć. I bił od niego taki chorobliwie szary blask. Nie lubiłam na niego patrzeć. Robiło mi się od tego tak dziwnie w środku, jakbym chciała pobiec przed siebie i robić szalone rzeczy, które nie miały sensu. Opi twierdził, że kamień w ten sposób wpływa na ludzi...

- I Irdowie zamierzali rozbić go? - W głosie Dalamara wyczuwało się napięcie.

- Tak - odparła Usha, kuląc się i wciskając w poduszki na widok jego

przerazających oczu. - Dlatego mnie odesłali. Decydujący powiedział, że ponieważ jestem człowiekiem... Częściowo człowiekiem - poprawiła - zakłóciłabym ich czary.

- A jeśli strzaskali Szary Klejnot? - Spytała Jenna. - Co by to oznaczało?

- Nie wiem. Wątpię, czy ktokolwiek wie, nawet sami bogowie. - Dalamar pożerał Ushę wzrokiem. - Czy wiesz, co się stało? Czy widziałaś coś przed odejściem?

- Nie - zaprzeczyła Usha. - Z wyjątkiem... Czerwonej łuny na niebie. Jak od pożaru. To chyba... Były czary...

Dalamar nic nie rzekł i przestał zwracać uwagę na Ushę. Dziewczyna miała dość rozumu, by milczeć i zakopać się jeszcze głębiej między poduszki w nadziei, że zostawi ją już w spokoju. Elf ciemności kilkakrotnie przespacerował się po pokoju. Jenna obserwowała go z wyrazem zatroskania i zaniepokojenia. Tasslehoff spał niespokojnie, podrygując i poświstując. Wreszcie Dalamar podjął decyzję.

- Zwołam posiedzenie Konklawe. Jeszcze dziś. Musimy natychmiast wyruszyć do Wayreth.

- O czym myślisz?

- Nie podoba mi się to - oznajmił niewesoło Dalamar. - Dziwna pogoda, straszliwy skwar, niezwykła susza i inne niecodzienne wydarzenia. To może być przyczyna.

- Co zrobisz z dziewczyną i kenderem? Zabierzemy ich ze sobą?

- Nie. Ona powiedziała nam już wszystko, co wie. Jeśli wśród Konklawe rozniesie się, że córka Raistlina znalazła się na Ansalonie, podniesie się straszny szum. Niczego nie zdziałamy. Lepiej przetrzymać ją tutaj, w bezpiecznym i cichym miejscu. Kendera również. To przyjaciel Caramona Majere; mógłby jeszcze mu o tym donieść.

Dalamar i Jenna podeszli do drzwi.

- Zaczekajcie! - Zawołała Usha, zrywając się nagle. - Nie możecie mnie tak zostawić! Ja nie zostanę! Będę krzyczeć! Ktoś mnie usłyszy...

Jenna odwróciła się i sypnęła garścią piasku w Ushę. Młoda kobieta zamruwała, przetarła oczy i potrząsnęła sennie głową.

- Nie zostanę tu, uprzedzam...

- Opiera się magii - zauważyła Jenna. - To interesujące. Ciekawe, czy robi to sama, czy też dostała jakiś amulet...

- Nieważne, nie mamy teraz czasu.

Dalamar strzelił palcami. Usha zachwiała się i padła na poduszki. Zamknęła

oczy.

Za drzwiami znajdowały się spiralne schody, które przylegały do wewnętrznej strony murów Wieży Wielkiej Magii. Wąskie, kamienne stopnie prowadziły na górę do pracowni, gdzie nikt nie chodził, nawet mistrz Wieży. W dół schody wiodły do pokoi, w których mieszkali i studiowali uczniowie, a jeszcze niżej była Komnata Widzenia. Zamknąwszy drzwi, Dalamar przekręcił w zamku srebrny klucz.

- To nie zatrzyma kendera - zauważyła Jenna. - A usypiające zaklęcie zapewne przestanie działać, zanim wrócimy.

- To prawda, że zamek może go nie powstrzymać, ale to - z pewnością. - Dalamar wymówił kilka słów w zimnym, odstręczającym języku.

Na rozkaz Dalamara dwie białe, widmowe gałki oczne zmateriałizowały się w mroku Wieży, w ciemności, której nigdy nawet nie śniło się o świetle.

Upiór zbliżył się do Dalamara. - Wzywałeś mnie, panie. Co rozkażesz?

- Pilnuj tej komnaty. Nie pozwól nikomu wejść ani wyjść. Jeśli tych dwoje spróbuje, nie rób im krzywdy. Nie dopuść tylko do ich ucieczki.

- To mi utrudni zadanie - oznajmił upiór. - Jestem jednak posłuszny twym rozkazom, panie.

Dalamar rozpoczął zaklęcie, które miało ich zanieść magicznymi ścieżkami do odległej Wieży Wielkiej Magii w Wayreth. Jenna nie od razu podeszła do niego. Przyglądała się drzwiom i widmu trzymającemu nieustanną straż.

Dalamar przerwał rzucanie czaru.

- Chodź już - zawołał z irytacją. - Nie mamy czasu do stracenia.

- A jeśli ona mówi prawdę? - Spytała cicho Jenna. - Może być wystarczająco potężna, by uciec nawet widmu.

- Nie miała dość mocy, żeby uniknąć złapania za kradzież jedzenia - odparł rozzłoszczony Dalamar. - Albo jest niesłychanie przebiegła, albo to głupia kłamczucha.

- Po co miałyby kłamać? Co mogłaby zyskać na podszywaniu się pod czarodziejkę? Wiedziała chyba, że dowiemy się prawdy.

- Ale przecież nie dowiedzieliśmy się - stwierdził Dalamar. - Irdowie są przebiegli, a ich czary potężne. Kto wie, jakie mają zamiary? Może wysłali ją na przespiegi i wiedzieli, że dostanie się do środka tylko wtedy, jeśli poda się za kogoś, kim nie jest. Dowiem się tego, kiedy będę miał czas dokładniej ją wypytać. Moim zdaniem, dziewczyna kłamie i nie ma więcej magicznych mocy niż kender. Jeśli

jednak nie ufasz mojemu osądowi...

- Ależ skądże, mój kochany - przerwała Jenna i szybko podeszła do niego. Odchyliła głowę i nadstawiła usta do pocałunku. - Nie ufam ci pod zupełnie innym względem.

Dalamar ucałował ją z poczucia obowiązku, choć widać było, że zaprzatają go inne, ważniejsze sprawy. - Jestem zawsze ci wierny, moja droga. Na swój własny sposób.

- Właśnie - westchnęła cicho Jenna. - Na swój własny sposób. Wiem o tym.

Wziąwszy się za ręce, razem wypowiedzieli zaklęcie i wkroczyli w ciemność.

*

Zamknięci w Wieży, Usha i Tas, spali zaczarowanym snem. Usha miała budzące grozę sny barwy ognia, lecz nie mogła się z nich przebudzić.

Tasslehoff śnił jak wszyscy kenderzy, co oznacza, że mimo iż był pogrążony we śnie, jego ręce miały zajęcie. Wymacał trzonek srebrnej łyżeczki i nadal śpiąc, schował ją do sakwy.

- Zdaje mi się, że ją upuściłeś - wymamrotał.

Rozdział XIII

OBŁĘŻENIE KALAMANU

W Kalamanie, ruchliwym porcie na północnym wybrzeżu na wschód od Palanthas, był wczesny świt. Nie było to tak duże ani tak wytworne miasto jak Palanthas, lecz - jak jego mieszkańcy lubili się przechwalać - miało więcej zdrowego rozsądku. Bez wątplenia było to zasługą doskonale prosperującej klasy średniej, która od ponurych czasów Wojny Lancy urosła w siłę i wzbogaciła się. Palanthas było miastem szlachejnych panów i dam, rycerzy i magów, Kalaman zaś miastem rzemieślników i kupców. Władzę sprawowały w nim cechy nadzorowane przez gubernatora obieranego przez członków cechu.

Każdy mężczyzna i kobieta, elf, człowiek, krasnolud czy gnom prowadzący własny interes należał do jakiegoś cechu. Istniała gildia złotników, płatnerzy, karczmarzy i browarników, szwaczek i krawców, szewców i jubilerów oraz setki innych, w tym jedyny na całym Ansalonie cech prowadzony przez kenderów - cech odnajdywaczy. Jeśli ktoś zgubił coś w Kalamanie, natychmiast szedł do nich.

Miasto miało swoją milicję, która składała się z najemnych żołnierzy i mieszczan pod dowództwem doświadczonych wojowników. Najemnicy nie byli zwykłymi awanturnikami, którzy równie skłonni byli ci pomóc w walce z goblinami za bukłak wina, jak i pomóc goblinom w walce z tobą za taką samą cenę. Wszyscy najemni żołnierze zatrudnieni do obrony Kalamanu otrzymywali w ramach wynagrodzenia domy w mieście. Mieli własny cech i przywileje podczas głosowania. Dzięki temu ci, którzy przyjmowali takie warunki, wkrótce stawali się obywatelami, mającymi osobiste powody, by bardzo zaciekle walczyć w obronie miasta.

Kalamańska milicja była wierna, niezłe wyszkolona i tak dzielna, jak można się było tego spodziewać. W walce ze zbliżającym się wrogiem nie miała najmniejszych szans.

Poranne słońce zajrzało przez wschodnie mury. Powitały je koguty; większość mieszczan jeszcze spała. Straż w porcie ziewała, czekając na zmienników, i rozmyślała

tęsknie o swych łózkach.

- Statek na horyzoncie - oznajmił jeden z nich. Jakiś miał o tej porze przypląć?

Drugi zajrzał do dziennika. - Może to Lady Jane z Flotsam. Wysłali nam wiadomość, że przyplwają po ładunek zboża, ale jeśli to on, to za wcześnie. Nie spodziewaliśmy się go co najmniej do południa.

- Musiał mieć dobry wiatr - stwierdził jego towarzysz. Obejrzał się, żeby zobaczyć, czy nie nadchodzi jego zmiennik. Kiedy znów się odwrócił, mrugnął i przyjrzał się jeszcze raz. Na horyzoncie pojawił się niespodziewanie drugi żagiel. To dziwne. Kolejny statek. Za nim jeszcze jeden.

Głos mu zadrżał z niepokoju. - Na Hiddukela, toż to cała flota! Podaj mi lunetę!

Wartownik podał mu przyrząd, a sam wziął drugi.

- Cztery, pięć i sześć - odliczał z nabożnym lękiem strażnik. - Czarne okręty z dziobami w kształcie smoczych łbów. Nigdy takich jeszcze nie widziałem. Pod jaką płyną banderą?

- W tej chwili pod żadną. - Mężczyzna był zaniepokojony. - Nie podoba mi się to. Sądzę, że powinniśmy wszczać alarm.

- Poczekaj, póki się nie upewnimy. Siedem, osiem.

Okręty o wysokich masztach sunęły po gładkiej tafli morza, którą zabarwił na czerwono ognisty wschód słońca. Tego dnia wiał dobry wiatr; statki podniosły wszystkie żagle i płynęły z dużą szybkością.

- Spójrz! Okręt na przedzie wywiesił flagę - to czaszka i lilia śmierci. Bij na alarm. Wyślę Hayesa, żeby doniósł o tym gubernatorowi.

Dźwięk portowego dzwonu niósł się nad wodą, rozbrzmiewał echem wśród budynków na wybrzeżu i zbudził ludzi mieszkających w pobliżu przystani. Alarm podjęły następne dzwony w mieście - dzwony wiszące w siedzibach cechów i świątyniach rozmaitych bogów Krynny. Wyrwany z łóżka gubernator pobiegł na przystań, chowając po drodze koszulę w spodnie.

Gdy dotarł na miejsce, widać już było smoki.

Leciały nad okrętami - było ich już szesnaście - w trzech długich, równo oddalonych od siebie kolumnach, zachowując szyk i równomiernie bijąc skrzydłami. Znajdowały się wciąż w wystarczająco dużej odległości, by sprawiać wrażenie czarnych na tle pogodnego nieba, lecz co jakiś czas ich niebieskie łuski pobłyskiwały w słońcu. Widok smoków lecących górą i żaglowców płynących w dole miał w sobie

jakieś zabójcze piękno. Ujrzawszy zbliżającą się flotę, kilka mniejszych statków już uciekało z portu, szukając schronienia na otwartym morzu.

- Zwołajcie milicję - rozkazał gubernator. Był to półelf, złotnik z zawodu, który pełnił urząd gubernatora już od trzech lat.

- Może nie zawiną do naszego portu - rzucił z nadzieją jeden ze strażników. - Może płyną do Palanthas.

- Płyną do nas - rzekł posepnie gubernator, opuszczając lunetę. Brał udział w Wojnie Lancy i wiedział, co to znaczy. Zdawał sobie również sprawę z tego, co czeka ludność Kalamanu. Nie miał zwyczaju modlić się często, lecz w tej chwili wyszeptał modlitwę do każdego boga, na którego pomoc można było ewentualnie liczyć.

Gubernator działał szybko. Mieli jedną, niewielką szansę - umocnienia portowe. Po Wojnie Lancy rozbudowano je i poszerzono. Może uda się zatrzymać okręty i ludzi na ich pokładzie. Dwie wielkie katapulty i cztery balisty obsługiwane przez doświadczone załogi stały przy wejściu do portu. Ten zadbany oręż był oczkiem w głowie milicji.

Brandery, których drewniane pokłady i maszty nasączono oliwą, gotowe były do wypłynięcia z przystani. Śmiałe załogi podpałał statki, a następnie zostaną na ich płonących pokładach tak długo, jak będzie to możliwe, by skierować je ku wrogiej flocie i siać zniszczenia.

Miejskie dzwony były teraz szaleńczo i rozpaczliwie. Mężczyźni biegiem zajmowali posterunki. Kobiety czerpały wodę ze studni i napełniały wiadra, końskie koryta i wszystko, do czego można było ją nalać, by później mieć czym gasić pożary. Dzieci wysyłano do piwnic, mówiąc im, by były dzielne.

Gubernator zobaczył, jak smocze okręty zwalniają, spuszczają żagle i rzucają kotwice. Zaświtał mu promyk nadziei, którą jednakże natychmiast rozwiał posłaniec ciągnący za sobą przerażoną wiejską dziewczynę.

- Wojsko, panie! - Wysapała młoda kobieta. - Wojsko niebieskich olbrzymów ciągnie w tę stronę! Minęli nasze gospodarstwo i podpalili chałupę. Mój tato... Nie żyje... - Załkała i omal nie wybuchnęła płaczem, lecz zdołała powstrzymać się od łez. - Przyjechałam konno najszybciej, jak mogłam. Oni ciągną pieszo tuż za mną.

- Niebiescy ludzie? Olbrzymi? - Gubernator podejrzewał, że dziewczyna postradała rozum ze strachu. - Uspokój się, dziewczyno i opowiedz wszystko od początku. Niech jej ktoś przyniesie szklanicę wina.

Dziewczyna pokręciła głową. - Powiadam wam, panie, byli wysocy jak nasz

dom, całkiem nadzy i wysmarowani niebieską farbą. Oni...

Przyjechał konny, zeskoczył z siodła i podbiegł do grupki ludzi. - Panie gubernatorze, generał kazał powiedzieć, że widziano nadchodzącą główną drogą armię. Mają ze sobą maszyny oblężnicze, panie. Ciągnięte przez olbrzymie zwierzęta, jakich do tej pory nigdy nie widzieliśmy!

Gubernator zaprzestał modłów.

Pierwsza fala smoczego strachu dosięgła stojących na murach. Na miasto padł cień skrzydeł niebieskich smoków.

*

Było południe. Lord Ariakan stał na pokładzie okrętu flagowego w otoczeniu swych oficerów i obserwował przez lunetę oblężenie Kalamanu. Stale opuszczano i podnoszono flagi sygnalizacyjne, przekazując rozkazy Ariakana dowódcom pozostałej części floty i oficerom na brzegu.

Zakuty w ciężką zbroję Ariakan był zlany potem. Z góry prażyło słońce, a woda odbijała jego ostry blask. Ariakanowi nie przeszkadzało gorąco. Wiedział, że mieszkańcy Kalamanu pocą się dużo bardziej od niego. Pocą się ze strachu.

Jego oddziały smoków krążyły nad miastem, nie atakując. Czekały, aż bijący od nich strach zmusi ludzi do panicznej ucieczki z murów. Od czasu do czasu któryś z błękitnych smoków miotał błyskawicę, druzgocąc wieżę siedziby cechu, albo podpalał skład. Jednakże smoki miały rozkazy, które zabraniały im atakować.

Hufce dzikusów zatrzymały się pod murami miasta i otoczyły je pierścieniem szerokim na sześć chłopa. Ich ciała napierały na mur jak żywy, brutalny ocean. Bezkarnie wzniesli maszyny oblężnicze, ale na szanцах nie było nikogo, kto mógłby ich zwać. Dzicy uderzali mieczami w tarcze, wykrzykiwali obelgi w swym barbarzyńskim języku i strzelali z łuków do każdego, kto był na tyle odważny lub głupi, by się pokazać. Nie robili jednakże nic więcej, ponieważ także powstrzymywali się od natarcia.

Flota została na morzu, z wyjątkiem dwóch fregat, które wysłano, by rozprawiły się z portowymi umocnieniami. Kiedy zbliżyły się do murów obronnych przystani, pierwsza bateria balist otworzyła ogień do okrętu znajdującego się na przedzie. Pociski trafiły go w sam środek, lecz powyżej poziomu wody. Załoga dokładała starań, by naprawić zniszczenia, a okręt sunął dalej bez przeszkód. Obie katapulty wystrzeliły, ale cel nie został osiągnięty, chybiono. Fregaty wpłynęły do wejścia do portu i zderzyły się z branderami, które zaczynały właśnie płonąć. Dwa niebieskie smoki przeleciały nisko nad murem przystani i strzaskały stanowiska katapult, spychając je do morza.

Obsługujący je ludzie, ratując się, wskoczyli do spienionej wody.

Samotna bateria balist po drugiej stronie otworzyła ogień do przelatujących smoków. Żaden nie został trafiony, lecz jeden z jeźdźców ześlizgnął się z siodła i spadł do wody.

Załogi fregat przywiązały długie liny do branderów i odciągnęły je z ujścia kanału portowego, by spłonęły na morzu. W obawie przed wściekłością smoków dzielne załogi balist schroniły się wewnątrz miasta.

Kiedy nadeszło popołudnie, lord Ariakan uznał, że miasto dosyć już doświadczyło. Zawołał swego herolda, wydał mu rozkazy i wysłał z flagą pokoju do Kalamanu.

Posłaniec zbliżył się do bram miasta. Nad jego głową łopotała biała flaga. Jechał pod eskortą trzech rycerzy Ariakana, którzy na znak pokojowych zamiarów nie mieli ani kolczug, ani oręża. Posłowi nie otworzono bram, lecz gubernator zgodził się prowadzić rozmowy ze szczytu murów. Stanowił dla łuczników widoczny cel, stojąc w zasięgu strzału. Czarni rycerze towarzyszący posłowi powitali ten akt odwagi salutem.

- Czego chcecie? - Zapytał gubernator. - Wy, słudzy zła, którzy przybyliście, by napaść bez przyczyny na spokojne miasto?

- Żądamy, aby Kalaman poddał się potężnemu Ariakanowi, dowódcy rycerzy Takhisis, a wkrótce władcy całego Ansalonu.

- Inni słudzy Takhisis przechwalali się tym samym w przeszłości, a teraz służą jej w Otchłani, do której z radością posłałbym twego pana. - Gubernator mówił śmiało, by jeszcze dodać otuchy tym spośród swoich ludzi, którzy mieli dość odwagi, by wytrzymać smoczy strach. Mimo to wcale nie czuł się nieustraszony, przeciwnie, był załamany i przygnębiony. Kalaman nie miał szans obronić się przed taką liczbą wojska nadciągającego z lądu, wody i powietrza. - Wysłuchajmy waszych warunków - dodał posepnie.

Herold wyrecytował je. - Mieszkańcy Kalamanu złożą broń, otworzą bramy i zezwolą wejść lordowi Ariakanowi i jego wojskom. Ludność Kalamanułoży przysięgę wierności lordowi Ariakanowi jako swemu zwierzchnikowi. Mężczyźni w wieku poborowym zgromadzą się na placu miejskim, by zasilić szeregi armii lorda Ariakana. Ci, którzy nie będą chcieli się zaciągnąć, zostaną aresztowani. Jeśli zgodzicie się na warunki lorda Ariakana, on oszczędzi miastu zniszczeń. Zostawi w spokoju wasze kobiety i dzieci. Jeśli zaś nie zechcecie przyjąć warunków i nadal będziecie się upierać przy tym, by go nie wpuścić do miasta, lord Ariakan przysięga, że nie pozostanie z

waszego miasta nawet kamień na kamieniu, spali domy do gołej ziemi, weźmie mężczyzn do niewoli, kobiety odda na pastwę barbarzyńców, a dzieci zamorduje na oczach ich matek. Lord Ariakan daje wam czas do zmierzchu, byście się zastanowili nad tymi warunkami.

- Skąd możemy wiedzieć, czy ten lord Ariakan dotrzyma obietnicy? - Spytał gubernator.

- Lord Ariakan jest rycerzem Takhisis - odparł dumnie herold. - Jego słowo jest święte. Zostawia wam tę obietnicę - poddajcie się, a zaznacie pokoju. Walczcie, a spotka was zagłada.

Herold odjechał pod eskortą rycerzy. Gubernator zszedł z murów i udał się na rozmowy z mistrzami cechów. Po niebie krążyły błękitne smoki, niwecząc resztki odwagi mieszkańców Kalamanu.

- Jeśli istnieje szansa, że Ariakan dotrzyma obietnicy - oznajmił gubernator naczelnikom cechów - musimy z niej skorzystać. Inaczej skazemy nasz lud na śmierć i jeszcze gorszy los.

Mistrzowie niechętnie przyznali mu rację.

Lord Ariakan otrzymał odpowiedź na długo przed zachodem słońca.

Bramy miasta otworzyły się i wojska wmaszerowały do środka. Zdjęci strachem mieszczenie oczekiwali, że zostaną brutalnie potraktowani, zmasakrowani i wycięci w pień.

Sprawni mężczyźni zostali zebrani i wyprowadzeni na miejski plac, gdzie wysłuchali przemowy jednego z oficerów Ariakana. Jej tematem była chwała i zaszczyty, jakie czekają tych, którzy wstąpią w szeregi armii Takhisis. Nikt się nie zaciągnął, więc mężczyźni zostali zakuci w łańcuchy i zabrani. Niektórzy będą służyć na czarnych, smoczych okrętach, inni pracować przy wyrębie drzew na tratwy, którymi wojska Ariakana szybko popłyną w górę rzeki. Reszcie obywateli Kalamanu nakazano powrócić do domów. Flota wpłynęła do portu. Sam lord wszedł do miasta bez głośnych fanfar i szybko zabrał się do roboty. Jego rycerze zaczęli patrolować ulice.

Kiedy następnego dnia zdjęci strachem mieszkańcy Kalamanu zbudzili się, odkryli, że smoki odleciały, armia pomalowanych na niebiesko barbarzyńców zniknęła, a miasto stoi całe. Na rozkaz lorda Ariakana otworzono targ. Sklepikarzom polecono zdjąć okiennice i rozpocząć codzienny handel.

Oszołomieni, niedowierzający ludzie powoli zabraли się do swych zajęć. Jedyłą

widoczną różnicą pomiędzy wczorajszym a dzisiejszym dniem była obecność rycerzy w czarnych zbrojach, którzy trzymali warty na murach i krążyli po ulicach. Tu i tam kobieta opłakiwała wziętego do niewoli męża, dziecko szlochało z tęsknoty za zabranym ojcem, a ojciec lamentował nad utraconym synem.

Kalaman padł prawie bez jęku.

Ariakan siedzący za biurkiem w dworze gubernatora, rozwinął mapę i spojrzał na Palanthas.

Rozdział XIV

KOŁO SIĘ OBRACA.

KOŁO SIĘ ZATRZYMUJE.

KOŁO ZNÓW RUSZA

Tego wieczoru, przed zachodem słońca, Caramon i Tika pochowali swych dwóch synów.

W Solace był zwyczaj sadzić młode drzewko vallen na każdym świeżym grobie. Wierzono, że w ten sposób dusza zmarłego wstąpi w drzewo i przez to nigdy do końca nie umrze. To jeden z powodów, dla których valleny są święte dla mieszkańców Solace i dlatego nigdy nie ściąga się żywego drzewa.

Tanin i Sturm Majere mieli zostać pochowani na rodzinnym cmentarzyku w pobliżu gospody Ostatni Dom. Tam spoczywał Otik, założyciel oberży i stary przyjaciel Tiki i Caramona. Tu mąż i żona sami spoczną któregoś dnia, kiedy opuszczą ten świat i zostawią za sobą jego zmartwienia. Nigdy nie myśleli, że dzieci mogą ich wyprzedzić.

Caramon zaczął sam kopać mogiłę, lecz wieść szybko rozniosła się po Solace. Nie upłynęło wiele czasu, jak przyszedł pomóc jeden z sąsiadów, a potem następny i następny, aż wkrótce wszyscy mężczyźni z miasteczka zjawili się, by oddać mu przysługę. Pracowali w upale na zmiany, robiąc przerwy na odpoczynek w cieniu, który, niestety, z powodu gorącego, nieustannego wiatru, dawał niewiele wytchnienia. Mężczyźni kopali grób prawie w całkowitym milczeniu, wypowiedziawszy nieudolnie tych kilka słów kondolencji zaraz po przybyciu. Na ogół nie zwracali uwagi na Porthiosa i elfów, którzy trzymali warty wokół oberży, gdzie przebywała ich królowa, a elfowie także ignorowali ludzi.

Przybyły też kobiety z Solace z podarunkami w postaci jedzenia, kwiatów i ubranek dla dziecka - wieść o narodzinach również się rozeszła. Tika schowała dziecinne ubranka, by dać je Alhanie w tajemnicy, zanim wygnana królewska para odejdzie podejmować dalsze próby odzyskania tronu - i wywalczenia pokoju oraz

stabilizacji dla elfich narodów. Tika doskonale zdawała sobie sprawę, że Porthios nigdy nie przyjąłby starych „resztek” po ludziach, ale, jak powiedziała do Dezry: „Rodzice nie mają niczego, prócz ubrań na własnych grzbietach. I co ma nosić to biedne dzieciątko? Liście?”

Tika pracowała zaciekle przez cały dzień, odmawiając sobie choć chwili na odpoczynek albo położenie się. Miała mnóstwo roboty - rodziło się dziecko, przychodzili goście i jeszcze trzeba było nakarmić ludzi z miasta.

- Odłożę płacz na kiedy indziej - oznajmiła Dezrze. - Bóg mi świadkiem, że nie ucieknę do jutra. A co do tego głuchego bólu w moim sercu... Ten nigdy nie ustąpi.

Palin przespał cały dzień. Był pogrążony w tak głębokim śnie, że nawet nie drgnął, gdy ojciec dźwignął go ze stołu i zaniósł do sypialni. Steel również spał, w izbie na tyłach gospody. Dłoń trzymał na rękojeści miecza, a napierśniki postawił na straży pod drzwiami. Rycerz opierał się wszelkim próbom odesłania go na spoczynek, dopóki Tanis Półelf nie zauważył, mówiąc krótko, że jego brak zaufania podważa ich honor.

- Kiedy odprowadzaliśmy cię do Wieży Najwyższego Klerysta, byś złożył hołd swemu ojcu, obaj przysięgliśmy bronić cię za cenę własnego życia, przysięgliśmy bronić syna Sturma Brightblade. To niegodne z twojej strony, że odmawiasz przyjęcia tej przysięgi.

Steel wyniośle poszedł do łóżka i niemal natychmiast zasnął.

Tanis spędził cały dzień z Porthiosem, nie dlatego, żeby szczególnie lubił towarzystwo szwagra, lecz dlatego, że bliskość tylu ludzi denerwowała elfiego pana.

Dzień był smutny i pełen napięcia. Jeden z kopiających grób mężczyzn nie wytrzymał upału i zemdłał. Trzeba było go zanieść do gospody, gdzie siedziały spoczone kobiety, które wachlowały się, rozmawiały o złych plonach i zastanawiały, jak przeżyją zimę. Małe dzieci nie zdawały sobie sprawy, co się dzieje, lecz wyczuwając, że to nie pora na zabawy i hałasy, trzymały się blisko matek.

Wygnani elfowie stali na gałęziach vallenów, trzymając straż i marząc o swej ojczyźnie.

O zachodzie słońca zaczął się pogrzeb.

Palin, Tika i Caramon stanęli z kapłanką Mishakal obok mogiły. Przy nich stał Tanis i myślał z czułością o swoim synu, który - choć żywy - był dla niego stracony.

Zawinięte w płócienne całuny zwłoki dwóch braci z czcią złożono w mogile. Rodzice chcieli bowiem, by zostali pochowani razem. Kapłanka poprosiła o

błogosławieństwo. Ludzie z miasteczka przechodzili po kolei obok otwartego grobu i wrzucali do niego drobne pamiątki albo z sympatią wspominali jakiś wyczyn braci, których bardzo kochano.

Po zakończeniu niewielkiej uroczystości mężczyźni zaczęli zakopywać grób, gdy ku zdumieniu wszystkich, zjawił się Porthios w towarzystwie grupy elfich wojowników. Przemówił do Tiki i Caramona z niezręczną serdecznością, a potem zaśpiewał nad grobem pieśń oplakującą zmarłych. Choć nikt nie zrozumiał słów, smutna, a jednak przesycona nadzieją melodia doprowadziła ludzi do łez, które ukoili dotkliwy i bolesny żal, zostawiając po sobie jedynie łagodny smutek. Tika rozplakała się wtedy, wtuliwszy się w ramiona męża.

Porthios zakończył lament i odszedł. Mężczyźni chwycili za łopaty i zaczęli wypełniać dół ziemią. Zgodnie ze zwyczajem w tym momencie na ciała rzucono kwiaty, lecz wszystkie kwitnące rośliny dawno wypaliło słońce. Sterta ziemia, która przykrywała młodych rycerzy, została starannie przyklepana. Kapłanka Mishakal zamierzała właśnie wygłosić ostatnie błogosławieństwo, gdy tłum zebrany wokół mogiły nagle się rozstał. Zaleknieni ludzie cofnęli się.

Pośrodku nich stanął Steel Brightblade.

Oburzeni tym wtargnięciem na żałobną ceremonię mieszkańcy miasteczka krzyknęli, by rycerz się oddalił. Porthios zmierzył go wrogim spojrzeniem; elfowie - z dłońmi na broni - otoczyli ciasniej swego pana.

Steel nie zwracał na nich uwagi. Zbliżył się do grobu i stanął przy nim.

Kapłanka Mishakal odezwała się surowo. - Panie, nie jesteś tu mile widziany. Sama twa obecność jest obrazą dla zmarłych.

Steel nie odpowiedział. Stał w milczeniu, srogi i wyniosły, ignorując kapłankę oraz obelgi i groźby kierowane pod jego adresem. W rękach trzymał zawiniątko, które niegdyś było przywiązane do włóków obok ciała.

Zdziwiony Caramon obejrzał się na syna. Palin tylko potrząsnął głową. Nie miał pojęcia, co się dzieje. W pełnej zakłopotania ciszy wszyscy przyglądali się i czekali, co zrobi czarny rycerz.

Steel przyklęknął na jedno kolano, rozwinął węzełek i rozłożył jego zawartość na wypalonej, brązowej trawie.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca błysnął złamany miecz Tanina. Obok leżało pęknięte drzewce włóczy jego brata. Steel podniósł oręż i z czcią położył go na mogile. Potem przyklęknął i zaczął nucić słowa w dziwnym i nieznanym języku.

Kapłanka Mishakał podbiegła szybko do Tanisa i złapała go za rękaw. - Powstrzymaj go! - Rzekła z naciskiem. - On rzuca jakiś zły czar na umarłych!

- To nieprawda - odrzekł cicho Tanis. Łzy stanęły mu w oczach, a serce wypełniły wspomnienia. - Język, w którym przemawia, to solamnijski. On wygłasza rycerską „Modlitwę za zmarłych”.

*Przywróć tego męża na łono Humy
Ponad dzikim, obojętnym sklepieniem nieba;
Udziel mu spoczynku wojownika
I uwolniwszy ostatnią iskrę jego spojrzenia
Od ciężkich chmur wojen,
Skieruj ją ku pochodniom gwiazd.
Niech ostatni poryw jego tchnienia
Znajdzie ukojenie w kołysce przestworzy
Ponad marzeniami kruków, gdzie
Tylko jastrzęb pamięta śmierć.
A potem pozwól jego duszy wznieść się do Humy,
Ponad dzikie, obojętne sklepienie nieba.*

Wszyscy milczeli, dopóki Steel nie skończył. Wtedy mężczyzna wstał, wyciągnął miecz i oddał cześć rycerzom. Przyłożył rękojeść miecza do warg, a potem opuścił go szerokim łukiem. Złożywszy oficjalny pokłon osłupiałej rodzinie, paladyn ciemności obrócił się na pięcie i przeszedł wolno i hardo przez tłum, który rozstąpił się przed nim z nabożnym lękiem.

Przed odejściem Steel zatrzymał się naprzeciw Porthiosa. Na wargach czarnego rycerza pojawił się drwiący uśmiezek.

- Nie troszcz się, panie, o wojnę domową między narodami elfów. Wkrótce Qualinestyjczycy i Silvanestyjczycy zjednoczą się - pod obcasem lorda Ariakana.

Porthios wyciągnął miecz. Tanis, który spodziewał się kłopotów, szybko go powstrzymał.

- Pomyśl, gdzie jesteś, bracie. Pomyśl o Alhanie nalegał w mowie elfów. - To tylko śmiałe przechwałki krewkiego młodzieńca. Nie raz już to słyszałeś. Nie zważaj na niego.

Porthios mógłby zlekceważyć Tanisa, lecz w tym momencie dał się słyszeć słaby

krzyk - krzyk noworodka. Rzucając rycerzowi ostatnie, pełne wrogości spojrzenie, Porthios odepchnął Steela na bok i pobiegł do oberży. Zanim jego elfia eskorta również się oddaliła, zdążyła jeszcze posłać czarnemu rycerzowi spojrzenia ostre jak prawdziwe ciosy.

Steel odpowiedział im drwiącym uśmiechem, po czym lekko odwrócił się i obejrzał przez ramię. - Palinie Majere. Jesteś wciąż moim jeńcem. Pożegnaj się. Czas nam ruszać w drogę.

- Palinie! - Krzyknęła cicho Tika i wyciągnęła drżące ręce do syna.

- Wszystko będzie dobrze, mamó - powiedział Palin, oglądając się na ojca. Obaj postanowili nie ujawniać zamiarów Palina jego matce. - Magowie zapłacą okup. Wkrótce wrócę do domu. - Nachylił się i ucałował ją w policzek.

- Uważaj na siebie - powiedziała Tika łamiącym się głosem, a potem zaskoczyła Palina, dodając: - Raistlin nie był wcale taki zły. Było w nim trochę dobrego. Nigdy za bardzo go nie lubiłam, ale to dlatego, że go nie rozumiałam. Może... - Przerwała, zrobiła głęboki wdech i dokończyła zwięźle: - Może to, co robisz, jest słuszne.

Palin patrzył na nią ze zdumieniem. Spojrzał na ojca, który wzruszył ramionami. - Nie rzekłem nawet słowa, synu.

Tika uśmiechnęła się smutno i położyła dłoń na ręce swego syna. - Zawsze wiedziałam, kiedy chciałeś coś spsościć. Pamiętasz? Ty i twoi bracia... - Poczowała ściskanie w gardle. Łzy pociekły jej z oczu. - Niech Paladine ma cię w swej opiece, synku!

- Uważaj na siebie, synu - powiedział Caramon. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

- Dziękuję ci, ojczu. Dziękuję za wszystko. Żegnaj, matko.

Palin odwrócił się i szybko oddalił, sam prawie nic nie widząc przez łzy. Jednak gdy podszedł do Steela, panował już nad sobą.

- Czy masz wszystko, co ci będzie potrzebne? - Spytał rycerz.

Palin zaczerwienił się. Nosił u paska jeden woreczek ze składnikami zaklęć; na tak niskim poziomie sztuki nie potrzebował niczego więcej. Jedyne ubranie, jakie posiadał, miał na sobie - białą szatę splamioną krwią i błotem. Nie miał ksiąg magicznych ani tubusów na zwoje. W rękę za to ścisnął laskę Magiusa.

- Jestem gotowy - rzekł.

Steel skłonił się z chłodnym wdziękiem Caramonowi i Tice. Palin ruszył drogą, nie oglądając się za siebie. Obaj zniknęli w zapadającym mroku.

Tego wieczoru przy gospodzie „Ostatni Dom” Tika i Caramon posadzili dwa młode valleny na grobie swych synów.

Alhana Starbreeze usnęła, wyczerpana długim porodem. Porthios stanął obok niej. Kiedy wszyscy wyszli z izby, nachylił się nad śpiącą żoną i ucałował ją czule.

Upewniwszy się, że nic jej nie grozi, a nowo narodzony syn jest zdrowy, Porthios wrócił do ogólnej sali i zasiadł wśród swych wojowników. Zamierzał zjednoczyć królestwa elfów, choćby nawet miał przy tym zabić każdego ze swych rodaków na Ansalonie.

Tanis szybko wyruszył w podróż do Wieży Najwyższego Klerysta, by jeszcze raz powiedzieć rycerzom to, co powtarzał im od pięciu lat: że wojska Królowej Ciemności znów ruszyły do natarcia.

Leżący w kołysce i ubrany w o wiele za duże na niego ubranka ludzkiego dziecka elfi noworodek mrużył oczka i rozglądał się ze zdumieniem po tym dziwnym, nowym świecie.

Rozdział XV

STEEL POPRZYSIĘGA ZEMSTĘ.

PALIN SŁYSZY ZNAJOMY GŁOS.

PODRÓŻ DO PALANTHAS

Palin i Steel spotkali się z niebieską smoczyką jakieś piętnaście mil na północ od Solace. Flare spędziła noc w ruinach Xak Tsaroth. W tym uchodzącym za nawiedzone miście nadal nie mieszkał nikt prócz krasnoludów źlebowych i wędrownych band goblinów i smokowców. Flare wciąż jeszcze wydłubywała z zębów resztki gobliniego mięsa, kiedy ją spotkali. Oznajmiła z pogardą swemu panu, że krasnoluda źlebowego nie zjadłaby za nic.

Syta Flare w towarzystwie Steela miała dobry humor. Kiedy czarny rycerz studiował mapę trasy wiodącej na północ, ona radośnie usiłowała zastraszyć Palina, który już znajdował się pod wpływem grozy wiejącej od smoczycy. Rozwinęła swe olbrzymie skrzydła, rozpostarła je w słońcu i lekko nimi wachlowała, by ochłodzić siebie i swego pana. Kiedy Steel poskarżył się, że wiatr szarpie mapą i utrudnia mu czytanie, Flare demonstracyjnie wpadła w szał. Wbiła szpony w grunt i wydzierała z niego wielkie grudy ziemi i brązowej trawy. Wściekle smagała się ogonem po bokach, podrzucała grzywą i przez cały czas czerwonymi, gadzimi oczami śledziła reakcję Palina spod półprzymkniętych powiek.

A on stał dumnie, celowo trzymając się blisko smoczycy, choć ile go to kosztowało, można było bez trudu odgadnąć po zaciśniętych szczękach i zbielejących kostkach dłoni, w której trzymał mocno laskę Magiusa.

- Jeśli już skończyłaś się popisywać - powiedział Steel - chciałbym omówić naszą trasę.

Błękitna smoczyką warknęła i obnażyła zęby, udając obrażoną. Steel poklepał ją po szyi, rozłożył mapę na głazie i pokazał najlepszą jego zdaniem drogę. Palin otarł pot z czoła i nie wypuszczając laski z dłoni, zbliżył się jeszcze bardziej do smoczycy, by

wziąć udział w dyskusji.

- To dotyczy również mnie - rzekł w odpowiedzi na złowrogie spojrzenie Steela.
- Lot nad Solamnią będzie dużo bardziej niebezpieczny od podróży nad Abanasinią.

Po Wojnie Lancy rycerze solamnijscy odzyskali przychylność miejscowej ludności. Obecnie moda dyktowała, by w rodach szlacheckich i poważanych - nie wspominając o majątnych - przynajmniej jeden syn należał do zakonu rycerskiego. Dzięki temu zwiększyła się liczebność rycerzy, a skarbiec zakonu był pełny. Rycerze odbudowali wiele rozsypujących się twierdz w Solamni i obsadzili je żałogami. Sprzymierzone z nimi srebrne smoki patrolowały niebo.

Niegdyś wyszydzanych rycerzy solamnijskich teraz uznawano za obrońców ludzi słabych i niewinnych. Mądrzy lordowie zajęli wyższe stanowiska, a prawa, które ustanowił Vinas Solamnus tysiące lat temu - reguły ściśle, surowo i zdaniem niektórych ślepo przestrzegane w dzisiejszych czasach - poprawiano, modyfikowano i uaktualniano.

Rycerzy solamnijskich już nie witano we wsiach gradem kamieni, jak to bywało w dawnych czasach, lecz traktowano jak miłych gości. Chętnie szukano u nich pomocy i porady, za które szczerze im płacono.

Smoczyca i jej pan dobrze wiedzieli o rosnących wpływach rycerzy. Lord Ariakan był więźniem zakonu przez wiele lat po wojnie i nie spędził tego czasu beczynnie. Poznał nie tylko zwyczaje rycerzy - które podziwiał i skopiował, dokonując niezbędnych zmian - lecz także ich taktykę, strategię i położenie twierdz. Odkrył ich mocne strony - i co ważniejsze - również te słabe.

Kiedy niemal pięć lat temu Tanis dowiedział się o istnieniu rycerzy Takhisis, natychmiast poszedł z tym do rycerzy solamnijskich, by uprzedzić ich o zagrożeniu.

- Lord Ariakan wie o was wszystko - począwszy od koloru bielizny do ulubionych rozkazów bojowych - ostrzegał Tanis. - Wie, które twierdze są umocnione, a które stoją puste. Jego rycerze to inteligentni mężczyźni i kobiety, których osobiście wyszukał i wyszkolił, a Jej Mroczny Majestat zesłał im Objawienie. Nie zdradzą swoich przełożonych dla zysku, jak miało to miejsce w czasie ostatniej wojny. Ci ludzie są wierni Królowej Mroku i sobie nawzajem. Poświęcą wszystko dla sprawy. Musicie już teraz wprowadzić zmiany, panowie, albowiem podejrzewam, że lord Ariakan i jego rycerze ciemności uczynią to za was.

Dostojnicy rycerstwa uprzejmie wysłuchali Tanisa, przyznając mu rację, póki był wśród nich, a pod jego nieobecność wyśmiali go.

Wszyscy wiedzieli, że sprzymierzeńcy Królowej Ciemności są samolubni, chciwi, okrutni i zupełnie pozbawieni honoru. Historia stale to udowadniała. Rycerze nie mogli sobie wyobrazić, aby tak drastyczne zmiany w szeregach armii ciemności mogły zajść w przeciągu zaledwie dwudziestu sześciu lat.

Tak więc w szeregach światłości dokonano niewielu zmian.

Steel wskazywał mapę. - Przelecimy nad cieśniną Schallsea w tym miejscu, omijając Caergoth, bo tam rycerze wzniesli fortecę. Polecimy od wschodu nad wodą, mając Coastlund po prawej stronie. Dzięki temu omiemy twierdzę Thelgaard. Na północ od tego miejsca skęcimy wzdłuż wybrzeża, aby góry Vingaard znalazły się między nami i Wieżą Najwyższego Klerysta. Wejdziemy do Palanthas od północy.

Usłyszawszy to, Palin wtrącił się: - Nie zdołasz wejść do miasta bez przebrania. Pomyślałem o tym - dodał z dumą - i zabrałem ze sobą trochę ojcowskich ubrań...

- Nie będę chodził po ulicach Palanthas przebrany za oberżystę - oznajmił chłodno Steel. - Noszę tę zbroję ku chwale mojej królowej. Nie będę ukrywał, kim jestem.

- Więc równie dobrze możemy pomaszerować do Wieży Najwyższego Klerysta i sami się zamknąć w lochu - odparł Palin. - Bo tam właśnie skończymy.

- Nie ty, Biała Szato - zauważył Steel z półuśmiechem.

- O tak, ja też. Aresztują mnie w chwili, gdy dowiedzą się, że jestem z tobą. Rycerze nie przepadają za czarodziejami.

- A mimo to walczyłeś w ich szeregach.

- Z powodu braci - powiedział cicho Palin i umilkł.

- Nie martw się, Majere - stwierdził Steel. Jego ciemne oczy błyszczały radośnie.

- Wejdziemy do Palanthas bezpiecznie.

- Zakładając nawet, że przejdziemy przez miasto - protestował Palin - będziemy musieli jeszcze przedostać się przez zagajnik Shoikan.

- Ten przeklęty las? Widziałem go - z oddali. Twój ojciec nie mówił ci o tym? Wychowałem się w Palanthas. Mieszkałem tam do dwunastego roku życia, kiedy to zjawił się lord Ariakan, by wcielić mnie do zakonu rycerzy. Jak możesz sobie wyobrazić, zagajnik Shoikan jest pokusą dla każdego psotnego dziecka w mieście. Nie pamiętam już, ile razy zakładaliśmy się, kto bliżej do niego podejdzie. Oczywiście z chwilą, gdy najwyższe gałęzie olbrzymich drzew pojawiały się w polu widzenia, czmychaliśmy, gdzie pieprz rośnie. Po dziś dzień pamiętam to uczucie, ten lęk... Umilkł, marszcząc brwi, a potem otrząsnął się ze wspomnień, tak jak pies otrzepuje

się z wody. Dokończył z większą werwą: - Powiadają, że zagajnik jest morderczy dla każdego śmiertelnika, który spróbuje tam wejść - bez względu na to, po której stronie się opowiada. Ale ty z pewnością możesz tamtędy przejść bezpiecznie, panie magu.

- Nie nazywaj mnie tak - rzekł poirytowany Palin. To określenie nie odpowiada ściśle rzeczywistości. W hierarchii mojej sztuki zajmuję niskie stanowisko. Porównywalną rangą w wojsku byłby piechur.

Nie mógł nic poradzić na gorycz, jaka przebijała w jego głosie.

- Wszyscy zaczynamy na samym dole, Majere - oznajmił poważnie Steel. - Nie ma w tym nic wstydliwego. Dziesięć lat pracowałem na swoją szarzę i jeszcze daleko mi do szczytów.

- Mówisz zupełnie jak mój brat Tanin. Wy, rycerze, macie wyjątkowo zakute łby. Tak zawsze mu odpowiadałem. A wracając do zagajnika Shoikan, nic mi nie gwarantuje bezpiecznego przejścia. Przypuszczam, że mógłbym o to poprosić. Dalamar jest o mnie dobrego zdania...

Na dźwięk tego imienia twarz Steela zmieniła się. Oblał się ciemnym rumieńcem, a oczy, z których zniknęła wesołość, rozgorzały raptownie ogniem.

Zamyślony Palin nie dostrzegł tego. Kusilo go, by skontaktować się z mistrzem Wieży i ubłagać, by przeprowadził ich bezpiecznie przez zagajnik. - Nie - postanowił wreszcie. - Nie mogę prosić Dalamara. Musiałbym mu wtedy powiedzieć, dlaczego chcę dostać się do Wieży. A gdyby wiedział wcześniej, zatrzymałby mnie...

Palin spostrzegł minę Steela i rozejrzał się szybko, sądząc, że ktoś atakuje. - Co się stało? - Spytał, niczego nie ujrawszy.

- Dalamar Ciemny, to ten mężczyzna, o którym wspomniałeś?

- Tak - powiedział Palin - mistrz Wieży. Jest... - Nagle Palin przypomniał sobie lekcje historii. Jęknął w duchu.

- Jest mordercą mojej matki - dokończył Steel. Położył dłoń na rękojeści miecza. - Z przyjemnością poznam tego Dalamara.

Elf ciemności zabił swą byłą kochankę w samoobronie; Kitiara zaatakowała go pierwsza. Ten argument jednak raczej nie przemówi do jej syna.

- Sądzę, że nie ma sensu ci przypominać, że Dalamar jest najpotężniejszym czarodziejem na Ansalonie - stwierdził zgryźliwie Palin. - Że jednym machnięciem dłoni mógłby wyrzucić cię na nice.

- A jakie to ma znaczenie? - Odparł Steel ze złością. - Czy sądzisz, że napadam tylko słabszych od siebie? Honor nakazuje mi pomścić śmierć matki.

Dobry Paladine, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Zastanawiał się rozpaczliwie Palin. Steel zginie. Dalamar pomyśli, że to ja nasłałem na niego zabójcę. Może zgładzić na dokładkę także i mnie...

Zaufaj mi, młodzieńcze, odezwał się głos. Zostaw Dalamara mnie.

Palin zadrżał z emocji i uniesienia. Teraz już wiedział, że głos jest rzeczywisty, nie wymaginowany. Mówił do niego, kierował nim, prowadził go, potrzebował go!

Obawy opuściły go. Odprężył się.

- Jeszcze nie dotarliśmy do Wieży. Najpierw musimy bezpiecznie dostać się do Palanthas i przebyć zagajnik Shoikan. Zajmiemy się Dalamarem i wszystkim, co zastaniemy w Wieży, kiedy - i jeśli w ogóle - się tam znajdziemy.

- Dotrzemy tam - zapowiedział z zaciętością Steel. - Właśnie dałeś mi dodatkowy motyw.

Dosiedli smoczy i skąpani w krwawej poświacie Lunitari polecili na północ, ku Palanthas.

Całą noc trwała podróż, podczas której nikogo nie napotkali. Jednakże o świcie Flare zaczęła się niepokoić.

- Wyczuwam woń srebrnych smoków - oznajmiła.

Po krótkiej naradzie ze Steelem, wyładowała u podnóża gór Vingaard.

- I tak nie możemy wejść do Palanthas za dnia oznajmił Steel Palinowi. - Lepiej odpocznijmy dziś, a wyruszymy w drogę o zmroku.

Opóźnienie drażniło Palina. Był przekonany, że jego stryj żyje i wystarczy go tylko uwolnić ze straszliwej niewoli w Otchłani. Młody mag czuł się wypoczęty i zdrowy. Dzięki okładowi Steela rana prawie wcale mu nie dokuczała. Spieszno mu było w dalszą drogę, lecz lepiej było się nie sprzeczać z niebieską smoczyką ani jej panem.

- Czy jeden z nas nie powinien stać na straży? - Spytał Palin, widząc, jak Steel odwiązuje dwie derki.

- Obaj potrzebujemy wypoczynku - stwierdził Steel. - Smoczyca będzie czuwać nad naszym snem.

Po krótkich poszukiwaniach znaleźli płytkie wgłębienie w skalnej ścianie, w którym znaleźli schronienie, jeśli nie osłonę przed oczami przypadkowych gości. Palin rozścielił swój koc i zjadł część olbrzymiej ilości jedzenia, jakie Tika zdążyła mu przyszykować. Steel posilił się, położył i zwyczajem żołnierza, który wie, że musi korzystać z wypoczynku zawsze i wszędzie, gdzie tylko może, szybko zapadł w mocny

sen. Palin wyciągnął się na chłodnej ziemi, szykując się do spędzenia dnia w bezsennym oczekiwaniu na noc.

Obudził się gdzieś około zmierzchu.

Steel już wstał i siodłał smoczycę. Flare była wypoczęta i sprawiała wrażenie najedzonej. Ziemię wokół zaścielały szczątki kilku jeleni.

Palin wstał powoli, zeszywniały i obolały od leżenia na ziemi. Zwykle we śnie prześladowały go dziwne, ledwo zapamiętane obrazy. Tym razem było inaczej. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz spał tak mocno i głęboko.

- Robi się z ciebie weteran - mruknął Steel, bez wysiłku zarzucając ciężkie siodło na grzbiet smoczycy. - Nawet tak samo chrapiesz.

Palin wymamrotał przeprosiny. Wiedział, czemu tak dobrze spał i było mu trochę wstyd. Miał wrażenie, że zdradza przez to rodzinę, dom i sprzeniewierza się wyniesionym stamtąd zasadom. Po raz pierwszy w życiu od chwili, gdy zapalał tym pragnieniem, od czasu, gdy był dość duży, by udawać, że rzuca magiczny pył w twarze towarzyszy zabaw, znalazł wewnętrzny spokój.

- Nie przepraszaj, Majere. Dobrze się spisałeś. Musimy oszczędzać siły na to, co czeka nas dziś w nocy.

Zagajnik Shoikan. Przerażające, budzące zgrozę miejsce. Caramon raz kiedyś próbował tam wejść i omal nie zginął. A teraz Palin ledwo mógł zdobyć się na cierpliwość. Jemu zagajnik nie wydawał się straszny, podobnie jak mistrz Wieży. Raistlin obiecał zająć się Dalamarem. Myśli Palina skupiały się wokół tego, co go czeka po przejściu przez zarośla.

Portal. I stryj.

Smoczyca wzbijała się w ciemniejące niebo i leniwie zataczała kręgi, a przy wznoszeniu się korzystała z ciepłych prądów powietrznych.

Po kilku godzinach ujrzeli światła Palanthas. Oblecieli je dookoła, omijając Nowe Miasto po prawej stronie. Mur wokół starówki otaczał gród podobnie jak obręcz koła od wozu. Przy bramach jasno płonęły pochodnie. W słynnej bibliotece panował mrok; tylko w jednym oknie paliło się światło. Być może, Astinus, którego niektórzy uważali za samego boga Gileana, siedział do późna i spisywał bieżącą historię świata.

Być może, właśnie w tej chwili pisał o nich. Może wkrótce odnotuje ich śmierć. Ta nieproszona myśl nasunęła się Palinowi po spojrzeniu w dół na lodowatą plamę ciemności, jaką był zagajnik Shoikan. Czym prędzej odwrócił oczy i popatrzył w stronę Wieży Wielkiej Magii. Okna były rozświetlone, przeważnie te na niższym poziomie,

gdzie uczniowie zamiast spać, uczyli się na pamięć magicznych zaklęć. Palin wiedział, który pokój należy do Dalamara i szukał w nim światła.

Okno było ciemne.

Naprzeciwko Wieży wznosiła się świątynia Paladine'a, której białe mury rozsiewały blady blask, jakby wchłonęły promienie Solinari i rozjaśniały nimi mrok nocy. Przypomniawszy sobie cel podróży i charakter swego towarzysza, Palin nie mógł długo patrzeć także i na ten gmach.

Przelatywali nad pałacem władcy Palanthas. Zamek iskrzył się od świateł; jego lordowska mość najwyraźniej wydawał przyjęcie.

Jak w takich czasach można się bawić? Zastanawiał się zdjęty nieracjonalnym gniewem Palin. Jego bracia zginęli; wielu innych dobrych ludzi oddało życie. Za co? Za to, by lord Palanthas i jego bogaci przyjaciele mogli upijać się do nieprzytomności elfim winem z przemytu?

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby zeskoczył ze smoka, wpadł między biesiadników w okrwawionych szatach i krzyknął: - Otwórzcie oczy! Spójrzcie na mnie! Zobaczcie, co was czeka!

Pewnie nic. Wyrzuciłby go kamerdyner.

Niebieska smoczyca skręciła w lewo, ominęła pałac i zostawiła za sobą migoczące światła. Przeleciała nad murem Starego Miasta, nad Nowym Miastem i znalazła się nad zatoką. W porównaniu z budynkami woda była zaskakująco ciemna. Jedyne kilka jasnych punkcików zdradzało położenie wartowni nocnej straży.

Wartowników musiał zmorzyć sen, bowiem nikt nie zauważył smoka, który zniżył lot i wylądował na brzegu morza.

Rozdział XVI

WIEŻA NAJWYŻSZEGO KLERYSTA.

NIEMILE WIDZIANY POSŁANIEC

Wieża Najwyższego Klerysta, zbudowana w Wieku Potęgi przez Vinasa Solamnusa, strzegła jedynej przełęczy wiodącej przez góry Vingaard, głównej drogi lądowej łączącej zachodnią część Ansalonu z Palanthas. Była to przeogromna, masywna, potężna forteca. Kiedyś nawet słyszano, jak Flint Fireforge, Bohater Lancy, zwracając uwagę na niezwykłą konstrukcję owej Wieży, oznajmił, że jej budowniczy musiał być albo pijany, albo szalony.

Ta krytyczna uwaga poczciwego krasnoluda, według gnomów, wypowiedziana była zbyt pochopnie i nie należało traktować jej poważnie. Prawdą było również i to, że kiedy Flint wygłaszał swą opinię, nie był świadom niezwykłego systemu obronnego Wieży, który wkrótce dane mu było zobaczyć w akcji.

Jakiś czas po tym, jak krasnolud wygłosił tę uwagę, smoki wojsk Kitiary zaatakowały Wieżę. Rycerz solamnijski Sturm Brightblade zginął podczas tego natarcia, lecz dzięki jego poświęceniu inni rycerze zebrali siły i z pomocą kendera, elfiej panny i smoczej kuli, twierdzę ocalono.

Wieża Najwyższego Klerysta miała imponujący wygląd. Wysoka na jakieś trzysta metrów forteca otoczona ze wszystkich stron z wyjątkiem południowej ośnieżonymi szczytami gór, jak powiadają wtajemniczeni, nigdy nie wpadła w ręce wroga, dopóki bronili jej wierni. Zewnętrzny kamienny szaniec miał u podnóża Wieży kształt ośmiokąta. Na każdym jego narożniku stała wieżyczka. Pomiedzy nimi na szczycie murów rozciągały się flanki. Wewnętrzny ośmiokątny mur był podstawą ośmiu mniejszych wież, które wzniesiono dookoła dużej, środkowej twierdzy.

W zewnętrznych fortyfikacjach było sześć stalowych bram, z których trzy wychodziły na równinę Solamnijską, a wszystkie wiodły do serca Wieży. To zaniepokoiło Flinta Fireforge. Każdy krasnolud wart swej wagi w kamieniu powie ci, że dobra, solidna forteca ma tylko jedno, pilnie strzeżone wrota, które w razie

potrzeby można zatrzęsnać na głucho.

Rycerze mogliby odpowiedzieć Flintowi stwierdzeniem, że krasnoludzkiej taktyce brak wyobraźni i subtelności. Wieża Najwyższego Klerysta była w rzeczywistości majstersztykiem przemyślnej architektury. Sześć bram wychodziło na strzeżone dziedzińce - pola śmierci, gdzie rycerze na wysokich murach mogli rozprawić się z nieprzyjacielem, skupiając na nich cały atak z góry. Tym, którzy przedostali się na schody wiodące do środkowej Wieży, zagradzały drogę ukryte pułapki.

Zaznajomieni z historią Wojny Lancy przypomną sobie zapewne, że trzy bramy wychodzące na równinę Solamnijską były w rzeczywistości pułapkami na smoki. Magiczna smocza kula umieszczona pośrodku zbiegających się korytarzy wołała złe smoki, nakłaniając je, by wleciały do wnętrza Wieży, zamiast atakować ją od zewnątrz. Smoki ginęły więc z rąk rycerzy solamnijskich, którzy zza osłony kamiennych przegród mogli bezpiecznie atakować uwięzione stworzenia. Stąd inna, zapomniana nazwa Wieży, „Smocza śmierć”. W ten sposób w czasie Wojny Lancy padło mnóstwo złych smoków.

Wiele lat upłynęło, odkąd Sturm Brightblade stał samotnie na murach, oczekując na pewną śmierć. Smocze kule podobno zaginęły w czasie Wojny Lancy, a przynajmniej taką głęboką nadzieję miała większość ludzi. Poznawszy sekret Wieży, złe smoki nie dałyby się już zwabić w jej morderczą pułapkę, a ponieważ istoty te żyją niewiarygodnie długo, istniało duże prawdopodobieństwo, że pamięć o korytarzach mokrych od smoczej krwi powstrzymałaby je od popełnienia tego samego błędu po raz drugi.

Wieżę po wojnie odbudowano, odnowiono i unowocześniono. Wraz z zaginięciem smoczych kul główny system obronny przestał być skuteczny, a trzy pułapki stały się raczej słabym punktem fortecy niż jej zaletą. Rycerze solamnijscy pojęli trafność wypowiedzi krasnoluda, która dotyczyła trzech stalowych bram. „Równie dobrze moglibyśmy zaprosić nieprzyjaciela na herbatkę!”, z sarkazmem mawiał Flint. Podjęto zatem odpowiednie kroki i zamknięto wszystkie trzy wejścia „korkami” z białego granitu, które pokryto bogatymi ornamentami na wzór pierwotnych bram.

Po wojnie Wieża Najwyższego Klerysta stała się ośrodkiem ożywionej działalności. Na traktach wiodących w obie strony tłoczyli się kupcy. Poddani przybywali z prośbą o radę, sprawiedliwość lub pomoc w obronie miasta przed grasantami. Kurierzy w ważnych misjach zajeżdżali galopem pod bramy. Każdego dnia

wyłapywano kenderów, poddając ich rewizji, a następnego dnia wypuszczano z surowym poleceniem, by „poszli sobie precz”. Nakaz ten kenderzy wypełniali radośnie, ustępując jedynie miejsca nowej fali pobratymców.

Latem, wzdłuż drogi wiodącej z równin do głównej bramy, kupcy ustawiali swoje stragany. Sprzedawali w nich wszystko, począwszy od wstążek i jedwabnych szarf (które piękne damy wręczały wybranym rycerzom jako znak sympatii) do jedzenia, piwa, elfiego wina i (pokątnie) krasnoludzkiej gorzałki.

Dla szkolenia młodych i utrzymania kondycji starszych rycerzy oraz ku uciesze gawiedzi regularnie urządzano turnieje z walkami na kopie, zawodami strzeleckimi, bitwami na niby, musztrą i pokazami sprawności jeźdźców na koniach i smokach.

Rycerzom dobrze się wiodło... Aż do tego lata.

Kiedy słoneczny skwar spalił ziemię na ubitych traktach, chęć do podróżowania po Krynnie zwiędła i uschła jak plony na polach. Rolnik, który zbiera z pola jedynie pył i kurz, nie może zapłacić wędrownemu druciarzowi za naprawę pługa. Druciarz zaś nie może pokryć rachunków w oberży, a karczmarka nie ma pieniędzy na zakup potrzebnego jedzenia dla gości.

Kurierzy wciąż przybywali, nawet częściej niż zwykle, przynosząc złe wieści o klęsce głodu i pożarach. Docierali także, ledwo żywi z upału, nieliczni zawzięci podróżni. Sprzedawcy pozamykali stragany i przenieśli się do Palanthas. Zaprzeszono urządzenia turniejów, gdyż zbyt wielu rycerzy zakutych w ciężkie zbroje traciło przytomność z gorąca. Tylko kenderzy, dotknięci narodową plagą, znaną jako „gorączka podróży”, nadal regularnie odwiedzali Wieżę, ogorzali, zakurzeni i wesoło komentujący niesłychaną zmianę pogody.

Tego wieczoru, kiedy przybył Tanis Półelf, wyprowadzano właśnie ich grupę. Nadzorujący rycerz puścił więźniów wolno i kazał im oddalić się od bramy. Szybko przeliczywszy głowy, strażnik czym prędzej znikł i po chwili wrócił z jeszcze dwoma kenderami, którzy oddzielili się od grupy i odnaleźli się w jadalni. Rycerz odebrał im kilka sztuców, sześć cynowych talerzy ozdobionych herbem zakonu, dwie lniane serwetki i pieprzniczkę.

Zwykle kenderzy mitrężyliby czas pod murami Wieży w nadziei, że uda im się ponownie dostać do środka. Tego jednak dnia ich uwagę przyciągnął Tanis, który przyleciał na gryfie.

Kiedy tylko stwór usiadł przed frontową bramą na głównej drodze do Wieży, wokół zaroilo się od kenderów, którzy przyglądali mu się z przyjaznym

zaciekawieniem. Dziki zwierz - nie darzący ich sympatią - patrzył na nich posepnie paciorkowatymi, czarnymi oczami. Kiedy któryś z malców przysunął się do niego za blisko, poirytowany gryf stroszył pióra i kłapał groźnie dziobem, co budziło niezmierną radość kenderów.

Widząc, że jeden lub kilku z nich może skończyć jako śniadanie dla gryfa, Tanis odesłał latającą bestię do Porthiosa, dziękując jej serdecznie. Gryf oddalił się szybko i radośnie. Rozczarowani kenderzy podnieśli krzyk i natychmiast uczepili się Tanisa.

Ściskając mocno miecz w jednej ręce, a mieszek z pieniędzmi w drugiej, Półelf kierował się w stronę Wieży, lecz brodząc w morzu kenderów, nie posuwał się zbytnio naprzód. Na szczęście tętent kopyt w oddali skłonił kenderów do porzucenia Tanisa i skupienia uwagi na nowym przybyszu. Półelf mógł wreszcie pośpieszyć do bramy.

Rycerz na warcie zasalutował Tanisowi, który był częstym gościem w Wieży.

- Bądź pozdrowiony, czcigodny panie. Dopilnuję, aby odprowadzono cię do pokoi gościnnych, gdzie będziesz mógł odpocząć po długiej...

- Nie mam czasu - przerwał raptownie Tanis. - Muszę natychmiast się widzieć z sir Thomasem.

Stary przyjaciel Tanisa i były przywódca rycerzy, lord Gunthar uth Wistan, w zeszłym roku przeszedł w stan spoczynku. Komendantem Wieży Najwyższego Klerysta był teraz Thomas z Thalgaardu, wysoki rangą rycerz Róży. Liczący sobie nieco ponad czterdzieści lat sir Thomas cieszył się sławą twardego, zdolnego dowódcy. Jego ród od dawna należał do rycerstwa. Dziadek Thomasa był rycerzem solamnijskim, lecz w mrocznych czasach po Kataklizmie jego posiadłość zagrabiła sekta fałszywych kapłanów. Ojciec Thomasa schował dumę do kieszeni i poszedł do nich na służbę, by pracować jak niewolnik na ziemi, która niegdyś należała do jego rodziny. Toteż pierwszym rumakiem bojowym młodego Thomasa był koń od pług, a pierwsze boje stoczył z pędrakami i ryjkowcami. Widząc, jak na jego oczach ojciec zapracowuje się na śmierć i umiera jako niewolnik, poprzysiął sobie zostać rycerzem.

Szansa Thomasa nadeszła w czasie Wojny Lancy. Jego wioska znalazła się na trasie przemarszu smoczycy armii. Fałszywi kapłani uciekli w obawie przed zbliżającym się natarciem, zabierając ze sobą wartościowe rzeczy i zostawiając ludność na pastwę smokowców. Thomas, dwudziestoletni wtedy młodzieniec, zgromadził przyjaciół i sąsiadów, nakłaniając ich do schronienia się w zamku. Bronił swych posiadłości z taką zaciekłością i talentem, że zamek oparł się potężnej smoczycy armii aż do końca wojny.

Tanis nie znał dobrze komendanta, lecz sądząc z tego, co widział wcześniej, uznawał go za człowieka inteligentnego i rozsądnego.

- Muszę się natychmiast widzieć z sir Thomasem - powtórzył Tanis. - Mam wieści nie cierpiące zwłoki.

- Tak jest, czcigodny panie - odparł rycerz i wysłał gońca na poszukiwanie dowódcy.

Tanis nie musiał długo czekać. Wkrótce pojawił się sam sir Thomas, który nie należał do osób przywiązujących uwagę do ceremonii. Powitał serdecznie Tanisa, a zauważywszy niecierpliwość Póelfa, zaprosił go na przechadzkę po fortyfikacjach.

- Przynosisz wieści - rzekł Thomas, kiedy znaleźli się sami. - I sądząc po twej minie, nie są one dobre.

- Zatem nie otrzymałeś meldunku, panie?

- O czym? W ciągu zeszłego tygodnia nie mieliśmy żadnych doniesień.

- Lord Ariakan rozpoczął atak. Twierdza Północna i Valkinord padły. Kalaman może być w tej chwili oblegany. O ile potrafię to ocenić, rycerze ciemności ruszyli do ataku z dwóch stron; jedna armia idzie przez góry Khalkist, a druga zamierza popłynąć rzeką z Kalamanu.

Komendant spojrział na Tanisa ze zdumieniem.

- Panie, rycerze wysłani dla wzmocnienia załogi Kalamanu zostali wybici niemal co do nogi - oznajmił cicho Tanis. - Bronili się dzielnie, lecz wróg znacznie przewyższał ich liczebnością. Mam ze sobą listę poległych. - Wyjął złożony papier i podał go lordowi Thomasowi. - Muszę przyznać Ariakanowi, że traktuje poległych z całym należnym honorem.

- Tak, to do niego podobne - potwierdził Thomas, spoglądając na listę. Miał ponurą minę i zaciskał mocno zęby. - Znałem każdego z nich - oznajmił wreszcie. - Złożył kartkę i schował za pasek. - Dopilnuję, by zawiadomiono ich rodziny. Zdaje się, że znałeś dwóch z nich, tych chłopców Majere.

- Znałem ich. Pomogłem ich pochować - odparł posepnie Tanis. - Ich młodszy brat, Palin, został wzięty do niewoli i przetrzymują go dla okupu. To jego strażnik, rycerz Takhisis, dostarczył nam te wieści. Jego również znasz, panie. Nazywa się Brightblade, Steel Brightblade.

- Syn Sturma Brightblade. Tak, przypominam sobie to wydarzenie. Staraleś się ocalić tego młodego człowieka od zła. Skończyło się na tym, że zbeczczył grób swego ojca i skradł jego miecz.

Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, lecz Tanis - którego aresztowano i oskarżono o współudział w tym „wydarzeniu” - wiedział, że lepiej się nie sprzeczać. Przedstawił fakty radzie rycerzy i wreszcie zdołał oczyścić imię własne i swojego przyjaciela, Caramona. Nie udało mu się jednak przekonać rycerzy, że to sam Sturm przekazał miecz synowi. Swoją drogą, Tanis sam już nie był całkiem pewny tego, co rzeczywiście się stało. Miał wrażenie, że zarówno on, jak i Sturm ponieśli klęskę. O ile Tanis potrafił ocenić, Steel Brightblade przeszedł całkowicie na stronę ciemności...

- Kalaman obleżony... - Zdumiony Thomas potrząsnął głową. - Trudno mi w to uwierzyć, Pólelfie. Niczego mu nie ujmując, Ariakan dysponuje zaledwie garstką rycerzy.

- Panie, zdaniem Palina armia lorda Ariakana liczy znacznie więcej niż garstkę. Jego wojska są nieprzebrane. Ariakan zwerbował do swej armii barbarzyńców z krain na wschodzie, ludzi wysokich jak minotaurzy i równie zaciekle walczących. Przewodzą im rycerze na smokach, a ich szeregi zasilają magowie-renegaci. Dalamar, przełożony Konklawe Czarodziejów na Ansalonie, może zaświadczyć o potędze tych czarnoksiężników.

- Bez wątplenia, skoro jest po ich stronie.

- Nie, panie. Mylisz się. Nie jest powszechnie o tym wiadomo, lecz niedawno czarodzieje trzech księżyców przypuścili atak na Szarych Rycerzy, jak ich się nazywa, i ponieśli sromotną klęskę. Jeden z czarodziejów, Justarius, zginął. Nie jestem pewien, po czyjej stronie stoi Dalamar, lecz nie przypuszczam, aby to była strona Ariakana. Dalamar nie potrafi wybaczyć swej królowej, że odwróciła się do niego plecami, by obdarzyć większą mocą własnych magów.

Thomas zmarszczył brwi. Jak każdy rycerz nie ufał żadnym czarodziejom i chciał mieć z nimi jak najmniej do czynienia. Lekceważącym gestem zbył kwestię magii jako nieistotną.

- Kalaman może długo wytrzymać obleżenie. Mamy dość czasu, żeby wysłać odsiecz.

- Nie jestem taki pewny... - Zaczął Tanis

- Panie! - Po schodach wbiegł pędem zdyszany paź. - Panie, przybył kurier. On...

- Gdzie twoje maniery, chłopcze? - Thomas zatrzymał pazia. - Jest tu ze mną dostojny pan, któremu jesteś winien szacunek w równym stopniu, co mnie. Trzeba pilnować dyscypliny - mruknął pod nosem, zwracając się do Tanisa.

Paż oblał się rumieńcem po uszy, wyprostował, a następnie skłonił się pośpiesznie najpierw Tanisowi, a potem sir Thomasowi. Chłopiec jednak nie skończył jeszcze pokłonu, gdy zaczął mówić.

- Kurier, wielmożny panie. Czeka na dole. Musieliśmy mu pomóc zsiść z konia. Jechał tak szybko... - Paż przerwał, zdyszany.

- Obawiam się, że to kolejne złe wieści - zauważył kwaśno sir Thomas. - Nikt się nie śpieszy przysyłać nam dobrych.

Dwaj mężczyźni zeszli na dół i podeszli do frontowej bramy. Kurier leżał na ziemi ze zwiniętym pod głową płaszczem. Na widok posłańca sir Thomas zmarszczył brwi, mężczyzna bowiem nosił barwy strażnika miejskiego z Kalamanu. Jego strój był splamiony zaschniętą krwią.

- Tak zeszywniał, że musieliśmy zdjąć go z konia - zameldował rycerz przy bramie. - Mówi, że nie miał nic w ustach, tylko jechał dniem i nocą, żeby dotrzeć do nas.

-- Panie! - Ujrawszy sir Thomasa, posłaniec usiłował wstać.

- Spokojnie, chłopcze. Odpoczywaj. Jakie przynosisz wieści? - Thomas przykląkł przy kurierze.

- Kalaman, panie! - Wycharczał żołnierz. - Kalaman... Padł!

Thomas podniósł wzrok na Tanisa. - Zdaje się, że miałeś rację - stwierdził cicho.

- Przybyli od strony morza, panie - wyjaśniał słabym głosem posłaniec. - Z morza i z powietrza. Bez... Ostrzeżenia. Zaatakowali... W nocy. Smoki... I olbrzymie bestie, które rycerze nazywali mamutami... Miasto... Poddało się...

Mężczyzna próbował dokończyć, lecz zabrakło mu sił. Rycerz Miecza obdarzony mocą uzdrawiania, wyznawca boga Kiri-Jolitha, zajął się rannym kurierem. Po pobieżnym zbadaniu rycerz podniósł oczy na sir Thomasa.

- Nie jest ciężko ranny, panie, lecz cierpi z powodu utraty krwi i wyczerpania. Potrzebuje odpoczynku.

- Zgoda. Znajdźcie mu wygodne posłanie. Dajcie mi znać, kiedy znów będzie mógł mówić. Muszę znać szczegóły. Reszta z was niech zachowa to dla siebie. Nikomu ani słowa.

Kuriera wyniesiono na noszach, a spienionego konia odprowadzono do stajni.

- I tak już wiem wszystko, co powinienem - oznajmił sir Thomas Tanisowi. Byli sami w sieni; rycerz przy bramie wrócił na swój posterunek. - Kalaman padł. To

straszne wieści. Jeśli dotrą do Palanthas, wybuchną zamieszki.

Tanis dokonał w myśli szybkich obliczeń. - Jak już mówiłem, Ariakan dysponuje olbrzymią armią, którą może bezkarnie rozdzielić.

- Rozumiem jego plan - powiedział w zamyśleniu sir Thomas. - Rusza do natarcia na wschodnie wybrzeże z połową sił i maszeruje z nimi na zachód przez góry. Druga połowa jego wojsk atakuje od północnego zachodu i udaje się na południe na spotkanie z siłami po drugiej stronie Khalkist. Po drodze zgarnia ogrów, goblinów i smokowców, którzy chowali się w górach. Będzie musiał zostawić żołnierzy do utrzymania Kalamanu i ochrony linii zaopatrzenia, lecz zyskawszy dodatkowe wsparcie, przybędzie na miejsce w pełni sił.

Sir Thomas uśmiechnął się niewesoło.

- Widzisz, ja go znam. Za dawnych czasów omawialiśmy z Ariakanem plan bardzo zbliżony do tego. Przyjaźniliśmy się, kiedy był tu więźniem. Ariakan zawsze był dobrym żołnierzem - dodał w zamyśleniu Thomas, potrząsając głową. - A my uczyniliśmy go jeszcze lepszym.

- Jaki więc będzie jego następny ruch? - Spytał Tanis.

Sir Thomas popatrzył na wschód przez frontową bramę. - On nadciąga tutaj. I zupełnie nic nie możemy zrobić, żeby go zatrzymać.

Rozdział XVII

UCIECZKA PRZED PATROLEM. OSOBLIWA HANDLARKA RYBAMI. JEDNOOKA I ŻÓŁTOOKI

Nie wiem, czy było coś takiego w twoich czasach, ale teraz nocą po porcie krążą patrole zwane „antyprzemyticznymi” - szepnął Palin do swego towarzysza. - Do tego jeszcze straż portowa odbudowała mur Starego Miasta. Chodzą tamtędy wartownicy. Napad smoczej władczyni Kitiary na miasto utkwił im mocno w pamięci.

Palin ledwo widział Steela i smoczycę. W nikłym blasku księżyców i gwiazd odbijających się w wodzie rycerz zdejmował bagaże z wierzchowca. Wylądowali na półwyspie tworzącym zachodni brzeg zatoki Branchali. Od czasu do czasu Palin dostrzegał błysk zbroi w świetle księżycy i widział zarys wysokiej, muskularnej postaci na tle rozgwieżdżonego nieba.

Steel zdjął pakunek z bronią, której nigdy nie noszono w smoczym siodle, jeśli rycerz nie leciał do boju. Przypasał długi miecz, wsunął za pas krótki, a sztylet schował w cholewce buta. Łuk, strzały i lancę zostawił przy smoku.

- Gdyby moja matka i twój stryj działali wspólnie, a nie przeciwko sobie - zauważył Steel - to ja mógłbym być dziś gospodarzem tego balu w lordowskim pałacu.

Nie uszło uwagi Palina subtelne przypomnienie, że Raistlin był wtedy w zмовie z siłami ciemności - tak samo, jak może być teraz. Wspomnienie próby w Wieży Wielkiej Magii, kiedy Palin spotkał stryja - a przynajmniej był o tym przekonany - dręczyło go cały czas. Obraz Raistlina był czystą iluzją, którą wyczarował Dalamar i pozostali magowie, aby wypróbować Palina i sprawdzić, czy ulegnie tym samym pokusom, które niegdyś nie dawały spokoju jego stryjowi.

Zdaniem czarodziejów Caramon nigdy nie pozwoliłby Palinowi na próbę - ten morderczy egzamin, który muszą przejść wszyscy magowie, zanim będą mogli posunąć się dalej w swej sztuce. Nikt nie wychodzi z tej próby bez szwanku. Każdy

zostaje odmieniony. Caramon nie chciał ryzykować, że straci umiłowanego syna, tak jak kiedyś stracił ukochanego brata. Magowie obawiali się, że nadmierna opiekuńczość i miłość Caramona skłoni Palina do otwartego buntu, a być może przejścia na stronę zła, jak uczynił to jego stryj. Podjęli więc decyzję za Caramona i oszukali zarówno jego, jak i Palina.

Młodzieniec podczas próby wierzył, że zstąpił do Otchłani i tam zastał swego stryja, dręczonego przez Królową Ciemności. Uwolnił go i przeprowadził przez portal tylko po to, by odkryć, że Raistlin zamierza zostawić bramę otwartą, by mogła tamtędy przejść Królowa Mroku. W zamian miała dać Raistlinowi władzę nad światem.

Raistlin zaproponował Palinowi, że uczyni go swym dziedzicem, jeśli tylko młodzieniec przejdzie na stronę zła i przywdzieje czarne szaty. Palin odmówił i gotów był poświęcić swe życie, by nie dopuścić do zwycięstwa stryja. Wtedy właśnie przekonał się, że to wszystko - jego stryj, portal, Otchłań - stanowiło tylko część próby. Nic z tego nie było rzeczywiste.

A może jednak było?

Palin wciąż słyszał słowa Raistlina.

Poskromiłem swe ambicje. Nie pragnę już zostać bogiem. Zadowolę się władzą nad światem... To będzie mój dar dla Królowej Ciemności, dowód mej lojalności - zaproszenie do naszego świata. A ona mi go podaruje. Będzie tu władczynią, ja... Zaś będę jej sługą.

Tak brzmiały słowa jego stryja. Czy jednak rzeczywiście był to jego stryj? Dalamar utrzymywał, że wizerunek Raistlina był tylko złudzeniem. Raistlin, którego spotkał Palin, był wytworem Dalamara.

Niemniej laska Magiusa w zaciśniętej mocno dłoni Palina z pewnością nie była przywidzeniem.

- Pośpieszmy się lepiej - stwierdził nagle Palin. - Już prawie północ.

Steel poklepywał smoczycę po karku, zamieniając z nią kilka cichych słów. Palin posłyszał: „twierdza Dargaard” i domyślił się, że to tam Flare poszuka schronienia. Nadal sprawował tam władzę Lord Soth, budzący grozę upiorny rycerz. Soth był niegdyś rycerzem solamnijskim. Zakazana miłość do elfiej panny doprowadziła go do złamania przysięgi rycerskiej i popełnienia morderstwa. Spadło na niego przekleństwo bogów. Nigdy nie umrze, lecz będzie żyć wiecznie w straszliwych mękach, ziejąc nienawiścią do żywych i zazdroszcząc im. Soth był wierny

Królowej Mroku i jej sprawie. Żaden śmiertelnik nie odważył się zbliżyć choćby na kilkaset mil do przekłętego zamku. Legenda głosiła też, że dusza nieżyjącej matki Steela zmuszona była przebywać w twierdzy Dargaard wraz z upiornym rycerzem. Błękitna smoczyca będzie bezpieczna w kompanii takich istot mroku.

Plaża usiana była rozlicznymi chatkami rybackimi. Ich mieszkańcy albo byli nieobecni, albo dawno poszli spać. Palin przyglądał się tym budom z niepokojem, w obawie, że ktoś może się obudzić.

- Pośpiesz się - powtórzył zdenerwowany młodzieniec. - Wydawało mi się, że coś usłyszałem.

- Nie martw się, Majere. - Steel pokazał mu sztylet o rękojeści zakończonej trupią główką. - Jeśli ktoś nas zobaczy, zamknę mu oczy na zawsze.

- Na miłość boską, tylko bez zabijania! - Zaprotestował Palin. - Nauczyłem się na pamięć usypiającego zaklęcia. Użyję go, jeśli zostaniemy zauważeni.

- Zaklęcie usypiające. - Steel parsknął pogardliwie. - Czy sądzisz, że podziela na nieumarłych strażników zagajnika Shoikan?

- Z pewnością nie gorzej od twojego sztyletu - odparł urażony Palin, niezadowolony, że mu o tym przypomniano. Widok Shoikan z lotu ptaka wstrząsnął nim.

Steel nie odezwał się więcej. W jego oczach błysnęło coś jakby rozbawienie. Rycerz schował sztylet do cholewki.

Flare odbiła się mocnymi zadnimi łapami od piaszczystego gruntu. Skoczyła w górę, rozpostarła skrzydła, złapała w nie słabą bryzę od oceanu i wzbiła się w niebo.

Palin z żalem odprowadzał wzrokiem smoczycę. Od tej pory byli ze Steelem zdani na własne siły, a te wydawały im się żałośnie niewystarczające.

- Idziesz, Majere? - Spytał Steel. - To tobie się tak śpieszyło.

Natknęli się na niewielką łódź rybacką, którą ktoś wyciągnął na plażę. Steel umieścił w niej pakunki i zepchnął ją na wodę. Przytrzymał czółno przy brzegu dość długo, by Palin - skrzepowany szatami - wszedł do środka, a potem pociągnął je na głębszą wodę. Sam wsiadł do łódki dopiero wtedy, gdy zanurzył się w falach po kolana.

Chwycił za wiosła, zanurzył je w wodzie i popłynął w stronę przystani, zachowując ciszę i ostrożność.

- Na dnie leży latarnia. Zapal ją - polecił Palinowi. Nie możemy wzbudzać podejrzeń.

Inne, większe statki w porcie wywiesiły latarnie, by łodzie się z nimi nie

zderzały. Palin wypełnił polecenie, korzystając z krzesiwa i hubki, które znalazł na dziobie. Gdy zapalał latarnię, nagle uświadomił sobie, że to dziwne, że na pokładzie rybackiego czółna znalazła się latarnia i że Steel o tym wiedział. Prawdę powiedziawszy, skąd Steel w ogóle wiedział, że łódka tam będzie? Może rybacy posługiwali się światłem podczas nocnych połowów albo przemytu, zajęcia znacznie bardziej popłatnego w dzisiejszych czasach niż łowienie ryb.

Podczas gdy Steel wiosłował, Palin trzymał latarnię wysoko, uważając, by światło nie padało na zbroję czarnego rycerza.

Noc była gorąca i bezwietrzna. Bryza ustała prawie natychmiast po tym, jak wpłynęli do zaciszego portu. Palin był zlany potem. Steel musiał czuć się jeszcze gorzej, miał bowiem na sobie płaszcz przykrywający napierśnik i pozostały ekwipunek. Gdy w niewielkiej odległości mijał ich trójmasztowy żaglowiec minotaurów, Palin obejrzał się i spostrzegł, że twarz rycerza błyszczy od potu. Kędzierzawe, czarne włosy przylepiały mu się do skroni.

Nie uskarżał się jednak, lecz wiosłował z lekkością i wprawą, której Palin mógł mu pozazdrościć. Od samego tylko patrzenia rozboleły go ręce.

Zatrzymał ich gburowaty głos dobiegający ze statku minotaurów. Spoglądając w górę, Palin spostrzegł na tle gwiazdzistego nieba zarys rogatego łba.

- Precz mi stąd, szczury lądowe! Trzymać się z daleka! Wybijcie mi tylko dziurę w burcie, to zatkam ją waszymi nędznymi ścierwami!

- Pijany - stwierdził Steel. - Nawet nie podpłynęliśmy blisko niego.

Palin zauważył jednak, że rycerz naparł na wiosła i łódź pomknęła szybko po ciemnej wodzie. Pomachał latarnią na znak przeprosin, a w odpowiedzi usłyszał na pożegnanie przekleństwo.

- Zgaś światło! - Rozkazał Steel, kiedy zbliżyli się do przystani.

Palin posłusznie zdmuchnął płomyk.

Steel przestał wiosłować i łódź płynęła dalej siłą własnego rozpędu, niesiona przez przypyływ. Od czasu do czasu zanurzał wiosło, by poprawić kurs. Kiedy już podpłynęli do pomostu, rycerz chwycił za jeden ze słupów. Trzymał go mocno, gdy tymczasem łódka obróciła się i omal nie wpłynęła pod molo.

- Wychodź! - Rozkazał.

Palin poszukał drabinki na pomoście i znalazł ją. Zamierzał stanąć w kołyszącym się czólnie, chwycić za szczebel i wspiąć się na górę. Popatrzył na atramentowoczną wodę, która pluskała i chlupotała między palami.

- A moja laska? - Spytał, odwracając się do Steela. - Nie mogę zabrać jej ze sobą.

- Podam ci ją! - Powiedział Steel, ściskając słup z całych sił. Walczył z przyływem, który usiłował wyrzucić łódź na brzeg.

- Nie... - Palin nie wypuścił laski z ręki.

- Więc każ jej samej pójść za tobą na górę! Pośpiesz się, Majere! Nie wytrzymam już długo!

Palin zawahał się, nie ze strachu o siebie, lecz w obawie przed zostawieniem cennej laski.

Steel syknął i spojrzał wściekle na młodego maga. - Decyduj się, do cholery!

Palin nie miał wyboru. Musiał ufać, że tak jak mówił Steel, laska sama zadba o siebie. Położywszy ją ostrożnie na ławce, mag wstał i usiłował zachować równowagę. Jedynie dzięki sile mięśni Steel zdołał obrócić łódkę tak, by znalazła się blisko molo. Palin skoczył na drabinkę, złapał za szczebel i zawisł na nim z przerażeniem, gdy łódź usunęła mu się spod nóg.

Rozpaczliwie szukał oparcia dla stóp, aż znalazł ostatni szczebel. Z westchnieniem ulgi zaczął wspinaczkę, płacząc się w szatach, lecz wreszcie dotarł bezpiecznie na górę. Natychmiast odwrócił się i schylił, by sięgnąć po laskę.

Ze zgrozą ujrzał, że jej tam nie ma.

- Co zrobiłeś z moją laską? - Krzyknął, ze strachu i oburzenia zapominając o tym, że mają zachować ciszę.

- Zamknij się! - Wycedził Steel przez zaciśnięte zęby. - Nic z nią nie zrobiłem! Leżała tu, a chwilę potem już jej nie było!

Czując bolesny skurcz serca, Palin gotów był już w przyływie paniki rzucić się do mętnej, ciemnej wody, gdy położywszy dłoń na pomoście, poczuł pod palcami ciepłe, gładkie drewno.

Laska Magiusa leżała obok niego.

Palin odetchnął. Z ulgi omal nie zakreśliło mu się w głowie.

- Nieważne - szepnął zawstydzony. - Już ją znalazłem.

- Dzięki niech będą Jej Mrocznemu Majestatowi! - Mruknął Steel.

Staął w łódce, chwycił za szczebel drabinki i - pomimo obciążenia zbroją i orężem - podciągnął się z pełną wdzięku lekkością. Czólno odpłynęło z prądem.

Steel stanął na molo, lecz prawie natychmiast przykucnął za ogromną beczką, ciągnąc Palina za sobą.

- Co tam? - Szepnął Palin.

- Nadchodzi patrol - odszepnął Steel. - Mogą nas zobaczyć na tle świateł ze statków.

Palin nie widział straży, lecz kiedy rycerz zwrócił mu na to uwagę, usłyszał stuk butów. Palin i Steel siedzieli skuleni za beczką, dopóki dźwięk nie ucichł w oddali.

Wyprostowawszy się, Steel ruszył przed siebie szybko, lecz bezgłośnie, stąpając miękko po deskach. Palin był zdumiony tym, jak cicho rycerz potrafi się poruszać. Każdy inny wojownik znany Palinowi robiłby mnóstwo hałasu, pobrzękując mieczem stukającym o udo, grzechocząc i skrzypiąc w zbroi. Steel był cichy jak sama ciemność.

Palin wyobraził sobie legiony takich rycerzy, którzy bezgłośnie maszerują przez Ansalon, podbijając, biorąc w niewolę i zabijając.

A ja jestem w spółce z jednym z nich, uświadomił sobie, czując nagle wstręt do własnych poczynań, z zaprzysiężonym wrogiem, jednym z odpowiedzialnych za śmierć moich braci. Prowadzę go do jedyne miejsce, gdzie rycerze Królowej Ciemności zapewne będą umieli wzmóc swą potęgę! Co ja robię? Czyżbym oszalał? Powinienem natychmiast wezwać strażę! Ujawnić jego obecność! Wydać go w ich ręce!

Nie!, Powiedział głos. *On jest nam potrzebny, tobie i mnie. Jego miecz będzie ci niezbędny, abyś wywalczył sobie drogę przez zagajnik. Będziesz też Steela potrzebował wewnątrz Wieży. Kiedy już zaprowadzi cię bezpiecznie na miejsce, będziesz mógł się go pozbyć.*

- To nie jest słuszny postępek - powiedział do siebie Palin, lecz głos stryja brzmiał znacznie głośniej od ostrzeżeń sumienia, więc mógł je zlekceważyć. - Poza tym - zauważył z wymuszonym uśmiechem Palin - dałem Steelowi słowo. Po tym, jak urządziłem tyle krzyku przy ojcu, nie mogę złamać przysięgi.

Pogodziwszy się z sumieniem, a przynajmniej znalazłszy usprawiedliwienie dla swej decyzji, ścisnął laskę w dłoni i pośpieszył przed siebie.

Steel szedł w kierunku murów Starego Miasta. Stawiał długie, spieszne kroki, a Palin - któremu przeszkadzały mokre szaty płaczące się wokół kostek - musiał gnać co tchu, żeby go dogonić. Posterunki wartowników były dobrze oświetlone i widoczne z daleka. Głosy patrolującej straży niosły się daleko w nocnej ciszy. Palin przygotował sobie tuzin gładkich kłamstw, które miały im pomóc przedostać się przez bramę. Niestety żadne z nich nie brzmiało ani trochę przekonująco. Młody mag uważnie badał wzrokiem fortyfikacje, sądząc, że może uda im się znaleźć jakiś ciemny, nie strzeżony zakątek i przejść przez mur.

Pomysł ten wykluczyły jednak żelazne kolce rozmieszczone w odstępach dłoni na jego szczycie.

Palin właśnie zastanawiał się, czy pomiędzy nim i kuzynem istnieje wystarczające podobieństwo rodzinne, by przekonać strażnika, że są braćmi, gdy zauważył, że nie idą już w stronę głównej bramy. Steel skręcił w prawo, ku zbiorowisku lepianek wzniesionych pod murem.

W tej okolicy panowała niezgłębiona ciemność; cień muru zasłaniał księżyc, a przycumowany w pobliżu ogromny statek odcinał dostęp światła latarni w porcie. To idealna kryjówka dla przemytników, pomyślał Palin, czując się nieswojo. Drgnął i poczuł, jak serce mu podskakuje, gdy Steel dotknął jego ramienia. Rycerz wciągnął Palina w głębszy mrok zaułku.

Mimo że panowała tam taka ciemność, że Palin nie widział nosa na swojej twarzy - jak głosiło stare kenderskie powiedzenie - organ powonienia powiedział mu dokładnie, gdzie się znajdują.

- Handlarze rybami! - Powiedział cicho. - Dlaczego...

Steel mocniej ścisnął Palina za ramię, ostrzegając go, by zachował ciszę.

Minął ich patrol, który maszerował tamtędy powoli, zaglądając w głąb zaułków. Steel przywarł plecami do ściany budynku. Palin postąpił tak samo. Strażnicy rozglądali się bardzo uważnie, najwyraźniej podzielając pogląd Palina, iż jest to idealna kryjówka. Jeden chciał wręcz wejść do zaułku. Palin poczuł, jak dłoń Steela zsuwa się i odgadł, że w tej chwili rycerz ścisnął rękę sztyletu.

Nie wiedząc, czy ma powstrzymać Steela, czy mu pomóc, Palin w napięciu czekał na zdemaskowanie.

Jakiś szmer w oddali odwrócił uwagę patrolu. Kapitan odwołał wartownika i straż pośpieszyła wzdłuż molo.

- Mam go!

- Gdzie?

- Widzę go! Tam jest! - Krzyknął jeden ze strażników.

Buty zastukały o deski pomostu; rozległ się łomot pałek. Nad wodą rozniósł się przenikliwy wrzask. Palin drgnął, czując się nieswojo; ten krzyk jakoś nie kojarzył mu się z groźnym przemytnikiem.

Steel mruknął do Palina. - Nie ruszaj się. To nie nasza sprawa.

Jeden ze strażników wrzasnął. - O cholera! Ugryzł mnie!

Znów łomotanie. Wrzask przeszedł w płaczliwe zawodzenie.

- Nie bić! Nie bić! Moja nie robić nic złego! Łowi szczury. Tłuste szczury!
Smaczne szczury!

- Krasnolud żlebowy - oznajmił jeden z wartowników głosem wyrażającym głęboką odrazę.

- On mnie ugryzł, panie kapitanie! - Powtórzył poważnie zaniepokojony strażnik. - Robi mi się niedobrze.

- Wpakować go do ciupy, panie kapitanie? - Spytał drugi.

- Zajrzyjcie do worka, który miał przy sobie - rozkazał dowódca.

Zdaje się, że nie było chętnych do wykonania tego polecenia, kapitan bowiem zmuszony był powtórzyć je kilkakrotnie. Wreszcie najwyraźniej ktoś to zrobił. Rozległ się odgłos wymiotowania.

- Zgadza się, panie kapitanie, to szczury. Zdechłe albo zdychające.

- Moja dać wam wszystkie szczury! - Zaskomlał głos. - Brać wszystkie, czcigodny panie generale! Dobra kolacja. Nie bić biednego Sługa. Nie bić.

- Zostawcie tę żalostną kreaturę w spokoju - powiedział kapitan. - Jeśli go aresztujemy, znowu trzeba będzie odwszawiać więzienie. To jasne, że nie jest przemytnikiem. Dajcie spokój, poruczniku. Nie umrzecie od ugryzienia krasnoluda żlebowego.

- A skąd pan wie? - Użalał się mężczyzna. - Słyszałem kiedyś o takim jednym, który umarł. To było okropne, panie kapitanie. Piana ciekła mu z ust, dostał szczękościsku i...

- Zabierzemy cię do świątyni Paladine'a - oznajmił kapitan. - Wy dwaj idźcie z nim. Sierzancie Grubb, chodźcie ze mną.

Patrol odmaszerował w kierunku głównej bramy. Kiedy strażnicy znaleźli się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem głosu, Steel tak niespodziewanie wychynął z zaułka, że Palin musiał skoczyć, żeby go dogonić.

- Dokąd idziesz? - Spytał.

Steel nie odpowiedział. Szedł prosto w stronę, z której dobiegało chlupanie. Zagłębiwszy się w ciemności, rycerz wyciągnął stamtąd wijącą się, nędzną istotę, która cuchnęła tylko trochę gorzej od zaułka, w którym się chowała.

- Na pomoc! Na pomoc! Mordercy! Rabusie! Nie bić! Nie bić! - Błagał krasnolud żlebowy. - Ty chcesz szczury? Moja dać...

- Zamknij się - rozkazał Steel, potrząsając krasnoludem tak długo, aż nieszczęśnik zaczął tak podzwaniać zębami, że nie mógł więcej biadolić. - Przestań

skrzeczeć. Nie zrobię ci krzywdy. Chcę się czegoś dowiedzieć. Który sklep jest własnością Jednookiej Kate?

Krasnolud żlebowy wisiał bezwładnie w rękach rycerza. - Moja wiedzieć - oznajmił chytrze. - Ile to warte?

- Może by tak twoje nędzne życie? - zaproponował Steel, znów nim potrząsając.

- W ten sposób niczego z niego nie wydobędziesz - wtrącił się Palin. Pogrzebał w jednej ze swych toreb. - Po co idziemy do sprzedawców ryb? - spytał cicho. - Chyba że niespodziewanie nasza cię chęć na halibuta...

- Mam swoje powody, Majere. A ty marnujesz czas - odparł zniecierpliwiony Steel.

- Masz - powiedział Palin, wyjmując monetę i podając ją krasnoludowi. - Weź to.

Krasnolud żlebowy chwycił pieniążek i przyjrzał mu się w ciemności. - Miedź? - Parsknął pogardliwie. - Moja chce stal.

Palin szybko podał kolejną monetę. Usłyszał pełne poirytowania westchnienie rycerza. - A teraz, gdzie jest ta Jednooka... Jak jej tam?

- Kate - odpowiedział Steel, zgrzytając zębami.

- Dwa sklepy dalej - oznajmił krasnolud żlebowy. - Nie dalej jak dwa.

Palin westchnął. - To może oznaczać dowolną liczbę od dwóch do dwudziestu. Jak wygląda ten sklep?

- Duża ryba na szyldzie. Ma tylko jedno oko.

Krasnolud żlebowy sam sobie omal nie wyłupił oka, chcąc się dobrze przyjrzeć zdobyczy. Najwyraźniej był zadowolony, gdyż schował monety do wytartej kieszeni i niespodziewanie rzucił się do ucieczki, obawiając się zapewne, że Palin może zmienić zdanie i zabrać mu pieniądze.

Steel szedł wzdłuż pomostów. - Potrzebne mi światło. Nic nie widzę. Szkoda, że nie zabraliśmy latarni.

- A co ze strażami? - spytał Palin.

- Nie zobaczą nas. Ten duży statek zasłania im widok. Zresztą to nieważne...

- *Shirak* - powiedział Palin.

Kryształ umocowany w smoczej łapie na czubku łaski Magiusa zaczął rozsiewać delikatny blask. Steel spojrział na Palina z aprobatą.

- Świetnie się spisałeś, Majere.

- Dziękuję, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego - przyznał Palin, znów z

goryczą w głosie. - Laska robi to sama. Nie jestem nawet pewny, jak działa to zaklęcie.
- Podniósł laskę i oświetlał szyldy mijanych sklepów.

- Czemu jesteś taki skromny? - Spytał Steel. - Człowiek powinien znać swą wartość.

- Ja znam. Nic nie jestem wart. Ale to się wkrótce zmieni.

- Kiedy odnajdziesz swego stryja. Ale on przecież nosił czarne szaty, prawda? Tynosisz białe. Zmienisz się, Majere?

Dobre pytanie. Palin sam się nad tym zastanawiał. - Nie - oświadczył wreszcie. - Podjąłem decyzję podczas próby. Jestem zadowolony z tego, kim jestem, choć może nie z tego, czym jestem. W mojej ambicji i chęci doskonalenia nie ma nic złego. Mój stryj to zrozumie.

- I nauczy swych czarnych sztuk Białą Szatę? Tego dnia ja zostanę kapłanem Paladine'a! - Zadrwił Steel. - Spojrzał z ukosa na Palina. - Zmienisz się, Majere. Zapamiętaj moje słowa.

- Miej lepiej nadzieję, że tak się nie stanie - odrzekł chłodno Palin. - Inaczej z pewnością nie będę się poczuwał do obowiązku dotrzymania słowa i pozostania twym więźniem. Możesz znaleźć mój sztylet w swoich plecach.

Steel uśmiechnął się i mało brakowało, aby roześmiał się na głos. - Doskonała odpowiedź. Będę o tym pamiętał.

- Oto twój szyld. - Palin wyciągnął rękę, ignorując sarkazm towarzysza. - Jednooka ryba.

- Ach, świetnie! - Steel podszedł do drzwi. Rozejrzawszy się, żeby nabrać pewności, że nikogo nie ma w pobliżu, zapukał do wrót w dziwny sposób.

Zdumiony Palin czekał w milczeniu.

Najwyraźniej mieszkaniec tego domu miał lekki sen, jeśli w ogóle spał. Po krótkiej chwili Judasz w drzwiach uchylił się lekko. Wyjrzała kobieta z czarną opaską na oku. - Zamknięte, panowie dobrodzieje.

- Niemniej mamy przyływ - odparł Steel takim tonem, jakby prowadził rozmowę. - Wszyscy, którzy chcieliby z niego skorzystać, powinni zepchnąć łódzie na wodę.

Judasz zamknął się z trzaskiem, za to niemal natychmiast otworzyły się drzwi.

- Wejdźcie, panowie - powiedziała kobieta. - Wejdźcie.

Dwaj mężczyźni przestąpili próg sklepu rybnego. Pomieszczenie było czyste, podłogi wyszorowane. Stoły, na których zwykle leżały ryby, świeciły pustkami i tak

będzie do chwili, gdy łodzie nie powrócą z porannym połowem. Na półce stały rządkiem brązowe butle z tranem. Woń świeżych ryb była silna, ale nie przykra. Kobieta zamknęła drzwi za nimi i spojrzała byстрыm okiem na laskę Palina i delikatnie promieniującą z niej poświatę.

- Jest magiczna - wyjaśnił Palin - ale nie zrobi ci nic złego.

Kobieta roześmiała się. - Och, doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie magu. Wiem wszystko o lasce Magiusa.

Palin, który nie był pewny, czy podoba mu się ta odpowiedź, ścisnął mocniej laskę i uważnie przyjrzał się handlarce. Była to kobieta w średnim wieku, atrakcyjna mimo opaski na oku. Miała na sobie kompletne odzienie, co Palin mógłby uznać za dziwne o tej porze nocy, gdyby fakt, że w ogóle się tu znalazł, nie był tak dziwny i absurdalny, że czuwająca w środku nocy w pełnym ubraniu handlarka rybami z opaską na oku wydawała mu się tylko następnym fragmentem snu na jawie.

- Nazywam się Steel Brightblade, pani - rzekł rycerz, schylając się nad szorstką i zaczerwienioną dłońią kobiety, jakby to była delikatna ręka szlachetnie urodzonej damy. - Rycerz Lili.

- Wiedziałam o waszym przybyciu, panie rycerzu - odpowiedziała kobieta. - A to zapewne Palin Majere.

Odwróciła się do Palina, lecz tylko jedno z jej oczu błysnęło w świetle laski. Nosila strój równie pospolity i prosty, co każda wieśniaczka, lecz miała królewskie maniere, a głos wykształconej i kulturalnej osoby. A stała pośrodku rybnego sklepu!

- Tak! Nazywam się Palin... Majere... Czcigodna pani - powiedział ze zdumieniem. - Skąd wiedziałaś?

- Oczywiście od smoczycy. Jestem Katherine, wojownik Lili, jeden z rycerzy Jej Mrocznego Majestatu.

- Rycerz... Takhisis? - Wykrztusił Palin.

- Wysokiego stopnia - dodał Steel z naciskiem. - Pani Katherine brała udział w Wojnie Lancy.

- Służyłam pod rozkazami lorda Ariakusa - wyjaśniła Katherine. - Wtedy właśnie straciłam oko w walce z elfem.

- Tak... Tak mi przykro, pani - wyjąkał Palin.

- Niepotrzebnie. Elf stracił więcej niż oko. Tak przy okazji, znałam twojego stryja, Raistlina Majere. Kiedy go poznałam, właśnie przywdział czarne szaty. Był... Czarujący. Chorowity, ale czarujący. - Pani Katherine szybko przeniosła uwagę na

Steela. - Chcecie wejść do Palanthas tak, by nikt was nie zauważył?

- Tak pani, jeśli to możliwe.

- Nic prostszego. To oczywiście jeden z powodów, dla których tu jestem. I dlatego noszę to przebranie. - Mówiąc to, spojrzała wprost na Palina, jakby odgadła jego myśli.

Mag poczuł, że twarz go pali, lecz ciało zdjął chłód. Przez ten sklep zakradają się do Palanthas słudzy Królowej Mroków! Szpiedzy, werbownicy rycerzy, może nawet mordercy i płatni zamachowcy przychodzą do handlarki rybami. Ona zaś pomaga im dostać się niepostrzeżenie do miasta. Dlaczego mi to pokazali? Chyba są pewni, że będę milczał. Czemuż by nie? Jestem w końcu więźniem.

Prawie już zdecydowany na ucieczkę Palin obejrzał się na drzwi. Może zdążyłby do nich dobiec, a przynajmniej wyskoczyć za próg, zanim Steel go dogoni. Jego krzyk ściągnąłby strażę.

Palin wyobraził sobie, jak wrzaskiem woła pomocy - zupełnie jak ten krasnolud żlebowy - i twarz zapiekła go jeszcze mocniej.

Pani Katherine uśmiechnęła się do niego i Palin znów odniósł wrażenie, że znała wszystkie jego myśli.

- Tędy zatem, jeśli zdecydowani jesteście wejść. Znaleźliście sklep bez kłopotów, rycerzu Brightblade? - Podprowadziła ich do drewnianej lady na ryby, która stała pod ścianą, na tyłach sklepu.

- Krasnolud żlebowy powiedział nam, gdzie was szukać, pani.

- Ach, to z pewnością Alf. Tak, kazałam mu rozglądać się za wami.

- Kiepsko się rozglądał - stwierdził Palin. - Powiedział nam, że nigdy nie słyszał o twoim sklepie.

- I zdołał wyłudzić od ciebie pieniądze, prawda, Biała Szato? Chytre stworzenia z tych krasnoludów żlebowych. Ludzie ich nie doceniają. Jesteśmy na miejscu. - Katherine chwyciła za ladę z jednej strony. - Musimy ją odsunąć na bok.

- Pozwól mnie to zrobić, pani - zaproponował Steel i bez trudu odsunął ciężki stół.

Katherine zbliżyła się do pozornie litego muru. Przyłożyła do niego dłonie i pchnęła. Część ściany obróciła się na osi, odsłaniając tajne przejście.

- Idźcie tym tunelem. Wyjdziecie w zaułku. Znajduje się na terytorium cechu złodziei, ale dobrze płacimy im za milczenie - i ochronę. Żółtooki pójdzie z wami i przypilnuje, żeby nie było żadnych kłopotów.

Katherine dziwnie gwizdnęła.

Palin przypuszczał, że Żółtooki jest jednym ze służących damy i zastanawiał się, gdzie się ten człowiek mógł schować. Z tego błędu, jak i z równowagi wyprowadziło go chrapliwe krakanie i trzepotanie czarnych skrzydeł. Palin instynktownie zasłonił się rękoma przed atakiem, lecz ptak lekko usiadł mu na ramieniu. Teraz rozpoznał, że była to wrona.

Żółtooki przekrzywił głowę, zerkając na Palina. W blasku lampy ptasie oczy jarzyły się jak bursztyny.

- Polubił cię - powiedziała pani Katherine. - To dobry omen.

- Dla mojej strony czy twojej? - Wypalił Palin bez zastanowienia.

- Więcej szacunku, Majere - rzekł gniewnie Steel.

- Nie strofujcie go, Brightblade - wtrąciła się pani Katherine. - Ten młodzieniec mówi to, co myśli - cecha, jaką musiał odziedziczyć po swoim stryju. Gdyby Paladine i Takhisis oboje stanęli przed tobą, Palinie Majere, do którego z nich pomodliłbyś się o wsparcie? Jak sądzisz, które z nich chętniej pomogłoby ci osiągnąć cel?

Palin uświadomił sobie nagle z poczuciem winy, że nie zwrócił się do Paladine'a o boską pomoc.

- Robi się późno - powiedział Palin do Steela. - Powinniśmy już iść.

Pani Katherine uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wrona znów zakrakawała ogłuszająco, co zabrzmiało zupełnie jak śmiech. Drepcąc Palinowi po ramieniu, ptak figlarnie uszczypnął maga w ucho.

Wrona miała ostry dziób, a jej dziobnięcie zabolalo. Ptasie szpony wbijały się Palinowi w ramię.

Steel złożył podziękowania i pożegnał się z damą w uprzejmy i pełen wdzięku sposób.

Pani Katherine odwdzięczyła mu się uprzejmością i życzyła im powodzenia.

W towarzystwie wrony jadącej triumfalnie na ramieniu czarodzieja Palin i Steel zagłębili się w tunelu. Przyświecali sobie laską. W miarę, jak mrok w przejściu pogłębiał się, natężenie magicznego światła rosło, czego Palin przedtem nie zauważył. Zdał sobie sprawę, że tunel prowadzi pod murami Starego Miasta i zastanawiał się, jak rycerzom udało się go wykopać bez zwracania na siebie uwagi.

- Pewnie dzięki magii - rzekł do siebie, przypominając sobie Szarych Rycerzy. Kilku z tych samych czarodziejów zapewne mieszkało w Palanthas, pod samym nosem Dalamara.

Zaczekajcie tylko, aż ja mu o tym powiem! Pomyślał Palin, rozkoszując się pomysłem. Sama ta informacja będzie z pewnością warta pomocy czarodzieja!

Tunel nie był zbyt długi, tylko na grubość murów wokół Starego Miasta. Kolejne drzwi wychodziły na zaułek. Zanim Steel je otworzył, zatrzymał się przed nimi chwilę.

- Lepiej zgaś światło - powiedział.

Palin zgodził się. - *Dulak* - szepnął i kryształ zgaś. W kompletnej ciemności Palin niczego nie widział, nawet wrony siedzącej mu wciąż na ramieniu. Słyszał, jak ptak stroszy pióra i jak Steel naciska klamkę.

Drzwi uchyliły się trochę. Do wnętrza wpadła poświata Solinari. Lunitari bliski był zachodu, lecz Solinari wschodził, za co Palin był niezmiernie wdzięczny. Mógł zwrócić się do księżycy o pomoc przy rzucaniu zaklęć i wzmocnić ich siłę. Podczas wędrówki przez groźny zagajnik Shoikan przyda mu się każda możliwa pomoc. Miał właśnie pomodlić się do Paladine'a, gdy przypomniał sobie pytanie pani Katherine.

Palin zrezygnował z modlitwy. Postanowił zaufać sobie samemu.

- Trzymaj się blisko mnie - ostrzegł go cicho Steel.

Palin przypomniał sobie, że znajdują się w pobliżu cechu złodziei. Młody czarodziej wyciągnął z sakiewki kilka różanych płatków. Na wargach miał już słowa usypiającego zaklęcia. Steel trzymał dłoń na rękojeści miecza.

Zakradli się do zaułka.

Niespodziewanie - przedtem niczego nie zobaczyli ani nie usłyszeli - tuż przed nimi wyrosła wysoka, ciemna postać i zagroziła im drogę.

Zanim Steel zdążył wyciągnąć miecz, a Palin wyrecytować zaklęcie, Żółtooki zakrakał donośnie i srogo.

Postać znikła, jakby nigdy jej tam nie było.

- Imponujące - stwierdził Palin, z ulgą wypuszczając powietrze z płuc.

- Podstępni jak robactwo - oznajmił pogardliwie Steel, lecz nie wypuścił broni z ręki i zaczął przeszukiwać zaułek.

- Co zrobimy z Żółtookim? - Miał właśnie zapytać Palin, kiedy wrona załopotąła skrzydłami, znów zakrakała głośno i mocno dziobnęła Palina w kark.

Młodzieniec krzyknął z bólu i przycisnął dłoń do rany.

- Co...? - Steel odwrócił się tak gwałtownie, że omal nie stracił równowagi.

- Ten przeklęty ptak dziobnął mnie! - Krzyknął rozwścieczony i zboląły Palin.

- To wszystko? - Spytał ze złością Steel. - Sądziłem, że co najmniej napadła cię

cała banda złodziei.

- Ten cholerny ptak skaleczył mnie do krwi! - Palin odsunął dłoń i popatrzył na ciemną plamę na palcach.

Wrona wrzasnęła raz jeszcze - tym razem krakanie zabrzmiało szyderczo - i przeleciała przez mur.

- Nie umrzesz od dziobnięcia wrony - stwierdził Steel. Zbliżył się do wyjścia z zaułka i wyjrzał na ulicę.

Na ulicy było cicho i pusto. Kilka świateł paliło się zadziornie i bezczelnie w podobnej do składu siedzibie cechu złodziei, lecz nikogo z jego członków nie było na ulicy. A jeśli nawet byli, to ani Palin, ani Steel ich nie widzieli.

Steel ostrożnie rozejrzał się w obie strony, a potem podniósł wzrok ku dachom.
- Tam jest Wieża.

Wskazał na wysoką budowlę, najwyższą w Palanthas. Blask Solinari nie padał na Wieżę. Tajemnicza, stała we własnym cieniu. Mimo to, obaj widzieli ją wyraźnie. Może to czarny księżyc rzucał swe upiorne światło na czerwone jak krew iglice. Palin skinął głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Poczul się nagle przytłoczony ogromem czekającego go zadania.

- Jestem głupcem - powiedział do siebie. Powinienem zawrócić i pójść natychmiast do domu.

Nie zrobi tego i dobrze o tym wiedział. Zaszedł za daleko, zbyt wiele ryzykował... Zaszedł za daleko... Palin rozejrzał się, zdezorientowany.

- Gdzie jesteśmy? - Spytał.

Steel uśmiechnął się przebiegle. - Po drugiej stronie murów Palanthas.

Palin mrugnął oczami. - Jak... Jak myśmy się tu dostali?

- Nie pamiętasz?

- Nie... Nie mam zielonego pojęcia... - Palin przyłożył dłoń do czoła. Czuł się zdezorientowany i kręciło mu się w głowie.

- Krasnoludzka gorzalka miewa taki wpływ na ludzi - zauważył od niechcienia Steel. - Wkrótce poczujesz się lepiej,

- Krasnoludzka gorzalka? Ja... Ja nie piję. A ty nigdy byś się nie zatrzymał w karczmie! Nie teraz, gdy grozi nam takie niebezpieczeństwo. - Palin nagle wpadł w poważną złość. - Powiedz, co tu się dzieje! Musisz mi powiedzieć!

- Nie - oświadczył spokojnie Steel. - Nie powiem.

Palin poczuł ukłucie ostrego bólu. Strużka czegoś ciepłego spływała mu po

karku. Sięgnąwszy ręką do tyłu, stwierdził, że jest skaleczony i krwawi.

Nie przypominał sobie również, jak do tego doszło. Steel ruszył w stronę Wieży. Oszołomiony Palin poszedł za nim. Gdzieś z góry dobiegło upiorne, szydercze krakanie.

Rozdział XVIII

ŚWIĄTYNIA ŻYCIA.

ZAGAJNIK ŚMIERCI

Letnia noc była czarna i upalna. Jeśli mieszkańcy Palanthas w ogóle spali, był to sen niespokojny. W wielu domach migotały światełka. Widać było ludzi, którzy wychylali się z okien i nadaremnie wypatrywali na niebie deszczu albo krążyli po sypialniach, starając się ukoić kwilące, niespokojne dzieci. Steel i Palin nie wychodzili z cienia, by nie zauważono ich i nie zadawano im pytań, szczególnie dotyczących przyczyn, dla których w takim upale chodzą otuleni peleryną.

Byli już blisko celu. Steel widział przed sobą wieżę, a mimo to - doprowadzony do frustracji - nie mógł znaleźć ulicy, która do niej prowadziła. Palin nie umiał pomóc. Był raz w Wieży, lecz trafił do niej ścieżkami magii. Po dotarciu do skrzyżowania dwaj mężczyźni przez chwilę zastanawiali się, w którą stronę skręcić. Palin zostawił decyzję Steelowi, lecz ten najwyraźniej wybrał niewłaściwą drogę, ostatecznie bowiem stanęli na rozległym trawniku, który rozciągał się jak powitalny dywan łączący ulicę z budowlą z białego marmuru. Woń kwiatów podsuwała myśl o ogrodach, które ledwo można było dostrzec w srebrnej poświacie Solinari i białym świetle sączącym się z samego gmachu.

Serce Steela ścisnął ból, dawno zapomniane cierpienie wypłynęło teraz na powierzchnię kociołka przeszłości.

- Wiem, gdzie jesteście - powiedział rycerz.

- Świątynia Paladine'a! Ostatnie miejsce, w którym chcieliśmy się znaleźć! - Zaniepokoił się Palin. - Zaszliśmy o jedną przecznicę za daleko na wschód. Powinniśmy byli skręcić w prawo zamiast w lewo. - Spojrzał na Steela. - Jestem zaskoczony tym, że znasz świątynię.

- Kiedy byłem dzieckiem, Sara przyprowadziła mnie tutaj po zakończeniu ataku na Palanthas. Straciliśmy dom w jednym z pożarów, jakie szalały w mieście. Sara przysłała tu złożyć podziękowania, że wyszliśmy z tego cało. Właśnie tutaj

dowiedziałem się o śmierci mojej matki i o tym, kto był za to odpowiedzialny.

Palin nie odpowiedział. Potarł miejsce na karku, gdzie dziobnęła go wrona - Chowaniec pani Katherine. Ból wkrótce ustąpi, ale magia dziobnięcia pozostanie na zawsze, uniemożliwiając Palinowi przypomnienie sobie, że kiedykolwiek spotkał panią-rycerza, która została sprzedawczynią ryb. Młody mag zamierzał zawrócić tą samą drogą, którą przyszedł. Steel miał już pójść za nim, lecz zatrzymał się. Został jeszcze chwilę przed świątynią, zrobił nawet krok czy dwa po krótko przystrzyżonej trawie.

Trawnik usiany był ciemnymi bryłami i przez moment Steel sądził, że musiała tu rozegrać się jakaś bitwa, a to są ciała poległych. Potem zdał sobie sprawę, że to żywi ludzie, a jedyną walkę toczy się tu z gorącem. Ludzie spali spokojnie na murawie.

Steel dobrze znał tę okolicę, znacznie lepiej niż wspomniał. Może fakt, że tu trafił, nie był zbiegiem okoliczności. Może został tu zwabiony, jak już zdarzało się nieraz.

Steel miał burzliwą młodość. Nie dane mu było zaznać pogodnych, beztrudnych dni dzieciństwa, jakie wychwalają poeci. Wojna pomiędzy światłością i mrokiem, pomiędzy sprzecznymi emocjami i pragnieniami nie była dla niego niczym nowym. Borykał się z tym od najmłodszych lat. Ciemność, symbolizowana przez wizerunek jego matki w niebieskiej smoczej zbroi, nakazywała mu jeszcze jako dziecku rządzić i panować, bez względu na koszty ponoszone przez siebie i innych.

A kiedy tego nie potrafił, kiedy inne dzieci buntowały się przeciwko jego władzy i nie chciały go słuchać, ciemność podpowiadała mu, by krzywdził je i bił bez opamiętania. Światłość, którą uosabiał w jego snach nieznamy rycerz w srebrnej zbroi, sprawiała, że prześladowały go później wyrzuty sumienia. Zmagał się, wewnętrznie wzburzony, czując, jak szarpia go w przeciwnych kierunkach dwie potężne siły, których nie rozumiał. Czasami lękał się, że jeśli nie wybierze którejś z nich, rozerwą go na pół. W takich chwilach tu szukał schronienia. Przychodził do świątyni Paladine'a.

Steel nie wiedział, czemu. Był młody, czuł, że jest nieśmiertelny jak sami bogowie, więc nie byli mu zanadto potrzebni. Nigdy nie wchodził do samej świątyni. W jej marmurowych ścianach był skrępowany i brakowało mu tchu. Niedaleko miejsca, gdzie stał, rosła osika. Pod drzewem znajdowała się stara kamienna ława, pamiątka po jakimś szlachetnym rodzie z dawnych czasów. Zimna i twarda była niewygodnym siedziskiem, dlatego większość wiernych omijała ją z daleka.

Steel ją uwielbiał. Na jej oparciu była wykuta płaskorzeźba. Dość topornej roboty fryz był zapewne dziełem jakiegoś młodzieńca uczącego się zawodu. Wykonano go na kształt płyty pamiątkowej, która przedstawiała pogrzeb rycerza solamijskiego. Rycerz leżał na kamiennych marach z rękoma złożonymi na piersi. Tarcza stała oparta (błędnie, lecz takie jest prawo artystów) o ścianę katafalku. Po obu stronach zmarłego czuwała eskorta dwunastu identycznie wyglądających rycerzy, których wyraz twarzy był poważny.

Steel przypomniał sobie, jak siedział na trawie, wspierając podbródek na ramionach, a ramiona na ławie. Tu na krótką chwilę cichł zamęt w jego duszy, przygasła wściekłość, jaką pałał jego umysł i rozluźniały się zaciśnięte pięści. Przyglądał się płaskorzeźbie, w którą tchnęła życie jego chłopięca wyobraźnia. Czasami to był jego własny pogrzeb; oczywiście zginął, dokonując bohaterskich czynów. Lubił wyobrażać sobie, że poległ, ratując życie innym dzieciom - swym tak zwanym przyjacielom - którzy teraz, już za późno, go docenili. Kiedy indziej wyobrażał sobie, że bierze udział w pogrzebie innego rycerza. Steel widział siebie w roli nie jednego z żałobników, lecz był zabójcą. Turniej odbył się według honorowych zasad. Rycerz poniósł bohaterską śmierć, a Steel przyszedł na pogrzeb, by złożyć mu hołd - dokładnie to samo, co stało się niedawno z braćmi Majere.

Na myśl o tym przeszedł go dreszcz. Zwykle takie odczucia nie prześladowały Steela.

- Głupi jesteś, Brightblade - upomniał się surowo, zawstydzony chwilowym uleganiem zabobonom.

- To dziwne - mruknął pod nosem, wbijając oczy w mrok i daremnie próbując dostrzec błysk promieni księżyca na zimnym, białym marmurze siedziska - zupełnie zapomniałem o tej starej ławie... - Uśmiechnął się do siebie w ciemności łagodnie i smutno.

Teraz już znał bogów. Poświęcił życie jednemu z nich, mrocznej bogini, która władała ciemnością jego duszy. Ukaralaby go, gdyby tylko spróbował znaleźć tę dającą wytchnienie ławę. Co więcej, bez wątpienia gniew Paladine'a dosięgnąłby każdego sługę Jej Mrocznego Majestatu, który ośmieliłby się wejść do jego świętego przybytku. Samo postawienie stopy na trawie, jak to uczynił, zostałoby uznane za świętokradztwo.

Palin przyglądał się rycerzowi i chciał już coś powiedzieć, gdy obu ich uciszył niski, gardłowy pomruk.

Warkot był dziki, pewny i dochodził zza ich pleców.

- Nie ruszaj się! - Ostrzegł cicho Palin. Stał twarzą do Steela i widział, co jest za plecami rycerza. - To tygrys. Jakies dziesięć kroków za tobą. On...

- Nie bójcie się, czcigodni panowie - z ciemności dobiegł ich spokojny, chłodny głos. - To Tandar, mój przewodnik. Nie skrzywdzi was. Jest późno na spacerowanie po ulicach. Czyżbyście się zgubili? Coś was gnębi? Może mogę jakoś pomóc?

Steel powoli i ostrożnie obrócił się, nie wypuszczając miecza z dłoni. Palin szybko podszedł do rycerza.

W kałuży srebrnego księżycowego światła stanął wielki kot. Był to biały tygrys, niezwykła rzadkość na Ansalonie. Miał czarne i szare pręgi, a w zielonych oczach ze złotymi plamkami czaiła się niebezpieczna inteligencja. Zwierzę było ogromne, niezwykle masywne, a jego łapy miały średnicę ludzkiej głowy. Na szyi wielkiego kota połyskiwała złota obroza. Na niej wisiał medalion ze złotym smokiem - symbol Paladine'a.

To nie tygrys przemówił, choć sądząc po rozumnym spojrzeniu, nie byłoby w tym nic dziwnego. Słowa padły z ust kobiety, która wyłoniła się z ciemności i stanęła obok tygrysa, kładąc delikatnie dłoń na jego łbie. Nazwała zwierzę „swoim przewodnikiem”. Kiedy stanęła w blasku Solinari, Steel zrozumiał, dlaczego chodziła nocą w towarzystwie olbrzymiej bestii. Była niewidoma, kobieta skazana na wieczne chodzenie w nocy. Nigdy nie będzie jej dane ujrzeć światła dnia.

Wtedy Steel ją poznał. To wielebna córka Crysania, arcykapłanka świątyni Paladine'a, przywódczyni wyznawców tego boga na Ansalonie.

Minęło jakieś dwadzieścia lat od chwili, gdy Crysania, wiedzona ambicją nie mniej mroczną od pychy maga, zeszła do Otchłani w towarzystwie Raistlina Majere. Niewiele brakowało, by tam zginęła. Dopiero kiedy leżała w tym przerażającym miejscu, samotna i niewidoma, wreszcie przejrzała na oczy. Wróciła do świata, ślepa na jego piękno, lecz nie ślepa już na jego cierpienie.

Pod jej mądrym przewodnictwem kościół wzmocnił swoją pozycję, a kapłani wzbudzali miłość.

Kapłanka miała skórę białą jak poświata Solinari, a jej czarne włosy były spięte srebrną siateczką. Troski i liczne przejścia zostawiły ślad na jej obliczu, lecz mimo to otaczała ją aura spokoju i wiary. Była piękna jak sama świątynia - chłodna, niezłomna i błogosławiona.

Steel czekał, aż Palin się odezwie, lecz mag najwyraźniej zapomniał języka w gębie. Gdyby nie tygrys, który przyglądał im się bacznie, paladyn ciemności

najchętniej zaproponowałyby, aby ukradkiem wymknęli się i uciekli.

- Mag i rycerz - powiedziała pani Crysania, zbliżając się. - Zakładam więc, że nie jesteście zbłąkanymi wędrowcami, lecz idziecie z jakąś misją. Czy przyszlście prosić Paladine'a o błogosławieństwo?

Tygrys znów warknął, tym razem cicho. Najwyraźniej był już najwyższy czas, żeby coś powiedzieć. Steel szturchnął Palina łokciem w żebra.

- No... Niezupełnie, wielbna córko - wykrztusił Palin.

Twarz miał pobladłą i błyszczącą od potu, bynajmniej nie wyłącznie z powodu upału.

Czarodzieje Białych Szat powinni czcić Paladine'a i być posłuszni jego nakazom. Ratowanie maga Czarnych Szat z Otchłani najprawdopodobniej nie znajdowało się wysoko na boskiej liście osiągnięć, jakich mógłby się spodziewać po swych wyznawcach.

- Palinie Majere - rzekła pani Crysania - witam cię serdecznie.

- Skąd... Skąd wiedziałaś? - Zdumiał się Palin.

Crysania zaśmiała się, a jej śmiech przypominał dźwięk srebrnych dzwoneczków. - Skąd wiedziałam? Wyczułam zapach korzennych przypraw i płatków róży twoich składników zaklęć, więc wiedziałam, że jesteś magiem. Kiedy odezwałeś się, poznałam twój głos. Jego brzmienie odziedziczyłeś po ojcu, lecz sposobem mówienia... Przypominasz mi swego stryja. - To ostatnie powiedziała ciszej.

Na bladą twarz Palina wystąpił jaskrawy rumieniec, jakby poświecił na nią Lunitari. Mag nic na to nie odpowiedział, a i wielbna córka nie zdawała się oczekiwać na słowa Palina. Z miłym uśmiechem skierowała teraz swe ciemne, niewidzące oczy ku Steelowi.

- Rycerza poznałam po brzęku miecza. Jestem przekonana, że Palinowi Majere dotrzymuje towarzystwa jeden z jego braci-wojowników. Czy mam przyjemność rozmawiać z Taninem, czy Sturmem Majere?

Steel mógł na to odpowiedzieć na wiele sposobów. Najprostszym było podszyć się pod jednego z braci Majere. Zachrypnięty i charczący ton zmieniłby brzmienie głosu i dałby się wyjaśnić przeziębieniem. Zamieniliby kilka uprzejmych słów i ruszyli w drogę. Gdyby jednak Steel powiedział prawdę...

Popatrzył na tygrysa. Bestia przyglądała mu się. W jej oczach widniała mądrość, jakiej nie znajdzie się w ślepiach żadnego nierozumnego zwierzęcia, choćby nie wiem, jak sprytnego. Gdyby tygryś zaatakował, Steel upadłby na ziemię pod jego

ciężarem. Może zdołałby dźgnąć bestię, lecz jej żółte kły najpierw rozszarpałyby mu gardło.

Przypomniały mu się pewne mężne słowa:

Nie wejdę do Palanthis przebrany za oberżystę...

Ani też nie będę się ukrywał pod imieniem innego człowieka.

- Mylisz się, wielbna córko - rzekł chłodno i uprzejmie Steel. - Jestem Steel Brightblade, rycerz Lilii. Mam zaszczyt służyć jej Mrocznemu Majestatowi, Takhisis.

Palin przewrócił oczami i potrząsnął głową. - Już po nas! - Szepnął.

Tygrys zamruczał cicho. Pani Crysania uspokoiła swego przewodnika głaskaniem. Zmarszczyła czoło i zaniepokoiła się.

- Oznajmiasz to tak otwarcie w Palanthis? - Spytała nie tonem groźby, lecz zdumienia.

- Oznajmiam to tobie, wielbna córko - odparł Steel. - Człowiek widzący spostrzegłby, kim jestem. Nie przynosi zaszczytu, a jedynie hańbę, nieuczciwe wykorzystanie swej przewagi nad osobą, która z woli bogów chodzi w mrokach. Jeszcze większy wstyd przynosi oszukanie niewiasty tak szlachetnej i odważnej jak ty, pani.

Ślepe oczy Crysanii otworzyły się szeroko.

- Więc to, co wiele lat temu Tanis Półelf powiedział o waszym rycerstwie, było prawdą - szepnęła. - Paladine, miej nas w swej opiece! - Zamyśliła się, kierując swoje niewidzące oczy w głąb swego serca. Potem znów zwróciła oblicze ku Palinowi.

- Co tu robisz, młody magu? Dlaczego podróżujesz w towarzystwie tego rycerza, który - choć szlachetny - niemniej oddany jest złu?

- Jestem jeńcem tego rycerza, wielbna córko - odparł Palin. - Obaj moi bracia nie żyją. Rycerze Takhisis wylądowali na północnym wybrzeżu, niedaleko Kalamanu. Tanis Półelf pojechał zanieść tę wieść rycerzom w Wieży Najwyższego Klerysta.

- Jeniec. Więc domagają się okupu.

- Tak, wielbna córko. Dlatego tu jesteśmy. - Palin umilkł, najwyraźniej w nadziei, że kapłanka o nic więcej go nie spyta.

- Idziecie do Wieży Wielkiej Magii.

- Tak, wielbna córko - odparł Palin.

Tygrys nagle wzdrygnął się, jakby właśnie wyszedł z morza i otrząsał się z wody. Wielki łeb poruszał się nerwowo pod dłonią Crysanii.

- Gdybyś chciał, aby cię wykupiono, młody magu, udałbyś się do Wieży Wielkiej Magii w Wayreth. O takich sprawach decyduje Konklawe Czarodziejów. - Głos

Crysanii zabrzmiał ostro.

- Wybacz mi, wielbna córko - rzekł Palin spokojnie, choć stanowczo - ale nie wolno mi dyskutować o tym. Dałem temu rycerzowi słowo honoru.

- Czyżbyśmy mieli okazać się mniej prawi od naszych nieprzyjaciół? - Spytała Crysania z półuśmiechem. - To chciałeś powiedzieć. Czcigodny Dalamar nie wie o waszym przybyciu, prawda?

- Nie, pani - odparł cicho Palin.

- Zamierzacie wejść przez zagajnik Shoikan. Nie ujdziecie z życiem. Twoje słowo honoru na nic się nie zda w tym strasznym miejscu. Wiem o tym - dodała z drżeniem - bo tamtędy przeszłam.

Umilkła. Jej ślepe oczy znów przybrały wyraz nieobecnych.

Steel chciał odejść, jednakże nie bardzo wiedział, jak się wyplątać z tej sytuacji. Pani Crysania uniosła głowę i zwróciła się twarzą ku nim obu, utkwivszy wzrok gdzieś w przestrzeni pomiędzy nimi.

- Zapewne zastanawiacie się, dlaczego nie wzywam miejskiej straży, żeby się wami zajęła. To spotkanie nie jest dziełem przypadku. Nieczęsto spaceruję po terenie świątyni po północy. Tej nocy jednak nie mogłam usnąć. Przypuszczałam, że to z powodu upału i wyszłam zaczerpnąć chłodniejszego powietrza. Teraz już wiem, że wolą Paladine'a było, abym was znalazła, abyśmy znaleźli się nawzajem. Jestem przekonana, że cokolwiek robicie, kieruje wami jego wola.

Palin drgnął i spojrzał ukradkiem na Steela. Paladyn ciemności wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Nie było tajemnicą, że niezbadane są wyroki królowej Takhisis.

- Wykorzystując tylko siłę, nie da się przejść żywym przez zagajnik Shoikan. Proszę. - Pani Crysania wydobyła na wierzch medalion. W srebrnych promieniach księżycy błysnęło złoto. Otworzyła zapięcie, zdjęła medalion z szyi i podała go magowi.

- Weź go, Palinie Majere. Nie obroni cię przed nieumarłymi strażnikami tego straszliwego miejsca, lecz przepędzi strach z twego serca i doda ci odwagi, by kroczyć w ciemności.

Palin był przygnębiony i miał minę winowajcy jak złodziej, którego złapano z ręką w skarbonce z jałmużną dla ubogich. - Nie mogę tego przyjąć, wielbna córko. To... Nie jest słuszne. Nie wiesz... - Umilkł.

Pani Crysania poszukała ręki maga. Znalazła ją i wcisnęła mu do niej medalion.

- Paladine z tobą - powiedziała.

- Dziękuję, pani. - Ścisnął klejnot, nie wiedząc, co ma dalej robić i mówić.

- Czas już na nas - rzekł Steel, decydując się objąć dowodzenie. Skłonił się uprzejmie pani Crysanii. - Zaproponowałbym ci bezpieczne odprowadzenie do twych komnat, pani, lecz widzę, że już jesteś pod dobrą opieką.

Pani Crysania uśmiechnęła się, choć natychmiast potem westchnęła. - Wierzę ci, panie rycerzu. Zasmuca mnie widok takiej szlachetności serca i ducha oddanej sprawie ciemności. A jak ty wejdiesz do zagajnika Shoikan, panie rycerzu? Twoja królowa nie sprawuje tam rządów. Jej syn, Nuitari, jest straszliwym monarchą tego złego miejsca.

- Mam miecz, pani - odparł zwyczajnie Steel.

Crysania zbliżyła się o krok, wbijając w niego ślepe oczy i nagle - z zaskoczeniem - mężczyzna niemalże poczuł, że ona go widzi. Wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na piersi, na pancerzu z lilią śmierci i czaszką. Dotyk kapłanki przypominał płomień, który palił jego duszę i chłodną wodę, która przynosiła ukojenie. Po raz pierwszy w życiu Steel był bezradny i nie wiedział, co ma począć.

- Widzę, że ty również masz opiekuna - powiedziała pani Crysania. - Dwóch przewodników! Jednego z mroku, drugiego ze światłości. Przewodnikiem, który stoi po twojej lewej stronie, po stronie serca, jest kobieta. Ma na sobie niebieską zbroję i trzyma w jednym ręku hełm smoczego władcy, a w drugim lancę. Jej grot jest zbroczony krwią. Kobieta ta jest najbliższa twemu sercu. Przewodnikiem po prawej stronie jest mężczyzna, rycerz solamnijski. Nie ma oręża. Pochwa u jego boku jest pusta. Jego ciało przeszywa na wylot krwawa dziura uczyniona lancą. Ten mężczyzna jest najbliższy twojej duszy. Oboje chcą cię prowadzić. Za kim postanowisz pójść?

Przestała mówić i odsunęła dłoń. Steel zgarbił się, jakby to ona go podtrzymywała. Szukał dumnych słów, lecz żadnego nie znalazł. Mógł tylko przyglądać się kapłance z osłupieniem. Opisała mu Objawienie - zesłane mu przez Królową Takhisis.

Tygrys zbliżył się i przycisnął opiekuńczym gestem swe pręgowane, czarno-białe ciało do Crysanii. Kapłanka pożegnała się z Palinem i Steelem.

- Błogosławię was na drogę - powiedziała cicho.

Trzymając dłoń na łbie tygrysa, kapłanka Paladine'a wróciła tą samą drogą, którą przysła, i wkrótce zniknęła w mroku.

Palin stał z otwartymi ustami i gapił się na Steela. Czarny rycerz nie był w nastroju do rozmów. Na poły rozgniewany, na poły wystraszony, a przy tym

całkowicie zażenowany, Steel odwrócił się na pięcie i pośpiesznie ruszył w kierunku, z którego przyszedli. Usłyszał kroki i łopot szat Palina, który śpieszył się, żeby go dogonić.

Steel tylko zwiększył szybkość, jakby chciał prześcignąć demony, które targały jego duszę.

- Nie potrzebuję przewodnika! - Szeptał z wściekłością. - Dorosłem samotnie. Nie potrzebuję żadnego z was - ani ojca, ani matki!

Nie zwolnił kroku, dopóki nie wyszedł z zaułka, a wtedy ujrzał przed sobą drzewa prastarego, budzącego grozę zagajnika Shoikan.

Niegdyś na Ansalonie stało pięć Wież Wielkiej Magii. Twierdze magów stanowiły zagrożenie w oczach tych, którzy obawiali się ich potęgi. Aby uchronić się przed napaścią, czarodzieje otoczyli każdą z Wież strażniczym lasem. Puszcza Wieży w Daltigoth sprawiała, że każdy, kto do niej wszedł, popadał w letargiczną niemoc i pogrążał się w głębokim, pozbawionym marzeń śnie. W Wieży w Istar, strzaskanej podczas Katakliizmu, śmiałek, który tam wszedł, całkowicie zapomniał o przyczynach swojego przybycia. Wieża Ruin rozpaliała tak gwałtowną namiętność w sercach wszystkich, którzy się do niej zbliżyli, że przestawało ich interesować cokolwiek innego. Las wokół Wieży w Wayreth unikał intruzów. Mimo największych starań, trudno byłoby go znaleźć. Z tych wszystkich zagajnik Shoikan był jednak najstraszliwszy. Inne pobłogosławili czciciele Solinari i Lunitari, a zagajnik Shoikan był pobłogosławiony przez wyznawców Nuitari, Czarne Szaty.

Olbrzymie dęby gaju stoją nieruchomo. Żaden wiatr, nawet najgwałtowniejszy cyklon i huragan nie zdołałyby zatrzęść choćby jednym listkiem. Masywne gałęzie są splątane i tworzą sklepienie tak gęste, że nie przepuszcza słońca. Zagajnik Shoikan spowija wieczna noc. Nic nie ogrzeje zalegającego w nim mroku, od którego wiało chłodem śmierci.

Sam Nuitari rzucił zaklęcie strachu na zagajnik. Wszyscy, którzy się doń zbliżą - nawet zaproszeni przez mistrza Wieży - zostają porażeni paralizującym strachem, który zmrozi serce każdej żywej istoty. Większość osób nie jest w stanie nawet zbliżyć się do drzew na odległość wzroku. Nadzwyczajni śmiałkowie, którzy docierają do samego gaju, zwykle doczołgują się tam na kolanach. Tylko nielicznym osobom udało się zejść dalej. Jedną był Caramon Majere, inną wielbna córka Crysania. Inną jeszcze Kitiara. Te dwie ostatnie dla ułatwienia drogi dostały medaliony, które miały moc niwelowania działania strachu. Co do Caramona, ten o mało nie postradał życia i rozumu.

Teraz Steel Brightblade stał w cieniu zagajnika Shoikan. Był już w mocy zaklęcia, które zsyłało na niego lęk - straszliwy, nieodparty, nierozumny i odbierający siły. Był to strach przed śmiercią, która nieuchronnie czeka każdego, kto stanie w lesie; obawa przed męką i cierpieniem, jakie poprzedzą zgon; i jeszcze większy lęk przed wieczną udręką, jaką las obiecywał potem.

Nie mógł walczyć z taką grozą, bowiem zsyłała ją bóg. Lęk trząsał nim i pozbawiał sił, targał wnętrznościami i ścisnął żołądek. Ze strachu zaschło mu w ustach, mięśnie drgały, a dłonie spocily się. Przerazenie omal nie powaliło go na kolana.

Usłyszał głosy żywych trupów, suche i krusze niczym kości.

- Twoja krew, twoje ciepło, twoje życie, nasze! Nasze! Podejdź bliżej. Przynieś nam swoją słodką krew, swoje ciepłe ciało. My czujemy chłód, chłód, nieznośny chłód. Podejdź bliżej, podejdź bliżej.

Ciemność zagajnika, wieczny mrok, którego nigdy nie rozjaśniał żaden blask, z wyjątkiem, być może, niewidzialnego światła czarnego księżyca, ogarnęła także i Steela. Pomodlił się do Takhisis, choć wiedział, że jego modły nie zostaną wysłuchane. Władza Jej Mrocznego majestatu kończyła się na obrzeżu tego lasu. Tu jedyną władzę sprawował jej syn, Nuitari, pan czarnej magii. Wszyscy wiedzieli, że rzadko słucha matki.

Śmierć w bitwie. Steel zawsze zakładał, że taki czeka go los. Spocznie na marmurowym katafalku z orężem wroga u stóp, oplakiwany i wychwalany przez towarzyszy broni. Taką właśnie wymarzył sobie śmierć a nie rozszarpanie na strzępy ostrymi szponami żywych trupów, które wciągną go pod ziemię, a on będzie rwał grunt paznokciami, rozpaczliwie chwycił się wszystkiego, tonął i dusił się. Później, gdy śmierć nadejdzie jako wybawienie, jego dusza trafi do niewoli i będzie zmuszona służyć bogu żywych trupów, Chemoshowi.

Jakiś nowy głos przerwał chłodne syczenie sług Chemosha. Z mroku wysokich drzew wyłoniła się kobieta w niebieskiej zbroi. Była piękna i nosiła krótkie włosy przyszyte tak, by wygodnie mieściły się pod hełmem. Ciemne kędziory okalały jej twarz, a jej oczy były tajemnicze i ponętne. Kobieta skrzywiła się, a po chwili parsknęła śmiechem. Śmiała się z niego.

- Spójrz tylko na siebie! Jesteś spocony i drżysz jak dziecko w Noc Oka! Czyżbym urodziła tchórza? Na mą królową, jeśli to prawda, sama rzucę cię Chemoshowi na pożarcie!

Błękitna Pani zbliżyła się do niego dumnym krokiem. Na biodrze nosiła miecz,

a wokół niej stale łopotała niebieska peleryna, choć noc była bezwietrzna i cicha.

Steel znalazł ją. Nigdy w życiu jej nie widział, a mimo to ją znalazł. Już raz kiedyś przyszedł do niego - w Objawieniu.

- Matko... - Wyszeptał.

- Nie nazywaj mnie „matką”! - Szydziła Kitiara. - Nie jesteś moim synem. Mój syn nie jest tchórzem. Ja przeszłam przez ten przeklęty zagajnik. A ty stoisz, rozmyślając o haniebnej ucieczce!

- Nieprawda! - Odparł Steel, z tym większym gniewem, że rzeczywiście zamierzał się wycofać. - Ja...

Lecz wizja już zniknęła, rozplynęła się ponownie w mroku.

Zaciskając zęby i zamykając w dłoni rękojeść miecza, Steel poszedł przed siebie prosto ku zagajnikowi Shoikan. Zapomniał o Palinie, o tym, że w ogóle istniał ktoś taki. To była bitwa, walka między nim a zagajnikiem. Nie słyszał pośpiesznych kroków za sobą. Podskoczył z popłochu, gdy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Odwrócił się raptownie i wyciągnął miecz.

Na widok upiornej miny rycerza zdyszany Palin cofnął się o krok. - Steelu, to ja...

Jasny blask laski Magiusa padł na oblicze młodego maga. Steel wydał głębokie westchnienie ulgi, które natychmiast wprawilo go w zawstydzenie.

- Gdzie byłeś, Majere?

- Usiłowałem cię dogonić, Brightblade! - Odrzekł Palin. - Odbiegłeś tak szybko... Tylko wspólnymi siłami przedostaniemy się przez ten przeklęty las... Jeśli w ogóle go przejdziemy.

Obaj słyszeli już głosy żywych trupów.

- *Ciepła krew, słodkie ciało, chodźcie do nas... Chodźcie...* Palin zbladł jak ściana. Dłoń o zbielejących kostkach, w której ścisnął laskę, była śliska od potu.

- Błogosławiony Paladine! - Palin chwycił Steela za ramię. - Spójrz! Dobrzy bogowie! Idzie prosto na nas!

Steel odwrócił się z uniesionym mieczem. Potem opuścił go.

- Co robisz? - Palin rozpaczliwie szukał składników zaklęć. - Musimy walczyć...

- Mój ojciec nas nie skrzywdzi - oświadczył cicho Steel.

Dwoje przewodników, powiedziała pani Crysania.

Z cienia zagajnika wyszedł rycerz okryty zbroją, która w świetle księżyca błyszczała jak srebro. Róża, korona i zimorodek ozdabiały jego pancerz. Była to

prastara zbroja. Jeszcze z czasów poprzedzających Kataklizm. Rycerz nie miał miecza; dał go swemu synowi.

Zatrzymał się przed Steelem.

- Przysięgałeś na honor, że wejdiesz do tego przeklętego gaju? - Spytał Sturm Brightblade.

- Przysięgałem, ojcze - odparł pewnie Steel. Dłoń, w której trzymał miecz, też była już pewna.

Wydawało się, że Sturm mierzy żywego człowieka stroskanym, smutnym, czułym i pełnym dumy wzrokiem. Skinął raz głową z namaszczaniem i powiedział: - *Est Sularus oth Mithas.*

Steel zaczerpnął głęboko tchu. - Rozumiem, ojcze.

Sturm uśmiechnął się. Wzniesioną ręką wskazał na szyję syna. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł. Nie zniknął w mroku; wydawało się raczej, że ciemności rozstały się przed nim. Zniknął w srebrnej poświacie księżyca.

- Czy wiesz, co miał na myśli? - Spytał przyciszonym głosem Palin.

Steel włożył dłoń pod pancerz i wyjął klejnot, który nosił na szyi. Był to klejnot elfiej roboty - pamiątka, jaką często wymieniają elfi kochankowie. Kiedyś Alhana dała go Sturmowi na znak wiecznej miłości. Sturm podarował go synowi. Klejnot jarzył się jasnym i zimnym światłem - czystym i przesywająco chłodnym jak sopel lodu albo ostry grot lancy.

- „Mój honor jest moim życiem”. Nie przyniosę wstydu matce. Nie zawiodę ojca. Teraz wejdziemy do zagajnika - oznajmił Brightblade.

Rozdział XIX

TAS SIĘ NUDZI. ROZMOWA Z WIDMEM.

POTEŻNA MAGIA KENDERÓW

Tasslehoff Burrfoot westchnął. Usadowił się z rozmachem w fotelu, rozejrzał, westchnął raz jeszcze i oznajmił: - Nudzi mi się.

Ten, kto długo żył na Ansalonie, powinien za wszelką cenę uciekać, gdzie pieprz rośnie, słysząc te straszne słowa. Gdy zapytać jakiegokolwiek napotkanego, doświadczonego wojownika: „Przepraszam, czy wolałby pan zostać zamknięty w pokoju z: armią ogrów, pułkiem trolli, brygadą smokowców, czerwonym smokiem... Czy ze znudzonym kenderem?“, można mieć pewność, że za każdym razem wybierze ogrów, trolle, smokowców i czerwonego smoka na dokładkę. Jak każda spotkana osoba, odpowie, że nie ma na Krynnie istoty bardziej niebezpiecznej od znudzonego kendera.

Niestety, Usha, która nigdy nie żyła wśród kenderów, w ogóle o tym nie wiedziała.

Pierwszą noc, cały następny dzień i dużą część kolejnej nocy oboje przespali, będąc pod wpływem czaru, rzuconego przez Dalamara i Jennę. Tas ocknął się pierwszy. Będąc troskliwym kenderem, dołożył wszelkich starań, żeby nie zbudzić Ushy, a nawet powstrzymał się - bohaterskim wysiłkiem woli - od przetrząśnięcia jej tobołków, z których jeden służył jej teraz za poduszkę.

Rozejrzał się po komnacie pełnej ciekawych przedmiotów, które Raistlin ściągnął z wszelkich zakątków Krynnu. Dalamar powiększył tę kolekcję i Tas mógł podziwiać delikatne figurki zwierząt wyrzeźbione w drewnie przez dzikich elfów; muszle i gąbki z dna Krwawego Morza Istar; porcelanowe puzderka z Północnego Ergothu, fantastycznie wymalowane w pawie; ogromne, bogato zdobione cedrowe kufry roboty krasnoludów z Thorbardinu oraz przeróżne inne ciekawe rzeczy.

Każdy z tych przedmiotów (z wyjątkiem cedrowych skrzyń) mógłby trafić do sakiewek Tasa i niejeden rzeczywiście tam wpadł przez przypadek, lecz równie szybko stamtąd wyskakiwał. Pokój najwyraźniej został zabezpieczony przed kenderami.

- Ojejku! - Wykrzyknął Tas na widok karmazynowej skorupy kolczastego morskiego jeżowca, która wyskoczyła z torby kendera z powrotem na swoją półkę. - Popatrz tylko na to!

- Na co? - Spytała sennie Usha.

- Za każdym razem, gdy któraś z tych rzeczy wpada mi do sakwy, natychmiast stamtąd wyskakuje. Czy to nie cudowne? Chodź popatrzeć!

Usha popatrzyła, ale nie sprawiała wrażenia osoby, której to zaimponowało.

- Gdzie jest lord Dalamar i ta kobieta - Jenna? Gdzie oni poszli?

Tas wzruszył ramionami. - Tu ludzie zawsze znikają. Wrócą. - Zajął się zamkami cedrowych kufrów.

- Ja nie chcę, żeby wracali - stwierdziła poirytowana Usha. - Nie cierpię tego miejsca. Nie podoba mi się ten Dalamar. Chcę stąd wyjść. I zamierzam to zrobić. Chodź. Mamy okazję, póki ich nie ma.

Zebrawszy swoje tobołki, podeszła do drzwi, chwyciła za klamkę i pociągnęła.

Drzwi się nie otworzyły.

Usha potrząsnęła klamką, zaczęła szarpać drzwi, a nawet je kopnęła. Nie pomogło.

Tas obejrzał się na nią. - Moim zdaniem są zamknięte na klucz - stwierdził usłużnie.

- Ale dlaczego? - Usha była bezgranicznie zdumiona. - Jesteś pewien?

Ponieważ taki stan rzeczy nie był niczym nowym ani niezwykłym dla kendera, Tas pokiwał głową. - Mam wrażenie, że ludzie zawsze starają się zamknąć mnie w więzieniu albo zamknąć mi drzwi przed nosem, albo jedno i drugie. Można się do tego przyzwyczaić.

Zamki w cedrowej skrzyni okazały się również odporne na kenderskie manipulacje. Dziurka, do której powinno się włożyć klucz, bez przerwy uciekała na boki w sposób niegodny uczciwego gracza. Co prawda, przez pierwsze dziesięć minut było to bardzo zabawne, lecz Tas wkrótce zaczął się nudzić ściganiem zamków i znów wygłosił zdanie, na dźwięk którego większość ludzi z krzykiem rzuciłaby się do wyjścia.

- Nudzi mi się.

Usha, krążąc jak niespokojny kot, nie odpowiedziała. Kiedy mijala okno, zatrzymała się i z nadzieją wyjrzała. Bardzo, bardzo daleko w dole sterczały ostre kolce wysokiego, żelaznego ogrodzenia. Dziewczyna szybko się cofnęła.

- Ano - stwierdził Tas, uderzając dłońmi w kolana - powiedziałbym, że

zrobiliśmy już wszystko, co było do zrobienia w tym miejscu. Chodźmy stąd.

Pogrzebał w sakwie i wydobyl z niej zestaw wytrychów, które są dziedzictwem każdego kendera. - Jestem pewny, że Dalamar wcale nie miał zamiaru nas zamykać. Zasułka pewno sama zapadła po jego wyjściu. - Kender przyjrzał się zamkowi i dodał:

- O ile tylko będzie stał w miejscu, jestem przekonany, że naprawię to niedopatrzenie.

Wyjąwszy kilka interesująco wyglądających narzędzi, Tas, który przestał się wreszcie nudzić, zbliżył się do drzwi i przystąpił do pracy.

Usha podeszła popatrzeć. - Dokąd pójdziemy z tej komnaty? Czy wiesz, jak stąd wyjść?

- Tak - odparł skwapliwie Tas. - Droga prowadzi przez zagajnik Shoikan, naprawdę przerażający, nawiedzony las, pełen żywych trupów, które chcą pożreć twoje ciało i zadawać męki twojej duszy przez całą wieczność. Wiem coś o tym. Kiedyś widziałem ten zagajnik, ale nigdy nie mogłem do niego wejść. Poszedł tylko Caramon. Niektórzy to mają szczęście.

Zamilkł na chwilę i mgła zasnęła mu oczy, kiedy wspominał dobre czasy. Potem, pogwizdując krasnoludzką melodię marszową, kender wytarł nos w rękaw i wesoło zabrał się do roboty. Wytrych zazgrzytał w zamku. Zamek nadal był zamknięty.

Tas zmarszczył czoło, schował wytrych do etui, wybrał kolejny i zaczął od początku.

- Więc nie ma znaczenia, czy wyjdziemy stąd, czy nie. Jeśli nie możemy przejść przez zagajnik, wciąż jesteśmy tu uwięzieni! - Usha podupadła na duchu.

Tas przerwał i zastanowił się. - Wiem, że las nie wpuszcza nikogo do środka, ale nie słyszałem, żeby nie pozwalał wyjść. Może wcale nie będziemy mieli kłopotów.

- Tak sądzisz? - Usha przyjrzała mu się z obudzoną nadzieją.

- Warto spróbować. - Tas energicznie dłuwał w zamku. - Najwyżej z gleby wyłonią się ręce szkieletów i spróbują złapać nas za kostki i wciągnąć pod ziemię, gdzie umrzemy w strasznych mękach.

Usha poczuła ściskanie w gardle, najwyraźniej nie widząc w tym nic zabawnego. - Może... Może powinniśmy jednak zostać tu i poczekać na powrót Dalamara. - Wróciła do krzesła i usiadła.

- Mam go! - Krzyknął triumfalnie Tas.

W zamku coś głośno zgrzytnęło. Tas otworzył drzwi na oścież. Z ciemności przyglądała mu się para białych, widmowych oczu.

- O, cześć - przywitał Tas nieumarłą istotę, trochę zaskoczony jej nagłym pojawieniem się.

- Zamknij drzwi! - Krzyknęła czym prędzej Usha. - Zamknij je szybko! Zanim to... Coś wejdzie do środka!

- To tylko widmo - oznajmił Tas i uprzejmie wyciągnął rączkę. - Jak się pan miewa? Nazywam się Tasslehoff Burrfoot. Och, zgaduję, że trudno panu uścisnąć dłoń, skoro nie ma pan ich wcale. Przepraszam. Mam nadzieję, że nie zrobiło się panu przykro z tego powodu. Ja sam czułbym się bardzo źle, gdybym nie miał rąk. Niemniej bardzo mi miło pana poznać. Jak się pan nazywa?

Upiór nie odpowiedział. Oczy podpłynęły bliżej. W komnacie powiało przeraźliwym zimnem.

Usha wyskoczyła z fotela i schowała się za nim. - Zamknij drzwi, Tas! Proszę, proszę! Zamknij drzwi!

- Nic się nie stało, Usho - zawołał Tas, choć mimowolnie cofnął się o krok albo dwa. - Proszę wejść - uprzejmie zaprosił zjawę. - Właśnie wychodzimy...

Puste oczy nieubłagane poruszyły się w przeczącym geście.

- Nie wychodzimy - domyślił się Tas i był już trochę poirytowany. Naprawdę spędził w tym pokoju tyle czasu, ile chciał. Może widmo jest samotne i ma ochotę na miłą pogawędkę?

- Jest pan jednym z żywych trupów, prawda? Czy zna pan przypadkiem lorda Sotha? Jest upiornym rycerzem i moim dobrym przyjacielem.

Oczy widma wrogo błysnęły. Nagle Tas przypomniał sobie, że lord Soth, który podstępem nakłonił Kitiarę do próby zamordowania Dalamara, prawdopodobnie nie cieszy się wielkim szacunkiem tych, którzy strzegli Wieży.

- Hmm, właściwie nie jest moim przyjacielem przyznał kender, robiąc kolejny krok albo dwa do tyłu. Kiedy oczy podpłynęły do kendera, temperatura w komnacie nieprzyjemnie się obniżyła. - Raczej znajomym. Nigdy nie przychodzi do nas w odwiedziny, nie wpada na obiad ani nic w tym rodzaju. No cóż, bardzo przyjemnie gawędziło mi się z panem. Teraz, gdyby był pan łaskaw odsunąć się na bok, wymknęlibyśmy się i nie przeszkadzali panu więcej...

- Tas! - Wrzasnęła Usha.

Kender zahaczył o sięgający posadzki brzeg obrusa i upadł.

Widmo przez chwilę zawisło nad nim w powietrzu, a potem niespodziewanie zniknęło. Drzwi się zatrzasnęły. Chłód ustąpił.

Skulona za fotelem Usha cała się trzęsła. - Co to było?

- Coś bardzo nieuprzejmego - stwierdził Tas, wstając i otrzepując się. - Przyznaję, że większość nieumarłych, których spotkałem, nie była zbyt rozmowna, pominąwszy upiory z Mrocznej Puszczy, które bardzo chętnie opowiedziały nam o swoim życiu, o tym, jak zostały przeklęte i w ogóle o wszystkim. Tyle że mówiły ustami Raistlina. Miały własne usta - żadnych warg, tylko same usta. To było rzeczywiście wspaniałe. To widmo nie ma ust i pewno dlatego nic nie mówi. Czy chciałabyś posłuchać historii o Mrocznej Puszczy? Skoro Raistlin jest twoim ojcem i w ogóle...

- Ja chcę tylko opuścić to okropne miejsce! - Warknęła Usha. Dygotała ze strachu i była coraz bardziej rozzłoszczona. - Dlaczego oni nas tu uwięzili? Nie rozumiem!

- Pewnie dlatego, że Raistlin jest twoim ojcem - zasugerował Tas po chwili zastanowienia. - Dalamar był uczniem Raistlina, ale jednocześnie szpiegował go dla Konklawe, ponieważ Raistlin był renegatem i czarodzieje nie mogli mu ufać. Raistlin wiedział, że czarny elf jest szpiegiem i ukarał go, wypalając mu dziury w ciele. Dalamar wciąż ma te krwawe dziury i nadal go bołą, ale nie proś go, żeby ci je pokazał, bo to go wprawia w naprawdę zły humor. Wiem, bo sam kiedyś to zrobiłem.

Potem Dalamar zamierzał zabić Raistlina, kiedy ten próbował wyjść przez portal z Otchłani po tym, jak niemal pokonał Królową Ciemności, co wydarzyło się wtedy, gdy Caramon chciał przejść przez zagajnik, a Tanis o mały włos stoczyłby walkę z lordem Sothem, tylko że nie mógł, bo ja mu ukradłem magiczną bransoletę...

Tas musiał przerwać, żeby nabrać tchu. Usha wlepiała w niego wytrzeszczone oczy.

- Ten Raistlin... To znaczy, mój ojciec... Mój ojciec dokonał tego wszystkiego! O tym nigdy mi nie powiedziałeś! - Bezwładnie padła na fotel. - Nic dziwnego, że Dalamar mi nie ufa! Nigdy mnie nie wypuści! On... Może nawet mnie zabić!

- Nie sądzę. - Tas przemyślał sobie sprawę. - Ale mogą cię postawić przed Konklawe Czarodziejów. Jeśli tak się stanie, zabierzesz mnie ze sobą?

Usha jęknęła i chwyciła się za głowę. - Ja nie chcę stawać przed żadnym Konklawe Czarodziejów. Chcę tylko do domu!

Tas z trudem mógł to zrozumieć, bowiem gorączka podróży dopadła go we wczesnym wieku. Z doświadczenia wiedział, że tęsknota za domem jest ludzką

przypadłością.

- Prawdopodobnie zdołałbym nas stąd wydostać, gdybym się do tego przyłożył. A te twoje magiczne przedmioty? - Tas wskazał na sakwę Ushy. - Powiedziałas Dalamarowi, że jesteś bardzo potężną czarodziejką. Oczywiście musisz nią być, skoro jesteś córką Raistlina. Uwielbiam magiczne zaklęcia! Naprawdę chciałbym ujrzeć jakąś twoją sztuczkę.

Usha zerknęła nerwowo na torby, a szczególnie na tę z magicznymi przedmiotami. - Nie sądzę, żeby było tam coś, co nam pomoże.

- Nie wiesz tego na pewno. Popatrzmy! Mogę pomóc ci przejrzeć wszystkie rzeczy - wielkodusznie zaproponował Tas.

- Naprawdę świetnie się znam na sortowaniu i znajdowaniu. To zdumiewające, na co ludzie natrafiają podczas przetrząsania moich sakiewek. Odnajdują rzeczy, o których zgubieniu nawet nie wiedzieli!

- Jestem pewna, że nie ma tam niczego, co by nam pomogło - stwierdziła Usha, mocniej przyciskając sakwy do siebie, co dowodziło, że zaczynała wreszcie rozumieć kenderów. - Dlaczego nie zajrzysz do swoich? Może ty coś znajdziesz.

- Prawda. Nigdy nic nie wiadomo. - Tas rozsiadł się na podłodze i zaczął grzebać w swoich mieszkach. Wyleciało z nich pół spleśniałej gomółki sera, zdechły i zdumiewająco sztywny nietoperz, wrzeciono, kałamarz (wyschnięty), książka z wypisanym na pierwszej stronie imieniem „Haplo”(- Nigdy o nim nie słyszałem), jajko ugotowane na twardo i srebrna łyżeczka.

- Aha! - Wykrzyknął Tas.

Usha, która ukradkiem zaglądała do własnej sakwy, podskoczyła. - Co? Co to jest?

- Znalazłem! - Powiedział z czcią Tas. - Święty artefakt. - Przysunął go do światła. - Kenderska łyżka egzorcyzmów!

- Jesteś pewien? - Usha nachyliła się i przyjrzała dokładnie. - Wygląda jak jedna z tych łyżek, którymi jedliśmy zeszłego wieczoru kolację. Jeszcze jest na niej dżem truskawkowy.

- Nie przeraż się, Usho, ale to krew - stwierdził z namaszczeniem Tas. - To kenderska łyżka egzorcyzmów. Poznałbym ją wszędzie. Wujek Trapspringer wszędzie nosił taką ze sobą. Miał takie powiedzonko: „Większość nieumarłych boi się ciebie bardziej niż ty ich. Chcą tylko w spokoju straszyć, wyć i pobrzękiwać łańcuchami. Czasami jednak zdarza się wpaść na takiego, który chce ci wyssać wątrobę. Wtedy

przydaje się kenderska łyżka egzorcyzmów".

- Jak to działa? - Usha powątpiewała.

Tas wstał. - Trzeba ją śmiało trzymać przed sobą. Wyciągnij ją do widma, szkieletowego wojownika czy innego ghula, jakiego przyjdzie ci spotkać. Wtedy bardzo stanowczym tonem, żeby nie było nieporozumień, powiedz „odejź”. Albo może „precz”. Nie jestem pewien. Tak czy owak, kiedy widmo skupi się na łyżce...

- Wyminę je ukradkiem i ucieknę przez drzwi - dokończyła skwapliwie Usha. - Kiedy widmo zacznie mnie szukać, ty się wymkniesz tą samą drogą. Jak to brzmi?

Tas był zdziwiony. - Ależ nie będziemy musieli się skradać. Kiedy już skończę z upiorem, będzie posłuszny moim rozkazom. Może nawet - dodał w przypływie natchnienia - zabierzemy go ze sobą!

Usha wzdrygnęła się. - To chyba nie jest dobry pomysł.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy widmo mogłoby się przydać! - Oznajmił z żalem Tas.

Usha już chciała logicznie wyjaśnić, że widmo byłoby bardzo nieprzyjemnym kompanem, nie wspominając już o tym, że groźnym. Powstrzymała się od tego w samą porę. Zdążyła już wystarczająco poznać kenderów.

- Co pomyślałby Dalamar, gdybyśmy ukradli mu widmo? - Spytała z powagą Usha. Zarzuciła sobie sakwy na ramię. - Wpadłby w złość i wcale bym mu się nie dziwiła.

- Ja bym go nie ukradł! - Zaprotestował Tas, zaszokowany takim oskarżeniem. - Chcę upiora tylko „pożyczyć” na trochę, żeby pokazać kilku osobom... Cóż, chyba masz rację. Zawsze mogę po niego wrócić później.

Zgarnął do sakiewek wszystkie przedmioty, które do niego należały. Przypadkiem wpadło tam też kilka rzeczy nie będących jego własnością, lecz te natychmiast same wyskoczyły.

Ściskając łyżkę w lewej dłoni, kender uniósł ją mężnie przed siebie i podszedł do drzwi.

- Otwórz je - powiedział do Ushy.

- Ja? - Wykrztusiła dziewczyna. - Dlaczego ja?

- Bo ja muszę stać tu i śmiało pokazywać łyżkę - odparł trochę już zirytowany Tas. - Nie mogę jednocześnie być śmiały i otwierać drzwi!

- No dobrze!

Usha podkraśla się do drzwi i przywarła plecami do ściany. Wyciągnęła rękę,

ostrożnie złapała klamkę i wstrzymując oddech, nacisnęła ją.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Para bezcielesnych oczu - zmrużonych teraz ze złości - chciała już wpłynąć do środka.

Tas podsunął łyżkę upiorowi, prawdopodobnie pod nos. - Natychmiast odejdz stąd! Idź precz! Wracaj... Tam, skąd przyszedłeś. - W tej kwestii Tas nie miał całkowitej pewności. Zakładał, że to Otchłań, ale nigdy nic nie wiadomo, a nie chciał urazić uczuć zjawy.

- Opuść te progi, duchu srogi - To był rym. Dumny ze swojego zaklęcia Tas powtórzył raz jeszcze: - Opuść te progi, duchu srogi...

Widmo nie przyglądało się łyżce z szacunkiem, jak spodziewał się Tas, tym bardziej że była to święta kenderska łyżka egzorcyzmów. Prawdę mówiąc, upiorne oczy bardzo groźnie przyglądały się Tasowi. Powiało zimnem jak z grobu i kender zaczął dzwonić zębami. Dobrze, że chociaż widmo świdrowało wzrokiem Tasa, a nie Ushę, której prawie udało się wybiec na korytarz.

W tym momencie oczy zaczęły się odwracać.

- Stój! - Krzyknął Tas z całą śmiałością, na jaką mógł się w tej chwili zdobyć. - Ręce do góry! - Podслуchał to powiedzenie u pewnego posterunkowego i bardzo mu się spodobało.

Upiór nadal poruszał oczami.

- Uciekaj, Usho! - Krzyknął Tas.

Dziewczyna nie mogła się ruszyć. Ziąb przeniknął ją do szpiku kości i zmroził jej krew w żyłach. Trzęsła się i dygotała, niezdolna ruszyć się choćby o krok. Upiór był już prawie przy niej.

Tas, szczerze oburzony - w końcu to była kenderska łyżka egzorcyzmów - skoczył naprzód, prosto na widmo.

- Precz! - Wrzasnął kender.

Oczy odwróciły się ku Tasowi i łyżce. Nagle rozszerzyły się, zamrugały, zamknęły i już ich nie było. Chłód ustąpił. Drzwi nadal stały otworem. Gdzieś w oddali zadzwonił cicho srebrny dzwonek.

Usha wpatrywała się w głębię komnaty.

- Wyegzorcyzmowałem go! - Tas był nieco zdziwiony. - Wyegzorcyzmowałem! Widziałaś to, Usho?

- Coś widziałam - przyznała drżącym głosem. - Za tobą. Mężczyznę. Miał na sobie czarne szaty. Twarz zasłaniał mu kaptur. Nie widziałam...

- Pewno to inny upiór - stwierdził Tas. - Odwrócił się gwałtownie i znów śmiało wyciągnął przed siebie łyżkę. - Jest tu jeszcze? Jego też wyegzorcyzmuję.

- Nie. Już go nie ma. Znikł razem z widmem, gdy zadzwonił ten dzwoneczek.

- Och, trudno. - Tas był rozczarowany. - Może kiedy indziej. Tak czy inaczej, drzwi są otwarte. Możemy wyjść.

- Im prędzej, tym lepiej! - Usha podeszła do drzwi, zawahała się i wyjrzała na zewnątrz. - Czy myślisz, że widmo poszło sobie na dobre?

- Jasne, że tak. - Tas polerował łyżkę o gors koszuli. Kiedy skończył, wsunął ją do najwyższej kieszonki, aby była pod ręką w razie potrzeby i wyszedł spokojnie.

Usha podążyła w ślad za nim.

Znaleźli się na obszernym podeście. Schody pięły się spiralą w górę i w dół. Wewnątrz wieży panowała ciemność, lecz wraz z ich przybyciem, zapłonęły migotliwe ogniki, pochodzące z niewidocznych źródeł na ścianach. W słabym świetle tych niesamowitych płomyków Usha i Tas zobaczyli, że schody nie miały poręczy ani żadnej barierki. Środek Wieży był pusty. Jeden fałszywy krok na schodach i już po nich.

- Na dół jest rzeczywiście daleko - zauważył Tas, ryzykownie wychylając się poza obręb schodów, żeby zajrzeć w głąb ciemności.

- Nie rób tego! - Usha złapała Tasa za pasek od torby i przyciągnęła go z powrotem pod ścianę. - Dokąd pójdziemy teraz?

- Może na dół? - zaproponował Tas. - Droga do wyjścia prowadzi na dół.

- Chyba tak - wymamrotała Usha. Ani góra, ani dół nie wyglądały szczególnie obiecująco. Obejrzała się po raz ostatni na komnatę, którą opuszczali, z jednej strony obawiając się, z drugiej łudzając się nadzieją, że znów zobaczy tę dziwną postać w czarnej szacie.

Pokój był pusty.

Przyciskając się do ściany i trzymając za ręce, na wypadek, gdyby któreś z nich się poślizgnęło, powoli i ostrożnie zaczęli schodzić po schodach. Nikt i nic nie stawał im na przeszkodzie, dopóki nie zeszli na dół.

Tu, na parterze, mieszkali uczniowie studiujący pod opieką Dalamara. Tas właśnie powitał westchnieniem ulgi zakończenie niewiarygodnie długiej wędrówki po schodach, gdy usłyszał szelest szat, tupot obutych w sandały stóp i podniesione głosy. Na ciemnej klatce schodowej zapaliło się światło.

- Ciekawe, co tu się dzieje - powiedział Tas. - Może urządzają jakieś przyjęcie. -

Już się rwał do biegu po schodach.

Usha go zatrzymała.

- To Dalamar! Wrócił! - Szepnęła bojaźliwie.

- Nie, to mi nie przypomina jego głosu. To pewno któryś z uczniów Dalamara. -

Tas słuchał przez chwilę. - Są strasznie podnieceni. Pójdę zobaczyć, co się dzieje.

- Jeśli złapią nas jego studenci, znów nas zamkną w tej komnacie!

- No to będziemy się świetnie bawić podczas kolejnej ucieczki - stwierdził wesoło

Tas. - Chodź, Usho. Coś wymyślimy. Nie możemy tak stać całą noc na tych nudnych schodach.

- Chyba masz rację - powiedziała Usha, dodając: - To są głosy prawdziwych, żywych ludzi. Z takimi mogę sobie dać radę! Poza tym, jeśli tu zostaniemy, ktoś nas z pewnością znajdzie. Mniej wzbudzimy podejrzeń, jeśli wyjdziemy jawnie.

Tas spojrział na nią z podziwem. - Wiesz, gdybyś nie była w części Irda, powiedziałbym, że musisz być po części kenderką. To komplement - dodał śpiesznie. Czasami, kiedy mówił coś podobnego, ludzie próbowali go uderzyć.

Wydawało się jednak, że Ushy to schlebilo. Dziewczyna uśmiechnęła się, wyprostowała plecy, podrzuciła głową i zeszła ze schodów prosto w światło.

Tas przyspieszył, żeby ją dogonić. Oboje niemal zderzyli się z magiem w czerwonych szatach, który wybiegł zza węgła. Czarodziej zatrzymał się jak wryty i popatrzył na nich ze zdumieniem.

- W czym kłopot? - Spytała spokojnie Usha. - Możemy jakoś pomóc?

- Na Otchłań, kim jesteście i co tu robicie? - Spytał czarodziej.

- Na imię mam Usha... - Dziewczyna zamilkła.

- Majere - wtrącił Tas.

- Majere! - Powtórzył wstrząśnięty młody mag. Niemalże upuścił księgę czarów, którą niósł.

Usha spojrzała ze złością na kendera. - No i widzisz! Miałeś nie mówić!

- Przepraszam. - Tas zasłonił usta dłonią.

- Tak czy inaczej, teraz już wiecie. - Usha westchnęła teatralnie. - To takie trudne. Ach, ta sława. Nie mogę się po prostu opędzić od ludzi. Nie powiesz nikomu, prawda? Lord Dalamar nie byłby zadowolony.

- Ja jestem Tasslehoff Burrfoot, Bohater Lancy - rzekł Tas, lecz nie wywarło to wrażenia na magu Czerwonych Szat, który jakby zapomniał o istnieniu kendera. Czarodziej przyglądał się Ushy wzrokiem pełnym czci i uwielbienia.

- Obiecuję, panienko Majere - rzekł cicho. - Nie pisnę nawet słowa.

- Dziękuję. - Usha uśmiechnęła się, a jej uśmiech mówił „*Tylko my dwoje przeciwko całemu światu.*”

Czerwona Szata zupełnie się rozczulił. Tas dziwił się, że młodemu czarodziejowi serce nie stopniało.

- Może będę studiować z tobą - ciągnęła Usha, rozglądając się, by sprawdzić, jak by się tu czuła. - Jeszcze się nie zdecydowałam. - Obejrzała się na maga. - Sądzę jednak, że podobałoby mi się tutaj.

- Mam taką nadzieję - powiedział mag. - Tu jest całkiem wygodnie.

- Ciemno, wilgotno i dziwnie pachnie - stwierdził Tas. - Bywałem w lepszych więzieniach. Coś chyba jednak musi wynagradzać te braki.

Czarodziej zamrugał, uświadamiając sobie nagle, że w Wieży Wielkiej Magii jest kender. Spojrzał gniewnie na Tasa i zmarszczył brwi. - Co ty tu robisz? Lord nigdy by nie pozwolił...

Usha chwyciła mężczyznę za ramię i nachyliła się ku niemu. - Byliśmy pogrążeni w głębokim śnie - lord Dalamar oddał nam najwspanialsze pokoje gościnne - gdy usłyszeliśmy dzwonek. Sądziliśmy, że to może być...

- Pożar! - Uzupełnił Tas. - Czy to pożar? Czy wszyscy usmażymy się na skwarki? Czy dlatego biją w dzwony?

- Biją w dzwony? - Czarodziej miał taką minę, jakby usłyszał je po raz pierwszy od chwili, gdy ujrzał Ushę. Oprzytomniał.

- Dzwony! Srebrny dzwonek! Muszę... Muszę już iść. - Odsunął się z wysiłkiem.

- A więc pali się! - Tas złapał go za połą.

- Nie, nie pali się - rzekł ze złością młody czarodziej. - Puść mnie. I oddaj mi to!

- Wyrwał z rąk kendera zwój, który za chwilę zniknąłby w jednej z sakiewek Tasa.

- Całe szczęście, że go znalazłem - oświadczył z powagą Tas. - Mógłbyś jeszcze go zgubić. Znow dzwonią! Widocznie pożar się rozprzestrzenia.

- Żaden pożar. Srebrny dzwonek oznacza, że ktoś wszedł do zagajnika Shoikan. Muszę już iść - powtórzył czarodziej Czerwonych Szat, lecz nie mógł oderwać oczu od Ushy. - Nie ruszaj się stąd. Tu będziesz bezpieczna.

- Zagajnik Shoikan! - Powiedział do siebie Tas. - Szkielety wciągną kogoś do grobu! A ja tego nie zobaczę. Chyba że...

- Wpadł mu do głowy pewien pomysł. - Chyba że przyjdę im z pomocą!

Wydobył z kieszeni srebrną łyżeczkę i zanim Usha albo Czerwona Szata zdążyli go zatrzymać, popędził do wyjścia z Wieży.

Rozdział XX

BIAŁE SZATY. CZARNA ZBROJA

Ohydne głosy w zagajniku Shoikan umilkły. Ręce żywych trupów, które próbowały wciągnąć ofiary pod ziemię, by pograżyć się wraz z nimi w nieskończonej, głodnej ciemności, poruszały się niespokojnie pod zbutwiałymi liśćmi, lecz nie atakowały. Drzewa trzymały ponurą straż, ale sprawiały wrażenie gotowych przepuścić rycerza i maga.

Weszli do straszego lasu razem, ramię w ramię. Głosy umarłych prowadziły i wabiły śmiazków.

Droga nie była łatwa. Przez zagajnik Shoikan nie prowadziła żadna ścieżka, przynajmniej nie dla Palina i Steela. Musieli przedzierać się przez cierniste, splątane zarośla, dusząc się w jadowitych oparach śmierci i rozkładu. W świecie na zewnątrz ziemia była sucha, spalona słońcem i pokryta kurzem. W lesie grunt był podmokły i bagnisty; błoto cmokało im pod nogami, a słonawa woda z każdym krokiem wypełniała odciski stóp. Powietrze było chłodne i mokre, a wilgoć - jak pot wstrząsanego dreszczami pacjenta z gorączką - perliła się na ich skórze i spływała strużkami po karkach.

Każdy krok budził zgrozę. Umarli nie mówili niczego głośno. Szeptali ledwo słyszalne słowa, przepelnione nienawiścią i okropną żądzą.

Steel prowadził, trzymając w obu rękach obnażony i wzniesiony do ataku miecz. Był czujny i nieufny, a każdy ruch wykonywał z ogromną ostrożnością. Palin szedł za nim w blasku laski Magiusa, która przyświecała im w drodze. Może był to tylko wytwór jego wybujałej wyobraźni, lecz wydawało mu się, że chciwie wyciągnięte ręce szkieletów cofały się, kiedy tylko światło laski padało na kości.

Podróż wydawała się nie mieć końca. Strach wydłużył sekundy do godzin, godziny do lat. Szepcząca ciemność, zapierający dech w piersiach smród i zimno, od którego bolały kości i drętwiały czubki palców, zaczęły oddziaływać na wojownika i maga.

Ziemia zrobiła się wilgotniejsza i coraz trudniej było iść. Steel, w ciężkich butach i ciężającej mu zbroi, zapadł się po kostki w cuchnącym, lepkim błocie. Każdy ruch wymagał wielkiego wysiłku, żeby wyrwać z mułu stopy, jedną po drugiej. Każdy krok zmieniał się w bitwę z młazszczącym gruntem i Steel wkrótce zasapał się ze zmęczenia. Był coraz bardziej wyczerpany. Nogi paliły go z wysiłku. Starał się szukać twardszego gruntu i szedł uważnie, lecz niczego to nie zmieniało. Za każdym krokiem zapadał się trochę głębiej i coraz trudniej było się uwolnić. Był zmęczony, dużo bardziej zmęczony niż mógł sobie pozwolić. Prawie nie mogąc złapać tchu, zatrzymał się i obejrzał na odciski swych stóp.

Wypełniały się krwią.

Palin szedł bez trudu; kroczył lekko po ziemi, nie zostawiając na niej śladów. Mógł iść, ale nie mógł oddychać.

Powietrze pod drzewami wydawało się ciecżą, sączyło mu się do nosa i ust jak ciemna, oleista woda. Mag zakrztusił się, przełknął i znów się zadławił. Czuł ogień w płucach. Odetchnął głęboko, lecz tylko zaczął się krztusić i wymiotować, jakby nalykał się bagiennej wody. Na krawędziach pola widzenia pojawiły się drobniutkie, migoczące iskierki; czarodziej dusił się powoli i zaczynał tracić przytomność.

Dyszząc ciężko, zatrzymał się obok Steela.

Umarli czekali na nich.

Pozbawione ciała ręce, które składały się z samych kości i ścięgien, wypęzły z czarnej gleby i złapały Steela za łydki. Suche, szeleszczące głosy bełkotały i śmiały się. Ręce szarpały z nieludzką siłą i starały się pogrążyć rycerza, aby stał się jednym z żywych trupów.

Wyciągnąwszy miecz z okrzykiem, Steel ciął po rękach lśniącym ostrzem.

Następne ręce chwytaly go za stopy i zaciskały mu się na kostkach. Klinga odcinała dłonie od kościstych nadgarstków. Kiedy jedna ręka odpadała, zastępowała ją następna i następna. Steel przegrywał, nieubłaganie zapadał się w błoto. Już pogrążył się po kolana.

Palin skoczył mu na pomoc. Miał już na ustach słowa zaklęcia, lecz brakowało mu tchu, by je wymówić. Nie mógł wykrztusić ani słowa; całe powietrze zużywał na walkę z dusznością. W przypiływie rozpaczycy uderzył ręce trzonkiem laski.

Trzasnęły kości, popękały ścięgna.

Mag dalej atakował w uniesieniu i stwierdził, że lżej oddycha. Steel również walczył, odzyskawszy nadzieję. Już mógł ruszyć nogami.

- Trzymaj! - Krzyknął Palin i podał mu laskę.

Steel wyciągnął do niej rękę.

Zimne, kościste palce wpiły się Palinowi w kark. Przeszedł go pałący, ostry ból. Skurcz targnął jego kończynami. Laska Magiusa upadła na ziemię. Jasne światło kryształu zgasło.

Gęsty i wyczuwalny dotykiem mrok raptownie ich ogarnął, jakby czał się w ukryciu i tylko czekał na tę okazję. Zdjęty paniką Palin rozpaczliwie zrywał ręce z szyi, gdy nagle pojął, co trzeba zrobić. Z rozpaczliwą jasnością stanęli mu przed oczyma bracia ćwiczący walkę wręcz. Zobaczył, jak Tanin złapał Sturmę za gardło od tyłu, a Sturm zaparł się mocno nogami i pchnął wstecz. Przewrócił Tanina na plecy, wyrывая mu się z uścisku.

Palin zaparł się nogami najmocniej jak tylko mógł w błocie i z całej siły rzucił się do tyłu. Poleciał w mrok, bowiem za jego plecami nie było materialnego ciała, które powstrzymałoby upadek. Wylądował ciężko na ziemi, aż zabrakło mu resztek tchu, ale uwolnił się od rąk, które ścisnęły go za szyję.

Leżał zdyszany i wiedział, że musi się ruszyć, lecz był zbyt wstrząśnięty, by się na to poważyć. Kiedy podnosił głowę, dostrzegł gwiazdę migoczącą w ciemności i dziwił się, jak to możliwe, póki nie uświadomił sobie, że to blask gwiazdznego klejnotu, który błyszczał na szyi Steela.

- Pośpiesz się, Majere! - Krzyknął Steel, wyciągając dłoń, aby pomóc mu wstać.
- Odeszli... Na chwilę.

Palin nie zwracał uwagi na podaną rękę. Podniósł się na kolana i zaczął rozgrzebywać zbutwiałe liście. Ciemność szeptała dokoła niego.

- Co się stało? Jesteś ranny? - Spytał Steel.

- Moja laska? Gdzie ona jest? Nie mogę jej znaleźć! Nic nie widzę! - Palin macał mokre liście.

- Pośpiesz się, magu! - Nalegał Steel.

Rycerz stanął opiekuńczo nad Palinem, osłaniając go swym ciałem i wyciągniętym mieczem.

- Mam ją! - Palin sapnął z ulgą. Kiedy zamknął w dłoni gładkie drewno, z laski natychmiast trysnęło światło. Opierając się z wdzięcznością na lasce, mag wstał.

Przed nimi znajdowała się Wieża Wielkiej Magii - strzelista, wysoka budowla zbudowana z magii i czarnego marmuru. Nawet gwiazdy nie zbliżyły się do Wieży Palanthas. Oświetlały ją trzy księżyce. Marmurowe ściany połyskiwały w świetle

Solinari, bo choć Solinari był czczony przez Białe Szaty, bóg ten - podobnie jak jego bracia - szanował wszelką magię. Czerwone promienie Lunitari padały na krwistoczerwone iglice na szczycie Wieży. Nad nimi, nad balkonem znanym jako „Ścieżka śmierci”, wznosił się Nuitari, czarny księżyc, specjalny strażnik Wieży, widoczny tylko dla oczu Czarnych Szat.

- Udało nam się - oznajmił Palin, czując ściskanie w gardle.

Nadeszła długo oczekiwana chwila. O mały włos nie popędziłby przed siebie, ale wydarzenia nauczyły go ostrożności. Zaczekał, aż rycerz pójdzie przodem.

Pomimo zmęczenia Steel szedł szybko. On również poczuł ulgę na widok celu podróży, który majaczył przed nimi. Idąc teraz przy świetle dwóch księżyców, razem zbliżyli się do żelaznych wrót.

Nie dostrzegli w nich zamka. Wydawało się, że brama otworzy się pod naciskiem ręki. Jednak żaden jej nie wyciągnął, żaden nie chciał dotknąć żelaza, które ociekało dziwną, niesamowitą wilgocią zagajnika Shoikan.

W pobliżu nikogo nie było. Nikogo nie było widać. W oknach nie paliły się światła, lecz to mogło być złudzeniem. Nie wiadomo, ile oczu mogło im się przyglądać - i najprawdopodobniej to czyniło.

- No, Majere, na co czekasz? - Steel mieczem wskazał bramę. - To robota dla ciebie. Idź pierwszy.

Palin nie mógł odmówić Steelowi racji. Podeszedł do wrót i wyciągnął rękę.

Brama sama się rozwarła.

Palin poczuł się podniesiony na duchu. Obejrzał się na Steela z miną wyrażającą triumf i zmęczenie. Teraz jego kolej przewodzić. - Chodź - powiedział. - Zostaliśmy zaproszeni do środka.

- Ale z nas szczęściarze - mruknął Steel, lecz nie opuścił miecza. Minął bramę i znalazł się na dziedzińcu wirydarza. Był to przedziwny ogród.

Rosły w nim przeróżne zioła i kwiaty używane do rzucania czarów. Większość tych uprawianych troskliwie przez uczniów roślin rozwijała się w nocy i kwitła w niewidzialnym blasku Nuitari. Wilcza jagoda, lilia śmierci, czarne orchidee, czarne róże, ruta, słodkogorz, lulek czarny, mak, mandragora, piołun, jemiola - nieruchome powietrze było przesycone słodką, ciężką, cikliwą wonią tych kwiatów.

- Nie zrywaj ani nie dotykaj żadnej z roślin - ostrzegł Palin, kiedy szli przez wilgotny, brukowany dziedziniec.

- Nie w moim guście taki bukiecik - stwierdził Steel, choć zatrzymał się, by

lekką skłonić się z szacunkiem lilii, która była symbolem jego zakonu.

Palin zastanawiał się, w jaki sposób wejdą do środka - jak przez mgłę pamiętał, że był tam dzwonek. Nagle zobaczył ich. Byli wszędzie. Otaczali go zewsząd.

Oczy. Nie mrugające oczy. Tylko oczy.

Żadnych czaszek. Żadnych karków. Żadnych ramion, torsów czy nóg.

Oczy i ręce.

Straszliwe ręce. Ręce lodowatej śmierci.

Steel stanął za Palinem.

- Kim oni są? - Syknął mu rycerz do ucha.

- To strażnicy Wieży - ostrzegł go Palin. - Nie... Nie pozwól, by się do ciebie zbliżyli.

Oczy podpełnęły bliżej. Musiała być ich setka, a wszystkie błyszczały blado i chłodno w poświacie Nuitari.

- Jak, na Otchłań, mam ich zatrzymać? - Steel stanął blisko Palina, strzegąc jego pleców, podobnie jak mag strzegł rycerza. - Zrób coś! Powiedz coś!

- Jestem Palin Majere - zawołał głośno Palin. - Zejdźcie mi z drogi!

Majere... Majere... Majere...

Nazwisko odbiło się echem od kamiennych murów Wieży, rozniosło się po dziedzińcu jak fałszywy ton dzwonów i zakończyło szyderczym śmiechem.

Palin wzdrygnął się. Steel zacisnął zęby. Twarz rycerza błyszczała od potu.

Oczy zbliżały się ze wszystkich stron. Z ciemności wyłoniły się białe, bezcielesne dłonie. Palce szkieletów wymierzyły w szybko bijące serca dwóch żywych istot. Jedno dotknięcie i krew zamarznie, a tętno ustanie.

- W imię Chemosha, rozkazuję wam odsunąć się! - Krzyknął nagle Steel.

Oczy błysnęły, lecz tylko z gniewu.

- Na twoim miejscu nie wymieniałbym więcej tego imienia - poradził cicho Palin. - Tutaj czci się tylko jednego boga.

- Więc ty coś zrób, panie magu! - Rzucił szorstko Steel.

- Przybyłem zobaczyć się z Dalamarem - wyjaśniał rozpaczliwie Palin. - Przyszędłem odwiedzić waszego mistrza.

Kłamstwo... Kłamstwo... Kłamstwo...

Słowa przypominały szelest niewidzialnych, obszarpanych szat, skrzywienie kościstych palców, błysk w białych, zimnych oczach.

Widmowi strażnicy zbliżyli się i otoczyli kręgiem obydwu mężczyzn. Stali teraz

zwróceni do siebie plecami, Palin z uniesioną laską, Steel ściskając w ręku miecz. Tymczasem kryształ laski gasł szybko. Steel zamachnął się mieczem na jedno z widm. Klinga zaświszczała i rozcięła jedynie powietrze. Zjawy zbliżały się.

- Stryju! - Krzyknął Palin. - Przychodzę do ciebie! Stryju! Potrzebuję twojej pomocy!

Drzwi Wieży otworzyły się. Ze środka wypłynął mrok. Widma zatrzymały się i odwróciły ku niemu swe chłodne, blade oczy.

Palin zatrzęsł się od ogarniającej go fali strachu, uniesienia i nabożnego lęku. Nachylił się ku ciemności.

- Stryju? - Krzyknął.

Odpowiedziało mu wołanie: - Nie ruszaj się! Stój tam, gdzie jesteś! Już idę! Już idę! Ocalę cię!

Z ciemności wybiegł Tasslehoff Burrfoot.

Rozdział XXI

BRAMA OTWIERA SIĘ. OGRÓD NUITARI.

DROGA STOI OTWOREM

Wujek Tas! - Jęknął ze zdumieniem Palin. - Mam wrażenie, że to nie ten krewny, którego miałeś na myśli - rzekł ponuro Steel.

- Nie. - Palin był zbity z tropu. - Nigdy bym...

- Już... Ją mam! - Stary kender sapał z wysiłku, jakim był dla niego bieg. Zatrzymał się na schodach prowadzących do drzwi wyjściowych, wymachując w powietrzu czymś srebrzystym. - Nie martw się...

- Nie podchodź, Tas! - Krzyknął przestraszony Palin. - Cofnij się! Wracaj do środka!

- Nie, nie! - Odkrzyknął Tas. - Nie rozumiesz. Mam ją! Teraz będziesz bezpieczny!

Zanim Palin zdążył powiedzieć choć jedno słowo, kender zbiegł pędem po schodach i mknął prosto ku zjawom.

W słabym blasku laski błysnął przedmiot, który kender ścisnął w dłoni: srebrna łyżeczka.

- Idźcie precz, wstrętne upiory! - Rozkazał Tas głębokim, władczym tonem, jakim w jego mniemaniu przemawiali kapłani. Jednakże mówienie grubym głosem okazało się ponad jego siły; ostatecznie o mało co się nie udusił. Pomiedzy kaszlem i rżeniem udało mu się powtórzyć: - Nakazuję wam iść precz! Idźcie precz! Precz stąd!

Wygrażał łyżką upiorom.

- Zginiemy - oznajmił Steel.

- Nie - po chwili obserwacji stwierdził osłupiały Palin. - Nie zginiemy.

Para za parą, zimne oczy zamykały się. Śmiercionośne białe ręce chowały się w niewidzialnych rękawach. Dziedziniec opustoszał. Wejście do Wieży stało wreszcie otworem.

Światło laski Palina błyszczało jasno w oczach Tasa, który przybiegł w

podskokach, żeby się z nimi przywitać. - Kenderska łyżka egzorcyzmów - oznajmił dumnie Tas, podsuwając ją Palinowi do obejrzenia.

Palin miał zamiar przyrzeć się łyżce i sprawdzić, czy rzeczywiście była magiczna, lecz zanim zdążył to zrobić, Tas schował ją do poręcznej sakwy i przeszedł do innych spraw.

Wyciągnął rączkę do Steela. - Jak się pan miewa? - Spytał grzecznie kender. - Nazywam się Tasslehoff Burrfoot. Przyjaciele mówią do mnie Tas. Z wyjątkiem Palina - dodał po chwili namysłu.

- On zwraca się do mnie „wujku Tas”. Nie jestem naprawdę jego wujem. Caramon i ja nie jesteśmy spokrewnieni. Jestem przyjacielem rodziny. Kiedy byli mniejsi ode mnie, nazywali mnie „dziadziem”, ale kiedy podrośli, zaczęło to głupio brzmieć, więc po kilku dyskusjach postanowiliśmy, że będą do mnie mówić „wujku”. Kiedyś miałem wujka Trapspringera. To ten od łyżki. Ojejku, ale to zdumiewająca zbroja. Tak cudownie złowieszco wygląda z tymi czaszkami i liliami śmierci. Wiem! Na pewno jesteś rycerzem Takhisis! Słyszałem o was, ale jeszcze żadnego nie spotkałem. To prawdziwy zaszczyt. Czy wspominałem już, że nazywam się Tasslehoff Burrfoot?

- Nie dyskutuję z kenderami - odparł Steel.

- Nawet z tymi, którzy ocalili ci życie? - Spytał cicho Palin.

Steel spojrział na Tasa spode łba i wreszcie skłonił się sztywno.

- Steel Brightblade.

- Znam cię! Tanis mi o tobie opowiadał! Jesteś synem Sturm! Sturm i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi! - Tas rzucił się naprzód, aby uściskać rycerza.

Steel zatrzymał go na odległość wyciągniętej ręki, trzymając dłoń na jego głowie.

- Istnieje prawdopodobieństwo, aczkolwiek niewielkie, że zawdzięczam ci życie, kenderze - rzekł ozięble Steel. Honor nakazuje mi spłacić dług, ale nie muszę pozwalać ci zbliżać się do siebie. Przeto radzę ci, abyś się trzymał ode mnie z daleka. - Z tymi słowami odepchnął Tasa.

Palin złapał kendera i podtrzymał go.

- Zapomniałem - szepnął głośno Tas, krzywiąc się i rozcierając głowę - on jest również synem Kitiary!

Palin miał właśnie zamiar poradzić kenderowi, żeby dla własnego dobra omijał rycerza z daleka, kiedy usłyszał kobietę wychodzącą z Wieży.

- Tasslehoff! Gdzie jesteś! Tas? Gdzie poszedłeś?

Palin uniósł wzrok i spojrział w stronę drzwi. Wydał ciche westchnienie. Upiory nieomal ścięły mu serce lodem. Teraz wydawało mu się, że jego serce płonie.

W drzwiach stała kobieta, jakiej nigdy jeszcze w życiu nie widział. Bujne, srebrne włosy okalały powabną twarz, która skrywała tajemnice, a jednak jej wielkie, żywe, złote oczy sprawiały, że wszystkie sekrety zostały wyjawione. Miała na sobie barwne, powiewne, jedwabne szaty o cudzoziemskim kroju, jakich nie nałożyłaby żadna dobrze wychowana kobieta w tej części kraju. Jednak jej było w nich do twarzy. Dziewczyna była tak egzotyczna i zachwycająca, jakby spadła z jakiejś gwiazdy.

- Tas! - Krzyknęła z ulgą w głosie. Zbiegła po schodach.

- Dzięki bogom znalazłam cię! Teraz możemy stąd wyjść...

Zatrzymała się, patrząc na Palina i Steela. - Och. - Zerknęła kątem oka na Tasa i przysunęła się bliżej do kendera. - Kim są ci dwaj szlachetni panowie?

- Moimi przyjaciółmi! - Oznajmił entuzjastycznie Tas. - To jest Steel Brightblade, syn Sturma. Sturm był rycerzem solamnijskim i jednym z moich najserdeczniejszych przyjaciół. Steel jest również synem Kitiary, ale ona nie była rycerzem. Była jednym ze smoczych władców i właściwie nie zaliczała się do moich przyjaciół. Była raczej znajomą. A to jest Usha.

- Pani - rzekł zauroczony Palin, wpatrując się w kobietę. Z rozczarowaniem stwierdził jednak, że jej spojrzenie wędruje ku rycerzowi. Spróbowała nieśmiało się uśmiechnąć.

Steel nawet nie rzucił na nią okiem; szukał w oknach Wieży czyhającego niebezpieczeństwa.

Usha przyglądała mu się dłużej, spoglądając na zbroję, którą widziała teraz wyraźnie w blasku księżyca. Jej uśmiech znikł, oczy sposepniały. Głos dziewczyny drżał z gniewu. - Oni byli tacy jak wy - ci, którzy przyszli. Mieli nas zupełnie za nic. Dlaczego musieliście przyjść i zmarnować nam życie? - Krzyknęła nagle.

- Co wam zrobiliśmy! Nie byliśmy dla was groźni!

Teraz Steel zwrócił na nią oczy i popatrzył z ciekawością. - Z jakiego miasta pochodzisz, pani? Z Kalamanu? Czy to prawda, że Kalaman wpadł w nasze ręce?

Usha otworzyła usta, by udzielić odpowiedzi, i najwyraźniej przychodziło jej to z trudem. Wreszcie powiedziała: - Nie, nie z Kalamanu. Tu, w pobliżu... - Głos jej załamał się, ale po chwili odzyskał siłę. - Nie mieliście prawa najechać naszej ojczyzny!

- Wszystkie krzywdy, jakie w twoim mniemaniu zostały ci wyrządzone, pani, zostały wyrządzone w imię postępu odparł Steel. - Nie można oczekiwać, że to

zrozumiesz, więc nie będę próbował tego wyjaśniać. - Jego wzrok natychmiast powędrował ponownie ku Wieży. Rycerz nadal nie wypuszczał miecza z ręki. - Mamy tu sprawę do załatwienia, Majere, jeśli jeszcze pamiętasz.

- Pamiętam - powiedział Palin, choć prawie mu to wypadło z głowy.

Usha znów skierowała ku niemu te przecudne oczy. - Jak ci na imię, panie? - Spytała, różowiąc się na widok jego pełnego nieskrywanego podziwu spojrzenia.

- Palin Majere - rzekł cicho. - A ty? Chyba... Chyba nie dosłyszałem.

- Usha - odparła figlarnie dziewczyna.

- Usha Majere! - Wrzasnął Tas, podskakując z podniecenia. - Czyż to nie wspaniałe? Usha jest córką Raistlina! Znalazłem córkę Raistlina.

- Nie! - Wykrzyknął wstrząśnięty Palin.

- Co się stało? - Przestraszona gwałtownością tego okrzyku Usha odsunęła się od maga o krok. - Coś złego?

- Ja... Ja jestem bratankiem Raistlina! Caramon Majere jest moim ojcem i twoim stryjem. Jesteśmy kuzynami - oznajmił żałośnie Palin. - Stryjecznym rodzeństwem!

- I to wszystko? - Usha odetchnęła. - Jesteśmy stryjecznym rodzeństwem. Mnie to nie przeszkadza - stwierdziła i uśmiechnęła się do niego.

Jej uśmiech iskrzył się wokół Palina jak kaskada gwiazdnego pyłu. Młodzieniec był tak olśniony, że prawie nic nie widział.

- Ich ojcowie byli bliźniakami - wyjaśnił Tas.

- No to skoro już ustaliliśmy parantele rodzinne - rzekł zgryźliwie Steel - czy mogę ci znów przypomnieć, Majere, że czas upływa i że tam w Wieży czeka na nas ważne zadanie do wykonania?

- Tam? - Usha obejrzała się bojaźliwie na Wieżę i rzuciła zalęknionym okiem na Palina. - Wchodźcie do środka?

- My właśnie wydostaliśmy się stamtąd - poinformował Tas, dodając z dumą: - Dalamar więził nas oboje.

Palin nie mógł w to uwierzyć. - Po co Dalamar miałby was więzić?

- Czy to ważne? Przeszliście przez zagajnik powiedziała Usha pośpiesznie, nie dając Tasowi dojść do słowa. Chwyciła Palina za rękę i zajrzała mu w oczy. - Ten mag Czerwonych Szat w Wieży powiedział, że musisz być niesłychanie potężnym czarodziejem, jeśli ci się to udało. - Nachyliła się ku niemu i szepnęła mu na ucho: - Ty i rycerz moglibyście przeprowadzić nas z powrotem przez las i ucieklibyśmy z tego

okropnego miejsca!

Jej dłoń była gładka i miękka. Od jej dotyku we krwi maga zapłonął gwiazdny pył.

- Nie mogę odejść, pani - rzekł Palin, wciąż trzymając ją za rękę. - Muszę wykonać tu pewne zadanie. Nie powinnaś też próbować uciekać przez zagajnik Shoikan. To zbyt niebezpieczne. Sami ledwo uszliśmy z życiem. - Zwrócił się do Tasslehoffa. - Nic nie rozumiem. Dlaczego Dalamar trzyma was w niewoli?

- Oczywiście dlatego, że ona jest córką Raistlina odparł rzeczowo Tas.

Oczywiście. Palin domyślił się odpowiedzi, zanim jeszcze zadał pytanie. Dalamar byłby bardzo zadowolony, mając w swych rękach córkę Raistlina Majere. Nagle Palin uświadomił sobie, iż, być może z jej powodu, przyprowadził go tu głos. Może stryj potrzebował tylko przewodnika dla osoby, która go rzeczywiście interesowała, dla swojej córki.

Palin uwolnił dłoń z jej uścisku. Gryzła go zazdrość, zatapiając w nim głęboko swe jadowite kły. Podobała mu się ta kobieta, a jednocześnie jej zazdrościł. Wreszcie zrozumiał gorzkosłodki związek, jaki istniał pomiędzy jego ojcem i bliźniaczym bratem ojca.

Usha wyczuła nagłą oziębłość. To od maga bardziej wiało chłodem niż od napotkanych widm. Spojrzała na niego z rozpaczliwym zaskoczeniem i mimowolnie się odsunęła. - Nie pomożesz nam uciec? Dobrze. Sama pójdę przez zagajnik - rzekła butnie.

- Nie, Usho, obawiam się, że to niemożliwe - rzekł Palin ochryple. - Istnieje powód, dla którego tu jesteś...

- Jaki? Czy Raistlin posłał po nią? - Wesóło zastanawiał się Tas. - Myślałem, że Raistlin umarł. Czy sądzisz, że on nie żyje, Palinie? Nie myślisz tak, prawda! Dlatego tu przyszedłeś!

- Kender był niesamowicie podekscytowany.

- Majere... - Zaczął niecierpliwie Steel.

- Wiem. Wiem! Chodźmy. - Palin chwycił Uszę za ramię i już chciał ją zaprowadzić do Wieży. - Będziemy musieli porozmawiać z Dalamarem...

- Jego tu nie ma! - Powiedziała Usha, wrywając się Palinowi z rąk. - Wybrał się gdzieś na jakieś czarodziejskie coś...

- Do Wieży Wielkiej Magii w Wayreth - uzupełnił Tas. - Na Konklawe. Raz byłem obecny na jednym. Czy kiedyś wam opowiadałem o tym, jak Par-Salian zmienił

mnie w mysz? Właściwie to sam się zmieniłem w mysz, ale...

- Dalamar jest nieobecny - szepnął Palin.

Zajmę się Dalamarem...

Stryj mu to obiecał. Może to zbieg okoliczności, choć Palin w to wątpił. Raistlin czynnie mu pomagał. Ale w jakim celu? Po co?

- Pośpieszmy się zatem, zanim Dalamar wróci. - Palin ruszył w stronę wrót otwierających Wieżę.

W drzwiach stał czarodziej Czerwonych Szat i zagradzał im drogę.

- Co wy tu robicie? Jak przeszliście przez zagajnik Shoikan i ominęliście strażników? Gdzie są strażnicy?

Palin otworzył usta. Nie umiał dobrze kłamać, ale w tym przypadku prawda nie na wiele się zda. Miał już zamiar odezwać się, gdy wtrącił się Tasslehoff.

- Zostali wezwani przez Dalamara - oznajmił ważnym tonem kender. - A co do strażników, odpędziłem ich kenderską łyżką egzorcyzmów. - Podsunął łyżkę do oględzin.

Mag przyjrzał jej się bacznie, popatrzył na Steela i Palina i rozejrzał się po pustym dziedzińcu. Miał skonsternowaną i podejrzliwą minę.

- Posłał po was lord Dalamar - powtórzył. - Biały mag i czarny rycerz?

- Ładnie się równoważą, nie sądzisz? - Powiedział Tas, dodając: - Jak inaczej przebyliby zagajnik, gdyby Dalamar nie dał im pomocnych amuletów? A teraz, bądź łaskaw nam wybaczyć, ale musimy iść na górę do komnaty Dalamara. - Tas obejrzał się na Palina. - Tam chcesz przecież iść, prawda? - Spytał głośnym szeptem.

Czerwona Szata zmarszczył brwi. Steel spojrział na niego z wściekłością. Schował miecz do pochwy, lecz nadal trzymał dłoń na jego rękoności. - Jestem Steel Brightblade, rycerz Takhis. Przybyłem z misją. Lord Dalamar nie...

- ...Spodziewał się nas tak wcześnie - zapiszczał głośno i przenikliwie Tas. - Każ kuzynowi Steelowi siedzieć cicho i pozwól, bym ja się wszystkim zajął - znów szepnął do Palina, który miał cichą nadzieję, że Steel nie usłyszał swego nowego przydomku.

Tas ruszył w stronę drzwi. Machając ręką za plecami, dawał znaki pozostałym, by szli za nim. - Zaczekamy na Dalamara w jego pokoju. Gdyby to nie sprawiło kłopotów, napilibyśmy się herbaty z tarbeanu. Chodźmy, Usho.

Steel poszedł za kenderem. Palin miał zamiar pójść w jego ślady, lecz dostrzegł, że Usha się ociąga. Dziewczyna załamywała nerwowo ręce i spoglądała ze strachem na Wieżę.

- Dopiero co stamtąd uciekłam - zaprotestowała. - Ja nie chcę wracać!

Czerwona Szata nabrał poważnych podejrzeń.

- Mówiłaś, panienko, że zamierzasz studiować z nami magię, że chcesz zostać uczennicą lorda Dalamara. Co tu się dzieje?

- Ja... Jeszcze się nie zdecydowałam - odparła Usha. - Muszę gdzieś pójść, by to sobie przemyśleć. Gdzieś indziej! A co do studiowania magii, być może nie muszę się już uczyć. Jestem i tak wystarczająco potężna.

- Usho - zaczął Palin. Steel złapał go za rękę.

- Zostaw ją - powiedział rycerz. - Marnujemy tylko czas.

Palin wyrwał się ze złością Steelowi. - Bez względu na to, jak jest potężną czarodziejką, umrze, jeśli tylko wejdzie do zagajnika. Poza tym - dodał ciszej - bardzo możliwe, że jesteście tu właśnie z jej powodu.

- Jak to? Dlaczego? - Steel obejrzał się na kobietę bez zainteresowania.

- Bo jeśli jest córką Raistlina, on może próbować się z nią porozumieć.

Steel wbił w Palina uważny wzrok.

- Może Raistlin oczekuje córki, nie bratanka. - Steel wzruszył ramionami. - Czy otworzy dla niej portal? Może masz rację. Mnie jest wszystko jedno, jeśli tylko wrota się otworzą. Weź ją ze sobą.

Palin podszedł powoli do Ushy.

- Nie możesz odejść, panienko - rzekł. - Proszę cię, abyś została ze mną. Zaufaj mi. Coś wymyślimy.

Podniosła na niego złote oczy. Były chłodne, lecz teraz mógł z bliska zobaczyć, że ów szron przykrywał obawę. Sprawiała wrażenie wystraszonej jak zagubione dziecko.

- Pójdę z tobą - szepnęła cicho. - Ale musisz zostać przy mnie.

Była ciepła i miała miękką skórę. Na widok srebrnych włosów, które muskały jej twarz, przeszedł go dreszcz pożądania. Nigdy w życiu jeszcze nie czuł się tak cudownie - ani też nie był w tak strasznej rozterce. Zostać przy niej! Musiał przecież wejść do Otchłani.

Mag Czerwonych Szat po namyśle najwyraźniej przekonał się, że kender miał rację; najlepiej będzie tę osobliwą gromadkę zamknąć bezpiecznie w komnatach swego pana.

- Odprowadzę was po schodach do pokoju lorda Dalamara - oznajmił czarodziej. - Razem zaczekamy na mojego mistrza.

Steel dał Palinowi znak ponurym spojrzeniem, że to jest niemożliwe. Musieli znaleźć portal do Otchłani i to najlepiej póki Dalamara był nieobecny.

- Dziękujemy, ale to nie będzie konieczne odpowiedział uprzejmie Tas. - Znamy drogę. Poza tym Palin już tu kiedyś był. Jest bliskim, osobistym przyjacielem Dalamara.

Czerwona Szata uniósł brwi z niedowierzaniem.

- Nie poznajesz go? - Wykrzyknął Tasslehoff. - To Palin Majere! Bratanek Raistlina Majere! Usha jest córką Raistlina. A to - kender machnął ręką w stronę Steel Brightblade jest przyrodni siostrzeniec Raistlina Majere. Chyba mi się nie pomyliło. - Kender zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Zobaczmy. Kitiara była w połowie siostrą Raistlina. Może przez to Steel jest tylko ćwierć siostrzeńcem...

- To zjazd rodzinny - stwierdził Steel i odepchnąwszy czarodzieja Czerwonych Szat pod ścianę, wyminął go i wszedł do Wieży.

Czarodziej nie poszedł za nimi do komnat Dalamara. Niemniej postarał się, by towarzyszyło im kilku widmowych strażników. Blade, nie mrugające oczy obserwowały ich, dopóki nie znaleźli się bezpiecznie w pokoju Dalamara i nie zamknęli za sobą drzwi.

- Będą na nas czekać - przewidywał Palin. - Nie wspominając już o tym, który pilnuje pracowni. Ten upiór otrzymał rozkazy od Dalamara, żeby nikogo nie wpuszczać - nawet samego Dalamara. Laboratorium ani razu nie zostało otworzone od chwili, gdy mój stryj...

Palin umilkł, nie kończąc zdania. To, co powiedział, nie było całkiem zgodne z prawdą. Drzwi do pracowni raz się otworzyły. Tam znajdowała się laska Magiusa, którą teraz trzymał w ręku.

- Och, nie musisz się przejmować widmem - rzekł pewny siebie Tas. - Mamy...

- Kenderską łyżkę egzorcyzmów. Wiem. - Palin westchnął. Nie był w nastroju na kenderskie brednie. - Posłuchaj, wujku Tas, widziałem herb na łyżce. To zwykła stołowa łyż...

Kątem oka uchwycił jakiś ruch. Podniósł wzrok. W komnacie stał mag w czarnych szatach. Nic niezwykłego w Wieży Wielkiej Magii, pominiawszy fakt, że ten mag miał siwe włosy, złotą skórę i oczy jak klepsydry. Palinowi język przywarł do podniebienia. Zaczął mówić. - Stryju...

Raistlin wykonał dłonią szybki, przeczący gest. Jego złote, klepsydrowe oczy zatrzymały się przez chwilę na kenderze. Potem zjawa znikła.

- Słucham? - Tas oderwał się od podziwiania łyżki. - Wspominałeś, że ta łyżka jest zwyczajna?

Palin szybko się rozejrzał. Czy ktoś jeszcze widział tę zjawę?

Najwyraźniej nie.

Steel przeszukiwał pokój; opukiwał ściany i zaglądał pod gobeliny, szukając innego wyjścia. Niepocieszona Usha skuliła się sennie w fotelu. Tasslehoff czule poklepywał łyżkę.

- Ta łyżka nie jest zwyczajna! - Dokończył kender. To święta relikwia, którą mój wuj Trapspringer dostał od samej Mishakal. A może od Reorxa? Zapomniałem. Tak czy inaczej, skutkuje. Sam widziałeś jej działanie.

Nikt inny nie widział Raistlina. Mag przyszedł do Palina i do nikogo więcej. Odrzucił zmęczenie, ból i rozczarowanie jak niepotrzebny płaszcz. Dostanie się do laboratorium. Droga już była przygotowana. Jak niegdyś przepowiedziano Raistlinowi Majere:

Przed nim drzwi się otworzą...

- Pozwól mi jeszcze raz popatrzeć. - Palin wziął łyżkę od Tasa i przyjrzał się jej. Łyżka pasowała idealnie do pozostałych sztuców na stole.

- Masz rację, Tas - rzekł cicho Palin. - To jest święta relikwia. Zaprawdę, niezwykle święta.

Rozdział XXII

PODEJRZENIA. ZAMYŚLENIE.

PRACOWNIA RAISTLINA

Wyszli z komnaty Dalamara; Tas prowadził ich do laboratorium, śmiało trzymając przed sobą srebrną łyżkę. Steel nie był zadowolony, że ma kendera za kompana, lecz Palin - ku zdumieniu i złości rycerza - nawet nie próbował go odwieść od chęci towarzyszenia im.

- Tylko kender może posłużyć się magią kenderskiej łyżki egzorcyzmów - rzekł Palin z lekkim uśmiechem.

- Obaj dobrze wiemy, że łyżka nie jest zaczarowana - odparł Steel.

- Widziałeś, jak odpędził widmo - stwierdził Palin.

- Czyżby? - Zaciekawiał się Steel. - A może chciałbyś, żeby tak mi się wydawało?

Palin przemilczał pytanie. - Zabierzemy kendera ze sobą i będziemy mieli go na oku. A może wolałbyś, żeby wędrował za nami na własną rękę? „Nigdy nie odwracaj się plecami do kendera”, jak powiadają krasnoludowie.

- Doprawdy? - Spytał chłodno Steel. - Bo ja słyszałem, że mówią „Nigdy nie odwracaj się plecami do maga”!

Widmowe oczy zamigotały, rozbłysły, a potem znikły.

Łyżka w ręku kendera nie mogła odpędzić takich upiórów. Steel był o tym przekonany i wiedział, że Palin też o tym wie. Wydawało się, że młodemu czarodziejowi nagle zaczęło się bardzo spieszyć do celu. Pozbył się obaw i wątpliwości. Był odprężony i pewny siebie. Coś się wydarzyło; Palin coś zobaczył, dostał jakiś znak. Steel nie miał jednak pojęcia, jaki. Czyżby młody mag był znacznie potężniejszy niż Steel przypuszczał? Czy ta dziwna kobieta o złotych oczach należała do spisku? Czyżby prowadzili rycerza w pułapkę?

Zawsze nieufny wobec czarodziejów, Steel postanowił uważnie obserwować Palina i nieznaną kobietę.

Szli po ciemnych schodach, bez końca krążąc po spirali stopni, aż od tej

wspinaczki rozbolewały ich nogi. Musieli przecież przyciskać się do ściany, by nie spaść w ciemność na dole. Nikt się do nich nie zbliżył. Nikt im nie przeszkodził. Równie dobrze mogli być sami w Wieży.

Otoczone złą sławą laboratorium w Wieży Wielkiej Magii znajdowało się na szczycie. Jedyne istniejące portale do Otchłani były właśnie w tej pracowni.

Być może.

- Opowiedz mi o tym portalu, Majere - rzekł Steel podczas wspinaczki po krętych schodach.

Wydawało się, że Palin był bardzo niechętny do rozmowy. - Wiem bardzo niewiele - zaczął.

- Ja wiem dużo! - Wyrwał się pełen zapału kender.

Steel zlekceważył go.

- Jesteś magiem, prawda, Majere? Sądziłem, że uczą was takich rzeczy w szkole czarodziejów, czy gdzie tam studiujecie.

- Znam tę historię - odpowiedział wymijająco Palin.

- Ja też! - Pisnął Tasslehoff. - Byłem obecny przy większości wydarzeń. Byłem z Caramonem i Raistlinem, kiedy Raistlin nie był Raistlinem, tylko Fistantilusem i wszedł do portalu i chciał walczyć z Królową Ciemności, tyle że mu się nie powiodło. Chciałbyś posłuchać tej historii?

- Nie - uciął Steel. - Chcę posłuchać o tych wrotach, bo obaj je przestąpimy - dodał niedwuznacznie, śledząc bacznie Palina.

Laska Magiusa rzucała jasne światło na młodego maga. Palin miał mocno zaczerwienioną twarz, a oczy lśniące i pełne uniesienia.

Zauważywszy spojrzenie Steela, Palin odsunął laskę i zagłębił się w cieniu.

On coś knuje, powiedział do siebie Steel i podwoił czujność.

- Czy wrócimy do Otchłani? - Spytał Tas bez entuzjazmu, jaki w podobnej sytuacji wykazałaby większość kenderów. Mam nadzieję, że wiecie, iż w Otchłani nie jest zbyt przyjemnie. Szczerze mówiąc, jest strasznie. Wcale nie jestem pewien, czy chcę pójść z wami.

- To świetnie - stwierdził Steel. - Bo nie idziesz z nami. Opowiadaj dalej, Majere.

- Tylko nie przestawaj mówić - rzekła Usha. - Kiedy ktoś mówi, nie jest tak strasznie.

Palin jednak milczał. Wspinali się dalej, aż doszli do rozległego podestu.

Jednomyślnie zatrzymali się na nim, zdyszani i dręczeni bólami mięśni. Widoczny w świetle pochodni zarys drzwi do pracowni wciąż znajdował się wysoko nad nimi. Siedli na podeście i wyciągnęli nogi przed siebie, zadowoleni z okazji do odpoczynku.

- Portal? - Steel szturchnął maga łokciem.

- Nie ma za bardzo o czym mówić - odparł Palin, beztrąsco wzruszając ramionami. - Dawno temu istniało pięć portali umieszczonych w pięciu Wieżach Wielkiej Magii. Stworzone dzięki czarom wrota miały umożliwić magom podróżowanie między Wieżami bez potrzeby zużywania energii na zaklęcia teleportacji.

Przekonani, że otwierają drzwi jedynie do siebie nawzajem, magowie nie zdawali sobie sprawy z faktu, że przypadkowo stworzyli przejście z tego świata na inną płaszczyznę istnienia. Królowa Takhisis jednak wiedziała o tym. Uwięziona w Otchłani bogini i jej złe smoki od dawna szukały wrót do Krynnu, lecz na drodze stał Paladine i jego dobre smoki. Paladine nie miał jednak wielkiego wpływu na czarodziejów, którzy chadzali własnymi ścieżkami.

Takhisis znalazła czarodzieja Czarnych Szat, który mógłby ulec pokusie. Przybrawszy postać przepięknej kobiety, Takhisis pojawiała się czarodziejowi każdej nocy we śnie, szepcząc uwodzicielskie obietnice. Piękna kobieta stała się obsesją maga, który poprzysiągł, że ją znajdzie i uczyni swoją.

- Uwięziono mnie na innej płaszczyźnie, w innych czasach - powiedziała Takhisis czarodziejowi. - Tylko ty ze swą mocą możesz mnie uwolnić. Żeby to uczynić, musisz przestąpić próg portalu. Miej przed oczami mój wizerunek, a ja cię poprowadzę.

W tym momencie Palin przerwał raptownie. Jego twarz w świetle laski straszliwie zbladła.

Poprowadzę cię. Słowa zawisły w powietrzu.

- Co się stało z czarodziejem? - Zaczekała się Usha.

- Ja wiem! Ja wiem! - Tas podniósł rękę.

Schrypnięty Palin odchrząknął i dokończył: - Lubieżny czarodziej, którego żądze rozpałała wizja Takhisis, przestąpił próg portalu. Nikt nie wie, co się z nim tam stało, nigdy bowiem nie wrócił. Kiedy tylko wrota się otworzyły, królowa Takhisis i jej legiony smoków wyleciały hurmem na Krynn i jak głosi legenda, to było przyczyną pierwszej smoczej wojny.

Dzielny rycerz solamnijski Huma przepędził Królową Mroku z powrotem do Otchłani. Głęboko zawstydzeni czarodzieje próbowali na zawsze zatrzęsnać portale.

Na nieszczęście magowie, którzy je stworzyli, zginęli na smoczej wojnie, a wraz z nimi ich wiedza i moc. Ocaleni czarodzieje nie umieli zamknąć wrót. Mogli tylko uniemożliwić przekroczenie ich progu - a przynajmniej tak im się zdawało. Tak więc postawili warunek, że przez portal mogą jedynie przejść dwie osoby - czarny mag w towarzystwie kapłana Białych Szat. Sądzieli, że tak przekłete przymierze jest niemożliwe, a więc portale będą bezpieczne.

Po latach, u szczytu potęgi Istar, kiedy kościół prześladował czarodziejów, trzy z Wież Wielkiej Magii albo przepadły, albo legły w gruzach. Portale zostały zniszczone wraz z nimi. Czarodzieje mieszkający w Wieży w Palanthas zgodzili się opuścić ją w zamian za obietnicę króla-kapłana, że będą mogli nadal zajmować się magią w Wayreth. Zanim jednakże odeszli, przenieśli portal na przechowanie do fortecy Czaszki, łudząc się nadzieją, że nikt go tam nie znajdzie.

- A ja go znalazłem! - Krzyknął Tas. - Tak jakby. Byłem w przeszłości z Caramonem i Raistlinem, chociaż nie powinienem tam się znaleźć. Crysania, która jest kapłanką Białych Szat, przeszła z Raistlinem przez portal i właśnie tak Raistlin znalazł się w Otchłani. Crysania poszła za nim i Królowa Ciemności omal jej nie zabiła, ale Crysania przeżyła, tyle że oślepla, a Caramon poszedł i wyniósł ją, i Raistlin uświadomił sobie, że popełnił straszliwy błąd i że Królowa Ciemności zamierza wydostać się na świat, więc on - to znaczy Raistlin - poświęcił swe życie, żeby zostać w Otchłani i zamknąć portal. Caramon wierzy, że jego brat w zamian za to poświęcenie otrzymał łaskę wiecznego odpoczywania we śnie, co by znaczyło, że Raistlin wcale nie jest w Otchłani... Och! - Tas podskoczył z podniecenia. - Czy to dlatego przejdziemy przez portal, Palinie? Żeby poszukać Raistlina? W takim razie idę z tobą - zaproponował wielkodusznie kender. - Raistlin był moim serdecznym przyjacielem. Dopóki nie zabił gнома Gnimsha. - Tas spowaźniał. - Nigdy mu tego naprawdę nie wybaczyłem.

- Chcesz tam wejść, żeby poszukać Raistlina Majere? - Spytała Usha. Mówiąc to, nie spoglądała na Palina, lecz nerwowo mięła w palcach rąbek tuniki.

- Najpierw musimy wejść do pracowni - zauważył Palin. - Dalecy jesteśmy jeszcze od wchodzenia do Otchłani w poszukiwaniu kogokolwiek!

- Żadne z nas nie jest też magiem Czarnych Szat ani kapłanem Białych Szat - stwierdził Steel. - Zgodnie z twoją opowieścią, Majere, oznacza to, że nie mamy najmniejszej szansy na wejście i nigdy jej nie mieliśmy. - Szybko wstał, ściskając miecz w garści. - Wiedziałeś o tym od samego początku. Jaki podstęp knułeś? Czy

może zapomniałeś nam o czymś powiedzieć?

- Żaden podstęp - powiedział cicho Palin. - Powiedziałem ci prawdę - taką, jaką znam. - Spojrzał na Steela. - Nie mam pojęcia, jak dostanę się do środka...

- Ależ wiesz. Inaczej nie zaszedłbyś tak daleko. Co to jest? Co wiesz, Majere?

Palin chwycił laskę Magiusa i wstał. - Wiem, że dałem ci słowo honoru i go nie złamię.

- Słowo czarodzieja jest śliskie jak węgorz - rzekł pogardliwie Steel.

- Ale nie słowo Majere - odparł z godnością Palin. - Idziemy?

*

Znów się wspinali po krętych, nie kończących się schodach. Wiedzieli, że ktoś ich obserwuje, choć nawet nie domyślali się, kto.

Każdy krok przypominał Palinowi o próbie, która odbyła się w tej Wieży. Dalamar utrzymywał, że wszystko było złudzeniem. Czy rzeczywiście? Wszystko wydawało się takie prawdziwe. Z drugiej strony egzamin zawsze wydaje się rzeczywisty magom, którzy do niego podchodzą i narażają życie dla zdobycia magicznej mocy.

Może próba była rzeczywistością, a reszta życia Palina złudzeniem.

Zamykając oczy, Palin oparł się o wilgotną ścianę Wieży i po raz pierwszy poddał się magii. Czuł, jak płonie ona w jego żyłach i pieści skórę. Szepczące głosy nie mówiły już o zagładzie, lecz witały i zapraszały. Ciało młodzieńca zadrżało w ekstazie magii...

Palin z bólem serca przypominał sobie tę chwilę próby. Nie doznawał takiej ekstazy już od bardzo dawna. Do tej pory nie przyznał się do tego nikomu, nawet sobie. Magia stała się ciężką pracą. Samotne zgłębianie zaklęć w środku nocy, trwające bez końca powtarzanie słów, żeby nauczyć się odpowiedniego akcentu i właściwej wymowy. Kiedy próbował usnąć, magiczne słowa hasały mu w głowie, a składniki zaklęć zatruwały jego sny. Nadal odczuwał ten dreszcz przy rzucaniu zaklęć, to zadowolenie, kiedy czary działały tak, jak powinny. Nic jednak nie równoważyło poczucia bezsilności, tej bezradnej pustki i przerażenia, kiedy zaklęcie nie działało.

A coraz częściej magia go zawodziła. Słowa mieszały mu się i plątały w głowie. Nie mógł sobie przypomnieć, czy pierwsze słowo wypowiedział z akcentem na ostatnią sylabę, czy ostatnie słowo z akcentem na pierwszą. Nie mógł znaleźć do zaklęć właściwego składnika, który jeszcze przed chwilą był w sakiewce...

Kiedy zaczął go dręczyć ten lęk? Nie podczas pierwszej przygody, gdy podróżował z braćmi, spotkał Dougana Redhammera i wyruszył w pościg za Szarym

Klejnotem Gargatha. Wówczas magia upajała go, a niebezpieczeństwo dodawało animuszu.

Z chęcią wrócił do nauki, choć nie miał mistrza. Żaden mag na Krynnie nie chciał, by jego uczniem został bratanek Raistlina Majere. Palin rozumiał ich. Wówczas był przekonany, że nie potrzebuje nauczyciela. Będzie pracował samodzielnie, jak niegdyś stryj.

Początkowo Palin przykładał się do nauki, choć osiągał znikome rezultaty. Mijały miesiące. Palin czynił niewielkie postępy albo w ogóle żadnych. Czasami wydawało się, że cofa się w rozwoju. Udał się więc do Wieży Wayreth, do Konklawe, by tam szukać rady.

- Cierpliwość - oznajmił Dalamar. - Cierpliwość i dyscyplina. Ci, którzy przywdziewają białe szaty, dochodzą ostatecznie do większej potęgi niż noszący szaty czerwone lub czarne, lecz muszą za to zapłacić. Trzeba najpierw nauczyć się chodzić, zanim zaczniesz się biegać.

Mój stryj nie chodził! Palin czuł dotkliwą frustrację. Irytowało go bezmyślne klepanie lekcji, niekończące się pisanie zwojów i marnowanie czasu na grzebanie w ziemi w ogródku z ziołami. Wszystko to przesyciła jak ścieki zatruwające mu życie i pracę narastająca obawa, że nie jest wystarczająco dobry, że zawsze będzie tylko niskim w hierarchii czarodziejem, godnym pokazywać sztuczki magiczne na imieninowych przyjęciach dla dzieci.

Jednym z powodów, dla których porzucił studia i pojechał z rycerzami, była chęć udowodnienia sobie własnej wartości. Poniósł żalostną porażkę... A zapłacili za to jego bracia.

Palin wchodził na schody stopień po stopniu, z trudem zmuszając obolałe nogi do zrobienia kolejnego kroku. Myślami tak był pogrążony w przeszłości, że chwila obecna nie docierała do niego. Nie poznawał otoczenia i nie zdawał sobie sprawy, że dotarli do celu, dopóki kender nie szarpnął go za białą szatę.

Oszołomiony Palin popatrzył na Tasa, początkowo go nie poznając. Potem zamrugnął i oprzytomniał.

- Tak? Co się stało?

- Chyba już jesteśmy na miejscu - odparł Tas głośnym szeptem, wyciągając rękę.

- Czy to tutaj?

Palin uniósł laskę. Blask bijący z kryształu rozproszył ciemność. Stali na obszernym podeście, dokładnie poniżej drewnianych wrót z żelaznymi zawiasami.

Kilka stopni wiodło do drzwi.

- Znam to miejsce. - Palin odpowiedział najlepiej jak mógł.

W ustach i w gardle tak mu zaschło, że mówienie przychodziło mu z trudem. - Tutaj odbyła się moja próba. Tak... Przerwał i oblizwał wargi wyschniętym językiem - to jest pracownia.

Wszyscy milczeli, nawet Tas. Podeszli bliżej, skupiając się w kręgu światła laski. Mrok poza nim bełkotał i szeptał. Obok przelatowały ledwo dostrzegalne cienie, chwytając ich mglistymi rękoma. Gdyby zgasła poświata laski, pograżyliby się w oślepiającej ciemności.

- Idź, Majere! - Głos Steela Brightblade był chrapliwy i załamywał się. - Ruszaj. Otwórz drzwi.

Palinowi przed oczami stanęła przeszłość.

Z ciemności spoglądała nań pozbawiona ciała dziwna istota. Jej ciałem, mięśniami i szkieletem była ciemność i mrok... O istnieniu tego widma świadczyły tylko ślepe oczy.

- Usuń się i pozwól nam przejść.

- To być nie może, mistrzu i panie Wieży. Twoje polecenie brzmiało następująco: „Weź ten klucz i zatrzymaj na wieczność. Nie dawaj go nikomu, nawet mnie samemu. Od tej pory twoim zadaniem będzie strzec tych drzwi. Nikomu nie pozwolisz wejść. Ci, którzy zechcą spróbować, zginą z twojej ręki...”

- Musimy ominąć strażnika - rzekł Palin.

- Jakiego strażnika? - Spytał zniecierpliwiony Steel. - Tu nie ma nikogo!

Palin wytrzeszczył oczy. Panowała nieprzenikniona ciemność. Jedyne blask rzuciła laska Magiusa. Przed tą poświatą mrok ustępował.

Nigdzie nie było widać widma. Palin nagle uświadomił sobie, że głosy szepczące w ciemności przestały miotać groźbami. Wydawały triumfalne okrzyki. Czyżby przeczuwały powrót prawdziwego mistrza i pana Wieży?

- Tak nie powinno być! - Szepnął Palin.

Nie, bratanku. Właśnie tak powinno być!

Łzy zaszczypały Palina. Młodzieniec zadrzał; laska zamigotała słabo w jego drżącej dłoni. Co ja tu robię? On mnie wykorzystuje...

- Oczywiście, że strażnik odszedł! - Powiedział Tasslehoff Burrfoot z zadowoleniem. - Usłyszał o mojej łyżce. Chodź, Palinie! Ja poprowadzę!

Wsunąwszy łyżkę do kieszonki, kender wbiegł na schody.

- Tas! Zatrzymaj się! Nie wchodź tam!

Niestety takich słów nie ma w słowniku kenderów.

Palin patrzył ze strachem, niemalże już przekonany, że strażnik pojawi się i kender padnie trupem na schodach. Nic się nie stało.

Tasslehoff bezpiecznie dotarł do drzwi laboratorium. Potrząsnął klamką, popatrzył na zamek i pchnął drzwi. Wrota otworzyły się bezgłośnie.

Ze środka buchnęło zimne powietrze przesycone wonią stęchlizny, pleśni i innych, odrażających rzeczy. Usha zakrzuszyła się i zasłoniła usta i nos szalem. Steel skrzywił się i wy dobył miecz.

- Cuchnie śmiercią - rzekł.

Tasslehoff stał na progu i zaglądał do środka.

Usłyszeli jego radosny okrzyk podziwu, a potem kender przeskoczył przez próg i znikł w ciemności.

Palin wyobraził sobie słoiki ze składnikami zaklęć, magiczne artefakty, księgi zaklęć, zwoje - wszystko w zasięgu zwinnych palców kendera. Oto niebezpieczeństwo dużo większe niż każdy widmowy strażnik, jakiego kiedykolwiek powołano do przeklętego istnienia.

- Tas! - Palin odepchnął Steela. Zakasał poły szaty i popędził po schodach. - Tas! Wyłaż stamtąd! Niczego nie dotykaj!

Stanął w drzwiach, zdjęty nagłym strachem i obawą przed wejściem. Nie tak powinno być, zupełnie nie tak. Palin oświetlił wnętrze laską.

Tasslehoff dotarł do środka pomieszczenia i stał przy olbrzymim stole, wytrzeszczając z podziwu oczy na stojące na nim przedmioty.

- Tas! - Zganił go z ulgą poirytowany Palin. Wychodź stamtąd!

Słyszał za plecami wchodzącego po schodach Steela. Światło laski zgasło. Utonęli w ciemności, która zamknęła im się nad głowami jak mętna woda.

Steel zaklął. Usha krzyknęła bojaźliwie.

- Niech nikt się nie rusza! - Ostrzegł Palin, mając przed oczami przerażającą wizję ześlizgnięcia się ze spiralnych schodów i upadku z ogromnej wysokości na kamienną posadzkę. - *Shirak!*

Rozkaz nie podziałał. A może to laska nie usłuchała. Mrok pogłębił się i nasilił.

- Co się dzieje, Majere? - Spytał Steel. - Zapal tę przeklętą laskę!

- Próbuję! - Odparł sfrustrowany i zły na siebie Palin. Znów magia go zawiodła.

Zbroja zazgrzytała o kamienie. Obute stopy stuknęły ciężko na schodach. Steel

usiłował go znaleźć.

- Palinie! - Krzyknęła załęczniona Usha. - Idę do ciebie! Nie ruszaj się.

- Usho, uważaj! - Palin wykonał pół obrotu, chcąc wrócić i jej pomóc.

- Palinie! - Głos Tasa zabrzmiał piskliwym echem. - Znalazłem coś! Może to pomoże!

- Tas! Nie! - Krzyknął Palin, odwracając się.

Rozległ się trzask, złowieszczy brzęk tłuczonego szkła.

Wyciągając ręce przed siebie i stukając laską jak ślepy żebrak na rynku, Palin wszedł pomału do pracowni, w której panowała nieprzenikniona ciemność. Steel był tuż za nim. Rycerz zawahał się na progu, a potem zatrzymał. Nie wszedł.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Rozdział XXIII

DALAMAR POWRACA. WIADOMOŚĆ.

MAGIA USHY

Majere! - Steel Brightblade rzucił się na zamknięte drzwi, próbując je wyłamać.
- Do diabła, Majere! Otwórz drzwi!

- Palinie! - Usha stała obok rycerza i biła we wrota pięściami.

Steel słyszał po drugiej stronie słabe krzyki i stukanie. Może Palin usiłował otworzyć drzwi... A może chciał je zamknąć na głucho.

Steel zakładał, że prawdą jest to drugie. - Wróć na podest - rozkazał kobiecie.

- Co chcesz uczynić?

- Spróbuję wyważyć drzwi. Przed chwilą wydawało mi się, że ustępują. Idź już. Przeszkadzasz mi.

- Ale... Tu jest tak ciemno! - Zaprotestowała drżącym głosem Usha. - Nic nie widzę! A co, jeśli... Jeśli spadnę?

Steel nie dbał o to, czy dziewczyna spadnie, jednak zdobył się na cierpliwość. - Idź na dół po omacku. Trzymaj się blisko ściany. Poznasz, kiedy dotrzesz do podestu. Gdy dojdiesz już na miejsce, nie ruszaj się.

Usłyszał, jak dziewczyna ostrożnie i powoli schodzi, a potem zapomniał o niej i skupił całą uwagę na drzwiach. Żeby dotrzeć do nich, będzie musiał wbiec po stopniach, co jednak nie zapewniało mu odpowiedniego impetu...

Dziewczyna krzyknęła. - Rycerzu! Za tobą!

Steel odwrócił się, wznosząc miecz.

W ciemności rozbłysło dwoje bladych oczu.

- Odejdź, panie rycerzu. Tędy iść nie wolno.

- Maga wpuściłeś! Kendera też - odparł Steel.

- Nie ja ich wpuściłem.

- Kto więc?

- Mistrz Wieży.

- Lord Dalamar wrócił? Powiedz mu zatem, żeby mnie wpuścił do środka! - Zażądał Steel.

Oczy przysunęły się bliżej. Śmiercionośny chłód podziemnej krainy przeniknął rycerza do szpiku kości. Steel zacisnął zęby, żeby nimi nie szczekać i mocniej ścisnął miecz w garści.

- Nie miałem na myśli Dalamara - rzekło widmo. - Odejdź stąd natychmiast, panie rycerzu, albo nie odejdiesz stąd już nigdy.

- Na pomoc! - Krzyknęła Usha. - Niech nam ktoś pomoże!

Jej głos rozbrzmiewał w ciemności niesamowitym echem, krążył wokół wewnętrznych murów wieży, aż spadł jak kamień wrzucony do studni. Odgłos był tak dziwny i przerażający, że dziewczyna nie krzyknęła już więcej.

Pomoc może przyjdzie, a może nie. Jeniec Steela znajdował się po drugiej stronie drzwi. Obowiązkiem rycerza było też tam się znaleźć. Raz już zawiódł. Zamiast wejść, zawahał się na progu. To królestwo czarodziejów niepokoiło go i wytrącało z równowagi. Powietrze było przesycone lepka i obmierzłą atmosferą magii, a w ciemności roilo się od niespokojnych duchów zmarłych. Steel tęsknił za nieprzyjacielem. Chciał go zobaczyć i poczuć. Tęsknił za haustem świeżego powietrza i czystym brzękiem miecza o miecz. Pragnął wyrwać się z tej twierdzy magów, lecz nie mógł zaniedbać swych obowiązków, choćby miał to przypłacić życiem.

Ciął widmo mieczem. Klinga zaświszczała w powietrzu i z brzękiem trafiła w ścianę, rozsiewając iskry.

Białe, świecące oczy zrobiły się ogromne, napęczniały, jakby wyszły z orbit. Upiór wyciągnął przed siebie ręce, których okrutny dotyk oznaczał śmierć.

Steel znów zamachnął się mieczem. - Takhisis - wykrzyknął - bądź przy mnie!

- Modlisz się na próżno, panie rycerzu - odezwał się głos. - Tu nie sięga władza twojej królowej.

Ciemność rozproszyła kula ciepłego, żółtego światła w rękach czarodziejki w czerwonej szacie. Obok niej na półpiętrze stał czarnoksiężnik - elf ubrany na czarno. Zdumiony Steel uświadomił sobie, że mężczyzna ten musi być elfem ciemności, elfem, który odwrócił się od światła i sprzeniewierzył zasadom swego ludu. To zapewne Dalamar Mroczny, mistrz Wieży Wielkiej Magii.

A może jedynie jej sublokator?

Dalamar uniósł wzrok i popatrzył na rycerza przyczajonego na schodach. - Słyszałem, że do Wieży wtargnęli intruzi, że rycerz i mag Białych Szat przebyli

bezpiecznie zagajnik Shoikan. Z początku nie mogłem w to uwierzyć. Teraz już rozumiem. Rycerz Takhisis. Gdzie jest zatem Biała Szata, który ci towarzyszył? Gdzie Palin Majere?

- Tam! - Odparła Usha, wskazując pracownię. Wszedł do... Do tego pokoju. Kender poszedł razem z nim. A potem drzwi się zatrzasnęły i nie mogliśmy...

Umilkła. Twarz Dalamara stała się purpurowa. Rozwścieczony czarodziej zwrócił się do strażnika, który nadal znajdował się w pobliżu zaskoczonego rycerza.

- Zaniebdałeś swe obowiązki! Rozkazałem ci nikogo nie wpuszczać!

- Twoje rozkazy zostały odwołane, lordzie Dalamarze - odparł głuchy głos - przez prawdziwego mistrza Wieży.

Dalamar nie odpowiedział. Od jego zastygłej twarzy bił większy chłód, niż gdyby dotknęły go lodowate ręce żywego trupa.

Steel poczuł moc czarnego elfa i żar jego wściekłości. Rycerz nie byłby zaskoczony, gdyby stopniały od niego mury Wieży. Usha skuliła się i przywarła do kamiennej ściany. Nawet towarzysząca elfowi czarodziejka mimowolnie zrobiła krok do tyłu. Steel nie cofnął się tylko dlatego, że honor nie zezwalał mu na to.

Potem Dalamar odprężył się. Płomień zgasł w jego gorejących oczach, które nabrały roztargnionego wyrazu. Elf zamknął się w sobie i prowadził wewnętrzny monolog.

- Może to i lepiej. Może on coś wie...

Wargi Dalamara wykrzywił ironiczny uśmiešek. - Wygląda na to, Jenno, że nie mamy już w tej kwestii nic do powiedzenia. Przynajmniej na razie.

- Tak wygląda - przyznała czarodziejka, patrząc na zatrzaśnięte drzwi, stojącego pod nimi rycerza i kobietę skuloną pod ścianą. - Co zrobisz z tymi dwójkiem?

Dalamar znów spojrział na rycerza, jakby zobaczył go po raz pierwszy. - Czy ty przypadkiem nie jesteś Steel Brightblade?

Steel ukrył zdumienie, przypomniał sobie, że ma do czynienia z potężnym czarnoksiężnikiem. - Jam jest - oznajmił dumnie.

- Syn Kitiary! - Wykrzyknął Dalamar. - Powinienem być zauważyć podobieństwo. Znałem twą matkę - dodał ze skwaszoną miną.

- Zamordowałaś moją matkę - odparł złowieszczo Steel.

- A ty oczywiście uważasz to za dług honorowy, który można spłacić tylko moją krwią. - Dalamar wzruszył ramionami. - Jak chcesz. Rzuć mi wyzwanie. Ja je przyjmę. Ty mnie atakujesz, ja cię zabijam. Strata dobrego żołnierza. Takhisis nie byłaby

zadowolona z nas obu. Zabiłem twą matkę w walce, Steelu Brightblade. To była samoobrona. Ona pierwsza zadała cios. Mogę ci pokazać tę bliznę. Niestety, nie mogę pokazać ci innych szram, jakie mi po niej zostały.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane cicho. Steel nie był pewien, czy je usłyszał, lecz i tak postanowił je zlekceważyć. Jak wszyscy rycerze Takhisis w chwili zwątpienia, odwołał się do swego Objawienia. Czy było Jej życzeniem, aby stoczył bój z elfem ciemności i co wielce prawdopodobne, poległ w tej walce? Czy było Jej życzeniem, aby daremnie tkwił pod drzwiami do laboratorium? A może szykowała mu inny los?

Zajrzał do swego Objawienia. W myślach zobaczył obraz swojej matki. W ręku niosła obnażony miecz, jakby zamierzała sama go użyć. Za nią dostrzegł jeszcze inną postać - pięciogłowego smoka. Jego matka stała w jego cieniu. Nadal gubił się w tym wszystkim...

- Panie rycerzu! - Wołał Dalamar. Najwyraźniej już od jakiegoś czasu próbował zwrócić na siebie uwagę Steela.

- Co rzekłeś, panie? - Spytał Steel, marszcząc brwi i wciąż usiłując odgadnąć wolę Królowej Mroku.

- Powiedziałem, że ktoś próbuje się z tobą skontaktować - powtórzył cierpliwie Dalamar. - Zdaje się, że twój dowódca.

- Jak to możliwe, panie? - Spytał podejrzliwie Steel. - Nikt nie wie, że tu jestem. Co powiedział?

- Nie mam pojęcia - rzucił z lekką irytacją Dalamar. - Nie jestem chłopcem na posyłki. A co do tego, skąd wiedział o twoim pobycie w Wieży, przypuszczam, że ktoś mu powiedział. Możliwe, że ta sama osoba, która przeprowadziła cię bezpiecznie przez zagajnik Shoikan. Jeśli zechcesz opuścić swój posterunek, Brightblade, zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz mógł porozmawiać ze swym dowódcą. Zapewniam cię - dodał Dalamar - że stoisz tu nadaremnie. Nawet ja nie mógłbym wejść do pracowni. Stryj posłał po swego bratanka. Musimy zostawić sprawę w ich rękach.

- Palin Majere był moim jeńcem - powiedział Steel, wciąż się wahając. - Odpowiadam za niego głową.

- Ach - stwierdził Dalamar, wszystko natychmiast pojmując. - Zatem rzeczywiście czeka cię trudna decyzja.

Podjęcie jej zabrało mu tylko chwilę. Dowódca wiedział, że Steel jest tutaj. Wołał Takhisis jest zatem, aby jej rycerz zwrócił kroki w innym kierunku. Musi być także jej

wolą, aby został przy życiu. Steel schował miecz do pochwy i zszedł po schodach.

Para bladych oczu natychmiast zajęła uprzednią pozycję, znów strzegąc drzwi.

- Zaprowadzę cię do Sadržawki Widzenia - oznajmił Dalamar, kiedy rycerz zatrzymał się obok niego na podeście. - Tam będziesz mógł skontaktować się ze swym dowódcą. Dotrzemy do niej korytarzami magii, to znacznie szybsza i mniej męcząca droga niż schody. - Elf ciemności położył dłoń na ramieniu Steela. - Możesz poczuć zawroty głowy...

- A co ze mną? - Stojąca jak kamienny posąg Usha nagle ożyła. - Co zrobicie ze mną? Co się stało z Palinem? Chcę pójść z nim!

- Jenno, zajmij się nią - polecił Dalamar.

Czarodziejka skinęła głową i uśmiechnęła się. Dalamar wypowiedział słowa zaklęcia. Ciemność rozwarła się przed Steelem. Pamiętał, że chciał uciec, lecz czarodziej pchnął go naprzód.

Wtedy dotknął stopami twardej ziemi. Stał na brzegu sadzawki i widział swoje odbicie w tafli nieruchomej, ciemnej wody.

*

Usha poszła z innymi przede wszystkim dlatego, że nie chciała zostać sama w pokoju. Poza tym, co sama teraz przyznała, również dlatego, że młody mag wydawał jej się niesłychanie pociągający. Był pierwszym napotkanym mężczyzną, który nie był głupi i nieokrzesany jak zbiry, które ją napadły, przebiegły i budzący lęk jak czarnoksiężnik, ani też zimny i okrutny jak czarny rycerz.

Palin był inny. Pod wieloma względami przypominał jej Opiekuna. W tym łagodnym i wrażliwym młodzieńcu wyczuwała obawę podobną do tej, jaka dręczyła ją samą. Wisiał nad nim cień jakiegoś wielkiego smutku, jakiejś tajemnej zgrzyoty. Mimo to był mężczyzną silnym, obdarzonym zarówno wolą, jak i odwagą.

Usha przywołała w myślach jego twarz i poczuła, jak jej serce ściska i szarpie jakieś niepokojące, bolesne i niesłychanie rozkoszne uczucie.

- Chcę iść z Palinem - oznajmiła Usha.

- Proszę bardzo. - Jenna machnęła ręką w stronę drzwi do pracowni i oczu. Wiedziała już, że są to pozbawieni cielesnej powłoki strażnicy.

Usha zmieniła zdanie.

- Chcę stąd wyjść - oświadczyła. - Wszyscy gdzieś poszli. Nie możesz mnie tu trzymać wbrew mojej woli.

- Nie, nie mogę - odparła chłodno Jenna. - Czarodziejka tak potężna jak ty

może iść, gdzie tylko chce.

Usha niczego jeszcze w życiu nie pragnęła tak mocno, jak znaleźć się z dala od tej przeklętej Wieży. Nie chciała mieć więcej do czynienia ani z nią, ani z przebywającymi w niej ludźmi... Może z wyjątkiem Palina Majere.

Zerknęła w górę na drzwi, za którymi zniknął mag. Stamtąd spojrzały na nią bacznie oczy upiora.

- W takim razie pójdę sobie - oznajmiła Usha i otworzyła sakwę.

Z zakłopotaniem przyjrzała się rozlicznym przedmiotom w środku. Wiedziała, że były zaczarowane, ale nic poza tym. Gorzko teraz żałowała, że nie przykładła większej uwagi do objaśnień. Było tam kilka pierścieni; amulet wykonany z mlecznego kwarcu, drugi z granatu i jeszcze inny z obsydianu; dwa zwoje przewiązane fioletowymi wstążeczkami; mały woreczek wypełniony jakimiś słodko pachnącymi ziołami; krótki kawałek bezużytecznej, jej zdaniem liny; kilka malutkich figurek zwierząt i niewielka szklana fiolka.

Dziewczyna zamknęła oczy i skupiła się, starając przywołać w myślach swój lud i jego słowa.

Przed oczami stanęły jej pełne ciepła i otuchy, na zawsze już utracone obrazy.

Łzy zaszczypały ją w oczy. Była taka oziębła, taka samolubna. Za wszelką cenę pragnęła cofnąć tę chwilę i zastąpić ją inną, w której powiedziała im, jak bardzo jest im wdzięczna, jak bardzo ich kocha, jak bardzo - jak bardzo - będzie za nimi tęsknić.

- Gdybyś kiedyś była w niebezpieczeństwie i chciała uciec, użyj tego...

Wyraźnie widziała Opiekuna, słyszała jego radę i czuła, jak wciska jej w dłoń jakiś przedmiot.

Jaki? Który?

- Jeśli nie chcesz zostać sama w ciemności na schodach, sugeruję, abyś poszła ze mną - poradziła Jenna, dodając zgryźliwie - chyba że nas opuszczasz.

- Opuszczam - odparła Usha.

To był albo obsydianowy amulet, albo szklana fiolka, jedno z tych dwóch. Jedno miało coś wspólnego z cieniami, a to chyba wiele jej nie pomoże. W tej obrzydliwej Wieży i tak już nie było wiadomo, co robić z nadmiarem cieni. Drugie wyprowadzi ją z niebezpieczeństwa. Jak? Usha nie umiała sobie tego przypomnieć, lecz wszystko i tak było lepsze od miejsca, w którym znajdowała się teraz.

Obsydian był czarny, tak samo cienie. Logika kazała jej odrzucić amulet i wypróbować fiolkę.

Przez całe życie otaczała ją magia, lecz tylko taka, która służyła dobrem i sensownym celom. Nigdy nie widziała złych ani szkodliwych czarów - dopóki nie znalazła się w tej strasznej Wieży. Nie czuła więc nadmiernego lęku przed posłużeniem się nieznaną magią. Przedmiot ten dostała od Opiekuna, a jemu ufała.

Usha wyjęła fiolkę z sakwy i zerwała woskową pieczęć.

Jenna rzuciła się na dziewczynę, lecz było już za późno.

Z fiołki wypłynęła smużka białawożółtego dymu. Pachniał słodko świeżo skoszoną trawą i usunął smród śmierci i rozkładu, którym było przesycone tutejsze powietrze.

Usha przytknęła fiolkę do nosa. Odetchnęła dymem... - Rozwiała się jak dym.

Rozdział XXIV

KOMNATA WIDZENIA

Gdzie jesteśmy? - Spytał Steel. - W Komnacie Widzenia - rzekł Dalamar. - Stworzył ją mój *shalafi*, Raistlin Majere.

Znajdowali się w okrągłym pomieszczeniu, którego niemal całe wnętrze poza wąską ścieżką zajmowała ciemna sadzawka. Pośrodku wody strzelał błękitny płomień. Ogień nie dawał dymu i nie było wiadomo, co służyło mu za paliwo - chyba, że sama woda. Mimo iż płonął jasno, rzucał niewiele światła. W pomieszczeniu zalegał mrok.

- Do czego służy ta Komnata Widzenia - spytał Steel, rozglądając się z obrzydzeniem - poza tym, że zasmradza powietrze?

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch na brzegu sadzawki. Odruchowo sięgnął po miecz.

- Odpręż się, panie rycerzu - powiedział spokojnie Dalamar. - One nie mogą zrobić ci krzywdy.

Steel, który nie ufał nadmiernie Czarnej Szacie, nie wypuścił oręża z dłoni. Przyjrzał się uważniej temu, co się poruszyło i z sykiem wciągnął powietrze.

- Na moją Królową, a cóż to jest?

- Na pewnym etapie swej niesławnej kariery mój *shalafi* zapragnął stworzyć życie. Oto rezultaty. Nazywamy je Żywymi.

Krwawiące, podobne do larw kłęby Żywych pełzały, wiły się i czołgały po brzegu sadzawki. Wydawały dźwięki, lecz Steel nie potrafił zgadnąć, czy była to mowa, czy jedynie skrzeki bólu i przerażenia. Rycerz widział wiele budzących zgrozę rzeczy, kolegów zarąbanych na śmierć w bitwie i konające smoki, które spadały z nieba. Po raz pierwszy jednak zmuszony był odwrócić oczy i ogromnym wysiłkiem woli uspokoić skurcze żołądka.

- Świątokradztwo - powiedział, pragnąc jedynie, by stwory zaprzestały żalostnego piszczenia.

- Prawda - przyznał mu rację Dalamar. - Mój *shalafi* nie miał wielkiego

szacunku dla bogów - dla żadnego boga. Nie lituj się jednak nad nimi niepotrzebnie. Żywi mieli większe szczęście i wiedzą o tym.

- Większe niż kto? - Spytał ochryple Steel.

- Niż ci, którzy noszą miano Martwych. Chodźmy jednak, panie rycerzu. Twój dowódca pragnie z tobą porozmawiać, a my marnujemy jego cenny czas. Wydawał mi się dość zniecierpliwiony.

- Jak mam z nim rozmawiać? Gdzie on jest? - Steel wbijał wzrok w ciemność, jakby spodziewał się, że podkomendant Trevalin wyjdzie z kamiennej ściany.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest. Nie powiedział mi. Spójrz w sadzawkę.

Żywi zajazgotali z podniecenia. Kilku podpełzło do brzegu i wskazywało na tafłę wody zniekształconymi kończynami. Steel podejrzliwie spojrział na nich, na elfa ciemności i samą sadzawkę.

- Podejdz do brzegu - polecił niecierpliwie Dalamar - i spójrz w wodę. Nie stanie ci się nic złego. No dalej, panie rycerzu. Tracisz czas nie tylko swego dowódcy. Na świecie dzieją się sprawy niezmiernej wagi, jak zapewne za chwilę się o tym przekonasz.

Steel nadal powątpiewał, lecz przyzwyczajony do wykonywania rozkazów, zbliżył się do brzegu sadzawki, uważając, by nie nadepnąć po drodze na któregoś z Żywych. Spojrział w ciemną wodę i najpierw zobaczył jedynie odbicie niebieskiego płomienia. Potem ogień i woda zlały się, zafalowały. Steel doznał okropnego uczucia, że wpada do sadzawki, wyciągnął ręce, żeby powstrzymać upadek i omal nie dotknął podkomendanta Trevalina.

Podkomendant siedział w wypalonych ruinach zamku. Na ścianach widniały smugi sadzy; belki sklepienia zawaliły się i niebo było teraz dachem.

Podkomendant najwyraźniej zarządził zebranie sztabu, bowiem w wielkiej sali zgromadziło się wielu rycerzy służących pod jego rozkazami. Na drugim jej końcu siedział inny rycerz, ten z kolei w zbroi solamnijskiej. Steel mógłby go wziąć za jeńca, gdyby pancerz nie był osmolony i szerniały jak nadpalone mury zamczyska. W szczelinie metalowego hełmu gorzały oczy czerwone jak płomień. Dopiero wtedy poznał Steel tego budzącego grozę rycerza i domyślił się, gdzie przebywa jego dowódca.

Twierdza Dargaard, dom upiornego rycerza, lorda Sotha.

- Podkomendancie Trevalin. - Zameldował się Steel.

Podkomendant odwrócił się. - Ach, Brightblade. Widzę, że nadal jesteś gościem

lorda Dalamara. - Rycerz zsalutował. - Dziękuję ci, czcigodny panie, za przekazanie mojej wiadomości.

Dalamar skłonił się, a jego usta wykrzywił grymas w połowie uśmiechu, w połowie szyderstwa. Mag znajdował się w bardzo niezręcznej sytuacji. Nie cierpiał noszących szare szaty rycerzy Takhisis, jednakże zobowiązany był - przynajmniej na pozór - ze wszystkich sił wspierać sprawę Królowej Mroków.

- Jak wasza misja, Brightblade? - Ciągnął Trevalin. - Szarzy Rycerze niecierpliwie oczekują wiadomości. - Drgnięcie brwi dokładnie wyrażało, co sądzi o Szarych Rycerzach i ich niecierpliwości.

Steel spokojnie i bez zmrużenia oka spojrzał w twarz swemu przełożonemu. - Moja misja zakończyła się niepowodzeniem, panie podkomendancie. Czarodziej Białych Szat, Palin Majere, zbiegł. - Wielce niefortunne wydarzenie - rzekł z powagą Trevalin. - Czy istnieje jakaś szansa, by znów go pojmać?

Steel zerknął z ukosa na Dalamara.

Elf ciemności potrząsnął głową. - Nie tam, dokąd się udał - rzekł cicho.

- Nie, panie podkomendancie - odparł Steel.

- Szkoda - stwierdził Trevalin z nagłą oziębłością. - Majere został skazany na śmierć. Wzięliście za niego odpowiedzialność. Skoro pozwoliliście więźniowi uciec, musicie zająć jego miejsce.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie podkomendancie.

- Będziecie oczywiście mieli prawo przedstawić swoje stanowisko sędziemu. W tym przypadku będzie nim sam lord Ariakan, ponieważ to wasz sponsor. Na szczęście dla was, Brightblade - oznajmił z ulgą Trevalin - lord Ariakan jest w tej chwili bardzo zajęty. Z konieczności wasz proces odwlecze się. Jesteście zdolnym i dzielnym żołnierzem. Szkoda byłoby stracić was w przeddzień bitwy. Wracając jednak do sedna sprawy, macie rozkaz wracać do swego szponu.

- Tak jest, panie podkomendancie. Kiedy?

- Teraz. Natychmiast. Nie ma czasu do stracenia. Już wysłałem po was Flarę.

- Dziękuję, panie podkomendancie. Czy mam dołączyć do szponu w twierdzy Dargaard?

- Nie, Brightblade. Do tego czasu będziemy już gdzie indziej. Spotkacie nas w górach Vingaard. Jutro o świcie ruszamy do ataku na Wieżę Najwyższego Klerysta. Nie powinniście mieć trudności z odnalezieniem nas - dodał Trevalin, a zgromadzeni rycerze wybuchnęli śmiechem, słysząc ten żart. - Sami bogowie spojrzą z wyżyn na tę

kolosalną armię i będą zdumieni. Udzielę wam jednak wskazówek.

*

Dalamar w milczeniu przypatrywał się i przysłuchiwał rozmowie. W tym czasie do komnaty weszła Jenna i gestem oznajmiła magowi, że chce z nim rozmawiać. Dalamar dał jej znak, by poczekała. Gdy dowiedział się wszystkiego, co chciał, podszedł do stojącej przy drzwiach kobiety.

- Co się stało? Tylko mów cicho.

Jenna nachyliła się ku niemu. - Dziewczyna uciekła!

Dalamar uniósł brew. - Uciekła? Jakim cudem?

Jenna wzruszyła ramionami. - Dzięki magii. Jakżeby inaczej? Wyjęła fiolkę i zerwała woskową pieczęć. Znad buteleczki uniosła się smużka dymu. Zanim zdołałam dziewczynę powstrzymać, odetchnęła nim i sama zmieniła się w dym. W żaden sposób nie mogłam odwrócić zaklęcia bez znajomości czaru, jakiego użyli Irdowie.

- Prawdopodobnie i tak nie zdołałabyś powstrzymać jego działania - zauważył Dalamar. - I w ten sposób zbiegła?

- Chmura dymu znikła. Dziewczyna razem z nią.

- Ciekawe. Zastanawia mnie tylko jedno - jeśli posiadała taką zdolność, dlaczego nie uciekła wcześniej?

- Być może, jak już mówiłeś, Irdowie przysłali ją na przespiegi. Czy to rozwiewa twe wątpliwości w kwestii tego, że jest ona przynajmniej częściowo Irdą?

- Nie. Byle krasnolud źlebowy potrafiłby użyć tych zaczarowanych przedmiotów, gdyby tylko ktoś mu pokazał, jak to zrobić. Nie rozwiązuje to żadnych wątpliwości dotyczących dziewczyny. Cóż, nie ma jej i tyle. Mamy poważniejsze zmartwienia. Rycerze Takhisis planują ruszyć o brzasku do natarcia na Wieżę Najwyższego Klerysta.

Jenna wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. - Gileanie, miej nas w swej opiece!

- Oni zwyciężą - stwierdził Dalamar z posępną miną i obejrzał się na Steela.

Jenna wbiła wzrok w Dalamara. - Czy to możliwe, że takie wieści są ci niemiłe? Nie jesteś po stronie swej królowej?

- Gdyby Takhisis była po mojej stronie, ja byłbym po jej - odparł z goryczą Dalamar. - Jest jednak inaczej. Moja królowa uznała za stosowne powierzyć wykonywanie swego dzieła własnym czarodziejom. Jeśli jej rycerze zdobędą Wieżę Najwyższego Klerysta, Palanthas z całą pewnością się podda. Będziemy zdani na łaskę i niełaskę Szarych Szat.

Jenna była wstrząśnięta. - Chyba nie sądzisz, że ośmielą się odebrać ci Wieżę Wielkiej Magii?

- I to natychmiast, moja droga! Konklawe oczywiście wyda im wojnę, ale widzieliśmy już tego skutki, kiedy najechaliśmy Twierdzę Burz.

Jenna pobladła i w milczeniu pokiwała głową. Jej ojciec, Justarius, poniósł śmierć w tej zakończonej klęską bitwie.

- Stawianie oporu matce musi Nunitariemu przychodzić z trudem - dokończył zgryźliwie Dalamar, mając na myśli boga czarnej magii, syna Takhisis. - Zauważyłem, że ostatnio jego moc maleje.

- Nie tylko jego - stwierdziła Jenna. - Lunitari też jest dziwnie bezsilna, a według pewnego maga Białych Szat, z którym rozmawiałam wczoraj w Wayreth, Solinari również oddalił się od swych wyznawców.

Dalamar pokiwał głową. - Sądzę, że wybiorę się na małą wycieczkę, moja droga.

- Do Wieży Najwyższego Klerysta. - Jenna zrozumiała. - Co mam zrobić z rycerzem?

- Przyleci po niego błękitna smoczyca. Zaprowadź go na Ścieżkę Śmierci. Otworzę magiczną kopułę, która ochrania Wieżę, na tak długo, by smoczyca mogła wylądować i zabrać swego pana.

- Wypuścimy go? Moglibyśmy go wziąć do niewoli.

Dalamar rozważył tę sprawę. - Nie. Niech wraca do swej armii. Jeden rycerz więcej czy mniej nie będzie miał żadnego wpływu na przebieg bitwy.

- Moglibyśmy użyć go jako zakładnika...

- Rycerze Takhisis nie kiwną palcem, żeby go uratować. Prawdę mówiąc, jeśli wróci, czeka go wyrok śmierci. Widzisz, on zgubił jeńca.

- W takim razie nie wróci. Po co miałby to robić?

- *Est Sularus oth Mithas*. Mój honor jest moim życiem. Pierwsi powiedzieli to rycerze solamnijscy, ale rycerze Takhisis wyznają te same głupie zasady. Spróbuj nakłonić go do ich złamania. Jestem przekonany, że jego reakcja cię rozbawi. Poza tym - dodał zamyślony Dalamar - nie jestem pewien, ale zwracając tego właśnie rycerza Jej Mrocznemu Majestatowi, chyba wyświadczymy jej niedźwiedzią przysługę. Ona nie ma nad nim całkowitej władzy.

Jenna potrząsnęła głową. - Mówisz zagadkami, kochanie. Mnie się ten rycerz wydaje dość mocno związany z Takhisis, Co powinnam zrobić, kiedy już się go pozbędę?

Dalamar zajął w głąb czarnej sadzawki. Światło niebieskiego płomienia zabłysło w jego oczach. - Na twoim miejscu, moja droga Jenno, zacząłbym się pakować.

*

Steel zakończył rozmowę z przełożonym. Zaklęcie dobiegło końca, czar się rozwił. Rycerz znów stał na brzegu ciemnej wody. Kilku Żywych zebrało się wokół niego, z ciekawością stukając i trącając jego zbroję. Powstrzymując się od drżenia, Steel zrobił szybki krok do tyłu i omal nie wpadł na Jennę.

- Słyszałam, że opuszczasz nas, panie rycerzu,

- Tak, pani - odparł Steel. - Przyleci po mnie smoczyca. - Rozejrzył się. - A gdzie lord Dalamar?

- Mój pan poszedł otworzyć magiczną osłonę, która otacza Wieżę. Zaprowadzę cię na Ścieżkę Śmierci. Tam możesz spotkać się ze swą smoczyką. Chyba, że wolałbyś znów przespacerować się przez zagajnik Shoikan? - Spytała łobuzersko.

Czując, że czarodziejka stroi sobie z niego żarty, Steel zachował lodowate milczenie.

- Proszę za mną, panie rycerzu. - Jenna wskazała drzwi. - Wyjdziemy na korytarz. Nie mam ochoty na wspinaczkę po tysiącu stopni, a wolałabym w tym pomieszczeniu nie rzucać czarów. Nie jest dobrze mieszać zaklęcia.

Steel bez żalu wyszedł za Jenną z Komnaty Widzenia. Kiedy już znaleźli się na zewnątrz, zaczerpnął głęboko tchu. Powietrze w Wieży przesycone było wilgocią i zapachami ziół, korzeni, pleśni i rozkładu, lecz rycerz przynajmniej pozbył się z nozdrzy plugawej woni komnaty.

Jenna spojrzała na niego z ciekawością. - Najpierw muszę zapytać, panie rycerzu, czy masz absolutną pewność, że chcesz nas opuścić.

- Dlaczego miałbym nie chcieć? - Spytał Steel, patrząc na nią nieufnie. - Czy jest jakaś szansa znalezienia Majere?

- Nie w tym życiu - odparła z uśmiechem Jenna. - Nie to miałam na myśli. Dalamar powiedział mi, że jeśli wrócisz do wojska, zostaniesz stracony.

Steel zachował spokój. - Nie wykonałem zadania. Karą za to jest śmierć.

Jenna przyjrzała mu się ze zdumieniem - Po co więc wracasz? Uciekaj, póki możesz! - Podeszła i rzekła cicho - Wyślę cię, gdziekolwiek zechcesz. Zakop tę zbroję, a będziesz nowym człowiekiem. Nikt nie będzie wiedział.

- Ja będę wiedział, pani - odrzekł Steel.

Jenna wzruszyła ramionami. - Jak chcesz. To twój pogrzeb.
Zamknij oczy. Łatwiej ci będzie uporać się z zawrotami głowy.
Steel opuścił powieki i usłyszał, jak czarodziejka się śmieje.
- Dalamar miał rację. To bardzo zabawne!

Rozdział XXV

WYTWORNY KRASNOLUD. PODWÓJNA STAWKA ALBO NIC

Usha stała koło wozu pełnego owoców i nie bardzo wiedziała, gdzie jest ani jak się tu znalazła. Od stóp do głów mrowiło ją całe ciało, rzadki, podobny do dymu opar wypełniał jej głowę, i kręciło ją w nosie.

Jak przez mgłę przypomniawszy sobie, że wyciągnęła fiołkę, powąchała jej zawartość, odetchnęła niezwykle przyjemnym zapachem i odzyskała świadomość dopiero przed chwilą, kiedy stwierdziła, że stoi na zatłoczonym placu sprawiającym wrażenie targowiska na świeżym powietrzu. Usha przypuszczała, że wszyscy będą jej się przyglądać - w końcu pojawiła się nie wiadomo skąd - lecz nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Ludzie mieli zbyt wiele własnych zmartwień. Na rynku nikt niczego nie sprzedawał, chyba że plotki. Wszyscy zbili się w małe gromadki i rozmawiali przyciszonymi, poważnymi głosami. Co jakiś czas ktoś oddalał się od jednej grupki i szedł po nowiny do następnej. Usha kilkakrotnie słyszała, jak z lękiem i niepokojem wymawiano słowa: „Kalaman padł!” Nic z tego nie rozumiała. Podśluchiwała jednak na tyle, aby dojść do wniosku, że znów jest w Palanthas.

Westchnęła. Nie ucieszyła się szczególnie z faktu, że nadal jest w mieście, nadal tak blisko tej przerażającej Wieży. Jednak byłoby jej żal, gdyby opuściła Palanthas i straciła wszelką szansę na ponowne ujście Palina. Choć mówiła sobie, że to złudna nadzieja, podsycala ją w sobie. Nie czuła się już pozbawiona przyjaciół i osamotniona. Był ktoś, na kim jej zależało i kto prawdopodobnie myślał także o niej.

Z miejsca, w którym dziewczyna stała, nie było widać Wieży. Zasłaniały ją dachy wysokich budynków otaczających targowisko.

Usha miała nadzieję, że pod nieuwagą ludzi uda jej się wymknąć i zgubić w tłumie. Musiała jakoś zarobić te kawałki stali, które tak cenili mieszkańcy Palanthas. Rozmyślała o tym, zastanawiając się, czym mogłaby się zająć, kiedy okropnie zakręciło

ją w nosie od zalegającego w nim dymu. Walczyła z tym swędzeniem, lecz wreszcie nie mogła dłużej wytrzymać. Kichnęła głośno.

Szykownie odziany krasnolud stojący obok niej podskoczył ze strachu, stukając butami o bruk.

- Na brodę Reorxa, dziewczyno, aleś mnie przestraszyła! - Wysapał, wzdychając i przyciskając dłoń do serca.

- Bardzo pana przepraszam - zaczęła Usha, lecz przerwało jej kolejne kichnięcie.

- Jesteś przeziębiona, dziewczyno? A ja jestem podatny na przeziębienia. - Krasnolud cofnął się o krok, mierząc ją podejrzliwym okiem.

Usha potrząsnęła głową, nie mogąc udzielić wyjaśnień z powodu zbliżającego się trzeciego kichnięcia. Krasnolud cofnął się jeszcze dalej, zasłaniając twarz kapeluszem.

- Na zdrowie - rzekł, dopiero po jakimś czasie.

Usha skinęła głową w podziękowaniu, pociągnęła nosem i zaczęła szukać w sakwach chusteczki.

Krasnolud podał jej swoją. Była to biała, obszyta koronką chusteczka z wymyślnie wyhaftowanym monogramem DR w rogu. Sprawiała wrażenie zbyt pięknej i eleganckiej, żeby jej używać. Skrępowana Usha otarła nos rogiem chusteczki i czerwieniąc się, zwróciła ją właścicielowi.

Krasnolud wepchnął chusteczkę do kieszeni i utkwiał w Ushy przebiegłe, błyszczące oczy.

- Jak ci na imię, dziewczyno?

- Usha, panie - odparła Usha i dygnęła, wnioskując po jego ubraniu, że musi być to ktoś ważny, jeśli nie sam władca Palanthas.

- Nie mów do mnie „panie”, dziewczyno - rzekł elegant, choć pogładził się dumnie po długiej, jedwabistej brodzie. - Dougan Redhammer, do usług.

Usha wiedziała, że krasnoludowie są doskonałymi rzemieślnikami, którzy znajdują się na obróbce kamienia i metalu, lecz nie słyszała jeszcze, żeby przodowali w dziedzinie mody. Legendarne piękno dworów wielkiego podziemnego miasta Thorbardin było niczym wobec noszonej przez krasnoluda czerwonej, aksamitnej kamizeli ze złotymi guzikami; wspaniałość olbrzymich bram Pax Tharkas nikła w porównaniu z jedwabną koszulą Dougana, którą zdobił żabot i koronkowe mankiety.

Spodnie z czerwonego aksamitu, czarne pończochy, czarne buty z czerwonymi

obcasami oraz kapelusz z szerokim rondem i zawadiackim, czerwonym piórem dopełniały obrazu elegancji. Jedwabista, czarna i długa broda sięgała krasnoludowi dobrze poniżej okazałego brzucha, a długie, czarne kędzioły spływały mu na ramiona.

Aromat świeżych owoców leżących na silnym słońcu odciągnął uwagę Ushy od krasnoluda. Nie spodziewała się, że tak szybko zgłodnieje po uczcie w Wieży Wielkiej Magii, lecz żołądek dawał jej znać, że upłynął już jakiś czas. Usha posłała sprzedawcy szybkie, ukradkowe spojrzenie i stwierdziła z ulgą, że nie był to ten kramarz, który kazał ją aresztować.

Dostała już nauczkę. Z westchnieniem oderwała wzrok od straganu i poleciała brzuchowi pomyśleć o czymś innym. Ten zaś zaburczał i odmówił posłuszeństwa.

Krasnolud zauważył spojrzenie Ushy i usłyszał burczenie.

- Poczęstuj się, dziewczyno - rzekł, wymachując ręką. - Śliwki nie są już tak świeże jak dziś rano, ale winogrona są świetne, jeśli nie przeszkadza ci, że trochę się pomarszczyły od upału.

- Dziękuję - powiedziała Usha, nie patrząc na owoce - ale nie jestem głodna.

- To chyba połknęłaś pieska - stwierdził bez ogródek Dougan. - Słyszę, jak tam szczeka. Jedz, jedz. Ja już jestem po obiedzie, więc nie poczuje się urażony.

- Nie o to chodzi. - Policzki Ushy poróżowiły. - Ja... Nie mam tego, co nazywają „monetami”...

- Aha, w tym kłopot. - Dougan pogładził się po brodzie i przyjrzał dziewczynie z zadumą. - Nowa w mieście, co?

Usha pokiwała głową.

- Gdzie mieszkasz?

- Nigdzie konkretnie - odparła wykrętnie Usha. Ten dziwny krasnolud wykazywał stanowczo zbyt duże zainteresowanie jej prywatnymi sprawami. - Zechce mi pan wybaczyć...

- Z czego się utrzymujesz?

- Och, z tego i tamtego. Niech pan posłucha, bardzo miło mi się gawędziło, ale...

- Rozumiem. Dopiero co przyjechałaś do miasta i szukasz pracy. Czujesz się nieco przytłoczona, prawda?

- No tak, proszę pana, właściwie...

- Sądzę, że będę mógł ci pomóc. - Dougan obrzucił ją krytycznym spojrzeniem, przekrzywiając głowę na bok. - Sprytnie podkradłaś się do mnie. Słowo daję, nie usłyszałem, jak się zbliżasz. - Wziął Ushę za rękę i obejrzał jej dłoń. - Smukłe palce.

Przypuszczam, że zwinne. Jesteś szybka? Zdolna?

- Chyba... Chyba tak. - Usha patrzyła na niego z zakłopotaniem.

Dougan wypuścił jej dłoń, jakby była kawałkiem wyschniętego na słońcu owocu, długo przyglądał się jej stopom, a potem podniósł oczy i spojrzał jej w twarz, mruczając pod nosem. - Oczy, które potrafiłyby oderwać Hiddukela od liczenia pieniędzy. Buzia, na widok której Chemosh wstałby z grobu. Nada się. O tak, dziewczyno - rzekł głośniej. - Znam pewnych ludzi, którzy szukają kogoś z takim talentem.

- Jakim talentem? - Spytała Usha. - Ja nic...

Dougan jednak nie słuchał. Chwycił kiść winogron i wepchnął je Ushy do rąk. Dołożył kilkanaście śliwek, wielką dynię i dodałby jeszcze kilka rzep, ale dziewczynie owoce nie mieściły się już w rękach. Kiedy skończył, chciał odejść.

- Hej! Ty! Nie zapomniałeś o czymś? - Sprzedawca - rosły człowiek - rozmawiał z kilkoma przyjaciółmi o zasłyszonym upadku Kalamanu. Na widok osoby usiłującej oddalić się z jego towarem całkiem zapomniał o zagrażającej wojnie. Zbliżył się groźnie do krasnoluda. - Powiedziałem: „czy nie zapomniałeś o czymś?”

Dougan zatrzymał się i podkreślił węża. - Zdaje się, że tak. Zapomniałem o rzepie. - Wziął kilka bulw i znów chciał odejść.

- Drobną kwestia zapłaty - rzekł sprzedawca, zagrządzając im drogę.

Usha wepchnęła do ust garść winogron i czym prędzej je przełknęła, zamierzając zjeść jak najwięcej owoców na wypadek, gdyby musiała je oddać.

- Zapisz to na mój rachunek - oznajmił beztrząsowo Dougan.

- To nie karczma, kurduplu - warknął mężczyzna, zakładając ręce na piersi. - Płać.

- Wiesz, co ci powiem, dobry człowieku - rzekł przyjaźnie Dougan, choć sprawiał wrażenie trochę dotkniętego określeniem „kurdupel” - zagrajmy o nie w orła i reszkę. - Wyjął złotą monetę. Handlarzowi zaświeciły się oczy. - Jeśli w trzech rzutach dwa razy wypadnie reszka, owoce należą do mnie. Zgoda? Zgoda.

Dougan podrzucił monetę. Sprzedawca z ponurą miną patrzył, jak pieniążek wiruje w powietrzu. Moneta wylądowała na poręczy kramu portretem władcy do góry.

Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie. - Hej, to nie jest moneta z Palanthas. To nie nasz panujący. Głowa przypomina twoją...

Dougan szybko zgarnął monetę. - Musiałem wyciągnąć niewłaściwą. - Podrzucił pieniążek, zanim mężczyzna zdążył zaprotestować. Głowa - panującego albo krasnoluda - znów była na wierzchu.

- Ach, co za pech - rzekł zadowolony z siebie Dougan, chcąc już schować monetę do kieszeni.

Sprzedawca był jednakże szybszy. - Dziękuję - powiedział, chwytając pieniądze. - To powinno pokryć koszty waszych zakupów.

Dougan poczerwieniał jak burak. - Przegrałeś! - Ryknął.

Kramarz, oglądając uważnie monetę, już chciał ją obrócić.

- Nieważne - dodał Dougan. Oddalił się spieszenie, ciągnąc za sobą Ushę. - Zawsze powiadam, że nie jest ważne czy się wygrało, czy przegrało, ale to, jak się grało.

- Hej! Krasnoludzie! - Krzyknął sprzedawca. - Próbowaleś mnie oszukać! Ta moneta ma dwie reszki! A obie głowy przypominają...

- Chodźmy, dziewczyno - nalegał Dougan, przyspieszając.

- Nie mamy całego dnia.

- Hej! - Handlarz darł się na całe gardło. - Pozłota się ściera! Zatrzymajcie tego krasnoluda...

Teraz Dougan już biegł, tupiąc ciężkimi butami o bruk. Objuczona jedzeniem Usha starała się dotrzymać mu kroku.

- Gonią nas!

- Skręć w prawo. W ten zaułek! - Wysapał zdyszany Dougan.

Oboje wbiegli w ciemną uliczkę. Kiedy Usha obejrzała się, zauważyła, że przy wejściu do zaułka pościg zatrzymał się raptownie.

Sprzedawca wskazywał na zbiegów, błagając i prosząc. Mężczyźni potrząsnęli przecząco głowami i rozeszli się.

Kramarz - rzuciwszy kilka gróźb pod adresem Dougana - oddalił się ze wściekłością.

- Nie gonią nas - powiedziała zdumiona Usha.

- Dobrze się zastanowili - rzekł Dougan. Zwolnił tempo i zaczął się wachlować kapeluszem. - Pewnie zauważyli, że mam miecz.

- Nie masz - zauważyła Usha.

- Ich szczęście - oświadczył krasnolud, puszczając do niej oko.

Usha rozejrzała się nerwowo. Zaułek był czystszy od innych, które widziała w Palanthas. Panował w nim także większy mrok, pustka i cisza. Spokojna, pewna siebie wrona podeszła do nich i zaczęła dziobać upuszczoną przez dziewczynę śliwkę.

Ushę przeszedł dreszcz. Nie podobało jej się tu. - Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

Ptak przestał dziobać i przekrzywił łeb, przyglądając się dziewczynie paciorkowatymi, żółtymi ślepiami.

- Tak, dziewczyno, wiem - odparł Dougan Redhammer z uśmiechem. - Mieszkają tu ludzie, z którymi chciałbym cię zapoznać. Potrzebny im ktoś taki jak ty, żeby wykonać dla nich kilka drobnych robótek. Sądzę, że świetnie się do tego nadasz, dziewczyno. Po prostu świetnie.

Wrona otworzyła dziób i wydała ochryple, podobne do śmiechu krakanie.

Rozdział XXVI

LABORATORIUM.

TASSLEHOFF PRZEJMUJE INICJATYWĘ

(MIĘDZY INNYMI)

Ojej! - Szepnął Tasslehoff, zbyt rozemocjonowany i zdjęty grozą, żeby mówić głośno.

- Niczego nie dotykaj! - Pierwsze słowa Palina zabrzmiały srogo i nagłaco.

Ponieważ jednak są to zwykle pierwsze słowa, jakie padają w obecności kendera, ostrzeżenie wleciało Tasowi jednym uchem, a wyleciało drugim, ulegając po drodze zgrabnemu przeinterpretowaniu.

Niczego nie dotykaj!

- To z pewnością rozsądna rada - powiedział do siebie Tas - skoro usłyszałem ją w pracowni jednego z największych, najpotężniejszych magów Czarnych Szat, jaki istniał. Wystarczy, żebym tylko czegoś dotknął i mogę znaleźć się w jednym z tych słoï, jak to biedne truchło w tym naczyniu, ale na pewno nikomu nie stałaby się krzywda, gdybym tylko zdjął pokrywkę, żeby popatrzeć z bliska...

- Tas! - Palin wyrwał mu słój z ręki.

- Właśnie go odsuwałem, żeby nie spadł - wyjaśniał Tas.

Palin zmierzył kendera wściekłym wzrokiem. - Nie dotykaj! - Powtórzył.

- O kurczę, rzeczywiście jest w złym humorze znów mruknął do siebie Tas, wędrując do dalszej, ciemniejszej części laboratorium. - Zostawię go na jakiś czas samego. Nie może wciąż mówić, żebym niczego nie dotykał, bo przez cały czas czegoś dotykam. Stopami dotykam ziemi, i całe szczęście, bo inaczej latałbym jak kurz w powietrzu. To byłoby dość zabawne. Ciekawe, czy by mi się to udało. Może ta buteleczka z niebieskozielonkawym paskudztwem w środku zawiera miksturę lewitacji. Spróbuję...

Palin - z zawziętym wyrazem twarzy - wyrwał Tasowi flaszkę i nie pozwolił

wyjąć z niej korka. Po wydobyciu z sakwy kendera kilku rozmaitych przedmiotów: ogarka zakurzonej świecy, żuka wyrzeźbionego z kamienia i szpulki czarnych nici, Palin odprowadził Tasa do kiepsko oświetlonego, pustego kąta i rozgniewanym tonem, jakiego Tas jeszcze nie słyszał, nakazał mu „siedzieć cicho i nie ruszać się!”

- Albo cię stąd odeślę - dokończył Palin.

Tas doskonale zdawał sobie sprawę, że to czcze pogróżki, bowiem myszkując po pracowni, mimowolnie zauważył, że Palin bił pięściami w drzwi, szarpał za nie, a raz nawet uderzył laską, wszystko na próżno. Drzwi nie dały się otworzyć.

Rycerz również przez jakiś czas dobijał się, lecz z drugiej strony. Teraz już nie było słychać wściekłego łomotania Steela Brightblade.

- Musiał sobie pójść - stwierdził Tas. - Albo wpadł w łapy upiora.

Byłby to ciekawy widok, którego przegapienie rozczarowało kendera. Cóż, nie można być wszędzie naraz, a Tasslehoff nie przepuściłby nadarzającej mu się właśnie okazji za wszystkie upiory świata, nawet gdyby dla równego rachunku dorzucono jedną albo dwie banshee.

- Palin nie zrzędzi celowo. Po prostu się boi zauważyć współczująco Tas. Kender nie był osobiście zaznajomiony z tym wyjątkowo niemiłym uczuciem, jednak wiedział, że doznaje go wielu jego przyjaciół. Postanowił więc, współczując swemu młodemu towarzyszkowi, posłuchać jego polecenia.

Tas stał w kącie świadomy swojej zacności i zastanawiał się, jak długo potrwa takie uczucie. Pewno niedługo, bo szlachetność graniczy z nudą. Niemniej przez jakiś czas da się znieść. Tasowi nie wolno było niczego dotykać, ale wolno mu było patrzeć, więc wytrzeszczał oczy z wszystkich sił.

Palin powoli obchodził pracownię. Laska Magiusa rzucała jasne światło na wszystkie sprzęty, jakby cieszyła się z powrotu do domu.

Pomieszczenie miało ogromne rozmiary, zdecydowanie większe niż można by się spodziewać, zważywszy na jego położenie i wielkość wszystkich pozostałych komnat w Wieży. Tas był bardzo podniecony uczuciem, że kiedy wszedł do środka, pokój się poszerzył, a co jeszcze bardziej frapujące, nadal rósł! Wrażenie to potęgował fakt, że gdziekolwiek by nie spojrział, kiedy tylko odwrócił wzrok, a później znów się obejrzał, widział coś, czego z całą pewnością nie było tam wcześniej.

Największym sprzętem w komnacie był olbrzymi stół. Wyciosany z kamienia blat zajmował prawie cały środek pomieszczenia. Tasslehoff mógłby wyciągnąć się na nim trzy razy i jeszcze zostałyby miejsce na kitkę, aczkolwiek nie miał ochoty kłaść się

w kurzu, który pokrywał wszystko wyjątkowo grubą warstwą. Jedyne ślady, jakie Tas widział na zakurzonej posadzce, zostawił tylko on i Palin. Nie było tam pajęczyn ani nawet drobnych mysich łapek.

- Jesteśmy pierwszymi żywymi istotami, jakie od lat postawiły tu stopę - rzekł cicho Palin, nieświadomie powtarzając myśli kendera.

Młody czarodziej minął stół i oświetlił laską niezliczone półki pełne książek i zwojów. Tasslehoff poznał, że niektóre z nich, te oprawione na niebiesko, to księgi zaklęć stanowiące własność owianego złą sławą czarnoksiężnika Fistandantilusa. Inne, w czarnych okładkach ze srebrnymi wytłoczeniami lub w czerwonych, opatrzonych złotymi literami, mogły należeć do Raistlina albo zostały zostawione przez poprzednich właścicieli Wieży.

Palin zatrzymał się przed magicznymi księgami i pożerał je zachłannym wzrokiem. Wyciągnął rękę po jedną z nich, lecz potem raptownie się wstrzymał.

- Kogo chcę oszukać? - Rzekł gorzko. - Gdybym choć spojrział na stronę tytułową, postradałbym rozum.

Podróżując niegdyś w towarzystwie Raistlina, Tas wystarczająco dużo dowiedział się o sprawach magów, by wiedzieć, że niski rangą czarodziej, który spróbuje przeczytać zaklęcie nie przeznaczone dla niego, natychmiast oszaleje.

- To zabezpieczenie - zauważył Tas na wypadek, gdyby Palin o tym nie wiedział. - Raistlin objaśnił mi to kiedyś, odbierając mi księgę czarów. Zrobił to bardzo delikatnie, twierdząc, że nie chce mieć na głowie obłąkanego kendera. Odpowiedziałem, że to okropnie miło z jego strony, ale mnie obłąd nie przeszkadza, na to on stwierdził, że jemu owszem i zdaje się, że dokończył jakby stwierdzeniem, że wolałby, żeby dwudziestu ogrów okładało go po głowie i barkach dwudziestoma kijami, ale tu mogę się mylić.

- Wujku Tasie - wykrztusił z siebie Palin nerwowym, na wpół zduszonym głosem - nie chciałbym być nieuprzejmy, szczególnie wobec kogoś w twoim wieku, ale czy byłbyś łaskaw zamknąć się?!

Wciąż krążył po pokoju, przysuwając światło laski bliżej do tego i owego przedmiotu, nie dotykając niczego, nawet palcem. Dwa razy obszedł pracownię, omijając jedynie mały jej zakątek.

Nie wchodził w kąt komnaty, który znajdował się prawie naprzeciw miejsca, gdzie stał Tasslehoff. Panowała w nim nieprzenikniona ciemność i Tas zaczął podejrzewać, że Palin celowo nie oświetla tego zakamarka.

Tas wiedział jednak, co znajdowało się w tej części laboratorium. Caramon i Tanis opowiedzieli mu tę historię.

Palin bez przerwy zerkał w tym kierunku, to znów na Tasa, jakby nie wiedział, co ma robić.

- Nie, to nie byłby dobry pomysł. Jak sobie przypominam z czasów, gdy byłem ledwo kenderskim niedorostkiem, rady starszych osób, takich jak ja, z reguły nie są mile widziane przez młode osoby, takie jak Palin. Może mógłbym mu coś podpowiedzieć, popchnąć go we właściwym kierunku, że tak powiem. W końcu nie mamy całego dnia. Zbliży się pora kolacji, a jak mnie pamięć nie myli, posiłki w Otchłani choć może i pożywne, zdecydowanie pozbawione były smaku. A więc, teraz - poczekajmy, aż nie będzie patrzył.

Palin przeglądał to ten, to inny zwój. Ciekawiły go, lecz najwyraźniej coś ważniejszego zaprzętało jego umysł. Zerkał na nie, wzdychał, a potem odkładał z wyraźnym ociąganiem.

- No jazda, znajdź taki, którego możesz użyć! Mruknął Tas.

I nagle najwyraźniej tak się stało. Palin obejrzał woskową pieczęć, którą przystawiono na wstążce opasującej pergamin, rozpromienił się radośnie i złamawszy pieczęć, zaczął przebiegać wzrokiem zawartość zwoju.

Tasslehoff Burrfoot, skradając się tak cicho, jak tylko kender potrafi - co oznaczało, że kurz opadający na posadzkę czynił więcej hałasu od niego - opuścił swój ką, przeszedł przez komnatę i śmiało wszedł na kamienne podwyższenie, na którym stał portal do Otchłani.

- To ciekawe, Tas - rzekł Palin, odwracając się, żeby spojrzeć tam, gdzie uprzednio przebywał jego towarzysz. Kiedy mag zauważył, że nie ma kendera, w jego głosie pojawiła się nuta troski. - Tas!

- Spójrz, co znalazłem, Palinie - oznajmił z dumą Tas.

Chwyciwszy za złoty, jedwabny sznur, który zwisał z boku zasłon z fioletowego aksamitu, pociągnął zań.

- Nie, Tas! - Krzyknął Palin, upuszczając zwój i skacząc naprzód. - Nie rób tego! Mógłbyś nas...

Za późno.

Zasłona podniosła się, a z jej fałd posypały się kłęby kurzu, w których kender omal się nie udusił.

Wtedy Palin usłyszał to złowieszcze słowo - z reguły ostatnie, jakie słyszą w

swym życiu ci, którzy mieli nieszczęście podróżować z kenderem.

- Łups!

Rozdział XXVII

CECH ZŁODZIEI.

NOWA UCZENNICA

Cech złodziejski w Palanthas mógł się poszczycić - i zazwyczaj tak czynił - najdłuższą w mieście historią obecności. Choć nie istniała żadna oficjalna data założenia gildii, jej członkowie zapewne nie mylili się zbyt w obliczeniach. Nie ulegało wątpliwości, że w Palanthas złodzieje byli dużo wcześniej od złotników, krawców, perfumiarzy czy licznych innych cechów, które obecnie przeżywały rozkwit.

Korzenie złodziejskiego cechu sięgały prastarych czasów, w których żył pewien zacny mąż imieniem Pete Kot, herszt rozbójników w solamijskich lasach. Jego banda łupiła podróżnych na gościńcach. Pete Kot (przydomek ten otrzymał nie za umiejętność zachowania bezwzględnej ciszy podczas napadu i kocią zwinność, lecz dlatego, że kiedyś solidnie go wychłostano pejczem zwanym kotem o dziewięciu ogonach) był bardzo wybredny przy wyborze swoich ofiar. Unikał szlachty, która podróżowała pod zbrojną eskortą, wszelkich magów, najemników i każdego, kto nosił miecz. Pete Kot utrzymywał, że pała wyjątkowym wstrętem do przelewu krwi. Prawda była taka, że bał się o własną skórę.

Wolał napadać na samotnych i nieuzbrojonych podróżnych - wędrownych druciarzy, tułaczy minstreli, zapracowanych handlarzy, ubogich studentów i biednych kleryków. Nie trzeba dodawać, że Pete Kot i jego banda ledwo mogli związać koniec z końcem. Pete zawsze łudził się nadzieją, że trafi na druciarza, który przypadkiem będzie chował przy sobie mnóstwo klejnotów, ale to się nigdy nie zdarzyło.

Pewnej wyjątkowo ciężkiej zimy, kiedy rozbójników tak przycisnęła bieda, że jedli własne buty i zaczęli śledzić się nawzajem głodnym wzrokiem, Pete Kot postanowił wydzwignąć się z nędzy. Ukradkiem wymknął się z obozowiska i postanowił poszukać szczęścia - a przynajmniej skórki od chleba - w nowo założonym mieście Palanthas. Przełaził w środku nocy przez mur, gdy natknął się na strażnika. Ci, którzy

pragną widzieć Pete Kota w romantycznym świetle, twierdzą, że rozbójnik wdał się w zacieklą bójkę ze strażnikiem, którego ostatecznie zrzucił ze szczytu murów i zwycięsko wszedł do miasta.

Ci, którzy zadali sobie trud przeczytania autentycznej historii Pete Kota, poznają prawdziwą wersję tej opowieści. Kiedy strażnik zatrzymał zbója na murach i zagroził mu natychmiastową śmiercią, dzielny Pete Kot padł na kolana, złapał żołnierza za nogi i błagał o litość. W tym momencie wartownik poślizgnął się na oblodzonym bruku, a ponieważ Pete ścisnął go z całych sił za kolana, nie zdołał odzyskać równowagi. Strażnik spadł z muru, wymachując rękoma.

Pete Kot, który miał dość rozumu, żeby w ostatniej chwili wypuścić żołnierza, zachował przytomność umysłu. Zszedł na dół bardziej konwencjonalną metodą, obrabował trupa i zakradł się do miasta, gdzie zamieszkał w oborze.

Można by powiedzieć, że jego gildia wyrosła na krowich plackach.

Pete zawsze utrzymywał, że to on założył cech złodziei, lecz w rzeczywistości zasługę tę przypisuje się jego kochance - krasnoludzkiej kobiecie znanej jako Bet Szybka Rączka. Stare porzekadło głosi: „jak się złodzieje powadzą, to się koniki wydadzą”, a kiedy miasto rozrosło się i wzbogaciło, palanthańscy złodzieje zaczęli się regularnie spierać. Rabusie częstokroć okradali dom, który już splądrowano poprzedniej nocy, a pewnego razu, gdy nadarzyła się nie byle jaka okazja, trzy różne bandy zjawily się jednocześnie, żeby obrabować dwór tego samego lorda. Na skutek tego spotkania wybuchła awantura, która wyrwała mieszkańców dworu ze snu. Lord i jego służba pojмали włamywaczy, zamknęli ich w piwnicy na wino i następnego ranka wszystkich powiesili. Wśród rabusiów był niestety Pete Kot, który ponoć walczył przed śmiercią jak szatan, choć kroniki odnotowują, że padł z płaczem u stóp szafotu i trzeba go było ciągnąć po schodach za kark.

Po tej katastrofie Bet Szybka Rączka zwołała tylu rzezimieszków, bandytów i kieszonkowców, ilu udało jej się nakłonić do wyjścia z ukrycia i wygłosiła porywającą przemowę. Będzie znacznie lepiej, twierdziła, jeśli połączą siły, wyznaczą terytoria, podzielą się łupami i nie będą sobie deptać po piętach. Wszyscy widzieli ciała kolesiów dyndające na szubienicach. Złodzieje zgodzili się i nigdy nie żałowali tej decyzji.

Cech odniósł taki sukces, że do Palanthas zaczęło przybywać coraz więcej utalentowanych rzezimieszków. Dzięki mądrym kierownictwu gildia rozkwitała. Jej członkowie ustanowili prawa zwyczajowe i kodeks postępowania, któremu podporządkowywali się wszyscy należący do cechu. Gildia dostawała część łupów

każdego złodzieja, a w zamian proponowała szkolenie, alibi, które od czasu do czasu wytrzymywało w sądzie i schronienie przed patrolującymi strażami.

Obecna siedziba cechu mieściła się w opuszczonym składzie po wewnętrznej stronie murów miejskich, w pobliżu portu. Od lat złodzieje rządili tam bezkarnie. Władca Palanthas regularnie obiecywał mieszkańcom, że cech złodziei zostanie zlikwidowany. Co roku straż miejska urządzała najazd na magazyn. Szpiedzy cechu zawsze wiedzieli wcześniej, kiedy pojawią się patrole. Po przybyciu straż wciąż zastawała pusty skład. Lord powiadamiał mieszkańców miasta, że cech złodziei przestał istnieć. Przyzwyczajeni do tego mieszkańcy nadal na noc zamykali drzwi na klucz i zasuwę, a następnego ranka ze stoickim spokojem liczyli straty.

Prawdę powiedziawszy, mieszkańcy Palanthas - choć nie znosili rzezimieszków - byli dumni ze swego cechu złodziei. Zwykły zdzierca, który zawyżając ceny swoich towarów, rabował ludzi na mniejszą skalę, mógł się na niego głośno skarżyć. Dziewczętom zaś marzył się przystojny, dzielny rozbójnik, którego zawrócą swą miłością ze ścieżki zbrodni. Mieszkańcy Palanthas patrzyli z góry na mniejsze miasta, które nie miały złodziejskiej gildii. Wyrażali się z pogardą o takich miejscowościach, jak Flotsam, w którym złodzieje nie byli zorganizowani oraz - co dawało się odczuć - byli znacznie gorszej kategorii niż rabusie w Palanthas. Mieszkańcy tego miasta uwielbiali opowiadać historie o szlachetnym włamywaczu, który wdarłszy się do domu biednej wdowy, tak się wzruszył jej nędzą, że jeszcze zostawił jej pieniądze. Ubogie wdowy w Palanthas mogłyby poddać to w wątpliwość, lecz nikt ich nie pytał o zdanie.

Do tego właśnie magazynu - czy ratusza, jak go pretensjonalnie nazywano - zwrócili swe kroki Usha i Dougan. W zaułku panował mrok i pustka. Usha bez wahania weszła w uliczkę. Prześladowało ją wspomnienie Wieży. Była szczęśliwa, dopóki znajdowała się daleko od tego przerażającego miejsca. Lubiła bezpośredni sposób bycia zręczliwego krasnoluda i podziwiała jego elegancki styl ubierania się. Jednym słowem, ufała mu.

Nie wiedziała nic o oczach, które śledziły ich wędrówkę przez zaułek. Pozostawała w błogiej nieświadomości, że gdyby weszła tu sama, poderżnięto by jej gardło.

Oczy jednakże znały Dougana i ufały mu. Ptasię świsty i kocie miauczenie, które Usha w swej naiwności brała za odgłosy zwierząt, prowadziły krasnoluda bezpiecznie przez sieć szpiegów i straży.

Skład był gigantycznym gmachem, który wyrósł pod miejskim murem. Ponieważ wzniesiono go z tego samego kamienia, co resztę umocnień, przypominał raczej jakiś guz albo rakowatą narośl, która wybudowała się na murze i rozprzestrzeniła na ulice. Była to szara, pokryta plamami i wałcząca się rudera. Nieliczne okna były albo brudne, albo powybijane, a dziury pozatykano kocami (można było je wyjąć, gdyby gmach został zaatakowany i byłyby to doskonałe pozycje dla łuczników). Masywne i grube wrota zrobiono z drewna okutego żelazem i osobliwie oznakowano.

Dougan zapukał do drzwi w dziwny i skomplikowany sposób.

U dołu drzwi odsunęła się klapka. Błysnęło w niej oko, przyjrzało się Douganowi, spojrzało na Ushę, znów na Dougana, zwęziło się, a potem zniknęło, kiedy klapka się zasunęła.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktoś tu mieszka? - Rzekła Usha, rozglądając się ze wstrętem i zdumieniem.

- Cicho! Sza! Nie mów tak głośno, dziewczyno - ostrzegł Dougan. - Oni są z tego dumni. Naprawdę dumni.

Usha nie rozumiała powodów tej dumy, lecz zachowała milczenie, uważając, że tego wymaga uprzejmość. Obejrzała się przez ramię. Wieża Wielkiej Magii, choć bardzo odległa, nadal była widoczna. Dziewczyna widziała nawet - a może jej się zdawało, że widzi - okno gabinetu Dalamara. Wyobraziła sobie, że mag stoi przy oknie, spogląda z góry na ulice i szuka jej. Z drżeniem przysunęła się do Dougana i miała nadzieję, że ktokolwiek mieszka w tym gmachu, wreszcie im otworzy.

Kiedy się obejrzała, drzwi już stały otworem. Zaskoczona Usha wybałuszyła oczy. Niczego nie usłyszała. Od razu nie dostrzegła też nikogo na progu. Wewnątrz panowała ciemność, a okropny smród śmieci i czegoś jeszcze gorszego sprawił, że musiała zmarszczyć nos. Najpierw pomyślała, że to cuchnie tak ze środka budynku, kiedy w smrodliwym mroku usłyszała czyjś głos.

- Czego chcecie?

- Ojej, to krasnolud! - Powiedziała z ulgą Usha.

- Ugryź się w język! - Warknął Dougan. - To krasnolud żlebowy. Nie jesteśmy spokrewnieni - dodał sztywno.

- Ale toto - chciałam powiedzieć - on... - Usha sądziła, że istota jest płci męskiej, choć gałgany, które miała na sobie, nie dawały tej pewności - ...Wygląda zupełnie jak...

Chciała powiedzieć „jak ty”, jednak wściekły błysk w oku Dougana sprawił, że się

poprawiła. - Jak... Krasnolud - dokończyła niezgrabnie.

Najwyraźniej urażony Dougan nie odpowiedział. Zwrócił się do krasnoluda żlebowego. - Chcę się widzieć z Linczem. Powiedz Linczowi, że przyszedł Dougan Redhammer i że nie będę czekał. Powiedz Linczowi, że mam dla niego coś, co przyniesie mu zyski.

Za każdym razem, gdy Dougan kończył zdanie, krasnolud ruszał w drogę. Trzykrotnie już musiał zawracać, gdy słyszał słowa Dougana.

- Przestań! - Wrzasnął niespodziewanie krasnolud żlebowy. - Mnie kręcić się w głowie. - Wyglądał, jakby go mdliło.

Ushy też zaczęło się robić niedobrze, jednakże przyczyną jej mdłości był smród.

- Moja nie czuć się dobrze - wybełkotał krasnolud. - Myśleć, zaraz się zerzygać.

- Nie, nie! - Krzyknął Dougan, pośpiesznie odsuwając się od niego. - Odpocznij tylko. Dobry chłop.

- Rzyganie nie być złe - stwierdził krasnolud i rozpromienił się. - Jeśli jedzenie smacznie się łykało, smacznie też będzie się cofało.

- Sprowadź Lincza, larwo jedna - rozkazał Dougan, ocierając twarz chusteczką. W pozbawionym przewiewu zaułku było nieznośnie gorąco.

- Kto to jest Lincz? - Spytała Usha, gdy krasnolud żlebowy potulnie się oddalił.

- Jego pełne imię brzmi Zlinczowany Geoffrey - mruknął pod nosem Dougan. - To mistrz cechu.

- Co za dziwne imię - szepnęła Usha. - Dlaczego tak go nazywają?

- Bo tak było.

- Co było?

- Został zlinczowany. Nie wspominaj o szramie od sznura na jego karku. Jest bardzo czuły na tym punkcie.

Ushę bardzo ciekawiło, jak człowiek, który został zlinczowany, wciąż może chodzić. Miała zamiar o to spytać, kiedy w drzwiach stanął Zlinczowany Geoffrey. Był wysokim, szczupłym i gibkim mężczyzną o zbyt wielkich dłoniach i cienkich, długich palcach, które bez przerwy poruszały się - drżały, splatały i wiły. Będąc zręcznym kieszonkowcem, który podobno kiedyś skradł z grzbietu pewnego szlachcica jedwabną koszulę, nie ruszając przy tym kaftana, Lincz był zdania, że dzięki tym ćwiczeniom jego palce zachowują giętkość. Wokół szyi miał grubą, wściekle czerwoną bliznę. Jego twarz nie rzucała się w oczy. Szrama była charakterystyczną cechą jego postaci, dostatecznie ciekawą, by na niej skupić swoją uwagę.

- Na co się gapisz, dziewczyno? - Zapytał Lincz.

- N-na nic, proszę pana - wyjąkała Usha, z trudem odrywając oczy od blizny i patrząc mężczyźnie w małe, przebiegłe oczka.

Lincz warknął z powątpiewaniem i zwrócił się do Dougana. - Gdzie się ukrywałeś, stary przyjacielu? Niedawno o tobie rozmawialiśmy. Jakiś czas temu kopaliśmy tunel i przydałaby nam się twoja pomoc. Wy, krasnoludy, znacie się na takiej robocie.

- Tak, cóż, zaprzętały mnie inne sprawy - mruknął Dougan, niezadowolony z pogardliwego tonu, jakim mężczyzna powiedział „wy, krasnoludy”, lecz pohamował swą złość. - Przejdźmy do interesów. Ta oto moja młoda przyjaciółka - wskazał na Ushę - jest nowa w mieście. Potrzebuje noclegu.

- To nie pensjonat - oznajmił Lincz, kładąc dłoń na drzwiach, które zaczęły się zamykać.

Dougan wsunął w drzwi wielką stopę w ciężkim bucie i nie pozwolił, żeby się zatrzasnęły. - Lincz, mój dobry przyjacielu, gdybyś tylko pozwolił mi skończyć, miałem zamiar powiedzieć, że dziewczynie potrzebny jest zawód. Trzeba ją trochę podszkolić w sztuce. Gotów jestem opłacić koszty jej nauki - dodał niechętnie krasnolud.

Lincz ponownie uchylił wrota. Przyjrzał się z bliska Ushy. Nie spodobał się jej sposób, w jaki mężczyzna na nią patrzył, jakby zdejmował z niej wzrokiem nie tylko warstwy odzienia, ale i skóry. Spłonila się. Nie podobało jej się to miejsce ani ten odrażający Lincz o dłoniach, które pełzały jak robaki. Wcale nie była pewna, czy chciałaby się nauczyć tego, co miał do zaoferowania. Zamierzała właśnie pożegnać się ze wszystkimi, gdy obejrząwszy się, ujrzała na końcu zaułka maga w czarnych szatach.

W Palanthas mieszkało wielu magów Czarnych Szat i niejednen prowadził interesy z ludźmi z magazynu. Usha jednak natychmiast założyła, że magiem tym musiał być Dalamar.

Czarodziej stał u wylotu uliczki. Kręcił na boki głową w kapturze, jakby kogoś szukał. Zaułek, na końcu którego stała dziewczyna i krasnolud, był długi. Zalegał w nim głęboki cień. Prawdopodobnie mag jeszcze jej nie zauważył.

Usha rzuciła się naprzód, złapała Zlinczowanego Geoffreya za rękę o rozczapierzonych palcach i tak nią zaczęła potrząsać, że omal jej nie urwała. - Tak bardzo się cieszę, że pana poznałam - wysapała. - Będę ciężko pracować. Jestem bardzo pracowita. - Prześlizgnęła się obok niego i zanurkowała w ciemność

magazynu, z ulgą oddychając smrodliwym powietrzem.

Jej entuzjazm zdumiał nieco krasnoluda i złodzieja.

- Rusza się szybko, trzeba jej to przyznać - zauważył Lincz. Potrząsnął ręką. - Ma też solidny, mocny uścisk.

Dougan wyjął sakiewkę zza szerokiego, czarnego pasa i podrzucił ją w dłoń.

- Zgoda - rzekł Lincz i uprzejmie zaprosił Dougana do środka. - Jak się nazywasz, dziewczyno?

- Mam na imię Usha - odparła, rozglądając się z ciekawością.

Wnętrze magazynu było olbrzymie. Część, którą zajmowały stoły i krzesła, przypominała wspólną salę w karczmie. Na ścianach płonęły pochodnie. Na stołach paliły się grube świece. Siedzący przy stołach ludzie pili, jedli, grali w kości, rozmawiali albo spali. Każdy wiek i każda rasa żyjąca na Ansalonie miała tu swojego przedstawiciela. Cech złodziei mógł mieć różne wady, lecz nie należało do nich uprzedzenie. Dwóch ludzi popijało przyjaźnie z trzema elfami. Krasnolud grał w kości z ogrem. Hobgoblin i kender urządzili sobie zawody w picciu. Czarodziejka w czerwonych szatach prowadziła z minotaurem zażartą dyskusję na temat Sargonnasa. Między stołami uganiały się i tarzały rozbawione dzieci. Reszta hali była już w mroku niewidoczna, więc Usha nie mogła dostrzec, co w niej się kryło.

Nikt nie patrzył na dziewczynę. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Przekonana, że nie zaszkodzi wywrzeć wrażenie na swym przyszłym pracodawcy, dodała: - Moje pełne imię brzmi Usha Majere. Jestem córką Raistlina.

- Akurat - odparł Zlinczowany Geoffrey. - A ja jestem jego matką. - Splunął na podłogę.

Zdumiona Usha wybałuszyła oczy. - Że co, proszę?

- Córką Raistlina! - Lincz zaśmiał się nieprzyjemnie. - Wszystkie tak mówią. W zeszłym roku przyszły trzy takie i twierdziły to samo. - Jego głos zabrzmiał wrogo. Szurze oczka spoglądały zimno i obojętnie. - Kim jesteś naprawdę? Aby nie szpiegiem? - W mgnieniu oka w dłoni Lincza błysnął nóż. My się nie patyczkujemy ze szpiegami, prawda, braciszku?

Reszta członków cechu zerwała się na nogi. Błysnęły noże, wyjmowane z cholewek butów, zazgrzytały miecze w pochwach. W powietrzu zaiskrzyło się od słów zaklęć i modlitw, którym towarzyszył niesamowity świst wirującego hoopaka.

Usha cofała się niezdarnie, póki nie wpadła na zamknięte drzwi. Dougan zasłonił ją przed mistrzem cechu własnym pulchnym ciałem. Krasnolud uniósł mieszek z

pieniędzmi.

- Znasz mnie, Zlinczowany Geoffreju! Po co miałbym tu sprowadzać szpiega? Więc dziewczyna utrzymuje, że jej ojcem jest Raistlin Majere. - Dougan sprawiał wrażenie, że jest tym trochę dezorientowany i posłał Ushy zakłopotane spojrzenie, lecz dzielnie ciągnął dalej. - A kto wie, czy to nie jest prawdą? Ilu z was - posłał zgromadzonym złośliwe spojrzenie spod krzaczastych brwi - może przysiąc, że zna swoich ojców?

Sądząc po mamrotaniu i kiwaniu głowami, większość złodziei przyznawała, że wywód krasnoluda brzmi rozsądnie. Wypchana sakiewka pobrzękująca miłym dźwiękiem stali potwierdziła jeszcze wagę jego argumentu.

- Przepraszam, jeśli trochę się pośpieszyłem, dziewczyno - przyznał Lincz i nóż w jego ręku zniknął równie szybko i tajemniczo, jak się w niej znalazł. - Jestem z natury bardzo wrażliwy i łatwo mnie zdenerwować. - Zwrócił się do Dougana. - Weźmiemy ją do terminu na zwykłych warunkach. Do czego mamy ją przygotować?

- Do specjalnego zadania - odparł wymijająco Dougan.

Lincz zmarszczył brwi. - Jakiego to rodzaju robota, krasnoludzie?

- To moja sprawa, nie twoja - warknął Dougan. Płacę ci, żebyś ją uczył. To wszystko.

Lincz może nie zgodziłby się tak łatwo, gdyby rozmiary sakiewki były mniejsze. Jednakże w tej sytuacji rzekł, marszcząc czoło: - Cech upomni się o swój udział. Nie zapomnij o tym.

Dougan popatrzył na ludzi, którzy stali wokół i obserwowali ich. Szczególnie przyglądał się dzieciom. Jego sroga mina złagodniała. Krasnolud zdjął z głowy kapelusz z eleganckim pióropuszem i przycisnął go do piersi, jakby składał przysięgę. - Jeśli nam się uda, wszyscy otrzymacie swój udział. To wam obiecuję. Jeśli spotka nas niepowodzenie, niczemu nie będziecie winni. - Westchnął i przez chwilę sprawiał wrażenie przygnębionego.

Lincz zwinnie wyjął mu z ręki mieszek. - Umowa stoi. Czego mamy ją nauczyć? Podbierania? Podwędzania? Zanęcania? Łowienia na przynętę? Na podrywkę?

Odszedł w kąt z Douganem i wkrótce obaj byli pochłonięci rozmową.

Usha znalazła krzesło przy pustym stole i usiadła na nim. Obszarpane dziecko przyniosło jej talerz gulaszu i kubek piwa. Dziewczyna jadła, aż jej się uszy trzęsły. Jedyne myśli o Palinie i troska o jego los rzucały cień na jej zadowolenie. Młode osoby są w głębi serca optymistami, szczególnie jeśli to serce poczuło właśnie pierwsze,

boleśnie słodkie ukłucie miłości.

- Bogowie nie doprowadziliby do tego spotkania, gdyby zamierzali później rozdzielić nas tak okrutnie. - Usha była o tym przekonana, co wiele mówiło o jej wierze, choć nie o znajomości surowych realiów życia.

Po zjedzeniu posiłku poczuła się odprężona i zadowolona. Choć mowa tych ludzi była prostacka, a wygląd dziwaczny i groźny, Usha przestała się ich obawiać.

Podwędzanie. Łowienie na przynętę.

Ci ludzie byli oczywiście rybakami.

Księga trzecia

Rozdział I

OSTRZEŻENIE. SPOTKANIE TROJGA.

TANIS MUSI DOKONAĆ WYBORU

Tanis stał na szczycie murów Wieży Najwyższego Klerysta i spoglądał z góry na pustą drogę, która wiodła do Palanthis. W myślach szedł tym traktem do miasta, wyobrażając sobie panujący tam niepokój.

Pogłoska o zbliżaniu się wroga dotarła do grodu o brzasku. Było południe, więc mieszkańcy zapewne pozamykali sklepy i stragany i wylegli na ulice, żeby z zapartym tchem słuchać wszelkich wieści, w które tym mocniej wierzono, im były bardziej niezwykle.

Oczywiście do wieczora władca Palanthis przygotuje przemówienie. Stanie na balkonie i odczyta je z kartki, zapewniając mieszczan, że pomiędzy nimi i nieprzyjacielem stoi Wieża Najwyższego Klerysta. Zakończywszy mowę tym oto pocieszającym akcentem, z pewnością wróci do środka i uda się na kolację.

Tanis prychnął ze złości. - Żeby tak ktoś przyszedł mnie pocieszyć!

I rzeczywiście ktoś przybył, choć nie przyniósł pociechy ani nie dodał otuchy. Nie przywędrował też drogą, lecz zjawił się w niecodzienny sposób.

Tanis szedł na wschód wzdłuż murów, zawrócił i zamierzał wrócić tą samą drogą, gdy omal nie wpadł na ubranego na czarno maga, który zagroził mu drogę.

- Co, u... - Tanis przytrzymał się blanki, żeby nie stracić równowagi. - Dalamar! Skąd tu...?

- Z Palanthis. Przybyłem ścieżkami magii i nie mam czasu czekać, aż coś z siebie wykrztusisz. Ty tu dowodzisz?

- Ja? Dobry Boże, skądże! Jestem tylko...

- Więc zaprowadź mnie do dowódcy - rzekł niecierpliwie Dalamar. - I każ tym idiotom schować miecze, zanim zmienię je w kałuże płynnego metalu.

Kilku trzymających straż rycerzy dobyło oręża i otoczyło elfa ciemności.

- Odlóżcie broń - polecił Tanis. - To lord Dalamar z Wieży Wielkiej Magii. Jest

zdolny spełnić swoją groźbę, a my potrzebujemy każdego miecza. Niech jeden z was pójdzie do sir Thomasa i powie mu, że natychmiast chcemy się z nim spotkać.

- Rzeczywiście, prawdę rzekłeś, że potrzeba będzie mieczy, Półelfie - zauważył Dalamar w drodze do wnętrza Wieży. - Choć wydaje mi się, że bardziej potrzebny wam będzie cud.

- Paladine już kiedyś nam je zsyłał. - Rzekł Tanis.

Dalamar rozejrzał się dookoła. - Tak, ale nigdzie nie widzę zamrozonego starego czarodzieja, który mamrocze pod nosem zaklęcia sprowadzające kule ogniste i zastanawia się, gdzie zostawił kapelusz.

Elf ciemności zatrzymał się i odwrócił do Tanisa. - Nadchodzą złe czasy. Nie powinienes tu zostawać, mój przyjacielu. Wyjedź, wróć do domu, do żony. Mogę ci pomóc, jeśli chcesz. Powiedz tylko słowo, a wyślę cię tam natychmiast.

Tanis przyjrzał się elfowi. - Przynosisz aż tak złe wieści?

- Aż tak złe, Półelfie - odparł spokojnie Dalamar.

Tanis podrapał się po brodzie. - Zaczekam więc, aż je usłyszę i wtedy zadecyduję.

- Jak chcesz. - Dalamar wzruszył ramionami i ruszył szybkim krokiem. Czarne szaty łopotały mu wokół kostek. Nieliczni mijani po drodze rycerze mierzyli czarodzieja niechętnym wzrokiem i pośpiesznie się odsuwali.

Tanis wszedł do komnaty narad. Zbliżyła się do nich eskorta zbrojnych rycerzy.

- Szukam sir Thomasa! - Zawołał Tanis.

- A on szuka ciebie, panie - odparł dowódca drużyny. - Wysłano mnie, abym cię powiadomił, że zwołano radę rycerzy. Sir Thomas usłyszał, że przybył lord Dalamar z wieściami.

- O sprawie nie cierpiącej zwłoki - powiedział elf.

Rycerz skłonił się sztywno.

- Czcigodny lordzie Dalamarze, sir Thomas jest wdzięczny, że byłeś łaskaw przybyć. Gdybyś zechciał przekazać swe nowiny mnie - albo, jeśli wolisz, czcigodnemu lordowi Tanisowi Półelfowi - nie będziemy cię dłużej zatrzymywać.

- Nie zatrzymujecie mnie - odparł Dalamar. - Nie ma sposobu, abyście zdołali mnie zatrzymać. Przybywam z własnej woli i w taki sam sposób odejdę tylko wtedy, gdy porozmawiam z Thomasem z Thelgaardu.

- Wielmożny panie. - Rycerz wahał się, miotając się między uprzejmością a obowiązkami, jakie nakładała nań służba. - Stawiasz nas w wyjątkowo kłopotliwym

położeniu. Czy mogę mówić szczerze?

- Proszę, jeśli tylko dzięki temu sprawa się przyspieszy - odparł Dalamar z rosnącą niecierpliwością.

- Musisz wiedzieć, panie, że jesteś wrogiem i jako taki...

Dalamar potrząsnął głową. - Nie musisz daleko szukać nieprzyjaciół, panie rycerzu, ale ja się do nich nie zaliczam.

- Możliwe - powątpiewał rycerz. - Otrzymałem jednak odpowiednie rozkazy. Być może to pułapka zastawiona przez twoją królową, aby zauroczyć naszych dowódców.

Dalamar pobladł z gniewu. - Gdybym chciał „zauroczyć” waszych wodzów, panie rycerzu, mógłbym to uczynić w domu, z wygodnej i bezpiecznej odległości. W tej właśnie chwili mógłbym...

- Ale nie zrobi tego - wtrącił szybko Tanis. - Lord Dalamar przybywa w dobrych intencjach. Przysięgam. Poręczę za niego życiem, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Ja również - z innego korytarza dobiegł spokojny, dźwięczny głos. Do komnaty weszła eskortowana przez rycerzy pani Crysania, prowadzona przez białego tygrysa. Wielki kot przyglądał się uważnie każdemu z obecnych. Nie patrzył czujnym okiem zwierzęcia, lecz bacznym, myślącym i rozumnym spojrzeniem człowieka. Być może Tanisa poniosła wyobraźnia, lecz mógłby przysiąc, że tygrys i Dalamar ukradkiem wymienili znak rozpoznawczy.

Komendant i jego ludzie padli na kolana i skłonili głowy.

Wielebna córka Paladine'a poleciła im wstać i skierowała swe niewidzące oczy w stronę Dalamara. Elf ciemności spuścił głowę na znak szacunku, lecz się nie skłonił. Na dźwięk cichej komendy tygrys podprowadził kobietę do Dalamara i stanął tak, by swoim masywnym cielskiem bezpiecznie ich rozdzielić. Crysania wyciągnęła rękę.

Dalamar musnął jej dłoń koniuszkami palców. - Dziękuję za poparcie, wielebna córko - rzekł z cieniem sarkazmu.

Crysania zwróciła się do rycerzy. - Czy bylibyście tak łaskawi odprowadzić teraz nas troje do sir Thomasa z Thalgaardu?

Choć rycerze wyraźnie nie kwapili się, aby odprowadzać Dalamara gdziekolwiek indziej niż do lochów, nie mieli innego wyboru. Rycerze solamnijscy służyli Paladine'owi. Wielebna córka Crysania zajmowała najwyższe stanowisko w hierarchii kościoła tego boga.

- Tędy, panowie, tędy, wielebna córko - rzekł komendant i rozkazał swym

ludziom zamknąć pochód.

- Skąd wiedziałaś, że tu będę, wielebna? - Spytał ją po cichu Dalamar, najwyraźniej niezadowolony. - Czyżby kościół śledził moje poczynania?

- Paladine ma pieczę nad wszystkimi swymi dziećmi, tak jak pasterz czuwa nad wszystkimi swymi owcami, nie wykluczając tych czarnych - dodała z uśmiechem. - Nie, panie czarodzieju, nie wiedziałam, że tu jesteś. W Palanthas krążą przedziwne plotki. Nikt nie umiał powiedzieć mi nic konkretnego, więc przybyłam sama się czegoś dowiedzieć.

Lekki nacisk na słowo „nikt” oraz towarzyszące temu ciche westchnienie, sprawiło, że Dalamar zaczął uważniej przyglądać się kobiecie. Przynął się do niej o krok. Tygrys stąpał obok z niezmierną godnością, kierując krokami swej pani i trzymając nad nią czujną straż.

- Rozumiem przez to, wielebna córko, że bóg nie powiedział ci niczego o wydarzeniach na świecie?

Crysania nie odpowiedziała słowami, lecz stroskane, blade oblicze kapłanki zdradzało jej myśli.

- Nie pytam z jakiejś mściwej chęci triumfowania, wielebna córko - dokończył Dalamar. - Mój bóg, Nunitari, ostatnio stał się dziwnie milczący, podobnie jak pozostali bogowie magii. Jak moja królowa. - Dalamar wzruszył ramionami i potrząsnął głową. - Moc Nunitariego maleje, a w związku z tym także i moja. To samo dotyczy Lunitari i Solinari. Donoszą o tym wszyscy magowie. Zupełnie jakby bogowie byli czymś bardzo zajęci...

Crysania odwróciła ku niemu głowę.

- Masz rację, czcigodny panie. Kiedy tylko doszły mnie pogłoski, przekazałam je memu bogu w modlitwie. Widzisz ten amulet, który noszę na szyi? - Wskazała srebrny medalion ozdobiony wizerunkiem smoka z kutego złota. - Kiedy dawniej modliłam się do Paladine'a, zawsze czułam ogarniającą mnie jego miłość. Ten medalion - dotknęła go z czcią - zaczynał promieniować delikatnym blaskiem. Moja dusza zaznawała spokoju, a zmartwienia i obawy ustępowały.

Milczała przez chwilę, a potem dodała po cichu: - Ostatnio medalion nie świeci. Wiem, że Paladine słyszy moje modły; czuję, że chce mnie pocieszyć. Obawiam się jednak, że nie może tego uczynić. Pomyślałam, że może winna jest temu groźba lorda Ariakana.

- Być może - rzekł Dalamar, lecz najwyraźniej wciąż powątpiewał. - Możliwe, że

wkrótce dowiemy się czegoś więcej. Palin Majere przeszedł przez portal.

- Doprawdy? - Przeraziła się Crysania.

- Obawiam się, że tak.

- Jak on się tam dostał? Przecież zamknąłeś pracownię! Wystawiłeś strażę...

- Został zaproszony, czcigodna pani - rzekł oschle Dalamar. - Sądzę, że domyślasz się przez kogo.

Crysania zbladła; cała krew spłynęła jej z twarzy. Zachwiała się. Tygrys przytulił się do niej, aby ją pocieszyć i wesprzeć.

Tanis natychmiast pośpieszył kapłance z pomocą i chwycił ją za ramię. Czując, że kobieta drży, spojrzał na Dalamara z gniewem.

- Pozwoliłeś Palinowi wejść? Mogłeś go zatrzymać.

- Nie miałem wielkiego wyboru, Pólelfie - odparł Dalamar z błyskiem w ciemnych oczach. - Każde z nas z własnego doświadczenia wie, jak potężny jest Raistlin.

- Raistlin Majere nie żyje - stwierdziła stanowczo Crysania, szybko wracając do siebie po chwilowej słabości. Wyprostowała się i wysunęła rękę z uścisku Tanisa. - Dzięki swemu poświęceniu spoczywa w spokoju. Jeśli Palin Majere został zwabiony do Otchłani - jej głos złagodził smutek - uczyniła to jakaś inna siła.

Dalamar już miał coś powiedzieć, ale zauważył ostrzegawczą minę Tanisa. Elf ciemności nic nie rzekł, choć jego wargi wykrzywił pogardliwy grymas.

Przez resztę drogi milczeli, zajęci własnymi myślami, które - sądząc po posępnych minach - nie były szczególnie miłe. Komendant zaprowadził ich do długiej sieni, ozdobionej sztandarami. Na każdym widniał herb rodowy jednej z osób znajdujących się obecnie w szeregach rycerstwa.

Flagi wisiały nieruchomo w upalnym, dusznym powietrzu. Spoglądając na długi szereg proporców, Tanis znalazł herb rodziny Majere, który dopiero co wymyślono dla dwóch braci pasowanych na rycerzy. Na sztandarze widniał pąk róży - symbol boga Majere, od którego rodzina wzięła imię - zanurzony w kuflu spienionego piwa. Zdaniem Tanisa godło to bardziej przypominało szyld oberży niż rycerski sztandar, lecz Caramon sam je zaprojektował i był z tego niezmiernie dumny. Tanis za bardzo kochał przyjaciela, żeby rzec choć jedno złe słowo o jego dziele. Na jego oczach dwóch paziów stojących na drabinach zakrywało sztandar krepą.

- Panowie, wielebna córko, wejdźcie, proszę.

Komendant otworzył drzwi do obszernej sali i poprosił przybyłych, aby zabrali

głos na naradzie.

Rada rycerzy zbiera się tylko w pewnych okolicznościach, które precyzuje reguła. Należy do nich konieczność ustalenia strategii wojennej, przydzielenie rozkazów, wybór lorda wojownika przed bitwą, wysłuchanie oskarżeń o postępowanie niegodne rycerza, uczczenie tych, którzy dzielnie się spisali i wyjaśnienie kwestii dotyczących reguły.

W skład rady wchodzi trzech rycerzy, po jednym z każdego zakonu: Róży, Miecza i Korony. Zasiadają oni za wielkim, umieszczonym naprzeciwko wejścia do sali narad stołem, który zdobią wyrzeźbione w drewnie symbole zakonów. Podczas obrad mogą być obecni rycerze, którym pozwalają na to obowiązki. Osoby, które chcą zabrać głos, stoją na wolnej przestrzeni, dokładnie naprzeciw stołu.

Po wyrecytowaniu przez obecnych rycerzy kodeksu *Est Sularus oth Mithas*, czasami śpiewa się rycerski hymn, jeśli radę zwołano z okazji jakiegoś szczęśliwego wydarzenia.

Na tym zebraniu trzej obecni rycerze wyrecytowali kodeks, a następnie zajęli miejsca. Nie odśpiewano hymnu.

- Muszę stwierdzić, że to historyczna okazja - oznajmił sir Thomas, gdy wszyscy już zostali sobie przedstawieni i przyniesiono krzesła dla gości. - I wybaczcie, że to powiem, ale nie wzbudza to we mnie zachwyty. Mówiąc bez ogródek, spotkanie was trojga tutaj, o tej porze... - Potrząsnął głową. - To mi pachnie zagładą.

- Powiedzmy raczej, że sprowadzono nas tutaj w celu uniknięcia zagłady, czcigodny panie - rzekła delikatnie pani Crysania.

- Modłę się do Paladine'a, obyś miała rację, wielebna córko - odparł sir Thomas. - Widzę, że się niecierpliwisz, panie czarodzieju. Jakież to przynosisz nam nowiny tak pilne, że skłoniły maga Czarnych Szat do stawienia się przed radą rycerzy - co nie zdarzyło się jeszcze w całej historii zakonu.

- Czcigodny panie! - Dalamar szybko przeszedł do rzeczy, by nie marnować więcej czasu. - Z wiarygodnych źródeł wiem, że rycerze Takhisis zaatakują tę twierdzę jutro o świcie.

Pani Crysania gwałtownie wciągnęła powietrze. - Jutro? - Tygrys u jej boku warknął cicho. Uspokoiła go szepnięciem i pieszczotliwym głaskaniem po łbie. - Tak szybko? Jak to możliwe?

Tanis westchnął w duchu. Więc o tym myślał Dalamar, kiedy mnie ostrzegął przed zostaniem. Jeśli nie odejdę, zostanę wciągnięty w bitwę. Ma rację. Powinienem

wyjechać, wrócić do domu.

Sir Thomas z Thalgaardu posłał zmartwione spojrzenie Dalamarowi, Tanisowi i pani Crysanii, a potem znów wrócił wzrokiem do Dalamara. Pozostali dwaj członkowie rady, rycerz Miecza i rycerz Korony, wciąż siedzieli sztywno wyprostowani, a ich surowe oblicza nie zdradzały, o czym myślą. Wypowiedzenie pierwszych słów zostawiono najwyższemu rangą rycerzowi.

Sir Thomas pociągnął za długie wąsy, które wyróżniały go spośród wszystkich rycerzy.

- Ufam, że źle tego nie zrozumiesz, czcigodny panie Dalamarze, jeśli śmiem poddać w wątpliwość powody, które kazały ci przynieść nam te wieści.

- Nie widzę potrzeby wyjaśniania powodów mego postępowania, panie - odparł chłodno Dalamar. - Wystarczy, jeśli powiem, że przybyłem uprzedzić was, abyście poczynili wszelkie możliwe przygotowania do odparcia tego ataku. Tanis Półelf, choć nie może ręczyć za motywy mojego postępowania, może zaświadczyć o mojej prawdomówności.

- Sądzę, że ja mogę poręczyć za jego motywy twojego postępowania - dodała cicho pani Crysania.

- Jeśli chcecie wiedzieć, skąd czerpię wiadomości, mogę bez trudu zaspokoić waszą ciekawość - ciągnął dalej Dalamar, nie przejmując się tym, że mu przerwano. - Niedawno przebywałem w towarzystwie pewnego rycerza Takhisis, mężczyzny imieniem Steel Brightblade.

- Syna Sturma Brightblade - nadmienił Tanis.

Trzej rycerze spochmurnieli; zmarszczki zasepienia jeszcze bardziej pobruździły ich oblicza. - To ten, który zbeczczył grób ojca - powiedział jeden z nich.

- Powiedzmy raczej, ten, który otrzymał błogosławieństwo ojca - poprawił Tanis, dodając z irytacją: - Do licha, wyjaśniałem okoliczności tego zajścia przed tym samym zgromadzeniem!

Trzej rycerze wymienili ukradkowe spojrzenia, lecz nic nie rzekli. Tanis Półelf był w Solamni legendarną postacią. Słynny bohater miał w tej części świata znaczne wpływy. Po wspomnianym incydencie ze Steelem Brightblade w świętym grobowcu rycerzy, Tanis zmuszony był stawić się przed rycerską radą i wyjaśnić, dlaczego młodzieńca wiernego Królowej Ciemności osobiście zaprowadził do Wieży Najwyższego Klerysta, a stamtąd do grobowca, gdzie ów młody człowiek popełnił straszliwe świętokradztwo, jakim było zakłócenie wiecznego spoczynku jego

bohaterskiego przodka. Steel Brightblade zniszczył ciało, skradł magiczny miecz ojca i zbiegł, raniąc w walce kilku rycerzy. Co więcej, Tanis Półelf i jego przyjaciel Caramon Majere udzielili złemu rycerzowi pomocy w ucieczce.

Tanis przedstawił to zajście z własnego punktu widzenia. Jego zdaniem Steel przyszedł złożyć hołd swemu rodzicowi. Miecz podarował mu ojciec, być może z nadzieją zawrócenia go z mrocznej ścieżki, jaką przyjdzie mu iść. Jeśli zaś chodzi o pomoc, jakiej udzielili mu Tanis i Caramon, obaj przysięgli młodzieńcowi bronić go do ostatniego tchu.

Rada rycerzy wysłuchiwała zeznań innych świadków, w szczególności wielebnej córki Crysanii, która wystąpiła w obronie obu mężczyzn, podkreślając stanowczo, że jest przekonana, iż w drodze do wieży czuwał nad nimi sam Paladine, choć bowiem Steel Brightblade przyodziały był we własną zbroję z lilią śmierci, wszystko wskazywało na to, że każdy solamnijski rycerz, który go spotkał, brał go omyłkowo za jednego ze swoich towarzyszy.

Rycerze nie mogli odrzucić tak wymownego i wzruszającego świadectwa. Orzekli, że Tanis Półelf postąpił szlachetnie, choć może nieopatrznie. Sprawę zamknięto, lecz - jak widać - najwyraźniej nie puszczono jej w niepamięć.

Sir Thomas westchnął i znów pociągnął się za wąsy. Spojrzał na pozostałych dwóch mężczyzn, którzy w odpowiedzi na jego milczące pytanie bez słowa pokiwali głowami na znak zgody.

- Dziękuję za ostrzeżenie, lordzie Dalamarze - rzekł sir Thomas. - Mogę wyznać, że twoją wiadomość potwierdzają informacje, jakie uzyskaliśmy z innych źródeł. Nie wiedzieliśmy, że atak nastąpi tak szybko, niemniej spodziewaliśmy się tego. Jesteśmy przygotowani.

- Nie zauważyłem wielkich przygotowań - rzekł chłodno Dalamar. Nachylił się i wskazał na mapę rozłożoną na stole. - Czcigodny panie, nie z garstką rycerzy macie do czynienia. To całe wojsko, wielka armia licząca tysiące. Rycerze ściągnęli z odległych krain barbarzyńców, którzy będą dla nich walczyć. Mają własnych czarodziejów, bardzo potężnych - wiem o tym - którzy nie uznają żadnych praw magii poza własnymi.

- Jesteśmy tego świadomi... - Zaczął sir Thomas.

- Niemniej możecie nie być świadomi tego, czcigodny panie, że gościli w Nerace. Kapłani ciemności weszli do nawiedzonych ruin i wezwali do boju duchy zmarłych. Zatrzymali się również w twierdzy Dargaard i nie wątpię, byście wśród

oddziałów szturmowych znaleźli lorda Sotha i jego wojowników. Ich wodzem jest lord Ariakan. Sami go wyszkoliliście! Sami wiecie lepiej ode mnie, ile jest wart.

Ponure miny rycerzy świadczyły o tym, że nie było co do tego wątpliwości.

Sir Thomas pokręcił się w krześle. - Wszystko, co powiedziałeś, jest szczerą prawdą, panie Dalamarze. Potwierdzają to nasi zwiadowcy. Ale podkreślam raz jeszcze, że Wieża Najwyższego Klerysta nigdy jeszcze nie padła, póki bronili jej ludzie wiary.

- Być może dlatego, że ludzie wiary nigdy jeszcze jej nie atakowali - niespodziewanie oznajmiła pani Crysania.

- Rycerze Takhisis wychowywali się razem od małych chłopców - powiedział Dalamar. - Są niezłomnie wierni swej królowej, dowódcom i sobie nawzajem. Dla sprawy poświęcą wszystko, łącznie z życiem. Postępują zgodnie z nakazami kodeksu honorowego, który dorównuje surowością waszemu. Prawdę powiedziawszy, lord Ariakan wzorował go na waszym kodeksie. Moim zdaniem, wielmożni panowie, nigdy jeszcze nie groziło wam tak wielkie niebezpieczeństwo.

Dalamar wskazał na okno. - Powiadacie, że jesteście przygotowani, a co zrobiliście? Wyglądam i widzę główny trakt, na którym powinno być tłoczno od konnych rycerzy i ich orszaków, pieszych żołnierzy, wozów i taborów zaopatrujących twierdzę w broń i prowiant. Tymczasem droga jest pusta!

- Tak, jest pusta - odparł sir Thomas. - Czy chcesz wiedzieć, dlaczego? - Złożył dłoń i oparł je na mapie. Spojrzeniem ogarnął wszystkich troje. - Dlatego, że znajduje się w rękach nieprzyjaciela.

Tanis westchnął i potarł się po zarośniętym podbródku. - Wysłaliśmy kurierów, Dalamarze. Wyruszyli na smokach, by zwołać rycerzy na wojnę. Nie ma ich od trzech dni. Widzisz, jaka jest reakcja.

- Ci, którzy posiadają ziemie i zamki na wschodnich granicach, przysłali wiadomość, że już są oblężeni. A niektórzy w ogóle nie odpowiedzieli - dorzucił sir Thomas. - W wielu przypadkach posłańcy, którzy mieli sprowadzić rycerzy, sami nie wrócili.

- Rozumiem - mruknął cicho Dalamar, zamyślony, marszcząc czoło. - Proszę mi wybaczyć. Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Wojska Ariakana posuwają się naprzód z szybkością pożaru. Ariakan wysłał żołnierzy, sprzęt i maszyny oblężnicze rzeką Vingaard na pokładzie olbrzymiej floty barek. Zwykle o tej porze roku nurt rzeki jest rwący, lecz z powodu suszy rzeka jest

teraz gładka i spokojna jak szklanica ciepłego piwa. Barki z załogami wschodnich barbarzyńców płyną szybko.

Żadna przeszkoda nie może zatrzymać tej armii. W jej szeregach znajdują się olbrzymie zwierzęta zwane mamutami, które potrafią ponoć przewrócić łbem żywe drzewo, podnieść pień długim nosem i odrzucić go na bok jakby to była gałązka. Górą lecą złe smoki, strzegąc wojsk i zatruwając smoczym strachem serca i umysły każdego, kto śmiałyby im stanąć na drodze. Nie wiedziałem o żywych trupach z Neraki ani o lordzie Socie, lecz nie dziwi mnie to.

Sir Thomas wyprostował się. Minę miał posępną, lecz surową i pełną godności. Jego głos był spokojny, a wzrok dumny i hardy.

- Jesteśmy przygotowani, czcigodni panowie i pani. Im mniej liczne szeregi, tym większa chwała, jak powiadają. - Rycerz uśmiechnął się lekko. - A Paladine i Kiri-Jolith są z nami.

- Niech was mają w swej opiece - szepnęła wielebna córka Crysania tak cicho, że trudno ją było usłyszeć. W zamyśleniu głąskała tygrysa po głowie.

Sir Thomas przyglądał jej się z zatroskaniem. - Wielebna córko, dzień chyli się ku końcowi. Powinnaś przed zmierzchem wrócić do Palanthas. Wezwę eskortę, by cię odprowadziła...

Pani Crysania uniosła głowę. - Chyba nie uczynisz czegoś tak nierozsądnego, sir Thomasie? Potrzebny ci każdy człowiek. Złoty smok, który mi służy w imię Paladine'a, przyniósł nas tutaj. Ognistozłoty odwiezie nas bezpiecznie. - Poglądziła tygrysa, który podniósł się na nogi. - Mój przewodnik, Tandar, zadba o to, by nie stała mi się krzywda.

Tygrys nazwany Tandarem zmierzył wszystkich wzrokiem i Tanis nie miał wątpliwości, że w towarzystwie tego dzikiego, walecznego i wiernego towarzysza Crysania będzie równie bezpieczna, jak z całym pułkiem rycerzy.

Wstała, by udać się do wyjścia. Rycerze oraz Tanis i Dalamar wstali z szacunkiem.

- Kilku kapłanów już jest w drodze, aby wam pomóc. Jadą z wozem pełnym prowiantu i powinni przybyć dzisiejszej nocy. Zgłosili się na ochotnika, czcigodny panie - powiedziała, uprzedzając sprzeciw sir Thomasa. - Sądzę, że wam się przydadzą.

- Będą bardzo mile widziani - odrzekł rycerz. - Dziękuję, wielebna córko.

- Choć tyle mogę dla was zrobić - powiedziała kapłanka, wzdychając. -

Żegnajcie. Niech bogowie zostaną z wami. Będę się za was modlić.

Odwróciła się. Wiedziona przez tygrysa, opuściła komnatę. Po drodze minęła Tanisa. Półelf usłyszał, jak cichym szeptem dodała: - Jeśli ktokolwiek słucha...

- I ja się oddałę - rzekł Dalamar. Zaproponowałbym wam czarnoksięską pomoc, lecz wiem, że nie zostałyby przyjęta. Przypominam wam jednak, że lord Ariakan zrównał czarodziejów pod względem praw i godności z wojownikami swej armii.

Sir Thomas odpowiedział z ubolewaniem: - Jestem tego świadom, panie czarodzieju i dziękuję za propozycję. Nasi rycerze nigdy nie uprawiali sztuki łączenia szermierki i magii. Obawiam się, że w takich okolicznościach mogłoby wyniknąć z tego więcej złego niż dobrego.

- Zapewne masz rację, czcigodny panie - odparł Dalamar z sardonicznym uśmiechem. - Zatem życzę wam wszystkim szczęścia. Nie będziecie mieli mi za złe, jeśli powiem, że będzie wam potrzebne. Żegnajcie.

- Dziękuję, lordzie Dalamarze - powiedział sir Thomas. - Być może twoje ostrzeżenie nas ocaliło.

Dalamar wzruszył ramionami, jakby ta sprawa przestała go interesować. Spojrzał na Tanisa. - Idziesz ze mną?

Sir Thomas popatrzył na Półelfa. Wszyscy w pokoju czekali na jego decyzję - odejście czy zostanie?

Tanis podrapał się po brodzie, świadom, że musi podjąć jakiś krok. Jedynym sposobem, by się bezpiecznie oddalić, była podróż drogą magii pod przewodnictwem Dalamara.

Sir Thomas zbliżył się do Tanisa i poprosił go o rozmowę na osobności.

- Zaczekam na ciebie, Półelfie - powiedział Dalamar, dodając jednak ostrzegawczo: - ale niedługo.

Tanis i sir Thomas wyszli, na mały balkon przy sali narad. Do zmierzchu było jeszcze daleko, lecz rzucany przez góry cień sprawiał, że w Wieży zapadła już przedwczesna noc. W dole na dziedzińcu stał olbrzymi, wspaniały smok Ognistożłoty, który służył wielebnej córce Crysanii. Inne smoki, przeważnie srebrne, strzegły Wieży, zataczając wokół niej kręgi.

Sir Thomas oparł się o balustradę i spojrzał w zapadający zmrok.

- Będę z tobą szczery, Tanisie - rzucił półgłosem rycerz.

- Przydałaby mi się twoja pomoc. Nie tylko twoje zbrojne ramię. Potrzebuję cię w sztabie dowódców. Rycerze, którzy zostali, by bronić Wieży, są przeważnie

młodzikami świeżo przyjętymi w szeregi rycerstwa. Ich ojcowie i starsi bracia - ci, których zwykle wyznaczyłbym na dowódców - zostali w rodzinnych stronach, by bronić dworów i miast.

- Tam też jest moje miejsce - oznajmił Tanis.

- Przyznaję ci rację - zgodził się bez oporów sir Thomas. - A jeśli postanowisz odejść, pierwszy będę ci życzył szerokiej drogi. - Rycerz odwrócił się i spojrzał Tanisowi prosto w twarz. - Znasz sytuację równie dobrze jak ja. Mamy do czynienia z przeważającymi siłami wroga. Wieża Najwyższego Klerysta musi się obronić, bo inaczej padnie cała Solamnia. Ariakan zawładnie północną częścią Ansalonu. Tu założy nową bazę operacyjną. Stąd będzie mógł w dogodnej chwili ruszyć z natarciem na południe. Upłynie wiele miesięcy, zanim zdołamy przegrupować się i odbić Wieżę - jeśli w ogóle nam się to uda.

Tanis wiedział o tym aż za dobrze. Wiedział też, że gdyby pięć lat temu narody Ansalonu posłuchały jego, Laurany, pani Crysanii i - tak, nawet Dalamara - nigdy nie doszłoby do tego. Gdyby tylko elfowie, krasnoludowie i ludzie zapomnieli o swych nieistotnych sporach i troskach i zawiazali przymierze, jakie im proponowano. Wieża miałyby teraz aż nadto obrońców.

Tanis widział ich oczami wyobraźni: elfi łucznicy stali rzędami na murach, dzielni krasnoludzcy wojownicy strzegli bram, a wszystkim ramię w ramię towarzyszyli ludzie.

Był to piękny obraz, który jednak nigdy nie zostanie namalowany.

Jeśli wrócę do domu, pomyślał, zastanę w nim pustki. Nie będzie w nim Laurany. Tanis pożegnał się już z żoną. Oboje wtedy wiedzieli, że to rozstanie może okazać się ich ostatnim. Zaczął wspominać.

*

Zatrzymawszy się przy swym domu w drodze z Solace do Wieży Najwyższego Klerysta, Tanis jak zwykle spodziewał się serdecznego powitania. Jednak się go nie doczekał.

Nikt nie wybiegł ze stajni, by zająć się gryfem, na którym przyleciał. Żaden służący nie powitał go w progu, a ci, którzy go mijali, zaprzątniętymi pracą, kłaniali mu się śpiesznie i znikali w innych częściach rozległego dworu. Nigdzie nie widział swojej żony, Laurany. Dokładnie pośrodku wejścia stał wielki podróżny kufer, obok którego Tanis musiał się przecisnąć. Słyszał głosy i kroki dobiegające z górnych pięter. Poszedł więc po schodach na górę, by wyjaśnić wreszcie cały ten zgiełk i zamieszanie.

Znalazł Lauranę w sypialni. Na łóżku, jak i wszystkich innych miejscach - na krzesłach, ręcznie malowanych parawanach - wisiały ubrania. Kufer podróżny, mniejszy niż ten na dole, stał pośrodku komnaty. Laurana i trzy pokojówki były zajęte sortowaniem, składaniem i pakowaniem strojów. Nawet nie zauważyły stojącego w drzwiach Tanisa.

Pótlef milczał, korzystając z tej krótkiej chwili, by obserwować żonę, przyglądać się, jak słońce błyszczy w jej złotych włosach, żeby podziwiać jej wdzięczne ruchy i słuchać muzyki jej głosu. Zapamiętał ten obraz, by nosić go w myślach tak, jak na sercu nosił jej miniaturowy portret.

Laurana była elfem, a elfowie nie starzeją się tak szybko jak ludzie. Na pierwszy rzut oka mogłaby wydawać się młodziutką kobietą. Gdyby została w swej elfiej ojczyźnie, mogłaby zachować ten wiecznie młody wygląd. Nie zrobiła jednak tego. Postanowiła poślubić mieszańca; odcięła się od rodziny i przyjaciół, zamieszkała w krainie ludzi. Jednocześnie przez lata, które upłynęły od tego czasu, nieprzerwanie i bez wytchnienia dokładała wysiłków, by zakończyć konflikt dzielący obie rasy.

Ta praca, ciężar, przebłycki nadziei, po których upadały marzenia - wszystko to zgasiło blask jej spokojnego i czystego elfiego ducha. Cery Laurany nie szpeciły zmarszczki ani bruzdy, mimo to jej oczy przyćmił smutek. Siwizna nie przyprószyła jej złotych włosów, lecz znikł ich połysk. Każdy elf patrząc na Lauranę, powiedziałby, że się przedwcześnie postarzała.

Wpatrując się w żonę, Tanis kochał ją teraz jak nigdy jeszcze w życiu. W tej samej chwili uświadomił sobie, że być może to ich ostatnie spotkanie w tym życiu.

- Hm! - Chrząknął głośno.

Pokojówki podskoczyły, chwytając nagle powietrze. Jedna upuściła składaną właśnie sukienkę.

Laurana podniosła wzrok znad kufra, nad którym była schylona, wyprostowała się i uśmiechnęła na widok męża.

- Co tu się dzieje? - Zaciekawiał się Tanis.

- Skończcie pakować - Laurana poleciła służbie - a resztę strojów zanieście do schowka. - Krążąc wśród płaszczy i kapeluszy, dotarła wreszcie do męża.

Ucałowała go serdecznie. Tanis objął ją. Przez chwilę ich serca rozmawiały w czulej ciszy. Potem Laurana zaprowadziła Tanisa do gabinetu i zamknęła drzwi. Odwróciła się do męża z błyskiem w oczach.

- Zgadnij, co się stało! - Oznajmiła i odpowiedziała, zanim zdążył zacząć

zgadywać - dostałam wiadomość od Gilthasa! Zaprosił mnie do Qualinesti!

- Co takiego? - Zdumiał się Tanis.

Laurana wciąż ponawiała próby zmuszenia Qualinestyjczyków do wpuszczenia jej do swej krainy, żeby mogła być w pobliżu syna. Wciąż jednak spotykała się z odmową. Powiedziano jej, że jeśli ona lub jej mąż zbliżą się choćby do granicy kraju elfów, narażą się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Skąd ta nagła zmiana? - Tanisowi nie było wesoło.

Laurana nie odpowiedziała. Rozwinęła zwój zapieczętowany znakiem słońca, symbolem Mówcy Słońc. Ten tytuł nosił obecnie Gil.

Tanis przyjrzał się złamanej pieczęci, rozwinął pergamin i przeczytał.

- Pismo Gila - stwierdził - ale to nie są słowa naszego syna. Ktoś mu je podyktował.

- Racja - powiedziała nie wzruszona tym Laurana. - Tak czy inaczej jest to jednak zaproszenie.

- Zgubne zaproszenie - oznajmił bez ogródek Tanis. - Qualinestyjczycy trzymali w niewoli Alhanę Starbreeze. Grozili jej śmiercią i moim zdaniem, zabiliby ją, gdyby Gil nie przystał na współudział w spiskach senatorów. To jakaś pułapka.

- Ależ oczywiście, głuptasie - rzekła do niego z radosnym błyskiem w oczach. Szybko cmoknęła go w policzek i potargała mu dłonią brodę, w której było tyle siwych pasemek, że przestał je już liczyć. - Jednakże, jak miał zwyczaj powiadać drogi Flint, „Pułapka tylko wtedy jest pułapką, gdy wdepniesz w nią, zanim ją zauważysz”. A tę widzę z odległości mili. No proszę... - Dogadywała mu ze śmiechem - nawet ty ją dostrzegłeś bez pomocy okularów.

- Noszę je tylko do czytania - odparł, udając złość. Starzenie się Tanisa od dawna było tematem ich żartów. Teraz wyciągnął do Laurany rękę, ona zaś wtuliła się w jego objęcia. - Przypuszczam, że do mnie nie skierowano podobnego zaproszenia?

- Nie, mój drogi - powiedziała delikatnie. - Przykro mi.

- Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. - Spróbuję, kiedy już będę na miejscu...

Potrząsnął głową. - Nie dasz rady. Mimo to cieszę się, że chociaż ty tam będziesz. Porthios i Alhana...

- Alhana! Dziecko! Nawet nie spytałam! Jak...

- Zdrowi. Matka i syn. Muszę przyznać, że gdybyś widziała Porthiosa trzymającego dziecko, nie poznałabyś go.

- Poznałabym - rzekła Laurana. - W końcu jest moim starszym bratem. Zawsze

był dla mnie dobry i kochający. Tak, naprawdę - dodała, widząc pełne powątpiewania oczy Tanisa.

- Nawet wtedy, gdy był tak niemożliwie uparty i zapięły w swych uprzedzeniach, wiedziałam, że jedynie stara się oszczędzić mi cierpienie i smutku.

- Nie udało mu się - stwierdził z żalem Tanis. - I tak wyszłaś za mnie; spójrz, do czego cię doprowadziłem.

- Doprowadziłeś mnie do domu, najdroższy mężu - szepnęła Laurana. - Doprowadziłeś mnie do domu.

Siedzieli i bardzo długo rozmawiali o przeszłości, o przyjaciółach, którzy gdzieś tam wyjechali i tych, którzy dawno odeszli z tego świata. Mówili o Gilu i dzielili się wspomnieniami, miłością, nadzieją i obawami. Mówili o świecie, o jego troskach, starych i nowych. Siedzieli, gawędzili i trzymali się za ręce, świadomi, że ta chwila jest bezcenna i wkrótce musi nadejść jej kres.

Pożegnali się. On miał tej nocy polecieć na północ, by następnego dnia dotrzeć do Wieży Najwyższego Klerysta. Ona miała o świecie wyruszyć w podróż do Qualinesti.

O północy Laurana odprowadziła go do drzwi. Służba położyła się spać. W dworze panowała cisza; wkrótce dom całkiem opustoszeje. Wspólnie uzgodnili, że zwolnią służbę. Wiedzieli, że oboje nieprędko tu wrócą. Już teraz wyczuwało się w domu pustkę. Echo ich kroków dźwięczało w ciszy.

Może zawsze będzie je słyszeć, kiedy ich już nie będzie. Może po tym domu będą chodzić ich cienie, błogosławione duchy miłości i śmiechu.

Objęli się mocno, szepotali urywane słowa czułości i pożegnania, a potem się rozstali.

Obejrząwszy się, Tanis ujrzał w blasku księżycy stojącą na progu Lauranę. Nie było łez. Uśmiechnęła się do niego i pomachała mu.

On też się uśmiechnął i uniósł rękę na pożegnanie.

Doprowadziłeś mnie do domu, dźwięczało echo słów. Doprowadziłeś mnie do domu.

*

Wspomnienia zbladły. Tanis przemyślał decyzję. Mógłby wrócić do domu, lecz zostałby sam w tym pustym - tak bardzo pustym - rozbrzmiewającym echem gmachu. Widział, jak krąży po pokoju, zastanawiając się, co się dzieje w wieży, czy Laurana jest bezpieczna, czy Gil jest zdrowy, czy nieprzyjaciel atakuje Palanthas, jak trawi go niecierpliwość, ponieważ niczego nie wie, jak podbiega do drzwi za każdym razem,

gdy usłyszysz tętent kopyt, jak się obwinia...

Niech bogowie wskażą ci drogę.

Na dziedzińcu wielebna córka Crysania wsiadała na grzbiet Ognistozłotego. Tygrys o ludzkich oczach przysiadł opiekuńczo u jej boku. Spojrzawszy w dół, Tanis usłyszał słowa kapłanki.

Jeśli ktokolwiek słucha...

Tygrys uniósł głowę i spojrzał w górę, wprost na Tanisa. Wtedy, jakby przewodnik przekazał jej jakąś informację, Crysania skierowała w stronę Półelfa swe ślepe oczy, które zdawały się tak dużo widzieć. Uniosła rękę gestem błogosławieństwa... A może pożegnania?

Ból wyboru minął. Tanis zrozumiał, że podjął już decyzję. Dokonał tego dawno temu, w gospodzie „Ostatni Dom” w tej samej chwili, gdy w jego życie wkroczyli Goldmoon, Riverwind i laska z błękitnego kryształu. Tanis przypomniał sobie ten moment i pamiętne słowa, które wypowiedział przy tej okazji, słowa, które na zawsze zmieniły jego życie.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem. Powiedziałeś coś? Sir Thomas mierzył Półelfa wzrokiem pełnym zakłopotania i troski.

Zapewne myśli, że staruszek nie wytrzymał napięcia psychicznego. Tanis uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową.

- Nieważne, czcigodny panie. Wspominałem tylko stare dzieje.

Przeniósł spojrzenie z pani Crysanii na miejsce na murach, które wyróżniała szkarłatna plama. Rycerze traktowali je z czcią i unikali stąpania po zakrwawionych kamieniach, obchodząc je dookoła w pełnej szacunku ciszy. Tanis niemalże widział stojącego tam Sturma i wiedział, że dokonał właściwego wyboru.

Tanis powtórzył słowa, które wówczas wypowiedział. Nic dziwnego, że sir Thomas miał zdziwioną minę. Nie były to podniosłe słowa, których echo będzie rozbrzmiewać w skarbnicy historii. Niemniej mówiły coś ważnego o tej dziwnej, nieprawdopodobnej grupce tak różnych przyjaciół, którzy wyruszyli zmieniać świat.

- Wyjdziemy przez kuchnię.

Odwróciwszy się ze śmiechem, Tanis wrócił do wieży.

Rozdział II

POWRÓT. SĄD.

WYROK ZOSTAJE WYDANY

Na równinie solamnijskiej panowała noc, choć niewielu znajdujących się w obozie rycerzy Takhisis mogło to poznać. Armie ciemności przegnały mrok. Zakazano palenia ognisk; lord Ariakan nie miał bowiem ochoty wywołać pożaru, a z powodu upałów trawa na równinie była sucha jak pieprz. Tymczasem rycerze Ciernia, czarodzieje w szarych szatach, przynieśli olbrzymie kule zrobione z kryształu, które jaśniały szarym blaskiem. Zawieszane na gałęziach drzewa, zmieniły noc w niesamowity dzień.

Steel już z oddali dostrzegł światła. Lord Ariakan gardził skrywaniem w mroku liczebności swych sił. Chciał by nieprzyjaciel widział pełną moc jego armii i podupał na duchu. Ten widok zaimponował nawet Steelowi, który krążył nad obozem na grzbiecie niebieskiej smoczy. Flare wylądowała na zaoranym polu, na którym plony zmarniały z upału. Opiekunowie smoków podbiegli, by pomóc rycerzowi zsiąść z siodła, wskazać mu drogę do głównego obozu i zatroszczyć się o smoczyce.

Flare pragnęła jedynie dołączyć do swych towarzyszy. Słyszała ich wołanie, zanim jeszcze ich ujrzała. Upewniwszy się, że Steel do rana nie będzie jej potrzebował, odleciała tam, gdzie zgromadziły się niebieskie smoki.

To one właśnie były ulubionymi wierzchowcami rycerzy Takhisis. Smoki są ogromnie niezależne i z reguły nie mają dobrego zdania o ludziach. Większość smoków z trudem słucha rozkazów istot, które według nich należą do gorszej kategorii, a dla pewnych rodzajów smoków posłuszeństwo jest zupełnie niemożliwe.

Czarne smoki są przebiegłe, samolubne i niegodne zaufania. Nie mogą im zawierzyć nawet ci, którym pozornie służą. Nie odczuwają bowiem potrzeby poświęcania się dla jakiegokolwiek sprawy poza własną, a choć dają się skłonić do walki, równie dobrze mogą w połowie potyczki opuścić pole bitwy, by zająć się własnymi sprawami.

Podczas Wojny Lancy czerwone smoki były ulubionymi wierzchowcami licznych dowódców, w tym również otoczonego złą sławą smoczego władcy Verminaarda. Olbrzymie, ziejące ogniem, złośliwe czerwone smoki nie miały cierpliwości do subtelnych niuansów sztuki wojennej Ariakana. Dla czerwonego smoka atak na miasto polega na spaleniu, splądrowaniu i zniszczeniu grodu oraz zabiciu wszystkich mieszkańców. Pomysł, że całe miasto z żywymi i zdrowymi mieszkańcami bardziej się przyda Królowej Ciemności niż sterta gruzów i rozkładających się trupów, czerwone smoki uznawały za bluźnierstwo. Niech dym pożogi i smród śmierci rozgłasza chwałę Jej Mrocznego Majestatu, nie wspominając już o blasku złota schowanego w smoczym legowisku.

Podczas ostatniej smoczej wojny zielone smoki okazały się bezużyteczne w bitwie. Zaczęły walczyć, dopiero gdy zostaną przyparte do muru. Wolą raczej wciągnąć przeciwnika w pułapkę przy pomocy swych potężnych czarów. Zielone smoki nie darzą więc wielkim szacunkiem wojskowych dowódców, choć gotowe są słuchać rozkazów rycerzy Ciernia - czarodziejów Szarych Szat - jeśli będą przekonane, że same na tym coś zyskają.

Przyzwyczajone do życia w zimnym klimacie białe smoki nieomal zupełnie zniknęły w nietypowym i niszczycielskim upale, który stopił krę na rzekach i rozpuścił smocze jaskinie lodowe.

Lord Ariakan wybrał na wierzchowce dla swych rycerzy niebieskie smoki i dobrze na tym wyszedł. Niebieskie smoki nawet lubiły śmiertelników i były wierne zarówno swym jeźdźcom, jak i sobie nawzajem. Słuchały rozkazów, walczyły świetnie jako zorganizowana jednostka i - co najważniejsze - potrafiły jasno zrozumieć Objawienie i swoje w nim miejsce.

Steel zostawił Flare w towarzystwie pobratymców, którzy powitali ją radosnymi okrzykami we własnym języku. Kilka niebieskich smoków trzymało straż, krążąc po niebie, lecz większość była na ziemi i odpoczywała przed wielką bitwą. Ariakan nie obawiał się napaści, zabezpieczył sobie bowiem tyły. Jego olbrzymia armia przetoczyła się przez północny Ansalon jak rozszałały pożar, który spalił wszystko na swej drodze.

Steel wszedł do obozu pieszo, rozglądając się za sztandarem oznaczającym miejsce pobytu jego szponu. Wkrótce stwierdził, że ze względu na liczebność wojska zgromadzonego na równinie jest to prawie niemożliwe. Widząc, że tak bezskutecznie może szukać swego oddziału przez całą noc, zatrzymał się i spytał oficera, który

wskazał mu właściwą drogę.

Trevalin odbywał spotkanie ze swymi oficerami. W chwili, gdy Steel przybył, przerwał i gestem wezwał rycerza do siebie.

- Panie podkomendancie, rycerz Brightblade melduje swą gotowość do służby - oznajmił Steel, salutując.

- Brightblade. - Trevalin uśmiechnął się. - Cieszę się, że was widzę. Naprawdę cieszę się. Niektórzy sądzą, że możecie nie wrócić.

Steel spojrział ponuro. To była obraza dla jego honoru. Przysługiwało mu prawo do konfrontacji z oszczercą. - A kto tak powiedział, panie podkomendancie?

- Pani Nocy, która sama była odpowiedzialna za wysłanie was z tą idiotyczną misją. - Trevalin skrzywił się, jakby poczuł w ustach niemiły smak. - Zważcie, że nie powiedziała niczego wprost. Ma dość rozumu, żeby publicznie nie narażać na szwank honoru jednego z moich rycerzy. Mimo to kręciła się tu cały dzień, rzucając podstępne uwagi: „Spokojnie, żołnierzu. Zapomnijcie o tym. Macie poważniejsze zmartwienia”.

Uśmiechnięty dotychczas Trevalin zacisnął ponuro wargi. Steel domyślił się, o czym teraz będzie mowa.

- Lord Ariakan był tu osobiście i szukał was. Zostawił rozkazy. Macie się natychmiast u niego zameldować. - Trevalin popatrzył łagodniej i położył dłoń na ramieniu Steela. - Sądzę, że dziś wieczorem zamierza postawić was przed sądem, Brightblade. Tak czynił z innymi. „Aby zachować dyscyplinę, trzeba szybko wymierzać sprawiedliwość”, powiada. - Trevalin machnął ręką. - Tam pośrodku jest jego namiot. Mam was sam do niego zaprowadzić. Lepiej już chodźmy. Lord Ariakan polecił stawić się natychmiast.

Steel zacisnął zęby. Tego wieczoru zostanie osądzony i z całą pewnością skazany. Potem odbędzie się egzekucja. Łzy szczypały go pod powiekami, lecz nie ze strachu, a z gorzkiego rozczarowania. Jutro rycerze wyruszą do ataku na Wieżę Najwyższego Klerysta. Z pewnością będzie to decydująca bitwa całej kampanii, a jego to ominie.

Ze wzrokiem zmaconym przez łzy powoli wydobyl ojcowski miecz z pochwy i podał go Trevalinowi. - Oddaję się w wasze ręce, panie podkomendancie.

Miecz Brightblade'ów podobno należał niegdyś do jednego z prastarych bohaterów rycerstwa, Bertela Brightblade. Przez wieki ojcowie przekazywali go synom i jak głosiła legenda, oręż miał złamać się dopiero wtedy, gdy wpierw złamie się ten, który nim włada. Miecz chowano razem ze zmarłym, by po dojściu do pełnoletności

otrzymał go kolejny Brightblade. Polerowana troskliwie przez Steela prastara, stalowa klinga rzucała refleksy, jednak nie zimnego, szarego światła czarodziejów Takhisis - miecz rozsiewał własną, jasnosrebrzystą poświatę.

Trevalin przyjrzał się rękojeści zdobionej znakiem zimorodka i róży - symbolami rycerzy solamnijskich - i potrząsnął głową.

- Ja go nie dotknę. Muszę mieć jutro zdrowe ręce. Nie chcę, żeby spalił mi je gniew Paladine'a. Zdumiewa mnie, że wy możecie bezkarnie brać do rąk ten artefakt. Pani Nocy również wyrażała swe zdziwienie. To była jedna z jej uwag wymierzonych przeciwko wam.

- Ten miecz należał do mego ojca - rzekł Steel, z dumą i troskliwością owijając pochwę pasem. - Lord Ariakan zezwolił mi go nosić.

- Wiem o tym, podobnie jak Pani Nocy. Ciekawe, co takiego zrobiliście, Brightblade, że tak was nienawidzi? Och, cóż. Z czarodziejami nigdy nic nie wiadomo. Poczekajcie tutaj, a ja powiadomię pozostałych, że wychodzimy.

Spacer nie był długi. Rozprawa również.

Ariakan najwyraźniej rozkazał ich wypatrywać, natychmiast bowiem po przybyciu zostali rozpoznani przez rycerza ze sztabu. Wysłannik przeprowadził ich przez liczny, choć zdyscyplinowany tłum oficerów, kurierów i adiutantów, którzy czekali, aż lord Ariakan poświęci im chwilę uwagi.

Rycerz zaprowadził ich do obszernego namiotu, nad którym powiewał sztandar Ariakana - czarna flaga z oplatającą miecz lilią śmierci. Sam lord siedział przy niewielkim stoliku z czarnodrzewu, który otrzymał w prezencie od swych podwładnych w rocznicę założenia zakonu. Niesiony z resztą bagażu stół wszędzie towarzyszył Ariakanowi. Tego wieczoru większą część czarnego, lśniącego blatu pokrywały zgrabnie przewiązane i odsunięte na bok zwoje map. Pośrodku namiotu, naprzeciw Ariakana znajdowała się olbrzymia skrzynia wypełniona piaskiem i kamieniami, które ułożono tak, by przedstawiały pole walki.

Ariakan był niezmiernie dumny ze skrzyni bojowej, która była jego pomysłem. Piasek i kamyki można było wygładzić i ponownie nadać im układ dowolnego terenu. Duże kamienie przedstawiały góry Vingaard. Palanthas - ze złotymi budowlami otoczonymi murem z kamyczków - znajdowało się w zachodnim rogu skrzyni, tuż przy plamie z kruszonego lapisu, która udawała Zatokę Branchali. Na przełęczy w górach stała wyrzeźbiona z białego jadeitu miniaturowa Wieża Najwyższego Klerysta. W jej pobliżu ustawiono maleńkich rycerzy ze srebra oraz srebrne smoki i kilka złotych.

Wykonani z lśniącego obsydianu rycerze Takhisis otaczali wieżę, a na skałach siedziały smoki z niebieskich szafirów. Głowy wszystkich zwrócone były w jednym kierunku: ku Wieży. W ten sposób ustalono pozycję oddziałów. Wszystkie szpony otrzymały już rozkazy. W ręku rycerzyka na maleńkim, niebieskim smoku Steel dostrzegł flagę własnego szponu.

- Rycerzu Brightblade - powiedział ktoś surowym, głębokim głosem. - Zbliżcie się.

Był to sam Ariakan. Podkomendant Trevalin i Steel wystąpili naprzód, czując jak stłoczeni przed namiotem mężczyźni mierzą ich wzrokiem.

Ariakan siedział za stołem i spisywał w wielkiej, oprawionej w skórę księdze historię swych bitew, nad którą pracował w każdej wolnej chwili. Steel stał wystarczająco blisko, by dostrzec na stronicy zgrabne znaki, które w przybliżeniu oddawały położenie oddziałów przedstawionych w skrzyni bojowej.

- Panie, podkomendant Trevalin melduje się z więźniem wedle rozkazu.

Ariakan postawił ostatni zakrętas, przerwał na chwilę, by przyjrzeć się swemu dziełu, a potem skinął na adiutanta i odsunął księgę na bok. Adiutant posypał stronicę piaskiem, by wysuszyć inkaust, po czym zabrał księgę.

Lord Nocy, komendant i założyciel rycerzy Takhisis, skupił uwagę na Steelu.

Mając ledwie pięćdziesiąt lat, Ariakan był w kwiecie wieku. Ten wysoki, silny i krzepki mężczyzna wciąż był sprawnym wojownikiem, który potrafił dać sobie radę we wszelkich turniejach. Niegdyś był z niego przystojny młodzieniec. Teraz, w średnim wieku, ze swym ostrym, orlim nosem i błyszczącymi przenikliwymi czarnymi oczyma przypominał morskiego jastrzębia. Skojarzenie było jak najbardziej na miejscu, albowiem powiadano, że matką Ariakana była Zeboim, bogini morza i córka Takhisis.

Czupryna Ariakana, choć siwiejąca na skroniach, była gęsta i czarna. Lord nosił długie włosy, które zaczesywał do tyłu i ściągał na karku plecionym, czarno-srebrnym rzemieniem. Jego gładko ogolona twarz była ogorziała od słońca i wiatru. Ariakan był inteligentny, potrafił być czarujący, kiedy miał na to ochotę i wzbudzał wielki szacunek podwładnych. Miał opinię człowieka sprawiedliwego, niedostępnego i zimnego jak głębiny oceanu. Sam oddany ciałem, umysłem i duszą Królowej Takhisis, spodziewał się nie mniejszego poświęcenia od tych, którzy byli mu wierni.

Spoglądał teraz na Steela, którego przyjął do zakonu rycerskiego, gdy ten miał dwanaście lat, i choć jego oczy były smutne, nie znać w nich było litości i współczucia.

Steel czułby się zaskoczony i prawdopodobnie rozczarowany, gdyby było inaczej.

- Oskarżony rycerz Brightblade stoi przed nami. Gdzie ten, który mu stawia zarzuty?

Z tłumu wystąpiła odziana w szare szaty czarodziejka, która przyczyniła się do wysłania Steela na tę pechową misję.

- To ja, czcigodny panie - powiedziała Pani Nocy. Nie patrzyła na Steela.

Ten zaś nie odrywał dumnego spojrzenia od Ariakana.

- Podkomendancie Trevalin - ciągnął lord - dziękuję za przysługę. Przyprawdziliście więźnia zgodnie z rozkazem. Możecie już wracać do swego szponu.

Trevalin zasalutował, lecz nie od razu wyszedł. - Czcigodny panie, przed odejściem proszę o zezwolenie na zabranie głosu w obronie więźnia. Skłania mnie ku temu Objawienie.

Ariakan uniósł brwi i skinął głową. Objawienie miało pierwszeństwo przed wszystkim innym i nie odwoływano się do niego bez potrzeby. - Mówcie, podkomendancie.

- Dziękuję, czcigodny panie. Proszę zanotować moje słowa. Steel Brightblade jest jednym z najdzielniejszych żołnierzy, jakimi miałem zaszczyt dowodzić. Jego odwaga i umiejętności są niekwestionowane. Jego wierność Objawieniu jest niezachwiana. Cnoty te udowodnił nieraz w boju i nie powinno się teraz poddawać ich w wątpliwość. - Mówiąc to, Trevalin rzucił złym okiem na Panią Nocy. - Strata rycerza Brightblade'a będzie dla nas wszystkich wielką, panie. Będzie stratą dla Objawienia.

- Dziękuję, podkomendancie Trevalin - oznajmił Ariakan chłodno i beznamiętnie. - To, co powiedziałaś, zostanie wzięte pod uwagę. Możecie odejść.

Trevalin zasalutował, skłonił się i przed wyjściem szepnął jeszcze Steelowi kilka słów otuchy.

Rycerz, który mocno ścisnął w obu dłoniach miecz swego ojca, skinął głową na znak podziękowania, lecz nadal milczał. Trevalin opuścił namiot, potrząsając głową.

Ariakan uczynił gest dłonią. - Przynieś swój miecz, rycerzu.

Steel zbliżył się do stołu.

- Wyjmij go z pochwy - ciągnął Ariakan - i połóż przede mną.

Steel posłusznie wypełnił polecenie. Wydobywszy oręż z nadwerżonej i mocno wytartej pochwy, położył go w poprzek przed swym panem. Miecz już nie błyszczał, wydawał się szary i matowy, jakby przyćmiła go mroczna obecność Ariakana.

Steel cofnął się o pięć kroków i stanął nieruchomo, sztywno wyprostowany, z

dłońmi wzdłuż boków i wzrokiem utkwionym przed siebie.

Ariakan zwrócił się do czarodziejki Szarych Szat. - Proszę wygłosić swe zarzuty wobec rycerza, Pani Nocy.

Lilith zgrzytliwym głosem opowiedziała, jak Steel dobrowolnie zgłosił się, by zawieźć zwłoki dwóch rycerzy solamnijskich ich ojcu, przyznając, że tym samym spłacał dług honorowy. Oglądając się na Steela, Ariakan lekkim skinieniem głowy wyraził swą aprobatę. Lord znał jego historię i wiedział, że rycerz zawdzięczał wolność - a bardzo możliwe, że i życie - Caramonowi Majere. Ten dług został już spłacony.

Pani Nocy dalej mówiła o tym, jak Steel podjął się pilnowania młodego maga, Palina Majere, jak przyjął jego obietnicę i zgodził się w razie ucieczki jeńca wziąć na siebie ciężący na nim wyrok śmierci.

- Rycerz znów jest wśród nas, czcigodny panie - podsumowała Pani Nocy. - Ale nie więzień. Misja Brightblade'a zakończyła się niepowodzeniem. Pozwolił więźniowi zbiec. W rzeczy samej, czcigodny panie - dodała, podchodząc bliżej do biurka, nachylając nad nim i przysuwając do Ariakana, jakby zamierzała ujawnić jakiś straszliwy spisek. Zniżyła głos, który brzmiał teraz gardłowo i sycząco. - Zważywszy na pochodzenie Brightblade'a, moim zdaniem pomógł jeńcowi w ucieczce.

- Zechciej mówić jaśniej, Pani Nocy - rzekł Ariakan z nutą zniecierpliwienia w głosie. Choć znał i doceniał wartość czarodziejów, podobnie jak większość wojowników szybko tracił cierpliwość w obliczu ich skłonności do zaciemniania wielu spraw. - Nie lubię insynuacji. Jeśli chcesz złożyć skargę na tego rycerza, wyraż ją słowami zrozumiałymi dla nas, prostych żołnierzy.

- Sądziłam, że wyraziłam się jasno, czcigodny panie rzekła Pani Nocy. Odstąpiwszy do tyłu, wyprostowała się i spojrzała wrogo na Steela. - Ten rycerz nosi na szyi elfie cacko. Nosi miecz naszych wrogów. Twierdzę, czcigodny panie, że ten rycerz nie jest całkiem wierny naszej wspaniałej królowej i Objawieniu. Jest zdrajcą sprawy, czego dowodem jest ucieczka więźnia. Stawiam wniosek, aby Brightblade poniósł karę, na jaką sam wyraził zgodę. Steel Brightblade powinien ponieść śmierć.

Ariakan przeniósł wzrok na Steela. - Znam tego mężczyznę od czasów dzieciństwa. Nigdy nie dał mi powodów bym zwątpił w jego wierność. Co do miecza i klejnotu, dostał je od swego ojca, człowieka, którego szanujemy za odwagę i dzielność, choć był naszym nieprzyjacielem. Wiedziałem wtedy o tych podarunkach - dokończył Ariakan, lekko marszcząc czoło - i dałem na nie przyzwolenie, podobnie jak arcykapłanka Takhisis. Czy kwestionujesz naszą lojalność, Pani Nocy?

Lilith była zaszokowana tym, że Ariakanowi mogło coś podobnego przyjść na myśl i zdruzgotana faktem, że mógł ją tak źle zrozumieć. - Ależ skąd, czcigodny panie. Twoja decyzja była bez wątpienia mądra - w chwili, gdy ją podejmowano. - Przeciągnęła te słowa, kładąc na nie nacisk. - Przypominam ci jednak, że czasy się zmieniają, tak samo jak ludzkie serca. Pozostaje jeszcze kwestia jeńca. Gdzie - rozłożyła ręce - jest Palin Majere? Jeśli zostanie przyprorowadzony żywy lub martwy, wtedy wycofam wszelkie zarzuty i będę błagać tego rycerza o przebaczenie.

Uśmiechnęła się i założywszy ręce na piersi, posłała Steelowi jadowite, triumfalne spojrzenie.

- Co wy na to, rycerzu? - Spytał Steela Ariakan. - Co macie do powiedzenia na własną obronę?

- Nic, czcigodny panie - odparł Steel.

Cichy szept przebiegł tłum rycerzy, którzy zgromadzili się jako świadkowie rozprawy. Teraz było ich znacznie więcej niż na początku, wieść bowiem szybko rozniosła się po obozie.

- Nic, rycerzu? - Ariakan sprawiał wrażenie zdumionego i zmartwionego. Ukradkiem spojrzął na Panią Nocy i leciutko potrząsnął głową. Gest ten wyrażał jaśniej niż słowa, że Ariakan jest po stronie Steela. - Posłuchajmy waszej relacji.

Steel mógłby podzielić się z nimi swą opowieścią, mógłby wzbudzić ich podziw historią o tym, jak bezpiecznie przeszedł przez otoczony złą sławą zagajnik Shoikan - o bohaterskim wyczynie, jakiego podjęłoby się niewielu ludzi na Krynnie, a jeszcze mniej przeżyłoby, aby później opowiedzieć o nim. Mógłby ponadto wytłumaczyć się stwierdzeniem, że Palinowi Majere bez wątpienia dopomógł w ucieczce jego niechlubnej pamięci stryj, Raistlin Majere. Steel nie miał wątpliwości, że gdyby ujawnił te fakty, Ariakan wydałby korzystny dla niego wyrok.

Mimo to rzekł po prostu: - Nie będę się usprawiedliwiał, czcigodny panie. Podjąłem się zadania i nie wywiązałem się z niego. Dałem słowo honoru. Straciłem jeńca, którego przysiągłem pilnować. Przyjmuję twe orzeczenie, czcigodny panie.

- Skażę was na śmierć - rzekł Ariakan z jeszcze większym zatroskaniem.

- Jestem tego świadom, panie - odparł spokojnie Steel.

- Cóż, niech tak będzie. Nie zostawiacie mi wyboru, rycerzu.

Ariakan położył dłoń na rękojeści miecza. Jego oblicze wykrzywił grymas bólu - miecz poświęcony był Paladine'owi, a tak bóg karał tych, którzy stąpali ścieżkami ciemności. Ariakan nie wypuścił miecza z ręki. Powoli, z zaciśniętymi zębami odwrócił

czubek ostrza w kierunku Steela. Dopiero wtedy puścił oręż.

- Steelu Brightblade, skazuję cię na śmierć przez ścięcie tym oto mieczem, któremu przyniosłeś wstyd i hańbę. Wyrok śmierci zostanie wykonany...

Zostanie wykonany natychmiast, pomyślał Steel, który już wcześniej widywał podobne rozprawy. Aby utrzymać dyscyplinę, należy szybko wymierzać sprawiedliwość. Próbował przygotować się na spotkanie z królową. Co powie tej, która potrafi zajrzeć do jego serca? Która zna prawdę?

Stał nieruchomo, ale dusza w nim drżała. W pierwszej chwili nie usłyszał słów Ariakana. Rozlegające się tu i tam radosne okrzyki oraz szmer aprobaty zgromadzonych rycerzy sprowadziły Steela znów na ziemię.

Rycerz zająknął się z niedowierzania. - Co... Co rzekliście, czcigodny panie?

- Wyrok zostanie wykonany za miesiąc - powtórzył lord Ariakan.

- Ależ czcigodny panie! - Szybko zaprotestowała Pani Nocy. - Czy to rozsądne? Ten człowiek przyznał się do zdrady! Jaką jeszcze szkodę może wśród nas uczynić?

- Ten rycerz przyznał się do utraty jeńca - odparł Ariakan.

- Z własnej woli zgodził się ponieść sprawiedliwą karę. Przypominam ci, Pani Nocy, że jego dowódca, powoławszy się na Objawienie, prosił o oszczędzenie owego rycerza, aby mógł wziąć udział w zbliżającej się bitwie. Ja również wziąłem pod uwagę Objawienie, zatem mój wyrok jest prawomocny.

Głos Ariakana był chłodny i cichy, lecz wszyscy obecni wyczuli jego gniew. Pani Nocy spuściła głowę i wycofała się, wpierw jednak posłała Steelowi Brightblade takie spojrzenie, że gdyby wzrok mógł zabijać, egzekucja odbyłaby się natychmiast.

Oslupiały Steel stał nieruchomo, wciąż nie mogąc uwierzyć, że będzie żył. Ariakan zmuszony był dwukrotnie skinąć ręką, zanim rycerz zbliżył się i zabrał swą broń.

Lord Ariakan ostrożnie wskazał miecz tak, by go nie dotknąć. Wewnętrzną stronę prawej dłoni miał pokrytą pęcherzami i zaczerwienioną, jakby chwycił rozżarzony metal. - Zabierzcie swój oręż, rycerzu. Macie szansę odzyskać honor w walce, aby wasza dusza mogła śmiało stanąć przed naszą królową, a nie czołgać się przed jej obliczem.

- Dziękuję, czcigodny panie - powiedział Steel wzruszonym głosem. Uniósł miecz z czcią i wsunął go z powrotem do pochwy.

- Muszę nakazać wam zdjąć ostrogi - powiedział Ariakan.

- Jesteście zdegradowani. Oddaję wam pod rozkazy kompanię piechurów.

Będziecie mieli zaszczyt stanąć na czele natarcia na frontową bramę.

Steel uniósł głowę i uśmiechnął się. Stając na czele natarcia i walcząc pieszo jako ten, który wejdzie pierwszy do wieży i przyjmie na siebie główną siłę natarcia wroga, zginie pierwszy. Ariakan wyświadczał mu przysługę.

- Rozumiem, panie. Dziękuję. Nie zawiodę was.

- Tymczasem wracajcie do swego szponu, Brightblade. Rano zostaniecie przeniesieni. Możecie odejść, chyba że macie mi jeszcze coś do powiedzenia.

Ariakan znów dawał Steelowi szansę.

W tym momencie Steel bardzo pragnął wszystko mu wyjawić. Wiedział jednak, że gdyby to uczynił, uczucie dumy i sympatii, jakie żywił wobec niego przełożony, przerodziłoby się w gniew i gorzkie rozczarowanie.

- Nie, czcigodny panie. Nie mam do powiedzenia nic poza ponownym wyrażeniem wdzięczności.

Ariakan wzruszył ramionami. Wstał i podszedł do skrzyni bitewnej. Nachylający się nad nią oficerowie, którzy przesuwali tu i tam swe oddziały, otoczyli lorda, znów dyskutując o strategii i taktyce. Kapłan ciemności zbliżył się śpiesznie, by rzucić lecznicze zaklęcie na jego zranioną dłoń.

O Steelu zapomniano. Rycerz wyślizgnął się z namiotu tylnym wyjściem, żeby uniknąć tłumu. Zostawiwszy za sobą światło i wrzawę, udał się poza granice obozu do miejsca, gdzie mógłby zostać sam.

Umrze o poranku, polegnie z honorem i oszczędzi dowódcy i swym towarzyszom zamętu, jaki panował w jego duszy. Oszczędzi im poznania prawdy - tego, że rzeczywiście zawahał się na progu laboratorium, zachwiał się, ponieważ był przerażony.

Rozdział III

BITEWNY PLAN ARIAKANA.

BITWA STEELA

Do świtu zostało jeszcze kilka godzin, lecz armia lorda Ariakana już wyruszyła krętą drogą z równin ku wzgórzom Virkhus, a stamtąd do Zachodniej Przełęczy i celu natarcia, Wieży Najwyższego Klerysta.

Droga była czysta; rycerze solamnijscy nie mogli sobie pozwolić na marnotrawstwo sił, niezbędnych do jej obrony. Wojska Ariakana szybko posuwały się naprzód, oświetlając sobie drogę ogniem pochodni i magii. Steel, który szedł w straży przedniej, obejrzał się i zdumiał. Od wzgórz do samej równiny ciągnął się szereg ludzi, niezliczone ilości sprzętu i machin. Zmasowane na drodze i poruszające się z doskonale wyćwiczoną precyzją wojska wyglądały w mroku jak płonący wąż - gigantyczny gad, który wkrótce oplecie swą ofiarę i zmiażdży ją na śmierć. Były ich nieprzeliczone rzesze. Jeszcze nigdy w historii świata nie zgromadzono na Ansalonie tak potężnej armii.

Obrońcy Wieży Najwyższego Klerysta powinni już widzieć ją wyraźnie. Obserwując nieubłagane zbliżanie się straszliwego węża, Steel mógł wyobrazić sobie ich nabożny lęk i przerażenie. Wszelka nadzieja obrony, jaką dotychczas żywili rycerze solamnijscy, musiała bez wątpienia prysnąć.

Przypasując miecz, Steel przypomniał sobie zasłyszane historie o tym, jak jego dzielny do końca ojciec stał samotnie na murach tej samej wieży, którą miał atakować jego syn. Sturm Brightblade również przewidział swoją śmierć. On również spojrzał dalej i ujrzał błyszczące zwycięstwo, które go czekało.

Steel w tej chwili czuł się bliższy ojcu niż wojowniczej matce. Sturm rozumiał postanowienie swego syna, jego decyzję o wyborze śmierci niż hańby. Natomiast matka, Kitiara, nie rozumiała.

Przez całą noc Steel był świadom zagorzałego boju, wojny, jaką znał od urodzenia. Słyszał ojca mówiącego mu o honorze i ofiarności, i matkę, która

nakłaniała go, aby wybrnął z kłopotów kłamstwem, przebiegłością lub wdziękiem. Walka była długa i wyczerpująca. Najwyraźniej trwała nawet we śnie, śniły mu się bowiem srebrna i błękitna zbroja oraz szczęk oręża.

Sny zakończyły się wraz z odegranym na trąbce sygnałem do broni. Steel obudził się wypoczęty, pełen wigoru i wyzbyty lęku. On i jego żołnierze - oddział barbarzyńskich szermierzy i łuczników, wszyscy równie podnieceni, co dowódca - maszerowali tak żwawo, że co jakiś czas musieli zwalniać, by nie deptać po piętach idącemu przed nimi szponowi.

Steel był przekonany, że tego dnia zginie. Będzie to jednak chwalebna śmierć. Jeszcze tej nocy stanie przed królową, udowodniwszy ponad wszelką wątpliwość swą wierność, a wtedy być może jego skołatana dusza zazna wytchnienia.

*

Lord Ariakan zgromadził swą armię na Skrzydłach Habbakuka, przypominającym fartuch płaskowyżu tuż poniżej Wieży Najwyższego Klerysta. Ten najpotężniejszy bastion obronny na Ansalonie nie miał przed nim tajemnic. Ariakan znał każdy korytarz, każde tajne wejście i każdą piwnicę, znał jej słabe i mocne strony. Czekał na ten moment od chwili, gdy opuścił ją wiele lat temu.

Ariakan przypominał sobie, jak siedząc w siodle na tym właśnie wzgórzu, spoglądał na Wieżę i snuł plany jej zdobycia. To wspomnienie wzbudziło w nim niesamowite uczucie, jakby kiedyś już to robił, choć wtedy otaczali go rycerze solamnijscy. Niektórzy z nich spotkają być może dziś w bitwie starego towarzysza.

Jego służba po ciemku rozbiła namiot, skąd będzie dowodził. Oficerowie zgromadzili się z chwilą, gdy na niebie zapłonęły pierwsze pomarańczoworóżowe smugi. Obecnych było pięciu oficerów: trzech dowódców oddziałów uderzeniowych, dowódca kompanii smokowców i dowódca hufca, znanego wśród żołnierzy pod nazwą Sług Ciemności - armii składającej się z goblinów, hobgoblinów, ogrów i najemników rasy ludzkiej. Wielu z nich przebywało od końca Wojny Lancy w górach Khalkist, czekając na okazję do zemsty. W skład tych wojsk wchodził także liczny pułk minotaurów z własnymi dowódcami, bowiem przedstawiciele tej rasy gardzą rozkazami wydanymi przez byle istoty ludzkie.

Ariakan ponownie przemyślał plan bitwy. Pierwszy, drugi i trzeci oddział uderzeniowy miały zaatakować, przerwać obronę nieprzyjaciela i dostać się do wnętrza przez główne wejścia w murach Wieży. W tym celu każda grupa miała dostać maszyny oblężeniowe. Pierwsza, która przedrze się przez fortyfikacje, miała oczyścić

mury, by wpuścić do środka pozostałe.

Słudzy Ciemności mieli ruszyć do natarcia na główną bramę do Rycerskiej Ostrogi. W razie powodzenia mieli przedrzeć się do głównej twierdzy i pomóc grupom uderzeniowym zniszczyć nieprzyjaciela.

Piąty oddział, składający się ze smokowców, dołączy do atakujących z powietrza rycerzy Takhisis. Smokowcy mają zeskakiwać z niebieskich smoków na blanki i oczyścić drogę grupom uderzeniowym. Rycerze zostaną w siodłach i będą walczyć ze srebrnymi smokami, które z pewnością pośpieszą z pomocą rycerzom solamnijskim.

Po spotkaniu Ariakan odprawił oficerów i rozkazał służbie przynieść mu śniadanie.

*

Oczekiwanie było trudne. Steel krążył niespokojnie, nie mogąc usiedzieć bez ruchu. Podniecenie krążące w jego żyłach domagało się ujścia. Rycerz poszedł popatrzeć na inżynierów montujących maszynę oblężniczą mającą wyważyć główną bramę. Steel przyłączyłby się do pracy, choćby po to, żeby mieć jakieś zajęcie, lecz domyślał się, że bardziej przeszkadzałby niż pomagał.

Ogromny taran zrobiony był z pnia niegdyś potężnego dębu. Jego wzmocniona metalem głowica miała kształt jaszczurczego żółwia (na cześć matki Ariakana, bogini morza), a całość zamocowano na platformie na kółkach, którą przysunie się aż pod samą bramę. Taran zwiślał ze szczytu maszyny oblężniczej w skórzanej uprząży połączonej ze skomplikowanym ciągiem krążków. Ludzie szarpiący za mocne liny odciągną kłodę. Po wypuszczeniu sznurów taran poleci naprzód i uderzy we wrota z niesamowitą siłą. Żelazny dach ochroni maszynę przed płonącymi strzałami, głazami oraz wszelką inną bronią, jaką zechciano by ją uszkodzić, zanim dokona poważnych zniszczeń.

Rycerze Ciernia obdarzyli tę potworną maszynę oblężniczą mocą rozmaitych czarów. Potem pobłogosławili ją rycerze Czaszki pod przewodnictwem arcykapłanki Takhisis, zanosząc wołania do swej bogini, by wsparła ich wysiłki. Ogromne, zrobione z żelaznego drewna wrota Wieży były wzmocnione czarami i obawiano się, że nie dadzą się wyważyć bez osobistej interwencji Królowej Ciemności.

Jednak czy Takhisis była obecna? Czy przybyła, żeby być świadkiem największego triumfu swej armii? Steelowi wydawało się, że arcykapłanka zająknęła się podczas modłów, jakby nie była pewna, czy ktokolwiek jej słucha. Rycerze Czaszki, którzy otaczali kapłankę z prawej i lewej strony mieli zakłopotane miny. Jeden posyłał

drugiemu ukradkowe spojrzenia. Inżynier, który zmuszony był przerwać pracę na czas modłów, nie krył zniecierpliwienia.

- Kupa bzdur, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie - burknął do Steela po skończeniu modlitwy. - Co nie znaczy, że jestem niewierzący - dodał spieszenie, rozglądając się na boki, czy nie usłyszał go któryś z kapłanów. - Poświęciłem jednak sześć miesięcy swego życia na nieprzerwaną pracę we dnie i w nocy nad projektem tej maszyny i następne sześć na jej zbudowanie. Garść śmierdzącego czarodziejskiego kurzu i kilka wymamrotanych pacierzy nie wygrają za nas tej bitwy. Nasza Pani Mroku będzie dziś zajęta czymś ważniejszym niż pukanie do frontowych drzwi Solamnińczyków. - Spojrzał na taran i łza dumy zakręciła mu się w oku. - Moja machina wyręczy ją w tym drobnym zadaniu.

Steel uprzejmie przyznał mu rację, a następnie zaczęli dyskutować o koordynacji działań podległych im sił. Po skończonej rozmowie Steel wrócił do swych barbarzyńskich żołnierzy.

Zastał dzikusów przy jakiejś popularnej grze. Jeden z nielicznych dzikich, którzy znali mowę powszechną, usiłował objaśnić mu jej zasady. Rycerz słuchał cierpliwie i starał się sprawiać wrażenie zaintrygowanego. Wkrótce całkiem się pogubił w zawiłościach wszystkich reguł gry, w której posługiwano się patyczkami, kamykami i szyszkami. Zabawa polegała na pozornie nieostrożnych rzutach wielkimi, groźnie wyglądającymi nożami o kościanych rękojeściach.

Dzikus wyjaśnił, że zdarzający się raz na jakiś czas rozlew krwi podniecał mężczyzn i przygotowywał ich do bitwy. Steel, który uprzednio zastanawiał się, skąd barbarzyńcy mają te dziwne blizny na nogach i stopach, szybko zostawił dzikusów z ich niebezpiecznymi rozrywkami i znów zaczął krążyć.

Jego wzrok padł na Wieżę Najwyższego Klerysta, gdzie dostrzegł kręcące się i wyglądające zza blanek ludzkie postaci. Świt już wstał i dawno minęła pora, gdy armie zwykle ruszały do ataku. Jeśli Steelowi dokuczało czekanie, domyślał się, jak ciężko musi być tym wewnątrz Wieży. Obrońcy pewnie zastanawiają się, skąd to opóźnienie. Próbuje odgadnąć, co knuje Ariakan i zbyt późno już krytykują własną strategię. A przez cały ten czas strach łapie ich za gardło i z godziny na godzinę maleje ich odwaga.

Słońce stanęło wyżej na niebie; skrócił się cień rzucany przez Wieżę. Ubrany w ciężką zbroję Steel oblewał się potem i z zazdrością patrzył na dzikusów, którzy szli do walki zupełnie nadzy, pomalowani jedynie jakąś cuchnącą niebieską farbą, która ich zdaniem miała magiczne własności i była wystarczającą ochroną przed każdym orężem.

Steel odważył się wyjść na upał i poszedł do rycerzy z własnego szponu, którzy szykowali smoki do bitwy. Podkomendant Trevalin zauważył go i pomachał mu ręką, lecz był zbyt zajęty mocowaniem lancy - kopii słynnych smoczyczych lancy - żeby z nim porozmawiać. Steel dostrzegł Flare, która miała już nowego jeźdźcę. Steel nie zazdrościł rycerzowi. Kiedy Flare dowiedziała się o zdegradowaniu Steela, wpadła w szał i nawet wspomniała o odmowie udziału w bitwie. Steel przekonał ją, by nie dezerterowała, lecz wciąż jeszcze było widać, że smoczyca się dąsa. Wierna Objawieniu Flare będzie dzielnie walczyć, niemniej postara się jak najbardziej utrudnić życie swemu nowemu jeźdźcowi.

Steel zdławił w sobie żal i zazdrość i wrócił do swego oddziału, żałując, że się w ogóle oddalił. Dokuczał mu upał, a entuzjazm zaczynał wygasać, gdy nagle spostrzegł jakieś zamieszanie pośrodku armii. Lord Ariakan wyszedł z namiotu. Wokół zapadła cisza.

Otoczony czarnoksiężnikami, kapłanami ciemności oraz strażą przyboczną, której towarzyszył chorąży, Ariakan dosiadł konia - czarnego jak węgiel rumaka nazwanego Skrzydło Nocy - i pojechał zająć pozycję tuż za ostatnim oddziałem drugiej armii szturmowej. Rozkazał wznieść bojową chorągiew.

Sztandary pozostałych armii również poszły w górę; przy bezwietrznej pogodzie flagi zwisały nieruchomo. Ariakan podniósł różdżkę wykonaną z czarnego obsydianu, ozdobioną srebrnymi liliami śmierci i zakończoną szczerzącą zęby czaszką. Rozejrzawszy się wokół po raz ostatni i upewniwszy, że wszystko gotowe, Ariakan opuścił różdżkę.

W migoczącym od upału powietrzu rozległ się pojedynczy, czysty dźwięk trąbki. Steel poznał, że to sygnał do ataku i krew tak mu zawrzała w żyłach, iż myślał, że jego serce pęknie z podniecenia.

W odpowiedzi zagrały surmy wszystkich armii Takhisis. Do nich dołączyły brzmiące wyżej rogi rozmaitych pułków, zlewając się w ogłuszającą, grzmącą, wojenną kakofonię dźwięków. Z rykiem, od którego Wieża musiała się zatrzęść w posadach, wojska Takhisis ruszyły do ataku.

Rozdział IV

DYSKUSJA STARYCH PRZYJACIÓŁ.

STURM BRIGHTBLADE PROSI O PRZYSŁUGĘ

Wczesnym świtem Tanis Półelf wchodził po schodach na mury w pobliżu środkowej wieży, niedaleko miejsca, gdzie krew Sturma Brightblade splamiła kamienie. Wkrótce obejmie stanowisko bojowe, jednak nie kazał żołnierzom iść za sobą. Jeszcze nie teraz. Tanis świadomie wybrał to miejsce. Wyczuwał obecność swego przyjaciela. A był mu on teraz potrzebny.

Tanis był zmęczony; nie spał całą noc, którą spędził z sir Thomasem i innymi dowódcami, głowiąc się nad tym, jak dokonać rzeczy niemożliwej, jak wygrać beznadziejną walkę. Doszli do tego wreszcie i były to dobre plany. Potem wyszli na mury i ujrzeli armię ciemności, która przy dziwnym świetle wpływała na wzgórze - jak zbliżający się śmiertcionośny przypływ.

To był koniec dobrych planów.

Tanis usiadł ciężko na kamiennej posadzce, odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Przed nim stanął Sturm Brightblade.

Tanis widział wyraźnie Sturma. Ubrany w staromodną zbroję rycerz z ojcowskim mieczem w rękach stał na tym samym murze obronnym, na którym teraz Tanis odpoczywał. To dziwne, ale Półelf nie był zaskoczony widokiem swego starego przyjaciela. Wydawało mu się to zrozumiałe, że Sturm był tu teraz i chodził po murach wieży, w obronie której oddał życie.

- Przydałaby mi się teraz twoja odwaga, stary druhu - rzekł cicho Tanis. - Nie wygramy. Sytuacja jest beznadziejna. Wiem o tym. Sir Thomas wie o tym także. Żołnierze również to wiedzą. Jak mamy dalej sobie radzić pozbawieni nadziei?

- Czasami wygrana okazuje się klęską - powiedział Sturm Brightblade. - A zwycięstwo najlepiej osiągnąć, przegrywając.

- Mówisz zagadkami, przyjacielu. Wyrażaj się jasno. - Tanis usadowił się wygodniej. - Jestem zbyt zmęczony, żeby rozwiązywać łamigłówki.

Sturm nie odpowiedział natychmiast. Rycerz przeszedł się po murach i spojrzął zza blanek na olbrzymią armię zgromadzoną w dole.

- Tam jest Steel, Tanisie. Mój syn.

- Jest tutaj? Nie dziwię się. Wygląda na to, że ponieśliśmy klęskę. Steel oddał duszę Królowej Ciemności.

Sturm odwrócił się twarzą do przyjaciela. - Zadbaj o niego, Tanisie.

Tanis parsknął szyderczo. - Wydaje mi się, że twój syn sam doskonale umie zadbać o siebie.

Sturm potrząsnął głową. - On zмага się z nieprzyjacielem, który przewyższa go siłą. Jego dusza nie jest jeszcze całkiem dla nas stracona, lecz jeśli przegra tę wewnętrzną walkę, stracimy go. Strzeż go, mój przyjacielu. Obiecuj mi.

Tanis zdziwił się i zaniepokoił. Sturm Brightblade rzadko prosił o przysługi. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Sturmie, ale nie rozumiem. Steel jest sługą Królowej Mroku. Odtrącił wszystko, co próbowałeś dla niego zrobić.

- Panie...

- Gdybyś tylko mi wyjaśnił...

- Panie! - Wołał ktoś i potrząsał go za ramię.

Tanis otworzył oczy i siadł prosto. - Co? Co się dzieje? - Sięgnął po miecz. - Czy już czas?

- Nie, panie. Proszę wybaczyć, że was zbudziłem, ale muszę znać rozkazy...

- Tak, oczywiście. - Tanis wstał sztywno. Rozejrzał się szybko dokoła. Poza nim i tym młodym rycerzem nikogo tam nie było. - Przepraszam, musiałem zasnąć.

- Tak, panie - rycerz zgodził się uprzejmie. - Rozmawiał pan z kimś.

- Doprawdy? - Tanis potrząsnął głową, starając się przepędzić senną mgłę, którą zasnuty był jego umysł. - Miałem bardzo dziwny sen.

- Tak, panie. - Młody rycerz czekał cierpliwie.

Tanis przetarł piekące oczy. - O co mnie pytałeś? Wysłuchał rycerza, udzielił mu odpowiedzi i wrócił do swych obowiązków, lecz kiedy tylko zapadła cisza, słyszał ciche słowa.

Obiecuj mi...

Wstał świt, lecz wraz z blaskiem słońca nadeszła jeszcze większa rozpacz. Obrońcy Wieży spoglądali na rozciągające się w dole morze ciemności, które wezbrało przez noc i miało za chwilę zalać ich krwawą falą przyływu. Rozeszły się wieści, że do walki z rycerzami zgromadziła się gigantyczna armia. Dowódcy ostrym głosem

rozkazywali swym żołnierzom milczeć i stać na stanowiskach. Wkrótce słychać było jedynie głosy srebrnych smoków, które krążyły w powietrzu i krzyczały wyzywająco do swych niebieskich kuzynów.

Rycerze przygotowali się na odparcie ataku, który jednakże nie następował.

Minęła godzina, potem następna. Obrońcy zjedli śniadanie na posterunkach, w jednym ręku trzymając chleb, a w drugim miecz. Wojsko zgromadzone w dole nie ruszyło się z miejsca - zwiększało jedynie swą liczebność.

Słońce wschodziło coraz wyżej i upał stawał się nie do zniesienia. Racjonowano wodę. Górski potok, który niegdyś płynął akweduktem Wieży, wysechł i zmienił się w strumyczek. Mężczyźni, którzy stali na murach w rozpalonych od słońca zbrojach, przewracali się zemdleni.

- Mam wrażenie, że moglibyśmy gotować olej bez ognia - powiedział sir Thomas do Tanisa podczas jednej z licznych inspekcji.

Wskazał olbrzymi kocioł wypełniony wrzącym olejem, który był gotowy do wylania na głowy nieprzyjaciela. Żar buchający od paleniska zmuszał do zachowania odległości wszystkich, z wyjątkiem tych, których obciążono dokuczliwym obowiązkiem podsycania ognia. Ludzie ci byli rozebrani do pasa i pocili się obficie.

Tanis otarł pot z twarzy. - Jak myślisz, co knuje Ariakan? Na co on czeka?

- Żebyśmy stracili odwagę - odparł sir Thomas.

- To skutkuje - stwierdził z goryczą Tanis. - Paladine, zmiłuj się nad nami, nigdy nie widziałem tak wielkiej armii! Nawet podczas wojny, w tych ostatnich dniach przed upadkiem Neraki. Jak myślisz, ilu ma żołnierzy?

- Jeden Gilean wie - odparł sir Thomas. - Nie ma sensu ich rachować. „Każdy człowiek policzony w strachu liczy się za dwóch”, jak mówi stare porzekadło. Zresztą to nie jest ważne.

- Masz rację, panie - zgodził się Tanis. - To zupełnie nieważne. - Zastanawiał się nad pytaniem, jak długo Wieża może się bronić, ale zdał sobie sprawę, że to również nie jest ważne. Sygnał trąbki rozdarł powietrze.

- Nadchodzą - powiedział sir Thomas i oddalił się śpiesznie, by objąć stanowisko dowodzenia na jednym z tarasów przy ogrodach na szóstym poziomie.

Tanis westchnął z ulgą i spostrzegł, że ta sama ulga odbijała się na twarzach podległych mu żołnierzy. Działanie było dużo lepsze od tego okropnego napięcia wywołanego czekaniem. Ludzie zapomnieli o przeraźliwym upale, o strachu i pragnieniu i rzucili się, by zajmować stanowiska. Nareszcie mogli się odprężyć i

rozluźnić; ich los spoczywał w rękach Paladine'a.

Ogłuszający huk trąbek i ryk wyzwania rozdarły powietrze. Armia ciemności ruszyła do ataku. Łuski niebieskich smoków połyskiwały w słońcu, cień smoczych skrzydeł padł na ściany wież i zgasił ducha obrońców. Smoczy strach zaczął zgarniać pierwsze ofiary.

Srebrne smoki i dosiadający ich rycerze uzbrojeni w lance polecili do boju. Chmara niebieskich smoków starła się z srebrnymi. Błysnęły pioruny - to niebieskie smoki zaatakowały swą bronią - oddechem. Srebrne w odpowiedzi zionęły chmurami dymiącego szronu, który pokrył skrzydła ich wrogów i strącił ich z nieba.

Tanis był zdziwiony niewielką liczbą niebieskich smoków i już podejrzewał, że celem tego początkowego natarcia było odwrócenie uwagi, gdy rozległ się krzyk. Ludzie pokazywali na zachód.

Z tego kierunku nadlatywało całe zapewne stado niebieskich smoków, których liczebność znacznie przewyższała srebrne. Każdy z błękitnych gadów niósł nie pojedynczego jeźdźca, a kilkunastu. Młodzi rycerze patrzyli ze zdumieniem, lecz weterani, którzy walczyli w Wojnie Lancy, wiedzieli, co ich czeka. W chwili, gdy tylko pierwszy niebieski smok pojawił się nad Wieżą, z nieba zaczęły spadać czarne, uskrzydłone cienie.

- Smokowcy! - Krzyknął Tanis, wydobywając miecz i szykując się do ataku. - Pamiętajcie: natychmiast po zabiciu któregoś z nich zepchnijcie ciało z murów.

Martwi smokowcy byli równie niebezpieczni jak żywi. W zależności od gatunku ich trupy albo kamieniały, więząc utkwioną w nich broń, albo wybuchaly, zabijając swych zabójców, albo też rozplýwały się w kałuże śmiercionośnego kwasu.

Rozłóżywszy skarłowaciale skrzydła, by złagodzić upadek, smokowiec grzmotnął o wierzch muru tuż przed Tanisem. Nieprzystosowany do latania bozak wylądował ciężko i siła upadku ogłuszyła go na chwilę. Jednak smokowiec szybko się ocknie, a bozacy byli nie tylko wprawnymi wojownikami, ale też i czarodziejami. Tanis rzucił się do ataku, zanim oszołomiony stwór zdołał oprzytomnieć. Półelf zamachnął się mieczem; chlusnęła krew i głowa spadła smokowcowi z karku. Tanis schował miecz i zanim ciało zdążyło się przewrócić, złapał je, zaciągnął do krawędzi muru i zrzucił na dół.

Martwy bozak spadł pośrodku grupy barbarzyńców, którzy próbowali wspiać się na mury. Ciało niemal natychmiast wybuchło, wyrządzając poważne szkody. Barbarzyńcy wycofali się w popłochu.

Tanis nie miał wiele czasu na radość. Mamuty ciągnęły w kierunku głównej

bramy olbrzymią maszynę oblężniczą. Pod murami stawiano drabiny. Tanis rozkazał łucznikom zająć miejsca na przedzie i polecił rycerzom pilnującym kotła z wrzącym olejem szykować się do wylania jego zawartości na głowy oblegających. Przy odrobinie szczęścia uda im się zapalić maszynę oblężniczą. Żołnierze pod dowództwem Półelfa szybko wykonywali rozkazy. Darzono go wielkim szacunkiem i uważano za rycerza duchem, jeśli nawet nie był nim w rzeczywistości.

Nadbiegł posłaniec, poślizgnął się we krwi smokowca i omal nie przewrócił. Odzyskał równowagę i złożył meldunek Tanisowi.

- Panie, wiadomość od sir Thomasa. Jeśli frontowa brama padnie, ma pan zabrać swoich ludzi i wzmocnić siły oddziału strzegącego wejścia.

Jeśli frontowa brama zostanie zdobyta, nie będzie czego strzec - pomyślał ponuro Tanis, lecz powstrzymał się przed stwierdzeniem tego, co oczywiste, pokiwał tylko głową i zmienił temat.

- Co to za wrzaski, które słychać było przed chwilą?

Zmęczony posłaniec zdobył się na uśmiech. - Oddział minotaurów usiłował wdrzeć się do środka przez akwedukt. Sir Thomas przypuszczał, że nieprzyjaciel może pomyśleć o tym, wie pan, z powodu suszy. Nasi rycerze już tam na nich czekali. Szybko tego nie spróbują po raz drugi.

- Dobre wieści - mruknął Tanis, odepchnął posłańca i zaatakował smokowca, który o mało co nie wylądował młodzieńcowi na głowie.

Słaba tama nadziei wkrótce pękła. Fala ciemności wdarła się do środka i rosła przez całe popołudnie. Rycerze ustępowali z jednej pozycji za drugą. Przegrupowali się w trakcie odwrotu i próbowali stawiać opór, jednak znów ich spychano. Tanis walczył do utraty tchu. Paliły go mięśnie, a ręka, w której trzymał miecz, zdrętwiała i bolała.

A wróg wciąż nacierał.

Do Tanisa docierał tylko brzęk stali, krzyki konających i plusk czegoś, co w pierwszej chwili wziął za deszcz.

Była to jednak krew - smocza krew lejąca się z nieba.

Wśród zgiełku nieustannie rozbrzmiewało szarpiące nerwami dudnienie wielkiego taranu, które brzmiało jak bicie mrocznego serca, tętniącego potężnym, straszliwym życiem.

Walka na chwilę ucichła. Nieprzyjaciel na coś czekał. Tanis skorzystał z przerwy i oparł się o ścianę, starając się złapać oddech.

Na dole rozległ się trzask, huk i zwycięski wrzask. Masywne wrota Wieży Najwyższego Klerysta ustąpiły pod naporem wroga.

Oddział nieprzyjacielskich wojsk, dotychczas trzymany w rezerwie za machiną oblężniczą, popędził w stronę wejścia. Na ich czele stał pieszy rycerz w zbroi, a w ich szeregach znajdowali się czarodzieje w szarych szatach.

Zbierając swych ludzi - tych, którzy mogli jeszcze utrzymać się na nogach - Tanis pobiegł bronić frontowej bramy.

Rozdział V

OBIETNICA ZŁOŻONA.

OBIETNICA DOTRZYMANA

Steel ustawił swych żołnierzy po obu stronach gigantycznej maszyny oblężniczej. Dzicy celnie strzelali z łuków; ich broń była wyższa od większości istot ludzkich i miotała dziwne strzały, które wydawały w locie niesamowity świst. Steel polecił łucznikom oczyścić mury z obrońców, by taran mógł pracować nieprzerwanie.

Strategia w dużej mierze powiodła się, pomijając ataki niewielkiej grupy rycerzy solamnijskich, którzy zażarcie bronili swej pozycji, zwalczając napaści smokowców z góry i uchylając się przed strzałami dzikusów z dołu. Okazali się dokuczliwą przeszkodą dla maszyny oblężniczej. Wylewali na nią wrzący olej, który omal jej nie podpałił, ciskali wielkie głazy, z których jeden zgniótł mamutowi głowę na krwawą miazgę i sami z morderczym skutkiem szyli z łuków.

Jeszcze długo po tym, kiedy pozostali rycerze uciekli albo polegli, ci wciąż walczyli. Choć Steel złościł się z powodu opóźnień, był pełen podziwu dla odwagi i dzielności drużyny obrońców i ich niewidocznego dowódcy. Gdyby nie oni, taran wyważyłby bramę wczesnym popołudniem.

Wreszcie nastąpił nieunikniony koniec i taran dokonał swego dzieła, roztrzaskując ciężkie drewniane wrota. Steel wyprowadził swych żołnierzy naprzód i szedł do wejścia, gdy naczelny inżynier - zajrzawszy wpierw szybko do środka - przybiegł z meldunkiem.

- Jakaś cholerna krata zagraża drogę. - Inżynier sprawiał wrażenie obrażonego tą niespodziewaną przeszkodą. - Nie było jej na mapie lorda Ariakana.

- Krata? - Steel zmarszczył brwi i starał się coś sobie przypomnieć. Sam wchodził tędy pięć lat temu i również nie pamiętał, żeby widział jakąś kratę. Niemniej przypominał sobie trwające wtedy roboty budowlane. - Najwyraźniej dobudowali ją. Możesz ją wybić?

- Nie, panie. Taran nie zmieści się pod murem. Lepiej zostawić tę robotę

czarodziejom.

Steel przyznał mu rację i wysłał posłańca z wiadomością do lorda Ariakana. Nie można było teraz zrobić nic innego, jak czekać.

Przypominał sobie czasy, gdy przechodził przez tę bramę, idąc do Komnaty Paladine'a, by złożyć hołd pamięci swego ojca. Jego ciało spoczywało w majestacie na marach, zdaniem niektórych zachowane dzięki magii elfiego klejnotu, który Sturm nosił na szyi. Miecz Brightblade'ów tkwił mocno zaciśnięty w nieruchomych, zimnych dłoniach. Podziw dla śmiałości i odwagi niezwykłego mężczyzny, żal, że go nigdy nie znał i nadzieja na zostanie kimś podobnym - sprawiły, że dusza Steela przesycona była szacunkiem i miłością. Ojciec odpłacił mu za to miłością i obdarował swego syna jedynymi darami, jakie Sturm Brightblade mógł dać - klejnotem i mieczem - niesamowitymi darami, zarazem błogosławionymi i przeklętymi. Choć popołudniowe słońce prażyło niemiłosiernie, Steela przeszedł lekki dreszcz.

Strzeż się, młody człowieku. Jeśli dowiesz się, kto jest twym prawdziwym ojcem, osiągnie cię przekleństwo. Nie staraj się tego dowiedzieć!

Tymi słowami lord Ariakan ostrzegł Steela, kiedy chłopiec był jeszcze bardzo mały. Prestroga się spełniła. Przekleństwo spadło jak topór, rozszczepiając duszę Steela na dwoje. A mimo to było jednocześnie błogosławieństwem. Otrzymał ojcowski miecz oraz dziedzictwo honoru i odwagi.

Tam w górze, na tych blankach, których broniono z taką odwagą i zaciętością, kamienie były zabarwione krwią jego ojca. Krew jego syna splami skały w dole. Jeden był obrońcą, drugi zdobywcą. Doskonała harmonia.

Posłaniec wrócił z trzema rycerzami Ciernia. Z ponurą ulgą Steel zauważył, że nie było wśród nich czarodziejki szarych szat, która go oskarżała.

Steel rozpoznał ich przywódcę, Lorda Cierni. Był to mężczyzna w średnim wieku, który walczył na Wojnie Lancy i piastował teraz godność osobistego czarodzieja Ariakana. Był przyzwyczajony do współpracy z żołnierzami i łączenia szermierki z czarami.

Machnął od niechcienia w kierunku wejścia i podniósł głos, aby usłyszano go wśród zgiełku bitwy. - Czcigodny pan nakazał nam zlikwidować wewnętrzną obronę. Będę potrzebował waszych żołnierzy, aby nas strzegli podczas pracy.

Steel ustawił wojowników na pozycjach. Mistrz sztuki czarnoksięskiej i jego pomocnicy zajęli stanowiska za nimi. Kłębiący się z tyłu obłok wskazywał, że zbiera się druga grupa szturmowa, gotowa wkroczyć, kiedy tylko droga zostanie oczyszczona.

Lord Cierni ręką dał znak.

Steel wznosił miecz i złożył hołd królowej. Z dźwięcznym okrzykiem bojowym powiodł swych żołnierzy, za którymi śpieszyli czarodzieje w szarych szatach, przez strzaskane wrota Wieży Najwyższego Klerysta.

Od środkowego dziedzińca dzieliła rycerzy żelazna krata. Zza jej prętów obrońcy po drugiej stronie zasypywali ich morderczym gradem strzał.

Lord Cierni, który zęby zjadł na radzeniu sobie z taką obroną, oraz jeszcze dwaj niżsi rangą Szarzy Rycerze, wykonywali swą pracę szybko i czysto. Steel, zawsze nieufny wobec czarów, przyglądał się im z podziwem i zdumieniem. Tymczasem jego łucznicy strzelali przez żelazną kratę, zmuszając obrońców do zachowania odległości.

Kilka strzał solamnijskich łuczników spadło między czarodziejów. Szarzy Rycerze zajęli się nimi. Posługując się rozmaitymi zaklęciami ochronnymi i dezintegrującymi sprawiali, że pociski albo odbijały się od niewidzialnej bariery, albo obracały w proch jeszcze przed trafieniem do celu.

Lord Cierni, który zachowywał się tak chłodno i spokojnie, jakby przebywał w zaciszu swej pracowni, wydobyl z sakwy dużą fiolkę zawierającą płyn przypominający wodę. Trzymając buteleczkę w dłoni, wrzucił do środka szczyptę ziemi, zatkał ją ponownie korkiem i zaczął nucić słowa w wywołującym dreszcze języku magii. Znów odetkał fiolkę i wciąż wymawiając zaklęcie, cisnął jej zawartość na kamienny mur, na którym była zamocowana krata.

Strużki wody spłynęły po ścianie. Czarodziej ostrożnie schował fiolkę do sakwy, klasnął w dłonie i w tej samej chwili mur zaczął się rozpuszczać, jego kamienie bowiem magicznym sposobem zmieniły się w błoto.

Ukończywszy swe dzieło, Lord Cierni wsunął dłonie w rękawy szaty i odsunął się do tyłu.

- Wypchnijcie je - polecił Steelowi.

Rycerz rozkazał wystąpić trzem najsilniejszym dzikusom. Barbarzyńcy natarli na kratę i po dwóch czy trzech pchnięciach wyrwali ją z zawiasów i rzucili na ziemię.

Lord Ciernia ze znudzoną miną zebrał swych pomocników.

- Jeśli nie potrzebujecie mnie do czegoś ważnego, wracam do mego pana.

Steel skinął głową. Był wdzięczny czarodziejom za pomoc, lecz nie żałował, że odchodzą.

- Zawiadomcie mnie, kiedy Wieża padnie - dodał mag. - Mam się włamać do skarbcza.

Oddalił się, a jego pomocnicy pośpieszyli za nim. Steel rozkazał swym podwładnym pozbyć się łuków i strzał, a wydobyć miecze i noże. Od tej pory walka będzie prowadzona z bliska. Za jego plecami słychać było wydawane krzykiem rozkazy. Druga armia szturmowa szykowała się do natarcia.

Steel na czele swych żołnierzy minął strzaskane wrota, przeszedł pod ociekającym błotem sklepieniem, a potem ruszył korytarzem prowadzącym na środkowy dziedziniec Wieży Najwyższego Klerysta. Zatrzymał oddział na końcu tunelu.

Podwórze było puste. Steel poczuł się nieswojo. Spodziewał się oporu. Wewnątrz ciężkich murów Wieży było cicho, zbyt cicho. To pułapka. Nieprzyzwyczajeni do ataku na fortyfikacje dzicy nierozważnie wybiegliby na otwartą przestrzeń. Steel wychrypiał rozkaz i zmuszony był powtórzyć go dwukrotnie, zanim barbarzyńcy zrozumieli, że mają czekać na jego sygnał do natarcia.

Steel starannie rozważył sytuację.

Dziedziniec miał kształt krzyża. Po prawej stronie Steela znajdowały się dwie pary oznakowanych symbolem Paladine'a drzwi, które prowadziły dalej do wnętrza wieży. Na drugim końcu krzyża widniała kolejna brama z kratą, lecz Steel nie zamierzał się nią zajmować. Korytarz wiódł do pułapek na smoki - dla rycerzy Takhisis to już stare dzieje.

Po obu stronach kraty znajdowały się kręte schody, które prowadziły na mury. Steel przyjrzał się uważnie tym schodom. Nakazawszy dzikusom milczeć, wyteżył słuch i miał wrażenie, że słyszy jakiś dźwięk, jakby zgrzyt zbroi o kamień. Więc to tam się chowali. Wywabi ich stamtąd. Doskonale wie, jak to zrobić.

Steel wskazał na żelazne wrota po prawej stronie, te z zimorodkiem i różą, i głośno wydał polecenia.

- Wyważcie te drzwi. Na dole jest grobowiec, w którym spoczywają ciała przeklętych solamnijskich rycerzy. Mamy rozkaz go splądrować.

Kilku dzikusów rzuciło się do drzwi, waląc w nie masywnymi ciałami i rąbiąc zamek mieczami. Steel wyszedł na dziedziniec dumnym krokiem jako niekwestionowany pan Wieży. Zdjął hełm, kazał przynieść sobie manierkę z wodą i pociągnął z niej długi łyk. Dzicy niezgrabnie człapali za nim, śmiejąc się i szwargocząc. Chwyciwszy pochodnie ze ścian, niecierpliwie poganiali szyderczymi krzykami powolnych kolegów, którzy nie radzili sobie z wyważaniem drzwi.

Steel wcale się tego nie spodziewał. Nie otrzymał rozkazów, żeby złupić

grobowiec i nie miał zamiaru pozwolić barbarzyńcom wejść do świętej komnaty. Niemniej podstęp zadziałał. Podchodząc bez pośpiechu do schodów, usłyszał wyraźnie brzęk metalu i nawet cichy, szybko zdławiony pomruk gniewu.

Ciągnąc dalej przedstawienie i udając, że niczego nie słyszy, Steel zbliżył się do dzikusów, żeby ich zbesztać.

- Wy mięczaki! - Pienił się Steel. - Czy muszę wzywać czarodziejów za każdym razem, gdy natkniemy się na drzwi? Większy pożytek miałbym z armii krasnoludów źlebowych! Brać mi się do roboty, a żywo!

Łoskot, brzęk mieczy i nagła wrzawa z lewej strony zdradziły Steelowi, że obrońcy opuścili kryjówkę i przeszli do natarcia.

Oddział rycerzy solamnijskich wpadł między wojowników Steela. Był to nagły i szybki atak, który zaskoczył nawet Steela. Kilku barbarzyńców poległo, zanim jeszcze zdążyło podnieść miecz.

Rycerze mieli najwyraźniej zdolnego i inteligentnego dowódcę. Nie atakowali hurmem, lecz precyzyjnie wbili klin w główną część oddziału Steela, rozdzielając jego żołnierzy i zachowując jednocześnie spójność własnej grupy. Ponieważ druga armia uderzeniowa wkraczała od frontu, kompania Steela nie miała gdzie się wycofać i ugrzęzła na dziedzińcu.

On to oczywiście przewidział. Nie oczekiwał zwycięstwa. Liczył na to, że przynajmniej druga armia zastanie wolną drogę.

Steel zostawił swych ludzi, by przejęli na siebie całą siłę ataku nieprzyjaciela. Jego zadaniem było znaleźć tego zdolnego i mądrego dowódcę - być może tego samego człowieka, który tak zawzięcie walczył na murach - i zlikwidować go.

„Odetnij głowę, a ciało samo upadnie” - głosiło jedno z powiedzeń Ariakana.

Założywszy ponownie hełm, Steel zamknął przyłbicę i zaczął przepychać się wśród żołnierzy. Odręcał na bok miecze i zatrzymywał się, by walczyć, kiedy był do tego zmuszony. Cały czas był jednakże skupiony na tym, by znaleźć oficera dowodzącego. Okazało się to trudnym zadaniem. Wszyscy rycerze nosili zbroje - w większości powgniatane i okrwawione. Z trudem odróżniał jednego od drugiego.

Kiedy Steel dotarł do środka bitwy, usłyszał wśród zgiełku władczy głos wydający nowe polecenia. Tym razem Steel dostrzegł dowódcę.

Mężczyzna nie nosił hełmu, być może dlatego, by dobrze słyszano jego rozkazy. Nie miał na sobie pełnej zbroi, a jedynie kirys nałożony na kaftan z wytłaczanej skóry. Steel nie widział jego twarzy - dowódca był odwrócony do niego plecami. Długie,

siwiejące, brązowe włosy wskazywały, że był to ktoś starszy, bez wątplenia weteran wielu bitew.

Fragment kirysu wisiał luźno; jedno z rzemiennych wiązań zostało rozcięte, skutkiem czego mężczyzna miał częściowo odsłonięte plecy. Steel jednakże prędzej umarłby, niż zaatakował kogoś z tyłu.

Wpychając się pomiędzy jednego ze swych żołnierzy i walczącego rycerza solamnijskiego, Steel dotarł do dowódcy i położył mu dłoń na ramieniu, by zwrócić na siebie uwagę.

Oficer odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz ze swym przeciwnikiem. Jego zarośnięta twarz była zalana krwią. Zmierzwione, mokre od potu włosy spadały mu na oczy. Steel poczuł słabe mrowienie i ukłucie. Coś w jego wnętrzu powiedziało: „Znasz tego człowieka”.

Steel wykrztusił z siebie: - Półelfie!

Mężczyzna wstrzymał cios, cofnął się i spojrzał podejrzliwie na Steela.

Rycerz był wściekły na los, który mu spletał takiego figla, jednakże honor zabraniał mu walczyć z kimś, kto niegdyś ocalił mu życie.

Steel gniewnie podniósł zasłonę hełmu. - Znasz mnie, Tanisie Półelfie. Nie będę z tobą walczył, mogę jednak zażądać od ciebie, byś złożył broń i to właśnie czynię.

- Steel? - Tanis opuścił miecz. Spotkanie nie tyle zadziwiło go, co zaskoczyło. - Steel Brightblade...

Młody rycerz solamnijski stojący w pobliżu Tanisa wyminął Półelfa i rzucił się do ataku z włócznią wymierzoną w odsłoniętą twarz Steela.

Steel uniósł ramię, żeby zasłonić się przed ciosem, poślizgnął się w kałuży krwi i upadł na ziemię. Miecz - broń jego ojca - wypadł mu z ręki. Młody Solamnijszczyk był już przy nim.

Steel rozpaczliwie usiłował się podnieść, lecz ciężka zbroja uniemożliwiała szybkie ruchy. Rycerz solamnijski uniósł włócznię i szykował się do wbicia jej w gardło Steela. Nagle zarówno włócznia, jak i rycerz znikli Steelowi z oczu.

Nad nim nachylał się Tanis i wyciągał rękę, by pomóc mu wstać.

Duma nakazywała Steelowi odrzucić pomoc nieprzyjaciela, jednak zdrowy rozsądek i Objawienie skłoniły go do przyjęcia pomocy Tanisa.

- Znów zawdzięczam ci życie, Półelfie - rzekł z goryczą Steel, kiedy już stanął na nogach.

- Nie dziękuj mi - odparł posepnie Tanis. - Obiecałem... Oczy Półelfa

rozszerzyły się, a twarz wykrzywił mu grymas cierpienia. Zatoczył się do przodu z bolesnym krzykiem.

Jeden z dzikusów stojących za Półelfem wyszarpnął okrwawiony miecz.

Tanis zachwiał się; nogi się pod nim ugięły.

Steel złapał Półelfa i położył go delikatnie na ziemi. Trzymając go w objęciach, czuł spływającą mu po rękach ciepłą krew.

- Półelfie - powiedział Steel. - To nie ja zadałem ci ten cios! Przysięgam!

Tanis podniósł wzrok i skrzywił się. - Wiem... - Wyszeptał z wymuszonym uśmiechem. - Jesteś... Brightblade.

Zesztywniał, jęknął i z trudem zaczerpnął tchu. Z ust sączyła mu się krew. Jego oczy ominęły Steela, by skupić się na czymś za czarnym rycerzem.

Tanis uśmiechnął się. - Sturmie, dotrzymałem obietnicy.

Westchnąwszy cicho, jakby wdzięczny, że może odpocząć, Tanis zamknął oczy i umarł.

- Półelfie! - Krzyknął Steel, choć wiedział, że nie usłyszy odpowiedzi. - Tanisie...

Steel nagle uświadomił sobie, że stoi nad nim rycerz solamnijski. Mężczyzna spoglądał na ciało leżące u jego stóp z wyrazem wielkiego żalu, cierpienia i smutku.

Rycerz solamnijski nie nosił hełmu ani broni. Jego zbroja była bardzo starej roboty. Nie powiedział niczego, nie uczynił żadnego groźnego gestu. Odwrócił oczy i spojrzał na Steela przejmującym wzrokiem, który był jednocześnie smutny i pełen dumy.

Wtedy Steel domyślił się, kto nad nim stoi. To nie sen. Nie wizja. A jeśli nawet, jego wyobraźnia oblekła marzenie w ciało.

- Ojczy! - Szepnął Steel.

Sturm Brightblade nie powiedział ani słowa. Schylił się, wziął zwłoki Tanisa Półelfa na ręce i odwróciwszy się, opuścił dziedziniec powolnym, miarowym krokiem.

Buntownicze okrzyki i brzęk stali wyrwały Steela z zamyślenia. Żelazne wrota ze znakiem Paladine'a otworzyły się na oścież. Na podwórze wybiegła nowa grupa rycerzy solamnijskich, śpiesząc towarzyszom z pomocą. Jakiś rycerz krzyknął, że Tanis Półelf nie żyje; inny poprzysiągł Paladine'owi, że pomści jego śmierć. Wskazywali na Steela.

Podnosząc miecz, Steel ruszył im na spotkanie.

Rozdział VI

SMOKI MILKNA. OTWIERAJĄ SIĘ DRZWI.

KTOŚ CZEKA PO DRUGIEJ STRONIE

Łups - powiedział ogłuszony i wprawiony w osłupienie Tasslehoff Burrfoot. Potem dodał z płaczem: - Popsułem go! Nie chciałem, Palinie! Zawsze muszę coś popsuć. To przekleństwo. Wpierw smocza kula, potem urządzenie do podróży w czasie! Ale teraz przebrałem miarkę! Popsułem portal do Otchłani!

- Bzdura - warknął Palin, lecz nie był co do tego przekonany. Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl, że jeśli ktokolwiek na Krynnie mógłby „popsuć” portal do Otchłani, byłby to Tasslehoff.

Zwyciężyła rozsądniejsza myśl. Portal zbudowali mocarni magowie używający potężnej magii, której nie mógłby rozproszyć nawet kender. Jeśli to jednak prawda, co się zatem stało?

Podchodząc ostrożnie, by popatrzeć z bliska, Palin przyglądał się portalowi z zakłopotaniem.

- Wiesz, Palinie, ja już go kiedyś widziałem. - Tas spojrzał na portal i żałośnie potrząsnął głową. - Był naprawdę wspaniały w jakiś przerażający sposób. Każdy z pięciu smoczych łbów miał inny kolor i wszystkie wrzeszczały, Raistlin wypowiadał zaklęcie, w środku widać było takie wirujące światełka, od patrzenia na nie kręciło się w głowie, słyszałem z wnętrza przerażający śmiech i... I... - Tas westchnął i ze smutkiem siadł na podłodze. - Popatrz na niego teraz.

Palin patrzył. Nigdy jeszcze nie widział portalu, w każdym razie nie w rzeczywistości, a jedynie w przywidzeniu, jakie stworzył Dalamar. Niemniej czytał o portalu - jak wszyscy magowie. Były to umieszczone na podwyższeniu, olbrzymie owalne wrota, ozdobione głowami strzegących ich pięciu smoków, których giętkie szyje wyrastały z podłogi. Pięć łbów kierowało wzrok w stronę wnętrza: dwa po jednej stronie, trzy po drugiej. Pięć paszcz rozwierało się i śpiewało nieskończone, bezgłośnie hymny ku czci Królowej Mroku.

Wewnątrz portalu panowała ciemność, którą przeniknąć mógł tylko magiczny wzrok.

Kiedy tylko zasłaniająca portal kotara podnosiła się, pięć głów budziło się do życia i rozsiewało światło: niebieskie, zielone, czerwone, białe i czarne. Smoki zabiłyby i pożarły każdego maga, który byłby na tyle głupi, by spróbować wejść samodzielnie, jak miało to miejsce podczas jego próby...

Światło oślepiło Palina. Zamrugał oczami i potarł dłonią piekące powieki. Smocze głowy zalsniły jednak jeszcze jaskrawiej - i młody mag usłyszał, iż każda z nich zaczyna coś recytować.

Pierwsza: Z mroku w mrok, mój głos echem odbija się w pustce.

Druga: Z tego świata ku drugiemu, mój głos rozbrzmiewa życiem.

Trzecia: Z mroku w mrok wołam. Wszystko krzepnie pod moją stopą.

Czwarta: Czasie, który płyniesz, wstrzymaj swój bieg.

I wreszcie ostatnia: Ponieważ z wyroku losu upadają nawet bogowie, płaczie wszyscy ze mną.

...Wszystko rozmywało mu się przed oczami, a gdy usiłował dostrzec coś przez oślepiający blask portalu, po policzkach popłynęły mu łzy. Wielobarwne światła zaczęły szaleńczo wirować, krążąc wokół rozwierającej się coraz szerzej pustki pośrodku portalu...

- Spójrz tylko na to! - Powiedział nagle Tas. Zerwawszy się na równe nogi, podbiegł do Palina i szarpnął go za rękaw. - Widzę, co jest w środku! Palinie, widzę, co jest w środku! A ty?

Palin jęknął. Rzeczywiście mógł zajrzeć do wnętrza portalu. Pod płaskim, pustym, szarym niebem rozciągał się pusty i szary krajobraz.

Smocze łby były szare i milczały. Ich oczy, które przy tej próbie wtargnięcia powinny się dziko rozjarzyć na znak ostrzeżenia, były matowe, zmętniałe, puste.

- To Otchłań - powiedział poważnie Tasslehoff. - Poznaję ją. To znaczy, chyba poznaję. Ma niewłaściwy kolor. Nie pamiętam, czy ci już mówiłem...

- Mówiłeś - szepnął Palin, świadom, że niczego to nie zmieni.

Tas dokończył. - Ale ja kiedyś byłem w Otchłani i bardzo mocno się rozczarowałem. Tyle o niej słyszałem, o tych demonach, diablkach, mścicielach z za grobu, duchach i potępieńcach, że nie mogłem się doczekać, kiedy ją odwiedzę. Tymczasem Otchłań jest zupełnie inna. Jest pusta, okropna i nudna. Niemal umarłem z nudów.

Niebo jednego jest piekłem drugiego, jak głosi stare powiedzenie, a z całą pewnością dotyczyło ono kenderów.

- Prawie tak nudno, jak tutaj - dodał Tas złowieszcze stwierdzenie kendera, czego Palin nie powinien zlekceważyć.

Jednakże mag pogrążony był w zadumie, próbując wyjaśnić niewytłumaczalną kwestię. Co się stało z portalem?

Tas dalej trajkotał. - Mimo to dobrze pamiętam, że Otchłań nie była taka szara. Była raczej różowawa, jak płonący w oddali ogień. Tak opisywał ją Caramon. Może Królowa Ciemności postanowiła zrobić remont. - Na myśl o tym kender poweselał.

- Mogła wybrać lepszy zestaw kolorów - nie podoba mi się cała ta szarość. Niemniej każda zmiana musiała być ulepszeniem.

Tas obciągnął koszulę, sprawdził, czy ma wszystkie sakwy i ruszył przed siebie. - Chodźmy się rozejrzeć.

Palin nie zwracał na niego większej uwagi; jego umysł zaprzętało przypominanie sobie wszystkiego, co słyszał albo co czytał o portalu i Otchłani. Ta część jego jaźni, która w otoczeniu kendera stale była czujna, bo służyła, jak wielu ludziom, przeżyciu - podniosła alarm i przerwała mu tok rozmyślań.

Skacząc naprzód i potykając się w pośpiechu o podwyższenie, Palin zdołał złapać Tasa na chwilę, zanim kender wszedł prosto do portalu.

- Co? - Spytał niewinnie Tas. - Co się stało?

Palin z trudem chwycił oddech. - Zakłęcie... Mogło zadziałać... Nie wolno wchodzić... Mogłeś... Zginać...

- Chyba tak - stwierdził Tas po chwili namysłu. - Z drugiej strony, chyba nie. Tak się odbija kula ognista, jak zwykły mawiać Fizban. Poza tym mam wrażenie, że Raistlin się niecierpliwi. Sądzę, że byłoby nieuprzejmie kazać mu dłużej czekać.

Palin zupełnie przestał oddychać. Jego ciało przeszył chłód; serce mu się ścisnęło. - Mój... Stryj...

- Stoi właśnie tam. - Tas wskazał ręką portal i pusty, szary krajobraz w jego wnętrzu. - Nie widzisz go?

Palin ścisnął w dłoni laskę Magiusa i wsparł się na niej. Znów zajrzał do portalu, obawiając się tego, co w nim zobaczy... *Ciało Raistlina wisiało bezwładnie na murze. Czarna szata maga była w strzępach, a głowa opuszczona tak, że długie, białe włosy opadały mu na twarz... Szarpnięcie ostrych smoczych szponów otworzyło go od mostka do łądzwi, bezlitośnie obnażając wnętrzności. Odgłos*

kapania, który Palin słyszał wcześniej, powodowały krople krwi wyciekającej z żył i rozlewającej się kałużą w kamiennym zagłębieniu u stóp udręczonego maga.

Odziany w czarne szaty Raistlin stał z rękoma założonymi na piersi. Głowę spuścił w zadumie, lecz co jakiś czas oglądał się na portal, jakby na kogoś czekał. Potem znów pograżał się w rozmyślaniu i sądząc po ponurym wyrazie chudej, bladej twarzy, nie były to miłe myśli.

- Stryju!

Był to ledwie szept; Palin prawie nie słyszał własnego słowa. Mimo to Raistlin go usłyszał. Arcymag uniósł głowę i skierował złote, klepsydrowe oczy na Palina.

- Czemu się wahasz, bratanku? - Spytał z irytacją suchym, chrapliwym głosem.

- Pośpiesz się! Już dość czasu zmarnowałeś! Kender był tu przed tobą. Poprowadzi cię.

- To ja! - Krzyknął podniecony Tas. - On mówi o mnie! Będę przewodnikiem! Jeszcze nigdy nim nie byłem. Z wyjątkiem wyprawy do Tarsis, które nie leżało nad morzem jak powinno, ale to nie była moja wina. - Chwycił Palina za rękę. - Chodź za mną. Wiem dokładnie, co robić...

- Ale ja nie mogę! - Palin wyrwał dłoń ze zbyt mocnego uścisku Tasa. - Stryju! - Zawołał. - Co z portalem? Zgodnie z prawami magii, nie możemy...

- Prawa - rzekł cicho zamyślony Raistlin. Odwrócił wzrok i spojrzał w stronę odległego horyzontu, bladej szarości nie kończącego się nieba. - Wszystkie prawa zostały zawieszane, bratanku, wszystkie reguły złamane. Możesz bezpiecznie przekroczyć próg portalu. Nikt cię nie zatrzyma. Nikt.

Prawa zawieszane. Reguły złamane. Co za dziwne stwierdzenie. Jednak dowody na to - albo na coś podobnego - Palin miał tuż przed oczami. Mógł bez przeszkód wejść do portalu. Królowa Ciemności nie spróbuje go zatrzymać. Nic mu nie grozi.

- Mylisz się, bratanku - powiedział Raistlin w odpowiedzi na jego myśli. - Grozi ci bardzo wielkie niebezpieczeństwo, tobie i wszystkim śmiertelnikom na Krynnie. Chodź do mnie, a wszystko ci wyjaśnię. - Klepsydrowe oczy zwęziły się. - Chyba że się boisz...

Palin bał się. Miał powody czuć lęk, jednakże odrzekł spokojnie: - Zaszedłem tak daleko, stryju. Nie cofnę się.

- Mądrze mówisz, bratanku. Cieszę się, że poświęcony ci czas nie poszedł na marne. Kiedy już tu będziesz, idź mnie poszukać.

Palin zrobił głęboki wdech, ścisnął mocno łaskę w jednej dłoni, a drugą chwycił

Tasslehoffa.

Razem podeszli i stanęli przed pięcioma smoczymi głowami.

- Wejdziemy - powiedział do nich Palin i zrobił krok naprzód.

Smoki nie poruszyły się, nie odezwały, były ślepe i głuche.

- Portal nie jest popsuty - cicho powiedział do siebie Palin. - On jest... Martwy!

Tas i Palin przeszli przez portal do Otchłani równie łatwo, co przez kuchenne drzwi Tiki.

Rozdział VII

OTCHŁAŃ. POSZUKIWANIA. NARADA NIEŚMIERTELNYCH

Stali pośrodku szarości: szara ziemia, szare niebo. Nigdzie nie było żywej duszy, nawet potępionej. Nigdzie nie było Raistlina.

- Stryju! - Zaczął krzyżeć Palin.

- Sza! Cicho! Nie ró b tego! - Zawołał Tas, rzucając się na Palina i nieomal go przewracając. - Nie mów ani słowa. Nawet

O tym nie myśl!

- Co? Dlaczego? - Spytał Palin.

- Tu wszystko dzieje się w bardzo dziwny sposób - szepnął Tas, rozglądając się ukradkiem na boki. - Kiedy tu byłem, pomyślałem sobie, jak miło byłoby zobaczyć drzewo. I natychmiast się pojawiło - ot, tak. Tylko że nie było zielone i liściaste. Było uschnięte. A potem pomyślałem o Flincie, bo z tego, co mówił Fizban, miałem go spotkać w Zaświatach pod drzewem.

I pojawił się krasnolud, ale nie Flint. To był zły krasnolud imieniem Arack, który rzucił się na mnie z nożem i...

- Rozumiem - powiedział cicho Palin. - Tu spełniają się życzenia, tylko niezupełnie tak, jak chcielibyśmy. Myślisz, że Raistlin... Był tylko złudzeniem? Dlatego, że chciałem go zobaczyć?

- Wydawał się okropnie rzeczywisty, prawda? - Stwierdził Tas po chwili zamyślenia. - Ta tajemnicza mowa o zawieszeniu praw i złamaniu reguł - to cały Raistlin. No i fakt, że kazał nam się spotkać tutaj, a potem zniknął, zanim przyszliśmy. To też w jego stylu.

- Kazał nam się jednak śpieszyć... - Palin zastanowił się. - Prawa zawieszono... Reguły złamane... Kiedy tu będziesz, idź mnie poszukać... - Nagle coś mu przyszło do głowy - Tas, jak tu się podróżuje? Chyba nie pieszo, prawda?

- Właściwie można, ale krajobraz nie jest szczególnie ciekawy, nie wspominając o tym, że nie wiemy, dokąd iść... A wiemy, dokąd iść?

Palin pokręcił głową.

- Więc nie radziłbym - oznajmił Tas. - Pamiętam, że kiedy byłem tu ostatnio, natknąłem się na takiego naprawdę makabrycznego typu z brodą wyrastającą z czaszki, który śmierdział prawie jak piknik krasnoludów żlebowych, a może nawet jeszcze gorzej. To on mnie znalazł i zaprowadził do Królowej Ciemności. Jej wysokość nie była sympatyczna - dodał poważnie Tas. - Powiedziała...

- Jak się udałeś na spotkanie z nią? - Przerwał Palin, dobrze bowiem wiedział, że gdyby dał kenderowi wolną rękę, ten zboczyłby z tematu w pogoni za którymkolwiek z pół tuzina wątków opowiadania.

Tas zmarszczył brwi w zadumie. - Cóż, nie była to kareta. To bym zapamiętał. Chyba... Tak. Ten makabryczny typ wyciągnął rękę - bardziej szpony niż rękę, jak sobie przypominam - ścisnął w niej medalion, który nosił na szyi i w jednej chwili byliśmy jeszcze tam, a w następnej gdzie indziej.

- Jesteś pewien, że miał medalion? - Spytał rozczarowany Palin.

- Tak, absolutnie. Pamiętam, bo to był wyjątkowo interesujący wisior - taki z pięciogłowym smokiem - i chciałem go sobie pożyczyć na chwilę, żeby obejrzeć z bliska...

- Laska - rzekł Palin.

- Nie. Medalion. Jestem pewny...

- Chciałem powiedzieć, że być może dzięki niej znajdziemy stryja. Weź mnie za rękę. - Palin mocniej chwycił laskę.

- Magia? - Spytał ochoczo Tas. - Uwielbiam czary. Pamiętam, jak kiedyś Raistlin czarami wrzucił mnie do stawku dla kaczek. To było...

Palin nie zwracał na niego uwagi. Zamknąwszy oczy, ścisnął laskę w dłoni i poczuł ciepły dotyk gładkiego drewna. Pomyślał o swym stryju, przypomniał sobie jego obraz, słyszał jego głos, słyszał go wyraźnie.

Pośpiesz się! Chodź do mnie...

- Och! - Jęknął Tas. - Palinie! Spójrz! Działa! Poruszamy się.

Palin otworzył oczy.

Ponury, niezmienny krajobraz prześlizgiwał się pod jego stopami; szary nieboskłon obracał się wokół niego, wirował dokoła nich coraz szybciej, aż Palin dostał mdłości i zawrotów głowy od samego patrzenia.

Otoczyła go wirująca, kłębiąca się szarość. Ziemia usunęła mu się spod stóp, lecz szarość trzymała go i nie puszczała.

Kręć się... Kręć się... Kręć się...

Kręć się... Kręć... Kręć...

Tracił zmysły w obrotach, świadomość wysnuwała się z niego niczym nić z wrzeciona, nawijała bez końca na wielkie koło, które kręciło się, kręciło... Nić przędła się coraz cieńsza i cieńsza, aż...

Pękła.

Palin nie mógł złapać tchu. Ktoś zasłaniał mu usta dłonią. Zaczął się szarpać, chciał unieść ręce, żeby wyrwać się z tego dławiącego uścisku...

- Sza! - Ktoś szepnął. - Ani słowa! Bądź cicho. Nie powinno nas tu być.

Palin otworzył powieki i spojrzał w złote, klepsydrowe oczy. Dłoń zasłaniająca mu usta była chuda i koścista, o długich i delikatnych palcach. Skóra miała złotawy odcień. To była dłoń jego stryja, to jego stryj trzymał go w ramionach.

Palin pokiwał głową na znak, że rozumie. Raistlin rozluźnił uścisk i Palin odetchnął głęboko.

Ktoś kręcił się u jego boku. Tasslehoff.

Kender gadał, lecz Palin go nie słyszał. Wiedział, że Tas mówi, kender bowiem poruszał ustami, jednak nie wydobywały się z nich żadne dźwięki.

Tasslehoff z niesłychanie zdumioną miną pomacał się po gardle i znów coś powiedział. Nic.

Przykładając dłoń do ucha, Tas spróbował raz jeszcze. Nie wydał żadnego dźwięku.

W przypiływie rozpaczy kender wystawił język i omal nie dostał zeza, próbując zobaczyć, co się z nim stało.

Raistlin podszedł do Palina i powiedział cicho: - To zakęcie nie działa wiecznie. Nie puszczaj kendera samego.

Palin znów pokiwał głową, choć dziwił się, po co w ogóle Raistlin zabrał kendera. Miał właśnie spytać, jednak Raistlin - spojrzawszy na niego srogo - pogrzyżył się w surowym milczeniu.

Palin, Raistlin i Tas chowali się w głębokim cieniu za olbrzymią kolumną z lśniącobiałego marmuru w czarne i czerwone smugi. Obok Palina stała następna kolumna - z czarnego marmuru w czerwone i białe prążki, a dalej trzecia z czerwonego marmuru z białymi i czarnymi żyłkami. Pod stopami nie widział posadzki

ani ziemi, jedynie mrok.

Palin jęknął lekko. Silna dłoń zacisnęła się na jego rękę; chude palce wpijały mu się boleśnie w ramię.

Raistlin nie rzekł ani słowa. Nie były potrzebne. Palin zamknął usta z mocnym postanowieniem, że zachowa ciszę. Mag złapał Tasa, który zaczynał się ukradkiem oddalać. Razem spojrzeli w dół.

Stał tam krąg osób. Pod stopami miały marmurową posadzkę. W jej środku znajdował się czarny krąg nicości. Z niego wychodziły naprzemienne barwne pasy: białe, czerwone i czarne. Mężczyźni i kobiety stali na krawędzi koła, każdy na swoim kolorze. Rozmawiali, spierając się.

Zdumiony Palin spojrział na Raistlina.

Arcymag głową wskazał postaci i przyłożył dłoń do ucha.

Palin wytężył słuch i kiedy zdał sobie sprawę z powagi tej rozmowy zaniemówił. Nie mógłby wydać dźwięku nawet, gdyby chciał. Dusza w nim drżała, lecz słuchał i przypatrywał się z zachłanną uwagą. Nawet Tas wreszcie zamilkł, ogarnięty nabożną grozą.

Istoty, które podglądali, były bogami Krynny.

- To wszystko wina Hiddukela! - Chislev, odziana w zieloną tkaninę bogini o brązowych włosach uwieńczonych girlandami kwiatów i liści, oskarżycielskim gestem wymierzyła palec w opasłego boga, który stał na czarnym pasie. - Oszukał mnie i krasnoluda. Prawda, Reorxie?

Krasnolud, którego wytworny strój mocno się zniszczył, trzymał w dłoniach kapelusz z piórem. Był opanowany, lecz w jego oczach tlił się gniew.

- Chislev mówi prawdę. To ja wykonałem ten przeklęty kamień - mógłbym dodać, że ulegając jej namowom. Niemniej cały pomysł zrodził się w umyśle Hiddukela.

Wspomniany bóg - wielki, tłusty o gładkich manierach - uśmiechnął się wyniośle, udając obojętność. Spojrzenie jego przymrużonych oczu powędrowało nerwowo ku pięknej, ubranej w czarną zbroję kobiecie. Zajmowała honorowe miejsce w kręgu i przykuwała uwagę swą chłodną twarzą i oczami.

- Cóż ty na to, Hiddukelu? - Głos Takhisis wydawał się być ucieleśnieniem ciemności. - Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

- Postąpiłem całkowicie zgodnie z prawem, królowo - odparł płynnie i gładko Hiddukel. - Wszyscy znamy historię Szarego Klejnotu. Nie ma powodów, aby ją

powtarzać. Nieszkodliwa, drobna intryga, której celem było jedynie powiększenie chwały Waszej Wysokości.

- I zgarnięcie zysku dla siebie?

- Dbam o własne interesy - zaskomlał Hiddukel, cofając się przed gniewem Takhisis. - Co w tym złego? Jeśli niektórzy - obrócił tłuste oblicze ku Chislev - są tak naiwni, że mi wierzą, to ich problem, prawda? A jeśli ktoś - Hiddukel spojrzał z pogardą na krasnoluda - jest tak głupi, by próbować złapać Chaos...

- To był wypadek! - Ryknął Reorx. - Zamierzałem chwycić jedynie jego część - drobniutki kawałeczek. Musisz mi uwierzyć, panie.

Krasnolud zwrócił się pokornie do wysokiego, poważnego boga w srebrnej zbroi, który zajmował miejsce na białym pasie tuż obok Takhisis. - Nie miałem zamiaru uwięzić Jegomościa - dodał stłumionym głosem Reorx.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł Paladine. - Wszyscy jesteśmy temu winni.

- Niektórzy bardziej niż inni. Aby więzić Chaos, trzeba było potężnej magii - burknął Sargonnas, wysoki, rogaty bóg stojący w pobliżu Takhisis. - Moim zdaniem, winę ponoszą nasze zbuntowane dzieci.

Troje bogów magii przysunęło się do siebie.

- To nie była nasza wina - rzekła Lunitari.

- My o niczym nie wiedzieliśmy - odparł Nunitari.

- Nikt się do nas z tym nie zwrócił - zaprotestował Solinari.

Reorx burknął gniewnie. - To Lunitari zgubiła Szary Klejnot!

- Ukradł go twój brudny gnom! - Odcięła się Lunitari.

- Gdyby tylko ktoś mnie spytał - poskarżył się Zivilin - mógłbym zajrzeć w przyszłość i ostrzec was...

- Kiedy? - Spytał zgryźliwie Morgion. - Za następne sześć albo siedem tysiącleci? Tyle czasu zajęłoby ci rozwikłanie wszystkich tajemnic przyszłości.

Pomniejsi bogowie zaczęli się głośno kłócić, zrzucając winę jeden na drugiego. We wszystkich głosach i na wszystkich obliczach wyraźnie można było wyczytać strach i napięcie. Kłótniom i oskarżeniom nie było końca. Gilean odczytywał długie ustępy ze swojej księgi, usiłując udowodnić winę albo przerzucić ją na kogoś innego, zależnie od życzeń rozmaitych bogów. Reorx wygłosił w swojej obronie porywającą mowę. Hiddukel rozwodził się bez końca, a jego przemówienie, mimo iż tak długie, nie zawierało żadnej treści. Sargonnas całą winę zrzucił na słabe, mizerne i biadolące rasy ludzi, elfów oraz ogrów, utrzymując, że gdyby miały dość rozumu, by zostać

ślugami minotaurów, nie doszłoby do tego nieszczęścia. Zivilyn w odpowiedzi pokazał mu niezliczone wersje przyszłości i przeszłości, co zupełnie zamazało i zmaćciło obraz rzeczy, niczego jednak nie rozwiązując.

Kłótnia trwała tak długo i była tak nużąca i jałowa, że Palin kilkakrotnie zasypiał. Budził się raptownie na dźwięk wyjątkowo głośnego, podniesionego tonu, po to tylko, by ponownie pogrążyć się we śnie. Miał wyraźne i nieco niepokojące uczucie mijania czasu, lecz ten czas upływał w jakiejś innej przestrzeni, nie tu.

Spytałby Raistlina, lecz kiedy chciał się odezwać, mag potrząsnął głową, mrużąc złote oczy. Sprawiał wrażenie bardzo niezadowolonego. Tasslehoff spał mocno, cicho pochrapując.

Wreszcie, kiedy Hiddukel oznajmił, że gotów jest przytoczyć kilka ważnych faktów, które mają bezpośredni związek ze sprawą, Paladine i Takhisis, którzy milczeli teraz, jak i podczas kłótni, wymienili spojrzenia.

Nagle błysnęło oślepiające światło i w kręgu zostało tylko troje starszych bogów. Mniejsi bogowie zostali odprawieni.

- Niepotrzebnie ich tu sprowadzaliśmy - zauważyła gorzko Takhisis.

- Musieliśmy spróbować - powiedział milczący dotychczas Gilean. Trzymał wielką księgę, w której stale coś zapisywał. - Mogliśmy dowiedzieć się czegoś, co by nam pomogło.

- To oczywiste, że żadne z nich nie wie, jak do tego doszło - odparł Paladine. - W jakiś sposób Chaos został uwięziony wewnątrz Szarego Klejnotu i - słusznie albo niesłusznie - nas za to obwinia.

- Jeśli mówi prawdę - powiedziała Takhisis. - To może być podstęp.

- Sądzę, że rzeczywiście był uwięziony w jego wnętrzu - rzekł zamyślony Gilean.
- Przyjrzałem się sprawie uważnie i fakt ten wiele by wyjaśniał: zniszczenia, jakie Szary Klejnot siał na całym Krynnie, to, że żadne z nas nie umiało nad nim zapanować...

- Twoi Irdowie zdołali, bracie - przerwała Takhisis, spoglądając oskarżycielsko na Paladine'a.

- Chciałaś powiedzieć, że on zapanował nad nimi - odparł srogo bóg. - Chaos wreszcie znalazł lud, którym mógł manipulować, plemię obdarzone na tyle silną mocą magiczną, by go uwolnić, jednakże zbyt słabą, by go powstrzymać. Zapłacili już za swe szaleństwo.

- Chaos postanowił, że teraz my mu zapłacimy. Chodzi o to, moi bracia, czy jest

w stanie to zrobić? Czy jest dość silny? Przez wieki sami urosliśmy w potęgę.

- Musielibyśmy być o wiele silniejsi - oznajmił Gilean z westchnieniem. - Jak sama powiedziałaś, siostrze, Chaos uczynił olbrzymią wyrwę w Otchłani. Jego moc osiągnęła rozmiary, o jakich nawet nam się nie śniło. Przyzywa swe wojska: czarty, strasznych demonicznych wojowników i ogniste smoki. Kiedy będzie gotowy, ruszy do ataku na Krynn. Jego celem jest zniszczenie wszystkiego, co stworzyliśmy. Kiedy osiągnie cel, szczelina będzie rozległa i głęboka, tak rozległa i głęboka, że pochłonie świat. Wszystko, co teraz istnieje, obróci się w nicość.

- A co z nami? - Spytała Takhisis. - Co zrobi z nami?

- Dał nam życie - rzekł posępnie Paladine. - Może je odebrać.

- Co teraz zrobimy? - Zapytał Gilean, patrząc to na brata, to na siostrę.

- On się nami bawi - oznajmił Paladine. - Mógłby nas wszystkich unicestwić jednym mrugnięciem oka. Chce widzieć nasz ból i cierpienie wszystkiego, co stworzyliśmy.

- Uważam, że powinniśmy odejść, bracia, wymknąć się, zanim zauważy naszą nieobecność. - Takhisis wzruszyła ramionami. - Zawsze możemy stworzyć inny świat.

- Ja nie porzucę tych, którzy pokładają we mnie wiarę. - Oznajmił z powagą Paladine. - Poświęcę się dla nich, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Odchodząc, możemy wyświadczyć im przysługę - zauważył Gilean. - Jeśli ich opuścimy, Chaos może pójść za nami.

- Po tym, jak skończy niszczyć świat - obstawał przy swoim rozłłoszczony Paladine - naszą „zabawkę”, jak go nazywa. Nie okaże litości. Zostanę i będę z nim walczył - sam, jeśli będzie taka konieczność.

Dwoje pozostałych bogów zamilkło i rozmyślało.

- Może masz rację, bracie - stwierdziła Takhisis z niespodziewaną i rozbijającą słodyczą. - Powinniśmy zostać i walczyć. Zgadzasz się jednak, że będziemy potrzebowali pomocy śmiertelników?

- Prawda, będą musieli sami sobie pomóc. - Rzekł Paladine, nieufnie przyglądając się siostrze.

- Nigdy nie zdołamy zniszczyć Chaosu - powiedział Gilean - ale może istnieje sposób, aby zmusić go do odejścia. Śmiertelnicy mogliby nam w tym pomóc.

- Gdyby byli zjednoczeni - oświadczyła Takhisis. - Źle byłoby, gdyby armie ludzi i elfów obróciły się przeciwko sobie, kiedy mają walczyć z legionami Chaosu.

- Zjednoczą się - oznajmił ostrym tonem Paladine. - Nie będą mieli wyboru.

- Może tak, a może jednak nie. Czy odważymy się na takie ryzyko, moi bracia? Zarówno dla ich dobra, jak i naszego?

- Wyłóż jasno swe zamiary, siostrze - domagał się Paladine. - Widzę, że masz jakiś plan.

- I to bez wątpienia taki, który przyniesie jej korzyści - ukradkiem szepnął do brata Gilean.

Takhisis usłyszała to i sprawiała wrażenie urażonej, że mogli ją tak źle zrozumieć. - Co jest korzystne dla jednego, korzystne jest dla wszystkich, jeśli zdołamy uwolnić świat od Chaosu. Czyż nie mówię prawdy, drodzy bracia?

- Co planujesz? - Powtórzył Paladine.

- Tylko to, co następuje. Przekaż władzę na Ansalonie moim rycerzom. Pozwól im panować. Pod ich rządami rozkwitnie prawo i porządek. Nastanie kres nie kończących się sporów i zatargów między śmiertelnikami. Na Ansalonie zapanuje pokój. Śmiertelnicy będą zjednoczeni i przez to przygotowani na atak Chaosu.

- Jedność? Jedność niewolników! Pokój więzienia! Nie mogę uwierzyć w te słowa, nawet jeśli padają one z twych ust, siostrze - odparł gniewnie Paladine. - Nigdy jeszcze nie mieliśmy do czynienia z takim zagrożeniem, a ty, nawet teraz, gdy twe istnienie zawisło na włosku, spiskujesz, by zdobyć przewagę. Ja się nie zgadzam.

- Zaczekaj chwileczkę, bracie - rzekł pojednawczo Gilean.

- To jasne, że nasza ukochana siostra oszukuje, próbuje skłócić nas ze sobą, by na tym wygrać. Czego innego się spodziewałeś? Mimo to proponowany przez nią plan ma pewne zalety. Zjednoczony i spokojny Ansalon, nawet pod władzą sił ciemności, będzie lepiej przygotowany na atak armii Chaosu niż Ansalon podzielony, rozdrobniony i pogrążony w zamięcie.

Zmartwiony Paladine zamyślił się. Spojrzał na Takhisis, a potem znów na Gileana. - Popierasz jej stanowisko?

- Tak, bracie, obawiam się, że jestem do tego zmuszony - powiedział łagodnie Gilean. - Inaczej nie widzę nadziei.

- No, bracie, nie bądź samolubem - wtrąciła się drwiąco Takhisis. - Bez zająknienia mówiłeś o ponoszeniu ofiar dla swych najdroższych śmiertelników. A kiedy przyszło ci to uczynić, wykręcasz się. Stać cię tylko na słowa? Czy rzeczywiście mówiłeś prawdę?

Paladine bardzo długo milczał. Zmarszczył czoło w zadumie, spoglądając ze smutkiem na świat. W końcu pokręcił głową. - Nie widzę przyszłości. Płomienie i dym

zasłaniają mi widok. Nie jestem przekonany, czy macie rację, jednakże skoro oboje jesteście przeciwko mnie, nie mam innego wyboru - muszę ustąpić. Zgadza się, siostrze - oznajmił, wzdychając gorzko. - Ansalon będzie twój.

- Podjąłeś mądrą decyzję, bracie - rzekła chłodno mroczna Takhisis, okazując wielkoduszność jako zwycięzca.

- Będziesz jednak władać tylko do czasu, gdy siły Chaosu zostaną unicestwione - nalegał Paladine.

- Albo my zginiemy - dodał posępnie Gilean. Pokazał księgę, w której wciąż czynił zapiski. - Być może, drogi bracie i droga siostrze, piszę już ostatni rozdział.

- W takim razie - powiedziała Takhisis - musimy postarać się, aby był jak najlepszy. Żegnajcie, moi bracia. Mam bitwę do wygrania.

Rozpłynęła się w powietrzu. Paladine znikł natychmiast po niej. Gilean został sam. Usiadł i dalej pisał w wielkiej księdze.

Rozdział VIII

ROZCZAROWANIE.

ZWYCIĘSTWO JEST NASZE.

KAPITULACJA

Steel Brightblade żył. Nie chciał jednak żyć. Powinien zginąć podczas szturm na Wieżę Najwyższego Klerysta, polec w bitwie z godnością i odwagą, poświęcając się dla swej królowej i zmazując skazę na honorze.

I przeznaczone mu było zginąć - przeszytemu włócznią szlachetnego nieprzyjaciela. Tanis Półelf udaremnił zamiary losu, chroniąc Steela przed ciosem i ponosząc śmierć za niego.

Steel stał na środkowym dziedzińcu Wieży Najwyższego Klerysta z okrwawionym mieczem w dłoni klejącej się i lepkiej od krwi. Nie pojmował w pełni tego, co się wydarzyło; wciąż pałał bitewnym szalem. Najsilniej utkwił mu w pamięci obraz ojca, który wynosił na rękach ciało Tanisa. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie miał omamów, jednakże przeczyła temu krew Tanisa rozlana na kamieniach u jego stóp.

Po tym wydarzeniu uświadamiał sobie tylko dziwną ciszę walki - ciszę, na którą składa się brzęk oręża, rżenie konających, wykrzykiwane rozkazy i tupot stóp. Wszystkie te dźwięki jednak zagłusza wypływająca z wnętrza cisza, spokój wojownika, który musi skupić całą uwagę na osiągnięciu celu i nie może pozwolić, by cokolwiek go rozproszyło lub stanęło mu na drodze.

Dla Steela cisza ta skończyła się w chwili, gdy rozejrzał się za następnym przeciwnikiem - i stwierdził, że nie ma ich już więcej.

- Zwycięstwo! Odnieśliśmy zwycięstwo! - Podkomendant Trevalin - w pogiętej i zbryzganej krwią zbroi, z brudną i spoconą twarzą - wkroczył na dziedziniec, wykrzykując nowinę.

- Przekaż to lordowi Ariakanowi! - Rozkazał Trevalin, zatrzymując giermka i

popychając go w kierunku wyjścia. - Powiedz mu - jeśli nie słyszał jeszcze - że Solamniczycy chcą omówić warunki kapitulacji.

Trevalin rozejrzył się i dostrzegł Steela, który oszołomiony i zdumiony stał pośrodku podwórza. Podkomendant podszedł do przyjaciela i uściśnął go mocno.

- Brightblade! Schowaj miecz! Wygraliśmy!

- Wygraliśmy... - Powtórzył Steel. Bitwa dobiegła końca, a on żył.

Trevalin, pełen uniesienia, ciągnął dalej. - Znakomita kampania! Pamięć o niej nigdy nie zaginie. Po raz pierwszy w dziejach zdobyto Wieżę Najwyższego Klerysta! Zdumiewające zwycięstwo! Następnym naszym łupem będzie Palanthas. Kiedy tylko jego mieszkańcy usłyszą, że pokonano ich obrońców i że dobre smoki uciekły, wpadną w nasze ręce jak zgniłe owoce. A ty, mój przyjacielu! Już słyszałem opowieści o twojej dzielności! Powiadają, że z twojej ręki zginął Tanis Półelf.

- Nie - wymamrotał rycerz. Krążący w jego żyłach ogień bitwy powoli wygasiał, zostawiając po sobie jedynie popiół i dym. Steel żył. - Nie, nie zabiłem Półelfa. On ocalał...

Trevalin jednakże nie słuchał. Na dziedziniec wjechał posłaniec od lorda Ariakana. Jego koń spłoszył się, widząc trupy i czując woń krwi. Kurier zmagął się ze swym wierzchowcem, szukając jakiegoś dowódcy.

- Jego lordowska mość ujrzał białą flagę wywieszoną na szczycie wieży. Posłańcy donieśli, że obrońcy wieży pragną omówić warunki złożenia broni. Lord słyszał również, że srebrne i złote smoki opuściły pole walki i wycofały się. Czy to prawda, podkomendancie?

- Prawda, wszystko to prawda. Sam widziałem, jak te tak zwane „dobre” smoki uciekają - zaśmiał się Trevalin. - Może Paladine przysłał wiadomość i kazał im się wycofać.

Kurier najwyraźniej nie uznał, by to było warte śmiechu. Jego koń tupał kopytami i parskął, cwałował nerwowo wokół, ślizgając się na zalanych krwią kamieniach. Jeździec zajadle trzymał się w siodle, kierując spłoszone zwierzę to w jedną, to w drugą stronę, gdy prowadził rozmowę z Trevalinem.

- Jego lordowska mość podejrzewa podstęp.

Trevalin pokiwał głową, poważniejąc. - Nie zdziwiłbym się, gdyby smoki odleciały tylko po to, by przegrupować się gdzieś i zwiększyć liczebność. Tym lepszy powód, by przyjąć kapitulację rycerzy i szybko zająć twierdzę.

- Czy to ich oficerowie? - Spytał cicho posłaniec, schylając się nad końskim

karkiem. - Ci ludzie, którzy zbliżają się do nas?

Na dziedziniec wyszło trzech rycerzy solamnijskich. Jeden z nich, komendant - lord, rycerz Róży, szedł przodem, pozostali dwaj uroczyście kroczyli po obu jego stronach. Zdjęli hełmy, a może stracili je w walce. Bitwa odcisnęła na nich swe piętno; zbroje mieli powgniatane, zakurzone i okrwawione. Komendant bardzo utykał, krzywił się z bólu przy każdym powolnym i chwiejnym kroku. Twarz kolejnego pokrywała krew z rozciętej głowy; jedno ramię miał usztywnione. Oko trzeciego przesłonięte było prymitywnym opatrunkiem, spod którego sączyła się i spływała po policzku krew.

Trzymali rozciągnięte między sobą białe płótno.

- To są oficerowie - potwierdził Trevalin.

Kurier wyjechał im naprzeciw. Zatrzymał wierzchowca i zasalutował.

Dowódca pokonanych Solamnijszyków uniósł zmęczony wzrok. Był w średnim wieku, lecz sprawiał wrażenie dużo starszego. - Czy przybywasz od lorda Ariakana? Zaniesiesz mu wiadomość?

- Tak uczynię, panie rycerzu - odparł uprzejmie posłaniec. - Jaką wieść mam zanieść jego lordowskiej mości?

Rycerz solamnijski przetarł dłonią twarz, ocierając krew, a może łzy. Westchnął. - Powiedz jego lordowskiej mości, że prosimy o pozwolenie na zabranie poległych z pola walki.

- Czy to oznacza, panie, że się poddajecie?

Rycerz powoli pokiwał głową. - Pod warunkiem, że nie będzie już więcej rozlewu krwi. Zbyt wielu dziś zginęło.

- Być może jego lordowska mość zażyczy sobie bezwarunkowej kapitulacji - odpowiedział kurier.

Oblicze rycerza sposepniało. - W takim razie będziemy walczyć, póki ostatni z nas nie padnie martwy. To niepowetowana strata.

W tym momencie jeden z towarzyszących komendantowi rycerzy odezwał się nagłym tonem, wznawiając spór.

Komendant uciszył go gestem dłoni. - Raz już o tym mówiliśmy. Nie wyślę na śmierć kolejnych młodych ludzi. Byłby to daremny wysiłek. Znam Ariakana. Zachowa się godnie. Jeśli nie...

- Pokręcił głową i przeniósł ponure spojrzenie na posłańca. - Takie są nasze warunki. Powiedz swemu panu, że może je przyjąć albo odrzucić.

- Tak uczynię, panie rycerzu.

Kurier oddalił się galopem. Trzej zwyciężeni rycerze stali wyniośle na uboczu. Milczeli i patrzyli prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na obecność nieprzyjaciela.

- Przyjmie je - przewidywał Trevalin. - Bitwa została zakończona. Cała reszta jest tylko bezsensowną rzezią. Jak już mówiłem, sądzę, że będzie chciał szybko zająć wieżę przed powrotem złotych smoków. Muszę już wracać na stanowisko. Pewno ucieszysz się na wieść o tym, Brightblade, że Flare przeżyła bitwę bez obrażeń. Walczyła dzielnie, choć moim zdaniem zabrakło jej ducha. Podejrzewam, że tęskniła do swego prawdziwego pana... A cóż to, Brightblade?

- Mój miecz - oznajmił z posępną goryczą Steel. - Składam go w twoje ręce, panie podkomendancie. Jestem pańskim więźniem.

Trevalin w pierwszej chwili był zbity z tropu. Potem przypomniał sobie. - Do licha! Całkiem o tym zapomniałem. - Odepchnął na bok podsunięty oręż, podszedł bliżej i przemówił cicho.

- Posłuchaj mnie, Steelu. Nie piśnij o tym nikomu ani słowa. Jego lordowska moc również o wszystkim zapomni. A co do Pani Nocy - cóż, Ariakan dowie się o twoich mężnych czynach dzisiejszego dnia. Czym jest strata jednej parszywej magiczki w porównaniu z pojedyńkiem między tobą a Tanisem Półelfem? Pojedyńkiem, który wygrałeś!

Steel był chłodny i opanowany. - Jestem pańskim więźniem, panie podkomendancie.

- Do licha, Brightblade! - Zaczął zdesperowany Trevalin.

Steel odpiął pas i trzymał miecz w wyciągniętych rękach.

- Dobrze, Brightblade - oświadczył cicho Trevalin. - Umieszczę was w areszcie. Jednak przy pierwszej okazji osobiście porozmawiam z lordem Ariakanem i wstawię się za wami, poproszę go, by wziął pod uwagę waszą odwagę...

- Proszę tego nie robić, panie podkomendancie - rzekł Steel tym samym chłodnym tonem. - Dziękuję, ale proszę, by niczego pan nie mówił. Czcigodny lord jeszcze pomyśli, że błagam o życie. Proszę zaprowadzić mnie tam, gdzie trzymacie więźniów.

- Zgoda - powiedział Trevalin po chwili złudnego oczekiwania, że Steel zmieni zdanie - jeśli tego sobie życzy.

Trevalin dał znak dłonią, by Steel ruszył przodem, pokazując wrota po drugiej stronie dziedzińca.

Za murami rozległo się głośnie granie trąbki i okrzyki ludzi świętujących

zwycięstwo. Steel usłyszał stuk kopyt. Zbliżał się lord Ariakan, nadjeżdżał triumfalnie jako zdobywca fortecy, do której niegdyś wszedł jako pokonany.

Steel nie czekał, by popatrzeć. Nie chciał psuć tej chwili, gdy jego pan świętując swą chwałę - ujrzał jego hańbę. Podniósł głowę i zacisnąwszy zęby, poszedł przez splamiony szkarłatem dziedziniec do więzienia w Wieży Najwyższego Klerysta.

Rozdział IX

PORTAL. POWRÓT STARYCH PRZYJACIÓŁ.

WYZNANIE TASSLEHOFFA

Oho - mruknął Tasslehoff Burrfoot - jak powiedziałaaby Bupu, masz babo krowi placek! Zamrugał oczami i sapnął. - Usłyszałem, co mówię! Wrócił mi głos! Słyszałeś to, Raistlinie? Ja...

- Stryju - rzekł zaniepokojony Palin - co to ma...

- Nie teraz, kenderze - przerwał Raistlin. - Ty też zaczekaj, bratanku. Odłóż pytania na potem. Musimy szybko stąd się oddalić, zanim ktoś nas odkryje.

Uradowany odzyskaniem głosu i podniecony świadomością, że znów zostanie gdzieś przeniesiony czarami (drugi raz w ciągu jednego dnia), Tas miał nadzieję, że znajdą się w jakimś równie ciekawym miejscu. Może następnym kaczym stawku.

Raistlin nie odezwał się i niczego nie zrobił. Nagle kolumna, za którą się schowali, zaczęła się rozplýwać, maleć i znikać.

Magia zakręciła się wokół Tasa, a może to on zakręcił się wokół niej. Nie mógł się zorientować, przeszkadzało mu bowiem w tym niezwykle uczucie, że żołądek rozpląszczył mu się na kręgosłupie, a kitka zawinęła mu się dookoła głowy i przesłoniła oczy.

Kiedy wirowanie ustało, żołądek wrócił na właściwe miejsce. Kender odgarnął włosy z oczu, rozejrzał się i westchnął.

Nie było kaczego stawku, w ogóle niczego, prócz szarego nieba nad głową i szarej ziemi pod stopami. Znów byli w miejscu, z którego wyruszyli.

Oto portal. Za nim laboratorium, dokładnie w takim samym stanie, w jakim je zostawili - pełno w nim słoików i butelek zawierających niesłychanie interesujące, choć obrzydliwe rzeczy; książek i zwojów, może też jeden lub dwa magiczne pierścienie. Tas zawsze miał do nich szczęście.

Przed wejściem do Otchłani pracownia wydawała się kenderowi dość nudna. Teraz sprawiała wrażenie równie ciekawej jak dzień targowy we Flotsam.

Tas zamierzał już przebiec przez portal, gdy przypomniał sobie o grzeczności. Odwrócił się i wyciągnął rączkę do Raistlina.

- Do widzenia, Raistlinie. Miło było cię znów widzieć, nawet mimo to, że zabiłeś biednego Gnimsha. Wybaczyłem ci jednak, bo Caramon powiedział, że próbowałeś zadośćuczynić za wszystko, poświęcając się i zamykając portal, choć wiedziałeś, że Królowa Ciemności czeka, by cię rozpruć i wyrwać ci wnętrzności.

W tym momencie kenderowi coś przyszło do głowy. - Słuchaj, Raistlinie, czy Królowa Ciemności wróci, żeby cię przykuć do muru, rozplatać i wypatroszyć? Oczywiście nie chcę tego. To musi być dla ciebie okropnie nieprzyjemne. Gdyby jednak stanowczo nalegała, z ochotą bym na to popatrzył.

Raistlin zmrużył oczy. - Jeśli wydaje ci się, że sprawiłoby ci to przyjemność, panie Burrfoot, może w takim razie poproszę Jej Mroczny Majestat, by tobie wyrwała wnętrzności.

Tas zastanowił się nad tą wspaniałomyślną propozycją, lecz w końcu pokręcił przecząco głową. - Jak to miło z twojej strony, Raistlinie, że pomyślałeś o mnie. Nigdy przedtem nie wrywano mi wnętrzności i choć jestem pewien, że byłoby to zabawne, nie sędzę, by sprzyjało to długiemu żywotowi. Tanis zawsze mi powtarza, żebym przed zrobieniem czegoś pomyślał, czy będzie to miało wpływ na długowieczność i nie robił tego, gdyby było inaczej. Powiedziałbym nawet, że twoja propozycja należy do tej ostatniej kategorii.

Palin wyglądał na zaniepokojonego. - Królowa Mroku chyba nie przyjdzie, prawda, stryju? Żeby... Żeby cię torturować...?

- Chciałaby. Takhisis jest pamiętliwa. Nie zapomina, ani nie wybacza. Zemściłaby się na mnie, gdyby mogła, lecz jej gniew mnie nie dosięgnie. - Raistlin wyrzekł te słowa zgrzyliwie. - Jak powiedział kender - to nagroda za moje poświęcenie.

- Więc nie będziesz torturowany? - Spytał kender.

- Nie, nie będę - odparł Raistlin. - Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Nic nie szkodzi - pocieszył go Tasslehoff. - Wycieczka i tak była wspaniała. Zobaczyłem wszystkich bogów z tak bliskiej odległości. Oczywiście brakowało mi Fizbana, ale rozumiem, że niewiele mógłby pomóc w tak rozpaczliwej sytuacji. Teraz widziałem, jak wygląda Paladine, kiedy nie podpała sobie brody i nie gubi kapelusza. Gilean też wyglądał znajomo, choć nie umiem sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widziałem. Chemosh był strasznie brzydki, prawda? Czy ta czaszka to rzeczywiście

jego twarz? I Morgion, cały pokryty odpadającymi płatkami ciała. Pewno powinienem był powiedzieć „cześć” Paladine'owi. Byłby to gest uprzejmości, skoro jesteśmy takimi bliskimi przyjaciółmi, ale miałem trudności z mówieniem. Jakby mnie zamurowało. Swoją drogą, ciekaw jestem, gdzie się podział ten murarz, który może zamurować każdego bez użycia cegieł?

- Musisz już iść - rzekł stanowczo Raistlin. - Marnujesz czas.

- Jestem gotowy - oznajmił Tas i zaczął wchodzić do portalu. - Żegnaj, Raistlinie! - Zawołał przez ramię. - Powiem Caramonowi, że go pozdrawiasz, choć tego nie zrobiłeś.

Kender nagle uświadomił sobie, że jest sam. - Palinie, nie idziesz?

Palin stał nieruchomo, gładząc nerwowo łaskę. Obejrzał się na Raistlina. - Ty nie idziesz z nami, prawda?

- Nie, bratanku, nie idę.

- Mógłbyś, gdybyś zechciał. Nie umarłeś. Oddałeś mi łaskę. To ty nas tu sprowadziłeś.

- Tak, mógłbym wrócić - powiedział cicho Raistlin. - Masz rację. Nie umarłem. Ale nie jestem też w pełni żywy. Po co miałbym wracać? Świat nie cieszył mnie zbyt. Wykonałem swoje zadanie - sprowadziłem cię tutaj, ukazałem ci niebezpieczeństwo. Uczyniłeś coś, czego nie dokonał jeszcze żaden śmiertelnik. Stałeś się świadkiem narady bogów. Teraz musisz wrócić i ostrzec ludzi, ostrzec rycerzy zarówno Takhisis, jak i Paladine'a, czarodziejów trzech księżyców i Szarych Szat. Uprzedź swego ojca i każ mu rozgłosić ostrzeżenie. Powiedz im wszystkim, co zobaczyłeś i usłyszałeś.

- Powiem im - rzekł Palin. - Nie jestem jednak pewien, czy dobrze zrozumiałem to, co zobaczyłem i usłyszałem. Mogę ich uprzedzić, że Chaos zawarł się, by zniszczyć świat. Mogę im powiedzieć, że Paladine oddał nas w ręce ciemności. Ciekaw jestem, czy ktokolwiek mi uwierzy. Ale tobie, stryju, na pewno uwierzyliby. Pójdź ze mną!

Raistlin spojrzał uważnie na Palina. - Nie jest to jedyny powód, dla którego pragniesz mojego powrotu, prawda?

Palin zaczerwienił się i szybko odparł: - Nie, stryju. Przyszedłem cię szukać... Dlatego, że chciałem, abyś mnie uczył.

- Na świecie jest wielu nauczycieli sztuki czarnoksiężskiej. Masz do niej talent, bratanku. Z pewnością musi być wielu, którzy chcieliby mieć tak błyskotliwego ucznia.

- Być może, ale oni mnie nie chcą - rzekł Palin, oblewając się jeszcze głębszym rumieńcem.

- Czemu nie ciebie? - Spytał cicho Raistlin.

- Z powodu... Z powodu... - Palin zawahał się.

- Mnie? - Powiedział Raistlin z nieprzyjemnym uśmiechem,

- Więc nadal tak bardzo się mnie obawiają?

- Nie chciałbym cię urazić, Raistlinie - podsunął Tasslehoff - ale bywało, że nie zaliczałeś się do najmilszych osób.

Raistlin utkwiał w kenderze złote, klepsydrowe oczy. - Wydawało mi się, że ktoś cię wołał.

- Naprawdę? - Tas nadstawił ucha, ale niczego nie usłyszał. - Gdzie?

- Tam! - Pokazał Raistlin.

Wtedy Tas rzeczywiście coś usłyszał - czyjs burkliwy, mamrocący głos.

- A ty co tu robisz, Tasslehoffie Burrfoot? Z pewnością nic dobrego. Już ja się znam na twoich sztuczkiach. Pewno pakujesz w jakieś straszne tarapaty siebie i tych biednych durniów, którzy mają pecha ci towarzyszyć...

Tasslehoff odwrócił się tak gwałtownie, że otworzyły mu się wszystkie torby i ukochane drobiazgi rozsypały się po całej Otchłani. Jednak po raz pierwszy w życiu Tas o to nie dbał.

- Flint!

Długa siwa broda, pełen dezaprobaty wyraz twarzy, zrzędlivy głos - cały on. Tas chciał już powitać Flinta, bez względu na to, czy krasnolud lubił być ściskany, czy nie (zasadniczo nie lubił, ale to była szczególna okazja), kiedy zauważył stojących za Flintem dwóch mężczyzn.

- Sturm! - Ledwo wysapał z radości Tas. - I Tanis! Co wy tu robicie? Czekajcie! Wiem! Wyruszamy na kolejną wyprawę! Dokąd idziemy? Gdziekolwiek się wybieramy, jestem pewien, że mam mapę. Moje mapy są teraz aktualne. Nie ma już Tarsis nad Morzem - chciałem powiedzieć, nie ma go nad morzem. Samo miasto leży tam, gdzie zawsze. Daj spokój, Flincie! Stój spokojnie, żebym mógł cię uściskać.

Flint parsknął. - Jakbym mógł pozwolić kenderowi zbliżyć się do mnie choćby na krok, a co dopiero się ściskać! Trzymaj się od mnie z daleka, a ja zatrzymam swoją sakiewkę.

Tas wiedział, że Flint nie mówił tego szczerze i znów spróbował objąć przyjaciela. Jednakże ścisnął jedynie szare powietrze.

Kender odstąpił o krok. - Przestań sobie żartować. Jak mam iść z tobą na wyprawę, skoro nie możesz ani chwili ustać w jednym miejscu?

- Obawiam się, że nie pójdziesz z nami, Tas - oznajmił delikatnie Tanis. - Nie chodzi o to, że cię nie chcemy...

- Nie mogę też powiedzieć, żebyśmy chcieli... - Burknął Flint.

Tanis uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu krasnoluda. - Przyszliśmy, bo twój stary przyjaciel chciał zamienić z tobą słowo.

Krasnolud przestępował nerwowo z nogi na nogę, pogładził się po brodzie i poczerwieniał na twarzy.

- Słucham, Flincie, co chcesz mi powiedzieć? - Spytał Tas, poważniejąc, gdyż wiedział, że za chwilę zacznie pociągać nosem ze wzruszenia. Czuł jakiś dziwny ból w sercu, jakby już tam wiedział o czymś niedobrym, ale wieść ta nie zdążyła jeszcze dotrzeć na zewnątrz. Tanisa nie powinno tu być.

- Co chciałeś mi powiedzieć, Flincie?

- No cóż, chłopcze - przemówił Flint po kilku sapnięciach i odkaszlnięciach. - Jak mówiłem Tanisowi, kiedy zobaczyłem go tu po raz pierwszy...

Ból w sercu Tasa narastał, aż stał się prawie nie do zniesienia. Kender przycisnął dłoń do serca, łudząc się nadzieją, że ból odejdzie, przynajmniej dopóki Flint nie skończy.

- Kiedy tylko zobaczyłem Tanisa, powiedziałem mu, że... Cóż... Można by powiedzieć, czuję się samotny.

- Masz na myśli siedzenie pod swoim drzewem? - Spytał Tas.

- Nie zrozum mnie źle - burknął Flint. - Mam doskonałe miejsce. Drzewo jest przepiękne. W każdym calu równie śliczne, co valleny u nas w domu. Sam Tanis tak powiedział, gdy je ujrzał. Miejsce jest ciekawe i ciepłe, bo bliskie kuźni Reorxa. Widzisz, proces stworzenia nigdy się nie kończy i zawsze ta, czy inna część wymaga drobnej naprawy. Reorx pracuje w kuźni, bijąc młotem. Snuje też różne opowieści, cudowne historie o innych światach, które widział...

- Opowieści! - Tas poweselał. - Uwielbiam ich słuchać! Mogę się założyć, że on też chętnie posłuchałby kilku moich, na przykład o tym, jak znalazłem włochatego mamuta...

- Jeszcze nie skończyłem! - Ryknął Flint.

- Wybacz - powiedział potulnie Tas. - Mów dalej.

- Teraz zapomniałem, na czym skończyłem - rzekł poirytowany krasnolud.

- Na tym, że jesteś samotny... - Podpowiedział Tas.

- Pamiętam! - Flint założył ręce na piersi, zrobił głęboki wdech i wyrzucił z siebie szybko strumień powietrza i słów. - Chciałem ci powiedzieć, że gdybyś kiedyś zechciał mnie odwiedzić, będziesz mile widziany. Nie mogę pojąć, dlaczego. - Krasnolud sprawiał wrażenie zdezorientowanego. - Wiem, że pożałuję tych słów, ale... Brakowało mi cię, chłopcze.

- To oczywiste -- stwierdził Tas, zdumiony tym, że krasnolud wcześniej się nie domyślił. - Nic nie mogę poradzić, ale wydaje mi się - i mam nadzieję, że twoje drzewo nie poczuje się dotknięte - że siedzenie przez cały dzień w jednym miejscu; i przyglądanie się, jak bóg wali młotem w świat nie jest zbyt interesującym zajęciem. A tak przy okazji, skoro już mówimy o bogach, właśnie widzieliśmy Reorxa. I wszystkich pozostałych bogów też! A na świecie dzieją się nieprawdopodobnie cudowne - chciałem powiedzieć okropne - rzeczy. Zaraz poproszę Palina, żeby ci o nich opowiedział. Palinie! - Kender odwrócił się, krzyknął i pomachał ręką. - Tam jest Raistlin. Niezły zjazd, prawda? Nigdy jeszcze nie spotkałeś Palina. To dziwne, czemu on nie podejdzie, żeby się przywitać?

Palin obejrzał się, machnął ręką jakby chciał powiedzieć „Bawisz się świetnie, to dobrze. Baw się dalej i daj mi spokój”.

Flint, który przez ostatnich kilka minut bezskutecznie próbował coś powiedzieć, ale Tas mu przerywał, stwierdził wreszcie:

- On nas nie widzi, ty głuptasie!

- Ależ oczywiście, że widzi - odparł odrobinę poirytowany Tas. - To tylko Tanis musi nosić okulary...

- Już nie - oznajmił Tanis. - Palin nas nie widzi, ponieważ on żyje. My istniejemy teraz w innym królestwie.

- Chyba ty nie, Tanisie? - Powiedział cichutko Tas.

- Obawiam się, że...

- Musiałeś zrobić coś, co sprzeniewierzyło się długowieczności - ciągnął spiesznie Tas, mrugając oczami i przecierając je dłonią. Zrobił surową minę. - To bardzo niemądre z twojej strony, Tanisie. Przecież to ty zawsze mi powtarzałeś, żeby nie robić rzeczy, które nie sprzyjają długiemu... Długiemu... - Głos zaczął mu drżeć.

- Chyba nie pomyślałem - stwierdził Tanis z uśmiechem. - Wiodłem dobre życie, Tas. Poszczyliło mi się. Trudno mi było opuścić tych, których kochałem - dodał - ale mam tu przyjaciół.

- Jak również wrogów - stwierdził ponuro Flint.

Tanis spoważniał. - Tak, w tym królestwie sami stoczmy bitwę.

Tas wyjął chusteczkę do nosa (jedną z należących do Palina), otarł oczy i wysmarkał nos. Przysunął się bliżej do Flinta.

- Powiem ci coś w tajemnicy - oświadczył głośnym szeptem, który prawdopodobnie słyhać było w większej części Otchłani - nie jestem już takim podróżnikiem jak kiedyś. Niestety. - Kender westchnął głęboko. - Czasami myślę - wiem, że w to nie uwierzysz - ale czasami myślę, żeby się wycofać z fachu i ustatkować. Nie mogę pojąć, co mnie naszło. Przestało mnie to bawić, jeśli pojmujesz, co chcę powiedzieć.

- Ach, ty bęcwale - powiedział zgryźliwie Flint. - Jeszcze się nie domyśliłeś? Starzejesz się.

- Starzeję się? Ja! - W Tasa jakby piorun strzelił. - Nie czuję się stary, to znaczy, w środku. Pominąwszy dokuczający mi raz na jakiś czas irytujący ból w krzyżu i rękach oraz niepohamowane pragnienie, by zdrzemnąć się przy kominku, zamiast obrzucać obelgami minotaurów - ci to umięją wpadać w złość, wiedziałeś o tym? Szczególnie, kiedy krzyknie się do nich „muu”. Zdumiewające, jak szybko potrafi biec rozwścieczony minotaur. W każdym razie... Na czym to skończyłem?

- Na tym, na czym powinienes - powiedział Tanis. - Do widzenia, Tas. Oby ten minotaur nigdy cię nie dogonił.

- Muczeć na minotaura! - Sapnął Flint. - Nic głupszego nie mógł wymyślić! Uważaj na siebie, chłopcze. - Odwrócił się prędko i oddalił bardzo żwawym krokiem, potrząsając głową. Tas na odchodne usłyszał, jak krasnolud wciąż mamrocze pod nosem „muu”.

- Paladine z tobą, Tas - rzekł Sturm, po czym odwrócił się i poszedł śladami Flinta.

- Jeśli tylko ograniczy się do spacerów ze mną i nie będzie rzucał żadnych ognistych kul - stwierdził z lekkim powątpiewaniem Tas.

Patrzył, dopóki nie znikli mu z oczu, co stało się niemal natychmiast. W mgnieniu oka nie zostało po nich śladu.

- Tanis? Flint? - Tas zawołał ich kilka razy. - Sturm? Przepraszam, że kiedyś przez przypadek zabrałem ci ochraniacze nadgarstków.

Nie było jednak odpowiedzi.

Po niespodziewanym napadzie bolesnych spazmów i chlipnięć, nadal załkany

Tas wciągnął głęboko powietrze, wytarł nos w rękaw - chusteczka była tak mokra, że nie nadawała się do użytku - i westchnął z pewną irytacją.

- Tanis twierdzi, że jestem potrzebny. Zawsze mnie potrzebowali. Wypędź ghula tu, pokonaj goblina tam. Ani chwili spokoju. Cóż, taki już los bohatera. Chyba będę musiał zrobić z niego jak najlepszy użytek.

Zgarnawszy swe sakwy, Tas powoli podszedł do portalu, powłócząc nogami po szarym piasku. Palin wciąż rozmawiał z Raistlinem.

- Chciałbym, abyś zmienił zdanie. Wróć, stryju. Ojciec tak by się ucieszył na twój widok.

- Naprawdę? - Spytał cicho Raistlin.

- Ależ oczywiście... - Palin zawahał się jednak.

Raistlin uśmiechnął się, wzruszył ramionami. - Widzisz? Lepiej niczego nie zmieniać. Spójrz! - Z portalu zaczęło promieniować słabe światło. - Królowa znów kieruje swe myśli w tę stronę. Teraz już wie, że wrota są otwarte. Musisz wyjść i znów je zatrasnąć. Użyj laski. Szybko.

Niebo ciemniało, szarość przeradzała się w czerni. Palin spojrzał na nie z niepokojem, lecz mimo to wciąż się wahał.

- Stryju...

- Wracaj, Palinie - rzekł chłodno Raistlin. - Nie wiesz, czego ode mnie żądasz.

Palin westchnął, spojrzał na laskę, a potem znów na Raistlina.

- Dziękuję, stryju. Dziękuję, że wierzysz we mnie. Nie zawiodę cię. Chodźmy, Tas. Śpiesz się! Strażnicy wracają.

- Już idę.

Tas jednak zwlekał. Myśl o pięciu wielobarwnych, wrzeszczących głowach smoków, które mogą próbować go pożreć, wcale go nie podniecała. W każdym razie niewiele.

- Do widzenia, Raistlinie. Przekażę od ciebie Caramonowi, że... Ojej, cześć, Kitiaro! O rety! Ale tu ludzie wyskakują nie wiadomo skąd? Pamiętasz mnie, Kitiaro? Nazywam się Tasslehoff Burrfoot.

Ciemnowłosa kobieta w niebieskiej smoczjej zbroi i z mieczem u pasa, brutalnie odepchnęła kendera na bok. Stała przed Palinem, zagradzając mu drogę do portalu.

- Tak bardzo się cieszę, że się wreszcie spotkaliśmy, bratanku - powiedziała Kitiara, uśmiechając się krzywo. Wyciągnęła rękę i podeszła o krok bliżej. - Może zostałbyś jeszcze chwilę? Nadchodzi ktoś, kto bardzo chciałby cię poznać...

Tas krzyknął ostrzegawczo: - Palinie, uważaj!

Kitiara wydobyla miecz, którego klinga jarzyła się matowym, ponurym, szarym światłem. Zbliżyła się do Palina. - Usłyszałeś coś, czego nie powinieneś. Moja królowa nie lubi szpiegów!

Kitiara machnęła mieczem. Palin uniósł laskę, sparował cios i spróbował odepchnąć Kitiarę. Stali zwarci w walce. Potem Kit nagle się cofnęła, a Palin stracił równowagę i poleciał naprzód. Kit skoczyła do ataku.

Tasslehoff rozpaczliwie rozglądał się za czymś, czym mógłby rzucić w Kitiarę. Miał tylko cenne przedmioty w swoich sakwach i siebie samego. Dochodząc do wniosku, że jego najdroższe zdobycze nie zdołają zatrzymać rozwścieczonej Kitiary, Tas sam rzucił się w jej kierunku, mając nadzieję, że zbije ją z nóg, nie nadziewając się przy tym na jej miecz.

Zapomniał, że znajduje się w Otchłani. Kender pospieszył w kierunku Kitiary, przeleciał przez nią i wyleciał z drugiej strony, nawet jej nie dotykając. Zdołał jednakże coś osiągnąć; udało mu się trącić jej miecz, który - o dziwo - był materialny. Wymierzony w serce Palina cios Kit chybił.

Wstrząśnięty i zdezorientowany Tas wylądował na czworakach.

Palin zatoczył się do tyłu. Na jego białej szacie pojawiła się czerwona plama. Młodzieniec chwycił się za ramię, zachwiał i padł na jedno kolano. Kitiara zakłęła, uniosła miecz i znów się zbliżyła.

Gramoląc się na równe nogi, Tas zamierzał raz jeszcze rzucić się na jej miecz, kiedy usłyszał, jak Raistlin wymawia dziwne słowa. Przed Tasem zafurkotały czarne szaty. Smoki w portalu wrzasnęły i właśnie gdy zaczęło się robić naprawdę ciekawie, coś uderzyło Tasa prosto między oczy.

Ujrzał prawdziwie fascynujący zbiór gwiazd, poczuł, że się chwieje na nogach i niechcący uciął sobie drzemkę.

Rozdział X

WIĘZIEN.

CHŁOSTA

W zamku zazgrzytał klucz. Drzwi celi otworzyły się. - Masz gościa, Brightblade - powiedział dozorca.

Steel usiadł na słomianym posłaniu i przetarł zaspane oczy. W żaden sposób nie mógł ustalić, czy jest dzień, czy noc. Lochy znajdujące się na parterze wieży nie miały okien. Steel zmrużył oczy w blasku pochodni i usiłował zobaczyć, kto wchodzi.

Usłyszał szmer szat i dostrzegł coś szarego.

Steel wstał powoli z brzękiem łańcuchów. Musi okazać szacunek tej kobiecie, była bowiem jego przełożoną, ale postanowił nie spieszyć się z tym zbyt.

- Pani Nocy - rzekł, spoglądając nieufnie.

Kobieta zbliżyła się, omiatając go całego spojrzeniem, świadoma jego poniżenia, od brudnej odzieży po zmierzwione włosy i kajdany na nadgarstkach.

- Zostaw nas. - Lilith, Pani Nocy zwróciła się do dozorca. - Zamknij drzwi.

- Proszę długo go nie zatrzymywać, Pani Nocy - burknął strażnik, wsuwając płonąca pochodnię w żelazny uchwyt na ścianie. - Musi iść do pracy.

- Zajmę tylko kilka chwil. - Lilith zaczęła, aż dozorca odejdzie, a potem znów odwróciła się do Steela. Jej oczy zalśniły upiornie. Przyglądała mu się tak uważnie, że wydawało się, iż z jej oczu bije złowrogie, wewnętrzne światło.

- Po co pani przysłała? - Spytał wreszcie Steel, skrepowany tym przyglądaniem mu się w milczeniu. - Żeby napawać się moją klęską?

- Nie sprawia mi to przyjemności, Brightblade odparła nagle Lilith. - To, co robię, robię dla chwały naszej królowej. Przysłałam wam powiedzieć, dlaczego koniecznie musicie umrzeć. Steel wzruszył ramionami. - A więc zmarnowała pani czas. Wiem, czemu muszę umrzeć. Sama pani to powiedziała. Zgubiłem jeńca powierzonego mojej opiece.

- Mieliście go zgubić - rzekła spokojnie Pani Nocy. - Wysłałam was na

bezsensowną wyprawę, dobrze wiedząc, że więzień wam ucieknie. Aczkolwiek nie spodziewałam się, że wrócicie. Miałam nadzieję - ciągnęła obojętnym tonem - że obaj zginiecie w zagajniku Shoikan. Zakładałam, że gdyby tak się nie stało, Królowa Ciemności zabije was i tego maga w Otchłani. Ten plan również się nie powiódł. Mam jednak nadzieję, że mag już nie żyje. Wy również wkrótce umrzecie. - Kilkakrotnie pokiwała głową i powtórzyła: - Wy również umrzecie.

Zbity z tropu Steel nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ta kobieta bez powodu pała do niego tak nieprzejednaną i zażartą nienawiścią. Wreszcie, widząc, że czarodziejka oczekuje od niego odpowiedzi, rzekł: - Nie mogę pojąć, po co pani przyszła. Jeśli po to, by szydzić ze mnie...

- Nie, nie po to. Nie sprawia mi to radości. Przyszłam, bowiem pragnę, byście zrozumieli. Nie chciałabym, żebyście przed obliczem naszej królowej oskarżyli mnie o to, że kazałam was niesłusznie czy niesprawiedliwie stracić. Jej Wysokość potrafi być... Niezwykle mściwa.

Pani Nocy pograżyła się w posepnym milczeniu.

Steel nie miał ochoty okazywać jej współczucia. - To, co pani uczyniła, było jednoznaczne z morderstwem - zdradzieckim i podstępym, niegodnym rycerza Ariakana.

Lilith nie przykładała wielkiej uwagi do jego słów. - Zajrzałam w przyszłość, Steelu Brightblade. Ujrzałam was i tego maga białych szat razem na polu walki. Widziałam, jak piorun uderzył w wieżę. Widziałam zagładę, zniszczenie i upadek rycerstwa. - Pałające dziwnym światłem oczy odwróciły się ku niemu. - Wy i ten czarodziej musicie umrzeć. Tylko to zdoła zapobiec zagładzie. Rozumiecie? Chyba przyznacie, że to konieczne?

- Godzę się z wyrokiem mojej pani - odparł Steel, starannie dobierając słowa. - Jeśli moja śmierć przyniesie korzyść zakonowi, niech tak się stanie.

Pani Nocy nie wyglądała na zadowoloną z odpowiedzi. Przygryzła dolną wargę, potrząsnęła wróżebnymi kamykami w woreczku.

Dozorca otworzył drzwi celi. - Macie kolejnego gościa, Brightblade.

Wszedł podkomendant Trevalin. Wydawało się, że był niezadowolony, że zastał ją w lochu. Ona także nie ucieszyła się jego widokiem. Nic już więcej nie powiedziała. Obróciwszy się na pięcie, wymaszerowała z celi z łopotem szarych szat. Trevalin odsunął się ostrożnie, żeby poły jej stroju go nie musnęły.

- Co tu robiła? - Spytał.

- Mówiła słowami czarodziejów - odparł poważnie zmartwiony Steel. - O omenach i podobnych sprawach. Powiedziała - przerwał, wahając się - ona twierdzi, że muszę umrzeć, bowiem przewiduje, że inaczej zakon upadnie.

- A niech to! - Rzucił ze złością Trevalin. Zniżył głos. - Wiem, że nasz lord bardzo ceni czarodziejów, ale wy i ja jesteśmy żołnierzami. To my tworzymy przyszłość, za pomocą tego. - Położył dłoń na rękojeści swego miecza. - Jesteście dzielnym wojownikiem, Brightblade. Służyliście dobrze naszej królowej. Powinniście otrzymać nagrodę... Zdaje się, że nie uda mi się was w końcu przekonać, żebyście porozmawiali z lordem Ariakanem?

Steel zawahał się. Myśl o opuszczeniu cuchnącej celi więziennej, o powrocie do swego oddziału i ponownym ruszeniu do boju, była prawie nie do zniesienia i już nakłonić go do zmiany zdania. Oto godzina chwały dla lorda Ariakana i ich królowej. Wojska rycerzy Takhisis mknęły jak burza przez Ansalon. Nikt nie był w stanie ich powstrzymać. Palanthas już padło. Rycerze szykowali się do wojny z elfami. A Steela to wszystko ominie. Skuty łańcuchami, w kajdanach na rękach i nogach, pracował w grupie niewolników. Za dwa tygodnie wyjdzie z tej celi po raz ostatni, prowadzony na szafot.

Wystarczy, że porozmawia z lordem Ariakanem, ale co mu powie? Prawdę?

- Przykro mi, panie podkomendancie - rzekł Steel, uśmiechając się lekko na widok wyraźnego rozczarowania Trevalina.

- Nie mam nic do powiedzenia.

Trevalin przyglądał mu się bez słowa, łudząc się, że rycerz zmieni zdanie.

Steel nieugięcie trwał w milczeniu.

Trevalin potrząsnął głową. - Mnie również jest przykro, Brightblade. Cóż, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. - Na chwilę położył dłoń na ramieniu Steela. Nasz szpon dziś odjeżdża.

Wysyłają nas, byśmy wspomogli walczących w Północnym Ergoth. Przydalibyście mi się. Podejrzewam, że was więcej nie zobaczę. Niech was ma w swej opiece Jej Mroczny Majestat.

- I pana, podkomendancie. Dziękuję.

Trevalin odwrócił się i wyszedł w chwili, gdy nadszedł dozorca.

- Czas do roboty, Brightblade.

Steel ruszał się powoli, grając na zwłokę. Nie chciał, żeby Trevalin widział, jak wyprowadzają go z celi w haniebnym kajdanach, każą dołączyć do grupy innych

skazańców i wiodą do kamieniołomów. Kiedy Steel upewnił się, że nie słyszy już kroków Trevalina, opuścił celę.

Dołączył do grupy więźniów, rycerzy solamnijskich, z których część pojmano podczas bitwy, a część sama się poddała. Większość z nich to byli młodzi ludzie - młodszy od Steela.

Rycerze solamnijscy wiedzieli, że jest wrogiem. Byli przekonani, że jest odpowiedzialny za śmierć Tanisa Półelfa. Początkowo brali go za szpiega, potem jednak dowiedzieli się od strażników prawdy o tym, jak Steel pozwolił zbiec jeńcowi i dobrowolnie wrócił przyjąć karę śmierci. Dzięki tak odważnemu i szlachetnemu postępkowi zasłużył sobie na szacunek niechętnych z początku młodych rycerzy. Nie odzywali się do niego często, ale już go nie unikali i rozmawiali swobodnie w jego obecności. Od czasu do czasu - podczas krótkich przerw na odpoczynek - nawet próbowali chaotycznie nawiązać z nim rozmowę. On chłodno odprawiał ich z kwitkiem.

Steel chodził pogrążony w czarnej rozpacz.

Lord Ariakan nie traktował okrutnie swych więźniów, ale też nie był dla nich łagodny. Pilnował, by otrzymywali wystarczającą ilość pokarmu i wody - słaby i chory mężczyzna nie ma sił do ciężkiej pracy - jednak wyzyskiwał ich bez litości i nie żałował bata, kiedy chciał, by pracowali ciężiej. Ariakan odniósł wielkie zwycięstwo, ale nie wygrał jeszcze wojny.

Znał smoki, wiedział, że nie można im ufać. Domyślił się, że złote i srebrne potwory odleciały, żeby się przegrupować i wezwać pobratymców. Zamierzały wrócić ze zdwojoną siłą i ruszyć do ataku. Trzymał więc wojsko w stanie pogotowia i zmuszał jeńców do pracy we dnie i w nocy nad odbudową, naprawą i umocnieniem Wieży Najwyższego Klerysta.

Więci do niewoli rycerze spodziewali się, że Steel skorzysta z rangi i wierności zwycięskiej stronie, by pozyskać względy strażników. Prawdę mówiąc, mógłby tak uczynić. Nie tylko nieprzyjaciele go podziwiali. Co noc wartownicy wychwalali go przy ogniskach, że dobrowolnie wrócił po karę i dzielnie walczył w bitwie, po której ze stoickim spokojem pogodził się z uwięzieniem i czekającą go egzekucją.

Steel gardził jednak przyjmowaniem łaski. Nie zasłużył na nią.

Wyrzucał więc dodatkowe porcje jedzenia, jakie dawali mu strażnicy i wylewał dodatkową miarkę wody. Pracował ramię w ramię z pojmanymi rycerzami solamnijskimi: ciął kamienie w górskich kamieniołomach, ciągnął ogromne bloki do

wieży i z wysiłkiem wpasowywał je w odpowiednie miejsca. Całą robotę wykonywał w ostrym blasku bezlitosnego słońca. Nigdy go jednak nie uderzono, nigdy nie okładano batem jak innych jeńców. Steel tak bardzo był przejęty własnym nieszczęściem, że nawet tego nie zauważał.

Więźniów jak zwykle odprowadzono do kamieniołomów. Mieli łądować olbrzymie granitowe bloki na wielkie drewniane sanie, które następnie gigantyczne mamuty wlokły do wieży. Kamienie wciągano za pomocą lin na podwyższenie, a z niego na sanie. Więźniowie stali za kamiennym blokiem i popychali go pod górę.

Myślami Steel był z Trevalinem i jego szponem. W wyobraźni widział towarzyszy, którzy lecą na wspaniałą z pewnością bitwę z Ergotczykami, ludźmi o wielkiej sile i odwadze, którzy obronili swą ziemię podczas Wojny Lancy i byli zdecydowani obronić ją także teraz.

Steel widział w myślach walkę i rozgrywał ją w wyobraźni. Lina prowadząca, którą powinien był trzymać, zwiotczała. Z zamyślenia wyrwały go ostrzegawcze krzyki. Gigantyczny blok granitu, który w połowie znajdował się na saniach, a w połowie poza nimi, przekrzywił się, przechylił i przewrócił sanie.

- Ty cholerna ofermo! Patrz, co robisz! - Warknął nadzorca i trzasnął z bata. Nie smagnął Steela. Uderzył stojącego obok młodego rycerza.

Bicz rozciął ciało na gołych plecach młodzieńca; cios powalił go na ziemię. Nadzorca stanął nad rycerzem z batem wzniesionym do kolejnego uderzenia.

Steel złapał go za ramię.

- To była moja wina - powiedział Steel. - On niczego nie zrobił. To ja wypuściłem linę.

Zdumiony nadzorca spojrział na Steela. Podobnie pozostali więźniowie, którzy przerwali pracę i przyglądali się z niedowierzaniem.

Nadzorca oprzytomniał. - Wszystko widziałem. Ten Solamnińczyk...

- ...Nie zrobił niczego, żeby zasłużyć na karę. - Steel odepchnął mężczyznę na bok. - I nie nazywaj mnie rycerzem. Już nim nie jestem. I nigdy więcej nie wyświadczać mi już takiej przysługi.

Podszedł do młodego Solamnińczyka i pomógł mu wstać. - Przykro mi, panie, że tak się stało. To się więcej nie powtórzy. Czy przyjmiecie moje przeprosiny?

- Tak - szepnął rycerz. - Tak, oczywiście.

Zadowolony Steel wrócił do nadzorcy. - Wychłostaj mnie.

Strażnik odburknął: - Marnujesz czas. Wracaj do roboty.

Steel powtórzył: - Wychłostaj mnie. Tak jak chłostałeś jego. Inaczej doniosę mojemu panu, że zaniedbujesz swe obowiązki.

Nadzorca był wystarczająco zły na Steela, który zrobił z niego durnia, by wysmagać go z przyjemnością. Uderzenie bata spadło na nagie barki Steela, rozcinając skórę niemal do kości.

Rycerz zniósł ból bez mrugnięcia okiem. Przez jego twarz nie przemknął żaden grymas. Z jego ust nie wyrwał się żaden krzyk. Nadzorca jeszcze raz smagnął go batem, a potem odwrócił się z gniewnym warknięciem.

Widząc, że kara dobiegła końca, Steel wrócił do pracy. Jego plecy były poranione i broczyły krwią. Wokół otwartych ran zaczęły brzęczeć muchy.

Nadzorca wyżywał się na pozostałych jeńcach, pędząc ich do roboty przy ładowaniu kamiennego bloku na sanie. Młody rycerz skorzystał z okazji, by podejść do Steela i niezręcznie mu podziękować.

Steel odwrócił się od niego. Nie życzył sobie podziękowań; nie uczynił tego pod wpływem jakiegoś nierozważnego współczucia. Szczypiący ból chłosty sprowadził go na ziemię. Nie miał nawet prawa myśleć o sobie jako o jednym z wybrańców Takhisis. Królowa Ciemności wiedziała o jego przewinieniu.

Mógł wejść do pracowni maga - to była ta dręcząca go myśl. Drzwi na chwilę stały przed nim otworem. Mógł wejść za Palinem, ale zawahał się, bojąc się wkroczyć w tę bełkoczącą, śmiercionośną ciemność. Potem drzwi się zatrzasnęły.

Takhisis zajrzała do jego serca. Wiedziała, że jest tchórzem.

Nie pozwoliła umrzeć mu godnie, a teraz najwyraźniej chciała go ukarać jeszcze surowiej. Steel nie będzie stał bezczynnie i patrzył, jak karzą kogoś innego zamiast niego.

Podniósł linę i wrócił do pracy. Słony pot spływający do rany palił żywym ogniem. Teraz Steel nie różnił się już niczym od innych jeńców.

Pominąwszy fakt, że za dwa tygodnie o świcie, w dniu, w którym uroczyste obchodzono środek lata, jeśli Palin Majere nie wróci albo nie zostanie pojmany, Steel Brightblade umrze. A jeśli zgodnie z tym, co mówiła Pani Nocy, jego śmierć ocali rycerzy Takhisis, podobnie jak śmierć jego ojca ocaliła niegdyś zakon solamnijski, być może wtedy odczuje ulgę.

Prędzej jednak będzie służył Chemoshowi przez całą wieczność, niż poprosi Takhisis o wybaczenie Pani Nocy.

Rozdział XI

ZEMSTA KRÓLOWEJ.

WYBÓR RAISTLINA

Tasslehoff ocknął się z bólem głowy i wrazeniem, jakby został stratowany przez włochatego mamuta, zwierzę, któremu kiedyś pomógł uciec z niewoli złego czarnoksiężnika.

Siedząc i rozcierając głowę, Tas zapytał: - Kto mnie uderzył?

- Zagradzałeś mi drogę - odparł krótko Raistlin.

Tas pocierał głowę, mrugał oczami i zobaczył kolejne gwiazdy. Zapytał: - Gdzie ja jestem?

Wtedy przypomniał sobie, gdzie jest. W Otchłani. Smocze głowy świeciły już bardzo jasno, a oni musieli przejść przez portal.

- Podejź tu, kenderze - polecił Raistlin. - Potrzeba twojej pomocy.

- Zawsze mnie potrzebują - mruknął Tasslehoff. - Po tym, jak wpierw ogłuszają mnie, bo stałem im na drodze. I na imię mam Tasslehoff - dodał - na wypadek gdybyś o tym zapomniał.

Pomrugał jeszcze trochę i wreszcie zobaczył coś więcej prócz gwiazd wybuchających mu przed oczami.

Raistlin nachylał się nad Palinem, który leżał nieprzytomny na ziemi. Tas wstał i czym prędzej podbiegł do nich.

- Co mu się stało, Raistlinie? Czy on wyzdrowieje? Nie wygląda najlepiej. Gdzie zniknęła Kitiara?

Arcymag spojrział na niego z wściekłością. - Milcz.

- Już się robi, Raistlinie - powiedział potulnie Tas. Mówił to całkiem szczerze. Następne słowa wymykły mu się przez przypadek. - Ale chciałbym się dowiedzieć, co się stało.

- Moja kochana siostrzyczka dźgnęła go, oto co się stało. Dokończyłaby dzieła, gdybym jej nie przeszkodził. Nie może się ze mną równać i wie o tym. Poszła szukać

wsparcia.

Tas przykucnął przy Palinie i obejrzał ranę. - Nie wygląda źle - oznajmił z ulgą. - Trafiła go w prawe ramię, a w prawym ramieniu człowiek nie ma wielu ważnych części. Palin stracił przytomność. Dlaczego...

- Czy nie kazałem ci milczeć? - Spytał Raistlin.

- Pewno tak. - Tas westchnął. Czuł się smutny i przygnębiony. - Zwykle tak robisz. - Dodałby więcej, ale wtedy Palin jęknął i zaczął się wić i dygotać.

- Co mu jest, Raistlinie? - Spytał Tas, obawiając się o młodego przyjaciela. On wygląda jakby... Jakby konał.

Raistlin pokręcił głową. - Bo rzeczywiście kona. Palin musi szybko wrócić na swoją płaszczyznę istnienia.

- Ale jeśli rana nie jest groźna...

- Ostrze, które go zraniło, pochodzi z tego królestwa, kenderze, nie z waszego. Zdołałeś sparować morderczy cios Kitiary, lecz miecz zagłębił się w jego ciele. Klątwa już go dosięgła. Jeśli tu umrze, zostanie tu także jego dusza - w niewoli Chemosha.

Raistlin wstał i spojrzał na portal. Smoki popatrzyły na niego. Szary nieboskłon przecinały czarne smugi, które przypominały sięgające po nich macki.

Tas oderwał wzrok od Palina i spojrzał na portal, na niebo i znów na Palina. - Myślę, że zdołałbym zaciągnąć go tak daleko, ale co z nim zrobię, kiedy już będziemy w laboratorium? - Zastanowił się przez chwilę, a potem się rozpromienił. - Wiem! Może mógłbyś mnie nauczyć jakiegoś zaklęcia, którym bym mu pomógł. Mógłbyś, Raistlinie? Nauczysz mnie czarów?

- Dość zgrzeszyłem przeciw światu - rzekł zgryźliwie Raistlin. - Gdybym jeszcze nauczył kendera czarów, byłbym bez wątplenia potępiony. - Zmarszczył czoło, pogrążony w rozmyślaniach.

- W takim razie musisz z nim wrócić - stwierdził Tas. - Chyba możesz?

- Mogę - rzekł Raistlin. - Moje materialne ciało nie umarło na tym świecie. Mogę do niego wrócić. Pytanie tylko, po co miałbym to robić? Jedyłą przyjemność na tym świecie czerpałem ze swej magii. Gdybym powrócił, myślisz, że bogowie pozwoliliby zachować swoją moc?

- A co z Palinem? - Przypominał Tas. - Jeśli tu zostanie, umrze!

- Tak. - Raistlin westchnął. - Co z Palinem? - Arcymag uśmiechnął się gorzko i spojrzał wrogo na ciemne niebo. - Więc mam wrócić. Czy tego chcesz? Tak słaby i bezbronny! Zatem doczekałaś się zemsty, moja królowo!

Tasslehoff bardzo niewiele z tego zrozumiał. Wyciągnął dłoń, by poklepać Palina pocieszającym gestem. Kiedy jednak dotknął jego skóry, poczuł chłód. Usta młodzieńca były sine; jego ciało zaczynało powlekać się chorobliwą bladością.

- Raistlinie! - Krzyknął Tas, czując ściskanie w gardle. - Lepiej zrób coś szybko!

Raistlin prędko przykląkł u boku Palina i przyłożył dłoń do szyi młodzieńca. - Tak, bardzo z nim źle.

Nagle podjął decyzję, schylił się i chwycił Palina za ramiona. - Kenderze, będziemy nieść go razem.

- Nazywam się Tasslehoff. Zdaje się, że ciągle o tym zapominasz. - Tas rzucił się na pomoc i zauważył jakiś przedmiot leżący na ziemi. Pokazał go. - Co zrobimy z laską?

Raistlin przyjrzał się lasce Magiusa. Chude, nerwowe palce arcymaga drżały. Niespodziewanie jednak wyciągnął ku niej chciwie rękę. - Z drugiej strony, może jest jakiś sposób...

Wtedy zatrzymał się i cofnął dłoń.

- Ty weźmiesz laskę, kenderze - rzekł cicho Raistlin. - Ja zajmę się Palinem. Pośpiesz się!

- Ja? - Tas prawie oniemiał z podniecenia. - Ja? Ja mam nieść... Laskę?

- Przestań marudzić i rób, co ci kazałem - polecił Raistlin.

Tas zacisnął i uniósł osławioną laskę Magiusa. Marzył o tym, by jej dotknąć od chwili, gdy ujrzał ją w rękach Raistlina jeszcze w gospodzie „Ostatni Dom”.

- Jestem gotowy! - Powiedział, spoglądając na przedmiot z dumą.

Raistlin nie miał tyle siły, żeby podnieść Palina. Arcymag chwycił więc młodzieńca pod pachy, pociągnął po szarym gruncie i z wielkim wysiłkiem zdołał zanieść do portalu.

Smocze głowy jaśniały dziwnym, okropnym pięknem.

Raistlin zatrzymał się, dysząc ciężko. Po raz pierwszy od chwili ich spotkania Tas usłyszał, jak mag zaczyna kaszleć.

- Kenderze - rozkazał zduszonym głosem - unieś laskę. Unieś ją wysoko, aby ujrziała ją królowa.

Tas, drżąc z podniecenia od czubka głowy po podeszwy zielonych bucików, wykonał polecenie. Podniósł laskę najwyżej, jak mógł.

Smocze głowy wrzasnęły wyzywająco, lecz portal był nadal otwarty.

Tas wszedł do portalu, trzymając laskę. Właśnie w tej chwili czuł się dumny jak

nigdy dotąd w życiu.

Raistlin, który ciągnął Palina, poszedł w jego ślady. Smoki krzyknęły ogłuszająco, lecz nie próbowały ich zatrzymać.

Ogarnęła ich chłodna, zakurzona ciemność pracowni. Raistlin łagodnie położył Palina na posadzce. Arcymag wyprostował się i zrobił krok w stronę portalu.

- Wracam do Otchłani! - Krzyknął. - Pozwól mi wrócić! Zrób ze mną, co chcesz, Takhisis! Nie zostawiaj mnie tu wyzutego z mocy!

Błysnęło oślepiające światło, które sprawiało ból patrzącym. Oczy zaszyły Tasowi łzami i zapiekły go; powieki chciały się zamknąć, lecz Tas wiedział, że jeśli tak się stanie, coś może ujść jego uwagi, więc przytrzymał je palcami.

Kaszłący Raistlin zrobił kolejny krok ku portalowi. Blask narastał. Powieki Tasa wygrały w głosowaniu dwie do jednego i zamknęły się. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzął, był Raistlin unoszący rękę, jakby zasłaniał się przed jakimś ciosem...

Raistlin zaklął. Tas usłyszał jakiś świst i światło zgasło.

Kender odważył się otworzyć oczy.

Aksamitna kotara znów zasłaniała portal. Spod niej przeświecało słabe, drwiące światło. Reszta laboratorium pogrążona była w mroku.

Raistlin stał przed zasłoną i wbijał w nią wzrok. Potem nagle odwrócił się i zniknął w mroku. Tas słyszał jego oddalające się kroki.

To nie była zwykła ciemność, nie taka, jaką chciałoby się mieć w sypialni, nie ta miękka, puszysta i kołysząca do snu pełnego przyjemnych marzeń. To była zupełnie inna ciemność, zimna, gnijąca, szepcząca ciemność, w której tak bardzo chciało się być przytomnym.

- Raistlinie? Gdzie jesteś? - Spytał Tas.

Kender nie bał się, w każdym razie niezupełnie, lecz doszedł do wniosku, że odrobina światła byłaby teraz mile widziana. Zamierzał właśnie sprawić, by laska się zaświeciła. Znał magiczne słowo - był przynajmniej przekonany, że je zna - i właśnie miał je już wypowiedzieć, gdy z mroku dobiegł go głos Raistlina, przypominający ciemność - zimny i szepczący.

- Jestem po drugiej stronie pracowni. Nie odchodź od Palina - powiedział Raistlin. - Daj mi znać, gdyby poruszył się albo coś powiedział. I odłóż tę laskę!

Tas podszedł ostrożnie do Palina i usiadł obok niego. Słyszał, jak arcymag krząta się, a potem zapłonęło światło - delikatne i dodające otuchy. Raistlin zjawił się ze świeczką w wykutym z żelaza lichtarzu w kształcie ptaka. Postawił świecznik obok

Palina.

- Chyba mu lepiej - oznajmił Tas, dotykając czoła Palina.

- Przynajmniej jest cieplejszy. Jednak jeszcze się nie ocknął.

- Kłątwa wciąż ziębi jego krew, lecz teraz można go już uleczyć. - Raistlin zmierzył wzrokiem kendera. - Czy nie kazałem ci odłożyć laski!

- Odłożyłem ją! - Zaprotestował Tas. Śledztwo wykazało - ku ogromnemu zdumieniu kendera - że wciąż ją ściska w dłoni. - Ojej! Niesłychane rzeczy! Ona mnie chyba lubi. Może mógłbym sprawić, że się zaświeci - tylko raz. Jakiego słowa używałeś, żeby zapalić światło? Shelac? Shirley? Shirleylac?

Raistlin z zaciętą miną chwycił laskę i z pewnym wysiłkiem oderwał od niej palce kendera.

- Pozwól mi raz ją zaświecić! Proszę! Przepraszam, że wtedy przywłaszczyłem sobie twoje zaczarowane okulary. Jeśli tylko kiedyś je znajdę, oddam ci je. To dziwne, jak palce mi zesztyniały, zupełnie jakby...

Raistlin wreszcie wyrwał mu laskę z ręki. Zaniósł ją w odległy kąt pracowni i postawił pod ścianą. Wydawało się, że arcymag, tak samo jak kender, nie chce wypuścić jej z ręki. Raistlin głaskał dłonią drewno. Jego wargi układały się w kształt słów, które mogły pochodzić z języka magii.

Nic się jednak nie stało.

Raistlin odsunął dłoń i odwrócił się. Podeszedł do olbrzymiego stołu, zapalił kolejną świecę i podnosząc ją wysoko, przyjrzał się Palinowi.

- Tas? - Szepnął słabym głosem młodzieniec.

- Tu jestem, Palinie! - Tas zapomniał o lasce i odwrócił się do swego pacjenta. - Jak się czujesz?

- Ramię mnie pali... Ale poza tym jestem okropnie zziębnięty - odpowiedział Palin, szcękając zębami. - Co... Co się stało?

- Nie jestem całkiem pewny - odparł Tas. - Powiedziałem „cześć” i miałem zamiar podać Kitiarze rękę, kiedy ni stąd, ni z owąd wydobyła miecz i chciała cię przebić, a Raistlin zderzył się ze mną i wtedy uciąłem sobie drzemkę.

- Co takiego? - Palin przez chwilę był zdezorientowany, lecz potem wróciła mu pamięć. Usiadł z trudem. - Portal! Królowa Ciemności! Musimy... Wracać...

- Już wróciliśmy - oznajmił Tas, delikatnym popchnięciem nakłaniając Palina, by znów się położył. - Jesteśmy w laboratorium. Raistlin też jest z nami.

- Stryju? - Palin spojrzał w górę na połyskującą w świetle złotoskórą twarz, którą

okalały długie, siwe włosy. - Więc jednak wróciłeś!

- Przeszedł przez portal, żeby ocalić ci życie - wyjaśnił Tas.

Błada twarz Palina zaróżowiła się z zadowolenia. - Dziękuję, stryju. Jestem ci bardzo wdzięczny. - Położył się i zamknął oczy. - Co mi się stało? Tak mi zimno...

- Zraniła cię przeklęta broń z Otchłani - wyjaśnił Raistlin.

- Na szczęście miecz wyrządził krzywdę jedynie twemu ciału. Gdyby przebił twe serce, służyłbyś już Chemoshowi. A tak wydaje mi się, że mam tu coś, co przyniesie ci ulgę.

Raistlin poszedł w głąb pracowni i przyjrzał się rzędowi słoiczków na zakurzonej półce.

- Kim była ta kobieta? - Spytał z drżeniem Palin. - Jakaś służebnica Królowej Mroku?

- W pewnym sensie tak, choć nie wątpię, że działała we własnym interesie, a nie zgodnie z rozkazami. To była moja siostra - odparł Raistlin - twoja nieżyjąca ciotka Kitiara.

- Ostatnio spotykamy bardzo wielu starych przyjaciół - stwierdził Tas. - Właściwie Kitiarę trudno byłoby teraz nazwać przyjaciółką, ale w przeszłości, dawno temu, była nią. Pamiętam, że kiedyś uratowała mnie z łap burczymisia w jaskini. Skąd miałem wiedzieć, że burczymisie przesypiają zimę i budzą się głodne? Ale ona już nie żyje. - Tas westchnął. - Teraz Tanis też odszedł. Tylu... Odeszło. Przynajmniej ty wróciłeś, Raistlinie - dodał, rozpromieniwszy się trochę.

- Na to wygląda - odparł Raistlin i prawie natychmiast dostał napadu kaszlu. Atak zgiął go wpół. Czarodziej przycisnął rękę do piersi i dyszał ciężko. Wreszcie spazm minął. Ocierając wargi rękawem szaty, Raistlin odetchnął z wysiłkiem. - Zapewniam cię, że mój powrót nie był zamierzony.

- On chciał wrócić - dodał Tas - ale kiedy spróbował, tajemnicze głowy wrzasnęły na nas. To było coś naprawdę fascynującego. Ale potem Raistlin spuścił zasłonę. Może mógłbym zajrzeć tam na chwilę? Tylko, żeby zobaczyć, czy głowy...

- Nie zbliżaj się! - Warknął Raistlin. - Bo znów zapadniesz w drzemkę. A ta nie będzie tym razem krótka!

Po znalezieniu odpowiedniego słoiczka, arcymag zdjął go z półki i wyjął korek. Powąchał zawartość, pokiwał głową i wrócił do Palina.

Raistlin posmarował ranę niebieskawą maścią.

- To może szczypać.

Palin zacisnął zęby i ostro syknął. - Rozumiem, że nie powinniśmy byli podsłuchiwać bogów. - Podniósł się trochę i spojrzął na swoje ramię, chcąc obejrzeć ranę. Grymas bólu znikł z jego oblicza. Młodzieniec oddychał lżej i przestał drżeć. - Już mi lepiej. Czy to czary?

- Tak - powiedział Raistlin - ale nie moje. To podarunek od kapłanki Paladine'a.

- Pewnie od pani Crysanii - oświadczył Tas, mądrze kiwając głową. - Bardzo cię ceniła, Raistlinie.

Arcymag miał kamienną i zaciętą twarz. Odwróciwszy się, wstał i kontynuował badanie zawartości półek.

- Tas! - Szepnął wstrząśnięty Palin. - Milcz!

- Czemu? - Odszepnął urażony Tas. Było mu jakoś niedobrze. - Przecież to prawda.

Zaniepokojony Palin obejrzał się na stryja, lecz - jeśli Raistlin usłyszał - zlekceważył ich obu.

Tasa bolała głowa. Było mu bardzo przykro, że Tanis odszedł i że nigdy już go nie usłyszy, nie zobaczy jego uśmiechniętej twarzy, nie pożyczycy sobie jego chusteczek. Do tego nieszczęścia dołączyła się jeszcze ogarniająca go nuda.

Tas doskonale wiedział, że gdyby nawet spojrzął choćby na zdechłego gacka w pracowni, obaj magowie natarliby mu uszu. A gdyby go skarcili, ból w piersi zmusiłby go do nakrzyczenia na nich i prawdopodobnie powiedziałby coś, co zraniłoby ich uczucia. Z tego wynikało, że albo jeden, albo drugi w końcu zmieni go - Tasslehoffa Burrfoota - w gacka, a chociaż brzmiało to ciekawie...

Tasslehoff podszedł do drzwi pracowni. Spróbował je otworzyć, ale nie chciały ustąpić. - Do licha! Utknęliśmy tu!

- Wcale nie - oznajmił chłodno Raistlin. - Wyjdziemy, gdy będę gotowy.

Tas uważnie przyglądał się drzwiom. - Tam jest okropnie cicho. Kiedy wychodziliśmy, Steel bił w nie pięściami aż huczało. Pewnie jemu, Ushy i Dalamarowi znudziło się i poszli na kolację.

- Usha! - Palin wstał i prawie natychmiast osunął się bez sił na krzesło. - Mam nadzieję, że nic jej nie jest. Musisz ją poznać, stryju.

- Już ją poznał - zauważył Tas. - Tak jakby. Skoro jest jego córką...

- Córką! - Parsknął Raistlin. Przesypał aromatyczne liście z dużego worka do małej, skórzanej sakiewki. - Jeśli tak twierdzi, łże. Ja nie mam córki.

- Ona nie kłamie. Okoliczności były... Hm... Nietypowe, stryju - ujął się za nią

Palin. Zwlókł się z krzesła, dotarł do kąta, w którym stała laska i wziął ją do ręki. Zdawało się, że niemal natychmiast odzyskał siły. - Mogłeś mieć córkę i nie wiedzieć o tym. Z powodu magii Irdów.

Raistlin kaszlnął, chciał już potrząsnąć głową, a potem podniósł wzrok. - Irdowie? A co oni mają z tym wspólnego?

- Cóż... Ludzie opowiadają o tobie pewną historię. Ojciec nigdy nie przywiązywał do niej wielkiej wagi. Kiedy tylko ktoś poruszał ten temat, on twierdził, że to wszystko bzdura.

- Ciekaw jestem tej opowieści - rzekł Raistlin, a na jego wąskie wargi wypłynął cień uśmiechu.

- Istnieje wiele wersji, lecz większość utrzymuje, że ty i mój ojciec wracaliście z próby w Wieży Wayreth. Byłeś chory. Pogoda robiła się brzydka. Obaj zatrzymaliście się na odpoczynek w gospodzie. Weszła jakaś kobieta i chciała spędzić tam noc. Była opatulona szalem i spowita w pelerynę. Zaczepiły ją jakieś opryszki. Ty i ojciec ocaliliście ją. Kobieta próbowała się zasłaniać, lecz szal zsunął jej się z twarzy. Była piękna - rzekł cicho Palin. - Wiem, jak musiałeś się czuć, kiedy spojrzełeś na nią! Sam to poczułem. - Umilkł z uśmiechem na wargach, pogrążony we własnej fantazji.

- I co się wtedy stało? - Spytał Raistlin, wrywając młodego maga z rozmarzenia.

- Więc, ee... - Wyjąkał Palin. - Krótko mówiąc, ty i ona... No...

- Kochaliście się - dokończył Tas, widząc, że Palin sprawia wrażenie nie znajdującego się na rzeczy. - Kochaliście się, tylko z powodu magii Irdów nie wiedziałeś o tym i ona urodziła dziecko o złotych oczach, a potem przyszli Irdowie i je zabrali.

- Kochałem się z przepiękną kobietą i nie wiedziałem o tym. Ja to mam szczęście - stwierdził Raistlin.

- To niezupełnie tak. Sama z pewnością ci o tym opowie. Polubisz ją, stryju - ciągnął Palin z entuzjazmem. - Jest urocza, dobra i bardzo, bardzo piękna.

- Co dowodzi, że to nie moje dziecko - odparł zgryźliwie Raistlin. Zaciągnął ramię skórzanego woreczka i ostrożnie przywiązał go do paska. - Lepiej chodźmy stąd. Mamy dużo do zrobienia, a czasu mało. Obawiam się, że minęło zbyt wiele dni.

- Dni? Nie, stryju. Weszliśmy tu rano. Teraz zapewne zbliża się pora zmierzchu. - Palin umilkł i rozejrzał się po pracowni. - Nie chcesz zabrać żadnej ze swoich ksiąg czarów? Już mi lepiej. Mógłbym pomóc ci je nieść...

- Nie, nie chcę - odparł cicho i chłodno Raistlin. Nawet nie spojrzeł na książki.

Palin zawahał się, a potem powiedział: - Czy w takim razie nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym ja je zabrał? Miałem nadzieję, że nauczysz mnie kilku z tych zaklęć.

- Zaklęć wielkiego Fistandantilusa? - Spytał Raistlin. Wyglądał na niezwykle rozbawionego. - Twoje szaty musiałyby mocno ściemnieć, zanim mógłbyś przeczytać te czary.

Palin zachował spokój. - Może nie, stryju. Wiem, że w historii bractwa Trzech Księżyców Czarna Szata nigdy jeszcze nie wziął sobie Białej Szaty na ucznia. Nie znaczy to jednak, że jest to niemożliwe. Ojciec opowiadał mi, jak kiedyś zmieniłeś czar odbierający życie na taki, który je przywracał, gdy wujek Tas został otruty w świątyni w Nerace. Wiem, że będzie to ciężka i żmudna praca, ale zrobię wszystko - poświęcę wszystko - dodał z naciskiem - by zdobyć więcej mocy.

- Doprawdy? - Raistlin wbił wzrok w Palina. - Rzeczywiście zrobiłbyś to? - Uniósł brew. - Zobaczmy jeszcze, mój bratanku. Zobaczmy. A teraz - ruszył w stronę drzwi - musimy stąd iść. Jak mówiłem, czas ucieka. Jest zmierzch, lecz nie tego dnia, kiedy wszedłeś. Na Ansalonie minął miesiąc.

Palin jęknął. - Ależ to niemożliwe! Upłynęło tylko... Tylko kilka godzin...

- Być może dla ciebie, lecz czas, jaki znamy na tej płaszczyźnie istnienia, nie ma znaczenia w królestwie bogów. Tego dnia miesiąc temu lord Ariakan wjechał triumfalnie przez bramę Wieży Najwyższego Klerysta. Kiedy twierdza padła, nic nie mogło go już zatrzymać. W Palanthas sprawują teraz rządy rycerze Takhisis.

Tas stał przy drzwiach i próbował wyrzeć przez dziurkę od klucza. - A jeśli upiór nadal tam jest?

- Strażnik odszedł. Dalamar jeszcze jest, ale długo nie zostanie. Wkrótce wieża opustoszeje, jak w czasach po Katakliźmie.

- Dalamar odejdzie! W głowie mi się to nie mieści. - Palin był jak ogłuszony. - Stryju, jeśli tu rządzą rycerze ciemności, dokąd pójdziemy? Nigdzie nie będzie bezpiecznie.

Raistlin nie odpowiedział. Jego milczenie było niezwykle wymowne.

- Marzyłem o tym... Od tak dawna - rzekł cicho Raistlin. - Wrócimy do domu, bratanku. Chcę wrócić do domu.

Księga czwarta

Rozdział I

ZMIENIAJĄCY SIĘ ŚWIAT.

GOSPODA.

NIESPODZIEWANY GOŚĆ

Wraz z Palanthis upadł również północny Ansalon. Kiedy Ariakan zdobył wielkie, prastare miasto, zagarnął jego majątek i otworzył port dla swych czarnych okrętów. Nie marnował czasu i zajął także wszystkie ziemie, jakie bez wysiłku zdołał podbić, gromadząc jednocześnie siły do trudnych i długotrwałych walk.

Najlepszym orężem wodza okazała się plotka. Rozprzestrzeniała się szybciej niż rycerze lecący na niebieskich smokach. Wszędzie szeptano o prowadzonych przez lorda Sotha wojskach składających się ze szkieletów, które mordowały wszystkie żywe istoty i wypijały z nich krew. Wszędzie w to wierzono. Przerazenie potęgował smoczy strach i opowieści o okrutnych barbarzyńcach, którzy ponoć nadziewali niemowlęta na włócznie i żywcem je piekli nad ogniskami. Kiedy wojska Ariakana dotarły do większych miast, ich mieszkańcy byli tak przerażeni, że otwierali bramy na oścież i pozwalali czarnym rycerzom wejść bez walki.

Minał miesiąc i Ariakan miał w swych rękach Nordmaar, a podbite przez niego ziemie sięgały na wschód za góry Khalkist, na południe aż do Równin Pyłu i na zachód do Solamnii i Abanasinii. Północny Ergoth wciąż się bronił; jego ciemnoskóry lud walczył zaciekle, nie chcąc złożyć broni. Powiadano, że krasnoludowie ze wzgórz dzielnie stawiali opór w Khalkist, gdzie do walki przyłączyli się smokowcy-renegaci. Ariakan nie próbował jeszcze zająć elfich krain Silvanesti i Qualinesti. Wiedział, że taka bitwa drogo go będzie kosztować; miał nadzieję, że przegniły od wewnątrz owoc sam mu spadnie do rąk.

Równiny Pyłu zostawił tymczasem w spokoju, bowiem ich wartość była niewielka. Kiedy opanuje resztę kontynentu, wtedy wyłapie rozproszone plemiona Mieszkańców Równin, którym przewodziła kapłanka Goldmoon i jej mąż Riverwind.

Gnomowie z Góry Nieważne, niestety pokonali samych siebie. Usłyszawszy pogłoski o zbliżającej się inwazji rycerzy ciemności, wytoczyli swe najpotężniejsze maszyny bojowe. Nikt nie był pewien, co dokładnie się zepsuło, ale Północnym i Południowym Ergothem wstrząsnęła potężna eksplozja. W niebo wzbijała się olbrzymia chmura czarnego dymu i przez tydzień wisiała nad górą. Kiedy dym się przerzedził, brakowało podobno większej części czubka góry. Donoszono o wielkiej ilości ofiar, lecz wkrótce z wnętrza góry znów zaczęły dobiegać stuki i łomoty. W filozofii gnomów nie istnieje katastrofa, istnieje jedynie okazja.

Kenderówek nie poddał się bez walki, głównie dzięki wysiłkom Paxiny, przebiegłej przywódczyni kenderów, córki Kronina Thistleknota, bohatera Smoczej Wojny. Paxina „Pokrzywa” Thistleknot usłyszała, że lord Ariakan uznał kenderów za „nie warte śmieci” i zamierzał wydać polecenie, by zebrać i uśmiercić wszystkich kenderów. Paxina oznajmiła to swemu ludowi w nadziei, że tym skłoni ich do walki. Odpowiedzią było wzruszenie ramionami, ziewnięcie i pytanie „A poza tym, co nowego?”

Potrzeba było czegoś innego, by zagrzać kenderów do boju. Paxina przemyślała sobie wszystko i puściła w obieg plotkę, że czarni rycerze przyjdą złupić Kenderówek i ukraść najcenniejsze przedmioty kenderów.

To poskutkowało.

Oburzeni kenderzy stawili tak zaciekły opór, że choć Ariakan zdołał ich pokonać, wzbudził w nim podziw. Ariakan uznał, że kenderzy mogliby się jeszcze do czegoś przydać, gdyby tylko nakłonić ich do służenia Królowej Mroku. Dzięki temu Kenderówek ocalał, ku wielkiemu niezadowoleniu zmuszonych do stacjonowania tam rycerzy.

W ciągu kilku tygodni lord Ariakan został panem i władcą obszaru rozleglejszego, niż smoczy władcy zdołali podbić podczas Wojny Lancy. I to przy mniejszej liczbie ofiar po obu stronach.

Życie podbitych narodów zmieniło się w nie rzucający się zbyt w oczy sposób. Ci, którzy obawiali się masowych mordów i rzezi, jakich byli świadkami podczas ostatniej wojny, z zaskoczeniem stwierdzili, że rycerze traktowali pokonanych sprawiedliwie, choć surowo. Wprowadzono srogie prawa, które egzekwowano z zimną, czasami okrutną bezwzględnością. Szkoły zamknięto, z wyjątkiem tych, które szerzyły nauki Królowej Ciemności. Każdemu czarodziejowi przyłapanemu poza murami Wieży Wayreth groziło niebezpieczeństwo. Tych, którzy łamali prawo, skazywano na śmierć.

Żadnych sprzeciwów, żadnych odwołań. Rozbrykane Flotsam, znane z nieokrzęsanych i awanturniczych mieszkańców, pod koniec miesiąca spokorniało i ucichło.

Niektórzy utrzymywali, że taka cisza jest dobra. Najwyższy czas, by w kraju zapanował spokój i ucziwi ludzie mogli żyć bezpiecznie. Byli jednak też i tacy, którzy uważali, że ten kupiony za cenę wolności pokój zbyt drogo ich kosztował.

*

Tika Waylan Majere zamknęła drzwi za ostatnim klientem, spuściła ciężki drewniany skobel i westchnęła. Nie wróciła od razu do pracy, choć miała jej pod dostatkiem - trzeba było pozmywać i wysuszyć kufle, zeszkrobać resztki z talerzy i zanieść naczynia do kuchni, wymyć stoły. Zwiesiwszy głowę, Tika stała przy drzwiach gospody i mięła fartuch w rękach. Stała tak długo i tak cicho, że Caramon przestał wycierać szynkwias i podszedł do żony.

Wziął ją w ramiona. Tika przytuliła się do niego i chwyciła za nadgarstki.

- Coś nie tak? - Spytał cicho.

Tika potrząsnęła głową. - Nic. - Znów westchnęła. - Wszystko. - Przetarła dłonią oczy. - Och, Caramonie! Nigdy dotąd nie cieszyłam się z zamknięcia gospody na noc. Było mi przykro, kiedy wychodził ostatni gość. Teraz rankiem, gdy otwieram, robię to z niechęcią. Wszystko się zmieniło! Wszystko!

Odwróciwszy się, wtuliła twarz w pierś męża i zaczęła szlochać. Caramon głaskał ją pocieszająco po rudych włosach.

- Jesteś po prostu zmęczona, moja najdroższa. Dokuczył ci upał. Chodź, usiądź. Zostawimy wszystko do jutra. Brudne talerze nigdzie nie uciekną, słowo daję. Siądź, proszę, a ja przyniosę ci szklankę zimnej wody.

Tika usiadła. Wcale nie chciała wody, która w najlepszym razie będzie letnia. W tym skwarze nawet piwo nie było chłodne. Klienci musieli polubić ciepławe napoje. Ponieważ usługiwanie Tice sprawiało Caramonowi przyjemność, usiadła i pozwoliła zakrzętnąć się mężowi, który przyniósł wodę i jej ulubione ciasteczka. Przepędził też Rafa, krasnoluda żlebowego, który przyszedł z kuchni z zamiarem „wyczyszczenia” talerzy, co polegało na tym, że zjadał wszystkie resztki.

Kiedy w pobliżu znajduje się krasnolud żlebowy, nie potrzeba kosza na śmieci.

Tika słyszała, jak rozczarowany Raf lamentuje w kuchni. Caramon z ponurą miną wrzucił do środka bochenek czerstwego chleba i zatrzasnął drzwi. Lamenty ucichły.

Tika skubnęła ciastko. Nie była głodna, lecz jeśli nic nie zje, Caramon tak długo

będzie skakał koło niej i zamartwiał się, aż w końcu zmusi ją do zjedzenia. A tak uśmiechnął się szeroko, usiadł przy niej i poklepał ją po dłoni.

- Wiedziałem, że skusisz się na to ciasteczko.

- Są przepyszne, mój drogi - skłamała Tika. Ciastka miały smak pyłu. Ostatnio wszystko przypominało pył. Jednak kiedy Caramon zobaczył, że jego żona je, rozpromienił się z radości i jakimś sposobem wypieki nabrały smaku. Mimo wszystko Tika zjadła kolejne ciastko.

- Och, Caramonie - westchnęła. - Co my zrobimy?

- Z czym?

- No... Wiesz... Z tym. - Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku.

- Z czarnymi rycerzami? Niewiele możemy, moja droga - rzekł poważnie Caramon. - Muszę jednak przyznać, że dzięki nim interes ruszył. - Milczał przez chwilę, potem dodał cicho

- Niektórzy twierdzą, że okupacja nie jest taka zła.

- Caramonie Majere! - Wybuchła Tika. - Jak możesz?

- Ja tego nie powiedziałem - zauważył Caramon. - Powiedziałem tylko, że tak mówią niektórzy ludzie. W pewnym sensie mają rację. Na drogach jest bezpiecznie. Kiedy upał zelżeje - a stanie się to z pewnością lada dzień - ludzie znów zaczną podróżować. Rycerze są uprzejmi, nie jak smokowcy, którzy okupowali miasto w czasie ostatniej wojny. Ariakan nie wysłał smoków, żeby wszystko spalić. Jego żołnierze nie kradną. Płacą za kupiony towar. Nie upijają się, nie awanturują. Są...

- Nieludzy - dokończyła z goryczą Tika. - Przypominają jakąś dziwną maszynę gnomów, której zachciało się być człowiekiem, lecz wewnątrz nadal jest maszyna. Ci rycerze nie mają serca, nie żywią żadnych uczuć. Tak, są dla mnie uprzejmi, ale doskonale wiem, że gdyby rozkazano im poderżnąć mi gardło dla chwały ich królowej, uczyniliby to bez chwili zastanowienia.

- To prawda... - Przyznał Caramon.

- A co z tymi... - W Tice coraz silniej burzyło się serce. Kobieta zjadła kolejne cztery ciasteczka. - Co z tymi ludźmi, którzy po prostu znikli? Tacy jak Todd Wainwright?

Caramon spochmurniał. - Todd od roku szukał guza. To nicpoń i awanturnik. Nieraz wyrzucałem go z oberży albo wynosiłem pijanego jak belę. Sama powiedziałaś, żeby się tu więcej nie pokazywał.

- To prawda - przyznała Tika - ale żołnierze Królowej Ciemności nie zabrali

Todda dlatego, że był brutalem i pijakiem. Zabrali go, bo nie przystawał do ich wielkiego planu, bo był mącicielem i buntownikiem.

- Niemniej bez niego jest spokojniej - oponował Caramon.

- Oni muszą stać na straży prawa i porządku...

- Spokój! - Rzuciła zgryźliwie Tika. - Prawo i porządek. Tak, tego nam nie brak. Mamy tyle praw, że zadławiłby się nawet krasnolud żlebowy. Jest też porządek. Niektórzy obawiają się zmian, boją się wszystkiego, co inne. Stapają bezpiecznymi, wydeptanymi ścieżkami, lękając się ich opuścić. Ariakan wyłobił nam miłą koleinę w drodze i oczekuje od wszystkich, że będą nią chodzić. Każdy, kto myśli inaczej, kto woli boczną ścieżkę albo chce w ogóle zboczyć z drogi, zostaje porwany w środku nocy. Byłbyś bezpieczny na dnie ciemnej, suchej studni, Caramonie Majere, lecz wątpię, czy dużo byś w niej zdziałał.

Caramon pokiwał głową. Kiedy Tika wygłaszała przemowę, sam nie rzekł ani słowa, tylko ze spokojem pokroił bochenek chleba, obłożył kromki serem i położył je przed żoną. Gdy Tika skończyła ciasteczka, zabrała się do chleba z serem.

- Zakończyli wojny elfów - przypomniał Caramon.

Tika żarłocznie wgryzła się w pajdę chleba i przeżuwała ją zapamiętane, jakby to był jeden ze znienawidzonych rycerzy. - Zmieniając syna Tanisa w jedną ze swych bezdusznych maszyn - wymamrotała między kęsami.

- Jeśli wierzyć Porthiosowi - rzekł spokojnie Caramon. - Według niego Gilthas zamierza zaprzedać się rycerzom, by ocalić własną skórę. Spotkałem młodego Gila i mam o nim lepsze zdanie, Pamiętaj, że jest synem Tanisa, jak również Laurany. Paladyni ciemności zabili jego ojca. Nie jestem pewien, co ten młodzieniec zamierza, ale mogę się założyć, że z pewnością nie to, czego się spodziewają rycerze. Qualinesti jeszcze nie zostało zdobyte.

Tika potrząsnęła głową, lecz nie oponowała. Rozmowa o Tanisie wciąż ją wytrącała z równowagi. Noc, kiedy Laurana przyniosła im smutne wieści o jego śmierci, utkwiała jej w pamięci: bojąc się zapalić lampę, siedzieli we troje po ciemku i przez łzy wspominali dawne czasy.

- Poza tym - ciągnął Caramon, niepostrzeżenie krojąc jeszcze kawałek sera i podsuwając go żonie - kiedy jest źle, ludzie garną się do siebie - jak to widzieliśmy podczas Wojny Lancy.

- W nielicznych i rzadkich przypadkach - mruknęła Tika.

- Większość z radością wywiesiła białą flagę i posłała sąsiadów do diabła.

- No wiesz, kochanie, ja jestem lepszego zdania o ludziach - powiedział Caramon. - Może na deser zjadłabyś kawałek placka z dortowymi jagodami?

Tika spuściła wzrok, zauważyła okruchy chleba, sera i ciasteczek i zaczęła się śmiać. Jej śmiech szybko przeszedł w łzy, lecz były to łzy miłości, nie smutku. Poklepała ogromną męzowską dłoń.

- Teraz już widzę, co sobie zaplanowałaś. Nie, po tych wszystkich ciasteczkach nie chcę już placka. Dość się najadłam, dziękuję.

- Był na to najwyższy czas. W ciągu tych dziesięciu minut zjadłaś więcej niż przez ostatnie dziesięć dni - stwierdził surowo Caramon. - Musisz jeść, bo opadniesz z sił, moja droga.

- Uściskał żonę. - Nie chciałbym cię też stracić - dodał głosem pełnym wzruszenia.

Tika oparła się na ramieniu męża, jak zawsze przepelniona uczuciem, że on jest dla niej największą podporą i pociechą w życiu. - Nie stracisz mnie, mój najdroższy. Obiecuję, że zacznę bardziej dbać o siebie. Po prostu... Nie mogę przestać myśleć o Palinie. - Westchnęła i wyjrzała w ciemność za oknem. - Gdyby leżał tam pochowany wraz z pozostałymi dwoma chłopcami, przynajmniej wiedziałabym...

- On nie jest tam pochowany, bo żyje - powiedział Caramon.

- Caramonie - sprzeciwiła się łagodnie Tika - wiesz przecież, co powiedział nam Dalamar... Palin i Tas weszli do pracowni i już stamtąd nie wyszli. Minął ponad miesiąc, a po nich ani widu, ani słyhu...

- On nie umarł - oznajmił Caramon. Wysunął się z objęć Tiki. - Zrobię nam herbaty z tarbeanu - powiedział i poszedł do kuchni.

Tika wiedziała, że lepiej nie iść za nim. Caramon sam musiał pogodzić się z pewnymi sprawami. Westchnęła raz jeszcze, a potem - kiedy spojrzała na otaczającą ją bałagan - westchnęła ponownie. Wojny, czarni rycerze i złe smoki przychodzą i odchodzą. Brudne naczynia zawsze będą istnieć.

Składała właśnie talerze, kiedy usłyszała jakiś dźwięk. Nie mając pewności, czy nie zmylił jej brzęk naczyń, przerwała pracę, wstrzymała oddech i nadstawiła ucha.

Nic.

Spróbowała rozpoznać ten odgłos.

Kroki na schodach. Ciche, ukradkowe kroki.

Dźwięk się nie powtórzył, choć stała cicho przez dłuższą chwilę. Wzruszywszy w końcu ramionami, doszła do wniosku, że musiała słyszeć kota i wróciła do zbierania

talerzy. Ustawiała je wszystkie na tacy, podniosła ją i szła do kuchni, gdy usłyszała zgrzyt metalu o drewno.

Kiedy odwróciła się, zobaczyła podnoszący się z własnej woli skobel w drzwiach. Zasuwa uniosła się do końca. Drzwi zaczęły się uchylać.

Tika z hukiem upuściła tacę i chwyciła za patelnię.

Ktoś lekko otworzył drzwi i wsunął się do środka. Nie widziała go dobrze; pomimo upału przybysz okutany był w szarą pelerynę. Dostrzegła jedynie cel, tył jego głowy. Wymierzyła...

Caramon przeraźliwie ryknął i rzucił się naprzód, roztrzając stoły i łamiąc krzesła.

- Palin! - Szeptnęła Tika. Zbyt osłupiała, by się ruszyć z miejsca, oparła się o ścianę i przez łyzy patrzyła, jak mąż chwyta syna w objęcia.

- Gdzie jest mama? - Spytał Palin, rozglądając się.

- Chowa się za drzwiami - powiedział Caramon również przez łyzy. - Gotowa już przyłożyć ci patelnię!

Tika zaczerwieniła się, machnęła patelnią, a potem upuściła ją z hukiem i pobięła do swego syna.

- Palinie, najdroższy Palinie! - Płakała i śmiała się. - Przez te wszystkie dni modliłam się, żebyś wrócił do nas cały i zdrowy, a kiedy wróciłeś, omal nie rozbiłam ci głowy! Myślałam, że to... Jeden z nich.

- Już dobrze, mamó - powiedział Palin, ściskając ją mocno. - Rozumiem. Wiem, co tu się dzieje. Rozmawialiśmy z Dalamarem.

- My? - Tika zajrzała mu przez ramię.

Palin zwrócił się do rodziców. - Mamó. Tato. Jest ze mną jeszcze ktoś, kogo nie widzieliście od bardzo dawna. Chciał, żebym wam pierwszy o tym powiedział. Nie był pewien... Czy będzie mile widziany...

Caramon z dzikim, bolesnym okrzykiem rzucił się ku drzwiom i otworzył je na oścież.

Na stopniu stał ktoś w czarnych szatach. Na tle ciemności można było dostrzec zaledwie zarys postaci. Na widok Caramona człowiek zrzucił kaptur, przesłaniający mu twarz. Światło z gospody padło na złotawe oblicze i błysnęło w klepsydrowych oczach.

- Raist! - Wykrzyknął Caramon i zachwiał się na nogach.

Raistlin długo patrzył na brata, nie ruszył się z miejsca za drzwiami.

- Caramonie - powiedział wreszcie cicho i zdawało się, że imię to było splamione jego własną krwią. - Caramonie, czy mógłbyś... Mógłbyś... - Zaczął kaszleć, lecz starał się ciągnąć dalej. - Wybaczyc...

Caramon wyciągnął ręce do brata i wprowadził go do środka. - Twój pokój jest gotowy, Raist. Zawsze był.

Rozdział II

ŻALE.

POLECENIA.

WYBORY

Wschodzące słońce, upalne i palące nawet o tak wczesnej porze, rzucało refleksy przez witraże w oknach gospody. Bracia siedzieli i obserwowali je. Tika dawno temu położyła się do łóżka. Palin także, wciąż trochę słaby z powodu rany. Caramon i Raistlin przez całą noc nie spali, rozmawiając o zamierzchłej przeszłości, minionych czasach, dawnych błędach i niegdysiejszych żalach.

- Gdybyś wiedział, jak to się skończy, czy podjąłbyś inną decyzję, Raist? - Spytał Caramon.

- Nie - odparł Raistlin z cieniem dawnej irytacji. - Wtedy bowiem to nie ja dokonywałbym wyboru.

Caramon nie całkiem pojmował, lecz przyzwyczajony do tego, że nie rozumie brata, nie zmartwił się tym. Rozumiał dość. Zaczął opowiadać bratu o rodzinie.

Raistlin siedział skulony w kącie i trzymał w dłoniach kubek naparu, który łagodził jego kaszel. Arcymag przysłuchiwał się opowieściom Caramona, wyraźnie widział w myślach Palina i jego braci i wiedział o nich więcej niż Caramon mógł przypuszczać. Przez te wszystkie lata spędzone w innym wymiarze, myślał o nich, pogrążony w spokojnym, podobnym do śmierci śnie.

Dopiero w najciemniejszej godzinie przed brzaskiem bracia zaczęli mówić o terażniejszości... I przyszłości.

Teraz Caramon z niepokojem wyglądał przez okno, patrząc na wschodzące słońce przez kruche, zbrązowiałe liście vallenów.

- Koniec wszystkiego, powiadasz - szepnął Caramon. - Wszystkiego - powtórzył, odwracając się twarzą do brata. - Wiem, że umrę. Wszyscy, nawet elfowie, muszą kiedyś umrzeć. Mimo to... Zawsze wiedziałem, że to - wykonał ręką gest, który

obejmował okno, drzewo, trawę, glebę i bezchmurne niebo - nadal będzie istnieć, kiedy mnie już nie będzie. Powiadasz, że nic... Nic nie zostanie?

- Kiedy Chaos przybędzie zniszczyć tę „zabawkę bogów”, ziemia się rozstąpi i z rozpadlin tryśnie ogień. Z niebios spadnie z rykiem wichur o sile tysiąca burz i roznieci płomienie. Piekielni wojownicy na ognistych smokach ruszą przez kraj i wkrótce wszystko strawią płomieniem. Jeziora wyparują i zagotują się oceany. Nawet powietrze zawrze; ludzie będą umierać od samego nim oddychania. Nikt i nic nie przeżyje.

Raistlin mówił spokojnym, obojętnym tonem, który absolutnie przekonywał i ogromnie przerażał. Jego słowa wywołały w Caramonie dreszcz zgrozy.

- Mówisz, jakbyś to widział - rzekł półszepem.

- Bo widziałem - odparł Raistlin. Podniósł oczy. Przedtem przyglądał się parze, która wznosiła się znad jego kubka. Teraz przeniósł spojrzenie na brata. - Zapomniałeś, co widzę tymi przeklętymi oczyma. Widzę czas, który płynie naprzód, więc widziałem, jak czas się zatrzymał.

- Przecież nie musi się tak stać - sprzeciwiał się Caramon.

- Nauczyłem się jednego - sami tworzymy przyszłość.

- Racja - przyznał Raistlin. - Istnieje alternatywa.

- No i? - Zaciekawiał się nigdy nie tracący nadziei Caramon.

Raistlin znów spojrzał na stygnącą herbatę. - Opowiedziałem ci o najgorszym, co może się stać, mój bracie. - Milczał w zadumie, a potem dodał: - A może to było najlepsze.

- Co takiego? - Caramon był zaszokowany. - Najlepsze? Ludzie palący się żywcem! Wrzące oceany! To ma być najlepsze?

- Wszystko zależy od tego, jak na to spojrzeć, mój bracie.

- Raistlin odsunął kubek z herbatą. - Nie mogę tego pić. Wystygła. - Zakaszłał i otulił się ciasniej połami szaty, choć w gospodzie i tak już panowała duchota.

- Nie możemy tak beczynnie siedzieć! - Zaprotestował Caramon, zerwał się z krzesła i poszedł do kuchni. Wrócił z czajnikiem wrzątku. - Jeśli zajdzie potrzeba, będziemy walczyć u boku bogów.

- O tak - rzekł Raistlin. - Będziemy walczyć. I wielu z nas polegnie. Możemy nawet zwyciężyć. Wtedy ponieśliśmy największą stratę.

- Nie rozumiem, Raist - zaczął Caramon.

- Nie rozumiem, Raist... - Przedrzeźniał go Raistlin.

Caramon poczuł się nieswojo, oblał się rumieńcem i spuścił oczy.

Raistlin westchnął. - Tym razem, Caramonie, ja też nie rozumiem. - Nie, nie zaparzaj mi świeżej herbaty. Nie mamy czasu. Przed nami długa droga.

- Przed nami? Chcesz... Żeby pojechał z tobą? - Spytał z wahaniem Caramon.

- Oczywiście - odparł szorstko Raistlin. - Muszę wspierać się na twym silnym ramieniu. Poza tym tylko ty wiesz, jak trzeba to parzyć. - Chudą dłonią wskazał kubek z herbatą.

- Jasne, Raist. Z tobą pójdę wszędzie. Dokąd jedziemy?

- Do Wieży w Wayreth. Tam będzie czekał na nas Dalamar. Zwołuje Konklawe czarodziejów.

- W takim razie zabierzemy ze sobą Palina...

- Nie, Palin ma inną misję. Musi udać się do Palanthas.

- Sam? - Caramon zmarszczył czoło. - Na drodze może mu grozić niebezpieczeństwo...

- Nie będzie jechał drogą - przerwał poirytowany arcyomag.

- Ach, więc zamierzasz przenieść go magicznym sposobem - stwierdził Caramon.

- Nie, nie zamierzam - oznajmił zwięźle Raistlin. - A skoro już mówimy o Palinie, muszę z nim porozmawiać. No, rusz się, bracie - ciągnął mag, widząc, że Caramon wciąż stoi z czajnikiem w ręku. - Pośpiesz się! Z każdą chwilą zbliża się nieszczęście. Za godzinę musimy być gotowi do drogi.

- Jasne, Raist - powiedział Caramon i poszedł kuchni. Zatrzymał się na progu i obejrzał na brata. Raistlin wstawał powoli, opierając się o blat stołu. Niegdyś, dawno temu, wspierałby się na lasce. Zatrzymał się, zgarnął woreczek z mieszanką ziół i zawiesił ją u paska na wąskiej talii. Nie miał innych sakiewek i nie rozsiewał woni płatków róż. Nie trzymał tubusów na zwoje ani książek...

I wtedy po raz pierwszy Caramon zrozumiał.

- Odebrali ci magiczną moc, prawda, Raist? - Wyszeptał.

Raistlin długo milczał, a potem rzucił osobliwą uwagę - Zauważyłem, że nie pijasz niczego mocniejszego od wody, drogi bracie.

- Racja - rzekł stanowczo Caramon. - Ale co to ma...

Raistlin ciągnął, jakby niczego nie usłyszał. - Dlaczego? Dlaczego tylko woda?

- Dobrze wiesz, czemu, Raist. Po krasnoludzkiej gorzałce przestaję nad sobą panować. Kiedy już zacznę, nie mogę przestać... - Caramon urwał, marszcząc ze

zdumienia czoło. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że w twoim przypadku jest tak samo? Że ty...

- Mógłbym nie zdołać oprzeć się pokusie - odparł cicho Raistlin.

- Ale... To, co nadchodzi. Czy nie będziesz nam wtedy potrzebny?

- Mamy Palina - powiedział Raistlin.

Rumieńce Caramona znikły. Mężczyzna pobałdł i zatroskał się.

- Chyba nie mówisz tego poważnie, Raist. On jest jeszcze młody i niezbyt wysoki rangą...

- Tak jak ja niegdyś, mój bracie - szepnął Raistlin. - Całkiem jak ja.

Caramon przełknął ślinę. - Tak, ale ty... No, wiesz...

- Otrzymałem pomoc? - Parsknął szyderczo Raistlin. - Tak, mnie ktoś pomógł.

Był przy mnie Fistantilus. Palin też nie będzie osamotniony. Palin też... - Kaszlnął i znów usiadł.

- Nie martw się, mój drogi bracie. Podobnie jak ja, twój syn będzie mógł dokonać wyboru.

Nie było to zbyt pocieszające dla Caramona. Kiedy odchodził, jego bliźniaczy brat siedział przy stole i przyglądał się wstającemu dniowi, upalnemu jak letni płomień.

*

Palin zszedł na śniadanie i zastał w domu zamęt. Jego matka stała za ladą i kroїła ciepły, usiany owocami chleb, który piekła zawsze, gdy ktoś z rodziny wybierał się w drogę. „Chleb podróżny”, tak go nazywali chłopcy, bowiem jedli go w podróży, choć - jak stwierdził kiedyś starszy z braci, Sturm - pieczywo było dość twarde, by w trakcie wędrówki iść po nim jak po drodze.

Zapach budził bolesne wspomnienia. Palin zmuszony był zatrzymać się na schodach i mocno wesprzeć na lasce, póki nie rozwiła mu się mgła przed oczami i nie przestało go ścisnąć w gardle. Zszedł na dół w chwili, gdy pojawił się Caramon z ogromnym plecakiem, który postawił pod drzwiami.

- Ojciec - rzekł Palin ze zdumieniem - idziesz z nami do Wayreth?

- On idzie ze mną - powiedział Raistlin, odwracając się. - Cieszę się, że już wstałeś. Zamierzałem właśnie cię zbudzić.

- Ale ja też idę z wami - zaprotestował Palin. Czuję się doskonale. Ramię jest jeszcze trochę sztywne, ale dziś rano posmarowałem je tą maścią i rana się goi...

- Jaka rana? - Spytała ostro Tika, podnosząc wzrok na syna.

- Lekkie obrażenia, jakich doznał w czasie podróży. Nic poważnego - odparł Raistlin.

- Zaraz się przekonamy. Caramonie, dokończ krojenie chleba, a potem włóż go do tych worków. A co do ciebie, młody człowieku, siądź gdzieś, gdzie będę mogła cię obejrzeć. Zastanawiałam się, czemu przez całą noc nie zdejmowałeś płaszcza.

- Mamo! - Palin poczuł, jak go pałą policzki. Posłał stryjowi pełne zażenowania spojrzenie. - Mamo, naprawdę nic mi nie jest. Nie ma powodu robić ceregieli...

- Tiko - przerwał Caramon - nie mamy czasu...

Kobieta wzięła się pod boki i odwróciła. - Caramonie Majere, czyżby za pięć minut miały napaść nas smoki?

- No, nie - zaczął Caramon. - Ale...

- W takim razie mamy czas. - Tika wskazała krzesło. - Usiądź, młody człowieku i pozwól mi obejrzeć to ramię. Co zrobiłeś z zakrwawionym ubraniem? Schowałeś je pod łóżkiem, jak miałeś w zwyczaju, kiedy byłeś małym chłopcem?

Palin bezgłośnie błagał o wsparcie, lecz jego ojciec już został pokonany i wycofywał się z pola. Stryj, z bladym uśmiechem na twarzy, siadł naprzeciw Palina.

- Muszę udzielić ci wskazówek, bratanku - powiedział Raistlin. - Poza tym, czasami miło jest, kiedy ktoś się z tobą „ceregeli”.

Caramon przerwał na chwilę krojenie chleba i spojrzał na brata ze zdumieniem. Potem, uśmiechając się trochę smutno i potrząsając głową, ogromny mężczyzna zaczął pakować pieczywo do worków.

Palin wyplątał rękę z rękawa szaty i pozwolił się matce zbadać.

Tika obmacała ramię, ostukała, obejrzała i obwąchała, po czym kiwnęła głową i oznajmiła: - Goi się dobrze, ale ranę należy przemyć. Przykleiło się kilka włókienek. Za chwilę wrócę.

Poszła do kuchni po gorącą wodę i płótno.

- A teraz, bratanku - rzekł Raistlin - posłuchaj, co masz robić. Twój ojciec i ja udajemy się do Wayreth. Chcę, żebyś wrócił do Palanthas...

Palin otworzył usta, żeby się sprzeciwić.

- Ta młoda kobieta, o której wspominałeś - ciągnął Raistlin. - Ta, która twierdzi, że jest moją córką. Chcę, żebyś ją odnalazł.

Palin zamknął usta i już nie protestował. - Tak, stryju - oznajmił tak szybko i skwapliwie, że ojciec uniósł głowę i przyjrzał się synowi długo i uważnie. - Wierzysz w jej słowa?

- Nie - odrzekł chłodno Raistlin - ale intrygują mnie jej związki z Irdami.

- Z przyjemnością odnajdę ją dla ciebie, stryju - powiedział Palin, ignorując szeroki uśmiech ojca i jego złośliwy gwizd - ale czy jesteś pewien, że ona wciąż jest w Palanthas?

- Zdaniem Dalamara wciąż tam jest. Jego znajoma czarodziejka ma z nią kontakt. Ona będzie wiedziała, gdzie szukać tej młodej kobiety.

- A więc rozmawiałeś już o tym z Dalamarem. Dlaczego nie powiadomiłeś mnie o tym?

- Odpoczywałeś - powiedział Raistlin. - Nie chcieliśmy ci przeszkadzać. Proszę.

- Sięgnął do kieszeni czarnego stroju, wydobyl zwyczajnie wyglądający pierścień i podał go Palinowi.

- Weź go. Dzięki Dalamarowi przeniesiesz się do Palanthas.

- On się tym zajął - powiedział Palin. Wziął pierścień i nie patrząc na niego, wsunął go do sakwy. - Bo sam bym tego nie zrobił. Ale ty, stryju? Ty potrafiłbyś rzucić zaklęcie „przemierzanie przestrzeni i czasu”. Chciałbym je usłyszeć, choć sam jeszcze tego nie umiem. - Spojrzał na Caramona. - Co się stało, ojcze? O co chodzi?

Palin powoli zaczął sobie uświadamiać, że ojciec patrzy na niego niechętnie i kręci głową.

- Twój stryj nie czuje się dziś najlepiej, synu - rzekł surowo Caramon. - Rób, co ci każe i przestań mu dokuczać.

Palin zauważył, że Raistlin rzeczywiście był bardzo blady. - Nie chciałem... Oczywiście, skoro źle się czujesz...

- Czuję się dobrze - odparł Raistlin - przynajmniej nie gorzej niż zwykle. Zasługujesz na to, by poznać prawdę. Nie władam już magią. Odebrano mi ją. Musiałem przystać na taki warunek, aby móc wrócić na tę płaszczyznę istnienia.

- Ty nie chciałeś wrócić. Uczyniłeś to dla mnie. Stryju, ja...

- Nie lituj się nade mną - warknął Raistlin. Złote oczy rozjarzyły się dziko, goręcej niż słońce.

Zaskoczony Palin umilkł.

- Biorę to za komplement - rzekł Raistlin, ochłonawszy z gniewu. - To znak, że ona wciąż się mnie obawia. Dość już jednak rozmów. Caramonie, czas nam w drogę. Pożegnaj się z Tiką i podziękuj jej ode mnie za gościnność. Chciałbym z Palinem zamienić kilka słów na osobności.

- Jasne, Raist - powiedział Caramon, lecz nie ruszył się z miejsca. Obejrzał się

niepewnie na syna.

- Idź już, Caramonie - powtórzył Raistlin. Miał zamiar dodać coś jeszcze, lecz jego słowa przerwał atak kaszlu. - Idź! - Wycharczał. - Czy nie widzisz, jak mnie denerwujesz?

Caramon wahał się, spoglądając raz na syna, raz na bliźniaczego brata. Potem oddalił się z ociąganiem i poszedł do kuchni.

Kiedy Raistlin został sam z Palinem, wezwał go do siebie gestem. Wyszeptał głosem ochrypłym od kaszlu: - Kiedy znajdziesz już tę młodą kobietę, zapomniałem, jak ona ma na imię...

- Usha - rzekł cicho Palin.

- Nie przerywaj mi! I tak ledwo mam dość sił, by mówić. Powtarzam, kiedy ją znajdziesz, zaprowadź ją do wielkiej biblioteki. Spotkamy się tam pojutrze, o północy dnia letniego przesilenia.

- Rozumiem, stryju - odpowiedział potulnie Palin. - O północy dnia letniego przesilenia. Przyjdę tam.

Raistlin odprężył się i lżej oddychał.

- A teraz, bratanku, ty też lepiej idź się pożegnać i ruszaj w drogę. Użycie pierścienia to bardzo prosta sprawa. Nałóż go na palec, utwórz sobie w myślach obraz Palanthas, a zakłęcie cię tam przeniesie.

- Tak, stryju - powiedział Palin i nadmienił z goryczą: - Oczywiście, że to proste. Nie poradziłbym sobie z niczym skomplikowanym.

Raistlin przez chwilę przyglądał się młodzieńcowi bez słowa, a potem położył wynędzniałą dłoń na jego nagim ramieniu. Dłoń arcymaga była nienaturalnie gorąca, prawie paliła. Palin drgnął pod jej dotykiem i z wysiłkiem stał nieruchomo, gdy chude palce wpijały mu się w ciało.

Raistlin nachylił się blisko, a wyszeptane przez niego słowa musnęły policzek Palina. - Tak samo jak ja, otrzymasz pewną propozycję. Będziesz mógł wybierać.

- Kiedy? - Palin ścisnął stryja za dłoń. - Wkrótce? Skąd będę wiedział?

- Nic więcej nie mogę rzec. - Raistlin wyprostował się i odsunął. - Powiedziałem więcej niż powinienem. Dokonaj mądrego wyboru, bratanku.

- Tak uczynię - oznajmił Palin, wstając. Myślałem o tym od dawna. Wiem, co wybiorę.

- Zuch z ciebie - powiedział Raistlin z uśmiechem, w którym krył się lód.

Palin zadygotał i znów czując dotyk przeklętego ostrza, narzucił szatę na

zranione ramię.

- Idź teraz sprowadzić swego ojca, młodzieńcze polecił Raistlin. - Czas ucieka, a my stoimy w miejscu.

Rozdział III

BRACIA.

ZNÓW RAZEM

Dawno temu, w czasach panowania króla-kapłana z Istar, światem rządziły siły dobra - a przynajmniej tak same siebie nazywały. Niektórzy wątpili, czy uprzedzenie, nietolerancja, nienawiść i prześladowania są rzeczywiście cnotami Paladine'a, lecz król-kapłan przesłonił te grzechy pięknymi i drogimi białymi szatami, aż wreszcie sam przestał zauważać skrywaną pod nimi niegodziwość.

Król-kapłan i jego wyznawcy obawiali się wszystkich, którzy różnili się od nich. Była ich długa lista, rosnąca z każdym dniem, lecz magowie zajmowali na niej poczesne miejsce. Motłoch napastował czarodziejów wszelkich wyznań, szturmował ich Wieże i podpalał szkoły, a ich samych kamienował albo palił na stosie. Obdarzeni taką mocą czarodzieje mogli stawiać opór, lecz wiedzieli, że skończyłoby się to jedynie dalszym rozlewem krwi i zamętem. Postanowili się wycofać ze świata i skryli się w jedynym bezpiecznym miejscu - Wieży Wielkiej Magii w Wayreth.

Teraz magowie zbierali się w tym samym miejscu, tyle że ironią losu nie uciekali przed siłami światłości. Kryli się przed siłami mroku.

Powiadają, że Wieży w Wayreth nigdy nie można znaleźć, kiedy jej się szuka. Wieża sama odnajduje poszukiwacza, a czy wyjdzie mu to na dobre, czy na złe, zależy od powodów wizyty. Możesz jednego dnia zasnąć wśród traw, a następnego poranka obudzić się w środku puszczy. A o tym, co z tobą zrobi, zdecydują już magowie w Wieży.

Wszystkie istoty się jej obawiają. Nawet smoki - bez względu na kolor i przekonania - nie przelatują w jej pobliżu. Czarny smok, którego Dalamar wysłał z poleceniem przeniesienia Raistlina i Caramona bezpiecznie przez góry Kharolis w okolicę Wieży, nie chciał lecieć dalej niż do traktu.

Czarny smok wylądował i stał niespokojnie, łopocząc skrzydłami i wykrcząc szyć. Węszył w powietrzu i najwyraźniej uznał, że wykryty zapach nie przypadł mu do

gustu. Rwał pazurami ziemię i ukradkiem spoglądał na Raistlina. Śpieszyło mu się do odlotu, lecz mimo to dbał, by nie okazać arcymagowi braku szacunku. Caramon pomógł bratu zsiąść i zdjął dwa plecaki. Smok uniósł łeb i z wyczekiwaniem spoglądał w niebo.

- Możesz odejść - powiedział Raistlin do stworzenia ale nie oddalaj się zbyt. Czuwaj w pobliżu drogi. Jeśli nie znajdziemy tego, czego szukamy, możemy znów potrzebować twych usług.

Smok spuścił głowę; rozbłysły czerwone ślepie. Bestia rozpostarła czarne skrzydła, odbiła się od ziemi potężnymi zadnimi łapami, wzbiła w powietrze i poszybowała z powrotem na północ.

- Uff - poskarżył się Caramon, krzywiąc się i rzucając z odrazą plecaki na ziemię.
- Co za smród! Aż zatyka. Przypominają mi się czasy w Xak Tsaroth, kiedy czarna smoczyca uwięziła cię i rozprawiłaby się z nami wszystkimi, gdyby nie Goldmoon i jej laska z błękitnego kryształu.

- Czyżby? Nie przypominam sobie - rzucił od niechcenia Raistlin. Schylił się i szukał czegoś w plecaku. Wyjął dwie albo trzy sakwy, które sam zapakował przed odlotem i zawiesił je u pasa.

Caramon przyglądał mu się w osłupieniu. - Nie pamiętasz? Bupu i Najwyższego Bulpa i tego, jak Riverwind umarł i potem ożył i...

Raistlin stał na zakurzonej drodze, patrząc na pole wyschniętej, spalonej słońcem pszenicy. Patrzył długo i uważnie, jakby czegoś szukał i najwyraźniej tego nie znalazł. Zmarszczył brwi, zacisnął wargi i pokręcił głową.

- Czas - mruknął. - Czas umyka! Co ci głupcy mogą robić?

- Nie pamiętasz Xak Tsaroth? Niczego? - Dopytywał się Caramon.

Raistlin odwrócił głowę do brata. - Co mówiłeś? Ach tak, wojna. - Wzruszył ramionami. - Coś tam sobie przypominam, skoro już o tym mowa. Mam jednak wrażenie, że to wszystko wydarzyło się komuś innemu, nie mnie.

Caramon spojrział na brata ze smutkiem i niepokojem.

Raistlin znów wzruszył ramionami i odwrócił się. - Mamy teraz bardziej nagłą sprawę, mój drogi bracie. Lasu nie ma.

- Odnoszę wrażenie, że nigdy go nie ma wtedy, gdy jest potrzebny - mruknął Caramon. - Zachowuj się tak, jakby był nam zbędny. Zapamiętaj moje słowa, zobaczysz, że zaraz zjawi się przed naszym nosem. Ciekawe, czy tu w okolicy jest jakiś strumyk, który jeszcze nie wysechł. Muszę zmyć z rąk ten smoczy śluz, zanim

zwymiotuję.

Rozejrzał się wokół. - Może tam, przy tej kępie drzew. Widzisz je, Raist? Obok tej wielkiej wierzby? Wierzby rosną tam, gdzie jest wilgotno. Pójdziemy tam?

- Wygląda na to, że wszystko jedno, w którą stronę pójdziemy - mruknął skwaszony Raistlin.

Obydwaj zeszli z drogi i ruszyli na przełaj przez pole. Droga była uciążliwa. Żdźbła zeschniętej pszenicy, które sterczały ze spieczonej słońcem ziemi, przekłuwały skórzane podeszwy butów Caramona i rozdzierały powłóczyste szaty Raistlina. Popołudniowy skwar utrudniał oddychanie, a słońce paliło niemiłosiernie. Wzbijany przez nich kurz leciał im w twarze, wywołując u Caramona kichanie, a u Raistlina taki kaszel, że mag musiał oprzeć się na ramieniu brata, żeby nie upaść.

- Zaczekaj tu, Raist - powiedział Caramon mniej więcej w pół drogi do zagajnika.
- Sam pójdę dalej.

Raistlin kaszlnął, potrząsnął głową i chwycił brata za ramię.

- Co się stało? - Spytał przejęty Caramon.

Zasapany Raistlin zdołał szepnąć: - Sza! Coś słyszałem...

Caramon szybko się obejrzał. - Co? Gdzie?

- Jakieś głosy. W gaju. - Raistlin zaczerpnął tchu i zakrztusił się.

- Łykasz za dużo kurzu - stwierdził zatroskany Caramon. - Co robimy?

Wracamy?

- Nie, mój bracie. To wyglądałoby podejrzanie. Narobiliśmy tyle hałasu, co armia krasnoludów. Zobaczono nas i usłyszano. Teraz nasza kolej. Chcę przyjrzeć się temu, kto nas obserwuje.

- Pewnie to rolnik, do którego należy to pole - oznajmił Caramon. Sięgnął do pasa i ukradkowym ruchem poluzował miecz w pochwie.

- Po co miałby tu przychodzić? Kosić uschnięte łany? - Spytał zgryźliwie Raistlin. - Nie. Istnieje jakiś powód, dla którego las Wayreth nam się wymyka, choć wie, że koniecznie muszę tam wejść. Sądzę, że w tym leży przyczyna.

- Szkoda, że nie masz już magicznej mocy - mruknął Caramon, idąc noga za nogą przez uschnięte pole. - Nie jestem już tak dobrym szermierzem, jak niegdyś.

- Nieważne. Nie miałbyś wielkiego pożytku z miecza w walce z tym przeciwnikiem. Poza tym, nie jestem bezbronny. Przewidziałem, że możemy wpaść w tarapaty. - Mówiąc to, Raistlin sięgnął do jednego z woreczków. - Oho, miałem rację. Spójrz w cień tamtych drzew.

Caramon odwrócił się i zmrużył oczy. - Wzrok też mam już nie ten, co kiedyś.
Co tam jest?

- Sześciu rycerzy Ciernia w szarych szatach czarodziejów Takhisis.

- Do licha! - Zaklął pod nosem Caramon. - Co zrobimy? - Obejrzał się na brata.

Raistlin naciągnął czarny kaptur głęboko na głowę. - Użyjemy rozumu zamiast mięśni, co oznacza, że masz siedzieć cicho. Pozwól, żebym ja mówił.

- Jasne, Raist - rzekł Caramon z uśmiechem. - Jak za dawnych czasów.

- Bardziej niż ci się wydaje, mój bracie - rzekł cicho Raistlin. - Bardziej niż ci się wydaje.

Nadal szli razem; Raistlin opierał się na ramieniu brata. Weszli do gaju.

Szarzy rycerze czekali na nich. Wstając z trawy, na której siedzieli, otoczyli ich półokręgiem, który prawie natychmiast się zamknął.

Raistlin uniósł głowę, udając zdumienie. - Bądźcie pozdrowieni, bracia. Skąd przybywacie?

Wpuścił ramię brata i schował obie dłonie w rękawach czarnej szaty. Magowie czekali w napięciu. Skoro jednak Raistlin ukrył dłonie w rękawach i zwrócił się do nich per „bracia”, nieco się odprężyli.

- Bądź pozdrowiony, Czarna Szato - rzekła jedna z kobiet.

- Jestem Lilith, Pani Nocy. Co cię tu sprowadza?

- Przypuszczam, że to samo, co ciebie - odparł uprzejmie Raistlin. - Pragnę wejść do lasu Wayreth.

Szarzy rycerze wymienili nieprzychylnie spojrzenia.

Pani Nocy, która najwyraźniej była ich przywódczynią, rzekła:

- Słyszeliśmy, że Dalamar Mroczny zwołał Konklawe czarodziejów. Mieliśmy nadzieję, że weźmiemy w nim udział.

- I powinniście - powiedział Raistlin. Usłyszeliście o wielu sprawach, które by was zdumiały i otrzymałybyście na czas ostrzeżenia - gdybyście tylko zechcieli ich wysłuchać. Aczkolwiek wątpię, aby to był prawdziwy powód waszej chęci stawienia się na Konklawe. Ilu waszych braci czai się tu w ukryciu? - Rozejrzał się z ciekawością. - Dwudziestu? Stu? Sądźcie, że to dość, by zdobyć Wieżę?

- Źle nas oceniasz - oświadczyła niewzruszonym tonem Pani Nocy. - Nie stanowimy zagrożenia dla was - naszych braci.

Lilith skłoniła się. Raistlin również skłonił się w odpowiedzi. Pani Nocy wróciła do rozmowy. Przez cały czas uważnie przyglądała się Raistlinowi, chcąc ujrzeć twarz

ukrytą w cieniu kaptura.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o ostrzeżeniu w samą porę? Ostrzeżeniu przed czym?

- Przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Ostateczną zagładą. Pewną śmiercią - oznajmił chłodno Raistlin.

Pani Nocy popatrzyła na niego ze zdumieniem, a potem roześmiała się. - Śmiesz nam grozić? Władcom całego Ansalonu? To śmieszne. Powiedz o tym Dalamarowi, kiedy go spotkasz.

- To nie groźba - stwierdził Raistlin. - To pewność. I to nie Dalamar mnie wysłał. Caramonie, czemu tak stoisz i wytrzeszczasz oczy? Przyszedłeś po wodę. Idź jej zaczerpnąć.

- Caramon! - Powtórzyła Pani Nocy, odwracając się ku niemu. - Caramon Majere?

- To ja - potwierdził ponuro Caramon, spoglądając najpierw niepewnie na brata.

Widać było, że nie chce się oddalać, lecz wypełnił polecenie, starając się mimo to nie odwracać plecami do szarych rycerzy. Idąc bokiem, zszedł ze wzgórza i podszedł do strumyka, który przypominał raczej stróżkę słonawej wody. Caramon wyjął bukłak i schylił się, by go napełnić.

Już bez pomocy brata Raistlin podszedł do olbrzymiej wierzby i oparł się o nią plecami.

- Caramon Majere, tak zwany Bohater Lancy - powiedziała Pani Nocy, zwracając się do Raistlina. - Podróżujący w towarzystwie czarodzieja w czarnych szatach. To dziwne.

Raistlin wyjął dłonie z rękawów i zsunął kaptur. - Nic w tym dziwnego, że bracia podróżują razem.

Caramon, który obejrzał się na swego towarzysza, upuścił manierkę.

Raistlin nie miał już złotej cery. Skóra na jego twarzy, podobnie jak na rękach, była trupioblada. Wargi maga były sine, a klepsydrowe oczy pały z głębi zielonkawych, zapadniętych oczodołów.

Pani Nocy cofnęła się z jękiem. - Raistlin Majere! Na Chemosha! - Krzyknęła. - Ty nie żyjesz!

- Owszem - szepnął Raistlin. - Mimo to stoję przed tobą. Proszę, dotknij mnie! - Wyciągnął chudą, sinoblada rękę ku czarodziejce w szarej szacie.

- Trzymaj się z dala ode mnie! - Rozkazała, wyciągając na wierzch srebrny wisior w kształcie czaszki, który nosiła na szyi na srebrnym łańcuszku. Inni szarzy rycerze pośpiesznie wyciągali składniki zaklęć i magiczne zwoje.

- Zostawcie czary - rozkazał Raistlin z pogardą w głosie.

- Nie zamierzam was skrzywdzić. Jak już powiedziałem, przynoszę ostrzeżenie. Przysłała mnie sama wasza królowa.

- Przysłała cię Takhisis? - Spytała z niedowierzaniem Pani Nocy.

- A któżby inny? - Odparł Raistlin. - Kto inny ma moc, by przyoblec mego niespokojnego ducha w ciało? Gdybyście byli mądrzy, opuścilibyście natychmiast to miejsce i zanieśli ostrzeżenie swemu panu - Ariakanowi.

- A co mamy powiedzieć lordowi Ariakanowi? - Otrząsnąwszy się z szoku, Pani Nocy zaczynała odzyskiwać równowagę. Przyglądała się uważnie Raistlinowi.

Caramon podniósł bukłak i napełniał go jedną ręką, drugą zaś trzymał w pobliżu miecza.

- Przekaż Ariakanowi następujące słowa - rzekł Raistlin.

- Na próżno odniósł zwycięstwo. W chwili chwały znajduje się w największym niebezpieczeństwie. Uprzedź go, by nie przestawał mieć się na baczności, lecz zwiększył czujność dziesięciokrotnie. Niech spojrzy na północ, albowiem stamtąd nadciągnie zagłada.

- Skąd? Myślisz o rycerzach solamnijskich? - Parsknęła pogardliwie Lilith. - Ostatni rycerze poddali się nam i teraz siedzą zamknięci we własnych lochach! Nie sądzę, by...

- Śmiesz drwić ze słów własnej królowej? - Zasyczał Raistlin. Rozłożył ręce. Zacisnął pięści i nagle je otworzył. - Strzeż się jej mocy!

Oślepiające światło, któremu towarzyszył huk eksplozji, rozbłysło wśród szarych rycerzy, zmuszając ich do zasłonięcia oczu rękoma. Ich przywódczyni, Pani Nocy, straciła równowagę i zsunęła się ze zbocza. W gorącym, nieruchomym powietrzu zawisł obłok cuchnącego, zielonkawoczarnego dymu. Kiedy dym się przerzedził, po Raistlinie nie było śladu. Zostało jedynie wypalone miejsce na trawie.

Caramon znów wypuścił manierkę z rąk.

Lilith wstała. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej, choć starała się ukryć zdenerwowanie. Pozostali rycerze zgromadzili się wokół niej, uważając, by nie zbliżyć się do wypalonego miejsca.

- Co zrobimy, Pani Nocy? - Spytał jeden z czarodziejów.

- To wiadomość od naszej królowej! Powinniśmy ją natychmiast zanieść lordowi Ariakanowi - powiedział inny.

- Zdaję sobie z tego sprawę - warknęła Pani Nocy. - Dajcie mi pomysłu. - Zerknęła podejrzliwie na plamę wypaloną w ziemi, a potem na Caramona, który stał w strumyku i z zakłopotaniem rozglądał się na wszystkie strony. W powietrzu unosiła się woń siarki.

Pani Nocy zmarszczyła czoło. - Gdzie jest twój brat? - Spytała.

Caramon podrapał się po głowie. - Nie mam pojęcia, czcigodna pani - odparł.

Lilith przyglądała mu się długo i przenikliwie. Zwężała oczy. - Mam przecucie, że to jakaś sztuczka. Mimo to - uniosła rękę, uciszając pełne oburzenia okrzyki swych podwładnych - trzeba ostrzec lorda Ariakana, że Raistlin Majere wrócił do świata śmiertelników. Może przysłała go nasza królowa. A może, tak jak niegdyś, sam coś knuje. Tak czy inaczej, może nam przysporzyć kłopotów.

Pani Nocy zerknęła na jałowe pole w kierunku, w którym podobno znajdowała się Wieża Wayreth.

- Jeśli Raistlin Majere wyszedł wolny z Otchłani, możecie być pewni, że jego bratanek, Palin Majere, wrócił wraz z nim. Dość już tu zmarnowaliśmy czasu. Chodźmy stąd - powiedziała. Z wdziękiem zatoczyła ręką trzykrotnie koło nad głową i zniknęła.

Pozostali rycerze Ciernia szybko poszli w jej ślady. Po raz ostatni nieprzyjaźnie spojrzeli na spaloną ziemię, wymamrotali zaklęcia i poznikali jeden po drugim.

Caramon z pluskiem wyszedł ze strumyka. Nieśmiało wyciągnął ręce przed siebie i pomachał nimi w powietrzu. - Raist? - Wyszeptał, osłupiały i wystraszony. - Raist? Gdzie jesteś? Chyba nie... Nie zostawisz mnie tu... Prawda? Raist?

- Tu jestem, bracie - rozległ się głos, w którym pobrzmiwał zduszony śmiech. - Musisz mi jednak pomóc.

Wstrząśnięty Caramon uniósł głowę. Słowa te wypowiedziała wierzba.

Mężczyzna poczuł ściskanie w gardle i przełknął ślinę. - Ale, Raist...

- Wewnątrz drzewa, ty durniu! Podejdz tu!

- Wewnątrz... - Caramon prędko podszedł do drzewa od strony plamy wypalanej na ziemi. Bojaźliwie i niepewnie rozsunał długie, zwisające gałązki wierzby.

Błada i wynędzniała dłoń władczy gestem kazała mu zbliżyć się do masywnego pnia drzewa. Caramon odetchnął z ulgą.

- Raist! Żyjesz! Ale... Jak dostałeś się tam do środka? - Zdumiał się.

Raistlin prychnął pogardliwie, a potem zadowolonym z siebie tonem wyjaśnił wszystko bratu. - Na przebiegłego Hiddukela, nie powiesz mi chyba, że dałeś się nabrać na tę starą sztuczkę? Pomóż mi, proszę. Nie mogę się ruszyć. Zaczepiłem się o coś.

Caramon chwycił Raistlina za rękę i z ogromną ulgą stwierdził, że dłoń była ciepła. Potem zobaczył brata, który wyglądał z pnia wierzby.

Caramon wreszcie zrozumiał i zaczął chichotać, choć jego śmiech brzmiał trochę histerycznie.

- Przyznaję szczerze, że nieźle mnie przeraziłeś, Raist. Powinieneś być widzieć tych szarych rycerzy! Szaty większości już nie są szare. Uwaga, nie ruszaj się. Widzę, co się stało. Zaczepiłeś o coś kapturem. Nachylił się trochę do przodu. Nie mogę dosięgnąć... Jeszcze odrobinę... Już! Udało się.

Raistlin wy dostał się z dziupli. Zaczął strzepywać brud i pajęczyny, wytrząsając z włosów kawałki kory.

Caramon spojrzał na brata z dumą. - Ale im pokazałeś! Ta biała farba i cała reszta! Kiedy zdążyłeś to zrobić?

- Kiedy siedzieliśmy jeszcze na grzbiecie smoka - powiedział zadowolony z siebie Raistlin. - Pomóż mi zejść do strumyka. Muszę zmyć to paskudztwo. Zaczyna mnie swędzieć.

Obaj zeszli do potoku. Caramon wziął manierkę. Raistlin obmył twarz i rękę. Chłodna bladeść żywego trupa spłynęła z nurtem strumienia.

- Wyglądało to bardzo przekonująco. Już myślałem, że odzyskałeś magiczną moc - stwierdził Caramon.

- Chciałeś powiedzieć, że podejrzewałeś mnie o kłamstwo, że ją utraciłem - rzucił zwięźle Raistlin.

- Nie, Raist! - Zaprotestował szybko Caramon. - Naprawdę. Szczerze. Tylko... Wiesz... Mogłeś dać mi jakiś mały znak...

Raistlin uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Nie umiesz kłamać, mój drogi bracie. Jedno spojrzenie na twe uczciwe oblicze wystarczyłoby, aby Pani Nocy dowiedziała się wszystkiego. Myślę, że i tak nabrała podejrzeń.

- Dlaczego więc nie została, by zbadać sprawę?

- Bo dałem jej doskonały powód, aby mogła wycofać się, nie tracąc twarzy. Widzisz, mój bracie, czarodzieje Szarych Szat przybyli z zamiarem zaatakowania Wieży Wayreth. Wydawało im się, że wejdą do lasu niezauważeni.

Raistlin uniósł głowę i rozejrzał się uważnie. - Tak, wyczuwam czary. Użyli rozlicznych zaklęć, by znaleźć drogę. Nie udało im się. Podejrzewam, że Pani Nocy nie miała ochoty wracać do Ariakana z wieścią o niepowodzeniu. Teraz może mu zanieść inną wiadomość.

- Wiedziałeś o tym wszystkim! - Caramon był pełen podziwu. - Zanim jeszcze przyszedliśmy?

- Oczywiście, że nie - odparł jego brat, pokaszując. - Nie stój tak. Pomóż mi wejść na wzgórze. Wiedziałem, że możemy mieć w drodze kłopoty, więc się przygotowałem - to wszystko. Słuchając z ust Palina co ciekawszych legend, jakie o mnie krążą, doszedłem do wniosku, że łatwo będzie wykorzystać nadarzającą się okazję. Trochę białej farby na twarz i dłonie, trochę sadzy i przygotowanej przez Tikę pasty z orzeszków pistacjowych pod oczy, garść proszku rozbłykowego i - proszę bardzo! Oto Martwy Czarnoksiężnik z Otchłani.

- Wszystkiego mogłem się domyśleć, z wyjątkiem tego, jak zniknąłeś. Wtedy osłupiałem. - Caramon pomagał bratu wejść na niewysoki pagórek.

- Ach, to nie był przewidziany element. - Raistlin wrócił do wierzby i wskazał na dziuplę. - Nie zamierzałem tego robić. Kiedy jednak oparłem się o pień, wyczułem dużą szczelinę. Zajrzawszy do środka, odkryłem, że część drzewa spróchniała. Ślady w środku wskazywały, że miejscowe dzieci bawiły się tam w dom. Bez trudu wskoczyłem do wnętrza pod osłoną wybuchu i dymu. Niestety, wyjście okazało się trudniejszą sprawą.

- Cóż, mogę tylko powiedzieć, że... A to co, na bogów... Skąd, u licha, to się wzięło?

Caramon schylał się, by zajrzeć do dziupli. Kiedy się odwrócił, omal nie wpadł na olbrzymi dąb, którego jeszcze przed chwilą tam nie było. Spojrzał w lewo i ujrzał kolejne drzewo. Po prawej jeszcze jedno. Martwe pole, zeschnięta pszenica, nawet strumyk, wszystko znikło. Znajdował się w rozległym, ciemnym lesie.

- Spokojnie, mój bracie. Czyżby minęło tyle lat, że zapomniałeś? - Raistlin znów schował dłonie w rękawach. Las Wayreth odnalazł nas.

Drzewa się rozstały. Pojawiła się ścieżka wiodąca w głąb gęstwiny.

Caramon posępnie rozglądał się po lesie. Już kilka razy szedł tą ścieżką, która przywołała nieprzyjemne wspomnienia. - Raist, jednego nie rozumiem. Szarzy Rycerze śmiali się z twojego ostrzeżenia. Lord Ariakan postąpił tak samo. Nie będą walczyć po naszej stronie...

- Będą, mój bracie - rzekł Raistlin z westchnieniem. - Widzisz, nie ma już „stron”. Będziemy wszyscy walczyć razem. Inaczej wszyscy zginiemy.

Obaj stali przez chwilę w milczeniu. Liście na drzewach szeleściły jakby były zmartwione, niespokojne. Ptaki śpiewały przyciszonymi głosami.

- Cóż, chyba pora ruszać w drogę - stwierdził Caramon, ściskając mocno miecz w dłoni i niechętnie patrząc na zaczarowany las.

Raistlin położył dłoń na ramieniu brata. - Ja sam wejdę, Caramonie. Ty wracaj do domu.

- Mam cię zostawić? - Nie ustępował Caramon. - Nie zrobię tego...

- Mój bracie - skarcił go łagodnie Raistlin - znów popadasz w dawne przyzwyczajenia. Dziękuję, że odprowadziłeś mnie aż tutaj. Nie jesteś mi już dłużej potrzebny. Twoje miejsce... - Ścisnął go mocniej za ramię - jest przy rodzinie i mieszkańcach Solace. Musisz wrócić, przygotować ich na to, co nadchodzi.

- Nie uwierzą mi - powiedział szczerze Caramon. - Nie jestem pewien, czy sam wierzę.

- Już ty coś wymyślisz, mój bracie - stwierdził Raistlin. Kaszlnął lekko i wytarł wargi kawałkiem białego płótna. - Wierzę w ciebie.

- Naprawdę? - Caramon zaczerwienił się z zadowolenia. - Wiesz, może mógłbym ogłosić, że organizuję tajny ruch oporu. Wtedy...

- Tak, tak - przerwał Raistlin. - Tylko tymczasem nie daj się powiesić. Muszę już iść. Dość już zmarnowałem czasu. Wracaj do drogi. Smok już cię tam wypatruje i zanieś bezpiecznie do domu.

Na twarzy Caramona pojawiło się zwątpienie, lecz wiedział, że lepiej się nie sprzeczać. - Czy ty też wrócisz, Raist? - Spytał z niepokojem.

Raistlin zatrzymał się i zastanowił. - Nie mogę obiecać - rzekł, kręcąc głową.

Caramon otworzył usta, by go błagać, jednak widząc błysk w oczach brata, zrezygnował. Pokiwał głową, odkaszlnął i zarzucił plecak na ramię. - Zajmiesz się Palinem, prawda? - Mruknął.

Posępny uśmiech wygiął wąskie wargi Raistlina. - Tak, mój bracie. To ci obiecuję!

Rozdział IV

OJCIEC I CÓRKA

Ciężkie czasy nastąpiły dla cechu złodziei w Palanthas. Niektórzy jego członkowie byli z początku nawet zadowoleni ze zwycięstwa Królowej Mroku. Złodzieje ciężko pracowali, aby przyszedły czasy, kiedy w kraju wreszcie zapanują rządy nocy. Spodziewali się sowitego wynagrodzenia.

Czekał ich jednak przykry wstrząs.

Rycerze Takhisis wmaszerowali triumfalnie do Palanthas. Kopyta ich wierzchowców stuknęły metalicznie po ulicach miasta. Rycerze nieśli proporce z wizerunkami lilii i czaszki, które luźno zwisały w upalnym, nieruchomym powietrzu. Mieszkańcom miasta polecono wyjść na ulice i uczcić przybycie lorda Ariakana. Małym dzieciom wciśnięto w dłonie kwiaty i rozkazano rzucać je pod nogi jego lordowskiej mości. Maluchy były przerażone grymasem trupich czaszek na hełmach rycerzy i bały się niebieskoskórych barbarzyńców, którzy wykrzywiali dzikie twarze i wznosili mroźną krew w żyłach wojenne okrzyki. Dzieci upuściły kwiaty, krzyknęły i z płaczem uczepliły się matczynych spódnic. Rodzice czym prędzej je zabrali, żeby nie rozżółciły czarnych rycerzy.

Tak więc przybycie lorda Ariakana powitano łzami, zwiędłymi kwiatami i strachem. Jemu to nie przeszkadzało. Nie spodziewał się niczego więcej. Jeśli tu i ówdzie słyszał w tłumie wiwaty, zwracał oczy ku tej osobie i wskazywał ją swemu przybocznemu. Jedną z takich osób był Zlinczowany Geoffrey, który by uczcić ten dzień, spił się jak bela i krzyczał co sił w płucach.

Kiedy wytrzeźwiał, zaraz następnego dnia udał się z wizytą do jego lordowskiej mości. Nie wpuszczono go. Nie przejął się tym jednak i niestrudzenie wracał co dzień, aż wreszcie, po wielu tygodniach, lord wyznaczył audiencję mistrzowi cechu złodziei.

Ariakan zajął dom w śródmieściu, niedaleko siedziby władcy Palanthas, który przebywał w areszcie domowym. Mógł przywłaszczyć sobie jego pałac, lecz dowódca rycerzy Takhisis nie zamierzał zostawać długo w mieście. Jego miejsce było w Wieży

Najwyższego Klerysta, skąd poprowadzi swe wojska na podbój całego Ansalonu. Zostanie w Palanthas, do czasu, by utworzyć tymczasowy rząd i umocnić swą władzę w mieście.

Całe dni spędzał za swym ulubionym biurkiem, które ustawiono pośrodku sali jadalnej. Obłożony zewsząd papierami, układał projekty ustaw i spisywał prawa. W pobliżu stali adiutanci i służący, gotowi, by na każde jego skinienie biec na posyłki. Pochlebcy i ludzie chcący zaskarbić sobie łaskę Ariakana czekali w małej, otoczonej przez rycerzy sieni, aż jego lordowska mość zechce ich przyjąć.

Zlinczowanemu Geoffreyowi polecono czekać wraz z nimi wiele godzin, zanim zaproszono go przed oblicze lorda. Nie przeszkadzało mu to jednak; spędził ten czas pożytecznie, okradając głównego kapłana kultu Chemosha.

Wreszcie Lincz stanął przed obliczem Ariakana. Złodziej wkroczył zadziornie, łypnął chytrze okiem i powitał lorda bezczelnym stwierdzeniem: - No, najwyższy czas!

Nie postawiono mu krzesła przed jego lordowską mością, lecz Geoffrey szybko naprawił to przeoczenie i przysunął je sobie sam. Ustawił po drugiej stronie biurka Ariakana, rozsiadł się na nim wygodnie i oparł o blat swe chude nogi w wysokich butach.

Ariakan nie odezwał się ani słowem. Nie patrzył na złodzieja. Był zbyt zajęty szukaniem właściwych sformułowań dla jednego ze swych praw. Nawet nie uniósł powiek.

Ostrze halabardy spadło z hukiem na blat, roztrzaskując stół i odcinając podeszwy butów Lincza. Złodziej miał szczęście, że topór nie odrąbał mu stóp razem z butami. Geoffrey szybko zdjął nogi ze stołu. Spojrzał na zniszczone buty i zaklął głośno.

Ariakan zgiętym palcem wskazującym dał jakiś znak.

Gwardzista złapał Lincza za poznaczony szramami kark, szarpnął i postawił go na nogi, zabrał krzesło i chłodno nakazał mu przedstawić sprawę w słowach godnych stanowiska i rangi jego lordowskiej mości, a potem wracać do swoich zajęć.

Zlinczowany Geoffrey zebrał resztki swej nadszarpniętej godności. Nerwowo poruszając palcami, przypomniał z urazą lordowi Ariakanowi, że znajdują się po tej samej stronie, że on - Zlinczowany Geoffrey - jest przywódcą swych ludzi, podobnie jak Ariakan rycerzy, oraz że cech złodziei oczekuje od zakonu współpracy w pewnych planowanych przedsięwzięciach, w zamian za co rycerze mogą spodziewać się niewielkiej zapłaty.

W tym momencie Lincz podsunął Ariakanowi mieszek z pieniędzmi, lecz ku jego wielkiemu zdziwieniu, lord nie przerwał pisania, ani nawet nie podniósł głowy podczas całej recytacji złodzieja.

Skończyłoby się to może dla Lincza jedynie wyrzuceniem na zbity pysk, gdyby w tym momencie nie wbiegł zdyszany i spocony kapłan Chemosha, krzycząc, że skradziono mu sakiewkę.

Ariakan podniósł wzrok, popatrzył na mieszek i zobaczył na nim znak rogatej czaszki, która była symbolem Chemosha.

Lincz uśmiechnął się głupio i szyderczo wzruszył chudymi ramionami.

- Wszystko przecież i tak trafia do tej samej kasy, prawda, panowie? - Zaśmiał się chytrze Lincz i puścił do nich oko. - W taki sposób służę Jej Mrocznemu Majestatowi.

Ariakan uniósł głowę i spojrzał na Zlinczowanego Geoffreya po raz pierwszy - i ostatni.

- A ja w taki - oznajmił lord Ariakan. - Powiesić go.

Wyrok wykonano natychmiast na murach miasta. Egzekucja odbyła się bez przeszkód; niektórzy powiadali, że to dlatego, że Lincz miał już doświadczenie.

Wiadomość o nagłej śmierci zwierzchnika była dla gildii złodziei ciężkim ciosem. Ratusz cechu rozbrzmiewał gniewnymi okrzykami i przysięgami odpłacenia rycerzom za czyn, który w oczach złodziei był zdradą sprzymierzeńców. Większość natychmiast zmieniła strony. W ciągu dziesięciu minut Paladine zyskał więcej wyznawców niż cały wóz kapłanów zdołałby nawrócić modlitwą przez całe życie. Oczekując w każdej chwili napaści rycerzy, złodzieje szykowali się do obrony. Rozesłali gońców do członków cechu i rozkazali każdemu przybyć do siedziby gildii. Kiedy już wszyscy przyszli, przywódcy rozdali broń, usunęli koce z okien, rozmieścili straże i łuczników i czekali na atak.

Niewielu uroniło łzę nad Zlinczowanym Geoffreym. Z pewnością Usha do nich nie należała. Mistrz cechu znalazł jej mieszkanie w izbie nad karczmą, załatwił pracę kelnerki, po czym rzucił się na jej łóżko i dokładnie objaśnił, czego oczekuje w zamian za swą wielkoduszność. Rozgniewana i oburzona dziewczyna odtrąciła jego zaloty.

Ponieważ Lincz nie zaliczał się do osób, godzących się z odmową, mógłby siłą zaspokoić swe żądze, lecz wcześniej już zaplanował na ten wieczór kradzież, doszedł więc do wniosku, że nie warto marnować czasu, który musiałby poświęcić na przekonanie dziewczyny do siebie. Zostawił ją wtedy w spokoju, lecz od tamtej pory

nie przestawał jej nagabywać w odrażający sposób.

Nie trzeba było wiele czasu, by Usha odkryła ze zgrozą, że ci ludzie nie łowią ryb, lecz cudzą własność. Dowiedziała się również - z nożem na gardle - że kto raz został wtajemniczony w sekrety cechu, żywy z nimi nie wyjdzie.

- Chyba że się ulotnisz za pomocą czarów, Córko Raistlina!

Te zgryźliwe słowa rzucił Zlinczowany Geoffrey, który czuł się dotknięty stałymi odmowami Ushy. Na dźwięk tego imienia gruchnął śmiech i tak Usha została ochrzczona Córka Raistlina. Uczynił to kapłan Hiddukela, który uczcił tę ceremonię wylaniem kufła piwa na jej głowę. Od tego dnia Usha nosiła miano Córki Raistlina, przydomek, który zawsze wzbudzał śmiech albo szyderstwo.

Usha nie miała nikogo kto byłby jej przychylny i mógł pomóc. Dougan Redhammer zniknął. Miała nadzieję, że wróci, aby ją odwiedzić. Zażądałaby odpowiedzi, dlaczego oddał ją tym okropnym ludziom. Krasnolud jednakże nie wrócił. Zresztą nic dla niej nie mógłby zrobić. Złodzieje nigdy nie spuszczaali jej z oczu. Ktoś zawsze gdzieś ją obserwował.

Nawet w izbie śledziły ją natrętne oczy. Często odwiedzała ją wrona. Ptak wlatywał nieproszony przez otwarte okno nędznego pokoiku. Usha zostawiła kiedyś okno zamknięte, wybierając zaduch od wizyt czarnopiórego gościa. Wrona nie zniechęciła się tym i stukała dziobem w szybę tak długo, aż dziewczyna zmuszona była wpuścić ptaka, żeby nie narazić się na gniew gospodarza. Kiedy wrona znalazła się już w środku, skakała po pokoju, dziobiąc i podnosząc każdy drobiazg, na który się natknęła. Na szczęście Usha schowała zaczarowane przedmioty, które podarowali jej Irdowie, w słomianym materacu. Ptak nigdy ich nie znalazł, a dziewczyna w obawie przed tymi paciorkowatymi, żółtymi ślepkami nie ośmieliła się wydobyć magicznych rzeczy na światło dzienne.

Pobierała złodziejskie „lekcje” i bała się protestować. Pierwszą umiejętnością, jaką posiadała, była szlachetna sztuka kradzieży kieszonkowej. Nauczała jej obrzydliwa stara baba, która obwiesiła ubranie Ushy małymi dzwoneczkami, a następnie kazała jej wyjąć jakiś mały przedmiot - mieszek, jedwabną chusteczkę, naszyjnik albo broszkę - tak, żeby żaden z dzwoneczków nie zadzwieczał. Jeśli Ushy się nie udało, jeśli choć jeden dzwoneczek zadzwonił, starucha boleśnie smagała dziewczynę różgą gdzie popadło.

Potem Ushę uczono, jak poruszać się w ciemnym pomieszczeniu pełnym rozmaitych przedmiotów tak, by nie wpaść na żaden z nich i nie uczynić

najmniejszego hałasu. Nauczono ją, jak się skupić na celu i jak go osiągnąć, bez względu na to, co dzieje się dookoła. Nauczyła się wspinać po ścianach, wchodzić po linie i włamywać przez okna. Usha nie była zbyt pilną uczennicą do chwili, gdy pewnej nocy uświadomiła sobie, że wszystkie zdobyte umiejętności może wykorzystać do ucieczki od ludzi, którzy tę wiedzę jej wpajali.

Od tej pory złodzieje byli zadowoleni z jej postępów w nauce.

Było to prawie miesiąc temu. W dniu, w którym powieszono Zlinczowanego Geoffreya, Usha postanowiła uciec.

W siedzibie cechu wrzało, alkohol bowiem rozniecił w sercach złodziei ogień męstwa i odwagi. Rabusie gotowi byli walczyć do ostatniej kropli krwi albo krasnoludzkiego spirytusu, w zależności od tego, czego wpierw zabraknie.

Czas upływał powoli. Dzień był długi, duszny, upalny i nudny. Od nadmiaru śmiałości złodziei zaczynały boleć głowy.

Zapadła ciemna noc, która pokrzepiła ducha i dodała wigoru. Złodzieje zawsze dobrze się czuli w mroku. Szpiedzy nie mieli o czym donosić. Na ulicach wokół cechu panował spokój. Rycerze zajmowali się swoimi sprawami. Nie gromadzili się, nie zbroili. Większość złodziei była przekonana, że to tylko próba uspienia ich czujności. Przyczaili się i czekali.

Usha była wraz z pozostałymi w ratuszu cechu. Dostała broń - mały sztylet - lecz nie zamierzała go użyć. Przysłuchując się kiedyś pijackiemu bełkotowi Zlinczowanego Geoffreya, odkryła istnienie tajnego tunelu, którym można było przejść pod murem z siedziby cechu do przystani. Wyczyściła izbę, zabrała kilka drobiazgów, trochę ubrań i magiczne przedmioty Irdów. Zawinęła wszystko w węzełek i trzymała go pod stołem. Zamierzała skorzystać z zamieszania i uciec w momencie ataku rycerzy.

Kiedy już będzie daleko od tego okropnego miejsca, odnajdzie łódź i opuści to skazane na zagładę miasto. Żal jej było tylko zostawić Palina, lecz od tygodni nie miała od niego wieści i z bólem serca zaczynała podejrzewać, że nadaremnie ufała bogom. Nie ujrzy go już nigdy więcej.

W Palanthas była już prawie północ, a wojsko nie zebrało się na ulicach. Złodzieje doszli do wniosku, że rycerze mimo wszystko ich nie napadną.

- Boją się nas! - Ktoś krzyknął.

Zaczęły się przechwałki, poszły w ruch kufle piwa i szklanice krasnoludzkiej gorzałki.

W rzeczywistości rabusie nie mieli się czego obawiać, przynajmniej na razie. Lord Ariakan nie lękał się złodziejskiego cechu. Miał szczerzy zamiar oczyścić to „kłębowisko robaków”, jak oznajmił adiutantowi. Zamiar ten widniał na samym końcu jego listy. Złodzieje byli niczym innym jak tylko drobną, irytującą przeszkodą. W tak ważnym momencie, kiedy walczy o panowanie nad całym Ansalonem, nie będzie, jak stwierdził, „marnował siłę na uprzątnięcie gnojowiska”.

Złodzieje oczywiście nic o tym nie wiedzieli. Byli przekonani, że odstraszyli słynnych rycerzy Takhisis. Przez całą noc klepali się nawzajem po plecach, gratulując sobie odwagi. Tak głośno i krzykliwie świętowali, że nie usłyszeli pukania do drzwi.

Tylko Murf, krasnolud żlebowy, który z przyczyn znanych jedynie bogom mógł osuszyć całe morze wódki i nie zasnąć, usłyszał ciche skrobanie do drzwi. Myślał, że to grasujące w zaułku szczury. Zgłodniawszy po wychłęptaniu z podłogi dużej ilości rozlanego piwa, krasnolud pośpieszył złapać sobie kolację. Przez judasza w drzwiach wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył jedynie gęstą, aksamitną ciemność.

Przekonany, że to tylko noc, krasnolud żlebowy otworzył wrota.

Na progu stała postać okryta kapturem i czarną, aksamitną szatą. Stała tak nieruchomo, że goniący ochoczo za jedzeniem Murf jej nie zauważył. Krasnolud padł na kolana w poszukiwaniu zdobyczy.

Człowiek w kapturze sprawiał wrażenie obeznanego z krasnoludami żlebowymi i ich obyczajami. Czekał cierpliwie, dopóki Murf nie zajrzał mu pod rąbek czarnej szaty, sądząc, że tam skrył się szczur.

Mężczyzna nadepnął obutą stopą na dłoń krasnoluda, przyciskając ją do ziemi.

Murf zrobił to, co zrobiłby każdy krasnolud żlebowy w podobnych okolicznościach - wydał wrzask, brzmiący jak jakiś wynalazek gnomów puszczony na całą parę.

Na te niepokojące dźwięki, które słyszano chyba nawet w Solace, złodzieje porzucili kufle i chwycili za broń. Obecny przywódca, obwieś zwany Wdowcem Mike, z nie wyjaśnionych bowiem przyczyn jego żony stale umierały, podbiegł do drzwi. Sześciu dobrze umięśnionych pomocników deptało mu po piętach.

Wszyscy w siedzibie cechu umilkli, spoglądając z podejrzliwością i niepokojem na drzwi. Szpiedzy, którzy powinni byli ostrzec ich, zanim jeszcze intruz postawił nogę w zaułku, dziwnie milczeli. Wdowiec otworzył drzwi na oścież. Na ulicę padło światło pochodni i świec. Wychyliwszy się, Usha dostrzegła człowieka, który nie mógł być nikim innym, jak czarodziejem czarnych szat.

Wpadła w panikę. Dalamar ją znalazł! Chciała uciec, lecz nie mogła się ruszyć. Nogi jej tak zziębły i zdrętwiały, że nie mogła na nich ustać. Całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Mogła jedynie patrzeć.

Mężczyzna uniósł chudą, wynędzniałą dłoń i narysował w powietrzu literę.

Wdowiec mruknął coś pod nosem. Obejrzał się na kolegów.

- Zna znak - powiedział do opryszków, którzy opuścili broń, choć jej nie schowali. Kilku magów trzymało ręce w sakwach albo rozwijało pergaminy, gotowi bronić cechu, gdyby intruz nadużył ich gościnności.

Murf nadal wył, choć mag cofnął stopę.

- Zamknij mordę! - Rozkazał Wdowiec i kopnął krasnoluda.

- Też mi strażnik! - Burknął niesprawiedliwie, bowiem Murf jako jedyny zauważył obecność przybysza.

- Czego chcesz, czarodzieju? - Spytał Wdowiec. - Lepiej, żebyś miał dobre zamiary, bo mnie popamiętasz!

- Szukam kogoś - dobiegł głos z głębi kaptura. - Nie zamierzam was skrzywdzić.

Głos mężczyzny nie przypominał Dalamara, lecz był to tak cichy szept, że Usha nie mogła mieć pewności. Nie zamierzała ryzykować. Oprzytomniała i pomału zaczęła się skradać do tyłu, w stronę tylnego wyjścia i tajnego korytarza.

Jednakże nie zaszła daleko, gdy ktoś ją chwycił za ramię. Jeden ze złodziei odwrócił się i wybałuszył na Ushę przekrwione oczy.

- Nalej mi piwa!

Obawiając się, że jeśli odmówi, może zwrócić na siebie uwagę,

Usha wypełniła polecenie. Spuściwszy głowę, wzięła dzbanek i zaczęła nalewać, gdy czarodziej znów się odezwał.

- Szukam córki.

Usha zadrżała. Dzbanek z hukiem wypadł jej z rąk.

- Słyszeliście? Zginęła mu córka! - Rzekł Wdowiec, wybuchając śmiechem. - Mam go wpuścić, Sally Dale?

Obejrzał się pytająco. Wysoka kobieta w czerwonej tunice z mnóstwem woreczków u pasa pokiwała głową. Mężczyzna wszedł. Wdowiec zatrzasnął za nim drzwi i zaciągnął zasuwę.

- Zdejmij kaptur. Lubię patrzeć ludziom w oczy rzekł żartem złodziej.

Mężczyzna uniósł obie dłonie. Powoli zsunął kaptur, który okrywał jego głowę. Otworzył szeroko oczy i skierował je na Wdowca, który sprawiał teraz wrażenie osoby

żałującej swych słów.

Oblicze maga było bowiem wychudzone, obciążone skórą napiętą na wystających kościach policzkowych. Nie był jeszcze w średnim wieku, lecz włosy miał siwe. Jego cera miała złotawy odcień i błyszczała metalicznie w blasku ognia. Największy lęk budziły jego oczy, ich źrenice miały kształt klepsydr.

Wdowiec zbladł, skrzywił się i wybełkotał: - Na Hiddukela, czarodzieju, masz koszmarną twarz! Żal mi twojej córki, jeśli jest do ciebie podobna.

- Dobrze uczynisz, litując się nad każdym moim dzieckiem - rzekł cicho mag. Jego złote oczy prześlizgiwały się bez cienia ciekawości po każdym z obecnych, aż dotarły do Ushy.

- Jak ci na imię? - Spytał.

Usha nie mogła odpowiedzieć. Odebrało jej mowę. Nie mogła nawet zaczerpnąć tchu. Ogniste punkciki zatańczyły jej przed oczami.

- Ona? - Wdowiec wzruszył ramionami. - Nazywamy ją Córka Raist... Raist... - Wymówił te słowa, niemalże sycząc.

Odpowiedział mu jęk Sally Dale.

Kobieta podbiegła i chwyciła Wdowca za ramię. Ściskając go za rękę tak mocno, że omal mu jej nie urwała, prędko szepnęła mu do ucha jakieś imię.

Wdowiec spurpurowiał. Cofnął się. Złodzieje podawali sobie z ust do ust usłyszane przed chwilą imię, aż wydało się, że z tego szeptu i syczenia w gmachu gildii zaroilo się od węży. Sally Dale szturchnęła Wdowca, który przełknął ślinę i wybełkotał, wskazując na Ushę. - To jest twoja córka, mistrzu!

Bierz ją! Nie tknęliśmy jej nawet palcem. Przysięgam. Bez względu na to, co ona powie. Nie wiedzieliśmy, mistrzu. Kto by pomyślał? Nie chciałem powiedzieć... Proszę się nie obrażać...

- Precz - rozkazał Raistlin. - Wynosić się stąd. Wszyscy. Głos był cichy, a jednak dotarł do ciemnych kątów, zakradł się pod powalę i spowił salę jak gryzący dym.

Wdowiec roześmiał się niepewnie i ośmielił się zaprotestować. - Wynosić się? My? Mistrzu, to niesprawiedliwe. Dlaczego ty nie wyjdiesz? To nasza siedziba...

Raistlin zmarszczył brwi. Złote oczy zwięzły się, błysnęły. Dłoń maga zbliżyła się do woreczka, który miał u pasa.

Sally Dale potrząsnęła Wdowcem i szarpała nim tak długo, aż zagrzechotały mu kości. - Ty durniu! To Raistlin! Raistlin Majere! Czarodziej, który walczył z samą Królową Ciemności! Jeśli zechce, może posłać cały ratusz na Lunitari, a nas razem z

nim!

Wdowiec wciąż się wahał. Przyjrzał się Raistlinowi.

Arcymag zachował spokój. Wyjął woreczek z za pasa i zaczął go powoli otwierać...

Gmach opustoszał. Złodzieje rzucili się do drzwi, do okien i kryjówek we wszystkich możliwych zakamarkach.

Po chwili Raistlin i Usha zostali sami.

Dziewczyna stała przestraszona. Utkwiła przerażony wzrok w mężczyźnie, który twierdził, że jest jej ojcem.

Raistlin wyjął z mieszka garść ziół. Wziął ze stołu najczystszy kubek, jaki zdołał znaleźć, i wsypał do niego zioła.

- Przynies mi gorącej wody - rozkazał dziewczynie.

Zaskoczona poleceniem Usha zamrugnęła, lecz pośpieszyła zrobić, co jej kazano. Podbiegła do paleniska, wzięła czarny kociołek i przyniosła go do stołu. Starając się opanować drżenie dłoni, ostrożnie nalała wody do kubka.

Znad naczynia uniosła się para pachnąca miętą i trudnymi do rozpoznania innymi ziołami już nie o tak przyjemnej woni.

Raistlin spokojnie sączył napar. Usha odstawiła kociołek, przez chwilę zbierała się na odwagę, a potem wróciła i usiadła naprzeciwko maga.

Mężczyzna podniósł głowę. Zaszleściły czarne szaty, rozszedł się zapach korzeni, róż i śmierci.

Usha skuliła się i spuściła oczy. Nie mogła znieść widoku tej zimnej, metalicznej twarzy.

Chłodna dłoń dotknęła czubka jej głowy i dziewczyna wzdrygnęła się. Dotyk był łagodny, lecz palce lodowate. Nie przypominały trupich; były żywe, lecz życie to ledwo się tliło. Dawno temu - przynajmniej tak słyszała - ogień, który płonął w tym człowieku, był tak gorący, że spalał jego i wszystkich w pobliżu. Teraz płomień się wypalił, a popioły rozwiały.

Przez chwilę jego dłoń spoczywała na czubku głowy dziewczyny, wygładzając srebrzyste włosy. Potem palce zsunęły się, Raistlin wziął ją pod brodę i zmusił do spojrzenia w dziwne, zniekształcone źrenice swych złotych oczu.

- Nie jesteś moim dzieckiem - oznajmił.

Słowa były twarde jak lód. Jednak tak jak ryby żyją pod powierzchnią skutego lodem jeziora, a życie istnieje w głębi mroźnej ciemności, tak Usha usłyszała w tym

okropnym stwierdzeniu smutek i żal.

- Mogłabym być - rzekła z bólem serca.

- Mogłabyś być dzieckiem każdego mężczyzny - zauważył zgryźliwie Raistlin. Przerwał i zmierzył ją przenikliwym wzrokiem. Palce, które trzymał pod jej brodą, ziębiły. - Ty nie masz pojęcia, kto jest twoim prawdziwym ojcem, prawda? - Wyglądał na zdumionego. - Dlaczego wybrałaś mnie?

Usha przelknęła ślinę. Chciała uciec od jego dotyku, który zaczynał ją parzyć. - Kender... Opowiedział mi legendę. Myślałam... Wszyscy zdawali się darzyć cię szacunkiem... Byłam osamotniona i... - Potrząsnęła głową. - Przykro mi. Nie miałam nic złego na myśli.

Raistlin westchnął. - Mnie nie stałoby się nic złego. Mało brakowało jednak, by tobie przytrafiło się nieszczęście. Ciekaw byłem...

- Nie dokończył zdania i porzucił temat. Wypił łyk naparu.

- Nie chcieli mi nigdy powiedzieć - rzekła Usha, poczuwając się do obowiązku udzielenia dalszych wyjaśnień. - Mówili, że to nieważne.

- Mówiąc „oni”, masz na myśli Irdów?

Pokiwała głową. Mag chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz niespodziewanie dostał ataku gwałtownego kaszlu, który wstrząsnął jego wątłym ciałem i splamił wargi krwią.

- Nic ci nie jest? Zaraz coś ci przyniosę. - Usha wstała.

Raistlin chwycił ją za nadgarstek i mocno przytrzymał. Nie wypuszczał go z ręki przez cały czas, gdy kaszlał i rząził. Przy każdym spazmie jego dłoń zaciskała się boleśnie na jej ręce, lecz mimo to dziewczyna nie drgnęła ani nie próbowała mu się wyrwać. Wreszcie napad kaszlu minął. Mag odetchnął z wysiłkiem i otarł zakrwawione wargi rękawem czarnej szaty.

- Usiądź - rozkazał cicho.

Usha siadła. Mężczyzna rozluźnił uścisk. Puścił ją, lecz nadal trzymał dłoń na jej ramieniu. Nie wyrywała się. Wręcz przeciwnie, przysunęła się bliżej. Wyczuwała w jego ręce nieobecne jeszcze przed chwilą ciepło i zrozumiała, że czerpał je z niej samej, z jej młodości i wigoru.

- Jak ci na imię? - Spytał.

- Nazywają mnie Usha - odparła.

- Usha... - Powtórzył cicho. - Czy wiesz, co ono oznacza?

- Nie, skądże - powiedziała, mrużąc oczy ze zdumienia. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie przypuszczałam, że może coś znaczyć. To po prostu... Imię.

- Imię, które pochodzi z innego świata, z innych czasów. „Usha” znaczy „świt”. Ciekawe... - Raistlin zamyślił się. - Czy ten, kto ci je nadał, znał jego sens? Czy przewidział, co ma się wydarzyć? Byłoby ciekawe dowiedzieć się tego.

- Mogę być twoją córką. - Ushy nie ciekawiło jej imię. Chciała być dzieckiem tego mężczyzny, pragnęła tego teraz w równym stopniu dla niego, co dla siebie. Zaznaczał swą samotność i wyizolowanie w taki sam sposób, w jaki nosił czarne szaty - ostentacyjnie i dumnie. Niemniej jego wychudła dłoń wciąż spoczywała w pobliżu jej ręki. - Mam złote oczy, jak ty.

- Tak samo jak twoja matka - odparł.

Usha wbiła w niego wzrok. Obudziło się w niej jakieś pragnienie, rozpaczliwy głód pokarmu, jakiego brakowało jej przez całe życie. Irdowie próbowali zaspokoić ten głód lukrowanymi bułeczkami, kandyzowanymi owocami, przeróżnymi cukierkami i słodkościami. Nie rozumieli jej. Nie zdawali sobie sprawy, że potrzebuje prostej strawy, niezbędnej, by mogła rosnąć i rozwijać się.

- Ty wiesz, kim są moi rodzice! - Krzyknęła i chwyciła go za dłoń. - Ty wiesz, kim jestem! Proszę, powiedz mi. Skąd się dowiedziałeś? Pojechałeś zobaczyć się z Opim? Czy jest zdrów? Czy tęskni za mną?

- Nie odwiedziłem Irdów - orzekł Raistlin. - Nie musiałem. Kiedyś znany byłem jako Władca Teraźniejszości i Przeszłości. Dla mnie nie istnieją bariery czasu. Nurt rzeki niesie mnie wszędzie tam, gdzie chcę się znaleźć.

Zwilżył gardło łykiem herbaty. Mówił teraz głośniej.

- Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tobie i o twoich rojeniach, zlekceważyłem je. Mój brat Caramon opowiedział mi legendę o tym, jak uwiodła mnie tajemnicza kobieta, a potem odeszła, niosąc w swym łonie moje nasienie, i rzuciła na mnie czar zapomnienia. Nie uwierzyłem w to. Czyż mogą istnieć na świecie czary tak potężne, by wymazać z mojego serca świadomość tego że kiedyś byłem kochany? Tego nie potrafi nawet śmierć - dodał cicho, prawie szepcząc do siebie.

Usha milczała w nadziei i obawie.

- Tak więc niewielką uwagę przykładałem do twych twierdzeń - ciągnął Raistlin. - Caramon zapewnił mnie, że przed tobą były inne i jak zakładam, po tobie będą następne. Nie myślałem o tym wiele aż do chwili, gdy wziąłem udział w Konklawe czarodziejów w Wieży Wayreth. I znów usłyszałem twoje imię w związku z moim, lecz tym razem mówiono poważnie. Głosił je Dalamar Mroczny.

Głos Raistlina stał się nieprzyjemny. - Tak, Usho, mądrze czynisz, drżąc na

dźwięk jego imienia. Zamierzał cię wykorzystać, gdyby roszczenia okazały się prawdziwe, chciał się tobą posłużyć, by zdobyć nade mną władzę. Nie miałem wyboru. Musiałem się upewnić. Wszedłem do ciemnej rzeki Czasu; zapuściłem się na stojące wody nieruchomego stawu Irdów. Odkryłem prawdę.

Znów zakaszłał, lecz tym razem krótko.

- Nie wiem, skąd pierwotnie pochodzili twoi rodzice. Nie sięgnąłem aż tak daleko wstecz. Kiedy zobaczyłem ich po raz pierwszy, dostali się do niewoli minotaurów, którzy uczynili z nich niewolników na swym statku. Minotaurzy nie traktują dobrze swych więźniów. Pewnej nocy, twój ojciec i matka, przekonani, że śmierć nie może być gorsza od tego, co już przeszli, oddali swe życie w ręce Zeboim. Krzyknęli, by miała litość nad nimi i wskoczyli we wzburzoną morską toń.

Zeboim jest kapryśną boginią. Obraca się z dziką wściekłością przeciwko tym, którzy służą jej wiernie. Nagradza tych, którzy na pozór najmniej na to zasługują. Spodobało jej się, że tych dwoje szukało u niej ratunku i podsunęła im szczątki tratwy. Jej oddech pchnął ich ku lądowi i podejrzewam, że na tym właśnie polegała złośliwość bogini. Zaniósła ich na tajemną wyspę Irdów.

Irdowie ulitowali się nad dwojgiem ludzi, których morze wyrzuciło na brzeg bardziej martwych niż żywych. Nakarmili twych rodziców i dali im schronienie. Zatrzaszczyli się o twoją matkę, kiedy stało się jasne, że przyjdiesz na świat. Choć Irdowie nie byli brutalni ani okrutni jak minotaurzy, jednak zadawali ból w inny sposób. Nie mieli takiego zamiaru - dodał Raistlin, wzruszając ramionami. - Po prostu nie rozumieli potrzeb dwojga istot ludzkich. Kiedy twoi rodzice wyzdrowieli, chcieli odejść, wrócić do ojczyzny. Irdowie nie pozwolili. Obawiali się, że twoi rodzice ujawniliby miejsce ich pobytu reszcie świata. Uczynili z nich więźniów. Twój ojciec zbuntował się i jawnie im sprzeciwił. Raistlin nie spuszczał dziewczyny z oczu. - Irdowie zabili go.

- Nie! - Wykrzyknęła drżącym głosem wstrząśnięta Usha. - To nie może być prawda. Nie wierzę! Nigdy by czegoś takiego nie zrobili! Opi przecież nie zgniótłby nawet pająka!

- Irdowie nie mieli takiego zamiaru. Znasz ich, Usho. Nie potrafisz wyobrazić sobie, jak do tego doszło? Gniew i agresja tego mężczyzny budziły w nich złość, odrazę. Chcieli dać mu nauczkę. Jednakże ich czary okazały się zbyt potężne i posunęli się za daleko. Na nic zdały się ich zdolności uzdrawiania ani modły. Nic nie mogło wrócić mu życia.

Wkrótce po tym urodziłaś się ty. Pozostająca w nieutulonym żalu twoja matka pewnej nocy owinęła cię i położyła do kołyski. Potem weszła do morza i utopiła się. Irdowie odkryli odciski jej stóp na brzegu, lecz nigdy nie znaleźli ciała. Być może mimo wszystko Zeboim zażądała zapłaty za swą uprzednią łaskawość.

Usha siedziała ze spuszczoną głową i łzami na rzęsach.

- Mając poczucie winy, Irdowie przygarnęli cię - Raistlin dokończył opowieść. - Byli czuli i nie odmawiali niczego, z wyjątkiem wiedzy o tym, kim jesteś. Nie mogli powiedzieć ci prawdy, nie wyjawiając wszystkiego. A tego nigdy by nie zrobili.

- Rozumiem - powiedziała Usha przez łzy. - Irdowie nie chcieli mnie unieszczęśliwić.

- Nie chcieli przyznać, że źle postąpili - rzekł ostro Raistlin. - Pycha i arogancja Irdów, która w starożytności doprowadziła ich rasę do upadku, teraz może ściągnąć zagładę na nas wszystkich. Mimo to - dodał posępnie - nie powinienem być nieżyczliwy. Zapłacili już za swą głupotę...

Usha nie słuchała go. Zamyśliła się, przeszukując wspomnienia z dzieciństwa w nadziei znalezienia choćby echa, skrawka kołysanki, ostatniego, czulego spojrzenia matczynych oczu. Ledwo słysząc słowa Raistlina, podniosła głowę. - Co powiedziałaś? Obawiam się, że nie uważałam.

- Nie szkodzi. Nic ważnego. - Raistlin wstał od stołu. - Muszę już iść. Dam ci jeszcze radę, dziewczyno o pięknym imieniu Usha, które znaczy „świt”. Myślisz o ucieczce z Palanthis, by wymknąć się twym „nauczycielom”.

Usha wytrzeszczyła oczy. - Skąd...

- Nie ma potrzeby - powiedział, przerywając jej w pół zdania. - Zakończyłaś naukę. Dzisiejszej nocy możesz opuścić cech i nigdy już nie wrócić.

- Oni mi nie pozwolą - zaczęła Usha.

- Wydaje mi się, że kiedy poznają, kim jesteś, puszczą cię.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Usha uniosła oczy. - Chyba nie... Nie zamierzasz im powiedzieć...

- Nie widzę powodów, abym miał to zrobić. To sprawa między mną, tobą i być może Dalamarem, jeśli przekroczy granice. Poza tym, jest powód, dla którego chcę, żebyś została. Ktoś jest teraz w drodze do Palanthis. Przybywa, żeby cię odszukać i sądzę, że będziesz chciała być tam, gdzie można cię znaleźć. To ktoś - dodał zgryźliwie Raistlin i na jego wąskich wargach wykwitł lekki uśmiech - kogo ucieszy wieść, że nie jesteście spokrewnieni.

- Palin? - Szepnęła Usha. - Jest cały i zdrowy? Jedzie tu po mnie?

- Takie mu dałem zadanie - rzekł Raistlin. - I z ochotą się go podjął.

Usha poczuła, jak jej twarz pała, jakby napiła się spienionego wina. Rozgrzana tym ciepłem, rozkoszowała się słodkim, musującym smakiem młodzieńczej miłości i dreszczem świadomości, że jest to odwzajemnione uczucie. Bąbelki na języku jednakże szybko się ulotniły, a wino skwaśniało. Pomyślała, że będzie musiała przyznać się przed Palinem do potwornego łgarstwa.

Świadomość tego faktu podziałała jak gorzkie kropelki dolane do słodkiego napoju. Chciała poprosić Raistlina o pomoc, lecz stwierdziła, że mag zniknął.

Zaniepokojona i spłoszona Usha rozejrzała się wokół. Nie widziała, jak wychodził, jednak drzwi były otwarte. Stała na progu i wyjrzała w głąb zaułka. Jeśli jednak arcymag był tam, rozpląnął się w mroku nocy i stał się jednym z cieni.

- Raistlinie? - Odważyła się zawołać.

Nad jej głową krążyła wrona, która zakrakała szyderczo. Drżąc z chłodu, Usha weszła do środka, zabrała swoje rzeczy i wróciła do swojej izdebki.

Rozdział V

POWRÓT DO PALANTHAS. SKLEP Z MAGICZNYMI TOWARAMI. PODEJRZENIA SZAREGO RYCERZA

Czar magii pierścienia rozwiął się i Palin znalazł się na ulicy. Po krótkiej chwili oszołomienia zorientował się, że jest w Palanthas. Wieżyczki Wieży Wielkiej Magii o zakończeniach w kolorze krwistej czerwieni błyszcząco w jasnym słońcu. Stojąca w pobliżu świątynia Paladine'a znajdowała się w cieniu, a blask jej murów przygaśł, jakby zawisły nad nią chmury. Mimo to na niebie, którego olśniewający błękit raził w oczy, nie było ani jednej chmurki.

Palin rozejrzał się po okolicy, szczęśliwy, że wreszcie powrócił do swej postaci. Była to boczna uliczka, zapewne w handlowej części miasta, wzdłuż niej ciągnęły się sklepy. Nie było tu domów mieszkalnych. Jednak kilku przechodniów zaskoczyło to jego nagłe pojawienie się. Niektórzy nawet stanęli i wybałuszyli oczy. Widząc białe szaty maga, ominęli go szerokim łukiem i powrócili do własnych spraw. Palin szybko zdjął pierścień z palca, schował go do sakwy; starał się być nonszalancki.

Zdumiał go widok tak wielu osób na ulicach. Większość szła spokojnie, zachowując się, jakby to był zwyczajny dzień pracy. Palin nie bardzo wiedział, czego ma się spodziewać w mieście pod okupacją czarnych rycerzy - może ludzi pozamykanych w domach, wojsk patrolujących ulice, prowadzonych ulicami grup niewolników w kajdanach na nogach. Jednak zobaczył tylko gosposie idące na rynek z dziećmi uczeponymi spódnic i uwijających się żwawo mieszczan, którzy jak zawsze sprawiali wrażenie osób śpieszących się gdzieś na ważne spotkanie. Można było nawet zobaczyć tych samych co zawsze obiboków, leni i obwiesiów wystających pod budkami z piwem i żebraków na rogach.

Miasto tak bardzo przypominało to Palanthas, które Palin znał z minionych lat,

że młodzieniec zastanowił się, czy przypadkiem stryj się nie pomylił. Może rycerze Takhisis nie zdobyli Palanthas? Wszystko ogromnie go dziwiło. A najbardziej chyba zdumiewało go, że stoi na rogu nie znanej mu ulicy.

Spodziewał się, że pierścień zanieśie go do wieży. Czemu sprowadził go tutaj? Dalamar musiał mieć jakiś powód.

Palin przyjrzał się uważniej szyldom wiszącym nad drzwiami w nadziei, że dowie się, w jakiej części miasta się znajduje. Niemal natychmiast znalazł odpowiedź na swe pytanie. Dokładnie po drugiej stronie ulicy zobaczył sklep z magicznymi przyborami. Nad wejściem wisiał szyld z wizerunkiem trzech księżyców - srebrnego, czerwonego i czarnego.

Palin przeszedł przez ulicę, przekonany, że nawet jeśli Dalamar nie zamierzał go tu przysłać, sklep jest dobrym miejscem, by rozpocząć poszukiwania - a może też przy okazji nabyć kilka użytecznych przedmiotów magicznych.

Drzwi do sklepu z magicznymi towarami stały zachęcająco otwarte, co nie powinno nikogo dziwić w popołudnie ruchliwego dnia targowego. Zastanowiło go jednak, że nie dostrzegł przed drzwiami muskularnego strażnika, który zawsze gotów był przeganiać turystów, gapiów i kenderów ciągnących do magicznych sklepów jak muchy do miodu.

Palin wszedł do środka i przez chwilę stał na progu, czekając, aż po wyjściu z jaskrawego słońca oczy przyzwyczają się do głębokiego cienia. Znajome zapachy dodały mu otuchy i sprawiły, że poczuł się jak w domu: zmieszana ze stęchłym zapachem pleśni i starej skóry słodkawa woń suszonych kwiatów, która jednak nie likwidowała odoru śmierci i rozkładu.

Sklep był duży i najwyraźniej nieźle prosperował. Nie mniej niż sześć drewnianych gablot ze szklanymi pokrywami wypełniały pierścienie, broszki, wisiorki i kryształy, bransolety i ochraniacze nadgarstków - niektóre piękne, inne odrażające, a jeszcze inne całkiem zwyczajne. Na półkach stały słoje wypełnione mnóstwem rzeczy, poczynając od pływających w jakiejś lepkiej zawieszynie gałek ocznych traszek, do czegoś, co wyglądało jak lukrecyjne cukierki. (Palin nie słyszał jeszcze o zakłęciu, do którego potrzebne byłyby słodczyce, więc mógł tylko przypuszczać, że lukrecję trzymano tu dla łakomych czarodziejów.) Regały zapchane były rzędami ksiąg zaklęć, które poszeregowano według kolorów okładek i run wyciśniętych na ich grzbietach. Schludnie pozwijane i powiązane różnobarwnymi wstążeczkami pergaminy spoczywały w zakurzonych zakamarkach. Na stole leżały tubusy do zwojów, sakiewki

uszyte ze skóry, aksamitu lub zwykłego płótna (dla uboższych magów) oraz duży wybór małych noży.

W sklepie można było znaleźć wszystko oprócz właściciela.

Czerwona kotara oddzielała sklep od zaplecza. Sądząc, że właściciel tam przebywa, Palin zamierzał go właśnie zawołać, kiedy tuż za plecami usłyszał czyjś głos.

- Pani Jenna właśnie wyszła na chwilę, jeśli jej szukasz. Może ja mógłbym w czymś pomóc?

Obok Palina stanął mężczyzna odziany w szare szaty czarodzieja, lecz z mieczem u pasa.

To rycerz Ciernia, uświadomił sobie Palin. Musiał stać, schowany w cieniu za drzwiami.

Palin poznał imię właścicielki: pani Jenna, potężna czarodziejka czerwonych szat i z tego, co mówiono, kochanka Dalamara.

- Dziękuję, nie - odparł uprzejmie Palin. - Zaczekam na powrót pani Jenny. Muszę zadać jej pytanie dotyczące pewnego składnika czarów.

- Może ja mógłbym udzielić ci odpowiedzi - zagadnął go szary rycerz.

- Wątpię - odrzekł Palin. - Zaklęcia, które ty rzucasz, nie mają nic wspólnego z moimi. Jeśli ci to nie przeszkadza, zaczekam na panią Jennę. Nie przeszkadzaj sobie. Zapewne właśnie wychodziłeś, kiedy stanąłem w progu.

- Nie wychodziłem - powiedział szary rycerz miłym tonem; nawet sprawiał wrażenie rozbawionego. - Tu jest mój posterunek. A przy okazji, nie wydaje mi się, abyś podpisał się w księdze. Gdybyś zechciał tu podejść...

Szary rycerz zaprowadził go do małego biurka, które stało na lewo od drzwi. Leżała na nim wielka, oprawiona w skórę księga z wyrysowanymi w równych odstępach rubrykami. Palin zerknął do środka i zobaczył spis imion, a następnie zapis dokonanego zakupu lub wymiany. Podpisów nie było zbyt wiele, a ostatniego zakupu dokonano dwa dni temu.

- Podpisz tu. - Szary rycerz wskazał linię. - Potem będę musiał poprosić cię o pokazanie wszystkich czarodziejskich przedmiotów, jakie do ciebie należą. Nie martw się. Dostaniesz je z powrotem - te, które nie znajdują się na liście kontrabandy uznanej za zagrożenie dla rządu. Jeśli takie się znajdują, zostaną skonfiskowane. Zwrócimy ci jednak ich koszty.

Palin nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Zagrożenie... Skonfiskowane! Chyba... Nie mówisz tego poważnie!

- Zapewniam cię, Biała Szato, że zupełnie mi nie do śmiechu. Takie jest prawo, o czym niewątpliwie wiedziałeś, kiedy tu przyszedłeś. No już. Skoro straż przepuściła cię przez bramę frontową, nie możesz mieć przy sobie niczego zbyt potężnego.

Nie wszedłem frontową bramą, chciał powiedzieć Palin i powstrzymał się w samą porę. Mógłby walczyć, ale czym? Jego mały nożyk przeciwko mieczowi czarodzieja? A właściwie, jak to możliwe, że ci czarodzieje mogą nosić miecze? Dotychczas żadnemu magowi na Krynnie nie wolno było łączyć szermierki i magii! Królowa Ciemności rzeczywiście okazuje łaskę swym sługom!

Palin nie miał wątpliwości, że ten rycerz-czarodziej jest od niego dużo potężniejszy. Mógł jedynie iść na ustępstwa, udawać, że się na wszystko zgadza i modlić do Solinari, żeby szarego rycerza nie zaciekała nadmiernie laska Magiusa.

Opierając łaskę o kontuar, jakby nie było to nic ważnego ani wartościowego, Palin udawał, że z wielką niechęcią zdejmuje i oddaje swe sakwy i nieliczne zwoje, jakie miał przy sobie. Położył je przed szarym rycerzem, który bardzo uważał, żeby żadnego z nich nie dotknąć. Rycerz wymamrotał kilka słów i rzucił na przedmioty zaklęcie.

Wszystkie sakiewki i tubusy na zwoje zaczęły jarzyć się niesamowitym blaskiem - niektóre o czerwonym zabarwieniu.

Zadowolony, iż wszystkie mają magiczną moc, szary rycerz polecił Palinowi wyjąć na stół zawartość mieszkań i pokrowców.

Palin chwilę protestował, lecz uczynił, jak mu kazano. Na blat posypały się pierścienie, wśród nich ten, który otrzymał od Dalamara. Mag wyjął zwoje, rozwiązał wstążeczki i pozwolił szaremu rycerzowi zerknąć na zaklęcia. Wszystkie te działania wzbudzały w nim rosnący gniew i niepokój.

Co się stanie, gdy szary rycerz zainteresuje się laską Magiusa?

Palin ukradkiem rozejrzał się po sklepie, łudząc się, że znajdzie coś, co mogłoby posłużyć mu za broń. Brosze i inne zaczarowane przedmioty były zamknięte w gablotkach, których zapewne dodatkowo strzegły zaklęcia. Nie miał pojęcia o ich przeznaczeniu i równie dobrze mógł chwycić pierścień groźniejszy dla niego niż dla szarego rycerza. To samo dotyczyło zwojów i ksiąg magicznych; nie miał czasu ich kartkować.

W razie czego zawsze mogę uderzyć go w głowę słojem, pomyślał z determinacją Palin i wybrał już odpowiednie naczynie.

Rycerz stał ze spuszczoną głową, przeglądając jedną z małych ksiąg czarów Palina.

Palin zaczął podkradać się do regałów i właśnie wyciągał rękę, by chwycić słoik, gdy szary rycerz uniósł głowę.

- O, tu jesteś! Co ty tam robisz?

- Chciałem tylko sprawdzić, czy ten majeranek jest świeży - odparł Palin, zdejmując słoik z półki. Wyjął korek i powąchał. - Całkiem przyjemny zapach. Chcesz sam powąchać?

Szary rycerz zmrużył podejrzliwie oczy. - Odłóż ten słoik i wracaj. Te zatrzymuję - wskazał na spory stos zwojów, pierścieni, wśród których był podarunek Dalamara - oraz innych przedmiotów. - A to - pokazał księgę zaklęć, woreczek z piaskiem i drugi z nietoperzowym guano - możesz zabrać z powrotem.

Palin zaczerwienił się ze złości i chciał zaprotestować, lecz szary rycerz odwrócił się. Sięgnął po laskę. - A teraz, zobaczmy, co to jest.

- To zwykły kostur - Palin ledwo wykrztusił te słowa ze ściśniętego gardła. - Sam widzisz, że zajmuję niską pozycję w hierarchii. Skąd by się u mnie wzięła magiczna laska?

- Rzeczywiście, skąd? Jednak to bardzo niezwykła ozdoba dla pospolitego kija - smocza łapa ściskająca kryształ. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że przyjrzę jej się uważniej?

Szary rycerz wymówił słowa zaklęcia, które miało ujawnić czarodziejskie właściwości laski, tak jak uprzednio wykazało magiczne cechy wszystkiego, co Palin miał ze sobą.

Mag w napięciu czekał, aż zdradziecki blask spowije laskę. W chwili, gdy rycerz zamierzał jej dotknąć, Palin był gotów rzucić się na niego i powalić na ziemię.

Laska nie zareagowała.

Palin wybałuszył oczy ze zdumienia. Laska Magiusa, jeden z najpotężniejszych czarnoksięskich artefaktów na całym Krynnie, stała sobie oparta o ładę, wyglądając pospolicie i niewinnie jak byle kenderski hoopak.

Szary rycerz zmarszczył czoło. Był pewny, że laska jest magiczna, ale nie mógł przecież przyznać, że wątpi we własne czary.

Rzucił Palinowi podejrzliwe spojrzenie spode łba, przekonany, że młody mag zdołał go chyba jakoś oszukać.

Palin stał z dłońmi schowanymi w rękawy szaty. Uśmiechnął się lekceważąco. - Przecież ci mówiłem.

- Owszem - odparł szary rycerz. Spojrzał na laskę, najwyraźniej ogarnięty

pokusą ponownego rzucenia zaklęcia, lecz prawdopodobnie uświadomił sobie, że ośmieszyłby się. Udzielił tylko reprimendy. - Taka ekstrawagancka laska może cię wpędzić w kłopoty, młodzieńcze. Jeśli koniecznie już musisz bawić się w czarodzieja, zaczekaj do Nocy Oka. Przynajmniej poczęstuj cię ciastkami za twoje popisy.

Oburzony Palin czuł, jak mu twarz płonie. Nie śmiał jednak nic powiedzieć, a już z pewnością nie mógł się wyklócać. Schował dumę do kieszeni i pocieszył się myślą o tym, jaką minę będzie miał rycerz, kiedy dowie się, że wypuścił ze swych rąk słynną laskę Magiusa.

- Podpisz się tu. - Szary rycerz przysunął Palinowi książkę.

Palin wziął już pióro i zamierzał złożyć podpis, gdy dźwięk kroków, szmer szat i odurzający zapach kosztownych perfum skłonił go do odwrócenia głowy.

Do sklepu weszła kobieta - jedna z najpiękniejszych i najbardziej egzotycznych, jakie Palin widział w życiu. Ubrana była w czerwone szaty - kosztowny strój z aksamitu i jedwabiu zdobiony na brzegach złotym haftem. Zlewała się pachnidłami, by stłumić czasami niemiłą woń składników zaklęć, jakie nosiła w jedwabnych woreczkach zawieszonych na pasku z plecionej skóry i srebra. Była kusząca, potężna, tajemnicza i na jej widok nawet szary rycerz wyprostował się i skłonił.

Kobieta zatrzymała się i przyjrzała ciekawie Palinowi. - Bądź pozdrowiony, panie magu. Jestem Jenna, właścicielka tego sklepu. Przepraszam, że nie było mnie, gdy przyszedłeś. Wezwano mnie do domu lorda. Ktoś ze służby potłukł cenną wazę i poproszono mnie, żebym ją naprawiła. Zwykle odmówiłabym tak przyziemnego zadania, lecz ostatnio w mieście zostało tak niewielu czarodziejów. Czym mogę służyć?

- Pani Jenno - powiedział Palin, nie ukrywając podziwu - nazywam się Pal...

- Palas! Palas Margoye! - Jenna podbiegła do niego i chwyciła go za rękę. - Mój drogi chłopcze, powinnam była poznać cię wcześniej. Tyle jednak czasu upłynęło, tak bardzo się zmieniłeś. Kiedy to widzieliśmy się po raz ostatni? Prawie pięć lat temu. Podczas twojej próby. Przyszedłeś na lekcję pisania zwojów. Trochę za wcześnie, ale to bez znaczenia. Ostatnio interesy idą kiepsko - dodała, spoglądając chłodno na szarego rycerza. Jenna chwyciła Palina za ramię i chciała go zaprowadzić na zaplecze, do tej części sklepu, którą odgradzała zasłona.

- Nie wpisał się jeszcze do księgi, pani - rzekł szary rycerz. Jenna zatrzymała się i posłała Palinowi ostrzegawcze spojrzenie, które zmroziło mu krew w żyłach.

- Och, oczywiście, musimy wpisać się do księgi - powiedziała przekornie Jenna,

odwracając się. - Jakże inaczej rycerze Takhisis mogliby śledzić, kto mnie odwiedza i co kupuje? Ostatnio zresztą jakoś niewielu przychodzi po zakupy. Wkrótce pójdę z torbami i wtedy już nikt nie będzie musiał wpisywać się do księgi. Och, spójrz tylko! Ktoś rozsypał mi majeranek. Palasie, pomożesz mi posprzątać.

Palin posłusznie zmiótł drobinki wysuszonych liści, które rozsypał.

Jenna nachyliła się, by mu pomóc i szepnęła z bliska: - Szukają cię! Mają nakaz aresztowania!

Palinowi zadrżała ręka i o mało co znów nie wysypałby ziół. Udało mu się włożyć je ponownie do słoja. Jenna wcisnęła korek i odstawiła naczynie na półkę.

- Idź, złóż swój podpis w księdze, Palasie. Pośpiesz się. Będę w pracowni. Za tą kotarą, a potem schodami na dół.

Weszła za zasłonkę. Palin słyszał, jak schodzi. Czując zawroty głowy ze zdenerwowania, z powodu jej bliskości, albo z obu tych rzeczy naraz, koślawo wpisał do księgi fałszywe imię, kończąc podpis kleksem. Ukończywszy to zadanie pod nieufnym, podejrzliwym okiem szarego rycerza, Palin wszedł za kotarę i o mały włos nie spadłby na głowę ze schodów, które niespodziewanie pojawiły się u jego stóp.

Zaczął zasuwać za sobą kotarę.

- Nie zaciągaj jej - polecił mu szary rycerz i stanął na straży u szczytu schodów, skąd mógł widzieć laboratorium i jednocześnie mieć oko na drzwi wejściowe.

Palin usiadł obok Jenny, która wyjęła woskową tabliczkę.

- Korzyści płynące z zapisywania zaklęcia na zwoju są oczywiste - zaczęła głośnym, nauczycielskim tonem. - Nie musisz uprzednio zapamiętywać czaru, zatem możesz użyć go w dowolnej chwili. Zapisywanie pewnych czarów, szczególnie tych skomplikowanych, pozwala na pozostawienie w pamięci miejsca na wyuczenie się innych. Główną trudnością jest zapisanie zaklęcia, znacznie bardziej skomplikowane niż wypowiedzenie go. Albowiem kiedy tworzysz zwój, nie tylko musisz wymawiać słowa w trakcie pisania, lecz także idealnie kreślić litery. Niedbałość sprawi, że czar nie poskutkuje.

Oczywiście dziś nie będziemy naprawdę pisać zaklęć. Na to nie jesteś jeszcze dość zaawansowany w nauce. Dziś będziemy ćwiczyć stawianie liter. Będziemy pisać na woskowej tabliczce, abyś mógł wycierać błędy. O tak.

Biorąc rylec, Jenna przycisnęła go do wosku i zaczęła stawiać litery. Palin, który nauczył się tego dawno temu i prawdę mówiąc, całkiem nieźle znał się na tworzeniu zwojów, nie przykładał większej uwagi do lekcji. Był zły na siebie. To jasne, że rycerze

będą go szukać. Głupi był, że nie wziął pod uwagę tej możliwości.

Jenna szturchnęła go łokciem w bok. Popatrzyła na niego surowo i wskazała na tabliczkę.

- Proszę, przepisz to, co napisałam.

Palin wziął rylec, spojrział na litery, popatrzył jeszcze raz i wreszcie zrozumiał, co tu się dzieje. Jenna nie pisała magicznych znaków. Mag przeczytał: *Dalamar uprzedził, że przybędziesz. Próbowałam znaleźć Ushę. Jestem przekonana, że dziewczyna nadal jest w Palanthas, ale nie jestem pewna, gdzie. Niewiele mogę zrobić. Stale mnie obserwują.*

Widząc, że Palin przeczytał wiadomość, starła ją.

Palin napisał: *Jak ją znajdę?*

Jenna odpisała: *Nie możesz chodzić po mieście, to zbyt niebezpieczne. Rycerze trzymają nas w garści żelazną ręką. Patrole, punkty kontrolne. Wszyscy obywatele muszą mieć odpowiednie papiery. Nie wpadaj jednak w panikę. Mój wysłannik jej szuka. Donosił, że jest blisko i że z pewnością dziś będzie coś wiedział.*

- Strasznie cicho tam na dole - powiedział szary rycerz, przyglądając im się ze szczytu schodów.

- A czego się spodziewałeś? Uczymy się - odparła szorstko Jenna.

Malutki dzwoneczek, zawieszony na jedwabnej nitce pod sufitem, zadzwonił trzy razy.

Jenna nie zadała sobie trudu, żeby się odwrócić. - Czy w sklepie jest klient? Powiedz mu, że za chwilę przyjdę.

- Nie jestem twoim służącym, pani - rzucił zgryźliwie szary rycerz.

- Drzwi stoją otworem - odpowiedziała, wycierając zapis na tabliczce. - To może być mój wysłannik - szepnęła do Palina.

Usłyszeli ciężkie kroki rycerza, a potem niepokojący krzyk i odgłosy szamotaniny.

- To on - rzekła Jenna, wstała i szybko pobiegła na górę.

Palin deptał jej po piętach i wpadł na nią, kiedy zatrzymała się na szczycie schodów.

Szepnęła: - Udawaj, że go nie znasz. Nic nie mów. Mówienie zostaw mnie.

Zdumiony Palin pokiwał głową. Jenna weszła do sklepu.

- Co to jest? - Zaczekała się.

- Kender - odparł srogo szary rycerz.

- To sama widzę - odparła Jenna.

Palin wybałuszył oczy i przypomniał sobie - w samą porę - że miał nie znać tej osoby.

W rękach rycerza wił się Tasslehoff Burrfoot.

Rozdział VI

WYŚLANNIK JENNY.

GEŚ I GAŚIOR.

DOSKONAŁE PIWO IMBIROWE

Auu, to boli! Jakbyś się czuł, gdyby ktoś ścisnął cię tak mocno za ramię, że mało co nie urwałby ci go? Mówię przecież, że pani Jenna chciała się ze mną widzieć. Jestem jej wysłannikiem. Łups! Ojej. Strasznie mi przykro. Nie chciałem cię ugryźć. Twoja ręka sama jakoś znalazła się między moimi zębami. Czy to bardzo boli? Ja... Ojoj! Ojoj! Przestań! Wyrwasz mi włosy! Na pomoc! Na pomoc!

- Na miłość Gileana, puść go - powiedziała Jenna.

Rycerz trzymał Tasa za włosy.

- Nie życz sobie pani chyba kendera w sklepie, madame - oznajmił rycerz.

- To mój sklep - przynajmniej na razie - warknęła Jenna. - Dopóki nie przepędzicie mnie i nie zajmiecie mojego miejsca. Tymczasem ja tu rządę i będę prowadzić interesy według własnego uznania. Wypuść kendera!

Rycerz usłuchał z wyraźną niechęcią. - Proszę bardzo, madame, ale to pani poniesie za to odpowiedzialność.

- Na twoim miejscu poszłabym na górę do mojego mieszkania i przemyśla tę ranę - poradziła Jenna. - Lepiej byłoby, gdyby opatrzył ją któryś z waszych kapłanów. Nigdy nic nie wiadomo, może kender był wściekły.

- Nie zdziwiłbym się wcale - wycedził rycerz. - Niech pani pamięta, madame - funkcjonowanie pani sklepu zależy tylko od dobrej woli rycerzy Takhisis. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy zamknąć go w tej chwili i nikt by nas nie powstrzymał. Prawdę powiedziawszy, wielu sąsiadów podziękowałoby nam nawet. Proszę więc nie nadużywać mojej cierpliwości.

Jenna pogardliwie wzruszyła ramionami, lecz nic nie odpowiedziała.

Szary rycerz poszedł na górę, machając zranioną dłonią. Tasslehoff skrzywił się

i potarł głowę.

- Czy mam teraz skośne oczy jak Dalamar? Takie mam wrażenie. Ten rycerz ciągnął mnie za włosy tak mocno, że kąciki oczu podjechały mi do góry. To nie jest miły człowiek - oznajmił Tasslehoff, a potem nachylił do Jenny i szepnął: - Skłamałem. Ugryzłem go rozmyślnie.

- Zasługiwał na to - powiedziała z uśmiechem Jenna. - Następnym razem bądź jednak rozważniejszy. Nie mogę obronić cię przed wszystkim. Nie chciałabym znowu wykupywać cię z więzienia. Znalazłeś naszyjnik, którego szukam? - Spytała na tyle głośno, by usłyszano ją na górze.

Tas spojrział na Palina, mrugnął do niego kilka razy i odpowiedział: - Tak, pani Jenno. Znalazłem go! Wiem dobrze, gdzie jest!

- Nie dotykałeś go chyba, prawda? - Jenna była zaniepokojona. - Ani nie dałeś poznać właścicielowi, że jest cenny?

- Właściciel nawet mnie nie zobaczył. Naszyjnik też - zwierzył się jej Tas.

Jenna zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Zwróciła się ku Palinowi. - Panie magu, mam wrażenie, że dzisiejsza lekcja do niczego nie doprowadzi. Czas na popołudniową medytację. Czy zechcesz wyświadczyć mi przysługę i sprawdzisz, czy jesteś w mocy zdobyć ten naszyjnik dla mnie? Jest zaczarowany, ale jego właściciel nic o tym nie wie i nie ma pojęcia o jego prawdziwej wartości.

Palin domyślił się, że tym naszyjnikiem musi być Usha. Na myśl o ponownym ujrzaniu dziewczyny serce zaczęło mu bić szybko, krew zawrzała, a ciało przebiegł miły dreszcz. Zapomniał o niebezpieczeństwie, a wszystkie lęki i obawy zostały zepchnięte na dalszy plan.

- Będę zaszczycony, pani Jenno, jeżeli uda mi się zdobyć ten naszyjnik - z trudem wypowiedział te słowa obojętnie, bo tak naprawdę miał ochotę krzyknąć z podniecenia. - Gdzie on jest?

- Kender ci pokaże. Idź już, zanim zamknę sklep. Przewróciła oczami, pokazując na piętro.

Palin zrozumiał aluzję. Skłonił się w milczeniu.

Jenna wyciągnęła do niego rękę. - Powodzenia - rzekła cicho. Palin wziął jej dłoń i z szacunkiem podniósł do warg. - Dziękuję, pani - szepnął. Zawahał się, a potem dodał cicho: - Widziałem, jak ten rycerz patrzył na ciebie. Będąc samotna, narażasz się na niebezpieczeństwo...

Jenna wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się. - Jestem jedynym magiem, jaki

został w mieście. Konklawe uznało, że moja praca jest ważna. Nie martw się jednak, Palinie Majere, potrafię zatroszczyć się o siebie. Idź w świetle Lunitari.

- Nich Solinari obdarzy cię swą łaską, pani - odparł Palin.

- Dziękuję ci, Tas - powiedziała Jenna. Wyjęła kilka cennych drobiazgów, które przypadkiem spadły z półek i trafiły do torby Tasa, po czym odprowadziła jego i Palina do drzwi.

- Ja wcale nie znalazłem żadnego naszyjnika - powiedział kender, gdy znaleźli się na ulicy.

- Wiem - rzekł pośpiesznie Palin. - Ale nie mów o tym więcej, póki się stąd nie oddalimy. - Szedł prędko, co chwilę oglądając się za siebie, aby upewnić się, że nikt za nimi nie idzie.

- Będę milczeć jak grób. - Tas dreptał obok Palina. - Co u Caramona i Tiki? Czy smoki spaliły gospodę jak podczas ostatniej wojny? Gdzie jest Raistlin?

- Sza! - Powiedział Palin, rozglądając się z niepokojem. - Nie wspominaj...

- Mam tyle pytań do Raistlina - jak to jest być nieżywym i tak dalej - ciągnął Tas, nie słuchając go - ale Dalamar wyrzucił mnie czarami z wieży tak szybko, że nie zadałem ani jednego pytania. Raistlin zawsze świetnie umiał odpowiadać. Właściwie to prawie zawsze. Nie robił tego, ale zazwyczaj wtedy, gdy stwierdził, że zgubił to, o co go pytałem. Ja jednak prawie zawsze odnajdywałem zgubę, dlatego nie musiał być nieuprzejmy. Powiedziałaś, że gdzie Raistlin poszedł?

- Nic nie powiedziałem! - Rzucił ponuro Palin.

Dwaj idący ulicą rycerze ciemności dziwnie im się przyglądali.

- Nie wymieniaj tego imienia! Dokąd idziemy?

- Och, nie mamy szczególnego celu - odparł wymijająco Tas. Do takiej małej karczmy, którą znalazłem. Podają tam świetne piwo imbirowe.

- Co takiego? - Palin gwałtownie zatrzymał Tasa. - Nie mamy czasu na piwo imbirowe!

Dwaj rycerze zwolnili kroku, zainteresowani ich rozmową.

- To moje, ty mały złodziejaszku! - Palin złapał sakiewkę, która wystawała Tasowi z kieszeni. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że to rzeczywiście jego własność. Był to jeden z mieszkań, które skonfiskował szary rycerz.

- Musiałeś go upuścić... - Zaczął Tas.

Dwaj rycerze zaśmiali się, pokręcili głowami i ruszyli przed siebie.

Palin zaciągnął kendera w boczną uliczkę. - Nie mamy czasu, żeby włóczyć się po

knajpach! Mam znaleźć Uszę i zaprowadzić ją dziś w nocy na spotkanie z Raistlinem w wielkiej bibliotece!

- Tak zrobimy - odparł Tas. - Tylko nie powinniśmy tam iść przed zapadnięciem zmroku. Cech złodziei przywiązuje do tego wielką wagę. Znam w pobliżu miłą karczmę...

- Cech złodziei! - Wysapał Palin. - Chcesz mi powiedzieć, że Usha jest... Złodziejką?

- To smutne, prawda? - Stwierdził współczująco Tas. - Sam byłem zaszokowany, kiedy się o tym dowiedziałem. Okradanie ludzi to bardzo brzydkie przestępstwo, jak powiadała moja mama, i mnie nigdy byś nie przyłapał...

- Jesteś pewien? - Spytał nerwowo Palin. - Może się pomyliłeś.

- Opowiem ci o tym, jak się tego dowiedziałem, dobrze? Moglibyśmy pójść do tej bardzo milej karczmy...

Kolejni dwaj rycerze minęli zaułek i zatrzymali się, by do niego zajrzeć.

Uświadomiwszy sobie, że większe podejrzenia wzbudza rozmowa z kenderem w zaułku niż na otwartej przestrzeni, Palin niechętnie zgodził się pójść do karczmy. Wędrowali dalej ulicami Palanthas.

- Zobaczmy. - Tas wrócił pamięcią do przeszłości. - Pierwszej nocy po przybyciu do Palanthas, to było tej nocy, kiedy Raist... To znaczy Wiesz, Kto... Wypuścił nas z pracowni i Dalamar był tak niewiarygodnie zdumiony i niezbyt uradowany naszym widokiem, dopóki Wiesz, Kto nie porozmawiał z nim na osobności. Pamiętasz?

- Tak, pamiętam. - Palin starał się opanować swą niecierpliwość. - Opowiedz mi o Ushy.

- Właśnie. Skręć tu, w tę ulicę. Cóż, tę pierwszą noc spędziłem w więzieniu z powodu nieporozumienia, do jakiego doszło między mną a kotlarzem przez bardzo śliczny, gwizdzący czajniczek, który chciałem tylko obejrzeć, żeby zobaczyć, co się wkłada do środka, że on tak gwizdże, kiedy...

Palin zmarszczył czoło.

- ...No i spędziłem noc w więzieniu - dokończył pośpiesznie Tas. Westchnął. - Więzienie w Palanthas już nie jest takie, jak kiedyś. Teraz wszystkim rządzą rycerze Takhisis. Początkowo myślałem, że to może być ciekawe, szczególnie gdyby torturowali ludzi, wieszając ich do góry nogami za pięty i przypalając rozżarzoną żelazem. Ale nic z tego. To znaczy z tortur. Rycerze są bardzo srodzy i surowi, stale każą nam stawać w rzędzie i milczeć, siadać i milczeć, ruszać się i milczeć. Poza tym, prawie

wcale nie było tam kenderów. Ale o tym opowiem ci przy innej okazji. Oto i karczma. Z zewnątrz trochę obdrapana, a i w środku niewiele lepsza, za to mają tam całkiem dobre piwo imbirowe.

Karczma „Pod Gęsią i Gąsiorem” stała na rogu dwóch bocznych ulic, które zbiegały się w punkcie stanowiącym wierzchołek trójkąta. Karczmę zbudowano na tym właśnie czubku, dlatego gmach miał kształt kawałka ciasta. Ponieważ znajdował się w pobliżu kuźni, pokrył się warstewką sadzy. Ceglane, porośnięte bluszczem ściany były czarne i zasmolone. Ktoś spróbował umyć przedzielone kamiennymi słupkami okna, lecz jedynie rozmazał brud. Splecione szyjami gęś i gąsior, które namalowano na szyldzie, miały kiedyś białe pióra, lecz teraz wyglądały jakby wyszły ze skrzyni na węgiel.

- Tas, naprawdę nie chce mi się pić - powiedział Palin.

Dwóch klientów o dość prostackim wyglądzie wyszło właśnie z karczmy, wycierając brodate twarze wierzchami dłoni i spoglądając nieprzychylnie na maga i kendera.

- Ależ tak, chce ci się - obstawał przy swoim Tas i zanim Palin zdołał go powstrzymać, wbiegł do tawerny.

Palin westchnął z irytacją i wszedł za nim.

- Nie wpuszczamy kenderów! - Karczmarz - wyjątkowo chudy mężczyzna o bladej, niezdrowej cerze - niechętnym wzrokiem zmierzył Tasa.

- Właśnie wychodziliśmy - rzekł Palin, wyciągając rękę, by złapać kendera.

Tymczasem to Tas chwycił go za rękaw szaty. - Mają tu okropnie dobre piwo imbirowe! Wiem o tym!

Nieliczni goście tawerny zaczęli odwracać głowy w ich kierunku.

Widząc, że Tasa nie da się wyciągnąć siłą, Palin wyjął mieszek z pieniędzmi, przekonany, że lepiej będzie ulec jego kapryswi. - Daj nam stolik. Przypilnuję kendera.

Karczmarz spojrzał na pękaty trzos Palina, a potem na jego białe szaty z cienko przędzonej jagnięcej wełny. Obojętnie spojrzał na maga, a potem wzruszył ramionami.

- Zapłać z góry i siądź z tyłu - burknął karczmarz. - Dodatkowa sztuka stali za kłopot.

- Tutaj - powiedział Tas, maszerując przez karczmę i wybierając stolik przy kuchni.

Było to najgorsze miejsce w całym lokalu, lecz odpowiadało Palinowi, który mógł tu rozmawiać bez obaw, że zostanie podsłuchany. Stukot talerzy, krzyki kucharki, brzęk garnków i syk miechów, którymi podsycano ogień, zagłuszały rozmowę do tego stopnia, że Palin sam miał kłopoty, by usłyszeć to, co mówi.

- Jedzenie jest podłe, wino jeszcze gorsze - oznajmił wesoło Tas. - Dlatego rycerze Takhisis tu nie zaglądną. - Kender puścił do niego oko.

Karczmarz przyniósł kufel piwa imbirowego i szklanice wina. Tas upił łyk napoju. - Chcielibyśmy coś zjeść - powiedział do obsługującego ich mężczyzny.

- Ja nie jestem gło... - Zaczął Palin. Tas kopnął go pod stołem.

- Przynieś nam dwa talerze chleba kukurydzianego i fasolę, tylko nie żałuj do niej papryki - złożył zamówienie Tas.

- Przyślę dziewczynę - mruknął mężczyzna i wyszedł.

- Opowiedz mi o Ushy! - Rzekł Palin, nachylając się nad stołem, żeby go było słychać.

Tas dobrze się rozejrzał po karczmie, a potem sam sobie kiwnął głową i zaczął snuć opowieść.

- Na czym to ja stanąłem? Ach, tak. Na więzieniu. Widzisz, w celi spotkałem pewnego krasnoluda, który będąc złodziejem, okazał się nadzwyczaj ciekawą osobą. Powiedział, że zestaw wytrychów, który mi odebrali rycerze Takhisis, był jednym z najwspanialszych, jakie widział, i że gdybym chciał go sprzedać, on byłby zainteresowany i kupiłby go po wyjściu na wolność, czego jednakże nie spodziewa się jeszcze przez dłuższy czas, ponieważ rycerze patrzą na kradzież krzywym okiem i robią wszystko, co w ich mocy, żeby oczyścić miasto. Dlatego w więzieniu nie było kenderów.

Tu Tas westchnął i przerwał opowieść, by znów napić się piwa imbirowego i jeszcze raz rozejrzeć po karczmie. Palin kręcił się nerwowo, nie mogąc doczekać się końca opowieści - jeśli w ogóle takowy istniał.

Ocierając pianę z ust, Tas wrócił do opowieści.

- Cóż, pamiętałem, że Dalamar polecił mi pilnować Ushy, a nikt nie zna miasta tak dobrze, jak złodziej, więc spytałem tego krasnoluda, czy widział kogoś wyglądającego jak Usha i opisałem mu ją. Potwierdził i powiedział, że wygląda zupełnie jak kobieta, która właśnie wstąpiła do cechu złodziei. Była pojętną uczennicą, a właściwie byłaby nią, gdyby rycerze nie wtrącili się i wszystkiego nie popsuli.

- Nie sądzisz, że mógł się pomylić? - Spytał pełen nadziei Palin. - Może jest

jakaś inna kobieta podobna do Ushy...

Tas spojrział na niego znad krawędzi kufła z imbirowym piwem.

- Chyba nie - westchnął Palin. - To musi być ona. Wiem, gdzie jest siedziba cechu złodziei. Byłem tam ze Steelem. Ale jak podejździemy do tego gmachu? Musi być dobrze strzeżony. A my powinniśmy dostać się tam dzisiejszej nocy. Jak już mówiłem, obiecałem... Komuś... Że spotkam się z nim w wielkiej bibliotece.

- Wizyta w cechu złodziei będzie niebezpieczna - powiedział cicho Tas. - Ludzie mówią, że rycerze chcą spalić ich ratusz.

- Mówiłeś przecież... Usha! Czy ona...

- Nic jej nie jest - zapewnił go Tas. - Możesz zapytać krasnoluda. Siedzi tam przy stoliku pod oknem.

Palin odwrócił się w krześle.

Krasnolud, który ich obserwował, uniósł kufel w geście powitania. - Miło cię znów widzieć, chłopcze.

Palin uczeplił się krawędzi stołu. - Toż to... To...

- Dougan Redhammer - dokończył Tasslehoff, machając do niego ręką.

Krzykliwie odziany krasnolud wstał z trudem i przyczłapał do ich stolika. - Pozwolisz, chłopcze, że się przysiądę? - Mrugnął do niego. - Palin Majere, jeśli mnie pamięć nie myli.

Palin poczuł ściskanie w gardle. - Ja... Ja... Cię znam... Ty jesteś...

- Spokojnie, chłopcze - rzekł cicho Dougan. - Oczy przypatrują się nam, a uszy podsłuchują. Na twoim miejscu zamówiłbym coś do jedzenia. Dosyć mizernie wyglądasz.

- Już idzie kelnerka - powiedział Tas, szczerząc zęby do Dougana, który w odpowiedzi uśmiechnął się od ucha do ucha, gładząc bujną brodę.

Dziewczyna, która niosła tacę z ciężkimi kufłami, zatrzymała się w drodze do kuchni. Pasma wilgotnych od potu i pary włosów spadały jej na twarz. Miała na sobie coś, co wyglądało jak stare, niepotrzebne łachy - związaną w pasie męską koszulę z długimi rękawami i długą, bawełnianą spódnicę, której przód powiązany był w supły, żeby dziewczyna nie potykała się o rąbek podczas chodzenia. Szybko omiotła ich znudzonym spojrzeniem i znów popatrzyła na drzwi do kuchni.

- No? Czego chcecie? Tylko szybko. Muszę jeszcze pozmywać talerze.

- Usha! - Palin ledwo znalazł siły, by wstać. Odsunął się od stołu. - Usho, to ja!

Kiedy Usha usłyszała jego głos wymawiający jej imię, omal nie wypuściła kufli z

rąk.

Palin je złapał. Ich dłonie spotkały się pod ciężką tacą.

- Palinie! - Szepnęła bez tchu. - Myślałam, że nie żyjesz! Nie myślałam, że cię jeszcze zobaczę! Gdzie byłeś? Co tu robisz?

- Przyprowadził mnie Tas. To długa historia. Nie umarłem. Szukałem cię.

Dwoje młodych ludzi stało wpatrzonych w siebie, trzymając tacę z kuflami, zapomniawszy zupełnie o bożym świecie.

- Znalazłeś mnie - szepnęła Usha.

- I nigdy cię już nie opuszczę - obiecał Palin.

Dougan Redhammer pociągnął się za wąsy. Popatrzył z rozmysłem na młodego czarodzieja.

- Założysz się? - Spytał krasnolud, unosząc jedną brew.

Rozdział VII

BÓJKA.

UCIECZKA.

ZŁODZIEJSKA DROGA

Żadnych pogaduszek z klientami w godzinach pracy, dziewczyno - powiedział karczmarz, zbliżając się do nich. - Wracaj do roboty!

- Przepraszam. - Palin wziął tacę z rąk Ushy i podał ją zaskoczonemu karczmarzowi. - Ona rezygnuje.

- Co? Palinie, ja nie mogę rzucić pracy! Ja... No... - Usha przygryzła wargę, zaczerwieniła się i dokończyła niezręcznie. - Potrzebuję tej pracy.

- Potrzebuje tej pracy! - Przedrzeźniał ją karczmarz. Uśmiechając się szyderczo, rzucił z impetem tacę na stół. - Tak, potrzebuje tej pracy. Żeby mogła zauważyć, kto ma przy sobie wypchany mieszek i zawiadomić o tym swoich złodziejskich koleżków! Jak tego krasnoluda.

- Tego już za wiele! - Ryknął Dougan, zaciskając pięści. - Uważaj, kogo nazywasz złodziejem! Na brodę Reorxa, nie pozwolę na to!

Chwycił krzesło i rozbił je z trzaskiem na głowie i barkach kowala, który siedział za nim.

Pijany kowal zaryczał ze złości, wstał niepewnie i zaczął wymachiwać pięściami. Nie trafił krasnoluda, ale trafił karczmarza.

Mężczyzna przesunął się chwiejnym krokiem do tyłu, rozcierając szczękę. Tasslehoff chwycił go za troki od fartucha.

- Chuda dupa, chuda dupa! - Zaśpiewał Tas, skacząc dookoła osłupiałego karczmarza jak czubaty diabełek. - Boi się jeść żarcia, które sam ugotował! Nazywają go Wiluś Truciciel!

Kowal tymczasem zmagał się z każdym chętnym do bójki, a do tych zaliczała się przynajmniej połowa klientów. Pozostali zgromadzili się dokoła, zachęcając go

okrzykami i stawiając zakłady. Karczmarz złapał za pogrzebacz i rzucił się w pogoń za Tasem.

Dougan krzyknął do Palina i Ushy. - Zmykaj, chłopcze! Ty też, panienko. Już ja się zajmę tą drobną sprawą!

Palin przyglądał się uważnie krasnoludowi. - Miło mi cię znów widzieć, panie. Żałuję, że po raz drugi nie spotkaliśmy się w miłszych okolicznościach.

- Ja też, chłopcze. Na Reorxa, ja też. - Dougan westchnął głęboko. - Wszystko w rękach bogów...

Ktoś rozbił krasnoludowi na głowie gliniany dzbanek. Piwo spłynęło kaskadą po kapeluszu, przemoczyło zawadiacki pióropusz i całego krasnoluda.

- Dość już tego! - Wrzasnął Dougan, pieniąc się ze złości. Wskoczył na krzesło, zakasał rękawy i powalił przeciwnika jednym ciosem. - Pośpiesz się lepiej, chłopcze!

- Tędy. - Usha wyprowadziła Palina z karczmy tylnym wyjściem.

Na zewnątrz usłyszeli przenikliwe gwizdanie. W odpowiedzi rozległy się szybkie kroki i wydawane podniesionym głosem rozkazy. Dwoje młodych ludzi przyczało się w cieniu.

- Rycerze! - Oznajmił Palin, wyglądając zza węgła. - Zbliża się patrol.

- A co z Douganem? - Spytała zaniepokojona Usha. - Nie możemy go zostawić! Tasa też!

- Tu jestem! - Usłyszeli wesoły głosik.

Tasslehoff wyłonił się zza sterty kompostu. Był lekko wymięty, miał brudną twarz, przekrzywione sakiewki niechlujnie zwiślały, a kitka przesunęła się na bok głowy.

- Nic mi nie jest - oznajmił.

- Czterech rycerzy wchodzi od przodu - rzekł Palin. - Powinniśmy zniknąć, zanim pojawią się następni.

Usha została z tyłu. - Dougan! - Powtórzyła z naciskiem. - On był dla mnie naprawdę dobry...

- Och, da sobie radę - zapewnił ją Tas. - W końcu jest bogiem.

Usha wytrzeszczyła oczy. - Co?

- Chodźmy już lepiej! - Popędzał Palin, ciągnąc Uszę za rękaw.

- Jest bogiem - stwierdził od niechcienia Tas, biegnąc obok nich. - Reorxem. Widzisz, znam się na tym, bo wiele czasu spędzam w towarzystwie bogów. Przyjaźnię się z Paladine'em. Królowa Ciemności tak mnie lubiła, że chciała zatrzymać mnie przy

sobie w Otchłani. A teraz Reorx, który w rzeczywistości jest Douganem. Gawędziliśmy sobie miło, póki ktoś nie palnął go w łepetynę garnkiem gulaszu.

- Czy ty wiesz, o czym on mówi? - Usha mruknęła pod nosem do Palina.

- Później ci wyjaśnię - szepnął.

- Gdzie teraz idziemy? - Spytał rozochocony Tas.

- Do wielkiej biblioteki.

- Ach! Astinus. - Westchnął uradowany Tas. - Widzisz? Kiedy byłem w Otchłani - za drugim razem, nie za pierwszym - wreszcie domyśliłem się, skąd ja go znam. On mnie też zna.

Z karczmy dobiegały krzyki, wrzaski i brzęk stali zderzającej się z żelazem.

Przyjaciele dotarli do końca zaułka. Palin chciał już wyjść na ulicę.

Usha zatrzymała go.

- Co robisz? Nie możesz tak po prostu wyjść!

- Moja droga - powiedział Palin łagodnie, lecz stanowczo - musimy się śpieszyć. Jeśli rycerze nas zobaczą, nie będą nas podejrzewać o udział w bójce. Pomyślą sobie, że jesteśmy zwykłymi ludźmi, którzy wyszli na wieczorny spacer.

- Właśnie o to chodzi - odparła Usha. - Zwykli ludzie już nie wychodzą na wieczorne spacer. Rozejrzyj się. Widzisz kogoś na ulicy?

Zaskoczony Palin stwierdził, że Usha ma rację. Na ulicach widać było tylko rycerzy.

- Przeczytaj, co masz w dokumentach - powiedziała cicho Usha. - Czasem niektórzy ludzie otrzymują pozwolenie na przebywanie na zewnątrz po zmroku. Jeśli tak, powinieneś mieć pieczętkę w dowodzie osobistym.

Palin wytrzeszczył oczy. - W jakim dowodzie? O czym ty mówisz?

- Ja nie potrzebuję niczego dowodzić - oznajmił stanowczo Tas. - Wiem, kim jestem. Tak im powiedziałem wczoraj w więzieniu.

- Wszyscy w Palanthas muszą mieć dokumenty. - Usha uważnie na nich spojrzała. - Nawet goście. Rycerze wydają je przy bramie. Jesteście pewni, że nie dostaliście żadnych papierów? To jak dostaliście się do miasta?

- Cóż - zaczął Tas - Dalamar powiedział coś jakby *ugli bugli* i...

- Nieważne - przerwał szybko Palin. - Powiedzmy, że obaj przybyliśmy w nietypowy sposób. Żaden z nas nie ma papierów. Nic nie rozumiem. Kiedy to się zaczęło?

Drzwi karczmy otworzyły się. Rycerze wyprowadzili kilku mężczyzn - wśród nich

kowala i karczmarza, który błagał ich, by nie zamykali mu lokalu. Potem wyszło jeszcze czterech rycerzy, niosąc za ręce i nogi nieprzytomnego krasnoluda. Reszta klientów znikła w ciemności.

Tas, Palin i Usha zamarli w całkowitym bezruchu, dopóki rycerze nie odeszli. W karczmie nadal paliły się światła. Kucharka bojaźliwie podeszła do drzwi, wyjrzała na ulicę, a potem zerwała fartuch i popędziła do domu.

- Sam widzisz - powiedziała Usha. - Wszyscy są przerażeni. Kiedy rycerze objęli władzę, kazali wszystkim przyjść do pałacu władcy - teraz tam jest ich siedziba - i zarejestrować się. Trzeba było powiedzieć, gdzie mieszkasz, kim są twoi rodzice i od jak dawna mieszkasz w mieście. Jeśli ktoś powiedział coś niewłaściwego, zabierano go - nikt nie wie dokąd. Znikły wszystkie rodziny rycerzy solamnijskich. Zajęto ich domy... Cicho!

Zanurzyli się głębiej w zaułek. Z brzękiem minął ich patrol trzech rycerzy; równy krok rozbrzmiewał na bruku.

- Rycerze ogłosili godzinę policyjną - wyszeptała Usha po ich odejściu. - Wszyscy muszą być w domach przed północą. Aby pomóc wprowadzić godzinę policyjną i „ochronić dobrych obywateli przed rabusiami”, rycerze zabronili nam zapalać na ulicach latarnie.

- Latarnie - mruknął Palin. - Zastanawiałem się, co się zmieniło! Nawet w nocy w Palanthas było jasno jak w dzień!

- Teraz nikt nie wychodzi z domu. Karczmy tracą zarobek. Tylko miejscowi przychodzą się napić, a teraz pewnie i oni przestaną. Nikt nie chce wpaść na patrol.

Usha wskazała ręką ulicę, którą poszli rycerze. - Nawet jeśli idziesz w jakiejś zupełnie niewinnej sprawie, odstawiają cię do kwatery głównej rycerzy i bez końca przesłuchują. Każą ci pokazać papiery. Chcą wiedzieć, dokąd idziesz i po co. Jeśli twoje odpowiedzi zadowolą ich, a dokumenty są w porządku, odprowadzają cię pod wskazany adres. Jeśli przyłapią cię na kłamstwie, niech cię bogowie mają w swej opiece. Gdyby cię złapali, Palinie, bez dokumentów, w towarzystwie kendera... Usha wzruszyła ramionami, pokręciła głową.

- Kenderom w ogóle zabroniono wstępu do miasta - dodał Tas. - Rankiem wyrzucili mnie za bramę razem z kilkoma innymi. Oczywiście natychmiast wróciłem, ale nie poszło mi to tak łatwo, jak kiedyś. Wiele starych szczelin i dziur w murze zostało załatanych. Na szczęście kilka jeszcze przegapili.

- Nie możemy tak siedzieć tu w zaułku - szepnął Palin. - O północy muszę się

stawić w bibliotece. Będziemy musieli zaryzykować i wyjść na ulicę. Czas ucieka.

- A twój magiczny pierścień? - Spytał z zapalem Tas. - Mógłby nas tam zanieść w mgnieniu oka. Uwielbiam, kiedy rzuca się na mnie czary.

- Pierścień zaniósłby tam mnie - stwierdził Palin - ale nie ciebie ani Ushę. Chodźmy. Powinniśmy pójść teraz, póki jeszcze panuje spokój i nie wrócili rycerze.

Usha długo milczała, po czym rzekła: - Jest jeszcze jeden sposób, całkiem bezpieczny, ale chyba ci się nie spodoba.

- Czemu? - Spytał Palin, czując zimny dreszcz. - Co to jest?

Usha odrzuciła do tyłu srebrzyste włosy. - Nazywają ją „Złodziejską drogą”. Widzisz? Mówiłam, że ci się nie spodoba.

Nawet w bladym blasku Solinari Palin widział, jak na twarz Ushy zawitał smutek. Nie chciała na niego spojrzeć, wysunęła dłoń z jego uścisku.

- Usho... - Zaczął niezręcznie mag.

- Byłam głodna - dodała wyzywająco dziewczyna. - Nie miałam gdzie się podziąć, gdzie spać. Znalazł mnie pewien krasnolud, Dougan Redhammer i okazał mi wiele serca. Zaprowadził mnie do cechu złodziei. Oni nie zadawali żadnych pytań. - Usha spojrzała na Palina z wyrzutem. - Przyjęli mnie natychmiast i sprawili, że poczułam się u siebie w domu. Dali mi miejsce do spania i znaleźli pracę. Nikt inny nie zrobił dla mnie tak wiele.

Palin speszył się. Nagle poczuł się winowajcą.

- Przykro mi - zaczął tłumaczyć nieudolnie - ale...

- Ja niczego nie ukradłam! - Ciągnęła Usha, wpadając w podniecenie i mrugając zażawionymi oczami. - Niczego! Złodzieje tylko mnie uczyli. Dougan twierdził, że dobrze mi idzie. Że mam do tego prawdziwy dar.

- Rozumiem, Usho. Sza, nie mów niczego więcej. - Chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

Podniosła wzrok, spojrzała mu w oczy i wtedy na chwilę zapomniał, gdzie jest i co robi. Jego wargi dotykały jej ust, jego ramiona obejmowały ją. Ściskali się w ciemności i każde czuło się bezpiecznie w objęciach ukochanej osoby.

Palin odsunął Ushę od siebie powoli, z ociąganiem. - Nie mogę pozwolić, żeby doszło do tego między nami - rzekł stanowczo. - Jesteś córką mego stryja... Moją kuzynką!

- Palinie... - Powiedziała Usha, czując się nieswojo. - A gdybym ci powiedziała, że tak naprawdę nie jestem, no wiesz, nie jestem... - Przerwała i spróbowała raz

jeszcze. - Że nie powiedziałam ci prawdy... - Znów urwała.

- Prawdy o czym? - Uśmiechnął się do niej i próbował okazać wesołość. - O tym, że jesteś złodziejką? Ale w końcu przyznałaś się. Rozumiem cię.

- Nie, nie o to chodzi - powiedziała z westchnieniem. - Nie szkodzi. To nie ważnego.

Palin poczuł, że ktoś go szarpie za rękaw szaty.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł uprzejmie Tas - ale w tym zaułku robi się okropnie nudno, a tak przy okazji, o której mieliśmy być w bibliotece?

- Tas ma rację. Powinniśmy już iść. Pójdziemy twoją drogą.

- Chodźcie więc za mną. - Usha odwróciła się, prowadząc ich ciemną uliczką do ślepego zaułka.

Wysokie budynki przesłaniały blask księżyca. Światło z opustoszałej karczmy nie docierało do tej części zaułka. Usha potknęła się o coś w ciemności. Tas nadepnął na kota, który uciekł z przeraźliwym miauczeniem. Palin uderzył nogą o jakąś skrzynkę.

- Potrzebne nam światło - szepnęła Usha.

- Czy to bezpieczne?

Dziewczyna nerwowo obejrzała się na uliczkę. - Nie zostaniemy tu długo.

Palin powiedział cicho - *Shirak* - i laska Magiusa zaczęła rozsiewać blade, chłodne światło. Uniósł laskę wysoko, lecz nie zobaczył niczego prócz ścian, które otaczały go z trzech stron.

- Usho, jak...

- Sza! - Szepnęła dziewczyna i przyklęła. - Pomóż mi podnieść tę kratkę!

- Kanały! - Tas natychmiast stanął na czworakach. Zaczął z podnieceniem szarpać za kratkę. - Pójdziemy kanałami! Słyszałem już o kanałach w Palanthas. Podobno są bardzo ciekawe, ale nigdy jeszcze nie miałem okazji do nich zejść. Czy to nie cudowne, Palinie?

Palin mógł kilkoma słowami opisać zejście do kanałów ściekowych dużego, ludnego miasta. Nie było jednak wśród nich słowa „cudowne”. Mag przykucnął obok Ushy w chwili, gdy razem z Tasem dziewczyna zdołała odsunąć kratkę na bok.

- Może to i dobra kryjówka, ale jak dostaniemy się do biblioteki?... Uff!

Z ciemności buchnął okropny smród, tak odrażający, że wydawało się, iż przybiera kształt jakiejś istoty, która żyje własnym życiem. Palin zakrztusił się i zasłonił sobie nos dłonią. Tasslehoff, który z otwartymi ustami gapił się na dziurę, zatoczył się do tyłu, jakby ktoś uderzył go w twarz.

- Błę! Fuję! - Kender zmarszczył nos z odrazy. - To rzeczywiście jest... To jest...

- Nie do opisanía - stwierdził ponuro Palin.

- Proszę, zasłoń tym usta i nos. - Usha podała Palinowi wziętą z karczmy szmatę, która wisiała na jej pasku. - Wkrótce się przyzwyczaisz.

Szmata cuchnęła niewiele mniej niż kanał. Palin wziął ją, lecz zawahał się.

- Usho...

Dziewczyna zaczęła podkasywać spódnice, podnosząc jej rąbek i wsuwając go za pas. - Systemem kanałów możecie dojść do każdego miejsca w Palanthas, może nawet do Wieży Wielkiej Magii. Nie wiem. Droga nie będzie zbyt miła, ale...

- To dużo lepsze niż dać się złapać rycerzom ciemności - zauważył Tas, zawiązując sobie usta i nos chusteczką (jedna należała do Palina). - A wydaje mi się, że trzech właśnie zmierza w naszym kierunku.

Spłoszony Palin odwrócił się. Na końcu zaułka widać było kilka postaci w czarnych zbrojach, które błyszcząły w świetle księżyca. Mag szybko zgasił laskę. Usha, przesłoniwszy sobie usta drugą szmatą wziętą z karczmy, weszła już do studzienki i schodziła po żelaznej drabince. Tas poszedł w jej ślady. Palin poprawił szmatę na nosie i ustach. Wziął głęboki oddech i starając się nie wypuszczać powietrza z ust, przykucnął przy otworze studzienki kanałowej.

Ścisnął w dłoni laskę Magiusa. Wyszeptał magiczne słowa i chwilę potem leciał w ciemności. Stopami dotknął dna kanału mniej więcej w tej samej chwili, gdy Usha zeskoczyła z ostatniego szczebla.

Palin złapał ją i przytrzymał, żeby nie upadła w błoto. Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem. - Jak to zrobiłeś?

- Czary - odparł.

Tas grzechotał i stukał podczas schodzenia po żelaznej drabince.

- Nie sądzę, żeby rycerze weszli do zaułka, ale jeśli tak zrobią, znajdą kratę studzienki kanałowej. Będą wiedzieli, że ktoś tam wszedł - doniósł Tas.

- Musimy stąd uciekać - powiedziała Usha. - Tędy.

Trzymając Palina za rękę, pociągnęła go za sobą w mrok. Tas zeskoczył na dno, poprawił swoje sakiewki i pośpieszył za nimi.

- *Shirak* - powiedział Palin i rozejrzał się ze zdumieniem.

Nikt dokładnie nie wiedział, w jaki sposób stworzono labirynt kanałów ściekowych Palanthas. Niektórzy twierdzili, że został zaprojektowany przez pierwotnych budowniczych Starego Miasta i powstał razem z nim. Krążyły jednak inne

opowieści, utrzymujące, że kanały istnieją dłużej od Palanthas i wybudował je jako miasto naród dawno zapomnianych krasnoludów. Według niektórych wersji tych opowieści, krasnoludów wypędzili z podziemnych tuneli ludzie, którzy - zdając sobie sprawę z ogromnej wagi tego miejsca - zamierzali założyć na górze miasto.

Rzeczywiście, jak zauważył ku swemu zdumieniu Palin, system kanałów przypominał znajdujące się głęboko pod ziemią nieduże miasto. Kamienne mury podparto również kamiennymi łukami. Gładko wybrukowane podłoże było równe, a kanały proste. Na ścianach widniały nawet stare żelazne uchwyty, w których - sądząc po sadzy na kamieniach - niegdyś znajdowały się pochodnie.

Sklepienie było niskie; jedynie Tasslehoff mógł iść wyprostowany. Palin i Usha zmuszeni byli zgiąć się niemal wpół. Grunt był niepewny, a śliski i mokry bruk co jakiś czas zaścielały sterty gnijących odpadków. Spłoszone szczury uciekały im spod nóg. Wszyscy szli uważnie, nikt nie chciał się poślizgnąć i upaść. Prowadziło ich światło laski; kryształ zdawał się lśnić tym jaśniej, im głębszy otaczał ich mrok.

Tunel, do którego zeszli, biegł dokładnie pod zaułkiem. Być może nad ich głowami właśnie przechodzili rycerze. Dopóki Palin szedł prosto, miał pewne pojęcie, gdzie się znajduje w stosunku do reszty miasta. Potem jednak tunel zakręcił ostro kilka razy i zaprowadził ich do skrzyżowania z trzema innymi korytarzami, z których każdy wiódł w inną stronę. Młody mag nie wiedział, w który skręcić.

- To beznadziejne! - Rzekł Palin. Plecy bolały go od ciągłego schylania się, a smród i świadomość, skąd się on bierze, wywoływały u niego mdłości. Zawsze uważał, że powietrze w Palanthas nie jest zbyt świeże, lecz teraz oddałby wszystko, by móc nim odetchnąć. - Skąd mamy widzieć, gdzie jesteśmy?

- Słyszeliście coś? - Spytał Tas, wbijając wzrok w ciemność za nimi. - Wydawało mi się, że coś słyszałem.

- Krasnoludowie źlebowi - powiedziała Usha głosem stłumionym przez szmatę. - Poświeć tam - poleciła Palinowi, wskazując na górną część ściany jednego z krzyżujących się tuneli.

Ścianę ozdabiała dwa rodzaje znaków. Jedne wyraźnie pochodziły z zamierzchłych czasów. Litery wykonano z wielobarwnych płytek tworzących mozaikę. Wiele płytek odpadło, zostawiając ziejące dziury we wzorze, inne porosły grzybem i pleśnią. Symbole wyglądały na robotę krasnoludów.

Poniżej prastarej mozaiki widniały nowsze znaki. Zaledwie obrazki, które prymitywnie wyskrobano na ścianie jakimś ostrym narzędziem, być może ostrzem

noża. Wyglądały jak dziecinne rysunki, składające się z kwadratów i kółek z umieszczonymi poniżej strzałkami.

Usha uważnie im się przyglądała.

- Nadal twierdzą, że coś słyszałem - upierał się Tas. - Kroki... Być może też głosy.

- To myszy. Tędy - rzekła Usha i weszła do środkowego tunelu, który skręcał lekko w lewą stronę.

- Skąd wiesz? - Spytał z wahaniem Palin. Jemu również wydawało się, że coś słyszał. Obejrzał się przez ramię, wbijając wzrok w hałaśliwą ciemność.

- Ten znak. - Usha dotknęła palcem jednego z symboli na ścianie. - To wielka biblioteka.

Palin odwrócił się i wytrzeszczył oczy. On widział jedynie trójkąt z kilkoma kreskami pod spodem. Potrząsnął głową.

- To jest dach - wyjaśniła Usha, wskazując trójkąt - a te kreski to kolumny. Co z tobą? Nie ufasz mi?

Wyrwała dłoń z jego uścisku. Palin chciał ją ponownie złapać, lecz teraz Usha trzymała ręce przy sobie.

- Oczywiście, że ci ufam. Tylko... To takie dziwne - przyznał. - Kto albo co wykonało te rysunki?

Usha nie chciała odpowiedzieć.

- Założę się, że złodzieje! - Oznajmił podniecony Tas, przyjrawszy się dokładniej symbolom. - Narysowali je, żeby orientować się w kanałach. Patrzcie, to pałac władcy - ma pięć wieżyczek na dachu. Ten wielgachny, wysoki prostokąt z trójkącikiem na czubku - mogę się założyć, że to Wieża Wielkiej Magii. A ta okrągła kopuła z pięcioma takimi sterczącymi rzeczami - to świątynia Paladine'a. Ale fajna zabawa! A strzałki pokazują, w którą stronę trzeba iść. Jest ich więcej, Usho?

- Znajdziesz je na każdym skrzyżowaniu. Idziesz? - Dodała, spoglądając wyniośle na Palina. - Podobno tak ci się śpieszyło.

- Ja poprowadzę! - Oświadczył Tas. - Może znajdę więcej obrazków.

Pomknął przed siebie. Usha poprawiła szmatę na ustach i chciała już iść za nim, ale Palin złapał ją i nie chciał puścić.

Usha szarpnęła się, a potem odwróciła głowę do tyłu i spojrzała na niego szczerze, jakby znów zamierzała coś mu wyjawić, lecz czyniła to z niechęcią, bez przekonania.

- Usho - rzekł Palin - o co chodzi?

Widoczne spod szmaty oczy dziewczyny zabłyśły. Usha zdarła chustkę z twarzy.

- Palinie, ja...

- Gdzie się podziewacie?! - Krzyknął Tasslehoff, którego głos rozniósł się w tunelu niesamowitym echem. - Ja...

Echo nagle zmieniło się w przeraźliwy wrzask. - Uciekaj, Palinie! Uciekaj... Ulp!

A potem echo umilkło.

Rozdział VIII

PRZERAŻAJĄCE SPOTKANIE.

RATUNEK.

PRZYJACIELE USHY

Tas? - Zawołał Palin. Usłyszał coś przypominającego szamotaninę i głęboki męski głos ciskający przekleństwa. Palin ruszył naprzód. Coś ciemniejszego od mroku rzuciło się na niego i złapało go za gardło.

- Zatkaj mu gębę! To czarodziej! - Rozległ się tubalny głos i czyjaś twarda dłoń zasłoniła Palinowi usta.

Podczas szamotaniny mag zdołał utrzymać laskę w ręku i zgasił jej blask. Napastnicy jednak najwyraźniej mieli ze sobą jakieś źródło światła. W ciemności błysnęła żółta smuga, lecz na rozkaz mężczyzny o niskim głosie natychmiast ją zgaszono.

- Przestańcie! Wszyscy! - Zawołała Usha. - Dziewięciopalczasty Jacku, nie poznasz mnie?

Rozległ się zgrzyt żelaza i zapłonął ogarek świecy. Znow rozbłysło żółte światło, które buchnęło Ushy prosto w twarz. Niewidoczny przeciwnik mocno trzymał dziewczynę.

- Na Hiddukela, toż to dziewczyna Dougana - burknął gruby głos. - Puść ją. Co tam masz, Allenie Szramo?

- Kendera - odparł ponuro mężczyzna. - Dziabnął mnie nożem - dodał ze złością, pokazując skaleczoną dłoń.

Światło padło na rosnącego mężczyznę o twarzy zniekształconej długą blizną. Mężczyzna trzymał pod pachą wrywającego się i kopiającego Tasslehoffa. Wepchnął mu do ust chusteczkę, lecz taki knebel nie wystarczył, by powstrzymać kendera od wygłaszania swobodnych, choć trochę beładnych komentarzy na temat wyglądu napastnika, jego pochodzenia i roztaczanej przezeń woni.

Z ciemności dobiegły chichoty rozbrzmiewające echem w głębi tunelów.

- Kender! Tfu! I co jeszcze? - Dziewięciopalczasty Jack splunął w błoto. - Nie cierpię tych małych złodziejasków.

- To mój przyjaciel - zaprotestowała Usha. - Tak samo mag. Wypuść mnie, Sally Dale!

Usha zwinnie wyrwała się z rąk trzymającej ją kobiety w średnim wieku, odzianej w krótką, czerwoną tunikę narzuconą na skórzane spodnie. Spojrzała na Jacka, czekając na rozkazy.

Jack skinął głową i machnął ręką. Sally odsunęła się.

- Wypuść też moich przyjaciół - nalegała Usha.

Jack spojrzał podejrzliwie na Palina. - Wypuście tego zaklinacza. Ale zabierzcie mu laskę i sakwy. A ty, magu, trzymaj ręce na wierzchu i gęba na kłódkę. Sally Dale, nadstawiaj ucha. Jeśli choć tylko piśnie magiczne słowo, daj mu w łeb.

Kobieta bez słowa skinęła głową, nie spuszczać Palina z oczu. Siwobrody krasnolud uniósł latarnię - nazywaną ślepą, jeśli bowiem zasunęło się żelazną płytkę, światło nie wydostawało się na zewnątrz. Poświecił Palinowi prosto w oczy, niemal go oślepiając.

- Co ty tu robisz na dole, moja panno? - Zaciekawiał się Dziewięciopalczasty Jack, spoglądając nieprzychylnie na Uszę. Był to niski mężczyzna drobnej budowy ciała, zwinny i gibki, cały odziany w czarną skórę. Imię zawdzięczał brakowi serdecznego palca lewej ręki. Miał długie czarne włosy, czarną brodę i ciemną, smagłą cerę.

- Dzisiejszej nocy nie masz złodziejskiej roboty, a przynajmniej nie zgłaszałaś jej w cechu. - Ostatnie słowa zabrzmiały złowieszczo. - Chyba nie myślisz o pracy na własną rękę, moja panno?

- To nie wyprawa w „interesach”, Dziewięciopalczasty Jacku - odpowiedziała Usha, ukradkiem spoglądając na Palina i czerwieniąc się. - Mój przyjaciel czarodziej musi przed północą dotrzeć do wielkiej biblioteki. Jak widzisz, to mag Białych Szat. Nie ma papierów.

- Nie mów niczego więcej, Usho - ostrzegł Palin. - Pewno oddadzą nas w ręce czarnych rycerzy, szczególnie jeśli ci zapłacą im za fatygę!

- Nie zrobią tego, panie magu - powiedział ktoś w ciemności. W świetle stanęła kobieta. Była młoda, część twarzy przesłaniała jej chusta. Miała na sobie czarny wdowi strój i niosła na rękach niemowlę.

- Nie wydadzą was rycerzom - rzekła cicho. - Ocalili nas, mnie i moje dziecko.

Mój mąż był rycerzem solamnijskim. Zginął w Wieży Najwyższego Klerysta.

Dziecko w jej ramionach spało niespokojnie. Kobieta przytuliła je mocno do piersi. - Czarni rycerze stanęli wczoraj w moich drzwiach i powiedzieli, że bym szykowała się do wyjazdu, że jutro odeślą mnie do „miejsca przesiedlenia”. Byłam przerażona. Słyszałam o takich miejscach. Nie miałam dokąd pójść ani do kogo się zwrócić. Wtedy on przyszedł w nocy - wskazała głową na Dziewięciopalczastego - i zaproponował, że zaprowadzi mnie gdzieś, gdzie będę bezpieczna. Ja już nie dbam o nic - dodała młoda kobieta, roniąc łzy na sukienkę niemowlęcia. - Moje życie skończyło się wraz ze śmiercią męża. Ale moje dziecko...

Ukryła twarz w kocyku niemowlęcia. Sally Dale objęła młodą kobietę, pocieszając ją tak samo, jak ona pocieszała swe dziecko. Tasslehoff zaprzestał rzucania chaotycznych obelg i pociągał nosem, podobnie jak zwalisty mężczyzna, który go trzymał.

Palin zwrócił się do Dziewięciopalczastego. - To prawda? Zabieracie ją gdzieś, gdzie nic jej nie będzie groziło?

- To nie twoja sprawa, co robimy - warknął Jack. Uśmiechnął się krzywo. - Powiem ci tylko, że to będzie świetny dowcip, kiedy te diabły w czarnych zbrojach przyjdą dziś do domu tej pani i zobaczą, że ptaszek wyfrunął.

- Może źle was oceniłem - rzekł sztywno Palin. - Jeśli tak, przepraszam.

Dziewięciopalczasty wybuchnął śmiechem i nachylił się do młodzieńca. - Nie myśl o nas za dobrze, magu. Gdybym cię spotkał w zaułku, a ty miałbyś na pasku wypchaną sakiewkę, bez wahania poderzwałbym ci gardło. Nie robimy tego z miłości bliźniego. Robimy to po to, by pokrzyżować plany tym zakutym w czarne zbroje draniom, którzy zrujnowali nam życie patrolami i godzinami policyjnymi. Zamierzamy zrobić wszystko, żeby im bruździć, póki będą w naszym mieście. Tym, którzy przeżyją.

Dziewięciopalczasty puścił do niego oko, uśmiechnął się nieprzyjemnie i przesunął palcem po gardle. Potem zmierzył nieprzychylnym wzrokiem całą trójkę. - Zastanawiam się właśnie, czy nie lepiej dopilnować, żebyście nie donieśli nikomu o naszych szlakach. Dziewczyna nie powinna była sprowadzać was na dół i pokazywać naszych tajemnic.

- Cokolwiek postanowisz, zrób to szybko, Jack rzuciła zwięźle Sally Dale. - Łódź, która ma zabrać milady, podnosi żagle wraz z przyływem. Jeśli zamierzasz ich uciszyć, uwijaj się szybko i idziemy stąd.

- Pozwól nam odejść w pokoju, Jack - błagała Usha. - Ręczę za moich przyjaciół. Niczego nie powiedzą.

- Moi bracia byli rycerzami solamnijskimi - dodał Palin. - Przysięgam na ich groby, że nie zrobię niczego, co naraziłoby tę damę na niebezpieczeństwo.

Jack nadal mierzył Palina wzrokiem. - Biała Szata. Dobra, on dotrzyma słowa. To taka ich słabość. Zatem idźcie już. Tylko uważaj na symbole. Tych, którzy się tu zgubią, pożrą szczury.

Pomachał im ręką. Wielki mężczyzna z blizną upuścił Tasslehoffa twarzą w błoto. Krasnolud z latarnią poszedł pierwszy. Sally Dale pociągnęła w mrok kobietę z dzieckiem. Pozostali poszli w ich ślady i po kilku uderzeniach serca złodzieje znikli równie szybko i cicho, jak się pojawili.

Palin stał w ciemności, by uspokoić szybko bijące serce i odzyskać równowagę. Był zdezorientowany; jego uporządkowany świat został wywrócony do góry nogami. Przypomniawszy sobie słowa ojca opowiadającego o tym, jak niektórzy chwalili czarnych rycerzy za wprowadzenie ładu i porządku w niespokojnym kraju. Przypomniawszy też sobie - jak we śnie - boga Paladine'a, który z goryczą mówił o „więziennym pokoju”.

- Możemy już bezpiecznie zapalić światło - stwierdziła cicho Usha.

- *Shirak* - powiedział Palin i laska rozbłysła. Obejrzał się na Ushę, dręczony jakimś niepokojem. - Wydaje mi się, że dobrze znasz tych ludzi. A oni ciebie.

Usha pobladła i zacisnęła wargi. - Tak, znam ich. Pomogli mi. Już ci to wyjaśniałam. Czyżbym stała przed sądem?

Palin westchnął. I znów miał wrażenie, że to on jest winny. Postanowił zmienić temat. - Chciałaś mi coś wcześniej powiedzieć. Co to było?

Usha nie chciała na niego patrzeć. - To nic ważnego. - Odwróciwszy się, schyliła się, by pomóc Tasowi wstać.

- Nic ci nie jest? - Spytała troskliwie.

Kaszląc i plując, kender wstał i otarł twarz z błota.

- Słyszałaś, Usho, jak mnie nazwał ten człowiek? Mały złodziejaszek! - Tas był oburzony do żywego. - Jak on śmiał! I zabrał mi nóż. Zauważyłem tylko, że to nie był mój nóż, ale twój, Palinie. Teraz złodziej też już nie ma noża. Mam go tutaj. Zabawne, chyba musiał go upuścić...

Rozdział IX

WIELKA BIBLIOTEKA.

BERTREM JEST WSTRZAŚNIĘTY.

ASTINUS Z PALANTHAS

Jesteśmy na miejscu - oznajmiła cicho Usha. Stała przy drabinie wiodącej na górę. Światło laski padało na kratkę nad ich głowami.

- Gdzie wyjdziemy? - Spytał Palin.

- Na nieszczęście na samym środku ulicy, naprzeciwko wielkiej biblioteki - powiedziała Usha. - Nie muszę chyba dodawać, że z tego wyjścia często się nie korzysta. - Zwracała się do Palina chłodno, jakby mówiła do obcej osoby.

- Pójdę się rozejrzeć - zaproponował Tas. Zwinnie wspiął się po szczeblach, pchnął kratę i odrobinę ją uniósł. Wyjrzawszy na zewnątrz, upuścił ją z tak donośnym hukiem, że chyba można było go usłyszeć w Północnym Ergoth.

- Patrol! - Ostrzegł, zsuwając się na dół po drabinie.

- *Dulak!* - Palin zgasił poświatę laski.

Nad nimi rozległy się ciężkie kroki; jeden z rycerzy nastąpił dokładnie na kratkę. Słyszając ten budzący strach odgłos, Usha przysunęła się do Palina. Poszukała dłonią jego ręki i ich palce splotły się mocno.

Rycerze przemaszerowali obok i wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Przepraszam - szepnął mag.

- Przepraszam - zaczęła dziewczyna. Oboje umilkli i uśmiechnęli się.

- Pójdę na górę. - Tas gotów był wspiąć się po drabinie, kiedy Palin go zatrzymał.

Stając u stóp drabiny, wzniosł oczy ku metalowej kratce, która zakrywała wejście do studzienki kanalizacyjnej. Ta kratka nie była ukryta, jak tamta w zaułku. Znajdowała się na uczęszczanej ulicy w środku miasta. Trzeba będzie ją włożyć z powrotem, bo inaczej rycerze zaczną coś podejrzewać i będą przeszukiwać kanały. Nie

znajdą Palina, ale mogą natrafić na Dziewięciopalczastego Jacka i kobietę, której pomagał w ucieczce.

- Musimy się śpieszyć! - Przypomniała mu Usha. Stała bardzo blisko, przyciskając się do niego w mroku. - Patrole wykonują obchód co kwadrans.

- Próbuje - rzekł Palin, któremu trudno było myśleć logicznie, gdy Usha była tak blisko i trzymała go za rękę. Nie mógł sobie przypomnieć słów zaklęcia. - Nic z tego nie będzie. Stań tam.

Chwytnąjąc Ushę za ramiona, ustawił ją dokładnie u stóp drabiny.

- Tas, ty stój blisko Ushy. Kiedy zawołam, zacznij się wspinać.

- Co zamierzasz zrobić?! - Zawołał z podnieceniem Tas.

- Będziesz czarować! Mogę pójść z tobą i popatrzeć?

- Ty zostaniesz tutaj - powtórzył Palin, któremu coraz bardziej doskwierał brak możliwości skoncentrowania się.

Nie wiedząc, co ma zrobić z laską, niezgrabnie wspiał się po drabinie. Uniósł lekko kratkę i wyjrzał na zewnątrz.

Solinari stał wysoko na niebie; dzięki jego srebrnej poświacie na czarnym tle wszystko wyraźnie się rysowało. Na ulicy było pusto.

Zdejmując skórzaną bransoletę, którą nosił na prawym nadgarstku, mag przywołał słowa zaklęcia. Musiał dokładnie wymówić każde słowo, jednocześnie wykonując odpowiedni gest i właściwie używając składnika materialnego. Słyszał na dole szepty Tasa i Ushy, lecz starał się nie myśleć o żadnych odgłosach.

Zamknął oczy i skupił się. Nie znajdował się już w kanałach Palanthas. Nie zagrażali mu już rycerze. Nie śpieszył się. Nie znajdował się w pobliżu kobiety, dla zdobycia której oddałby życie. Otaczała go magia.

Palin uniósł skórzaną pętlę i powoli zaczął zataczać nią kółka dokładnie pod kratką. W tym samym czasie wypowiedział słowa zaklęcia, kładąc odpowiedni nacisk na każdą sylabę. Wymawiając je, czekał niecierpliwie i nerwowo na skupiającą się w jego sercu falę ciepła, która wkrótce rozejdzie się po całym ciele, a to oznaczało, że jest we władzy magii, która przez niego działa. Takie uzależniające i upajające ciepło spływało na nielicznych tylko wybrańców.

Poczuł zbliżanie się ciepła i doznał niewysłowionej rozkoszy, kipiącą w jego żyłach radość mocy. Magia skrzyła się i musowała w nim jak bąbelki w winie, wypływała na powierzchnię jego jaźni. Zaklęcie, które rzucał, było proste; mógł tego dokonać każdy mag niskiej rangi. Mimo to nawet najprostszy czar obok przyjemności,

niósł ze sobą także przykre skutki. Po wymówieniu słów bańki pryskały. Ciepło ustępowało, zostawiając po sobie zmęczenie, przygnębienie i pragnienie, by za wszelką cenę znów doświadczyć tego uczucia.

Tymczasem Palin rozkoszował się swą mocą. Wodził pętlą poniżej kraty i wypowiadał słowa. Pokrywa zaczęła się powoli wznosić w powietrze. Palin kontrolował lewitację ruchami dłoni; za każdym razem, gdy zatoczył ręką pełne koło, krata unosiła się trochę wyżej. Kiedy znalazła się na tyle wysoko, by człowiek mógł wyjść na zewnątrz, Palin zaprzestał ruchów ręką. Pokrywa zawisała nieruchomo w powietrzu.

- Tas! Usha! - Zawołał cicho. - Teraz! Szybko!

Obwieszony tańczącymi sakiewkami Tas ze stukiem wdrapywał się po drabince. Usha szła za nim. Palin wypełził przez otwór na zewnątrz, a nie było to łatwe zadanie, biorąc pod uwagę, że przez cały czas zmuszony był trzymać skórzaną pętlę pod kratką. Przykucnął na ulicy z ręką w studziencie, aż Tas nie wyszedł z kanału.

- Rozglądaj się! - Polecił Palin kenderowi, który przemknął przez ulicę i dał nura w krzaki.

Następnie wyszła Usha, bez trudu wysuwając się ze studzienki.

Tas dał jej znak ręką i dziewczyna podbiegła do niego.

Palin zaczął opuszczać rzemienną pętlę, zataczając nią powoli spiralę. Wtem usłyszał równe kroki maszerujących ludzi.

Nie odważył się przyspieszyć. Wyciągnięcie pętli w tej chwili oznaczałoby, że pokrywa spadnie na ulicę z ogłuszającym łoskotem. Kroki były jeszcze daleko, lecz nieuchronnie się zbliżały. Palin wykonywał ruchy najszybciej jak mógł, co w tej sytuacji wydawało się niesłychanie powolne. Stuk butów dobiegał z coraz mniejszej odległości.

- Palinie! - Szepnął Tas. - Słyszysz...?

- Szs! - Syknął Palin. Kratka była już prawie na swoim miejscu. Dotykała już jego dłoni.

Teraz czekało go najtrudniejsze. Kiedy wyciągnie pętlę, czar przestanie działać i pokrywa zacznie spadać. Musi złapać kratkę, przytrzymać ją i odnowić zakłęcie, wszystko w ciągu kilku krótkich sekund. Ostrożnie wysunął dłoń spod pokrywy, szybkim gestem odwrócił pętlę, skierował ją ku dołowi i zawiesił nad kratką.

Kroki słyhać już było całkiem wyraźnie, zapewne rycerze są nie dalej niż pół przecznicy. Domy wciąż przesłaniały im widok, lecz z chwilą, gdy wyjdą na ulicę naprzeciwko biblioteki, w jaskrawym świetle księżyca zobaczą ciemną sylwetkę maga.

Palin usłyszał szelest w krzakach i ostry szept Tasa: - Nie! Zaczekaj tutaj, Usho! To zbyt niebezpieczne!

Palin opuścił kratkę. Krew w nim stygła, sprawiając, że nagle poczuł się słaby, zziębnięty i pusty. Przez krótką chwilę opór wydawał się bezsensowny, był zbędnym wydatkiem energii. Dużo łatwiej było po prostu nie ruszyć się z miejsca i dać się pojmać rycerzom.

Palin był przyzwyczajony do uczuć rozpacz i o ciężłości, jakie przychodziły po rzucaniu czarów. Wiedział, że nie wolno mu się im poddawać. Rycerze byli już bardzo blisko. Mag skoczył w cień zarośli w tej samej chwili, w której rycerze wyszli zza rogu.

Ich ciemne zbroje połyskiwały w świetle księżyca. Przemaszerowali obok, milczący, sprawni. Schowani w krzakach ludzie i kender siedzieli bez ruchu, lękając się odetchnąć, by szybkie bicie ich serc nie okazało się zbyt głośne i zdradziło ich kryjówkę.

Rycerze odeszli. Ulica znów opustoszała.

Białe, marmurowe gmachy wielkiej biblioteki w Palanthas, który wyróżniał się kolumnami portyku i wąskimi, ciemnymi oknami, był jednym z najstarszych na Krynnie i wzbudzał podziw i szacunek wszystkich, którzy się do niego zbliżyli. Każdy, kto przekroczył jego progi, zaczynał mówić szeptem, nie dlatego, że nakazywano zachować ciszę, lecz dlatego, że sam szumiący w gałęziach wiatr zdawał się szeptać o zamkniętych w bibliotece sekretach wieków. Palin miał wrażenie, że gdyby tylko zatrzymał się i skupił, usłyszałby jeden z nich.

Nie miał jednak czasu na słuchanie. Nie tylko z powodu zbliżającej się pory spotkania ze stryjem, lecz z obawy nadejścia patrolu rycerzy. Nowe, olbrzymie, podwójne wrota od frontu zastąpiły drzwi zniszczone wiele lat temu podczas bitwy o Palanthas. Wykute z brązu i ozdobione wizerunkiem księgi - symbolem Gileana - zatrzaśnięte drzwi wywierały niezwykle wrażenie. Palin naparł na nie ciałem. Tak jak się spodziewał, były zaryglowane.

- Pewnie zamknięte od środka - mruknął. - Musi być jakieś wyjście...

- Co powiesz o tym, Palinie? Może to do czegoś służy.

Tasslehoff trzymał sznur, który zwisał z ciemnego wnętrza portyku.

- Tas, nie...

Cokolwiek Palin zamierzał powiedzieć, zostało to zagłuszone przez donośne bicie wielkiego spizowego dzwonu. Jego głośny dźwięk rozchodził się w nocnej ciszy i rozbrzmiewał echem na pustej ulicy.

- Łups! - Powiedział Tas i wypuścił linę.

Dzwon zaczął się kołysać i bić jak oszalały, niemal ich ogłuszając. W oknach biblioteki zapaliły się światła. Pozapalały się też w oknach domów wzdłuż całej ulicy. W ogromnych wrotach ostrożnie uchyliły się małe drzwiczki.

- Co tam? Pożar? - Spytał ktoś schrypniętym głosem. Mężczyzna z tonsurą lękliwie wyjrzał w mrok. - Gdzie się pali?

Palin złapał za sznur i uciszył bijący dzwon. - Nigdzie się nie pali, bracie. Jestem...

Oblicze starego mnicha wykrzywił dziwny grymas. Mężczyzna spojrzał na brudne i poplamione białe szaty maga, na Ushę w podkasanej sukience i zabłoconych butach i Tasslehoffa z ociekającą śluzem kitką. Mnich zatkał sobie nos dłonią.

- Biblioteka nieczynna - oznajmił głośno i zaczął już zamykać drzwi.

- Zaczekaj! - Tasslehoff zagroził mu drogę małym ciałem. - Cześć, Bertremie! Pamiętasz mnie? Jestem Tasslehoff Burrfoot. Byłem już tu kiedyś...

- Tak - rzekł lodowatym tonem Bertrem - pamiętam. Biblioteka jest ponad wszelką wątpliwość nieczynna. Proszę wrócić rano. Po wzięciu kąpieli. - Cofnął się i chciał już zatrzasać drzwi, lecz zatrzymał się i dodał prędko: - Wszyscy z wyjątkiem kendera - i wypchnąwszy Tasa na ulicę, pociągnął za drzwi.

- Proszę! Musisz wpuścić nas do środka! - Palin wsunął łaskę w drzwi, nie pozwalając im się zatrzasać. - Przepraszam za ten smród, ale byliśmy w kanałach...

- Złodzieje! - Wrzasnął Bertrem, szarpiąc za wrota i bezskutecznie usiłując je zamknąć. Podniósł głos. - Na pomoc! Pomocy! Złodzieje!

- Ktoś idzie! - Ostrzegła Usha.

- Nie jesteśmy złodziejami! - Palin był bliski rozpaczy. - Mam tu spotkać się ze stryjem. Kazał mi poczekać na niego w gabinecie Astinusa. Pozwól mi zobaczyć się z Astinusem!

Bertrem był tak wstrząśnięty, że omal nie wypuścił klamki z rąk.

- Mordercy! - Zawył. - Mordercy chcą zabić mistrza!

- Rycerze! - Syknęła Usha. - Idą w naszym kierunku!

- Bertremie! - Zawołał ktoś z wnętrza biblioteki.

Bertrem podskoczył, pobladł, obejrzał się przez ramię.

- Tak, mistrzu?

- Wpuść ich. Czekałem na nich.

- Ależ, mistrzu...

- Czy każesz mi powtarzać, Bertremie?

- Tak, mistrzu. T... To znaczy, nie, mistrzu.

Bertrem szeroko otworzył drzwi. Cofając się, zasłonił nos rękawem szaty i gestem dał znać trojgu, by weszli do środka.

Wewnątrz biblioteki panował półmrok, rozjaśniany tylko lampką oliwną, którą Bertrem postawił na stole, by uchylić drzwi. Osoby, do której mnich zwracał się „mistrzu”, nie było widać.

- Zamknij drzwi, Bertremie - polecił niewidoczny człowiek. - Kiedy rycerze przyjdą spytać, co to za zamieszanie, powiesz im, że jesteś lunatykiem i podczas swych nocnych spacerów między innymi bijesz w dzwony. Zrozumiałeś, Bertremie?

- Tak, mistrzu - pokornie odpowiedział mnich.

- Tędy - ciągnęła osoba ukryta w cieniu. - Prędko. Ja tu beczynnym stoję w przeciągu na korytarzu, a tam zachodzą niesłychane wydarzenia historyczne. Zaświeć laskę, młody magu. Twój stryj oczekuje cię.

Palin wypowiedział zaklęcie i laska oświetliła obszerną salę. Jej poświata padła na rzędy oprawionych w skórę tomów i zwojów, które porządnie i starannie ułożono na długich półkach. Regały ciągnęły się jak okiem sięgnąć i nikły w ciemności, podobnie jak zawarta w księgach historia ginęła w pomroce dziejów.

Światło padło również na autora tych ksiąg, człowieka zapisującego zwoje.

Jego oblicze nie należało ani do starca, ani do młodzieńca, ani też osoby w średnim wieku. Było gładkie, pozbawione zmarszczek i tak puste jak stronicę, na których stale i bez końca zapisywał upływ czasu na Krynnie. Na tej twarzy nie odbijało się żadne uczucie, nie mogła jej poruszyć żadna emocja. Ten człowiek widział zbyt wiele, by mógł nim wstrząsnąć jakikolwiek widok. Opisał narodziny świata. Opisał początki rodu Silvanosa, stworzenie Szarego Klejnotu, wybudowanie Thorbardinu, bohaterskie czyny Humy podczas drugiej smoczniej wojny, Bratobójczą Wojnę, utworzenie zakonu rycerzy solamnijskich i założenie Istar. Nie przestał pisać nawet podczas straszliwego Kataklyzmu, gdy wokół trzęsły się mury biblioteki. Pisał o upadku zakonu solamnijskiego, o rozpanoszeniu się fałszywych kapłanów, powrocie smoków i Wojnie Lancy.

Niektórzy powiadali, że dawno, bardzo dawno temu był mnichem, który służył Gileanowi. W czasie swej służby zaczął spisywać słynną dziś kronikę dziejów. Ponoć dzieło to wywarło na Gileanie takie wrażenie, że obdarował śmiertelnika wiecznym życiem - na tak długo, póki będzie dalej pisał.

Inni mówili, że to bóg Gilean we własnej osobie.

Ci, którzy stawali przed jego obliczem, rzadko umieli później przypomnieć sobie jego twarz, lecz nigdy nie zapominali oczu: ciemnych, rozbieganych, wszystkowidzących, bezlitosnych i pozbawionych współczucia.

- Jam jest Astinus, Dziecię Irdów - odparł, choć Usha nie zadała pytania na głos.

Oślupiała dziewczyna potrząsnęła głową. - Nie jestem...

Oczy przypatrywały jej się bez cienia litości. Usha przestała zaprzeczać. - Skąd wiedziałeś? Zauroczona i zafascynowana jego oczami, zakradła się bliżej. - Co wiesz?

- Wszystko.

- Czy znasz prawdę o mnie? - Usha zająknęła się, rzucając ukradkiem spojrzenie na Palina.

- Sama siebie o to spytaj, Dziecię Irdów - odpowiedział bezceremonialnie Astinus. - Nie pytaj mnie. To nie miejsce na rozmowy - dodał, oglądając się na drzwi. - Lada chwila będą tu rycerze. Chodźcie.

Skręcił w korytarz na prawo. Zostawili Bertrema - niezbyt zadowolonego - na straży przy drzwiach. Rozległo się głośnie bicie dzwonu. Goście przyspieszyli kroku.

- Cześć, Astinusi - powiedział Tasslehoff, który dreptał u boku kronikarza, ani trochę onieśmielony jego budzącą respekt osobą. - Pamiętasz mnie? Bo ja ciebie pamiętam. Właśnie widziałem boga Gileana w Otchłani. Czy ty rzeczywiście jesteś Gileanem? Nie przypominasz z wyglądu Gileana, ale w końcu Fizban też wcale nie wyglądał na Fizbana. To znaczy, wyglądał jak Fizban, tylko nie przypominał za bardzo Paladine'a. Dougan Redhammer był zupełnie podobny do Reorxa, ale jak zauważyłem, krasnoludowie nie grzeszą zbyt dużą wyobraźnią. Zauważyłeś to? Gdybym to ja był bogiem...

Astinus stanął jak wryty. Przez jego twarz przemknął cień emocji. - Gdyby kenderzy byli bogami, świat byłby rzeczywiście interesującym miejscem. Choć żaden z nas nie zdołałby niczego w nim znaleźć.

- Gdzie jest mój stryj? - Zaciekawiał się Palin, niecierpliwiąc się i jednocześnie bojąc jego spotkania z Uszą.

- Czeka na ciebie w moich komnatach. Nie chcesz chyba jednak powitać go w takim stanie. - Astinus obrzucił młodzieńca wymownym spojrzeniem.

Palin wzruszył ramionami. - Jestem pewien, że stryj to zrozumie. Nie mieliśmy wyboru...

Astinus zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Wskazał je. - Tam znajdziesz czyste ubranie i wodę do umycia się.

- Dzięki ci, panie, za troskliwość - zaczął Palin - ale stryj polecił mi śpieszyć się...

Mówił do pleców Astinusa. Kronikarz odwrócił się od niego. - Dla was też mam stroje - powiedział do Ushy i Tasa. - To stare ubrania, które oddajemy ubogim, lecz czyste i całe. Chodźcie ze mną.

Odchodząc, Astinus rzucił przez ramię: - Wrócę za kilka chwil, Palinie Majere. Kiedy się przydziejesz, zaprowadzę cię do twego stryja. Pójdź, Dziecię Irdów. Ty także, panie Burrfoot.

- Słyszałaś, jak się do mnie zwrócił? - Dumnie powiedział Tas do Ushy, kiedy oboje szli za Astinusem. - Panie Burrfoot.

Palin pomyślał, że Astinus istotnie miał rację. Raistlin nie będzie chciał się widzieć z bratankiem, który cuchnie, jakby ucztował z krasnoludami żlebowymi.

Młody czarodziej otworzył drzwi i wszedł do pokoju - niewielkiej celi, podobnej do tych, jakie zamieszkiwali Estetycy, mnisi, którzy poświęcali swe życie bibliotece i jej panu. Skąpo umeblowana izdebka mieściła łóżko i umywalkę, na której stał dzban z wodą, miednica i zapalona świeca. Drugi koniec łóżka nikał w ciemności, lecz wyrzucenie na nim było prawdopodobnie złożonym ubraniem.

Palin ledwo rzucił okiem na świeżą odzież. Podeszedł do misy, nie mogąc już się doczekać, kiedy zrzuci brudne ubranie i zmyje z siebie to błocko i smród, które zaczynało przyprawiać go o mdłości.

Po dokonaniu ablucji poczuł się dużo lepiej. Cisnął w kąt kłęb brudnych szat i sięgnął po świeże ubranie.

Młodzieniec znieruchomiał, wybałuszył oczy i wciągnął powietrze do płuc. Chwycił szaty i przysunął je do światła, by przekonać się, czy go wzrok nie myli.

Nie mylił. To nie żadna pomyłka, przynajmniej nie jego oczu.

Szaty, które dał mu Astinus, były czarne.

Rozdział X

WYBÓR

W pierwszej chwili Palin pomyślał, że Astinus sobie z niego żartuje. Przypomniawszy sobie jego pozbawione wyrazu oczy, młodzieniec jednak odrzucił tę myśl. Czarna tkanina była miękka w dotyku i dziwnie ciepła. Nagle przypomniał sobie słowa, które skierował do Raistlina w Wieży Wielkiej Magii.

Wiem, że praca będzie trudna i zmusząca, lecz zrobię wszystko - poświęcę wszystko, by zdobyć więcej mocy.

Czyżby to była odpowiedź? Czy to właśnie było poświęcenie, jakiego oczekiwał od niego stryj?

Rozległo się pukanie. Zanim Palin zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szeroko. W progu stanął Astinus. W objęciach trzymał wielką księgę, a w ręku pióro.

- No, na co się oglądasz? Nakładaj je - rozkazał.

- Nie rozumiem, panie - rzekł Palin. - Co to znaczy?

- Co znaczy? A jak myślisz, co to może znaczyć? Już podjąłeś decyzję. Włóż te szaty.

- Decyzję? Jaką decyzję? Nigdy nie miałem takich zamiarów. Nie chcę wstępować do bractwa Czarnych Szat. Nie pragnę używać czarów dla zysku ani by krzywdzić innych czy zmuszać ich do wykonywania mojej woli...

- Czyżby? - Astinus zachował spokój. - Myślałem, że pozwolenie, by ktoś inny zginął za ciebie, jest decyzją godną Czarnych Szat.

Palin zaprotestował. - Zginął? Za mnie? Musiałeś się pomylić, panie. Ja nigdy...

- Zamilkł. - Mój Boże! Chodzi ci o Steela! Ależ nie! Rycerze przecież nie mogli skazać go na śmierć. Musiał wyjaśnić im okoliczności. Niczego nie mógł zrobić. Czyżby mu nie uwierzyli?

Astinus wszedł do komnaty. Zbliżywszy się do Palina, kronikarz otworzył wielką księgę i wskazał linijkę u dołu stronicy.

Tego dnia, o godzinie Pierwszej Strażniczej wznoszącej, Steel Brightblade

został stracony. Umarł w zastępstwie Palina Majere, który dał słowo honoru, że wróci i przysięgi nie dotrzymał.

- Pierwsza Strażnicza wznosząca - szepnął Palin. Spojrzał znad księgi na Astinusa. - Jeszcze nie ma Pierwszej Strażniczej! To niemożliwe. Jak...

- Do brzasku jeszcze kilka godzin - oznajmił Astinus, wzruszając ramionami. - Czasami uprzedzam wypadki. Ułatwia mi to pracę, szczególnie jeśli nie ma szans na zmianę.

- Gdzie? - Spytał Palin. Ścisnął w garści czarny strój. - Gdzie on ma umrzeć?

- W Wieży Najwyższego Klerysta. Umrze niegodną śmiercią, uprzednio zdegradowany. Złoży głowę na kamieniu pokrytym zakrzepłą krwią. Sam lord Ariakan wzniesie miecz, który zetnie głowę Steelowi Brightblade.

Palin stał bez ruchu i bez słowa.

Astinus bezlitośnie mówił dalej. - Zwłoki Brightblade'a nie zostaną złożone w grobowcu, lecz wyrzucone za mury, na pastwę padlinożerców. Ma to być przykład dla innych rycerzy. Taki los czeka tych, którzy nie wykonują rozkazów.

Palinowi stanęły przed oczami obrazy: Steel klęczący u mogiły jego braci, Steel walczący u jego boku w zagajniku Shoikan, Steel ratujący mu życie...

- Ale jakież to ma znaczenie? - Kontynuował Astinus jednostajnym, dźwięcznym głosem. - Ten mężczyzna jest zły. Oddał swą duszę Królowej Ciemności. Niejeden dobry człowiek, rycerz solamijski zginął z jego ręki. On zasługuje na śmierć.

- Ale nie haniebną i niegodną. - Palin popatrzył uważnie na księgę w rękach Astinusa, na to, co było zapisane na stronicy. - Pierwsza Strażnicza. Już za późno. Zatrzymałbym egzekucję, gdybym mógł, ale to niemożliwe. Stąd do Wieży Najwyższego Klerysta jest kilka dni drogi. Nigdy nie zdołałbym przybyć na czas, by zatrzymać kata. - Było mu wstyd, jednak odczuł ogromną ulgę.

W głowie Palina odezwał się szept: *Przywdziej czarne szaty. Kiedy to już uczynisz, otworzę przed tobą księgę czarów Fistandantilusa. Wtedy już będziesz tego godzien.*

Palin poczuł w ustach gorycz gorszą niż smród kanałów. Poglądził dłonią czarną tkaninę. Była miękka w dotyku, miękka i ciepła, otuli go, ochroni. - Niczego nie zrobiłem, stryju! To nie moja wina. Nigdy nawet nie pomyślałem, że Steelowi może przeze mnie stać się jakaś krzywda. Zresztą nawet gdybym chciał tam pojechać, nie zdążyłbym na czas.

Podjąłeś decyzję. Ogłoś ją z dumą! Nie okłamuj się, bratanku! Szepnął głos.

Możesz tam się znaleźć. Masz pierścień, pierścień Dalamara. Kender ci go oddał. Zanim ponownie uderzy twoje serce, możesz już być w Wieży Najwyższego Klerysta.

Palin zadrżał. Drewno laski Magiusa nagle zrobiło się ciepłe, cieplejsze niż czarna tkanina w jego dłoni. Pierścień zaniesie go na miejsce. Musi tylko tego sobie zażyczyć.

Jakież to jednak straszne życzenie! Podniósł wzrok na Astinusa. - Słyszałeś?

- Tak. Słyszę wszystko, nawet słowa duszy.

- Czy... To, co on mówi, jest prawdą? Czy mogę zapobiec kaźni?

- Tak, gdybyś dotarł na czas do Wieży Najwyższego Klerysta, rycerze wstrzymaliby egzekucję. - Astinus przyjrzał się Palinowi z zaciekawieniem. - Wstrzymaliby egzekucję Steela. Jesteś przygotowany na to, żebym wykreślił jego imię i wpisał twoje?

Palina ścisnęło za gardło; ledwo mógł złapać tchu. Nie. Nie, nie jestem gotów umrzeć. Boję się śmierci, boję się bólu, nieskończonej ciemności, nieprzerwanej ciszy. Chcę widzieć, jak wstaje słońce, słuchać muzyki, wypić kubek zimnej wody. Znalazłem kogoś, kogo pokochałem. Pragnę znów poczuć dreszcz magii. A moi rodzice. Byliby niepokieszeni. Nie chcę porzucić tego życia!

Nie czyń więc tego, bratanku, szepnął tajemniczy głos w jego głowie. Steel Brightblade jest oddany duszą Królowej Ciemności. Wielu uznałoby przyzwolenie na jego śmierć za dobry uczynek.

Dałem słowo. Przynależem, że wrócę.

Złamane słowo? Złamane przyrzeczenie? Cóż to takiego? Kiedy Steel Brightblade umrze, kto o tym będzie wiedział i kogo to będzie obchodziło?

Mnie, odparł Palin.

Czego się spodziewałeś, bratanku? Myślałeś, że co oznacza słowo „poświęcenie”? Powiem ci. Ono oznacza zamianę wszystkiego - wszystkiego! - Miłości, honoru, rodziny, swej własnej duszy - na magię. Czyż nie tego pragnąłeś? A może oczekiwałeś, że dostaniesz to wszystko bez oddania czegoś w zamian?

- Każesz mi poświęcić życie - powiedział Palin.

Oczywiście.

- Tak czy inaczej - uświadomił sobie Palin poświęcę życie.

Tak czy inaczej, rzekł Raistlin.

Rozdział XI

EGZEKUCJA

Steel Brightblade leżał na posłaniu ze słomy rozścielonej na kamiennej podłodze swej celi. Nie spał. Noc przed egzekucją spędził na przepojonym goryczą, cichym czuwaniu. Nie lękał się śmierci. Pogodził się z nią i czekał jej z utęsknieniem.

A śmierć nie przysła, nie zabrała go tak, jak tego chciał - z honorem, w bitwie. Jego śmierć będzie haniebna, niesławna i niegodna. Umrze w kajdanach jak złodziej, tchórz, zdrajca.

Ze swej celi bez okien nie widział brzasku, lecz słyszał oznajmianą okrzykiem kolejną wartę. Słuchał tego przez całą długą noc. Usłyszał wreszcie rozbrzmiewający w całej wieży sygnał ostatniej warty i wyobrażał sobie, co on oznaczał dla tych, którzy stali na straży.

Strażnicy uśmiechną się, przeciągną i ziewną. Zbliżał się koniec ich warty. Za godzinę będą mogli opuścić posterunki, wrócić do koszar i pograć się w miłej ciemności snu. Oni powrócą z tej ciemności, zbudzą się, by przeklinać pluskwy, upał i chrapanie najbliższego sąsiada.

Za godzinę Steel Brightblade pograży się w mroku, z którego nie ma powrotu, chyba że weźmie go pod swe rozkazy Chemosh i odeśle z powrotem na świat w postaci żywego trupa. Steel nie bał się niczego w tym życiu, lecz myśl o tak strasznym losie odbierała mu odwagę. Kiedyś spotkał upiornego rycerza lorda Sotha. Potęga upiora budziła w nim grozę, lecz teraz spojrzął z obrzydzeniem i litością w niewidzialne oblicze rycerza i pomodlił się szeptem: - Takhisis, Władczyni Mroku, przyjmę każdy los z wyjątkiem takiego.

Podobne myśli dręczyły go przez całą noc. Czy Takhisis mu wybaczy? A może odda go w ręce Chemosha o trupim obliczu, by po wieczne czasy służył Śmierci jako niewolnik.

Na myśl o tym zrobiło mu się zimno, zadrżał ze zgrozy i oblał się zimnym potem. Dygocąc, skulił się na słomianym posłaniu i modlił o łaskę Jej Mrocznego

Majestatu, gdy w drzwiach celi zazgrzytał klucz.

- Odwiedziny! - Zawołał dozorca. Powiedział to z szacunkiem w głosie, którego niezwykle ton uprzedził Steela, że odwiedza go niecodzienny gość.

Steel wyprostował się i wstał. Miał na sobie strój, w którym stanie na szafocie - proste, toporne, czarne gieżło podobne do koszul, w jakie przyodziewano trupy nędzarzy przed wrzuceniem ich do nie oznakowanych grobów. Zdenerwowany czekał w napięciu. Obawiał się i jednocześnie łudził szaleńczą nadzieją, że może to lord Ariakan przyszedł odwołać wyrok śmierci. Drzwi celi uchyliły się ze skrzypieniem.

Do środka weszła osoba w czerni, zgarbiona i przygięta wiekiem. W panującym w celi mroku Steel nie umiał określić, czy była to kobieta, czy mężczyzna. Sprawiała wrażenie ledwie człapiącej dziwnej istoty na tle ciemności. Nie przysła sama. Obok szedł ktoś jeszcze, również w czarnej szacie, kto podtrzymywał dziwną istotę i pomagał jej stawiać niepewne kroki.

Jednak głos, który usłyszał, nie był ani słaby, ani niepewny. - Zatrzaśnij drzwi i zamknij je na klucz.

Głos ten obudził wspomnienia Steela. Kiedyś już to widział, spotkał się z tym przedtem. Padł na twarz na wilgotną, kamienną posadzkę, wznosząc nad głowę wyciągnięte ręce.

- Wasza Świątobliwość! - Wyszeptał.

- Światło - arcykapłanka wydała polecenie towarzyszącej jej akolite.

Młodsza kobieta wypowiedziała słowo i rozbłysło światło pochodzące z niewiadomego źródła. Blask nie rozproszył ciemności, zdawał się ją tylko pogłębiać, wzmacniać i ożywiać.

Arcykapłanka pokuśtykała naprzód, aż stanęła tuż nad rycerzem.

- Wstań - zasyczała. - Spójrz na mnie.

Przytłoczony uczuciem szacunku zmieszanego z lękiem, Steel podniósł się na klęczki.

Arcykapłanka wydawała mu się sędziwa już wtedy, gdy lata temu błogosławiła go podczas przyjęcia do grona rycerzy. Teraz była niewyobrażalnie stara, tak stara, że było to wręcz niepojęte. Wokół jej twarzy zwisały wiotkie pasemka siwych włosów. Skóra opinała kości chyba zupełnie pozbawione warstwy ciała. Jej wargi były sine i bezkrwiste, a żyły na dłoniach miały kolor kości słoniowej.

Jedną z tych dłoni wzięła Steela pod brodę, drugą ścisnęła ramię akolity. Jej palce przypominały szpony; długie, żółkłe i ostre paznokcie wpiły się w ciało rycerza.

- Twoja królowa usłyszała twe modły. Jest z ciebie zadowolona, Steelu uth Matar Brightblade. Dobrze służyłeś Jej Wysokości, lepiej niż ci się wydaje. Królowa zdobędzie dziś dwie dusze. Czeka na ciebie miejsce w upiornej straży Jej Mrocznego Majestatu, zaszczytne miejsce...

Steel zamknął oczy. Spod powiek pociekły mu łzy ulgi i wdzięczności. - Oddaję cześć i dziękuję Jej Wysokości z całego serca...

- Pod jednym warunkiem - przerwała mu kapłanka.

Steel raptownie otworzył oczy.

Kapłanka wbiła paznokcie w jego ciało, kalecząc go do krwi. Puściła jego podbródek. Zniżyła dłoń i wycelowała w młodzieńca kościsty palec. - Zdejmij ten talizman.

Steel sięgnął po wiszący na szyi cienki łańcuszek ze srebra. Wisiała na nim ozdoba, którą zawsze trzymał w ukryciu. Tylko czworo ludzi wiedziało o jego istnieniu, w tym Tanis Półelf, ale on już nie żył. Wiedział o niej lord Ariakan, sam Steel mu o tym powiedział; wiedziała kapłanka i Caramon Majere, który był świadkiem zdarzenia. Steel ścisnął w dłoni ten talizman, gwiazdny klejnot.

Często zastanawiał się, czemu go nosi. Klejnot mu przeszkadzał; jego ostre krawędzie drapały go i drażniły. Nieraz postanawiał się go pozbyć; chwycił klejnot w garść, by zerwać łańcuszek i rzucić go w pył.

Jednak przy każdym dotknięciu ogarniał go kojący i studzący gniew spokój podobny do łyku zimnej wody, która gasi dokuczliwe pragnienie. Uczucie to uciszało nieprzerwany konflikt toczący się w jego duszy, oczyszczało myśli, sprawiając, że stawały się jasne jak kryształ, wyraźne i ostre jak sam klejnot. Dręczące go wątpliwości znikwały, a wiara w siebie i własne możliwości wracała.

Steel musnął palcami srebrny łańcuszek. Wiedząc o wpływie, jaki wywiera na niego klejnot, nie chciał go dotykać. Jego umysł był spokojny, wewnętrzne wątpliwości rozwiane. Królowa wybaczyła mu grzechy i przygotowała dla niego honorowe miejsce u swego boku. Klejnot teraz jedynie mąciłby mu w głowie i budził niepokój.

Tak, kapłanka miała rację. Powinien go zdjąć i to natychmiast, aby jego dusza stanęła przed Takhisis wyzwolona.

- Tak uczynię - powiedział i chwytając za łańcuszek, szarpnął z całych sił.

Łańcuszek nie pękł.

- Zdejmij go! - Rozkazała niezadowolona kapłanka. Zmrużyła przekrwione oczy. -

Inaczej narazisz się na gniew Jej Wysokości!

Przed oczami Steela stanął obraz ręki szkieletu, która wygrzebywała się spod dusznej ziemi zagajnika Shoikan w poszukiwaniu ciepłej, żywej krwi, aby przegnać chłód, którego jednak przegnać nie można - i zdrętwiały z przerażenia - stwierdził, że to jego ręka.

Rozpaczliwie i gorączkowo szarpał za łańcuszek, aż jego ogniwa wbiły mu się głęboko w kark. - Puść mnie, ojcze! - Krzyknął, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, ani nawet z tego, że w ogóle przemawia. - Puść mnie! Dokonałem wyboru...

Łańcuszek wyslizgiwał mu się z rąk. Młodzieniec zacisnął klejnot w garści.

Spomiędzy jego palców trysnęło ciepłe i jasne światło. Obawy, które przypominały koszmary osamotnionego dziecka w ciemności, ustąpiły, zupełnie jakby mógł wesprzeć się na silnym ramieniu ojca, który doda mu otuchy i obroni od złego.

Przepelniał go spokój i pogoda ducha. Nie miał już do nikogo żalu. Nagle zrozumiał, że choć jego śmierć mogła wydać się niektórym niegodna, inni będą go szanować. Nie zaprzeda swej duszy. Takhisis nie może jej zagarnąć, póki nie odda jej dobrowolnie. A o tym musi jeszcze zdecydować.

Musi dochować wiary, choćby jedynie sobie.

Steel otworzył dłoń i wypuścił klejnot, który ponownie opadł na jego pierś.

Arcykapłanka zasyczała z niezadowoleniem i warknęła: - Jesteś zgubiony! Zdradziłeś swą królową. Obyś wiecznie cierpiał męki!

Na dźwięk tak straszliwej klątwy Steel zdrzął, lecz nie skulił się, nie zgarbił, nie padł na twarz. Wyzbyty z wszelkich uczuć, nic już nie odczuwał, nawet strachu.

- Wyprowadź mnie stąd! - Rozkazała starucha.

Akolitka uniosła spuszczoną głowę, posłała Steelowi spojrzenie pełne wrogości, a potem, zgodnie z poleceniem kapłanki, pokierowała jej drżącymi krokami po nierównej posadzce.

Steel wiedział, że powinien coś powiedzieć, lecz nagle poczuł się zmęczony, bardzo zmęczony... Zmęczony życiem. Z niecierpliwością oczekiwał końca, kresu cierpień, wątpliwości i wrażeń, że w jego ciele uwięzione są dwie różne istoty. Miał już dość ich zmagania o władanie jego duszą.

Wkrótce nastąpi kres tej bitwy. Stwierdził, że oczekuje go z radością.

Pojedynczy sygnał trąbki, który brzmiał jak czyste srebro, ogłosił godzinę Pierwszą Strażniczą.

Za drzwiami celi słyhać było miarowe kroki zbliżających się uroczyście osób.

Steel wstał. Kiedy tu przyjdą, zastaną go stojącego prosto i dumnie.

Drzwi otworzyły się. Weszło dwóch rycerzy wysokiej rangi, którzy należeli do osobistego personelu lorda Ariakana. Steel zrozumiał, jaki zaszczyt go spotkał i przyjął go z pokorą i wdzięcznością.

- Steelu uth Matar Brightblade - rzekł jeden z nich niskim, pełnym namaszczenia głosem - zostałeś wezwany, by wysłuchać orzeczenia naszego władcy. Czy w tej ostatniej godzinie masz jeszcze coś do powiedzenia na swą obronę?

- Nie, czcigodny panie - odpowiedział spokojnie Steel - uznaję wyrok mego władcy za sprawiedliwy. Uznaję karę za słuszną.

- Niech więc tak się stanie - oznajmił surowo rycerz.

Wtedy Steel ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że jego rozmówca miał nadzieję usłyszeć inną odpowiedź.

Kiedy decyzja zapadła, oblicze rycerza stwardniało. Mężczyzna podszedł do Steela wraz ze swym towarzyszem. Związali mu ręce na plecach kawałkiem czarnego rzemienia. Zgarnęli też jego długie, gęste włosy i związali je paskiem skóry, by obnażyć kark, na który miał spaść miecz. Kiedy już skończyli, chcieli go chwycić za ramiona.

Steel wyszarpnął im się z rąk.

- Sam pójdę - powiedział.

Wyszedł z celi.

Dozorca stanął na uboczu i burknął pod nosem: - Oby Królowa Ciemności osądziła cię sprawiedliwie, panie rycerzu.

W mroku otaczających go cel liczne głosy zakrzyknęły - Niech cię broni Paladine, Brightblade!

Gdzieś, w ciemności ktoś zaczął śpiewać: *Sularus Humah durvey. Karamnes Humah durvey...*

Była to pieśń o Humie, bohaterze rycerzy solamnijskich. Jeden po drugim, więźniowie przyłączali się do śpiewu, a ich rozbrzmiewające, silne tego poranka głosy, chwytaly za serce.

- Zrób coś, żeby przestali hałasować - powiedział jeden z czarnych rycerzy, lecz rzekł to cicho, a dozorca oddalił się, udając, że niczego nie słyszał.

Steel chciał odpowiedzieć, lecz zabrakło mu słów i tchu. Bezgłośnie skinął głową w podziękowaniu. Ruszył przed siebie ze wzrokiem zmaconym od łez.

Do głównego dziedzińca, gdzie Steel tak dzielnie walczył i gdzie w jego

ramionach umarł Tanis Półelf, było blisko. Niedaleka droga do miejsca, gdzie Steel miał zginać od własnego miecza, od miecza swego ojca.

Kiedy ujrzał szpaler odprowadzających go rycerzy, był zdumiony. Początkowo myślał, że zebrali się, by go obrzucić obelgami. Jednak kiedy mijał ich bosy, w pokutnych szatach, wszyscy obecni mężczyźni i kobiety uroczyście i z powagą oddali mu honory.

Błyszczące pancerze wszystkich rycerzy zlały się w jego oczach w jedną plamę, z której wyłonił się wizerunek kroczącego przed nim ojca w srebrnej zbroi, która lśniła w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

Steel wyszedł na dziedziniec wypełniony stojącymi w kręgu rycerzami. Pośrodku znajdował się blok z czarnego marmuru pokryty plamami zaschniętej krwi. W znajdującym się w nim wyżłobieniu Steel złożył głowę.

Odprowadzany przez dwóch rycerzy Steel Brightblade zbliżył się pewnym krokiem do kamienia i stanął przed nim.

Lord Ariakan, jako protektor Steela i jego sędzia, będzie również jego katem. Dłońmi w rękawicach Ariakan ścisnął miecz Brightblade'ów. Oblicze lorda było zimne i bezlitosne.

Mężczyzna spojrzał nie na Steela, lecz na dwóch rycerzy. - Czy więzień zgłasza jakiś sprzeciw co do wykonania wyroku?

- Nie, panie - odrzekł jeden z eskorty - nie zgłasza.

- Uznaje wyrok za sprawiedliwy, panie - rzekł drugi. - A karę za słuszną.

- Niech więc wyrok zostanie wykonany. - Lord Ariakan przeniósł wzrok na Steela.

- Steelu uth Matar Brightblade, następnym waszym sędzią będzie Jej Mroczny Majestat. Czy przysięgniecie przed nią, jak uczyniliście to przed nami, że zostaliście osądzeni sprawiedliwie, że mieliście okazję przemawiać we własnej obronie i że odrzuciliście tę propozycję?

- Tak uczynię, czcigodny panie - odparł Steel głosem silnym i niosącym się daleko w powietrzu, które mimo wczesnej pory, już było nieznośnie gorące. - Nie uważam cię za winnego mej śmierci, panie. Całą winę biorę na siebie.

Lord Ariakan z zadowoleniem skinął głową. Zdarzało się, że Królowa Takhisis nie zgadzała się z osądem śmiertelników i odsyłała duszę ofiary, aby szukała pomsty na tych, którzy pod fałszywymi zarzutami skazali ją na śmierć.

- Niech wyrok zostanie wykonany.

Jeden z eskortujących Steela rycerzy podał mu opaskę na oczy. Steel dumnie odmówił jej przyjęcia. Dwaj rycerze chwycili Steela za ramiona i kazali mu przyklęknąć przed kamiennym blokiem. Jeden z nich odgarnął czarne włosy młodzieńca, obnażając kark.

- Tu tnij! - Rozległ się syk arcykapłanki. - Tnij wzdłuż tego czerwonego śladu na ciele.

Śladu zostawionego przez srebrny łańcuszek. Steel przechylił głowę i wsparł policzek na marmurowym bloku, który mimo upału był zimny jak sama śmierć.

- Módl się do swej królowej, Brightblade - powiedział lord Ariakan.

- Już odprawiłem modły - odparł spokojnie Steel. - Jestem gotowy.

Widział miecz, który się nad nim wznosił; Ariakan uniósł go wysoko, gotów spuścić go z siłą wystarczającą do ścięcia Steelowi głowy. Młody rycerz patrzył na wznoszącą się łukiem klingę. Kiedy znalazła się w jego najwyższym punkcie, zabłysła w słońcu, zapłonęła białym światłem jak gwiazda.

Steel zamknął oczy. Ostatnim wspomnieniem będzie ten przepiękny błysk. Z napięciem czekał na cios.

Zamiast niego poczuł wielki ciężar, jakby ktoś zderzył się z nim i zbił go z nóg. Mając związane ręce, nie mógł utrzymać równowagi. Przewrócił się na bok.

Oszupiały, prawie rozszoszczony tym zajściem, otworzył oczy, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Nad nim stał młody mężczyzna w białych szatach. W rękach trzymał laskę zakończoną kryształową kulą w smoczych szponach.

- Co to ma znaczyć? - Zagrzemiał lord Ariakan. - Kim jesteś, w imię Królowej Ciemności?

- To mnie szukacie - oznajmił młodzieniec początkowo drżącym głosem, który w miarę jak mówił, stawał się coraz spokojniejszy. - Jestem Palin Majere.

Rozdział XII

STARZY PRZYJACIELE. PROPOZYCJA SPOTKANIA

Raistlin Majere stał w gabinecie Astinusa z Palanthas. Arcymag niespokojnie krążył po pokoju, przesuwając chłodnym i nieco obojętnym okiem po tomach niedawnej historii, ustawionych zgrabnie na półkach. Astinus siedział przy biurku, zajęty pisaniem. Co jakiś czas zaglądał jeden z Estetyków i po cichutku, żeby nie przeszkadzać mistrzowi, zbierał ukończone tomy i zanosił je do biblioteki, gdzie ustawiano je w porządku chronologicznym.

Od chwili powrotu Astinus nie zamienił ani słowa z magiem. Dzwony w mieście wybiły Pierwszą Strażniczą. Raistlin przestał nerwowo spacerować i wyjrzał przez otwarte drzwi na korytarz, jakby kogoś oczekiwał.

Nikt nie przyszedł.

Raistlin długo tak stał, a potem zawrócił i obszedł krzesło Astinusa, by zajrzeć, co historyk napisał. Zadowolony, skinął głową.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedział cicho.

Astinus nie oderwał pióra od papieru. Atrament przestawał spływać tylko wtedy, gdy kronikarz przerywał pracę, by zanurzyć pióro w kałamarzu, a i to czynił tak szybko, że oko prawie tego nie dostrzegало.

- Uczyniłem bardzo niewiele - odpowiedział Astinus, nadal pisząc.

- Pokazałeś Palinowi księgę - rzekł Raistlin. - Przyznaję, że nic w tym niezwykłego, lecz ty pokazałeś mu ją, by wymusić na nim podjęcie decyzji. Nie lubisz przecież wtrącać się do spraw ludzkości.

- Sprawy ludzkości są moimi sprawami - oświadczył Astinus. - Jakżeby inaczej? Spisuję je i przeżywam - każdą z nich - od stuleci.

Pisał coraz wolniej, aż wreszcie odłożył pióro. Tego właśnie poranka zaczął nowy tom. Była to gruba, oprawiona w skórę księga, której puste, pergaminowe karty czekały, by zapełnić je śmiechem, łzami, przekleństwami, ciosami, krzykiem

noworodków i westchnieniami konających. Dłonie historyka zdawały się wiecznie zgięte w geście trzymania pióra. Palcem wskazującym, który był zabarwiony na fioletowo od atramentu, Astinus kartkował księgę, aż dotarł do ostatniej strony.

- Cokolwiek się zdarzy - powiedział cicho - będzie to ostatnia księga.

Podniósł pióro i przyłożył je do papieru. Zaskrzypiało nieprzyjemnie i atrament rozprysnął się, plamiąc stronicę. Astinus zmarszczył czoło, wyrzucił zniszczone pióro, wybrał nowe ze stojaka na biurku i wrócił do pracy.

- Wydaje mi się, że wiedziałeś, jaką decyzję podejmie twój bratanek.

- Wiedziałem - odszepnął Raistlin. - Dlatego odesłałem Caramona do domu. On by się wtrącił. Palin musiał sam dokonać wyboru.

- Właściwego wyboru ze swego punktu widzenia - zauważył Astinus.

- Tak. Jest młody, w rzeczywistości nigdy nie został poddany próbie. Jego życie było łatwe. Kochano go, podziwiano, szanowano. Czegokolwiek zapragnął, otrzymywał. Nigdy nie zaznał trudu. Kiedy chciał spać, w ciepłym i przytulnym pokoju czekało na niego łóżko z czystą pościelą. To prawda, że podróżował z braćmi, lecz jego wyprawy - do czasu ostatniej - przypominały raczej wakacje. Zupełnie inaczej niż w przypadku moim i Caramona, kiedy przed wojną byliśmy najemnikami.

Raistlin zamyślił się. - Tylko raz wystawiono go na prawdziwą próbę, podczas bitwy, w której poległ jego bracia. Poniósł porażkę...

- Nieprawda - zauważył Astinus.

- Jemu się tak wydaje - rzekł Raistlin, wzruszając ramionami - co na jedno wychodzi. W rzeczywistości świetnie walczył tymi czarami, jakie miał do dyspozycji, nie stracił głowy w potwornym zamęcie i pamiętał zaklęcia w sytuacji, kiedy człowiek cudem w ogóle pamięta, jak ma na imię. Mimo to przegrał. Musiał przegrać. Dopiero kiedy trzymał w ręku czarną szatę, kiedy musiał niesprawiedliwie skazać człowieka na śmierć, wtedy pojął, co będzie musiał poświęcić.

- Może umrzeć podczas zdobywania tej wiedzy. - Astinus przez cały czas nie przestawał pisać.

- Takie jest ryzyko, które wszyscy podejmujemy. Taki był wyrok Konklawe... - Raistlin zmarszczył brwi i spojrzał na księgi, jakby mógł przeczytać ich treść i nie przypadła mu ona do gustu.

- Jak niegdyś zawyrokowano w twojej sprawie, stary przyjacielu.

- Wydali mnie na pastwę pokusy... A ja uległem, za co przyszło mi drogo zapłacić i wysłuchać wielu pomstowań. Jednakże gdybym nie uległ, Wojna Lancy

najprawdopodobniej zakończyłaby się klęską. - Wargi Raistlina wykrzywił szyderczy grymas. - Jak jest miejsce tej nici w wielkim wzorze?

- Jak każdej innej - odparł Astinus. - Spójrz na dywan pod nogami. Gdybyś odwrócił go na lewą stronę, zobaczyłbyś bezładną plataninę wielobarwnych pasemek. Spójrz jednak na kobierzec z góry - nici splatają się zgrabnie i ciasno, tworząc razem mocną tkaninę. Och, na brzegach jest wystrzępiona, lecz, ogólnie rzecz biorąc, trzyma się nieźle.

- Będzie musiała być mocna - powiedział półgłosem Raistlin - żeby przetrwać to, co ma się zdarzyć. Chciałbym, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze, mój przyjacielu.

- To znaczy...? - Astinus nie podniósł głowy; jego pióro ślizgało się po kartce.

- Chciałbym zobaczyć się z panią Crysanią - oznajmił Raistlin.

Astinus podniósł wzrok; teraz pióro znieruchomiało. Historyka niewiele mogło zaskoczyć, widział bowiem, słyszał i czuł wszystko. Takiej prośby nie spodziewał się jednak.

- Zobaczyć się z panią Crysanią? Po co? - Zaciekawiał się Astinus. - Co byś jej powiedział? Że jest ci przykro z powodu tego, co jej zrobiłeś? Że ją wykorzystałeś? Skłamałbyś. Czy nie powiedziałeś bratu, że wszystko to zrobiłbyś jeszcze raz?

Raistlin odwrócił się. Jego blade, zapadnięte policzki nabrały lekkich rumieńców. - Ja ją wykorzystałem. A jak ona posłużyła się mną? Byliśmy siebie warci, tylko odziani w szaty odmiennych kolorów.

- Ona cię kochała...

- Bardziej kochała swą ambicję.

- Racja - przyznał Astinus. - W końcu to dostrzegła, lecz dopiero wtedy, gdy przestała widzieć wszystko inne. Co byś jej powiedział? Ciekaw jestem, zwłaszcza że do proponowanego przez ciebie spotkania nigdy nie dojdzie.

- Dlaczego nie? - Spytał ostro Raistlin. - Wystarczy, że wejdę na teren świątyni. Nie będą mogli, nie ośmielą się mnie zatrzymać.

- Możesz tam pójść, kiedy tylko zechcesz, lecz wiele nie wskórasz. Czyżbyś zapomniał, w obliczu jak straszliwej klęski stoi świat? Pani Crysania została wezwana do walki z Chaosem, podobnie jak wielu innych. Historia o tobie, Palinie i Steelu Brightblade, to zaledwie kilka z tych, jakie w tej chwili spisuję.

- Wielka platanina - szepnął Raistlin, szurając stopą po dywanie. - Czy pani Crysania pójdzie sama?

- Nie. Ktoś jeszcze jest przy niej. Podróżuje z nią, choć ona nie uświadamia

sobie jego prawdziwego charakteru. To również jest inna historia. Czy mógłbyś wreszcie zaspokoić moją ciekawość i odpowiedzieć, czy poprosiłbyś ją o wybaczenie?

- Nie - odparł chłodno Raistlin. - Po co miałbym to czynić? Dostała to, czego chciała. Ja otrzymałem zaś to, co mnie się należało. Jesteśmy kwita.

- Zatem nie przeprosiłbyś jej. Nie prosiłbyś jej o wybaczenie. Co więc chciałbyś jej powiedzieć?

Raistlin długo milczał. Odwrócił się znów ku półkom i spoglądał w otaczającą księgi ciemność, wybiegając myślami ku wydarzeniom, które nigdy nie nastąpią.

- Chciałem jej powiedzieć, że czasami w mym długim śnie śniłem o niej - szepnął.

Rozdział XIII

NOTATKA.

PLAN USHY.

ZAMIESZANIE W BIBLIOTECE

Usha umyła się po kociemu, jak powiedziała Opi, gdyż uczyniła to tylko z grubsza. Zdołała się jednak pozbyć smrodu kanałów ściekowych i wyniesionego z karczmy zapachu tłuszczu i stęchłego piwa, który był równie odrażający. Zmieniła też ubranie, choć na widok stroju leżącego na łóżku poczuła się równie zaskoczona i przestraszona, co Palin na widok swojego.

Jej stare, uszyte przez Irdów ubrania, które, jak sądziła, leżały schowane w drewnianym kuferku w małym, obskurnym pokoiku nad karczmą - znalazły się tutaj. Była tu też sakwa z jedynymi rzeczami, jakie stanowiły jej własność - magicznymi przedmiotami Irdów. Widok strojów, a szczególnie torby, przeraził ją. Ktoś najwyraźniej nie tylko poszedł po nie, ale także uczynił to, zanim jeszcze mógł wiedzieć, że ona tu trafi!

Usha nie była tym zachwycona. Nie podobało jej się tutaj. Nie podobali jej się tutejsi ludzie. Jediną osobą, którą darzyła sympatią, był Palin. Lubiła go tak bardzo, że to uczucie wręcz ją przerażało.

- Czemu wciąż go okłamuję? - Żałośnie zadała sobie pytanie. - Kłamstwo za kłamstwem. Wszystkie na początku drobne i niewinne, teraz wydają się rosnąć w oczach.

Malutka kupka piasku zwiększyła się do rozmiarów sterty gładów. Usha musiała się bardzo starać, żeby utrzymać je w bezruchu, bo gdyby tylko jeden się obsunął, wszystkie posypałyby się jak lawina i wreszcie ją samą by przygniotły. Góra kłamstw była teraz barierą, która dzieliła ją od Palina.

Kochała go i pragnęła go mieć na własność. Przez ostatni miesiąc śniła o nim, przeżywając raz jeszcze tę krótką chwilę, którą spędzili razem w strasznej Wieży.

Już inni mężczyźni, jak choćby Zlinczowany Geoffrey, próbowali podbić jej serce. Usha wreszcie zaczęła sobie uświadamiać, że w oczach innych była piękna. Wreszcie zdobyła się na to, by w to uwierzyć. Spoglądała odważnie w lustro i nie wydawała się już sobie brzydka, być może dlatego, że obraz niewiarygodnie pięknych Irdów zaczął w jej pamięci blednąć jak zasuszone między kartkami książki letnie róże.

W miarę jak inni mężczyźni tracili w jej oczach, Palin zyskiwał. Choć stale powtarzała sobie, że już nigdy go nie ujrzy, na widok każdego maga w białych szatach jej serce zaczynało bić mocniej.

- Jakie to dziwne - szepnęła - kiedy pojawił się, byłam zbyt zajęta i zatroskana, żeby zwrócić na niego uwagę.

Przez chwilę ponownie przeżywała ten moment, to cudowne, rozkoszne ciepło, które rozeszło się po jej ciele, gdy usłyszała, jak Palin wymawia jej imię z taką miłością i tęsknotą.

- A ja mu odpłaciłam kolejnymi kłamstwami strofowała się Usha. Następne słowa przysły jej tak gładko, że nawet nie zauważyła, gdy je wypowiedziała. - Nie mogę jednak znieść myśli o tym, że go znów stracę! - Westchnęła. - A teraz jeszcze ten jego stryj...

Usha z ociąganiem nałożyła stare ubranie, nieufnie odnosząc się do ich tajemniczego pojawienia się. Mogła jednak wybierać tylko między nim a zabłoconą spódnicą i poplamioną jedzeniem bluzką. Gdy się przebierała, podjęła decyzję.

- Pójdę poszukać Palina. Zabiorę go stąd, zanim będzie miał okazję porozmawiać ze stryjem, zanim dowie się, że nie jestem... Tą, za którą mnie bierze. Zrobię to dla jego własnego dobra - perswadowała sobie Usha.

Ciche pukanie do drzwi przerwało jej marzenia.

- Usha? To ja, Tas. Otwórz! Prędko! - Głos był jakiś zduszony, jakby przedostawał się przez dziurkę od klucza, co po sprawdzeniu okazało się prawdą. Dziewczyna otworzyła drzwi tak szybko, że Tas stracił równowagę i wleciał do środka.

- Cześć, Usho. Nie pogniewasz się, jeśli zamknę drzwi? Wydaje mi się, że Bertrem strasznie mnie lubi, bo powiedział, żebym pod żadnym pozorem nie wychodził z pokoju i nie kręcił się po bibliotece bez niego. Nie chcę mu jednak zawracać głowy. Jest taki zajęty. Poszedł powiedzieć Astinusowi, że jesteśmy gotowi.

Gdy Usha zatrzaskiwała drzwi, nagle się zawahała. - Gdzie jest Palin? Możesz zaprowadzić mnie do jego pokoju?

- Jasne - stwierdził wesoło Tas. - Jest między naszymi. - Cichutko podszedł na

palcach do drzwi i wyrżał na korytarz. - Nie chcemy przeszkodzić Bertremowi powiedział głośnym szeptem.

Usha z całego serca podzielała jego pogląd. Widząc, że w holu jest pusto, wymknęli się i pobiegli do pokoju Palina.

Drzwi były zamknięte. Usha nieśmiało zapukała. - Palinie? - Powiedziała półgłosem. - Palinie, to Usha i Tas. Czy jesteś... Jesteś ubrany?

Nikt nie odpowiedział.

- Chyba słyszę, że ktoś nadchodzi! - Oznajmił Tasslehoff, ciągnąc Ushę za rękaw.

Usha chciała znów zapukać, lecz dotknięte drzwi drgnęły i uchyliły się. - Palinie? - Zawołała Usha.

Tas wpakował się do środka. - Palinie, ja... Och. Możesz wejść, Usho. Palina tu nie ma.

- Nie ma! - Usha wbiegła do komnaty i rozejrzała się wokół. Poszukiwania nie trwały długo, pomieszczenie bowiem było bardzo małe. Na podłodze leżały szaty z miękkiego czarnego materiału, jakby ktoś je podniósł, a potem upuścił. W pokoju czuć było mułem z kanałów, który Palin rozniósł butami po podłodze. Widać też było okrągłą plamę błota, którą zostawił koniec laski.

- Spójrz, jest wiadomość. - Tas wskazał leżący na czarnych szatach strzęp papieru, jakiego czarodzieje używają do kopiowania zaklęć. - To do ciebie - oznajmił kender, podnosząc notatkę. - Przeczytam ją...

Usha wyrwała mu list i z wypiekami na twarzy zaczęła go czytać.

Wyglądało na to, że notatkę pisano w wielkim pośpiechu, pismo bowiem było trudne do odczytania. Na papierze widniały plamy z atramentu i czegoś jeszcze, być może łez. Kiedy Usha przeczytała tych kilka nabazgranych słów, poczuła w sobie lodowaty, przejmujący chłód i zadrzała.

- Usho! - Zaniepokoił się Tas. Dziewczyna okropnie zbladła. - Usho? Co ci? Co się stało?

Usha bez słowa podała kenderowi kartkę zgrabiętymi z zimna rękoma.

- „Usho, kocham cię całym sercem. Zawsze pamiętaj...” - Tego nie mogę przeczytać, wszystko rozmazane. Coś tam, coś tam... - „Udałem się do Wieży Najwyższego Klerysta...” Coś tam... - „...Steel... Kocham...” - Zdębiały z przerażenia Tas zamilkł. - On się wybrał do Wieży Najwyższego Klerysta!

- To twierdza rycerzy ciemności, prawda? - Znając odpowiedź, Usha spytała bez

cienia nadziei.

- Teraz tak - powiedział przygnębiony Tas. - Nie zawsze tak było. Ciekawe, po co Palin tam poszedł? I to bez nas?

- Poszedł zmarnować swoje życie! - Rzekła Usha, jednocześnie wystraszona i rozzłoszczona. - Tak wynika z listu. Dał słowo temu okropnemu rycerzowi, Brightswordowi, czy jak mu tam. Musimy iść za nim, zatrzymać go! - Ruszyła w stronę otwartych drzwi. - Rycerze go zabiją. Idziesz ze mną?

- Jasne - odparł skwapliwie Tas - ale on na pewno nie poszedł pieszo. Jedno zauważyłem, przebywając w towarzystwie czarodziejów. Nie lubią podejmować fizycznego wysiłku. A jeśli Palin przeniósł się czarami do wnętrza twierdzy rycerzy Takhisis, to będzie mu groziło wielkie niebezpieczeństwo. Chyba lepiej powiedzieć o tym Raistlinowi...

Usha zatrzasnęła drzwi, odwróciła się i przywarła do nich plecami. - Nie. Nikomu nie powiemy.

Zdumiony Tas znieruchomiał. - Czemu nie? Jeśli Palin rzeczywiście wybrał się do Wieży Najwyższego Klerysta, ktoś będzie go musiał uratować, a choć sam się znam niezłe na ratowaniu ludzi, stwierdziłem, że prawie zawsze dobrze jest mieć ze sobą czarodzieja... Och, zapomniałem! Ty jesteś czarodziejką, prawda?

Wydawało się, że Usha go nie słucha. - Tas, byłeś kiedyś w Wieży Najwyższego Klerysta?

- O tak - stwierdził rzeczowo Tas. - Wiele razy. Za pierwszym razem byłem tam z Flintem, kiedy Kitiara ruszyła do ataku, przyleciały smoki i wszyscy byliśmy uwięzieni, a ja potłukłem smoczą kulę, całkiem przypadkowo. Sturm zginął i Laurana wzięła smoczą lancę.

Przerwał, westchnął cicho i dodał: - Tak czy inaczej, całkiem dobrze znam plan Wieży. Szczególnie dobrze wiem, gdzie jest więzienie.

- Doskonale - oznajmiła Usha - bo właśnie tam się udamy. Mam pewien pomysł.

Podniosła czarne szaty, otrzepała je i przeciągnęła sobie przez głowę. Zaczerwieniona i zasapana, przyglądała włosy i sprawdziła, czy strój dobrze leży na jej smukłym ciele. Habit pasował na nią; Palin i Usha byli prawie tego samego wzrostu. Dziewczyna przepasała szatę w talii czarnym, jedwabnym sznurem.

- Jak wyglądam? - Spytała. - Jak czarodziejka Czarnych Szat?

- Wiesz, rycerze nie mają czarnych magów, tylko szarych - stwierdził Tas,

żałując, że musi wylać na dziewczynę kubek zimnej wody. Zmuszony był jednak wyprowadzić ją z błędu.

- Racja. - Usha była zdruzgotana.

- Ale! - Tas rozpromienił się z podniecenia. - Mają kapłanów w czarnych szatach! Widziałem, jak chodzili po mieście!

- Masz rację! Będę kapłanką Takhisis. - Usha przerwała i spojrzała z zakłopotaniem na kendera. - A w co ty się przebierzesz?

- Ja też mógłbym przywdziać czarne szaty! - Skwapliwie podsunął Tas.

- Sza, myślę - powiedziała Usha, marszcząc czoło.

Ponieważ słowo „sza” jest praktycznie nieznane w języku kenderów, Tas trajkotał dalej. - Kiedyś kapłan Morgiona - to bóg zarazy i wszelkich chorób - przybył do Kenderówka, szukając kandydatów do nawrócenia. Eiderdown Pakslinger zawsze chciał być kapłanem, więc zgłosił się na ochotnika. Kleryk stwierdził, że Eiderdown nie jest tym typem osoby, jakie miał na myśli Morgion, ale może spróbować. W tym samym tygodniu, gdy Eiderdown nałożył czarne szaty, niemal każdy kender w Kenderówku zachorował na ciężki katar. Jeszcze nigdy nie słyszałaś takiego kichania, kaszlu i smarkania!

A najbardziej chory był sam kapłan Morgiona. Przez tydzień leżał w łóżku, kaszląc tak, że omal sobie nie wypluł płuc. Eiderdown oznajmił, że cała epidemia jest jego zasługą. Chociaż katar był trochę dokuczliwy i wszystkim nam zabrakło chusteczek do nosa, byliśmy z niego naprawdę dumni - dotychczas biednemu Eiderdownowi nic się nie udawało. Eiderdown oświadczył, że teraz spróbuje swoich sił w zsyłaniu bolesnej koślowości paluchów, a potem może liszajów obrączkowych. Jednak kiedy tylko kapłan Morgiona przestał kichać, zabrał mu czarny habit i czym prędzej opuścił naszą osadę. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego...

- Nic mi nie przychodzi do głowy - powiedziała Usha, rezygnując. - Jeśli ktokolwiek nas zatrzyma, co, jak mam nadzieję, nie nastąpi, możemy po prostu powiedzieć, że jesteś moim jeńcem.

- Mam dużo doświadczenia w odgrywaniu tej roli - oznajmił poważnie Tas. - Jak się dostaniemy do Wieży Najwyższego Klerysty? To strasznie daleki spacer.

- Nie będziemy iść pieszo. Mam przy sobie wszystkie magiczne przedmioty. I wiem, jak ich użyć - dodała z dumą Usha.

- Nauczyłam się od Sally Dale. Idź sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

Tas otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Wydawało mu się, że dostrzegł

znikającą za zakrętem połę brązowego habitu, więc zaczekał, czy ktoś nie przyjdzie, ale tak się nie stało. Wreszcie Tas oznajmił, że droga wolna. Oboje wyszli z pokoju Palina i szybko wrócili do komnaty Ushy.

Kiedy znaleźli się już w środku, dziewczyna zaczęła przetrząsać torbę.

Ponieważ Tas był zawsze skory do pomocy, też zaczął w niej grzebać. Usha znalazła to, czego szukała. Ostrożnie wyjęła przedmiot i zamknęła sakwę.

Otworzyła ją ponownie, by wyjąć dłoń Tasa, którą niechcący w niej zostawił, a potem pokazała, co ma w rękę. Był to mały gliniany konik pokryty lśniącą białą glazurą, która zdawała się jarzyć w blasku świecy. Tas wstrzymał oddech. To była doprawdy najśliczniejsza, najcudowniejsza rzecz, jaką widział w życiu.

- Do czego to służy?

- Kiedy dmuchnę na niego, zaniesie nas do Wieży Najwyższego Klerysta z szybkością wiatru. Przynajmniej tak uważała Sally.

Usha podniosła konika do warg i dmuchnęła w jego malutkie nozdrza.

Konik rozdał chrapy, nabrał głęboko tchu i nagle w pokoju stanął ogromny prawdziwy koń.

Lśniące białe, jakby nadal pokryte glazurą zwierzę rżało, parskalo i niecierpliwie tupalo kopytami.

Usha sapnęła ze zdumienia. Sally Dale nie wspominała, że zjawi się prawdziwy rumak! Nie miała czasu na zastanawianie się - koń za bardzo hałasował. Tasslehoff już się gramolił na grzbiet zwierzęcia. Pomógł wejść Ushy, która nigdy w życiu nie siedziała na żadnym wierzchowcu i była przerażona jego wielkością. Siedząc na oklep na koniu, czuła się niepewnie i nieswojo.

Tasslehoff wbił pięty w boki rumaka i chwycił go za grzywę.

- Co teraz? - Musiał przekrzykiwać hałas, jaki robiło zwierzę.

- Jedź do Wieży Najwyższego Klerysta - poleciła Usha.

- Jak?! - Odkrzyknął kender.

- Zażycz sobie tego! - Usha zamknęła oczy i wypowiedziała życzenie.

*

Raistlin siedział w fotelu w gabinecie Astinusa, pogrążony w lekturze ukończonej właśnie przez kronikarza księgi, która mówiła o tym, jak Qualinesti bez walki wpadło w ręce rycerzy ciemności.

Rycerze i ich błękitne smoki otoczyli Qualinesti pierścieniem mieczy i włóczni, jednak nie zaatakowali. Zgodnie ze swą niemal standardową procedurą, Ariakan

wysłał do elfów posła z żądaniem poddania się. Tymczasem potajemnie spotkał się z przedstawicielami elfiego senatu.

Lud w królestwie elfów był podzielony, rozdarty przez strach przed rycerzami i błękitnymi smokami, które bezkarnie krążyły im nad głowami. Elfowie wzywali na pomoc złote i srebrne smoki, lecz nie otrzymali odpowiedzi.

Wtedy odłam młodszych elfów zażądał wydania rycerzom wojny. Porthios i jego żołnierze w puszczy nie spuszczały z oczu Ariakana i jego wojska. Porthios nie miał złudzeń co do ataku na tak wielką armię ze swym małym oddziałem partyzantów, lecz gdyby elfowie ruszyli do natarcia od strony Qualinesti, Porthios ze swoimi wojownikami uderzyłby z boku i wziął rycerzy ciemności w kleszcze.

Elfowie byli gotowi wprowadzić ten plan w życie, gdy pewien senator wstał i oznajmił, że Qualinesti poprosiło o pokój. Senat głosował za poddaniem się, pod warunkiem, że król - Gilthas, syn Tanisa Półelfa i jego żony Laurany - nadal będzie mógł sprawować władzę.

Zgromadzenie omal nie zakończyło się zamieszkami; wielu młodych elfów zostało aresztowanych i wyprowadzonych w kajdanach przez swych rodaków. Gilthas przyglądał się wszystkiemu w ciszy i nie rzekł ani słowa. U jego boku stała owdowiała matka, Laurana. Wszyscy wtedy zrozumieli, że Gilthas jest jedynie marionetką, która tańczy, kiedy rycerze pociągną za sznurki.

Przynajmniej tak im się zdawało. Raistlin uśmiechał się co jakiś czas podczas lektury.

Wodny zegar na gzymsie kominka odmierzał czas; pióro Astinusa rejestrowało ten upływ minut i godzin. Nastąpiła godzina Druga Strażnicza, potem minęła. Z głębi biblioteki dobiegł dziwny odgłos.

Raistlin uniósł głowę. - Koń? - Spytał ze zdumieniem.

- W rzeczy samej - oznajmił spokojnie Astinus, nadal pisząc. Raistlin uniósł brew.
- W wielkiej bibliotece?

- Tak jest. - Astinus nadal pisał. - Lub raczej, był.

Rżenie i tupanie konia zastąpił pośpieszny stuk sandałów o posadzkę.

- Wejdz, Bertremie - powiedział Astinus, zanim jeszcze mnich zapukał.

Drzwi uchyliły się i wychynęła zza nich głowa Bertrema. Ponieważ nie spadły na nią gromy ciskane przez mistrza za to, że przeszkadza, wkrótce pokazała się cała reszta.

- No, jak tam - spytał Raistlin - już odeszli?

Bertrem spojrział na swego mistrza.

Zirytowany Astinus przerwał pracę i podniósł wzrok. - Odpowiadaj na pytanie arcymaga! Czy kobieta i kender odeszli?

- Tak, mistrzu - odrzekł Bertrem z westchnieniem ulgi.

Bertrem odparł kiedyś atak smokowców, którzy w czasie wojny chcieli podpalić bibliotekę. Smokowcy jednak nigdy nie prześladowali go w koszmarach. Bertrem śnił koszmarne sny o kenderach - biegających po bibliotece bez nadzoru i tych, których sakwy były wypchane książkami.

- Już ich nie ma. Wprowadzili konia! - Dodał tonem wyrażającym zgorzniecie i dezaprobatę. - Konia do wielkiej biblioteki!

- Wydarzenie godne odnotowania - stwierdził Astinus i zapisał to. Zerknął na Raistlina. - Pojechali ratować twego bratanka. Dziwię się, że nie ma cię przy nich.

- Jestem przy nich na swój sposób - oznajmił Raistlin i wrócił do czytania.

Rozdział XIV

PANI NOCY OSKARŻA.

PALIN ODPOWIADA.

ZŁOWIESZCZY ZNAK

Dwaj rycerze, którzy odprowadzali Steela na miejsce stracenia, pomogli mu teraz wstać znad katowskiego pieńka. Zmuszeni byli go unieść, a potem podeprzeć. Steelowi tak bardzo śpieszyło się iść na tamten świat w objęcia śmierci, że przywrócony życiu, dygotał bez sił. Słaniał się na drżących nogach i spoglądał wokół zdumionym wzrokiem, zastanawiając się, co go czeka teraz, w tym nowym życiu.

Lord Ariakan opuścił miecz, choć nadal trzymał go w ręku. Rozkazał przywrócić porządek w szeregach i uciszył wrzawę.

Palin stał w miejscu, w którym się zmaterializował. Nie poruszył się i nie odezwał od chwili, gdy wygłosił swe pierwsze, zaskakujące słowa. Lord Ariakan oczywiście wstrzymał egzekucję, lecz po sposobie, w jaki spoglądał raz na Steela, raz na Palina, nietrudno było zgadnąć, że ma wątpliwości.

Ariakan zwrócił się do zebranych rycerzy: - Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co tu się dzieje? Kim jest ten mag Białych Szat? Czy to rzeczywiście jeniec, którego szukamy? Czy ktoś z obecnych może go rozpoznać?

Dwoje rycerzy wystąpiło z szeregu i żwawo przeciskało się przez tłum, choć każde z nich miało inny powód. Jednym był podkomendant Trevalin, który dopiero co przybył, odniósłszy zwycięstwo w Qualinesti. Jego oblicze promieniowało zadowoleniem. Podchodząc do swego władcy, posłał Steelowi spojrzenie wyrażające radość. Drugim była Pani Nocy, którą interesował wyłącznie Palin.

Trevalin odezwałby się natychmiast, lecz Pani Nocy była od niego wyższą rangą. Zmuszony był pohamować swe zapędy. Lilith miała prawo pierwsza zabrać głos.

- Czcigodny lordzie Ariakanie. - Pani Nocy skłoniła się Sprawiała wrażenie zaniepokojonej i zatroskanej. - To rzeczywiście Palin Majere, więzień, za którego Steel

Brightblade ręczy własnym słowem. To ja ujęłam tego młodego maga w bitwie Znam go. Przed obliczem naszej królowej przysięgam, że to prawda. Powiadam jednakże, czcigodny panie, że powrót owego maga w niczym nie powinien zmienić wyroku, jaki wasza lordowska mość wydał na Steela Brightblade. Jemu jeniec uciekł. To nie Brightblade go odzyskał. Wasza lordowska mość oznajmił, że ten rycerz ma umrzeć. Nalegam, by wyrok został wykonany!

Lord Ariakan przyglądał się kobiecie z troską, a potem odwrócił się, przerywając jej wypowiedź w pół słowa. Spojrzał na Trevalina.

- Podkomendancie, poznajecie tego czarodzieja Białych Szat? Czy potwierdzicie pod przysięgą jego tożsamość?

- W rzeczy samej znam tego maga, czcigodny panie - odparł Trevalin. - To ten jeniec, Palin Majere, przysięgam na moją królową i wszystkie jej hufce! Uwalnia to Steela Brightblade od kary śmierci! - Spojrzał wyzywająco na Panią Nocy.

Ariakan uśmiechnął się lekko. - Wystarczy, podkomendancie. - Potem przeniósł wzrok na Steela. - Brightblade, czy to wasz jeniec?

- Tak, panie - powiedział oszołomiony Steel. - To Palin Majere.

- Bratanek Raistlina Majere, który wrócił na tę ziemię! - Rzekła z pasją Pani Nocy. - Czcigodny lordzie Ariakanie, błagam cię usilnie! Natychmiast przekaz tego maga i jego kuzyna w ręce rycerzy Ciernia. Pozwól nam zająć się nimi. Ostrzegam cię, panie, oni są w zмовie! Z jakiego to powodu ten młodzieniec tu przybył, by dobrowolnie iść na śmierć? Jemu się wydaje, że ucieknie! Zabij ich obu, panie, natychmiast! Ostrzegam cię, że inaczej ci dwaj przyczynią się do zguby rycerstwa!

Zebrani rycerze patrzyli jeden na drugiego i rozmawiali przyciszonymi, zaniepokojonymi głosami. Argumenty porywczej i pełnej pasji Lilith trafiały do przekonania.

Ariakan uniesieniem ręki zarządził ciszę i przyjrzał się bacznie młodemu czarodziejowi, który stał samotnie przy okrwawionym marmurowym bloku.

- Wezmę pod rozwagę sprawę Steela Brightblade. Co do maga, rycerze Ciernia mogą przesłuchać go, kiedy zechcą. Proszę jedynie, by zezwolono mu przemówić w swoim imieniu, zanim zrobi się goręcej i żywcem się ugotujemy.

Choć ledwie wstał świt, upał był już nie do zniesienia. Samo słońce też jakoś dziwnie wyglądało. Było większe, jakby bliższe świata, jeśli w ogóle było to możliwe. Niemilosierny żar, który lał się z nieba, rozgrzał czarne zbroje rycerzy, przez co niejeden tęsknie spoglądał w stronę cienia.

Ariakan wytarł pot z czoła i kontynuował przesłuchanie. - Palinie Majere, czy przybyłeś zapłacić okup?

- Przybył nas unicestwić! - Oznajmiła głośno Pani Nocy.

Ariakan spojrzał surowo i kipiąca ze złości kobieta umilkła.

Palin potrząsnął głową. - Nie, nie po to przybyłem - odparł.

- Czy to prawda, że jesteś w zмовie ze swym kuzynem, Steelem Brightblade? Mów prawdę, młody magu - ostrzegł Ariakan. - Potrafię wyczuć kłamstwo i nie byłoby to dla ciebie przyjemne.

- Noszę białe szaty - rzekł z dumą Palin. - Czy myślisz, czcigodny panie, że mógłbym sprzymierzyć się z rycerzem zła?

Ariakan pokiwał głową, najwyraźniej przyjmując tę odpowiedź. Lilith zazgrzytała zębami z wściekłości i mruknęła coś pod nosem.

Lekceważąc Panią Nocy, Ariakan wrócił do rozmowy z młodym magiem. - Kiedy zostałeś pojmany, skazano cię na śmierć, jeśli nie dostarczysz okupu. Nakazuję bezzwłocznie wykonać wyrok. Czy chcesz coś powiedzieć przed śmiercią?

- Tak, panie - odparł Palin. - Dałem słowo, że wrócę. Zanim zostanę stracony, chciałbym przeprosić tego rycerza i wyjaśnić mu, dlaczego złamałem przyrzeczenie.

- Nie pozwólcie mu mówić! - Nalegała Pani Nocy. - To podstęp naszych wrogów! Nie ufajcie temu magowi. To bratanek jednego z najpotężniejszych czarodziejów, jacy kiedykolwiek żyli. Jak już mówiłam, czcigodny panie, spotkałam Raistlina Majere w pobliżu lasu Wayreth. Uciekł z Otchłani...

- Mój stryj nigdy nie był w Otchłani! - Zaprzeczył Palin.

Pani Nocy nie miała ochoty się sprzeczać. - Raistlin wrócił - obstawała przy swoim. - To on cię tu przysłał, nieprawdaż?

- To nieprawda - rzekł Palin, a na jego blade policzki wystąpił lekki rumieniec. - Przybyłem z własnej woli. Jeśli już o tym mówimy, stryj gotów był mnie zatrzymać.

- Czy mógłbym zabrać głos, Pani Nocy? - Wtrącił się Ariakan. - Dziękuję. Znane mi są wyczyny przedstawicieli rodu Majere. Wygląda na to, że odwagę mają we krwi. Chciałbym porozmawiać z tym młodzieńcem. Jeśli tak bardzo się go boisz, Lilith - rzekł z przekąsem Ariakan - możesz go spętać, jakimi tylko zechcesz, czarami.

Pani Nocy zbliżyła się do Palina z ponurą miną i stanęła przy nim. Wzgardziła jego mieszkami i sakwami ze składnikami zaklęć. Każdy czar, jaki mógł rzucić przy ich pomocy, mogła rozwiązać bez trudu. Wpijała chciwy, zazdrosny i podejrzliwy wzrok w jego łaskę.

- On trzyma laskę Magiusa, lordzie Ariakanie jeden z najpotężniejszych magicznych artefaktów na całym Ansalonie.

- Zabierz ją więc - rzekł zniecierpliwiony Ariakan.

- Chcę, żeby mi ją oddał, panie. Udowodni tym samym, że to nie żaden podstęp jego stryja.

Palin nie spojrzął na Panią Nocy. Nie spuszczał Ariakana z oczu. - Panie, możesz zabrać mi laskę dopiero wtedy, gdy wypadnie z mej martwej dłoni, nie wcześniej. Zapewniam cię, że to nie podstęp. Nie knuję niczego wespół z moim kuzynem. Czy mogę mówić otwarcie, czcigodny panie?

- Nie wolno mu ufać! - Krzyknęła Pani Nocy. - Widzisz, odmówił oddania laski. Może nam wszystkim wyrządzić wiele szkody.

- Gdyby chciał nas skrzywdzić, Lilith, pewien jestem, że już by to uczynił. Pozwoliłem mu przeprosić Brightblade'a, którego skrzywdził. Osobiście chciałbym tego wysłuchać.

Palin skinął głową w podziękowaniu i stanął naprzeciwko Steela.

- Kuzynie, postąpiłeś szlachetnie i godnie, przywożąc zwłoki dwóch moich braci, aby je pochować w ojczystej ziemi. Odprowadziłeś mnie bezpiecznie do Wieży Wielkiej Magii, abym mógł wypełnić warunki magicznego nakazu, jaki otrzymałem od szarych czarnoksiężników. Sądzę, że w głębi duszy obaj wiedzieliśmy, że była to bezpowrotna wyprawa, w którą nas wysłano z niezrozumiałych przyczyn.

Pani Nocy kipiała ze złości, lecz w tym momencie w żaden sposób nie mogła przerwać Palinowi. Lord Ariakan wydał rozkaz, któremu nie śmiała się sprzeciwić.

Palin mówił dalej. - W pogoni za celem obaj dotarliśmy do Wieży Wielkiej Magii. Steel Brightblade zawsze był wierny swej królowej we wszystkim, co czynił. Ja chyba nie miałem tak szlachetnych zamiarów. Wszedłem do pracowni stryja, oczekując, że Steel Brightblade będzie mi towarzyszył. Drzwi się jednak zatrzasnęły i nie mogłem ich już otworzyć. Ponieważ nie byłem w stanie nic więcej zrobić, szukałem portalu i wreszcie go znalazłem. Wszedłem do niego...

- On kłamie! - Wrzasnęła przeraźliwie Pani Nocy. - Żaden mag tak niskiej rangi nie mógłby przejść przez portal do Otchłani! Jest napisane, że tylko czarodziej czarnych szat w towarzystwie kapłana Paladine'a... - Pani Nocy wciągnęła nagle powietrze do płuc, uświadomiwszy sobie, co właśnie rzekła.

Ariakanowi drgnęła brew. - Wydawało mi się, że wysłałaś tego młodzieńca, by otworzył portal. Może znalazł klucz. Mów dalej, Palinie Majere. Dzięki tobie prawie

zapomniałem o upale.

- Przeszedłem przez portal - powtórzył Palin. - Nie potrzebowałem klucza. Nic mnie nie powstrzymało. Portal stał otworem. Królowa Ciemności go opuściła.

- Kłamstwa! - Wymamrotała Lilith, lecz nie powiedziała tego na głos, ale na tyle wyraźnie, by usłyszeli ją stojący w pobliżu.

Słyszac tę część opowieści, Ariakan zmarszczył czoło. Rycerze na dziedzińcu spojrzeli pytająco jeden na drugiego.

Palin przełknął ślinę, chciał coś powiedzieć, kaszlnął i rzekł słabym głosem: - Czcigodny panie, czy mogę prosić o szklankę wody?

Ariakan dał ręką znak. Giermek przyniósł czerpak napełniony wodą. Palin wypił ją z wdzięcznością. Steel Brightblade nie ruszył się z miejsca. Gestem odmówił pomocy. Nie odrywał ciemnych oczu od twarzy Palina.

- Dziękuję, panie - powiedział Palin. - W Otchłani znalazłem swego stryja. Nie cierpiał męczarni, jak głoszą opowieści. Dzięki niemu ja i mój towarzysz, kender Tasslehoff Burrfoot, staliśmy się świadkami ze wszech miar niezwykłego wydarzenia - zgromadzenia bogów.

Rycerze szeptali teraz głośno. Wielu potrząsało głowami, słyhać było okrzyki niedowierzania, a nawet szydery śmiech. Dowódcy uciszeli swych żołnierzy.

Ariakan spoglądał teraz na Palina podejrzliwie i szepnął do adiutanta: - Czy wolno nam karać śmiercią szaleńców?

Palin usłyszał go i dumnie uniósł brodę. - Przysięgam, czcigodny panie, na Solinari i Paladine'a, na Mishakal i wszystkich bogów białego panteonu, że to, co mówię, jest prawdą. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie - ciągnął z rosnącą pasją - lecz jeszcze trudniej uwierzyć w to, co usłyszałem w Otchłani.

Światu - naszemu światu - grozi straszliwe niebezpieczeństwo. Irdowie niedawno zdobyli Szary Klejnot i próbując użyć jego magii do powstrzymania inwazji twoich wojsk na ich krainę, nieumyślnie go roztrzaskali. W Szarym Klejnocie był uwięziony Ojciec Bogów, Chaos. Kiedy Irdowie rozbili kamień, wydostał się na wolność.

Ojciec wyrzekł się swych dzieci i poprzysiągł, że zniszczy to, co stworzył. Bogowie zjednoczyli siły, by z nim toczyć bój i mają nadzieję, że my, śmiertelnicy, przyłączymy się do nich. Tego od nas oczekują. W przeciwnym razie świat czeka katastrofa. Każdy z nas, wszystko, co żyje na tym świecie, a w końcu i sam świat, ulegnie zagładzie.

Z kamiennych płyt dziedzińca buchały fale gorąca. Wokół zakrzepłej krwi na marmurowym bloku stale brzęczały muchy. Pani Nocy przewróciła oczami i z drwiącym uśmiechem potrząsnęła głową, upewniwszy się, że wszyscy znają jej zdanie o historii Palina.

Czoło Ariakana zmarszczyło się.

- Zapewne nie masz żadnego dowodu na poparcie swych wywodów, Palinie Majere? Przyznasz, że przychodzisz do nas z potworną historią.

- Nie mam dowodów, czcigodny panie - rzekł spokojnie Palin. Nie spodziewał się, że ktoś mu uwierzy, z wyjątkiem może jednej osoby, która się liczyła. Jego wzrok padł na Steela. - Słyszałem jednak, jak Paladine zawarł umowę z waszą królową. Rycerze ciemności otrzymali władzę nad Ansalonem, by zjednoczyć zwaśnione narody, które razem stawiają odpór armiom Chaosu. Zdobyliście tę twierdzę, której dotychczas nigdy jeszcze nie zdobyły siły ciemności.

- Sądziłem raczej, że z odniesionym zwycięstwem miała coś wspólnego nasza ogromna przewaga uzbrojenia i liczebności - odparł zgryźliwie Ariakan.

Steel zwrócił się do Ariakana. - Czcigodny panie, czy wolno mi zabrać głos?

- Oczywiście, Brightblade. Zaskoczony jestem, że wcześniej niczego nie powiedzieliście.

- Panie, ja wierzę Palinowi Majere. Nie wiem czemu... - Steel wzruszył ramionami - poza tym, że podróżowałem z nim i wiem, że jest człowiekiem honoru. Dowodzi tego fakt, że przybył tu, by ocalić mi życie, choć naraża tym samym własne. Proszę cię, czcigodny panie, byś zechciał przypomnieć sobie dziwne zdarzenie w czasie bitwy o Wieżę Najwyższego Klerysta: odwrót złotych i srebrnych smoków. Myśleliśmy, że się wycofały i spodziewaliśmy się ich przegrupowania. Nie pojawiły się jednak więcej. Czymże innym to tłumaczyć, jeśli nie tym, że Paladine kazał im odejść?

Ariakan wziął te słowa pod rozwagę. Był człowiekiem wierzącym. Sam otarł się o bogów. Jego matką była Zeboim, bogini morza, przynajmniej wielu tak uważało. Sam Ariakan dawno temu został zaszczycony audiencją u Królowej Takhisis i otrzymał jej osobiste błogosławieństwo na założenie zakonu rycerzy, którzy będą ją wyznawać i czcić.

- Poślijcie po arcykapłankę - rozkazał. - Wkrótce poznamy prawdę.

Posłaniec oddalił się. Zlani potem i zmęczeni rycerze stali na dziedzińcu w piekielnym żarze słońca.

Wtem ciszę rozdarł wysoki, przeraźliwy wrzask. Na dźwięk tego krzyku zgrozy i

udręki ludziom włosy stanęły dęba, a na rękach pojawiła się gęsia skórka.

- Co się stało? - Spytał Ariakan.

Wśród grupy rycerzy przy wejściu podniósł się szum. Wszyscy rozstąpili się, przepuszczając posłańca.

Kurier wrócił kredowoblady. - Panie! Arcykapłanka nie żyje!

Wśród rycerzy zapadła kamienna cisza. Po tym, co usłyszeli od Palina, nagła śmierć najwyższej rangą kapłanki zdawała się najgorszym z możliwych znaków.

- Jak to się stało? - Spytał wstrząśnięty Ariakan.

- Jest ze mną kobieta, która była wtedy przy niej. - Posłaniec dał znak i z tłumu wyszła kapłanka Takhisis. Młoda kobieta była sinoblada, włosy miała potargane, a szaty rozdarte na znak rozpacz.

- Jej świątobliwość była głęboko zatroskana, czcigodny panie. Od chwili, gdy dziś rano poszła do więzienia odwiedzić skazańca, sprawiała wrażenie roztargnionej i zamyślanej. Jej świątobliwość podeszła do ołtarza, żeby się pomodlić. Składała właśnie rytualną ofiarę, gdy zaczęła ręką o fiolkę święconej oliwy i przewróciła ją na ołtarz. Ciecz rozlała się po całym blacie. Z jednej ze świec spadł kawałek żarzącego się knota i podpalił oliwę. Płomienie szybko się rozprzestrzeniły, spalając ofiarę, zanim ją jeszcze właściwie przygotowano. Arcykapłanka patrzyła na ogień z taką grozą na twarzy, że nie zapomnę tego do końca życia. Potem zaś upadła przed płonącym ołtarzem. Płomienie zgasły, lecz kiedy chcieliśmy ją podnieść, odkryliśmy, że jej świątobliwość nie żyje.

Rycerze wysłuchali opowieści w ciszy. Zdawało się, że ta przerażająca cisza zapadła na całym świecie. Przerwał ją głos Pani Nocy i zmącił spokój tak, jak kamyk wrzucony do nieruchomej wody mąci jej powierzchnię.

- A nie mówiłam, panie? To sprawka tego czarodzieja Białych Szat! Jego również. - Znienacka wycelowała palec w Steela. - Oni są w zмовie! Obaj są zdrajcami! To oni są odpowiedzialni za śmierć jej świątobliwości.

- Niech dowódcy rozkażą swoim żołnierzom rozejść się - polecił Ariakan. - Niech wracają do swoich obowiązków. Pani Nocy, proszę zaprowadzić Palina Majere do celi. Ma tam przebywać do następnego przesłuchania. Wyrok śmierci zostanie odroczone do czasu wyjaśnienia tej sprawy. Będę w świątyni, gdzie poprowadzę dalsze śledztwo. - Ariakan zamierzał już odejść.

Trevalin zebrał się na odwagę i zawołał - Czcigodny panie! Rozdrażniony Ariakan obejrzał się przez ramię. - Tak, podkomendancie, czego sobie życzy?

- Panie, skoro Steel Brightblade został oczyszczony z winy i nie postawiono mu konkretnych zarzutów, proszę, abys zechciał przywrócić mu należny stopień i miejsce wśród moich żołnierzy.

- Uwalniasz go na własną zgubę, lordzie Ariakanie! - Szepnęła nienawistnie Lilith. - Uwolnij go, a rycerstwo czeka upadek!

Ariakan popatrzył z niechęcią na Panią Nocy. Zerknął na Steela, a następnie wzruszył ramionami. - Zgoda, podkomendancie Trevalin. Brightblade, zezwalam wam wrócić do waszego szponu, ale nie wolno opuszczać wam twierdzy.

Lord Ariakan udał się do tymczasowej świątyni Takhisis, którą założono za murami Wieży Najwyższego Klerysta. Chociaż rycerze ciemności oficjalnie byli panami twierdzy, uważali, że nie można wniesić do niej żadnego świętego przedmiotu kultu Jej Mrocznego Majestatu.

Potrząsając głową, co było komentarzem do braku rozsądku swego władcy, Pani Nocy skinęła na kilku swych rycerzy i przekazała im Palina. Czarnoksiężnicy zwiążali mu ręce, zabrali mu składniki zaklęć i zakneblowali usta. Młodzieniec wciąż jednak miał przy sobie laskę Magiusa.

Pani Nocy podeszła do niego. Zacisnąwszy mocno wargi, zdecydowana nie pokazać po sobie słabości, wyciągnęła dłoń i raptownie schwyciła laskę, krzywiąc twarz w oczekiwaniu bólu.

Oblicze czarodziejki wygładziło się i rozchmurzyło. Kobieta spojrzała na laskę najpierw ze zdumieniem, a następnie z wyrazem triumfu. W radosnym uniesieniu wyrwała ją Palinowi z ręki.

Młody mag czekał, aż laska zareaguje, ukarze zuchwałość Pani Nocy.

Nic się nie stało. Laska równie dobrze mogła być zwykłym kosturem.

- Zdaje się, że laska Magiusa wybrała sobie nowego właściciela - orzekła Lilith. - To oznaka aprobaty Jej Mrocznego Majestatu. Lord Ariakan musi dowiedzieć się prawdy. - Uśmiechnęła się tajemniczo i dodała: - I dowie się. Zobaczysz na własne oczy.

Pieszczotliwie muskając palcami gładkie drewno laski, Pani Nocy skinęła na strażę, by zabrały młodego maga.

W chwili, gdy czarodzieje szarych szat już go odciągali, Palin spojrzał w stronę Steela. *Musisz mi uwierzyć, Powiedział bezgłośnie. Musisz go przekonać!*

Steel nadal miał kamienną twarz, lecz w zamyśleniu śledził wzrokiem Palina, póki nie zabrano go z dziedzińca. Stał tak i patrzył nawet po wyjściu młodzieńca.

Trevalin poklepał Steela po plecach, wrywając go z zamyślenia. - Gratulacje,

Brightblade! Zostaliście wyciągnieni z objęć śmierci. Co czujecie? Radość? Ulgę?
- Dezorientację - odparł Steel.

Rozdział XV

NIEPOKÓJ.

ŚCIEŻKI SIĘ PRZECINAJĄ.

ŻARNICA

Steel wrócił do kwatery z innymi rycerzami swego szponu. Zbroję i - co ważniejsze - miecz zwrócono mu wraz z pochwałą samego lorda Ariakana. Steel zjadł śniadanie w towarzystwie podkomendanta Trevalina i jego towarzyszy, którzy chcieli wysłuchać opowieści rycerza o jego przygodach z czarodziejem Białych Szat.

Steel nie miał ochoty mówić o Palinie. Pograżony w posępnym milczeniu krótko odpowiadał na pytania przyjaciół. Widząc jego niechęć do dyskusji, rycerze przeszli do rozmowy o swej niedawnej podróży do Qualinesti i o bitwie, do której nie doszło.

- Elfowie! - Szydził Trevalin. - Widywałem bardziej honorowe ropuchy. Przyczółgali się do nas w środku nocy. Kilku ich własnych senatorów podało nam Qualinesti na talerzu. Jeden z nich... Jak mu tam?

- Rashes - podsunął któryś z rycerzy.

- Tak, Rashes. Wygłosił długą mowę o tym, jak szlachetni i prawi są elfowie - w przeciwieństwie do nas - a potem spokojnie usiadł i podpisał dokumenty nakładające jarzmo mego pana na kark swego narodu. Nadal zachowując się w sposób bardzo cywilizowany. - Trevalin roześmiał się. - Ich władca to jeszcze dzieciak. Ten Rashes wodzi go za nos. Tak przy okazji, Brightblade, to syn Tanisa Półelfa.

Steel, który rozmyślał o czym innym, podniósł wzrok. - Kto?

- Władca elfów. Zdaje się, że nazywa się Gilthas. Oślizgłe elfie słowa - wymykają mi się z pamięci. Ten chłopiec nie odziedziczył ducha po ojcu, to pewne. Ani też po matce, jeśli prawdą jest to, co opowiadają o Złotym Generale.

- Nie jestem tego taki pewny, Trevalinie - sprzeciwił się jeden z rycerzy. - Może siedzi na tronie cichutko jak myszka, ale czasami jak się na niego spojrzy... Na miejscu tego tłustego senatora miałbym chłopca na oku.

- Bzdura! - Parsknął Trevalin. - Jedyńm coś wartym elfem jest ten Porthios. To prawdziwy wojownik. Zgodnie z tym, czego się po nich można spodziewać, elfowie skazali swego jedynego dobrego wodza na wygnanie. Powiadają, że żyje jak zbój.

- Krążą słuchy, że wraz ze swymi wojownikami napadł na obóz Czerwonego Szponu - dodał inny rycerz. - Zabili trzy należące do nich smoki i uciekli, zanim ktokolwiek zauważył ich obecność.

- Nie wątpiłbym w to. - Trevalin pokiwał głową. - To bystry i zdolny mężczyzna, który jak na elfa posiada ponoć jeszcze resztki honoru. Mógłbym się spotkać z nim w boju i nie mieć wrażenia, że powinienem się potem wykąpać. Za każdym razem, gdy zbliżał się do mnie ten Rashas, miałem ochotę zmyć brud z rąk.

Snuto jeszcze wojenne opowieści, lecz Steel nie zwracał na nie uwagi. Wciąż słyszał słowa Palina. Bez przerwy dźwięczały mu w głowie, mieszając się z urywkami pieśni, jaką na jego cześć śpiewali uwięzieni rycerze. Steel przypominał sobie jak przez mgłę, że kiedyś już słyszał tę pieśń, choć nie potrafił powiedzieć gdzie. Pewnie kiedy był jeszcze dzieckiem dorastającym w Palanthas podczas wojny. Z pewnością nie myślał o tym od dwudziestu lat. Niemniej w jego wspomnieniach stale rozbrzmiewała ta pełna powagi i czci melodia, hymn zwycięstwa, który opiewał poświęcenie, a jednocześnie wyrażał smutek nieodwracalnej straty. Nie znał jego słów; śpiewano bowiem w starożytnym języku solamnijskim. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ słyszane przez niego słowa, które unosiły się nad pieśnią jak olej na wodzie, w rzeczywistości były słowami Palina.

- Brightblade!

Steel gwałtownie podniósł głowę.

Trevalin położył dłoń na ramieniu rycerza. - Idźcie do łóżka, przyjacielu. Podejrzewam, że niewiele spaliście przez ostatnie noce.

Steel posłuchał go bardziej po to, by uniknąć towarzystwa, niż z potrzeby odpoczynku. I tak trudno było usnąć. Upał i duchota zdawały się wysysać powietrze z komnat. Zlany potem Steel leżał na posłaniu i zastanawiał się, co czarodzieje Szarych Szat robią z Palinem. Cokolwiek to było, nie należało do przyjemnych rzeczy.

Steel nie był zbyt wrażliwy; już przedtem widywał konających i torturowanych. To było jednak coś innego. Pani Nocy nie próbowała wydobyć z Palina informacji. Usiłowała zmusić go do oddania laski, która stanowiła jego prawną własność. Zdaniem Steel: była to kradzież, haniebnny czyn. Doskonale zdawał sobie sprawę że czarodzieje Szarych Szat patrzyli na zdobycie laski wroga w ten sam sposób, w jaki Steel patrzyłby

na zdobycie wrogiej twierdzy lecz nie mógł nic poradzić na odrazę i wstręt, jaką w nim to budziło. Podobnie jak Trevalin mówiący o elfie Rashasie, kiedy tylko Steel przebywał w pobliżu Pani Nocy, miał chęć oddalić się i zmyć brud z rąk.

Młody czarodziej zachował się godnie, a potraktują go haniebnie.

- Przynajmniej mogę dopilnować, by Palina spotkała szybka i bezbolesna śmierć - sennie postanowił Steel. - Zasługuje na to.

Zastanawiał się, jak tego dokonać, gdy niespodziewanie słoneczne światło zastąpił blask pochodni. Rycerz przespał cały dzień.

*

Noc nie przyniosła wytchnienia od spiekoty. W ciągu dnia temperatura podniosła się tak bardzo, że ludzie stojący na straży w prażącym słońcu szybko padali zemdleni i ich miejsce musieli stale zastępować inni żołnierze. Kilku małych paziów ukarano naganą za próby smażenia jajek na bruku, niemniej oficer, który ich na tym przyłapał, cały dzień nosił przy sobie ścięte jajko i pokazywał je wszystkim spotkanym.

Lord Ariakan zakończył dochodzenie w sprawie śmierci arcykapłanki i rozkazał natychmiast odprawić uroczystości pogrzebowe, a ciało spalić. W takim upale nie należy długo trzymać zwłok. Nie znalazł na jej ciele żadnych śladów, żadnych obrażeń zadanych magicznym sposobem lub jakimkolwiek innym. Arcykapłanka była starą kobietą, niektórzy twierdzili, że ponadstuletnią. Ariakan ogłosił, że zmarła śmiercią naturalną i resztę dnia poświęcił na próbę zdławienia pogłosek, które szerzyły się wśród zabobonnych dzikusów.

Kiedy Steel obudził się, zastał swych kolegów kładących się właśnie na spoczynek. Sam w pełni wypoczęty i podenerwowany, nie mógłby usnąć. Odszukał więc podkomendanta Trevalina i spytał go, czy nie wie, co się stało z czarodziejem Białych Szat.

Niezbyt tym zainteresowany Trevalin odparł, że prawdopodobnie Pani Nocy zabrała młodego maga do opuszczonego miejsca, będącego niegdyś pułapką na smoki, gdzie obecnie rozgościli się rycerze Ciernia. Trevalin poradził Steelowi, by nie zadawał się więcej ani z Białymi, ani z Szarymi Szatami.

Po namyśle Steel doszedł do wniosku, że to dobra rada. Nie mógł niczego zrobić, by ocalić Palina, a mógł wręcz pogorszyć jego sytuację. Młody człowiek był magiem; sam wybrał sobie takie życie, sam wybrał swój los. Chcąc zapomnieć o Palinie, Steel postanowił złożyć wizytę Flare.

Z tego, co opowiadał Trevalin, podczas wyprawy do Qualinesti z niebieską smoczycą niesłychanie trudno było wytrzymać. Skarżyła się na każdego jeźdźca i nie mogła znaleźć takiego, który by jej odpowiadał. Pobiła się ze swym partnerem i tak go ugryzła w pysk, że niebieski samiec został zwolniony od obowiązków na tydzień. Opiekun smoków nie mógł poradzić sobie z Flare i zgłosił, że nie nadaje się do pełnienia służby. Pozostałe smoki trzymały się od niej z dala.

Steel miał nadzieję, że po jego powrocie smoczyca zacznie zachowywać się jak dawniej, choć zanim mu przebaczy, pewnie będzie się przez tydzień dąsać. Aby to przyspieszyć, postanowił po drodze wstąpić do kuchni i sprawdzić, czy nie uda mu się nakłonić nocnego kucharza do obdarowania go młodziutkim prosięciem. Flare przepadała za wieprzowiną i Steel ufał, że smoczyca przyjmie ten kęs na znak zgody.

Szedł cichymi i pustymi korytarzami na czwarty poziom wieży, gdzie mieściła się kuchnia, gdy w oczach mignęło mu coś kolorowego. Przyciągnęło to jego uwagę, każdy kolor bowiem budził niepokój wśród poważnych i surowych odcieni czerni i szarości, w jakie odziani byli rycerze. Nie pasował do reszty. A to było zderzenie dziko gryzących się ze sobą barw, które w blasku pochodni sprawiały wrażenie niesamowicie jaskrawych i podejrzenie nieodpowiednich do otoczenia.

Jego niepokój pogłębił fakt, iż owa plama koloru poruszyła się i znikła w chwili, gdy Steel zamierzał jej poszukać. Wydawało mu się, że coś usłyszał, jakby ktoś chciał się odezwać, lecz dźwięk został raptownie i nieoczekiwanie stłumiony.

Steel poluzował miecz w pochwie i poszedł sprawdzić, co to było. Dźwięk dobiegał zza kamiennych schodów ukrytych we wnęce z dala od światła. Rycerz zakradał się cicho w nadziei zaskoczenia szpiega, uznał bowiem, że nim właśnie musi być intruz. Z powodu upału nie miał na sobie zbroi, dlatego prawie zupełnie nie robił hałasu. Gdy zajrzał za schody, zobaczył w mroku ciemne zarysy dwóch sylwetek. Jedna miała na sobie czarną szatę z kapturem naciągniętym na głowę. Przy tyłu przebywających tu kapłanach Takhisis nie było w tym nic dziwnego, jednakże druga postać wyglądała osobliwie. Ku swemu zdumieniu Steel zobaczył kendera.

- To on! - Stłumionym szeptem rzekł kender do spowitego w czerń towarzysza.
- Wszędzie bym go poznał! On bardzo przypomina Sturma. Sądzę, że powinniśmy go spytać...

Steel ruszył szybko i zaszedł ich od tyłu. Tamci dwaj tak byli zajęci rozmową, że zdołał podkraść się całkiem blisko, zanim go usłyszeli. Steel złapał kendera za czub na

głowie, szarpnął go i okręcił pasmo włosów dookoła dłoni.

- O co mnie spytać? - Zaciekawiał się.

- Auu! Ach! Przestań! To boli! - Pisnął kender. Podnosząc ręce, bezskutecznie usiłował wyrwać się z uścisku Steela.

- Puść go! - Rozkazał kobiecie głos, który należał do postaci w habicie.

Steel puścił mimo uszu słowa kapłanki i przyciągnął protestującego kendera do światła. Poznał ten głos, lecz chciał się upewnić.

- Co ty tu robisz? - Spytał, potrząsając kenderem.

- Auu! Oj! Wyrwasz mi włosy! - Jęczał kender.

Kapłanka w czarnych szatach chwyciła Steela za rękę i próbowała rozewrzeć mu palce. - Rozkazałam ci go puścić!

Steel pchnął kendera pod ścianę i odwrócił się do kapłanki. Podczas szamotaniny z jej głowy zsunął się kaptur. W świetle pochodni błysnęły srebrne włosy.

Zgadując po oczach Steela, że ją rozpoznał, kobieta naciągnęła głęboko kaptur, chowając w nim twarz.

Za późno.

- To ty! - Rzekł zdumiony.

Nie odpowiedziała, tylko posłała mu pełne nienawiści spojrzenie. Odwróciwszy się doń plecami, zajęła się kenderem, który masował sobie głowę, ocierał oczy i - nieco zasapany - domagał się odpowiedzi, czy zostały mu jeszcze jakieś włosy.

Steel rozejrzał się szybko, ciekaw, czy ktoś jest w pobliżu. Schody znajdowały się we wnętrzu przy korytarzu. Pora kolacji dawno minęła; najprawdopodobniej jedynymi ludźmi w tej części wieży byli kucharz i jego pomocnicy. Pierwszą myślą Steela było ogłosić alarm, wezwać strażę i kazać aresztować tych dwoje. Powinien to zrobić i miał szczerzy zamiar, jednak wkrótce przekonał się, że tego nie robi.

Wziął kobietę za ramię i wciągnął ją i kendera z powrotem w cień.

Najpierw ich przesłucham, powiedział sobie, a potem oddam w ręce straży. - Na Takhisis, co tu robicie? - Spytał głośno Steel. Nie mógł przypomnieć sobie ich imion.

Kender chciał odpowiedzieć, lecz zamknął usta, kiedy kobieta go uszczypnęła.

- To nie twój interes - powiedziała do Steela wyniośle. - Skoro jednak musisz wiedzieć, jestem teraz kapłanką Takhisis. Odprowadzam tego jeńca...

- To znaczy mnie - podsunął kender.

- ...Do więzienia - dokończyła kobieta, spoglądając nieprzychylnie na kendera.

- To musi być ważny jeniec - zauważył Steel - jeśli uszła twej uwadze ceremonia pogrzebowa.

Złote oczy kobiety rozbłysły. - Pogrzeb? - Spytała słabnącym głosem i ścisnęła w dłoni czarną aksamitną tkaninę. - Nic... Nie słyszałam. Kto umarł?

- Twoja arcykapłanka - rzekł nieubłagane Steel. - Wszyscy inni tutejsi duchowni pogrążeni są w głębokiej żałobie. A co do twojej nieporadnej historyjki o kenderskim jeńcu, nikt by w nią nie uwierzył. Każdy kapłan Takhisis, który natknąłby się na myszkującego tu kendera, w mgnieniu oka posłałby go do Chemosha. Spróbuj czegoś innego.

Musiał przyznać, że kobieta dzielnie przyjęła porażkę. Choć była blada jak płótno i choć wymagało to od niej wielkiego wysiłku, zdołała odzyskać panowanie nad sobą. Zacisnąwszy zęby, wyprostowała się i spojrzała na niego z godnością.

- Co z nami zrobisz? Wezwiesz strażę?

- To ja zadaję pytania. Co tu robicie? Tylko tym razem chcę usłyszeć prawdę.

Kobieta przygryzła wargę i wreszcie wyznała: - Jesteśmy tu po to, by ocalić Palina. Nie zdołaliśmy się jednak dowiedzieć, gdzie go trzymają.

- Nie w więzieniu - dodał kender - tam już sprawdziłem. Widzisz, Usho, miałem rację! To jest Steel, a on pewnie wie, gdzie jest Palin.

- Wiesz? - Usha przysunęła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. - Powiesz nam? Nie musisz nas tam prowadzić. Powiedz tylko i puść nas wolno. Cóż to może zaszkodzić? Palin przybył ocalić ci życie. Nie możesz pozwolić mu umrzeć!

Steel bezgłośnie przeklinał kobietę, przeklinał kendera i swoje szczęście, które postawiło go na ich drodze właśnie wtedy, gdy zaczął myśleć, że Palin nie zasługiwał na śmierć, że musi być w nim samym coś niegodnego, skoro pozwala, aby stracono młodego maga.

Steel zastanawiał się nad tym wszystkim. Czy tylko pech doprowadził go do tych dwojga? A może było w tym coś więcej? Czyżby ręka jego królowej? Bez wątplenia to Takhisis przyprowadziła go tutaj. Wyczuwał jej obecność, czuł ją w ciemności, jaka go otaczała. A jednak... Czego życzył sobie od niego Jej Mroczny Majestat? Złapania tych dwojga? Wydania ich na pewną śmierć? A może chciała, żeby pomógł im uwolnić Palina?

Każdego rycerza uczono, by w razie wątpliwości zajrzał do Objawienia Królowej Ciemności. Steel był zawsze zakłopotany nieodgadnionym, przedziwnym charakterem własnego widzenia, które w tym przypadku niewiele mu pomogło. Czuł, że wyrrywają

go sobie dwie strony, z których jedna nakazuje mu zdradzić Ushę i Tasa, a druga nakłania go do udzielenia im pomocy.

Jedyną rzeczą, której Steel był pewny, była historia opowiedziana lordowi Ariakanowi przez Palina. Sam czuł się niespokojny i nieswój. Atmosfera przesycona była zagrożeniem, tak jak przesycała ją woń trzaskających żarnic. Gdzieś działo się coś strasznie niedobrego.

- Chodźcie ze mną - polecił nagle Ushy i Tasowi. - Spuść kaptur nisko na twarz.

- Dziękuję! - Powiedziała z zapalem dziewczyna.

- Nie dziękuj mi jeszcze - odparł Steel z chłodną pogardą. - Nie idę tam po to, by uwolnić Palina. Muszę z nim porozmawiać, dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie Szarego Klejnotu. Zabieram ciebie i kendera, żeby mieć was na oku. Mogę jeszcze postanowić wydać was oboje. I niech żadne z was nie piśnie ani słowa. Jeśli ktoś nas zatrzyma, pozwólcie, bym to ja mówił.

Oboje pokiwali głowami; kender chciał coś powiedzieć, lecz Usha go uciszyła. Steel zastanawiał się, jak zamierzali wykraść Palina z twierdzy i mało brakowało, a spytałby o to, lecz doszedł do wniosku, że im mniej wie tym lepiej. Muszą mieć jakiś sposób, w końcu ta kobieta była czarodziejką.

Opuścili górne piętra i zeszli do podziemi Wieży, do od dawna nie używanych pułapek na smoki.

Rozdział XVI

PUŁAPKA NA SMOKI

W Wieży Najwyższego Klerysta nie było ani miejsca, ani odpowiedniego zaplecza dla czarodziejów. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę, iż w całej swej długiej historii zakon rycerzy solamnijskich nigdy nie korzystał z usług magów.

Powiadano, że Huma wyruszył do boju z czarodziejem u boku, że ci dwaj połączyli stal i magię, aby pokonać wrogów. Był to czarodziej imieniem Magius, mag Czerwonych Szat i przyjaciel Humy od czasów dzieciństwa. Ta sama laska, którą nosił Palin, należała właśnie do Magiusa, którego tragicznemu losowi czarodzieje na całym Ansalonie zawdzięczali pozwolenie na noszenie sztyletów. Rycerze jednak, opowiadając o Humie, prawie nigdy nie wspominali o Magiusie. A jeśli nawet, czynili to niechętnie, przypisując mu w swej wersji bardzo niewielkie znaczenie. Rycerze zawsze podkreślali, że Huma nigdy nie poległ na Magiusie, lecz że to ten szlachetny i dzielny rycerz niejednokrotnie narażał swe życie, by chronić słabszego przyjaciela.

Kryńscy czarodzieje oczywiście mówią co innego. W ich opowieści to Magius był prawdziwym bohaterem, który oddał życie za przyjaciela i poniósł straszną śmierć z rąk wrogów. Kiedy historię tę słyszy się w Wieży Wielkiej Magii, to Huma jest drugoplanową postacią - miłym facetem o wielkich mięśniach złotym sercu, który w kwestii przebiegu bitwy poległ na decyzjach Magiusa.

Prawda spoczywa w zaginionym i zapomnianym grobie, gdzie leży ciało Magiusa, w pustym grobowcu Humy. Pewne jest natomiast, że w Wieży Najwyższego Klerysta nie ma składów magicznych przyborów, czarnoksięskich pracowni ani regałów pełnych ksiąg z zaklęciami.

Odziani w szare stroje czarodzieje Takhisis musieli zatem zadbać o wszystko sami.

Z wielu przyczyn wybrali dawno opuszczone pułapki na smoki z których główną była oczywiście chęć odcięcia się od reszty świata. Choć czarodzieje stanowili nieodłączną część zakonu Takhisis, mieszkali, uczyli się i walczyli razem z innymi

rycerzami, wciąż byli magami, a ci wymagają zacisznych, odosobnionych i bezpiecznych miejsc do pracy.

Pułapki na smoki spełniały wszystkie te warunki. Nikt nie schodził tam bez powodu. W czasie Wojny Lancy komnata, gdzie niegdyś stała smocza kula, zawaliła się. Rycerze solamnijscy oczyścili ją z gruzu, lecz „kamień pamięta śmierć”, jak twierdzą krasnoludowie, albowiem krwi, która wsiąkła w kamień, nigdy nie da się zmyć. Kamienne posadzki smoczych pułapek splamiła krew smoków i rycerzy walczących tam z olbrzymimi bestiami. Była to okolica przesiąknięta śmiercią, miejsce okropne, smutne i przygnębiające.

Palin słyszał makabryczne krzyki, wrzaski bólu i jęki konających. Nieraz bojaźliwie odwracał głowę, przekonany, że słyszy za sobą rozpaczliwy łopot skrzydeł. Wszystkie te dźwięki rodziły się jednak w jego wyobraźni, chyba że duchy poległych w zacieklej walce smoków i rycerzy nadal toczyły bój w innym wymiarze. Na tej płaszczyźnie istnienia w pułapkach na smoki panowała ciemność i taki chłód, na jaki pozwalał niemiłosierny upał na zewnątrz. Słysząc też było ciche dźwięki, które zwykle kojarzą się z czarodziejami: skrzypienie piór zapisujących czary, szept osoby uczącej się na pamięć zaklęcia, powolna mowa kogoś, kto stara się rozwikłać sens magicznych słów, szelest szat zamiatających zakurzoną posadzkę.

Palin miał czas dobrze wsłuchać się w te odgłosy - zarówno żywych, jak i umarłych. Wbrew temu, czego się spodziewał, Pani Nocy nie poddała go torturom. Również, wbrew jego oczekiwaniom, nie kazała go zabić. Zdawało się, że został zapomniany. Tak długo przebywał w czeluściach Wieży, gdzie nie dochodziło ostre słońce, że zupełnie stracił poczucie czasu. Od chwili jego przybycia do twierdzy mogły upłynąć równie dobrze godziny, jak i dni. Nikt się do niego nie zbliżył i nie odezwał się do niego choćby słowem.

Ciasno zawiązany knebel rozwierał mu szczęki i dławił go. Dręczyło go pragnienie, od którego całkiem zaschło mu w gardle.

Więzy na nadgarstkach utrudniały krążenie krwi. Na kostce miał łańcuch, którym był przykuty do nogi wielkiego stołu z szarego marmuru, którego całą powierzchnię pokrywały kabalistyczne znaki.

Raz bełkotliwymi pomrukami i chrząknięciami spróbował powiedzieć, że rozpaczliwie potrzebuje wody, lecz przechodzący obok mag zlekceważył go i wyminął.

Pani Nocy odebrała mu laskę Magiusa, której utrata sprawiła mu chyba jeszcze dotkliwszy ból niż knebel, pragnienie, niepewność i lęk. Kiedy zabrakło laski, ucichł

głos stryja. Palin poczuł prawdziwą samotność - uczucie, jakiego nie zaznał od chwili, gdy ją otrzymał.

Zastanawiał się nad tym, co zrobią z nim Szarzy Rycerze, kiedy zamierzają to zrobić, i czemu do tej pory jeszcze do niego nie przyszli. Im więcej czasu upływało w takiej ciszy i bezczynności, tym większy ogarniał go lęk. Kiedy otoczony przez wrogów rozmawiał na dziedzińcu z lordem Ariakanem, wcale nie czuł strachu. Nawet kiedy patrzył na pień katowski i widział zaschniętą krew, która zakrzepła w zagłębieniu. Wtedy mógł umrzeć z godnością i bez żalu, pomijając smutek, jaki jego śmierć sprawiłaby tym, których kochał.

Siedząc samotnie w hałaśliwej ciemności, wpadał w coraz większy strach. Błądził myślami, czasem docierając do tchnących grozą miejsc. Przyglądał się pułapkom na smoki, wyobrażał sobie ich działanie, widział otwory, przez które rycerze dźgali lancami. Smoki zabite przez rycerzy były złymi, okrutnymi stworzeniami, sługami Królowej Ciemności, czerwonymi i błękitnymi potworami, które wymordowały niezliczone ilości niewinnych istot, które znęcały się nad swoimi ofiarami i dręczyły je.

Smocza kula umieszczona na postumencie w sercu wieży wabiła smoki w pułapkę, wołając je czarodziejskimi słowami, którym nie umiały się oprzeć. Kiedy bestie wlatywały przez otwarte bramy, wpadały w potrzask. Z hukiem spadały kraty i smoki nie mogły uciec. Uzbrojeni w lance, miecze i łuki rycerze przystępowali do ataku. Widząc oczami wyobraźni ginące smoki - uwięzione, zrozpaczone, rozszalałe, ryczące z wściekłości i bólu - Palin ulitował się nad tymi wspaniałymi, skazanymi na zagładę istotami.

Znużony, zapadł wreszcie w drzemkę, z której gwałtownie wyrwały go przerażające koszmary pełne krwi, dźgnięć bólu i przede wszystkim okropnego poczucia ugrzęźnięcia w pułapce, z której jedynym wyjściem jest śmierć.

Zawzięcie odpędzał od siebie te koszmarnie obrazy, jednak one uporczywie wracały. Nie potrafił ich zrozumieć, jednakże przejmowały go grozą i narastającym lękiem. Samotne przebywanie w tym okropnym miejscu przerażało go do tego stopnia, że prawie z przyjemnością myślał o torturach, gdyby tylko bólowi towarzyszył widok twarzy i głos żywego człowieka.

Tak więc gdy Pani Nocy wróciła z laską Magiusa w ręku, jej widok niezmiernie ucieszył Palina.

Radość nie trwała jednak długo.

Pani Nocy uniosła laskę w górę. Początkowo oszołomiony Palin nie dostrzegł w tym niczego szczególnego. Potem przypomniał sobie, jak laska poparzyła Panią Nocy, kiedy pierwszy raz usiłowała jej dotknąć. Strach ścisnął mu serce. Czyżby zdobyła władzę nad tym magicznym przedmiotem? Czyżby laska zdradziła go?

- *Shirak!* - Rzekła triumfalnie Lilith. W kryształce na czubku laski zapaliło się blade światełko, które migotało ponuro, jakby niechętnie wykonywało polecenie.

Palin spuścił głowę, jakby blask raził go w oczy. W rzeczywistości łudził się, że kobieta nie dostrzeże jego łez.

Pani Nocy zaśmiała się i oparła laskę o stół w niewielkiej odległości od Palina, tuż poza zasięgiem jego ręki.

- Wiedziałam, że prędzej czy później laska wpadnie w moje ręce. Wyczytałam to z wróżebnych kamieni. Co mówiłeś?

Palin coś wybełkotał. Pani Nocy usunęła mu knebel z ust zgrabnym ruchem dłoni.

Młodzieniec próbował zwilżyć suche usta na tyle, by przemówić.

- Wody.

- Tak, przypuszczałam, że będziesz spragniony. - Pani Nocy odkorkowała bukłak z wodą i podsunęła go Palinowi do ust.

Młody mag pił chciwie, zakrztusił się i podniósł załzawione oczy na czarodziejkę. - Dlaczego jeszcze mnie nie zabiliście? Na co czekacie?

Pani Nocy uśmiechnęła się nieprzyjemnie. - Nie domyślasz się? Myśliwy nie zabija królika, póki wilk nie włoży głowy we wnyki.

Dopiero po chwili Palin zrozumiał, co powiedziała. Kiedy wreszcie dotarł do niego sens tych słów, wybałuszył na nią oczy. - Zastawiasz pułapkę? Na kogo? Na mojego stryja? - Omal nie wybuchnął śmiechem. - Chciałbym, aby pozwolono mi żyć wystarczająco długo, bym mógł być świadkiem tego spotkania.

Teraz z kolei uśmiechnęła się Pani Nocy. - Ja również - powiedziała cicho. - Potem wzruszyła ramionami. - Może później. To nie pułapka na twojego stryja, lecz na innego członka twojej rodziny.

Sądząc, że czarodziejka musi mieć na myśli jego ojca albo matkę, Palin potrząsnął głową ze zdumienia. Wtedy o czymś sobie przypomniał.

- Steel...?

Pani Nocy rozbłysły oczy. Kobieta uniosła jedną brew.

Tym razem Palin zaśmiał się, choć bardziej przypominało to charczenie. - Tego

wilka nie zwabisz tym królikiem. Czego się spodziewasz? Że jemu na mnie tak zależy, że spróbuje mnie uwolnić? - Rozbawiony tą myślą Palin znów wybuchnął śmiechem.

Pani Nocy nachyliła się blisko. Jej obecność odbierała mu chęć do śmiechu, wsysała jego światło w swój mrok. - Jej Mroczny Majestat nie bez powodu doprowadził do waszego spotkania. Wiele razy rzucałam wróżebne kamienie i zawsze odpowiedź była ta sama. Spójrz, rzuć jeszcze raz.

Lilith wyjęła garść wypolerowanych agatów z czarnego woreczka, który nosiła na lewym nadgarstku. Biorąc kamyki do ręki, wymamrotała zaklęcie i rzuciła je na szarą marmurową powierzchnię. Laska rozjarzyła się, blask padł na wielobarwne agaty.

- Tam! Patrz! - Wskazała cienkim, smukłym palcem. - Ten czarny kamień to Steel. Biały to ty. Pośrodku forteca...

Palin zauważył zielony agat z runą oznaczającą wieżę.

- ...A nad twierdzą płomienie.

Spojrzał na czerwony agat, w którym pobłyskiwała iskierka ognia.

- Ty po jednej stronie, on po drugiej, zagłada pośrodku.

Kobieta nachyliła się i jednym ruchem dłoni zgarnęła kamyki.

- Już was obu nie ma! - Szeptnęła. - Obaj jesteście martwi i...

- Zagłada zostaje - oznajmił spokojnie Palin, spoglądając na kamień z wieżą i płomieniami. Oba wciąż leżały na stole.

Pani Nocy zamrugła z zaskoczenia. Zamierzała zdjąć ze stołu wszystkie kamyki. Jakimś sposobem te dwa wymknęły jej się z ręki. Przez chwilę wahała się, bez wątplenia zastanawiając się, co znaczy ten nowy omen.

Palinowi było to obojętne. Był zbyt zmęczony.

- Słyszałaś, co powiedziałem twemu władcy o bogach - rzekł głosem, w którym słyhać było znużenie. - Widziałem...

- ...To, co chciał ci pokazać stryj! - Odparła pogardliwie Pani Nocy. - Tak też powiedziałam memu panu. To podstęp Raistlina Majere. O tak, on ma w zanadrzu wiele sztuczek. Któregoś dnia jednak na jakiejś się zawiedzie. - Lilith zgarnęła dwa pominięte kamienie i wrzuciła je do woreczka. - A co do Steela Brightblade, to zdrajca sprawy naszej królowej. Udowodnię to lordowi. Wtedy umrzecie razem, jak przystoi tak bliskim kuzynom!

Kamienie wróżebne zagrzechotały w woreczku. Pani Nocy oddaliła się, zabierając ze sobą świecącą laskę Magiusa.

Palin oparł się o stół. Otaczała go ciemność, a wraz z nią nadeszła rozpacz.

Umrze tutaj. Znajdą go przykutego do tego postumentu...

Z rozmyślenia wyrwały go czyjeś głosy.

Otumaniony Palin podniósł głowę, mrużąc oczy w jasnym świetle pojedynczej pochodni. Ledwo dostrzegał zarysy postaci, błysk zbroi, być może słabą poświatę klejnotu, nic więcej.

Ludzie ci, kimkolwiek byli, rozmawiali ze sobą szeptem. Przerwał im surowy, męski głos. - Zostańcie tutaj. I bądźcie cicho - rozkazał.

Palin poznał ten głos i serce stanęło mu w gardle. Próbował odezwać się, lecz był zbyt zdumiony i skonsternowany. Mężczyzną z pochodnią i świecącym klejnotem okazał się Steel Brightblade.

Jego towarzysze zostali z tyłu i natychmiast utonęli w ciemności, która wpłynęła w miejsce opuszczone przez blask pochodni. Steel zbliżył się do Palina.

- Majere? - Steel nie ściszył głosu, a jego kroki rozbrzmiewały głośnym echem po całej komnacie. Kroczył pewnie, ufny w swe prawo do przebywania w tym miejscu. Nie był człowiekiem, który zamierza potajemnie uwolnić jeńca. Podszedł bliżej.

- Majere, muszę z tobą porozmawiać...

Rozbłysło jasne światło. We wnękach, gdzie lata temu chowali się walczący ze smokami rycerze solamnijscy, teraz stali rycerze Takhisis.

- Widzisz, czcigodny panie! - W przeraźliwym okrzyku Lilith pobrzmiwał triumfalny ton. Laska Magiusa płonęła jasno w jej dłoni. - Widzisz!

W ciemności rozległ się przepełniony głębokim smutkiem i gniewem głos lorda Ariakana. - Steel Brightblade rzeczywiście okazał się zdrajcą. Brać go!

Rozdział XVII

PUŁAPKA SIĘ ZATRZASKUJE

Rycerze wystąpili naprzód i chwycili Steela za ramiona. Nie wrywał się. Raz spojrzął na Palina i odwrócił oczy.

- Musicie mi uwierzyć! - Rzekł półgłosem Palin. Nie miałem z tym nic wspólnego!

- Steelu Brightblade, dlaczego tu przyszliście? - Spytał lord Ariakan. - Wasz szpon nie jest na służbie. Nie macie tu nic do roboty.

- Powód jest oczywisty, czcigodny panie! - Oznajmiła Pani Nocy. - Zakradł się tu, by uwolnić więźnia.

- Ja się nie zakradam - odparł chłodno Steel, sprowokowany do mówienia. - Widzieliście i słyszeliście mnie. Przybyłem jawnie.

- Po co? - Dopytywał się Ariakan.

Steel nie odpowiedział.

Lord Ariakan potrząsnął głową. - Błędem było przyjęcie was do zakonu, Brightblade. Niektórzy ostrzegali mnie przed tym - jego wzrok padł na Panią Nocy, która miała dość taktu (a może przytomności umysłu), by nie przybrać zarozumiałej miny - lecz inni zachęcali do tego, wśród nich arcykapłanka, która teraz spoczywa w grobie. Jesteście dobrym żołnierzem, honorowym, odważnym i wiernym. Tak, twierdzą, że wiernym - dodał, spoglądając z niechęcią na Panią Nocy.

- Jestem szczerze przekonany, Brightblade, że chcecie służyć naszej królowej całym swym sercem i duszą. Jednakże w tym sercu bije mroczna ambicja waszej matki, a dusza kryje szlachetność waszego ojca. Oba te elementy walczą ze sobą. Dlatego jesteście w rozterce. Jesteście groźni dla sprawy i niebezpieczni dla Objawienia. Skazuję was na śmierć, Steelu Brightblade. Wyrok zostanie wykonany natychmiast.

Jeden z rycerzy wy dobył miecz i podszedł do Steela.

Steel nie stawiał oporu ani nie protestował. Każde słowo jego władcy brzmiało

szczerze i szlachetnie, tak jak brzmi brzęk świetnego oręża.

Rycerz wzniosł miecz, gotów go wbić w pierś Steela.

- Czcigodny panie! - Krzyknął któryś z rycerzy. - On miał współników. - Rozległy się krzyki i odgłosy szamotaniny.

- Czy ten człowiek nigdy nie umrze? - Spytał niecierpliwie Ariakan. - A może królowej Takhisis tak bardzo zależy na jego życiu? - Szepnął po chwili namysłu. - Czekać na mój rozkaz! - Poleciał na głos. - Co znaleźliście?

- Jeszcze dwóch, czcigodny panie. - Rycerz wystąpił naprzód, ciągnąc za sobą Tasslehoffa i smukłą osobę w czarnej szacie z kapturem, który zasłaniał jej głowę i twarz. - Zdaje się, że Brightblade nie był sam.

Palinowi zaświtała nadzieja. - Raistlin! - Szepnął. - Przyszedł mój stryj!

Najwyraźniej to samo pomyślała Pani Nocy. Wybiegła naprzód, ściskając kurczowo w dłoni laskę Magiusa.

- Kim jesteś, czarodzieju? - Spytała Pani Nocy. - Zdejmij kaptur.

Postać w szacie uniosła głowę. W świetle laski zabłyśły złote oczy.

Pani Nocy w pierwszej chwili cofnęła się przestraszona. Odzyskując potem panowanie nad sobą, zaśmiała się szyderczo. - Nie jesteś magiem. Nie masz w sobie sił magicznych. - Szarpnięciem zerwała kaptur z głowy tajemniczej postaci.

Radosny okrzyk Palina przeszedł w jęk rozpacz. Błada i zalękniona Usha mrużyła oczy w świetle.

- Co tu się dzieje? - Ariakan był chyba już bardziej zdziwiony niż rozgniewany. - Kender i czarodziejka Czarnych Szat?

- To nie czarodziejka! - Rzuciła pogardliwie Pani Nocy.

- Nie ma więcej mocy magicznych od tej ściany. To szpieg!

- Nie wiem, o czym ona mówi! - Odezwał się Tasslehoff.

- Nie jesteśmy z tym rycerzem. Nie jesteśmy z nikim chyba że ze sobą nawzajem.

- Uciszcie tego małego robaka - powiedziała Pani Nocy.

- Nie, dajcie mu mówić - rozkazał sfrustrowany Ariakan.

- Coś tu się dzieje dziwnego i zamierzam to wyjaśnić. Postawcie go na ziemi. Kenderze, podejdź tu.

Tas poprawił swoje sakiewki, wystąpił naprzód i wyciągnął rączkę.

- Jak się pan miewa? Nazywam się Eiderdown Pakslinger. A to moja przyjaciółka Usha, bardzo potężna zła czarodziejka, więc na waszym miejscu nie

wchodziłbym jej w drogę. Jest córką Raistlina Majere! - Przerwał dramatycznie, aby jego słowa wywarły właściwe wrażenie.

Ariakan zlekceważył podsuniętą dłoń kendera i zmarszczył brwi.

Pani Nocy parsknęła pogardliwie: - Szpiedzy! Przyszliście razem z Brightblade'em. Podaj jego lordowskiej mości prawdziwy powód waszego przybycia.

- Właśnie próbuję - odpowiedział urażony Tas. Odwrócił się ponownie do Ariakana. - Może o tym nie wiesz, ale jestem złym kenderem. Tak, właśnie po to przybyłem - żeby zaproponować swe usługi Królowej Ciemności. Takhisis zmieniła moje życie. Jestem teraz bardzo niegodziwy. Jeśli zechcesz, zaraz ci to udowodnię. Patrz tylko!

Tas rzucił się biegiem. Kilku rycerzy chciało go łapać, lecz kender był od nich szybszy. Pędził przed siebie, zgrabnie uskakując z drogi rycerzom.

- Zabiję tego czarodzieja Białych Szat! - Krzyknął Tas.

Wydobył mały nożyk i wymierzył cios w brzuch Palina. Przesuwając ostrze w bok, przeciął więzy na nadgarstkach czarodzieja, krzyknął: - Łap! - I rzucił mu sztylet.

Zaskoczony i nie przygotowany Palin niezdarnie złapał nóż zdrętwiałymi dłońmi i udało mu się go nie upuścić.

Zadźwięczały miecze. Rycerz, który uprzednio pilnował Steela, odwrócił się, by złapać Palina.

Tasslehoff wdrapał się na stół i skoczył rycerzowi na plecy. Chwyając oburącz jego hełm, zsunął mu go na oczy. Cios mieczem, wymierzony prosto w Palina, chybił. Rycerz stracił równowagę. Razem z kenderem upadli na podłogę.

Inni rycerze skoczyli na nich.

- Twardość lodu! - Krzyknęła Usha. Uniosła błyszczący, przejrzysty kryształ.

Ramiona z mieczami zastygły, stopy znieruchomiały, usta się rozwarły. Chłód magii Irdów przeniknął rycerzy ciemności i skuł ich magicznym lodem.

Wszystkich z wyjątkiem Steela. Może ochronił go gwiazdny klejnot, może miecz, może złowrogi wpływ matki. On jeden ze wszystkich rycerzy w komnacie mógł się poruszać.

Trzymając w ręku nóż, Palin stanął plecami do stołu i spojrzał niepewnie na Steela.

- Jesteśmy kuzynami - rzekł. - Ocaliłeś mi życie. Nie chcę się z tobą bić.

Usha podbiegła do niego. W jednej ręce trzymała kryształ, w drugiej malutką figurkę białego konia. - Czemu nie przyłączysz się do nas? Chodź z nami! Oni chcą

zabić też ciebie!

Steel ze smutkiem zmarszczył czoło. Miecz miał do połowy wysunięty z pochwy.

- Mój pan jest sprawiedliwy.

- Jak cholera! - Zaklął Palin. Zamachnął się nożem, zmuszając Steela, by się odsunął. - Ty chcesz umrzeć, tchórze! Boisz się żyć!

Steel popatrzył wściekle i schował miecz do pochwy.

Palin zachował ostrożność. Opuścił sztylet. - Pójdziesz...

Steel skoczył do przodu. Łapiąc Palina za nadgarstek ręki, w której ten trzymał nóż, pchnął maga do tyłu i uderzył jego ręką o blat kamiennego stołu.

Mimo krwawiącej rany, Palin kurczowo ścisnął swój jedyny oręż. Steel znów uderzył jego dłonią o stół. Palin jęknął z bólu i wypuścił sztylet. Broń spadła ze stukiem na podłogę.

Rozległ się ogłuszający, zatrzymujący serce wybuch, od którego Wieża Najwyższego Klerysta zatrzęsa się w posadach. Podłogi zadrżały, ściany zadygotały i popękały. Kryształ wypadł Ushy z dłoni, spadł na stół i roztrzaskał się. Czar prysł.

- Co...? - Zaczął Ariakan.

Wieżę zakołysała kolejna przerażająca eksplozja, która powaliła na kolana wielu rycerzy. Steel zachwiał się i poleciał do tyłu na Palina, który instynktownie przytrzymał się go, aby obaj nie upadli.

- Niech ktoś się dowie, co tam się dzieje! - Ryknął Ariakan. - Czy ktoś nas atakuje?

Na rozkaz Ariakana kilku ludzi pobiegło w stronę wyjścia. Reszta została z więźniami.

- Czcigodny panie! Gdzie jest lord Ariakan? - Przez tłum przepychał się młody giermek, który ze strachu miał wytrzeszczone oczy.

- Tu jestem! - Krzyknął Ariakan wśród zamętu.

- Panie! - Giermek ledwo zapał. - Wieża!... Strzelił w nią piorun! Dwukrotnie, czcigodny panie! Straszny piorun! Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem! Uderzył z niebios jak ciśnięta włócznia. Trafił nas dwukrotnie - powtórzył zdjęty lękiem. - Dokładnie w to samo miejsce! I... I...

Zaczerpnął głęboko tchu. - Smoki, czcigodny panie! Setki smoków... Złotych, srebrnych...

- Jesteśmy atakowani - stwierdził posepnie Ariakan i wyciągnął miecz.

- Nie, panie! - Giermek mówił już zachrypniętym szeptem i wszyscy wokół

ucichli, by go usłyszeć. - Razem ze złotymi smokami lecą czerwone. Niebieskie lecą tuż obok srebrnych. Na północnym nieboskłonie pali się przerażające światło, makabryczna czerwona luna, która nasila się i rozprzestrzenia, jakby wszystkie drzewa w północnych lasach stanęły w ogniu. Czuć zapach dymu...

Przez otwarte wrota wpełzały cienkie szare pasemka. Rozległ się kolejny huk i znów wieża się zatrzęsała. Oderwana od ściany obręcz spadła z łoskotem na posadzkę, a osadzona w niej pochodnia zgasła. Zazgrzytały żelazne wrota, zakołysały się łańcuchy. Ze sklepienia posypały się kłęby duszącego pyłu. Zaniepokojeni rycerze wymienili spojrzenia. Byli dzielnymi ludźmi; nikt nie wątpił w ich odwagę, jednak nie uśmiechało im się zostać żywcem pogrzebanymi.

Palin i Usha przywarli do siebie, spleceni ramionami. Tasslehoff, trzymany z całych sił przez rycerza, rozpaczliwie wyrywał mu się z rąk. - Chcę zobaczyć! - Błagał. - Proszę, proszę, proszę! Możesz później mnie zabić! Obiecuję. Słowo honoru. Pozwól mi tylko popatrzeć!

Steel popatrzył uważnie na Panią Nocy. - Wieża trafiona piorunem... - Szeptał.

Lord Ariakan szybko wydał rozkazy i posłał żołnierzy na górę najbliższymi schodami.

- Zwołajcie spotkanie moich dowódców - rozkazał. W marszu wydawał polecenia adiutantom i zastępcom, którzy go otaczali. - Niech wszyscy dostarczą mi raporty o tym, co widzieli i słyszeli. Sam porozmawiam ze smokami. Poślijcie po Pana Czaszek.

- Co mamy zrobić z jeńcami, panie? - Spytał ktoś.

Ariakan niecierpliwie machnął ręką. - Nie mam...

- Zabić ich, czcigodny panie! - Krzyknęła Pani Nocy i miała czelność schwycić Ariakana za ramię. - Zabij ich natychmiast! Oni! Oni... Są tego powodem! Wyczytałam to z kamieni wróżebnych.

Zniecierpliwiony Ariakan odtrącił kobietę. - Niech cię diabli porwą wraz z twymi kamieniami wróżebnymi, Lilith! Precz mi z drogi! - Odepchnął ją.

Pani Nocy usiłowała odzyskać równowagę, lecz potknęła się o laskę Magiusa, która zaplątała jej się pod nogami. Czarodziejka upadła do tyłu na podłogę, pod jedną z żelaznych krat, którymi niegdyś przytrzymywano smoki.

Kolejny rozsadzający bębenki w uszach grom zadudnił w wieży. Obluzowana wstrząsami poprzednich wybuchów krata zerwała się z zawiasów i poleciała w dół.

Pani Nocy ujrzała pędzącą ku niej śmierć i próbowała się wyczołgać. Nie była jednak dość szybka. Ostre jak włócznie żelazne pręty, których zadaniem było przebić

twardą, luskowatą skórę smoków, bez trudu zagłębiły się w miękkim ciele Pani Nocy. Krata z łomotem zatrzymała się na kamiennej posadzce, przyspilażając Lilith.

Kobieta przeraźliwie wrzasnęła i złapała pręty, którymi była przebita, jakby mogła je wyrwać z ciała. Ze straszliwych ran trysnęła krew. Uścisk rozluźnił się i ręce bezwładnie opadły na podłogę. Palce sięgnęły laski Magiusa, dotknęły jej i zadrżały. Woreczek z wróżebnymi kamykami otworzył się, agaty się rozsypały i potoczyły ku rosnącej kałuży krwi. Oczy czarodziejki stanęły w słup. Dłoń na lasce zeszywniała, a potem zwisała bezwładnie.

Lord Ariakan spojrział ze zgrozą na trupa. Mimo czarnego zarostu widać było straszną bladość na jego twarzy. Na skórze perlił się pot. - Widziałem wiele postaci śmierci, lecz rzadko tak okropną. To znak! Niech nasza królowa zmiłuje się nad jej duszą.

Rozejrzał się, szukając kogoś wzrokiem. Zauważywszy Palina, skinął na niego.

- Majere, podejdź tu. Nie obawiaj się. Wtedy na dziedzińcu powiedziałeś mi, że Chaos pragnie nas zniszczyć. Czy to początek?

Palin zawahał się, po czym odpowiedział cicho: - Tak sądzę, panie, ale nie jestem pewny.

Ariakan zrobił głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze z płuc. Otarł pot z twarzy. - Chcę jeszcze z tobą porozmawiać, czarodzieju Białych Szat. Brightblade, zabierzcie go. Obaj pójdziecie ze mną.

Palin wskazał Ushę i Tasslehoffa.

- Chciałbym zabrać ze sobą moich przyjaciół - oznajmił. - Chcę być pewny, że nic im nie grozi.

- Zgoda! - Ariakan był zniecierpliwiony. - Chodźmy stąd, zanim ta przeklęta Wieża nie zawali się nam na głowy!

- Chcę też - ciągnął Palin, nie ruszając się z miejsca - odzyskać laskę.

- Bierz ją! - Rzucił ponuro Ariakan. - Wątpię, by ktokolwiek jeszcze miał ochotę na tę przeklętą rzecz. Brightblade, odprowadźcie tych troje do mojej kwatery.

- Tak, panie - rzekł Steel.

Lord Ariakan oddalił się spiesźnie, zostawiając wszystkich czworo w pułapce na smoki.

Palin podszedł do Pani Nocy, która leżała w kałuży własnej krwi pod żelaznymi prętami kraty. Kiedy schylił się, by podnieść laskę, zobaczył wytrzeszczone oczy czarodziejki i jej wykrzywioną grymasem bólu twarz. Wyczuwał zapach wciąż jeszcze

cieplej krwi.

Czy to laska ją zabiła? Czy odegrała w tym jakąś rolę, zwabiła ją w pułapkę, świadomie podcięła jej nogi? A może był to jedynie niesamowity wypadek? Wyciągnięta po laskę dłoń Palina znieruchomiła i zadrżała.

Usha podbiegła do młodego maga i wzięła go pod rękę. Palin z wdzięcznością wsparł się na jej ramieniu.

Tas wytarł krew z oczu końcem swej kity. - Pośpiesz się, Palinie! Chcę zobaczyć, co tam się dzieje!

- Podam ci laskę, jeśli ty się brzydzisz, Majere rzekł z pogardą Steel.

Palin odepchnął rycerza. Patrząc jedynie na magiczny przedmiot, zaczerpnął głęboko tchu, nachylił się i wyciągnął laskę spod martwej dłoni.

Kiedy już miał ją w rękę, powoli zaczął się prostować. Tuż przed nim stał ktoś w czarnej szacie z kapturem.

Zaskoczony i pełen obaw Steel wyciągnął miecz. Palin rzucił się, by go zatrzymać. - Nie rób tego! To mój stryj!

Raistlin spoglądał na Steela pozornie bez większego zainteresowania. Wkrótce zwrócił oczy ku Palinowi. - Dobrze się spisałeś, bratanku.

- Stryju, jak... - Zaczął Palin.

Niski pomruk, zdający się dobiegać spod ziemi, a nie z niebios, sprawił, że posadzka zatrzęsała się im pod nogami. Gdzieś w pobliżu rozległ się huk.

- Nie czas teraz na pytania - stwierdził Raistlin. Chwycił Palina i gestem wezwał do siebie Ushę i Tasslehoffa. - Dalamar zajął się moją podróżą. Czeka na nas w Wieży Wielkiej Magii.

- Nigdzie nie pójdziesz, Palinie - oznajmił zawzięcie Steel - chyba że na spotkanie z lordem Ariakanem. Razem ze swoim stryjem.

Palin zawahał się. - Obiecałem porozmawiać z Ariakanem. Może powinniśmy...

- Czas rozmów minął. Rozpoczęła się bitwa. W tej chwili lord Ariakan wkracza w sam jej środek.

Oczy Raistlina spoczęły na Steelu. - Gdzie indziej potrzebują twego miecza, synu Brightblade'ów. Pozwól nam odejść w pokoju.

Steel usłyszał prawdę, która wyzierała ze słów maga. Do podziemi Wieży docierały odgłosy walki.

Raistlin zbliżył się do niego z szelestem czarnych szat zamiatających kamienną posadzkę. Steel śledził go nieufnym wzrokiem i wydobył miecz.

- Poznaję ten oręż - stwierdził spokojnie Raistlin. - Należał do twego ojca, prawda? Nigdy nie przepadałem za twoim ojcem. Cała ta mowa o rycerskim honorze, o szlachetności. Tak się nim pysznił, chełpił, rzucał mi go w twarz.

Steel milczał, tylko mocniej ścisnął rękojeść miecza, aż zbieleły mu kostki.

Raistlin podszedł jeszcze bliżej.

- Wtedy dowiedziałem się czegoś bardzo interesującego o twoim ojcu. Okłamał nas. Sturm Brightblade nie był bardziej rycerzem niż ja. Pasowano go na rycerza na krótko przed śmiercią. Przez cały ten czas nosił zbroję i miecz... A wszystko to było fałszem.

Raistlin wzruszył ramionami. - I wiesz co? Kiedy to odkryłem, zapalałem do niego większą sympatią.

- Bo przypuszczałeś, że zniżył się do twojego poziomu - wychrypiął Steel.

Raistlin uśmiechnął się gorzko półgębkiem. - Ty byś tak pomyślał, prawda, Brightblade? Nie, nie w tym leżała przyczyna.

Raistlin podszedł tak blisko, że Steel czuł chłód bijący z wątego ciała maga, słyszał rżenie jego oddechu w płucach, czuł muśnięcie czarnego aksamitu.

- Twój ojciec okłamywał wszystkich, z wyjątkiem jednej osoby, siebie. W głębi serca Sturm był rycerzem. Zasłużył na ten tytuł bardziej niż wielu, którzy go rzeczywiście nosili. Sturm Brightblade przestrzegał praw, których nikt nie narzucał. Żył według zasad szlachetnego kodeksu, w który nikt poza nim nie wierzył. Złożył przysięgę, której nikt nie słyszał. Tylko on sam... I jego bóg. Nikt nie wymagałby od niego posłuszeństwa przysiędze i regule. Uczynił to sam. On znał siebie.

- Kim ty jesteś, Steelu Brightblade? - Złote, klepsydrowe oczy Raistlina zabłyśły. - Czy to wiesz?

Steelowi krew odpłynęła z twarzy. Otworzył usta, lecz nie padły z nich żadne słowa. Po policzku pociekła mu łza. Rycerz spuścił głowę tak szybko, że długie czarne włosy spadły mu na twarz.

Pełnym złości gestem wsunął miecz do pochwy. Zawrócił i bez oglądania się na pozostałych pobiegł w stronę schodów, skąd dochodziły odgłosy walki.

Rozdział XVIII

WSZYSCY MUSZĄ ZJEDNOCZYĆ SIŁY

Raistlin stał przy oknie w komnacie na szczycie Wieży Wielkiej Magii w Palanthas. Arcymag znów był w swym starym gabinecie, który - jak zauważył ze zdumieniem i pewnym rozbawieniem - Dalamar zostawił w takim stanie, w jakim opuścił go jego *shalafi*. Pokój ten nie był odcięty od reszty świata jak pracownia pełna niebezpiecznie potężnych artefaktów i mrocznych, niepokojących tajemnic.

Pewne przedmioty, głównie magiczne, zabrano stamtąd i przeniesiono, być może do komnat Dalamara albo do sal lekcyjnych, gdzie badali je starający się zgłębić tajemnice magii młodzi uczniowie. Jednak pokryte zawilą snycerką drewniane biurko wciąż stało w gabinecie. Książki na półkach były starymi przyjaciółmi Raistlina - znał ich okładki nawet lepiej niż twarze ludzi z minionych lat. Na podłodze leżał ten sam dywan, choć zdecydowanie bardziej wytarty.

Usha siedziała w tym samym fotelu, w którym odpoczywała kiedyś pani Crysania. Raistlin spoglądał w przestrzeń, pragnąc ujrzeć oblicze Crysanii. Przesłaniał je welon cienia. Mężczyzna potrząsnął głową i znów odwrócił się w stronę okna.

- Co to za dziwne światło na północy? - Spytał.

- To płonie Ocean Turbidus - odparł Dalamar.

- Co takiego? - Krzyknął wystraszony Palin i zerwał się z krzesła. - Jak to możliwe?

- Chcę zobaczyć! - Tas przepychał się do okna.

Nocne niebo było ciemne, lecz nie od strony północnej. Tam jaśniała okropna, pomarańczowoczerwona luna.

- Morze się pali! - Rzekł przerażony Palin.

Tas westchnął. - Chciałbym to zobaczyć.

- Jeszcze możesz mieć okazję. - Dalamar szukał czegoś wśród ksiąg na półkach. Zatrzymał się i odwrócił do gości. - Wysłano tam członków Konklawe, by zbadali sytuację. Donoszą, że w oceanie pomiędzy Ansalonem i Smoczymi Wyspami

otworzyła się wielka szczelina. Z niej bucha ogień, przez co woda wyparowuje z oceanu. To, co widzicie, to kłęby pary wodnej, które odbijają ten przerażający blask.

- Z tej rozpadliny wylatują ogniste smoki, których dosiadają piekielne stwory i jakieś widmowe istoty. Nie sposób ich zliczyć. Z każdego jęzora płomieni, który liże kruszące się brzegi rozpadliny, buchają w niebo straszliwe smoki stworzone z ognia i magii. Ich jeźdźcy powstałi ze skłębionej ciemności Chaosu. Nieziemskie wojska atakują w tej chwili Wieżę Najwyższego Klerysta. Wkrótce ruszą do natarcia na pozostałe strategiczne miejsca na całym Ansalonie. Otrzymaliśmy już doniesienia, że krasnoludowie z Thorbardinu toczą walki z tymi potworami w podziemnych jaskiniach.

- Co z tą księgą? - Spytał od niechcienia Raistlin.

- Nie mogę jej znaleźć! - Dalamar mruknął coś pod nosem i wrócił do poszukiwań.

- Mój lud - powiedziała drżącym głosem Usha. - Co z moim ludem? Oni... Oni żyją w pobliżu.

- Twój lud był odpowiedzialny za ściągnięcie na nas tego nieszczęścia - zauważył zgryźliwie Raistlin.

Mag zmierzył Ushę nieprzychylnym wzrokiem tak, że aż się skuliła. Spojrzała na Palina, szukając u niego otuchy, lecz ten unikał jej od chwili, gdy wrócili z Wieży. Jego stryj przez cały czas nie spuszczał ich z oczu. Najwyraźniej Usha nie powiedziała jeszcze Palinowi prawdy. Może to i lepiej, biorąc pod uwagę, co ich jeszcze czekało. Może to i lepiej...

- Co robi Konklawe? - Palin wypytywał Dalamara.

- Usiłuje poznać budowę i charakter tych czarodziejskich istot, abyśmy mogli z nimi walczyć. Niestety, można tego dokonać jedynie przez bezpośredni z nimi kontakt. Jako przełożony Konklawe dobrowolnie zgłosiłem się do wykonania tego zadania.

- To niebezpieczna misja - zauważył Raistlin, oglądając się na elfa ciemności, który kiedyś był jego uczniem. - I najprawdopodobniej nie powrócisz z niej.

- To już nie będzie takie ważne, prawda? - Stwierdził Dalamar, wruszając ramionami. - Byłeś obecny, kiedy dyskutowaliśmy o tym na zebraniu Konklawe. Jeśli nasze teorie się potwierdzą, to już zupełnie nie będzie ważne.

- Pójdę z tobą, panie - zaproponował Palin. - Nie zajmuję zbyt wysokiego stanowiska, ale mogę się przydać.

- Bogowie potrzebują pomocy nas wszystkich. Szczególnie liczy na nią nasza

Królowa Ciemności. Mimo to wciąż usiłuje tak pokierować wydarzeniami, by wygrać kosztem pozostałych - mówił do siebie Raistlin. - Ma nadzieję, że wyjdzie z tego zwycięsko.

- Lepiej niech ma nadzieję, że w ogóle z tego wyjdzie - zgryźliwie stwierdził Dalamar.

- Więc weźmiesz mnie ze sobą? - Spytał Palin, ściskając w rękę laskę.

- Nie, młody magu. Nie rób takiej przygnębionej miny. Jeszcze będziesz miał okazję umrzeć. Powierzam ci inną misję. Pójdzie ze mną przełożony bractwa Białych Szat, Dunbar Mastermate, jak również Jenna, która reprezentuje Czerwone Szaty. Mamy nadzieję, że nawet jeśli zginiemy, wieść o naszych odkryciach dotrze do Konklawe w porę, by przynieść jakiś pożytek.

- Nie dotrze w porę, by ocalić obrońców Wieży Najwyższego Klerysta - oznajmił Raistlin, wyciągając rękę. Ognisty blask na niebie zapalał łunę na szczytach gór i płonął coraz jaśniej, czyniąc z nocy niesamowity i przerażający dzień. - Rycerze już zostali zaatakowani.

- Szkoda, że nie ma tu Tanisa - rzekł ze smutkiem Tas.

- On zawsze umiał poradzić sobie z takimi sprawami.

- Tanis Półelf toczy własny bój na innej płaszczyźnie - oznajmił Raistlin. - Tak samo elfowie, krasnoludowie i kenderzy.

- Czyżby zaatakowano Kenderówek? - Spytał Tas, czując ściskanie w gardle.

- Cały Ansalon, panie Burrfoot - odpowiedział Dalamar.

- Wszystkie istoty, bez względu na przekonania, zmuszone będą porzucić kłótnie i walczyć o przetrwanie.

- Może tak zrobią - powiedział Raistlin. - Może nie. Na Ansalonie szerzy się zaciekle nienawiść. Naszą jedyną nadzieją jest przymierze... A na to są niewielkie szanse.

- Odeślesz mnie do domu, Dalamarze? - Spytał Tas. Wyprostował się dumnie. - Od Laurany otrzymałem wiele cennych wskazówek, jak być dobrym generałem. Dowiedziałem się, na przykład, że nie należy dawać sygnału do odwrotu na początku bitwy, bo od tego żołnierze tracą orientację, nawet jeśli jest to śliczna melodyjka na trąbkę, a ja chciałem tylko sprawdzić, czy umiałbym ją zagrać. Gdybyś więc przeniósł mnie czarami do Kenderówka, pragnąłbym zrobić wszystko, co w mojej mocy, by pomóc.

- Obawiam się, że w Kenderówku będą musieli poradzić sobie bez generała -

stwierdził Raistlin. - Zdaje mi się, że przypomniałem sobie, gdzie trzymano ten wolumin. - Poszedł, aby pomóc w poszukiwaniach. - Twoje umiejętności będą potrzebne gdzie indziej.

Tasslehoff sapnął ze zdumienia. Chciał coś powiedzieć, lecz zdołał jedynie wykrztusić: - Czy zechciałbyś... Zechciałbyś to powtórzyć, Raistlinie?

- Co powtórzyć? - Spytał poirytowany mag.

- Powtórzyć, że jestem... Potrzebny - wyjąkał Tas, uporawszy się ze ściskaniem w gardle. - Fizban też tak uważał, ale on miał trochę kuku na muniu - brak mu było piątej kleпки, jeśli wiesz, co mam na myśli. Bez obrazy - dodał, podnosząc oczy ku niebu. - Razem doszliśmy do wniosku, że skoro jestem małą osobą, mogę pomagać w małych sprawach, jak na przykład ratowanie krasnoludów żlebowych, których smok miał zjeść na śniadanie. Większe sprawy powinienem zostawić dużym ludziom.

- Teraz duzi ludzie oczekują od ciebie pomocy - rzekł Dalamar. - Wysyłamy cię z Palinem.

- Słyszałeś, Palinie? Idę z tobą! - Oznajmił podniecony Tas.

- Słyszałem. - Palin bynajmniej nie okazał entuzjazmu.

- Tu jest. - Raistlin zdjął książkę z półki i położył ją na biurku.

Razem z Dalamarem z zapalem nachylili się nad tomem i niecierpliwie przerzucali jego kartki.

Tasslehoff zaczął kręcić się po komnacie, badając rozmaite osobliwe przedmioty, które stały na stolikach i ozdabiały gzyms nad kominkiem. Wziął do ręki coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak lity kawałek drewna, lecz po bliższym przyjrzeniu się okazało się, że są tam niezliczone maleńkie szufladki, które przemyślnie zamaskowano.

Pudełko miało już szybko zniknąć w jednej z toreb Tasa, lecz nagle kender się powstrzymał. Wziął puzderko do ręki, przyglądał mu się tęsknie i gładził je palcami. Westchnął i ostrożnie odstawił je wysoko na gzyms kominka.

- Wybieram się na ważną misję - powiedział poważnie. - Nie chcę za bardzo się obciążać.

- Teraz już wiem, że zbliża się koniec świata - mruknął Dalamar.

- To ten ustęp - powiedział Raistlin. - Widzisz, dobrze go zapamiętałem.

Dalamar nachylił się nad księgą. Obaj czytali, co jakiś czas szepcząc dziwne słowa.

Palin z całych sił pragnął usłyszeć, o czym mówią; słowa brzmiały po elfiemu,

lecz musiał być to stary język elfów, rozumiał bowiem mniej więcej co dwudzieste słowo. Widząc, że stryj jest zajęty, Palin podszedł do Ushy.

Dziewczyna kulila się w fotelu, patrząc bojaźliwie na czerwoną poświatę na niebie.

Palin dotknął jej ramienia gestem dodającym otuchy. Szybko wyciągnęła rękę, chwyciła go za dłoń i mocno ścisnęła.

- Boję się o nich - rzekła, czując, jak coś ją dławi. - Ta luna... Taką samą widziałam tej nocy, gdy odpłynęłam. Tylko... Teraz jest dużo jaśniejsza. Martwię się, Palinie. Twój stryj ma rację. Oni - my - ściągnęliśmy na wszystkich nieszczęście!

- Nie martw się - powiedział serdecznie Palin, gładząc jej błyszczące włosy. - Irdowie władają potężną magią. Kiedy wrócę...

Usha podniosła na niego oczy. - Jak to, kiedy wrócisz? Dokąd się wybierasz? Idę z tobą! - Wstała, trzymając mocno Palina za rękę.

- Zdecydowanie to jest to, czego szukamy - oznajmił Dalamar, wstając.

- Tak, chyba masz rację - szepnął Raistlin. Zaczął kaszleć, ale szybko wrócił do siebie i wytarł usta chusteczką.

Ktoś zapukał. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i stanęła w nich Jenna.

- Dalamarze - powiedziała cicho - już czas. - Mam składniki zaklęć i zwoje, o które prosiłeś.

- Muszę już iść - rzekł Dalamar. - Nie mamy czasu do stracenia. Udzielisz niezbędnych wskazówek Palinowi i kenderowi, *shalafi*

Raistlin potrząsnął głową. - Nie musisz mnie tak nazywać. Nie jestem już twoim nauczycielem.

Dalamar uśmiechnął się gorzko i posepnie. Odpiął broszę w kształcie czarnego łabędzia i rozsunął na piersi fałdy czarnej, aksamitnej szaty. Na gładkiej skórze elfa widniało pięć świeżych i krwawiących ran tego samego kształtu i wielkości co koniuszki pięciu palców.

- Zawsze będziesz moim nauczycielem - oznajmił Dalamar. - Jak widzisz, co dzień zgłębiam lekcję, jakiej mi udzieliłeś.

- I jak widzę, wyszło ci to na dobre - zauważył chłodno Raistlin. Palcami prawej dłoni zaczął cicho stukać o blat stołu.

- Podziwiałem cię - ciągnął półgłosem Dalamar. - Nadal podziwiam. - Szybkim, gwałtownym ruchem dłoni zasunął fałdy szaty, przesłaniając rany. - I będę cię wiecznie nienawidził.

Odwrócił się do Palina. - Żegnaj, Majere. Niech cię błogosławią wszyscy bogowie magii.

- Niech błogosławią nas wszystkich - rzekła cicho Jenna. - Żegnaj, Palinie Majere. Żegnaj i ty - uśmiechnęła się przekornie - Usho Majere.

Jenna podała dłoń Dalamarowi. Mężczyzna wziął ją za rękę, wypowiedział szybko słowa zaklęcia i oboje zniknęli.

Palin nie pożegnał się z nimi. Nie odrywał wzroku od Raistlina. - Dokąd mam iść, stryju? Gdzie mnie wysyłasz?

- I mnie! - Spytał ochoczo Tas.

- I mnie - powiedziała stanowczo Usha.

- Nie... - Zaczął Palin.

- Tak - gładko mu przerwał Raistlin. - Dziewczyna idzie z tobą. Musi. Tylko ona zna drogę.

- Moje rodzinne strony! - Usha zrozumiała go natychmiast. Wstrzymała oddech. - Odsyłasz mnie do domu!

- Wysyłam cię, żebyś to przyniosła. - Raistlin dotknął chudym palcem obrazka w książce, którą czytał z Dalamarem. Palin nachylił się, by popatrzeć.

- Szary Klejnot! Ale... On jest rozbity. Tak powiedzieli bogowie.

- Jest rozbity - zgodził się Raistlin. - Waszym zadaniem będzie go naprawić. Najpierw jednak musicie ukraść go tym, którzy go pilnują. - Zerknął znacząco na Ushę.

- Będziesz nam towarzyszył, stryju?

- Tylko duchem - odparł Raistlin. - Udzielę wam wszelkiej pomocy, na ile będę mógł. Nie jestem z tego świata, Palinie - dodał, widząc rozczarowanie bratanka. - Moc mnie opuściła. Mogę działać jedynie przez ciebie.

Palin nie mógł wyjść ze zdziwienia. - Dumny jestem, że pokładasz we mnie takie zaufanie, ale - dlaczego wysyłacie mnie? Są inni magowie, dużo ode mnie potężniejsi...

- W tej wojnie biorą udział wszyscy magowie Krynnu. Szaty Szare i Czerwone, Białe i Czarne, mistrzowie sztuki czarnoksięskiej i najmarniejsi uczniowie. Konklawe uznało, że jesteś najodpowiedniejszą osobą do tego szczególnego zadania. Czemu? Mieli swoje powody, które po części pochwaląłem, a po części nie. Wystarczy, jeśli powiem, że jednym z nich były więzy łączące cię z tą dziewczyną Irdów, a drugim te, które łączą cię ze mną. Masz laskę Magiusa i co być może najważniejsze, raz już

zdołałeś zapanować nad Szarym Klejnotem.

- Nie tyle zapanowałem nad nim, co go oszukałem - stwierdził z żalem Palin. - Nie byłem też sam. Pomógł mi Dougan Redhammer.

- Tym razem też otrzymasz pomoc. Nie idziesz sam. - Raistlin rzucił okiem na Tasslehoffa, który rozsiadł się na podłodze i przeglądał zawartość swych toreb.

Palin spojrział w tym samym kierunku, a potem zbliżył się do Raistlina.

- Stryju - szepnął Palin - pójdę, gdziekolwiek każesz i dokładnie wypełnię twoje polecenia. Usha pójdzie ze mną, żeby poznać los swego ludu. Czy jesteś jednak pewien, że należy wysłać Tasslehoffa? Przyznaję, że Tas jest najlepszym kenderem, jaki żył na tym świecie, ale... No cóż... To przecież kender...

Raistlin położył dłoń na ramieniu Palina.

- Dlatego go wysyłamy. Kenderzy odznaczają się czymś szczególnym, czego będziecie potrzebowali. Nie znają strachu. - Raistlin zacisnął dłoń. Jego palce wpiły się Palinowi w ramię. - A tam, gdzie się udajesz, będzie to nieocenione.

Rozdział XIX

POGŁOSKI.

GROMY I PŁOMIENIE.

STATEK PODNOSI ŻAGLE

Tego gorącego poranka ludzie tłumnie oblegali port u brzegów Zatoki Branchali. Szare powietrze przesycił dym. Mieszkańcy Palanthas słyszeli gromy bijące w górach, gdzie szalała straszliwa burza. Po mieście krążyły alarmujące pogłoski, które szerzyły się jak płomień rozdmuchany przez samych opowiadających i płonęły tym szybciej i groźniej, im dalsze zataczały kręgi.

Niebo na północnym horyzoncie zalewała złowieszcza luna, która zakłóciła rytm natury, zmieniając noc w dzień. Początkowo sądzono, że w mieście wybuchł wielki pożar. Niektórzy twierdzili, że płonie wielka biblioteka. Inni przysięgali, że słyszeli, jakoby paliła się Wieża Wielkiej Magii. Niejeden miał znajomego, który widział płomienie buchające z okien świątyni Paladine'a.

Nikt nie mógł spać. Wszyscy byli wzburzeni. Ludzie biegli do świątyni i biblioteki, by zgłosić się na ochotnika do walki z żywiołem, jednakże zaskoczeni stwierdzali, że pożaru nie ma. Mieszkańcy Palanthas wylegli na ulice, by obserwować stale rosnącą czerwoną poświatę. Zdenerwowani ludzie zbijali się w ciasne grupki, słuchali najnowszych plotek, odrywali się od jednej grupy i biegli do następnej. W całym mieście biły dzwony, odzywając się to tu, to tam, gdy jedna pogłoska wypierała drugą i ktoś uznawał, że należy to ogłosić.

Początkowo rycerze Takhisis próbowali przywrócić ład i porządek w mieście. Maszerowali zbrojnie ulicami, rozpędzali tłumy i nakłaniali ludzi, by powrócili do swych łóżek. Pozamykali karczmy i usiłowali uciszyć dzwony. Nad ranem bicie dzwonów zastąpiły werble. Widziano, jak wcześniej maszerujący ulicami rycerze opuszczają miasto przez bramę, która wychodziła na drogę do Wieży Najwyższego Klerysta. Wkrótce mieszkańcy Palanthas pojęli, że miasto odzyskało wolność.

Wybuchła wielka radość. Plotki rozchodziły się teraz szybko. Lud elfów powstał i przypuścił atak na rycerzy ciemności. Lud krasnoludów z kolei ruszył do ataku. Krasnoludowie i elfowie... I tak dalej, aż ktoś zaklinał się, że słyszał o armii kenderskich saperów, która podkopuje mury Wieży Najwyższego Klerysta. Znow uderzono w dzwony, tym razem na cześć zwycięstwa. Dzwony wkrótce ucichły.

Przed południem do portu spiesznie zawinęły pierwsze statki. Ich załogi twierdziły, że widziały morze w ogniu, że czerwona luna na niebie biła od strasznych, czarodziejskich płomieni, dla których woda była jedynie paliwem. Na wieść o tym ludzie zbiegli się do przystani, by posłuchać opowieści żeglarzy i przyjrzeć się migotliwej, czerwonej poświacie - temu zachodowi słońca o niewłaściwej porze dnia i na niewłaściwym horyzoncie.

Wtedy przyszła wieść, że w górach Vingaard płoną lasy, że Wieżę Najwyższego Klerysta oblega straszliwa i nieznana potęga, ta sama, która z taką łatwością pali wodę, jakby była wyschniętym drewnem na opał. Znad płonących wzgórz nadciągała nad miasto chmura dymu. Pożar lasu był jeszcze daleko i nie stanowił zagrożenia, lecz gdyby wiatr się zmienił...

- Gdzie zostawiłaś łódkę? - Palin spytał Ushę, kiedy wszyscy troje minęli bramę Starego Miasta i ruszyli w stronę portu.

- W przystani dla ludności. Zapłaciłam krasnoludowi, żeby się nią zajął. Och, Palinie! - Krzyknęła zrozpaczona Usha i zatrzymała się. - Spójrz na ten tłum! Jak my się przez niego przedostaniemy?

W porcie zgromadziła się połowa miasta. Mieszkańcy Palanthas czekali na przybycie kolejnego statku, rozmawiając półgłosem z sąsiadami lub w ponurym milczeniu obserwując dziwne niebo. Od przystani Palina i towarzyszy dzieliła ściana ludzi. Żywy mur falował z prądem i nurtem pogłosek, a tworzący go tłum cały czas był ciasno zbity.

- To? Phi! To żaden kłopot - stwierdził wesoło Tas. - Chodźcie za mną.

Podszedł do najbliższej grupy mieszczan, którzy wachlowali się, ocierali pot z czoła i rozmawiali przyciszonymi, pełnymi podniecenia głosami, zatrzymując każdego przechodnia i wypytyjąc o nowiny.

- Przepraszam - rzekł głośno Tasslehoff. Złapał jednego z członków cechu za długi, powłóczył rękaw. - Razem z przyjaciółmi próbuję...

- Kender! - Wrzasnął mężczyzna. Łapiąc się jedną ręką za mieszek, a drugą za wysadzany klejnotami wisior na szyi, odskoczył jakieś trzy kroki.

Zderzył się mocno plecami z innym mężczyzną, który dyskutował w drugiej grupie. Ten z kolei odwrócił się i ujrawszy Tasa, chwycił się za sakiewkę i czym prędzej zrobił trzy kroki. Wkrótce ludzie potrącali się, popychali i szturchali łokciami, byle zejść mu z drogi.

- Dziękuję - rzekł uprzejmie Tasslehoff i ruszył dalej - ścigany przez Palina i Ushę - dopóki nie wpadł na kolejny fragment ludzkiego muru, gdzie jego przenikliwy wrzask: - Przepraszam! - Rozpoczął cały proces od nowa.

W ten oto sposób wszyscy przedostali się przez tłum dużo łatwiej i szybciej, niż początkowo sądzili. Wprawdzie ich przejściu towarzyszyły gwałtowne zakazy zbliżania się, okrzyki: „Hej! Oddaj to w tej chwili!” Oraz od czasu do czasu jakaś szamotanina, ale było to mało znaczącym utrudnieniem, na które nie należało zwracać uwagi.

Większość ludzi skupiła się pod miejskim murem albo wokół przystani handlowej, gdzie szalupy przywoziły na brzeg załogi i pasażerów wielkich statków, które kotwiczyły na redzie. Przy samym wybrzeżu tłum się przerzedzał.

Na maszcie nad kapitanatem wisały nieruchomo flagi ostrzegawcze. Żeglarze ich jednak nie potrzebowali. Sami widzieli, że tego burzliwego poranka nikt zdrowy na umyśle nie wypłynąłby w morze.

Usha nie była żeglarzem. Nie miała pojęcia o flagach, a nawet gdyby coś wiedziała, zlekceważyłaby ostrzeżenie. Płynęła do domu. Miała zamiar odkryć prawdę - bez względu na to, jak straszna mogła się okazać.

Strach chyba wyostrzył jej zmysły, przede wszystkim wzrok, bowiem wśród masy innych łodzi bez trudu znalazła swoją.

- Tam! - Wskazała.

Palin z powątpiewaniem spojrział na łódkę. - Wydaje się okropnie mała.

- Pomieści nas troje.

- Chciałem powiedzieć, że... Mała... Jak na wyprawę na pełne morze.

Spojrział w stronę morza. W porcie nie wiał nawet najłżejszy wiatr. Fale wywołane ruchem statków leniwie chlupały pod pomostami. Znikły morskie ptaki, które muskały powierzchnię wody i biły się o rybie łebki i ogony. Na niebie nie widać było chmur, choć na wschodzie stale były rozwidlone pioruny i słychać było głuchy pomruk gromów. W morskiej toni odbijała się dziwna i złowieszcza czerwona poświata, która rozlewała się po niebie.

Palin potrząsnął głową. - Nie ma wiatru. Nie możemy wiosłować przez całą drogę do twojej ojczyzny. Musimy znaleźć jakiś inny sposób.

- Nie, wcale nie - odparła Usha, ciągnąc go za sobą. - Łódź jest zaczarowana, pamiętasz? Zanieś mnie do domu, Palinie. Do domu - powtórzyła cicho.

- Usho - powiedział Palin, szarpiąc ją za rękę i powstrzymując w biegu. - Usho...

Po jego twarzy i tonie jego głosu odgadła, co zamierzał powiedzieć. Miała wrażenie, że spogląda w lustro, które odbija jej własny lęk.

- Wszystko będzie dobrze - oznajmiła. - Jesteś ze mną.

Trzymając go mocno za rękę, weszła na pomost i ruszyła w stronę łodzi.

Usha zeszła na pokład stateczku i przeprowadziła inspekcję, aby upewnić się, że można nim wypłynąć w morze. Palin i Tas stali na moło w prażącym słońcu, gotowi w odpowiedniej chwili rzucić cumy. Kilku ludzi spojrzęło na nich z ciekawością, lecz nikt nic nie powiedział, sądząc zapewne, że młodzi ludzie uszczelniają łódź na wypadek sztormu. Nie domyślali się, że zamierzają podnieść żagle.

Palin zastanawiał się, co by zrobił, gdyby ktoś chciał go zatrzymać. Jak by sobie z kimś takim poradził.

Musieli wybrać tę drogę, choć Palinowi nie uśmiechało się żeglowanie pod ognistym niebem. Usha miała rację. Magiczna łódź wróci do swej ojczyzny. Nie było innego wyjścia, nawet członkowie Konklawe nie wiedzieli, gdzie leży ojczyzna Irdów. Może wiedziały to smoki, lecz te zajęte były własną wojną.

- Sam jestem nie najgorszym żeglarzem - oznajmił Tas, siadając na pomoście, machając nogami i spoglądając w wodę w nadziei zobaczenia jakiejś ryby. - Co innego Flint. On nie cierpiał wody. Nigdy nie mógł zrozumieć, po co jej tyle dookoła. „Reorx dał nam piwo”, mawiał. „Powinien był zaprzestać prób, kiedy raz już mu się udało”. Chciałem mu wytłumaczyć, że po piwie łódź nie pływałaby najlepiej. To znaczy, pewnie pływałaby, ale przeszkadzałyby w tym piana. Flint utrzymywał, że łodzie to i tak przeklęty wynalazek. Oczywiście, być może mówił tak dlatego, że na jednej z nich omal nie utonął. Znasz historię o tym, jak Flint się topił? Pewnego dnia, kiedy twój ojciec...

- Nie mówmy o topieniu się - przerwał mu Palin. Ani o moim ojcu.

Do gospody Ostatni Dom zbliżało się niebezpieczeństwo. Caramon wrócił, by ostrzec mieszkańców Solace. Chciał ich przygotować i zrobić wszystko, co w jego mocy, by uchronić ich przed okropnościami, jakim być może przyjdzie im stawić czoło.

- Czy ojciec wie, co będę robił? - Palin wcześniej spytał stryja. Były to prawie ostatnie słowa, jakie ze sobą zamienili. - Dokąd idę?

- Wie - odpowiedział Raistlin.

- Co powiedział? - Spytał Palin, czując się nieswojo.

Raistlin prawie się uśmiechnął. - Powiedział, że kiedy to się skończy, oczekuje cię z matką w domu na obiedzie.

Palin cieszył się tą myślą. Ojciec wiedział, co będzie groziło jego synowi i zamiast go zatrzymywać, jak postąpiłby za dawnych czasów, dał mu do zrozumienia, że rodzice wierzą w niego, ufają mu i wiedzą, że dołoży wszelkich starań.

Ktoś szarpał go za rękaw małą rączką. Palin spuścił wzrok. Obok stał Tas.

- Palinie - szepnął Tas. - Boję się, że po tym, co usłyszeliśmy od bogów, Usha bardzo się zmartwi, kiedy wróci do domu.

- Tak, Tas - rzekł cicho Palin. - Bardzo się zmartwi.

- Może powinniśmy jej teraz o tym powiedzieć? Jakby... Ją przygotować?

Palin spojrział na Uszę, która krzątała się pilnie, układając bagaże, szykując miejsce dla dwóch dodatkowych osób, które z nią popłyną.

- Ona wie, Tas - powiedział. - Ona już wie.

*

Okazało się, że nikt nie próbował ich powstrzymać od wypłynięcia z portu. Nikt nawet nie zauważył, że podnieśli żagle, a nawet jeśli, każdy miał pod dostatkiem własnych zmartwień. Nagle, jakby na złość, zerwał się wiatr, ten wpadający do dusznego miasta chłodny powiew od gór, o który ludzie modlili się przez całe lato. Nie przyniósł jednak ulgi. Przyniósł zgrozę. Na zalesionych zboczach gór szalał pożar, a wiatr gnał go prosto na Palanthas. Znów zaczęły bić dzwony. Ludzie uwijali się, by zabezpieczyć domy i sklepy na wypadek, gdyby stało się to, o czym strach było nawet pomyśleć. Unoszący się w powietrzu dym szczypał w oczy i utrudniał oddychanie. Na miasto zaczął się sypać popiół. Palin stał na pokładzie łódki, oglądał się na wspaniałe Palanthas i starał wyobrazić sobie, co będzie, jeśli dotrze tam pożar. Pomyślał o stryju, siedzącym samotnie w Wieży. Uczniowie wyjechali już do Wayreth, by pomóc w magicznych przygotowaniach. Przypomniawszy sobie, jak po raz ostatni widział stryja na brzegu Sadzawki Widzenia.

- Stąd będę was obserwował - powiedział wtedy Raistlin. - Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by wam pomóc.

Palin pomyślał o Astinucie, który bezustannie pisał. Wyobrażał sobie ogarniętego paniką Bertrema i pozostałych mnichów, którzy gorączkowo starali się uratować książki, w których spisano dzieje świata.

Po co je ratować? Może nie przeżyje nikt, kto mógłby je przeczytać. Żeglujemy

ku wyspie śmierci, być może ku własnej zgubie...

- Ano, wyruszyliśmy! - Oznajmił radośnie Tasslehoff. Przykucnął na dziobie i patrzył przed siebie, gdy Usha wyprowadziła łódź z przystani na otwarte morze. - Wicie co - stwierdził, wzdychając z rozkoszą - nie ma nic bardziej ekscytującego od podróży w nieznane.

Rozdział XX

POPIÓŁ I PROCH

Wyłynęli z Zatoki Branchali na Ocean Turbidus, a bryza pchała ich, jakby chciała im pomóc. Wtem wiatr, który zaniósł ich tak daleko - ten sam, który gnał burzę ogniową w stronę Palanthas - niespodziewanie ucichł. Unieruchomiony przez ciszę statek, unosił się na płaskiej tafli oceanu.

Usha chwyciła za ster i zwróciła łódź dziobem ku północy. - Do domu - rozkazała.

Statek pruł po wodzie, która wyglądała, jakby ktoś ją pomalował na czerwono. Zwisający żagiel łopotał lekko, nie wydymany nawet lekkim podmuchem wiatru. Mimo to łódź wciąż nabierała szybkości, aż zaczęła niebezpiecznie podskakiwać na powierzchni wody, której słone krople biły ich po twarzach.

Tas siedział na dziobie, przytrzymując się mocno rękami. Wystawiał twarz na wiatr i bryzgi wody, otwierając usta z radości, jaką sprawiała mu dzika jazda. Usha z całych sił uczepliła się steru. Palin ścisnął rękoma burty i mrużył oczy, które zalewała szczypiąca, słona woda.

Łódź jeszcze przyspieszyła. Zdmuchnięty ze swego stanowiska Tas wylądował na leżącym na dnie zwoju liny. Wreszcie wszyscy troje zmuszeni byli skulić się na pokładzie, widząc nad sobą rozkołysane niebo i zalewające ich fale. Byli przemoczeni do suchej nitki, a pod nogami chlupotała im woda. Palin obawiał się, że łódź może jej nabrać zbyt wiele, lecz Usha wytłumaczyła mu, że nawet gdyby tak się stało, magia nie pozwoli im zatonać. Tymczasem objęli się mocno. Widzieli już tylko czerwone, gorejące niebo.

- Zwalniamy - powiedział ktoś podnieconym głosem. - Zdaje się, że dotarliśmy do celu.

Usha ocknęła się zaskoczona, że ucieła sobie drzemkę. Palin podniósł głowę i przetarł oczy. Wszyscy musieli zasnąć. Usha jak przez mgłę przypominała sobie sny o tym, że jest przemoczona i głodna.

Palin popatrzył na słońce, którego ogniste, złowrogie oko przyglądało im się znad krawędzi horyzontu.

- Musieliśmy przespać cały dzień - stwierdził. - Słońce zachodzi.

- Nie śpieszy mu się - zauważył Tas.

- Co masz na myśli? - Palin ostrożnie wstał.

- Przyglądam mu się już od trzech godzin, od chwili, gdy usnęliście. Słońce znajduje się cały czas w tym samym punkcie. Stoi wciąż w jednym miejscu.

Palin uśmiechnął się pobłaźliwie. - Musiałeś się pomylić. Pewno nie minęły trzy godziny, tylko tak ci się wydawało.

Tasslehoff wrócił na swoje miejsce na dziobie. - Patrzcie! Tam przed nami!

Na tle czerwonego nieba rysowała się ciemna kreseczka.

Zapominając, że jest na pokładzie łódki, Usha szybko zerwała się na nogi i tak ją rozchybotła, że musiała przytrzymać się masztu, żeby nie wypaść za burtę. Poszła na dziób do Palina i Tasa i stojąc z ustami rozchyłonymi z radości, niecierpliwie patrzyła w dal.

- To chyba twoja ojczyzna, Usho - powiedział Palin. - Zdaje się, że płyniemy wprost ku niej.

Łódź zbliżała się do lądu.

- Jakież dziwne te drzewa - stwierdził Tas. - Usho, czy pochodzisz z krainy o dziwnych drzewach?

- Nasze drzewa wyglądają tak samo jak wszystkie inne - odpowiedziała Usha. - Masz jednak rację, te rzeczywiście są jakieś niezwykle...

Niesiona falami i siłą magii łódź podpłynęła jeszcze bliżej brzegu.

- Błogosławiony Paladine - szepnął wstrząśnięty Palin.

- Ojej - powiedział cichutko Tas. - To nie są już drzewa. Całe się spaliły.

- Nie - rzekła cicho Usha. - To niemożliwe. Czary nie zadziałały. Statek zaniósł nas nie tam, gdzie trzeba. To... - Słowa ugrzęzły jej w gardle - ...To nie jest moja ojczyzna.

Nieszczęsna łódź wciąż zbliżała się do brzegu.

- Przykro mi, Usho - powiedział Palin i wyciągnął do niej dłoń.

Dziewczyna zignorowała jego słowa i podaną rękę. Potykając się o zwoje liny i buklaki na wodę, pobiegła z powrotem na rufę. Chwyliła za ster i pchnęła go, chcąc zmienić kurs i zawrócić łódkę.

Ster ani drgnął.

Usha napała nań całym ciężarem ciała. Kiedy Palin złapał ją i odciągnął, zaczęła okładać go pięściami, krzyczeć i wyrywać mu się. Łódź zakołysała się gwałtownie.

- Wywrócimy się przez ciebie! - Powiedział Palin.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Załkała. - Nie obchodzi mnie, czy zginiemy!

- Ależ tak, Usho - łagodnie powtarzał młody mag. - Ależ tak. - Ukoił jej szloch, odgarnął jej z twarzy mokre włosy i mocno przytulił.

Dziewczyna przestała łkać i wtuliła się w jego objęcia. Zaczarowana łódka niosła ich w stronę brzegu.

Zanim znaleźli się na plaży, Usha pogrążyła się w milczeniu. Bił od niej lodowaty spokój, który był równie przerażający, co jej wcześniejszy wybuch hysterii. Wyszła z łódki i brodząc w wodzie po kostki, dotarła do szerokiej, piaszczystej plaży, gdzie jeszcze nie tak dawno wylądowali rycerze Takhisis.

Rozejrzała się po scenie przerażających zniszczeń.

Oprócz miejsca, gdzie fale obmywały brzeg, biały niegdyś piasek był teraz czarny.

Palin, który wciągał łódkę na brzeg, sądził, że czarny piach jest naturalnym zjawiskiem, gdy zauważył pływające w wodzie szczątki i drobny muł, jaki unosił się na grzbietach fal. Popatrzył na zwęglone i spalone pnie żywych kiedyś drzew i nagle zrozumiał, czemu piasek był czarny. Przykrywała go warstwa żużlu i popiołu.

Palin westchnął i pomógł Tasowi wyjść z łodzi. Kiedy odwrócił się, Usha pędziła jak oszalała w stronę nie istniejącego już lasu. Palin i Tas pobiegli za nią, tracąc równowagę na osuwającym się pod nogami piachu. Wyprzedziła ich obu. Stary kender, który miał krótkie nogi i taki sam oddech, szybko został z tyłu. Nie przyzwyczajony do wysiłku fizycznego i obciążony mokrymi szatami Palin też nie mógł nadążyć.

Znalezienie śladu dziewczyny nie było trudne, raczej żałośnie łatwe, jak stwierdził Tas. Odciski stóp w głębokim po kostki popiele zaprowadziły ich w głąb spalonej puszczy. Lekko słodkawy, ostry, mdlący zapach zwęglonego drewna bił w nozdrza i zapierał dech w piersi. Wzbijane przez podmuchy wiatru kłęby prochu i popiołu szczypały w oczy i wywoływały kaszel. Wiszące nad ich głowami czarne gałęzie skrzypiały i chwiały się, gotowe w każdej chwili spaść.

Doszli do kamiennego muru w kształcie kwadratu. Z jednej strony wznosił się osmolony komin z kamienia - tylko tyle zostało z niegdyś zapewne przytulnego

domku.

- Palinie! - Krzyknął zduszonym głosem Tas.

Palin odwrócił się. Kender coś pokazywał. Młody mag nie musiał podchodzić bliżej, żeby przekonać się, co to było. I tak wiedział.

Zwłoki - a raczej ich szczątki - leżały w pobliżu domu, jakby osoba wybiegła z płonącego budynku, lecz nie zdołała uciec przed piekielną pożogą.

- Widziałem Que-Shu - powiedział przygnębiony ponurym widokiem Tasslehoff - po tym, jak przyleciały tam smoki. Widok był podobny. Była to najsmutniejsza rzecz, jaką dotychczas widziałem. Czy... Myślisz, że oni wszyscy nie żyją?

Palin spojrział na zwęglone, spalone kikuty drzew i grubą warstwę popiołu, która pokrywała ziemię.

- Musimy znaleźć Ushę - oznajmił. Wziął Tasa za rękę i obaj poszli przez zgliszcza śladem dziewczyny.

Usha stała przy kolejnym murze. Ani z domu, ani z tego, co w nim było, nie zostało nic, co dałoby się rozpoznać. Budynek zawalił się i zmienił w stertę spalonych gruzów.

Dziewczyna nie wydała żadnego odgłosu, żadnego jęku. Nie podeszła, by dotknąć nielicznych szczątków.

Palin podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Miał uczucie, że obejmuje kamienny posąg. Oczy patrzyły nieruchomo, a ciało ochłodziło się i zeszywniało.

- Usho! - Krzyknął, szczerze przestraszony jej wyglądem. - Usho, nie rób tego sobie. To nie pomoże. Usho, nie rób tego...

Nie spojrzała na niego, lecz uparcie wlepiła wzrok w zgliszcza domu. Jej umazana sadzą twarz była kredowobiała. Pojedyncza łza zostawiła ślad na umorusanym policzku, tak jak jej stopy w popiele na ziemi.

- Przykro mi - powiedział delikatnie Palin. - Irdowie nie wyginęli jednak całkowicie. Zostałaś jeszcze ty...

- Nie - stwierdziła Usha ze straszliwym, obojętnym spokojem. - Nie, ich spotkała zagłada, całkowita i nieodwracalna.

Opi wiedział, że tak się stanie. Dlatego odesłał mnie stąd. Och, tak mi przykro, Opi! - Zakała, drżąc. - Tak strasznie mi przykro.

- Nie płacz, najdroższa. Nie mogłabyś nic na to poradzić. Może ktoś zdołał uciec - dodał z nadzieją. - Ich czary...

Usha potrząsnęła głową. - Nawet gdyby niektórzy mogli się ocalić, nie

zostawiliby pozostałych. Nie, oni zginęli. Nic nie zostało. Nic.

Upiorny blask czerwonego słońca przeświecał przez szkielety drzew. Złote oczy dziewczyny rozjaśnione przelotną smugą szkarłatnego światła rozbłysły jak polerowany brąz.

Słońce...

- Tas miał rację! - Jęknął Palin. - Słońce się nie poruszyło! Tas, byłeś kiedyś...

Tas?

Mag rozejrzał się. Kender znikł.

Rozdział XXI

DOUGAN REDHAMMER.

SZARY KLEJNOT.

SŁUDZY CHAOSU

No, to mi się podoba - stwierdził Tasslehoff, obserwując Palina i Ushę. - Są teraz razem, więc oczywiście wszystko ułoży się pomyślnie. Przynajmniej zasługują na to, by wszystko tak się ułożyło. Jednak często widywałem, że zasługi i pomyślność nie muszą koniecznie iść w parze - dodał z westchnieniem.

Przyglądał im się dość długo, by zobaczyć, jak jedno szuka otuchy i ukojenia w ramionach drugiego. Prawdziwie zakochani - jeśli nie jesteś jednym z nich, a jedynie przypadkowo przyglądasz się im - przedstawiają dość nudny widok. Tas ziewnął, kichnął gwałtownie, kiedy coś wpadło mu do nosa i rozejrzał się za jakimś zajęciem.

Przed nim rozciągała się ścieżka wśród wypalonych pniaków.

- Każda droga dokądś prowadzi - głosi stare porzekadło kenderów. W połączeniu z drugim, brzmiącym: „Kenderowi odpowiada każda droga, chyba że nie usłyszysz pytania” - stanowi to niezłe podsumowanie kenderskiej filozofii.

- Może ta ścieżka zaprowadzi mnie do Szarego Klejnotu - stwierdził Tas po chwili zastanowienia.

Miał zamiar uprzedzić Palina i Ushę o swoim odejściu, lecz pomyślał, że może nie chcą, by im przeszkadzano, więc niepostrzeżenie oddalił się.

Idąc tak sobie odkrytą właśnie ścieżką, po cichutku, żeby nikomu nie przeszkadzać, rozmyślał o tym, co wie na temat Szarego Klejnotu.

- Przypuszczam, że to taki sam klejnot jak każdy inny, tylko oczywiście potłuczony, co jest mi bardzo na rękę stwierdził z powagą Tas - bo nie będę musiał się martwić o to, by go rozbić.

Przypominał sobie, że Raistlin mówił coś o strażnikach Szarego Klejnotu, jednak tej części opowieści Tas nie poświęcił większej uwagi. Z doświadczenia

wiedział, że klejnotów zawsze ktoś strzeże, a ponieważ strażnicy byli zawsze bez żadnego uzasadnienia uprzedzeni do kenderów, Tas nie podejrzewał, aby teraz miało być inaczej. Wędrował sobie, przełaząc przez zwęglone pnie drzew. Zauważył, że sterty czarnego prochu przypominają śnieżne zasy, tylko że są czarne, usypane z popiołu i jakoś tak wstrętnie cuchną. Gdy tak szedł, rozmyślając, natknął się nagle na przykucniętego za drzewem krasnoluda.

- Dobry Boże - powiedział Tas, zatrzymując się jak wryty. - A to dopiero.

Krasnolud był nadzwyczaj wytwornie odziany, szczególnie jak na kogoś, kto chowa się za spalonym drzewem w zwęglonym i spopielonym lesie. Jego elegancki strój był przyprószony sadzą, podobnie jak broda i długie włosy. Pióro przy kapeluszu było wymięte i brudne. Krasnolud bacznie się czemuś przyglądał, w połowie odwrócony plecami do ścieżki, a tym samym do kendera, który stanął obok niego.

- Toż to chyba... Tak, jestem pewny - mruknął Tas. To Dougan Redhammer.

Tas popatrzył w tym samym kierunku, co krasnolud, próbując dostrzec, co też Dougan obserwował z taką uwagą, lecz niczego nie zobaczył, gdyż zasłaniała mu olbrzymia sosna, lub raczej to, co z niej zostało.

Krasnolud sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego obserwacją. Tas nie chciał zakłócać Douganowi spokoju, więc skradał się bezgłośnie, sunąc po spalonej ziemi cichutko jak mysz. Kiedyś zamienił się w to zwierzątko, dlatego doskonale wiedział, jak przejść niepostrzeżenie. Pokradłszy się do krasnoluda, wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu.

Zdumiewające, jak wysoko krasnolud potrafił skoczyć, zważywszy na jego tuszę. Również niezwykle było to, że skoczył tak wysoko, nie gubiąc kapelusza.

Niespodziewany podskok Dougana tak bardzo spłoszył Tasa, że kender cofnął się, zawadził nogą o wypalony pień i fiknął kozła. Sapiąc ciężko i robiąc się na twarzy czerwony jak niebo nad nim, tęgi krasnolud rzucił się na kendera i zasłonił mu dłonią usta.

- Kim jesteś, na Reorxa? - Spytał Dougan ochryłym szeptem. - I co tutaj robisz?

Tas odpowiedział wedle swoich możliwości, które mocno ograniczała ręka, zatykająca mu usta.

- Xrinxmaggle Yurfuuz? - Powtórzył krasnolud. - Nigdy o tobie nie słyszałem. Mimo to mam wrażenie, że skądś cię znam.

Tas potrząsnął gwałtownie głową, zapiszczał, szarpnął się i pokazał na migi, że

dalsza rozmowa potoczyłaby się dużo przyjemniej, gdyby pozwolono mu mówić.

Dougan przyglądał się kenderowi przez chwilę, a potem zdjął mu dłoń z ust. Przykucnął i szepnął ostrzegawczo: - Bądź cicho! Oni są blisko. Chociaż nie jestem pewien, czy są obdarzeni słuchem, lepiej nie ryzykować.

Tasslehoff pokiwał głową, roztarł miejsce na głowie, w które uderzył się o kamień i usiadł. - Kim są ci „oni”? - Szepnął.

- A ty coś za jeden? - Odparł szeptem zaperzony Dougan.

- Przepraszam. Zapomniałem się przedstawić. - Tas wstał. Dougan podniósł się na nogi - których zapewne nie widział od kilku stuleci, jak domyślił się Tas, widząc jak gruby jest krasnolud. Kender podał mu rękę. - Nazywam się Tasslehoff Burrfoot.

- Aha - odburknął Dougan. - To stąd cię znam. Ja jestem...

- Wiem. Reorx - szepnął głośno Tas. - Ale nie musisz się martwić. Nikomu nie powiem - dodał szybko, widząc marsową minę Dougana.

- Nie ma nic do mówienia - warknął krasnolud, patrząc wściekle Tasowi prosto w oczy. - Nazywam się Dougan Redhammer. Zrozumiałeś?

- Nie - odrzekł Tas po chwili namysłu. - Ale z drugiej strony nie rozumiem też wielu innych spraw. Na przykład śmierci. Albo szeryfów. Jedno i drugie czyni życie zdecydowanie mniej zabawnym. Skoro już o tym mowa, weźmy na przykład taką czkawkę. Dlaczego akurat czkawka, jeśli rozumiesz, co mam na myśli? Zastanawiałem się także, czy nie mógłbyś przypadkiem wyjaśnić...

Dougan stwierdził, że prędzej chyba Otchłań zmieni się w sadzawkę skutą lodem. Bardzo zaciekało to Tasa i miał właśnie zamiar poprosić krasnoluda o wyjaśnienie tej kwestii, lecz wtedy Dougan znów zasłonił mu usta dłonią.

- Po co przyszedłeś? Co ty tu robisz?

Odsunął lekko rękę, by Tas zdołał wykrztusić odpowiedź. - Przysłał mnie Raistlin Majere - oznajmił dumnie kender. - Mam ukraść Szary Klejnot.

- Ty?

Krasnolud zapomniał o własnym zakazie i odezwał się dosyć głośno. Wtulił głowę w ramiona i schował się za drzewem, ciągnąc Tasa za sobą.

- Ty? - Powtórzył Dougan, najwyraźniej poważnie wstrząśnięty. - On cię przysłał?

Tas był zachwycony sposobem, w jaki Dougan powtarzał słowo „ty”. Nie brzmiało to zbyt pochlebnie dla Raistlina.

- Jestem Bohaterem Lancy - zauważył Tas. - Walczyłem już ze smokami i

jakkolwiek zaprzeczalby temu Flint, raz wziąłem jeńca. Uratowałem Sestuna przed czerwonym smokiem, dwa razy odbyłem podróż do Otchłani tam i z powrotem...

- Dość już! - Ryknął cicho krasnolud, co było wyczynem, który Tas uznałby za niemożliwy, gdyby właśnie nie usłyszał donośnego głosu Dougana.

- Skoro już tu jesteś, będę chyba musiał robić dobrą minę do złej gry - burknął Dougan, dopytując się jeszcze, czemu mag nie przysłał na dokładkę gromady gnomów, żeby już całkiem zatruć mu życie. - Chodź tu - rzekł na zakończenie, ciągnąc Tasa pod drzewo. - Chcę ci coś pokazać. Tylko ani pary z ust!

Tas popatrzył i zamilkł, nie dlatego, że mu kazano, lecz dlatego, że widok, który się przed nim roztaczał, wymuszał na nim ciszę i skupienie.

Ujrzał krąg siedmiu obumarłych sosen. Strawił je ogień - lecz w odróżnieniu od pozostałych drzew, z których zostały tylko czarne i osmalone kikuty - zachowały swój kształt. Stały jak upiorne szkielety drzew, których obłazące z kory konary wykrzywiła śmierć.

Z ust Tasa miał się już wymknąć jęk współczucia dla tych niegdyś przepięknych drzew, lecz zdołał go w sobie zdławić. Pośrodku kręgu obumarłych sosen znajdowała się sterta drewna. Jakimś cudownym i niewytłumaczalnym sposobem straszliwa pożoga, która spopieliała wszystko inne na wyspie, pozostawiła deski nietknięte. Na spodzie sterty coś pobłyskiwało czerwono w świetle rozszalałego i upartego słońca, które wciąż nie miało zamiaru zejść.

Tas przyłożył dłoń do ucha Dougana, nachylił się ku niemu i szepnął: - Czy to Szary Klejnot?

- Rozłupany na dwoje - odparł krasnolud. Oblicze miał posępne i wzrok ponury. - Jego połowy leżą na szczątkach ołtarza. Ukryłem je przed Jegomościem. Nie potrafił ich znaleźć, choć szukał długo i zawzięcie. Skłoniło mnie to do zastanowienia.

- Nad czym?

- Nieważne - powiedział srogo Dougan z bardzo poważną miną. - Najpierw musimy odzyskać klejnot.

- Więc chodźmy po niego. Co nas zatrzymuje?

- Oni. - Krasnolud ponuro skinął głową w kierunku ołtarza.

Tas obejrzał się. Nie zobaczył tam smoka ani smokowców.

Nie ujrzał hordy goblinów ani ogrów, koboldów, upiornych rycerzy, banshee, szkieletowych wojowników, czy innych strażników magicznych klejnotów. Nie było tam nawet szeryfa. Nie było niczego. Nic nie zdołał tam zauważyć.

- Znów się popijało krasnoludzki spirytus, co? - Rzekł ze współczuciem Tas.

- Nie jestem pijany! - Odparł urażony Dougan. - Strażnicy! Są tam, między drzewami.

- Tam nie ma niczego oprócz cieni - stwierdził Tas.

- Właśnie - szepnął Dougan. - Tylko to nie są cienie. To cieniozjawy, przerażający wojownicy Chaosu.

- Są zrobieni z cieni? - Spytał pełen podziwu Tas.

- Składają się z dziur w tworzywie śmiertelnych istot. Nie patrzy się na nich, lecz przez nich, w głąb ich królestwa, które jest płaszczyzną nieistnienia. Jeśli cię dotkną, staniesz cię tym, czym są oni: nicością. Oto los, jaki Chaos szykuje temu światu i każdej osobie, każdemu zwierzęciu, skale, drzewu i roślinie, każdej rzece, strumykowi i oceanowi. Wszystko, wszystko obróci się w nicość.

Tas niespodziewanie poczuł, że coś go ściska w żołądku i stał się nagle bardzo nieszczęśliwy. Pomyślał o tym, że stanie się nicością, że wszystko dokoła niego stanie się nicością, że wszyscy inni staną się nicością... Wszyscy znikną w mroku nieistnienia i nikt nigdy się nie domyśli, że kiedyś coś tu było.

- Jesteś... Jesteś tego pewny, Douganie? - Spytał Tas, przełykając ślinę i gładząc się dłonią po brzuchu, aby pozbyć się niemiłego uczucia.

- O tak, chłopcze, tego jestem pewien. Taką obietnicę złożył Jegomość. Pozostanie mu tylko dotrzymanie danego słowa. Tylko to zostanie - dodał złowieszczo Dougan.

- Ale jeśli uda nam się zdobyć Szary Klejnot, zdołamy pokrzyżować mu plany?

- Tak sądzę, chłopcze. Pamiętaj jednak, że nie mam pewności. To tylko taki pomysł, który przyszedł mi do głowy. - Westchnął. - Jak dotąd nikt nie wymyślił nic innego. Pomyśleliśmy więc, że trzeba spróbować.

- Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem - rzekł Tas, oglądając się na zrujnowany ołtarz, pod którym spoczywały skorupy Szarego Klejnotu. - Musimy zabrać te rozbite połówki ceniom?

- Cieniozjawom - powiedział półgłosem Dougan.

- W porządku. To nie powinno być zbyt trudne. Mam tu... - Tas usiadł na ziemi i zaczął grzebać w swoich sakwach - ...Taki bardzo potężny magiczny przedmiot...

- Naprawdę? - Dougan siadł w kucki obok i starał się zajrzeć do torby Tasa.

- Pewnie. Dostałem go od wuja Trapspringera...

- Oczywiście. Od kogóż by innego? - Mruknął zgryźliwie krasnolud. - Czy to

może to?

- Nie, to zeschnięta jaszczurka. Przynajmniej tak mi się wydaje...

- A może to?

- Chusteczka do nosa z inicjałami „FB”. Hmm. Kto z moich znajomych ma takie inicjały? A co mi tam... Nie, to też nie to. Aha! - Wykrzyknął Tas.

- Szszsz! - Dougan uciszył go rozpaczliwym gestem.

- Aha! - Szepnął Tas. - Mam ją! Oto kenderska łyżka egzorcyzmów.

Dougan popatrzył na łyżkę i parsknął z niesmakiem. - Może byłby z niej jakiś pożytek, gdyby śludzy nicości zmienili się w zupełnicę, co jednak wydaje mi się mało prawdopodobne. - Krasnolud wstał i kręcił się niecierpliwie po okolicy, jęcząc i szarpiąc się za brodę. - Czemu ja? Czemu zawsze ja?

Tas wyprostował się z godnością, przez co stał się wyższy od krasnoluda, gdyby nie liczyć kapelusza, i oznajmił: - To jest bardzo słynny kenderski artefakt. Patrz tylko. Zaraz się przekonasz, jak działa.

Tasslehoff wyszedł zza drzewa i ruszył w stronę ołtarza, trzymając przed sobą srebrną łyżeczkę do herbaty z serwisu Dalamara.

Rozdział XXII

TASSLEHOFF W OPAŁACH

PLAN DOUGANA.

ZŁODZIEJKA

Tas? Gdzie jesteś? - Wołał Palin. Nie było odpowiedzi.

Każdy podróżnik po Kryninie, który jest na tyle odważny lub może nieświadomy, by wędrować w towarzystwie kendera, dobrze wie, że o ile bycie w jednej drużynie z niziolkiem może wystawić nerwy na próbę, stokroć bardziej przerażające jest odkrycie, że kender oddalił się na własną rękę. Obdarzeni wielkim zamiłowaniem do awanturnictwa kenderzy mają interesujący zwyczaj noszenia przygód ze sobą, by dzielić się nimi z towarzyszami, bez względu na to, czy ci tego chcą, czy nie.

Wypominając sobie popełnienie takiego błędu - choć spuścił Tasa z oczu zaledwie na pięć minut - Palin przeszukał okolicę i wkrótce natknął się na ślady małych stóp na ścieżce.

- Dokąd ona prowadzi? - Spytał Ushę.

Dziewczyna rozejrzała się ze smutkiem. - Wszystko tu teraz takie inne. Trudno cokolwiek poznać. Sądzę, że... Tak, to musi być droga do ołtarza, jaki Irdowie wybudowali dla Szarego Klejnotu.

- Dobry Boże. Więc to tam poszedł. - Palin ścisnął mocno laskę w garści, w ciszy zmówił modlitwę, a potem ostrożnie poszedł z Ushą śladami Tasa.

Po obu stronach dróżki stały szczątki strawionych przez ogień drzew: spalone pniaki, zwęglone konary, zgliszcza. Palin odnosił wrażenie, jakby w świecie istniały tylko trzy kolory: czerń węgla, szarość popiołów i czerwień gorejącego nieba.

- Czy jesteśmy już blisko? - Spytał Palin.

- Na pewno! To nie było daleko - powiedziała Usha. Milczała przez chwilę, szukając czegoś w pamięci, a następnie wskazała. - Tam! Siedem sosen...

Potężne drzewa, niegdyś dumni strażnicy, wznosiły swe spalone i przeklęte korony jak szkielety wojowników, na wieki skazane na strzeżenie obiektu, który przyczynił się do ich zguby. Pośrodku kępy obumarłych drzew leżała sterta drewna. Palin dostrzegł słaby błysk, który mógł być refleksem światła odbijającego się w fasetach klejnotu. Nagle jednak padł cień na przestrzeń pomiędzy nim a drzewami.

Palin skulił się i znieruchomiał ze strachu, tak jak królik przywiera do ziemi w bezruchu, kiedy po jego grzbiecie przepływa cień jastrzębich skrzydeł. Strach ustąpił prawie natychmiast. Cień przemknął nad stosem drewna, zasłaniając go przed ludzkim wzrokiem, a potem zniknął wśród spalonych drzew. Mag znów dostrzegł coś leciutko połyskującego.

Mimo niemiłosiernie prażącego słońca, Palin zadrżał i otulił się szczerze połamami szaty. Zdumiony tym nieokreślonym lękiem, zamierzał spytać Uszę, czy i ona doznała podobnego uczucia, lecz dziewczyna spoglądała w inną stronę.

- Spójrz, Palinie! - Powiedziała. - Czy to nie Dougan?

- Owszem. Ciekawe, gdzie jest Tas?

Rozmawiali ściszym głosem, lecz krasnolud musiał i tak ich usłyszeć. Odwrócił się i rozejrzał. Gdy ich zauważył, zaczął rozpaczliwie dawać znaki rękoma.

- Chodźcie tu szybko! - Mówił, na zmianę wymachując i załamując ręce. - Cicho sza! - Ostrzegwał. - Tylko szybko!

Mając przecucie, że ów pośpiech ma coś wspólnego z Tasslehoffem, Palin pobiegł najciszej jak umiał przez zgliszcza i zwalone pnie. Czuł wyraźnie, że jest obserwowany.

- Douganie! - Powiedział cicho Palin, zbliżywszy się do zmartwionego krasnoluda. - Widziałeś gdzieś Tasa...?

W odpowiedzi Dougan wskazał Palinowi gąszcz spalonych drzew.

Palin spojrział w tę stronę i z przerażeniem zobaczył, że kender szedł prosto ku sosnom.

- Tas! Tas, wracaj natychmiast! - Zawołał Palin, chcąc już iść za nim.

Dougan złapał młodzieńca za rękaw i trzymał go kurczowo. - Nie idź tam, chłopcze - ostrzegł go krasnolud ponuro. - Nic tam po tobie. Próbowałem go powstrzymać... - Dougan zgarbił się. Zwiesił głowę, potrząsnął nią i jęknął.

Palin spojrział na kendera.

- W imię wszystkiego, co święte, co on robi?

Tasslehoff powoli zbliżał się do kępy sosen. Ze śmiertelnie poważną miną

stąpił odmierzoną krokiem, posuwając się naprzód w tempie konduktu pogrzebowego. W dłoni trzymał coś błyszczącego.

- Łyżka? - Zdumiał się Palin. - Do czego mu ta łyżka?

- To kenderska łyżka egzorcyzmów, czy coś w tym rodzaju - mruknął Dougan.

- Tak, przypominam sobie! Miał ją w wieży. - Palin zaklął cicho ze zdenerwowania. - Do licha, on nie zdawał sobie sprawy... Że to wszystko było zasługą mojego stryja. Dokąd on idzie?

- Chce zabrać Szary Klejnot. - Dougan znów jęknął głośno i szarpnął się za brodę. - Klejnot leży tam, pod szczątkami ołtarza. Nie idź za kenderem, dobrze ci radzę, chłopcze! On zmierza wprost ku straszliwemu niebezpieczeństwu. Widziałeś to coś... Jakby cień... Który wychynął spomiędzy tych drzew?

- Tak - odparł Palin, drżąc na samo wspomnienie. - Co...

- Cieniozjawy, chłopcze - oznajmił Dougan niskim, przerażającym tonem - stworzy Chaosu. Unicestwi cię, najpierw twoją duszę, potem ciało. Znikniesz, jakby nigdy cię nie było.

- Poczulem ich dotyk - wyszeptał Palin - choć nie zrozumiałem, co to było.

- Sądzę, że nadal nie rozumiesz - stwierdził posepnie Dougan. - Kiedy powiedziałem, że znikniesz, jakby nigdy cię nie było, mówiłem poważnie! Pamięć o tobie zniknie z umysłów wszystkich, którzy cię znali. Twoja matka zapomni, że urodziła syna. Twój ojciec nie rozpozna twego imienia. Twoi bliscy nie będą cię oplakiwać, nie pomodlą się za ciebie, nigdy nie wspomną cię z czułością. Zupełnie jakbyś nigdy nie istniał!

Takie właśnie plany ma wobec świata Jegomość. My, bogowie, zapomnimy o wszystkim, co stworzyliśmy, a potem sami umrzemy i Siła Stwórcza zapomni o nas. Potem przestaną pamiętać same gwiazdy.

- Palinie, wydaje mi się, że go zobaczyli - powiedziała Usha. - Podszedł za blisko!

- Jak to zrobić, Douganie? - Palin nalegał na krasnoluda. - Jak możemy ich powstrzymać?

- Szary Klejnot! - Dougan ze zmartwienia zmierzwił sobie brodę w kołtun. - Musimy mieć Szary Klejnot!

- Jak go jednak zdobędziemy, skoro otaczają go te istoty?

Tas podchodził coraz bliżej. Cienie ruszyły z miejsca.

- Tas! - Palin odważył się cicho zawołać. - Tas, wracaj!

Kender jednak go nie usłyszał, gdyż właśnie w tym momencie zaczął mówić.

- Precz mi z drogi, nędzne pozeracze dusz! Odejdźcie, abym nie musiał wyzwolić morderczej mocy sztucców moich przodków! Odejdźcie, abym nie wyluskał tą łyżką waszych widmowych wnętrzości!

- Tas! - Krzyknęła Usha. - Tas, proszę! Chodź...

- Cicho! - Dougan chwycił ją za ramiona, omal się przy tym nie przewracając. - Patrz! Patrz! Idą do niego!

Spod zwęglonych sosen wyslizgnęła się najciemniejsza, najgłębsza, najczarniejsza noc. Wszelkie światło, wszelki dźwięk, kolor, ruch i nadzieja znikły bezpowrotnie wessane w tę bezdenną ciemność. Cztery z tych strasznych bezkształtnych postaci sunęły po ziemi, otaczając kendera z wszystkich stron. Cieniozjawy przesłoniły słońce, drzewa, niebo i ziemię.

- Chłopcze! Dziewczyno! Patrzcie! - Szepnął strasznie podniecony Dougan. - Zostawiły Szary Klejnot bez opieki!

Palin nie dostrzegł w pierwszej chwili ołtarza, miał nawet trudności z określeniem jego położenia. Za cieniozjawami nie było nic. Kiedy się poruszyły, przedmioty pojawiły się ponownie, jakby zaczęły istnieć dopiero od tej chwili.

- Szaleniec z tego kendera! Idę po niego - oznajmił Palin. Przejrzał w myślach katalog swych czarów, zastanawiając się, które z nich - jeśli w ogóle którekolwiek - może unicestwić cieniozjawy.

- Idę z tobą - oświadczyła Usha.

- Nie. - Palin potrząsnął przecząco głową. - Zostaniesz tu z...

- Pójdiesz po Szary Klejnot, dziewczyno - przerwał Dougan z chytrym błyskiem w czarnych oczach. - Mogłabyś smyknąć tam i zwinąć go, zanim którakolwiek z tych istot zauważyłaby jego brak. Uczyłaś się tej sztuki. Widziałem, jak pracujesz... Dziewięciopalczasty twierdzi, że jesteś jedną z najlepszych... Nie czas teraz na pytania, dziewczyno. Zdołasz ukraść klejnot?

- Czy to powstrzyma cieniozjawy? - Spytała Usha.

- Owszem, może je zatrzymać - odparł Dougan. - Tak czy siak - dodał - nie zaszkodzi spróbować.

- Zachciewa się wam obrócić mnie w nicość, tak? - Krzyknął przenikliwie Tasslehoff, choć na widok zbliżających się zjaw głos mu odrobinę zadrżał. - No to możecie ją sobie wziąć i wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi...

- Teraz, dziewczyno! - Zachęcił Uszę krasnolud.

Usha upuściła plecak na ziemię, by mieć wolne ręce. Nie zważając na protesty Palina, ucałowała go szybko w policzek, poklepała po ramieniu i wyslizgując mu się z rąk, wbiegła między drzewa.

Palin zmierzył Dougana złowrogim wzrokiem. - Jesteś bogiem - podobno. Czemu ty czegoś nie zrobisz?

Słowa te niezwykle zaskoczyły krasnoluda. - Ależ właśnie robię, chłopcze, robię! To był mój pomysł, żeby wysłać ją po klejnot, prawda?

- A w sprawie tych stworów? - Palin machnął ręką na cieniozjawy.

- Ach, chłopcze - westchnął cicho Dougan - one są z tej samej materii co ja. Podobnie jak ja są istotami boskimi. Choć na twojej płaszczyźnie nie jestem śmiertelny, na ich owszem, jeśli mnie rozumiesz. A co stałoby się ze światem, gdyby mnie unicestwiły?

- Nie wiem - odparł oziębłe Palin. - Może chciałbyś się założyć?

Dougan poskrobał się po brodzie. - Lepiej chyba będzie, jeśli już pójdziesz, chłopcze. Zdaje się, że twój przyjaciel kender jest w tarapatach.

- Jeśli coś stanie się jemu albo Ushy, przysięgam na Paladine'a, że tego pożałujesz! - Obiecał Palin. - *Shirak*. - Za palił światło laski i pośpieszył w stronę siedmiu sosen i Tasa.

Kender był w połowie drogi. Istoty z cienia ustawiły się przed nim w szeregu, zostawiając Szary Klejnot nie strzeżony.

Kenderskie obelgi mogą nawet najbardziej flegmatyczną osobę wyprowadzić z równowagi i wprawić w morderczy szał. Czy rzeczywiście to wyzwiska Tasa nakłoniły cieniozjawy do opuszczenia swych posterunków? Palin miał niemiłe przeczucie, że nie jest to prawdą. Według niego istniało dużo większe prawdopodobieństwo, że te nieziemskie istoty nie przywiązywały wielkiej wagi do pilnowania Szarego Klejnotu. Miały tylko jeden cel, a było nim zniszczenie.

Gdyby jednak zauważyły, że Usha kradnie Szary Klejnot, szybko rzuciłyby się na nią. Palin obserwował ją kątem oka, bojąc się patrzeć bezpośrednio, żeby widmowym istotom nie zdradzić jej położenia. Dziewczyna przemykała przez pogorzelsko cichym i lekkim krokiem.

Na razie była bezpieczna. Cieniozjawy były całkowicie zajęte Tassehoffem. Wkrótce też będą miały kolejny cel - Palina.

Młody mag był zbyt pochłonięty układaniem planu działania, żeby czuć strach. Musiał ratować Tasa, a jednocześnie odciągać uwagę widmowych stworzeń od Szarego

Klejnotu oraz - w optymistycznej wersji wydarzeń - wyciągnąć ich z tego żywych.

Pomyślał o swoich zaklęciach. Wydawało mu się logiczne, że skoro cieniozjawy były stworzeniami ciemności, mogą być wrażliwe na światło, mogą od niego ginąć lub chociaż się go bać. Palin sam był skąpany w promiennym blasku laski Magiusa. Młodzieniec sięgnął do sakiewki, wydobył z niej kulkę nietoperzowego guano i wcisnąwszy do niej szczyptę siarki, skupił się i przypomniał sobie słowa zaklęcia „kula ognista”.

*

Myśl o lupie, powiedziała by Zlinczowany Geoffrey. Dotknij go, weź go, niech należy do ciebie w twym sercu, jeszcze zanim będziesz go miał w ręku.

Co znaczyło, że nie wolno pozwolić, by cokolwiek odwróciło twoją uwagę od celu. Myśl o Szarym Klejnocie, myśl o tym, jak go pragniesz! Nie myśl o Palinie; nie myśl o Tasie. Nie myśl o tych przerażających istotach, które będą chciały cię unicestwić... Szary Klejnot, Szary Klejnot... Nie ma niczego więcej.

Usha przyglądała się, jak widmowe istoty zbliżają się powoli do kendera. Tas sprawiał wrażenie coraz mniej pewnego siebie; co jakiś czas głos mu się załamywał, nogi uginały, a łyżka - którą uprzednio trzymał przed sobą tak śmiało - drżała mu w ręce.

- Nie boję się! - Wykrzyknął Tas. - Jestem... Jestem wkurzony! Rzeczywiście zaczynacie mi działać na nerwy! Więc... Zmiatajcie, ale już! Bo... - Głos mu się zmienił, był jakiś przytłumiony. - Przestańcie... Natychmiast przestańcie! Co wy robicie?... Przestańcie być do mnie podobni...!

Tasslehoff stał z wybałuszonymi oczami, jakby zobaczył przed sobą coś niewyobrażalnie strasznego.

Spomiędzy drzew wyłonił się Palin. Kryształ na czubku laski Magiusa jaśniał białym, silnym światłem.

- Klejnot, dziewczyno! - Usha usłyszała głos Dougana. - Tylko w ten sposób możesz ich ocalić! Bierz klejnot!

Usha oderwała wzrok od Palina i Tasa i zgodnie z tym, czego ją nauczono, skupiła uwagę na swym celu.

Weszła do kręgu siedmiu sosen, przemykając obok nie dostrzegających jej strażników. Pośrodku znajdował się ołtarz, z którego została jedynie sterta drewna. Teraz z bliska widziała, jak straszliwe były zniszczenia. Czyjaś gigantyczna pięść, uderzająca z wściekłością i furją, połamała na drzazgi niegdyś przepiękne, ręcznie

polerowane i pokryte runami belki.

Z bólem serca Usha nagle przypomniała sobie, jak Irdowie budowali ten ołtarz, a potem długo pracowali nad nim, posługując się narzędziami i magią. Rzeźbili, polerowali, heblowali i wplatali w drewno zaklęcia, które miały mocno spętać Szary Klejnot.

Opi tego nie pochwałał. Od samego początku był przeciwny temu planowi. Usha pamiętała, jak przyglądał się z boku, przeczuwając nieszczęście.

- Miałeś rację, drogi przyjacielu, drogi ojczy - szepnęła ze łzami w oczach, przez które niewiele widziała.

- Klejnot, dziewczyno! Klejnot!

Usha zdławiła smutek. Ołtarz był już martwy. Irdowie byli martwi. Nie mogła przywrócić im życia. Mogła jednak spróbować zapobiec nieszczęściu, jakie spowodowali.

Szary Klejnot, który kiedyś jaśniał niesamowitym, szarym blaskiem, leżał w dwóch kawałkach na ziemi, częściowo przysypany połamanymi belkami. Klejnot pękł na połowy jak skorupa orzecha włoskiego. Kamień w środku był pusty, jakby jakiś podstępny robak gryzł go od wielu lat.

Jednak nawet roztrzaskany urzekał i fascynował. Był tak piękny, że aż brzydki, tak ogromny, że aż mały, tak lśniący, że aż matowy, tak twardy, że aż miękki. Usha wyciągnęła do niego ręce, dotknęła go i uniosła. Klejnot nic nie ważył, a mimo to świadoma była wielkiego ciężaru. Krawędzie jego niezliczonych faset były ostre, tnące i miękkie. Kamień był w dotyku zimny, paląco zimny.

Usha miała zamiar triumfalnie schować Szary Klejnot do sakwy, gdy krzyk przerażenia zmroził jej duszę.

Palin stał przed Tasslehoffem. Jego laska wciąż jaśniała, choć światło przygasało i bladło. Otaczały ich cieniozjawy. Już prawie wcale nie widziała Tasa - jedynie sam czubek kitki włosów. Zdołała zobaczyć ramiona Palina i jego twarz, a w wytrzeszczonych oczach młodzieńca ten sam wyraz nieopisanej zgrozy, jaki zawładnął nawet odpornym na strach kenderem.

Rozdział XXIII

NIE JESTEM NICZYM!

Palin zbliżał się do Tasa. Kender przestał ubliżać swym wrogom. Zdawało się, że Tas próbuje dodawać sobie odwagi, co u kendera było rzeczą niespotykaną.

- Nie boję się! - Wykrzyknął Tas. - Jestem... Jestem wkurzony! Rzeczywiście zaczynacie mi działać na nerwy! Więc... Zmiatajcie, ale już! Bo... - Głos znowu mu się zmienił, był jakby zduszony. - Przestańcie... Natychmiast przestańcie! Co wy robicie?... Przestańcie być do mnie podobni...!

Palin nie przyglądał się istotom. Myślał o zaklęciu, co oznaczało, że widział w duszy słowa, które musiał wypowiedzieć. Resztę uwagi dzielił między Uszę znajdującą się już wśród sosen i Tasslehoffa.

Usłyszawszy krzyk Tasa, Palin po raz pierwszy spojrział na cieniozjawy. Nie potrafił oderwać od nich wzroku.

Stwierdził, że patrzy na swoje odbicie. Przed nim stał Palin.

- Kim jesteś? - Spytał młody mag drżącym głosem. Zajrzał istotcie z cienia w oczy i nie zobaczył w nich niczego, nawet własnego odbicia. - Czym jesteś?

- Kim jesteś? Czym jesteś? - Zadrwiła istota.

- Jestem sobą - odparł Palin, lecz zanim jeszcze skończył, poczuł, że się zatracą. Istota z cieni odbierała mu życie.

- Jesteś niczym - oznajmiła, przemawiając ustami Palina. - Zostałeś zrodzony z nicości i do niej powrócisz.

Odwróć wzrok! Usłyszał wibrujące w lasce ostrzeżenie Raistlina. *Odwróć wzrok! Nie patrz mu w oczy!*

Palin usiłował oderwać wzrok od swego wizerunku, jednakże bez skutku. Gapił się jak urzeczony. Słowa zaklęcia wymazały krople ciemności, które padały na jego umysł jak krople deszczu na papier. I nagle sprawiły, że wszystkie jego wspomnienia oraz świadomość siebie rozmyły się, rozplynęły, stały się mętne i niewyraźne, aż wreszcie powoli się zatarły.

Magowi zdawało się, że słyszy Ushę wykrzykującą imię jakiegoś Palina i jak przez mgłę zastanawiał się, kim jest ta osoba.

*

- Palinie! - Krzyknęła Usha spomiędzy obumarłych sosen.

Cieniozjawy osaczały Palina i zbliżały się do Tasslehoffa. Usha prawie zupełnie straciła już z oczu kendera; widoczne były jedynie jego jaskrawożółte skarpety i włosy związane w kite.

- Palinie! Tas! W nogi! Uciekajcie!

Mimo to żaden z nich nie poruszył się ani nawet nie zareagował na jej słowa. Palin ze zgrozą przyglądał się widmowym istotom.

- Szybko, dziewczyno, bo inaczej już po nich! - Krzyknął Dougan.

- Co... Co ja mam zrobić? - Spytała bezradnie Usha. Plecak wraz z wszystkimi magicznymi przedmiotami, które dostała od Irdów, leżał daleko, u stóp Dougana. Nie było czasu, by biec po niego.

- Szary Klejnot! - Zawołał Dougan. - Spróbuj złapać je do Szarego Klejnotu! Pomogę ci! Uda się!

Usha miała co do tego wątpliwości, lecz nie przychodziło jej do głowy nic lepszego. Musiała szybko działać. Ciemność zakradała się do Palina i omal nie pochłonęła już Tasslehoffa.

Trzymając połowy Szarego Klejnotu w rękach, Usha zbliżała się ostrożnie do cieniozjaw.

- Nie patrz na nie, dziewczyno! - Ostrzegał Dougan. - Cokolwiek będziesz robić, nie patrz na nie!

Usha wcale nie zamierzała im się przyglądać. Za każdym razem, gdy padał na nie jej wzrok, przechodził ją dreszcz zgrozy. Wbiła oczy w Palina, w jego umiłowaną twarz, którą teraz wykrzywiał strach.

I wtedy, niespodziewanie, obok niej stanęła druga Usha.

Zdumiona i wstrząśnięta dziewczyna zamrugła powiekami.

- Nie patrz jej w oczy! - Wrzasnął Dougan. - Nie patrz!

Usha spojrzała na Palina, skupiła na nim wzrok i zignorowała głos zjawy, która chciała zwabić ją w ciemność. Odwracając głowę, wyciągnęła rękę na oślep i wepchnęła Szary Klejnot w swój wizerunek.

Straszne, bolesne, odrętwiające zimno odebrało jej władzę w palcach. Omal nie upuściła Szarego Klejnotu. Ból był nie do zniesienia. Lód wypełnił jej żyły. Traciła

przytomność, staczała się w ciemność.

- Łap go! - Rozkazał Dougan. - Złap go w Klejnot!

Ostatnim, rozpaczliwym gestem Usha zatrzasnęła obie połówki Szarego Klejnotu.

Chłód zmienił się w ciepło.

Ciemność stała się jasnością.

Istoty z cienia znikły.

Usha powiodła wokół wzrokiem i jak przez mgłę zastanawiała się, czy w ogóle kiedyś tu były. Popatrzyła na Szary Klejnot, który nadal ścisnęła w rękach i zaczęła się trząść.

Dougan zbliżył się do niej biegiem, sapiąc, dysząc i wzbijając ciężkimi butami kłęby duszącego popiołu.

- Świetnie się spisałaś, dziewczyno! Mamy ich teraz. - Pod nosem mruknął: - Przynajmniej część z nich. Potem czym prędzej dodał: - Ja to wezmę - i wyjął Szary Klejnot z rąk Ushy.

Przedtem go pragnęła, teraz z ulgą się go pozbyła.

- Palinie? - Spytała z niepokojem, chwytając maga za ramię. - Palinie, nic ci nie jest?

Młodzieniec patrzył prosto przed siebie, a na jego pobladłym obliczu malował się ten straszny wyraz odrętwienia. Kiedy odezwała się do niego i dotknęła go, odwrócił się powoli.

- Palin. Jestem Palin.

Usha wzięła go w ramiona.

Mag objął ją i przycisnął do piersi, zamykając oczy, cały drżący.

Dougan nachylił się nad Tasslehoffem.

Kender osunął się na kolana. Wciąż ścisnął w ręce łyżkę i ze szlochem powtarzał: - Nie jestem niczym! Nie jestem niczym! Nie jestem niczym!

- Chłopcze! Chłopcze! Ich już nie ma! - Zawołał Dougan i palnął Tasa w plecy, chcąc go zapewne ocucić w tak życzliwy sposób, ale biedakowi aż dech zaparło w piersiach.

Tas kaszlnął, zipnął i zmrużył oczy. Widząc Dougana, uśmiechnął się blado.

- O, cześć.

- Poznajesz mnie, chłopcze? - Spytał zaniepokojony krasnolud.

- Ależ oczywiście - odparł Tas. - Jesteś Reorx. Dougan potrząsnął głową. -

Dajmy teraz temu spokój. Najważniejsze, czy wiesz, kim ty jesteś, chłopcze? Pamiętasz?

Tas wydał pełne ulgi i zadowolenia westchnienie, które wypłynęło z głębi duszy i przeniknęło ciepłem całe jego ciało. Kender rozłożył szeroko ramiona.

- Jestem sobą! Tym właśnie jestem! Sobą!

*

Krasnolud trzymał Szary Klejnot w dłoniach. Nagle wydał się bardzo stary. Ręce mu się trzęsły, palce drżały. Twarz miał pobrużdżoną i sędziwą. Zdjął kapelusz z zawadiackim pióropuszem i odłożył go na bok. Jego ubranie było usmolone, guziki porozpinane, koronki poodrywane. Przyglądał się ze smutkiem trzymanemu klejnotowi i głęboko westchnął.

- Dobrze pamiętam dzień, kiedy go stworzyłem - powiedział. - Odrobinka Chaosu, tylko tyle chciałem. Tylko tyle potrzebowałem. Nie więcej niż pasemko włosów lub skrawek paznokcia, gdyby wyrazić to w kategoriach, jakimi posługują się śmiertelnicy. Jegomość jak zawsze węszył i wtykał wszędzie swój nos. Na naszym świecie - tym, który stworzyliśmy bez niego - panował wtedy ład. On nie mógł tego znieść. Nieład, zamęt, anarchia - gdyby w tym pogrążyło się nasze dzieło, patrzyłby na to z radością.

Ze szczególną nienawiścią odnosił się do mojej kuźni. Tworzenie, kreowanie, budowanie było dla Jegomości błuznierstwem. Zadowalało go jedynie niszczenie.

Jegomość ma wiele dzieci. Jednakże Paladine, Takhisis i Gilean byli jego ulubieńcami. Dał im wielką moc, a potem był wściekły, kiedy jej użyli przeciwko niemu - przynajmniej tak to odczuł. Użyli jej, by stworzyć świat, a później zaludnić go żywymi istotami, tchnąć w nie boski oddech i obdarzyć życiem, aby mogły kontynuować dzieło tworzenia, budowania i wprowadzania ład. Żadne z jego dzieci nigdy przedtem nie ośmieliło się dokonać czegoś podobnego. Dla Jegomości było to nie do zniesienia.

Pragnął wszystko zniszczyć, lecz my byliśmy zbyt potężni. Powstrzymaliśmy go. Sam dał swoim dzieciom taką moc, a teraz jakże gorzko tego żałował! Gardził Paladine'em i Takhisis, którzy zawsze pragnęli ład i nie wahali się przed spiskami, by go osiągnąć. Gilean był jego ulubionym dzieckiem, dlatego zawód, który mu sprawił, był dla niego szczególnie bolesny.

Sądzę, że to głównie z powodu Gileana Chaos wstrzymał się na samym początku przed zniszczeniem świata, który dopiero co został zaludniony. Jegomość

przypuszczał, że za sprawą Gileana na świecie zapanuje chaos. Gilean jednak zawsze był rozmiłowany w nauce, a kiedy wsadził nos w książkę, nie sposób było go od niej oderwać. Tak więc Paladine i Takhisis robili, co chcieli. Szale zwycięstwa przechylały się raz na stronę jednego, raz drugiego, a pośrodku był Gilean wertujący księgi.

Dougan spojrział na dwa fragmenty Klejnotu, zważył je w dłoniach i bacznie przyjrzał się ich pustemu środkowi.

- Powiadają, że uwięziłem go w środku, że chciałem złapać i umieścić tu okruszynę Chaosu, a przez nieuwagę zgarnąłem całość. Czy nie rozumiecie, że Klejnot miał być kotwicą? Miał uczynić to, czego nie robił pochłonięty swymi książkami Gilean. Wtedy plan wydawał mi się dobry. Może gdybym dłużej się nad nim zastanowił... Nie pomyślałem jednak, więc skończmy już z tym. Myślę, że go jednak nie uwięziłem. Nie.

On zrobił to umyślnie. Jegomość dostrzegł dla siebie szansę i skorzystał z niej. Wskoczył do kamienia tuż przed jego zamknięciem. To Jegomość pofrunął w świat, zmieniając, przekształcając go i siejąc wszędzie zamęt. Nieźle się musiał przy tym bawić: wojny, Katakлизм, bitwy, jakie toczyło ze sobą jego potomstwo. A potem Irdowie wszystko zaprzepaścili. Potłukli Klejnot i popsuli mu zabawę. Teraz więc piekli się, krzyczą i sypie pogroźkami - a skoro nie może już dłużej mieć wpływu na świat - zniszczy go. Tak oto moim zdaniem przedstawia się sprawa.

Krasnolud wymownie pokiwał głową i położywszy ostrożnie klejnot na szerokim kolanie, otarł dłonią spoconą twarz.

Palin poruszył się nerwowo. - To nie twoja wina. Ani też Paladine'a. Ani Takhisis. Zdaje się, że nie ma tu winnego. Brzmi to bardzo ładnie, ale co nam z tego przyjdzie, kiedy świat pęknie jak ten żalony kamień i wszyscy zginiemy w zapomnieniu.

- Racja, chłopcze, racja - rzekł posępnie krasnolud.

- Przecież musi istnieć jakiś sposób, by pokonać Chaos - zauważył Tasslehoff. - Mamy już Szary Klejnot. Może mógłbym go potrzymać - tylko na chwilkę. Zaraz go oddam...

Dougan przycisnął kamień do piersi. - Jeszcze czego! - Krzyknął zapamiętale, mierząc Tasa złowrogim spojrzeniem. - Odsuń się! Stań tam! Nie, jeszcze dalej. Nie zatrzymuj się...

- Jeśli pójdę jeszcze dalej, spadnę z brzegu wyspy - poskarżył się Tas.

- Krzyżyk na drogę - burknął Dougan.

- Nie ruszaj się z miejsca, Tas - powiedział Palin. - Posłuchaj, Douganie, Reorxie, czy jak ci tam, musimy coś zrobić!

- Klejnot unicestwił cieniozjawy... - Zaczęła z nadzieją Usha.

- Nie wszystkie - przerwał jej krasnolud. - Daleko jeszcze do tego. Widmowe istoty rozproszą się po kraju jak najczarniejsza noc, zaczynając od Wieży Najwyższego Klerysta. Chaos jest przekonany, że to właśnie tam zdoła zadać najboleśniejczy cios swoim najpotężniejszym dzieciom, Paladine'owi i Takhisis. Kiedy ich zabije - a zginą oboje, jeśli Wieża Najwyższego Klerysta zostanie zdobyta - wtedy roześle hufce swych piekielnych istot po całym świecie.

- Zatem powinniśmy wyruszyć do Wieży - rzekł sfrustrowany Palin. - Możemy użyć Klejnotu, by pomóc rycerzom pokonać Chaos...

- Rycerze nie są pozbawieni pomocy, choć mogą o tym nie wiedzieć. Inni bogowie nie siedzą beczynn timer. Ich wysłannicy działają na całym Ansalonie. Jednakże to - Dougan pieśc otliwie musnął Szary Klejnot - to klucz do wszystkiego. Jeśli mój plan się powiedzie, zdołamy pokonać Jegomościa i przepędzić go razem z jego demonami na cztery wiatry.

- Masz więc plan - stwierdził Palin.

Dougan zmierzył go chytrym spojrzeniem. - Czy to znaczy, że chcesz się na coś przydać?

- Oczywiście - odparł niecierpliwie - Palin. - Chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy.

- Nawet jeśli to niebezpieczne, nawet jeśli możecie nie wrócić żywi? Albo jeśli przeżyjecie, możecie być na wieki zmienieni?

Tasslehoff podniósł rękę. - Ja też idę! Raistlin mi pozwolił!

- Pójdę na spotkanie tego niebezpieczeństwa. - Usha spojrzała w kierunku obumarłych sosen, tam gdzie przed chwilą znajdowały się cieniozjawy. - Nie może istnieć nic gorszego.

- Założysz się? - Burknął krasnolud.

- Sądząc z twoich słów, wszyscy na Ansalonie będą zagrożeni. Nie ryzykujemy mniej niż inni. Co mamy zrobić?

Dougan wyciągnął przed siebie ręce, w których trzymał połowy Szarego Klejnotu. - Musicie pochwyć Chaos i umieścić go tu z powrotem.

Palin jęknął. - Jesteś szalony! To niemożliwe! Nie jesteśmy bogami!

- To jest możliwe, chłopcze. Przemyślałem wszystko. Rozmawiałem z

pozostałymi i sądzimy, że to może się udać. A bogowie mają własne kłopoty. Paladine zgodził się nam pomóc - jeśli przeżyje. Takhisis jest w rozpaczliwym położeniu - Dougan potrząsnął głową - a mimo to wciąż walczy o władzę nad światem. Nie dostrzega tego, że powinna myśleć o własnym przetrwaniu. Zmagają się teraz w Wieży Najwyższego Klerysta.

Dougan westchnął ciężko. - Takhisis może jeszcze wygrać. Jeśli odniesie zwycięstwo, wreszcie wszystkim zawładnie. Może jednak odkryć, że władza jedynie zgliszczami.

Rozdział XXIV

WOJOWNICZKA MROKU.

SPISEK.

CHARAKTER NIEPRZYJACIELA

Rycerze walczyli w czerwonym blasku słońca, które nie chciało zejść. W jaskrawym świetle klingi ich mieczy wyglądały jak zbroszone krwią, a groty włóczy jarzyły się żywym ogniem. Rycerze Takhisis zebrali się, by bronić Wieży Najwyższego Klerysta przed okropnym, przerażającym i śmiertelnie groźnym wrogiem.

Z bezchmurnego nieba biły rozdwojone pioruny, którym bezustannie towarzyszył huk i dudnienie gromów. Gdy błyskawica uderzała w górskie zbocze, suche jak wiór drzewa stawały w ogniu. Nad doliną zawisł całun dymu. Pod nim z gór na północy spływała nienaturalna ciemność, która sunęła ku północnej ścianie Wieży Najwyższego Klerysta. Rycerze byli przygotowani na jej spotkanie - czymkolwiek była - smoki bowiem uprzedziły ich, że ten nieziemski mrok nie był przyjazny czcicielom Jej Mrocznego Majestatu.

Smoki - złote, czerwone, błękitne, srebrne i we wszelkich innych smoczych kolorach - donosiły o wielkiej szczelinie, która otworzyła się w Oceanie Turbidus. Rów buchał ogniem, od którego wrzała morska woda. Z tej rozpadliny wylewała się ciemność.

- To, co spływa z gór, to niezmierna rzeka nie kończącej się nocy. Zostawia po sobie spustoszenia gorsze niż ogień - opowiadał sędziwy złoty smok-książę. - Każda żywa istota dotknięta tym mrokiem znika, rozplywa się bez śladu, nie zostawiając po sobie niczego - nawet wspomnienia.

Ariakan przysłuchiwał się temu sceptycznie, szczególnie doniesieniom złotych smoków.

- Co to za mrok? - Zapytał.

- Nie wiemy, panie - odparł młody czerwony smok, który niedawno zdobył

pozycję przywódcy. Jego bitewne szramy jeszcze się nie zagoiły. - Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy. Sam jednak możesz to ocenić. Ciemności są już blisko.

Lord Ariakan poszedł objąć dowództwo na murach Rycerskiej Ostrogi. Zgodnie z doniesieniami smoka, atak już ruszył. Stojący na blankach łucznicy szyli z łuków do ciemności, która podpływała do ścian wieży jak woda. Strzały znikwały bez śladu, nie czyniąc widocznej szkody. Mrok wezbrał i zaczął przelewać się przez mury.

Barbarzyńcy pod dowództwem rycerzy ustawili się w szyku obronnym, gotowi ruszyć do ataku z mieczami i włóczniami. Wśród nich stanęli rycerze Ciernia i Czaszki, przygotowani do walki z nowym nieprzyjacielem za pomocą czarów i modlitwy.

- Co to za...? - Zaklął Ariakan. - Co tu się dzieje? Nic nie widzę!

Na horyzoncie jasno świeciło słońce, a mimo to na północnej części murów Wieży Najwyższego Klerysta zapadła noc. Ariakan usłyszał dobiegające stamtąd ochryple krzyki zgrozy i przerażające wrzaski. Bardziej jednak martwiło go to, czego nie słyszał. Brak było odgłosów bitwy, brzęku miecza o tarczę i pancerz. Brak rozkazów dowódców. Słyszał, jak jego czarodzieje zaczęli wypowiadać zaklęcia, lecz nie doczekał się ich zakończenia. Wznoszone do Jej Mrocznego Majestatu modły urwały się raptownie.

Ariakan nie mógł już tego dłużej znieść. - Schodzę tam - oznajmił, nie słuchając protestów podległych mu dowódców.

Zanim jednak zrobił choćby krok, ciemność cofnęła się równie niespodziewanie, jak nadeszła. Spłynęła po ścianie, wpełzła między drzewa i rozwiała się w dymie. Początkowo rycerze na murach wiwatowali, sądząc, że nieprzyjaciel został pokonany. Radosne okrzyki ucichły, gdy mrok szybko zastąpiło palące wściekłe słońce. Wtedy stało się jasne, że to nie zwycięstwo. Ciemność wycofała się nie bez powodu.

- Dobra Królowo! - Szepnął otepiały i wstrząśnięty Ariakan.

Z setek żołnierzy broniących Wieży od strony północnej nie został ani jeden. Jedynym dowodem na ich istnienie były rzeczy, jakie mieli wtedy na sobie lub przy sobie. Mur zaścielały kirysy, hełmy, naramienniki, koszule, tuniki, buty oraz szare i czarne habity. Na kirysie leżał miecz. Obok pióropusza przystrojona piórami dzida. Na szarej szacie woreczek z płatkami róż. Przy czarnym habicie czarna maczuga.

Nikt nie został przy życiu. Zniknęli wszyscy, co do jednego. Nie poląła się ani kropla krwi, lecz sądząc z potwornych wrzasków, rycerze ginęli w męczarniach. Co gorsze, przyglądający się owej strasznej scenie zaszokowani ludzie nie umieli sobie

przypomnieć ani jednej twarzy czy imienia. Nikt nie miał wątpliwości, że kiedyś stali tu żywi mężczyźni i kobiety. Istniało na to dość materialnych dowodów. Ludzie trzymali w rękach pamiątki po swych przyjaciółach i towarzyszach i przyglądali im się ze strachem i grozą. Choćby nie wiem jak się starali, nie umieli przypomnieć sobie zaginionych.

- Co to za przerażająca siła? - Dziwił się rozwścieczony Ariakan. Jego twarz była blada jak płótno. Nie mógł wyjść ze zdumienia. Ci, którzy widzieli jego chłód i opanowanie na polu walki, ujrzeni go teraz wstrząśniętego do głębi duszy. - Jak mamy z nią walczyć? Znajdźcie kogoś, kto odpowie na to pytanie! Sprowadzić mi tu kapłanów i Szarych Rycerzy - tych, którzy jeszcze zostali - dodał ponuro.

Choć każdy kapłan i czarodziej miał własne pomysły, żaden nie potrafił udzielić rzetelnych informacji.

- Najprawdopodobniej wróg się wycofuje - oznajmił podkomendant Trevalin. - Może walczący z nim odnieśli zwycięstwo, choć zapłacili za nie życiem.

- Nie - zaprzeczył Ariakan, spoglądając na nieprzenikniony mrok, który czał się pod gasnącymi drzewami. - Nie, cienie nie cofnęły się dlatego, że poniosły porażkę. Wycofały się, abyśmy zobaczyli, co spotkało naszych towarzyszy. Ich dowódca - kimkolwiek lub czymkolwiek jest - chce w nas zabić ducha, przerazić i wprowadzić w panikę. Na Jej Mroczny Majestat, ja do tego nie dopuszczę!

- Wracajcie do swoich oddziałów - rozkazał dowódcem. - Każcie natychmiast uprzątnąć ten bałagan i zabrać go ludziom z oczu. Przesłuchajcie swoich podwładnych. Postarajcie się znaleźć każdego, kto zobaczył lub usłyszał coś, co mogłoby nam wyjaśnić charakter wroga i los tych, którzy z nim walczyli. Przekazywać mi natychmiast wszelkie informacje. Będę w Gnieździe Zimorodka.

Dowódcy rozeszli się, by przywrócić ład i dyscyplinę w szeregach wystraszonych żołnierzy. Rycerze wrócili do zajęć i tylko od czasu do czasu któryś przystawał i spoglądał na południową stronę murów obronnych, którym teraz nadano miano przeklętych.

Ariakan w otoczeniu gwardzistów udał się do punktu obserwacyjnego, nazywanego Gniazdem Zimorodka. Zostawił strażę u stóp schodów i resztę drogi przebył samotnie.

Znajdujący się na samym szczycie wieży punkt obserwacyjny był niewielkim, okrągłym pomieszczeniem o wychodzących na wszystkie strony wąskich oknach, z których rozpościerał się zapierający dech w piersi widok na góry Vingaard, Równinę

Solamnijską i okolice. Ariakan ogarnął wzrokiem całun dymu wiszący nad doliną, a potem spojrzął na szczyty Vingaardu. Zobaczył tam dziwną ciemność, która spływała po urwistych zboczach, pożerając światło.

W samotności Ariakan mógł wreszcie wszystko przemyśleć. Krążył po małym pomieszczeniu i w poszukiwaniu odpowiedzi chodził od okna do okna. Jego duszę przepełniały lęk i złowróżbne przeczucia. Przypomniał sobie, co młody mag opowiedział o powrocie Chaosu, o niebezpieczeństwie grożącym samym bogom. Nie wierzył temu... Do chwili obecnej.

Kiedy tak przypatrywał się górą w nadziei, że dostrzeże jakąś wskazówkę, usłyszał na schodach ciężkie kroki.

- Posłaniec - szepnął do siebie pełen nadziei Ariakan. - Moi ludzie coś znaleźli.

Jednakże nie był to zdyszany goniec niosący ważne wieści. Do komnaty wszedł rycerz, zapewne jeden z oddziału Ariakana, bo miał na sobie lśniącą, czarną zbroję. Oblicza rycerza nie można było zobaczyć, zasłaniała je bowiem spuszczone przyłbica.

- Kim jesteś, panie rycerzu? - Zaciekawiał się Ariakan. - Dlaczego opuściłeś swój posterunek?

Rycerz nie odpowiedział. Był bardzo wysoki, pióropuszem hełmu zamiatał sufit. Barki miał szerokie, ramiona grube i muskularne. U jego boku wisiał ciężki miecz w pochwie z ciemnej skóry, którą u góry ozdabiała pięć barwnych pasów: czerwony, niebieski, zielony, biały i czarny. Rękojeść miecza miała kształt pięciogłowego smoka. Z ramion rycerza spływała czarna peleryna, jakby otulała go sama noc. Jego oczy były blade i płonęły jak gwiazdy.

Ariakan zaczął coś sobie przypominać. Znał tego rycerza, widział go już kiedyś w odległej przeszłości...

Ogarnięty nabożną czcią i lękiem lord Ariakan padł na kolana. - Wasza Wysokość!

- Wstań - rozległ się głęboki jak Otchłań kobiecy głos. - Wybiła godzina zagłady. Powrócił Chaos, Ojciec Wszystkiego i Niczego. Wrócił w gniewie, gotów zniszczyć całe dzieło stworzenia. Walczymy o przetrwanie.

- Moi rycerze i ja jesteśmy gotowi, Wasza Wysokość. - Lord Ariakan wstał z klęczek. - Wystarczy, że nam wydasz rozkazy.

Wojowniczką Mroku podeszła do jednego z okien niewielkiej komnaty. Wykonała drobny ruch dłonią w czarnej rękawicy. Ariakan czym prędzej stanął u boku swej królowej.

- Zagłada jest blisko - powiedziała cicho Takhisis - ale także szansa na ostateczne zwycięstwo. Ostateczne zwycięstwo Ariakanie! - Powtórzyła, zaciskając pięści.

- Jeśli pokonasz Chaos, mieszkańcy Krynnu dowiedzą się, że to mnie powinni dziękować za ocalenie życia. Po wieki będą moimi dłużnikami. Świat będzie w mojej garści i nikt mi już go nie wydrze.

- Racja, Wasza Wysokość - przyznał Ariakan - lecz jak tego dokonać?

- Lud Ansalonu wyjdzie z tego konfliktu pozbawiony przywódcy i zdezorientowany. Zapanuje anarchia. To będzie szansa dla nas. Kiedy siły Chaosu zostaną przepędzone, wy - moi rycerze - musicie być gotowi przejąć władzę.

- Już władamy dużą częścią Ansalonu, Wasza Wysokość - zaprotestował Ariakan, sądząc, że królowa wypomina brak starań jemu i jego rycerzom.

- Czy rządzicie w Silvanesti? - Spytała Takhisis. - Czy królestwo Thorbardinu zostało zdobyte?

- Jeszcze nie - stwierdził z ponurą miną Ariakan.

- Twoje wojska nadal walczą w Północnym Ergoth. W Qualinesti lada moment wybuchnie bunt. A Taladas i inne odległe rejony tego świata?

- Wasza Wysokość musi dać nam czas - odparł blady i posepny Ariakan.

- Czas nie jest wam potrzebny. Zaczekamy, aż siły Chaosu wykonają za nas zadanie. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, Wasza Wysokość - rzekł Ariakan, kłaniając się w pas. - Jakie są twe rozkazy?

- Paladine rzuca do walki z Chaosem wszystkie swe hufce. Siły dobra zostaną doszczętnie zniszczone, zdziesiątkowane, starte z powierzchni ziemi. Musimy zadbać, aby to samo nie przytrafiło się nam. Zachowasz część smoków i rycerzy w rezerwie. Wycofaj jedno skrzydło wojska ze zbliżającej się bitwy. Zrób to w tajemnicy.

Kiedy zakończy się walka o Wieżę Najwyższego Klerysta i odniesiemy zwycięstwo, ci rycerze będą wypoczęci i przygotowani do zajęcia siłą strategicznych miejsc na Ansalonie. Twoi rycerze nie będą osamotnieni. Zawiadomiłam też innych wiernych naszej sprawie. Smokowcy, ogry, minotaurzy, gobliny - w tej chwili walczą jako sprzymierzeńcy sił dobra. Niemniej po zakończeniu bitwy przyłączą się do waszej armii i dokończą dzieło przejmowania władzy.

- Wedle rozkazu, Wasza Wysokość - rzekł Ariakan. Spojrzał przez okno na nienaturalną ciemność. - Wpierw jednak musimy obronić wieżę przed atakiem wroga.

Co Wasza Wysokość może mi powiedzieć o tym nieprzyjacielu? Co to jest?

- To cieniozjawy - stworzenia zrodzone z materii Chaosu. Pozbawione są kształtu i postaci. Spojrzeć na nie, oznacza spojrzeć w głąb niebytu. Kiedy ruszają do ataku, przyjmują dokładną w każdym calu postać swego przeciwnika. Ich słowa, przesycane mrokiem i rozpaczą, pozbawiają wroga woli walki. Jeśli dotkną śmiertelnika, zmieniają go w nicłość.

Następna fala składać się będzie z walczących demonów - istot zimnych jak niezmierna, pusta przestrzeń między gwiazdami. Wbity w nie miecz rozprysnie się, jakby zrobiono go ze szkła. Dłoń człowieka, który go dotknie, zdrętwieje, uschnie i nigdy już nie zazna ciepła.

Pośród tych nieprzyjaciół natkniecie się również na ogniste smoki o płomiennych szponach i trującym, siarkowym oddechu. Oto wrogowie, z jakimi się zmierzycie. Oto wrogowie, których musicie pokonać.

Oblicze Ariakana było surowe i poważne. - Jak można pokonać takie istoty, Wasza Wysokość?

- Ponieważ są bezkształtnymi, niematerialnymi stworzeniami, które zrodziły się z Chaosu, może je zniszczyć każda metalowa broń, której dotknął jeden z bogów. Pobłogosławiłam wszystkie miecze twoich rycerzy. Ich klingi zabijają cieniozjawy. Rycerz musi uważać, by nie spojrzeć widmowej istocie w oczy, lecz jednocześnie musi zbliżyć się doń wystarczająco blisko, by zadać cios. Co do demonicznych wojowników, oręż rozproszy ich magię, lecz każdy zadany nim cios będzie ostatnim. Broń ulegnie zniszczeniu, a władający nią rycerz zostanie z gołymi rękoma.

- A co z moimi czarodziejami? A twoi kapłani?

- Magiczne światło nie pozwoli cieniozjawom przybrać postaci przeciwnika, a magiczny ogień je zniszczy, lecz czarodziej musi umieć zatrzasnąć swój umysł przed ich zgubnymi podszeptami, gdyż inaczej sam zginie. Każdy święty przedmiot, który dotknie demona, wygna go z powrotem w otchłań niebytu, lecz przy tym sam zostanie złożony w ofierze i ulegnie zniszczeniu.

Ariakan milczał pogrążony w myślach. Potem skinął głową.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego Wasza Wysokość chce zatrzymać oddział w rezerwie. Ta bitwa poważnie nas osłabi.

- Wszystkich osłabi, lordzie Ariakanie - odparła Takhisis.

- W tym właśnie nasze ostateczne zwycięstwo. Stanę się jedyną władczynią. Żegnaj, lordzie.

Królowa wyciągnęła dłoń w rękawicy. Ariakan ukląkł, by przyjąć jej błogosławieństwo.

- Będziemy walczyć do śmierci, Wasza Wysokość! - Oznajmił z zapalem.

Jej Wysokość cofnęła dłoń. Nie była zadowolona.

- Mam dość dusz, Ariakanie - rzekła oziębło. - Potrzebuję żywych ludzi.

Ariakan, skarcony, spuścił głowę.

Kiedy podniósł wzrok, królowej już nie było.

Rozdział XXV

ROZKAZY.

UKRYCI

Co to ma znaczyć? - Spytał rozwścieczony Steel, tak gorzko rozczarowany, że zapomniał o regulaminie. - Trevalin, chyba nie mówisz tego serio?

Pozostali rycerze z jego szponu, którzy zebrali się dookoła dowódcy, powtórzyli protest Steela jak echo.

- Mnie się to nie podoba tak samo jak wam, ale takie mam rozkazy - rzekł Trevalin. - Mamy schować się w pułapkach na smoki, trzymać z dala od bitwy i zostać tam do otrzymania nowych rozkazów. Mamy też zachować milczenie - dodał, mierząc swych żołnierzy srogim wzrokiem. - Śmierć czeka każdego, kto powie o tym komuś spoza naszego szponu.

- Zostaliśmy ukarani - stwierdził jeden z rycerzy.

- Co takiego zrobiliśmy, żeby zasłużyć na niełaskę naszego pana? - Spytał inny.

- Mamy się potajemnie przyczaić, schować w mroku jak jakieś śmierdzące krasnoludy żłebowe!

- O dzielności naszych towarzyszy będą układać pieśni...

- Ułożą pieśń o naszej hańbie!

- Dość tego, panowie. Otrzymałem rozkazy od samego lorda Ariakana - oznajmił surowo Trevalin. - Ma w zamysłach pewien plan. Naszym zadaniem jest wykonywanie rozkazów, a nie ich kwestionowanie. Jeśli macie jakieś wątpliwości, sugeruję, abyście udali się z nimi do jego lordowskiej mości.

To uciszyło protesty - przynajmniej te, które wypowiedziano na głos. Rycerze wymienili posępne, pełne niechęci spojrzenia, lecz nic nie rzekli.

Trevalin zgromadził swych ludzi w koszarach szponu, z dala od reszty rycerzy, by zachować zbiórkę w tajemnicy. Wyjrzał przez okno. Słońce zaczynało wreszcie zachodzić; spoglądało posępnym okiem znad horyzontu, jakby nie miało ochoty odchodzić i przegapić widoku bitwy. Obrońcy wieży szykowali się do kolejnego

natarcia, które zwiastowały olbrzymie kałuże spływającej z gór i wzbierającej pod murami ciemności. Widać w niej było teraz oczy demonów idących wśród cieniozjaw. Tylko oczy, nic więcej. Oczy były czerwone, ohydne i błyszcząca w nich śmierć. Dzięki Objawieniu każdy rycerz był świadkiem tego, jak Jej Mroczny Majestat przedstawiał cieniozjawy i demony oraz sposób, jakim je pokonać. Rycerze Lilli szykowali smoki do walki, rycerze Czaszki błogosławili zbroje, tarcze i oręż, natomiast rycerze Ciernia gromadzili składniki zaklęć i uczyli się na pamięć czarów.

- Czas na nas - oznajmił wreszcie z ociąganiem Trevalin. - Nie interesuje mnie, czy macie jakieś pytania, ponieważ nie mógłbym na nie odpowiedzieć, nawet gdybyście je mieli. Mamy stawić się w pułapce na smoki w przeciągu godziny. Z powodu konieczności utrzymania tego w tajemnicy, będziemy tam schodzić pojedynczo i po dwóch, każdy inną drogą. Rycerz Brightblade zajmie się przydziałem tras.

Rycerze spuścili nosy na kwintę i szykowali się do objęcia nowych stanowisk „w piwnicy razem ze starymi babami i dziećmi”, jak to ktoś podsumował, na tyle cicho, by nie słyszał tego Trevalin.

Odsunięcie od bitwy złościło Steela nie mniej niż innych, lecz po pierwszym wybuchu nie odezwał się więcej. Odzyskał stopień, a będąc znów zastępcą komendanta szponu, winien był Trevalinowi niekwestionowaną lojalność i wsparcie. Steel zebrał rycerzy, dał każdej grupie wskazówki dotyczące ich trasy, wysłuchał narzekań i robił, co mógł, żeby łagodzić ich wzburzenie mową o „oddziałach szturmowych” i „tajnych misjach”. Kiedy ostatni oddział wyruszył w drogę, Steel poszedł złożyć raport Trevalinowi.

- Nie mylicie się aż tak bardzo - rzekł półgłosem Trevalin, kiedy obaj schodzili do pułapki na smoki. - Z tego, co wiem, zachowano nas w rezerwie do wykonania jakiejś ważnej misji, którą przydzielił Ariakanowi sam Jej Mroczny Majestat. Jeden ze strażników Ariakana zdradził mi, że królowa spotkała się z lordem w Gnieździe Zimorodka i że tam rozmawiali. Strażnik wie o tym, bo widział, jak Ariakan wszedł na górę sam, a potem słyszał rozmawiających - jednym z nich była kobieta o głosie jak dzwon zwiastujący zagładę. Kiedy Ariakan zszedł na dół, był blady i cały się trząsł, jakby piorun w niego strzelił. Wkrótce potem wydano te rozkazy.

Steel uśmiechnął się z zadowolenia. - Dlaczego nie powie pan pozostałym? Poprawiłyby im się humory.

- Dlatego, że powinniśmy wykonywać rozkazy niezależnie od tego, co o nich

myślmy. A to, co wam powiedziałem, to tylko plotka, nic więcej - odparł krótko Trevalin. Potem rozluźnił się, wzruszył ramionami i uśmiechnął. - Ja nie mogę niczego ogłosić oficjalnie, ale wy możecie to rozgłosić, Brightblade.

- Sama królowa nas wybrała! - Szepnął do siebie podniecony Steel, mijając spiżowe wrota, które wiodły do pułapki na smoki.

Trudno jednak było zachować dumę i radość ze szczególnego wyróżnienia, gdy pograżyli się w mroku lochów, który odciął ich od reszty towarzyszy i spowił swym całunem.

Rycerze siedzieli lub stali w ciszy, którą przerwał jedynie grany na trąbce sygnał do ataku, sygnał, na który nie wolno im było odpowiedzieć.

Steel siedział spokojnie i czekał na rozkazy. Z pogardą patrzył na rycerzy, którzy, chcąc się uspokoić, krążyli nerwowo i rozkazał im przestać, by nie nadwerężyć sił. Pierwszą godzinę poświęcił na czyszczenie i polerowanie miecza swego ojca, po raz kolejny podziwiając świetną robotę, z jaką nie mogło się równać żadne dzieło mistrzów płatnerskich wynajętych przez lorda Ariakana. Sam lord stwierdził, że to jedna z najwspanialszych kling, jakie widział.

W rzeczywistości miecz nie wymagał czyszczenia - Steel doskonale dbał o swój oręż - jednak polerowanie świetnej stali było pożytecznym zajęciem, które jednocześnie go uspokajało. Zaczął rozmyślać o ojcu i jego dzielności, o której tak wiele słyszał. Myślami cofnął się do epoki poprzedzającej czas jego ojca. Pomyślał o innych rycerzach, w których ręku ten miecz przynosił honor i chwałę. Czy wszyscy Brightblade'owie zgromadzili się teraz? Czy stali w szeregu za swym wodzem, Paladine'em, szykując się do boju? Przodkowie rodu Brightblade'ów walczyli w imię Paladine'a; ich żyjący przedstawiciel, Steel, w imię Takhisis. Nie widział jednak w tym wielkiej różnicy - to tylko druga strona tej samej monety.

Wyobrażał sobie bitwę, jaka musiała szaleć w Otchłani - bogowie zjednoczyli siły przeciwko Chaosowi, a jego królowa na czele swych straszliwych legionów wiedzie ich ku zwycięstwu. Cześć i duma rozpięły mu serce. Podczas pracy Steel wyszeptał modlitwę do Takhisis, prosząc o obdarzenie go choćby niewielkim ułamkiem odwagi Jej Mrocznego Majestatu. Prawie zazdrościł umarłym, którzy dostąpią zaszczytu walczenia u boku Jej Wysokości.

Rozmyślania, marzenia i praca sprawiły, że pierwsza godzina czekania szybko minęła. Drugą spędził, siedząc na kamiennej podłodze, pocąc się obficie z powodu upału, który docierał nawet tak głęboko do wnętrza wieży, i wsłuchiwał się w

dochodzące z góry odgłosy bitwy. Pozostali rycerze również słuchali i zastanawiali się, co się tam może dziać. Dźwięki były niewyraźne, stłumione i zniekształcone. Zagłuszał je huk grzmotów, od których wieża trzęsła się w posadach, przeraźliwe granie trąbek, bicie serca bojowych maszyn. Czasami ponad resztę wybijał się przerażający, głośny wrzask - krzyk konającego smoka. Słyszając ten straszny dźwięk, rycerze milkli i wpatrywali się w kamienie pod stopami.

Czas płynął, a wieści nadal nie było. Po schodach nie zbiegł zdyszany posłaniec z rozkazami, aby siodłali smoki i wzbili się w niebo.

W trzeciej godzinie wszystkie dźwięki nagle ucichły. Zapadła niesamowita cisza. Rycerze zaprzestali gry w kości. Nikt nie próbował rozpocząć rozmowy. Trevalin zbliżył się do zamkniętych na sztabę drzwi z brązu i przyglądał im się posępnie. Steel nie mógł dłużej znieść napięcia. Wstał i zaczął niespokojnie krążyć, wpadając na innych, którzy robili to samo.

Nagle poczuł, jak coś skapnęło mu na czoło. Przyłożył rękę, a potem spojrzał na palce i krzyknął ochryple: - Niech ktoś przyniesie pochodnię! Szybko!

Ludzie przynieśli kilka żagwi i ciasno otoczyli Steela.

Trevalin przepychając się przez krąg rycerzy, pytał: - Co tam? Co się stało? Co to za zamieszanie? Rozejść się...

- Lepiej niech pan to zobaczy, podkomendancie - powiedział Steel. - Proszę tu poświecić.

Jeden z rycerzy zniżył pochodnię. W jej blasku zaśniła świeża kałuża, która zbierała się na posadzce. W ciszy, jaka nagle zapadła, wszyscy słyszeli powolne i nieustanne kapanie.

Trevalin przykląkł, zanurzył w kałuży czubki palców i przysunął je do światła.

- Krew - stwierdził cicho, patrząc na sufit.

Trevalin wstał. - Wychodzę na górę - oznajmił i kilku rycerzy zakrzyknęło radośnie. - Przestańcie - rozkazał rozniewany. - Bierzcie broń i szykujcie się. Brightblade, pójdziecie ze mną.

Pozostali rozeszli się szybko, ciesząc się, że mają coś do roboty, nawet jeśli jest to tylko przypasywanie mieczy i zakładanie zbroi.

Steel towarzyszył Trevalinowi do drzwi.

- Na czas mojej nieobecności wy dowodzicie - powiedział Trevalin. Umilkł. Jednak nie wyszedł i oglądał się stale na drzwi, jakby decydował się, czy coś powiedzieć czy nie.

- Brightblade - rzekł wreszcie cicho - czy zauważyliście coś dziwnego? Coś dotyczącego Objawienia?

Steel powoli skinął głową. - Łudziłem się, że się mylę, podkomendancie - powiedział półgłosem. - Miałem nadzieję, że to dotyczy tylko mnie.

- Najwyraźniej nie - odparł Trevalin z westchnieniem. - Zdaje się, że już go nie widzę. A wy?

- Nie, panie podkomendancie.

Trevalin potrząsnął głową i naciągnął rękawice. - Czyniąc to, sprzeciwiam się wyraźnym rozkazom. Jednakże bez wskazówek Objawienia... Stało się coś złego. Być może my będziemy musieli to naprawić, jeśli zdołamy. Zaczekajcie na mnie. To nie potrwa długo.

Biorąc pochodnię, Trevalin uniósł ciężką sztabę zamykającą drzwi, otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Steel stał w progu, śledząc oczami oddalające się korytarzem światło. Stał tak przy uchylonych drzwiach w nadziei, że usłyszy coś z zewnątrz.

Pozostali rycerze zbliżyli się i otoczyli go półkolem. Oni również zachowywali się cicho. Słyszać było jedynie brzęk i zgrzyt zbroi i ledwie słyszalne, równomierne oddechy.

Wreszcie znów ujrzeli poświatę na końcu korytarza. Światło mrugało, jakby dłoń, która trzymała pochodnię, była słaba i drżąca. Słyszeli niepewne, chwiejne kroki. W polu widzenia pokazał się wsparty o ścianę Trevalin. Patrząc pod nogi, włókł się powoli korytarzem.

Steel otworzył drzwi. Kiedy Trevalin dotarł do nich, zatrzymał się i powiódł po swych ludziach mętym, nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie wiedział, kim są i co tam robią.

Twarz Trevalina była trupioblada w ostrym świetle pochodni.

Nagle żagiew wypadła mu z ręki, zaskwierczała i zaczęła dymić na posadzce. Nikt się nie schylił, by ją podnieść.

- Panie podkomendancie - odezwał się Steel. - Co panu jest? Co tam się dzieje?

- Nic - odparł ochryplym głosem Trevalin. - Wszyscy... Nie żyją.

Nikt się nie odezwał, ktoś tylko syknął przez zęby.

Trevalin przymknął oczy, jakby z bólu. Spod powiek pociekły mu łzy. - Mój pan... Nie żyje! - Ostatnie słowa prawie wyszlochał. Podniósł zaczerwienione powieki, rozejrzał się wokół.

- Nie żyją! Nie rozumiecie! Wszyscy nie żyją!... Wszyscy... Nie żyją...

Nogi się pod nim ugięły i osunął się po ścianie. Steel chwycił swego dowódcę w ramiona.

- Pan jest ranny! Gdzie? Proszę pomóc mi zdjąć zbroję.

Trevalin złapał Steela za rękę i zatrzymał go.

- Nie ma sensu - rzekł. - Trafił mnie... - Zakrztusił się i przełknął ślinę. - Trafił mnie... Od tyłu. - Rozgniewany i zdumiony Trevalin zmarszczył brwi. - Tchórz... Zadaje cios... W plecy... Nie zauważyłem... Nie miałem szans obronić się... Niegodnie...

- Panie... Czy nieprzyjaciół jest tam? Ilu ich tam jest?

Trevalin potrząsnął głową. Zacharczał i chciał coś powiedzieć, lecz z ust pociekły mu tylko bańki krwi i śliny. Osunął się po ścianie. Ręka ściskająca dłoń Steela zwisała bezwładnie.

Steel jeszcze przez chwilę trzymał dowódcę za rękę, a potem położył ją ostrożnie i z szacunkiem na piersi zmarłego.

- Niech Takhisis będzie z panem, panie podkomendancie - rzekł cicho.

Wtedy na chwilę jego oczom ukazała się olbrzymia rana zadana czymś, co rozpruło czarną zbroję jak pergamin. Skóra na paskudnie rozplatanym boku była zwęglona i broczyła krwią.

- To ślady pazurów - stwierdził zdjęty zgrozą jeden z rycerzy.

- Jeśli tak, to ognistych - powiedział Steel, powoli wstając. Wyjrzał przez drzwi.
- Ciekaw jestem, jakie mieliśmy rozkazy.

- Teraz to już nieważne - stwierdził jeden z rycerzy. - Jakie są pańskie rozkazy?

Wtedy do Steela dotarło, że jest dowódcą. Nie tylko swego szponu, lecz - jeśli Trevalin się nie mylił - całej Wieży Najwyższego Klerysta. Nie dopuszczał do siebie tej strasznej myśli. Trevalin musiał się pomylić. Odniósł przecież okropne obrażenia. Wszyscy z pewnością nie mogli zginąć!

Steel podjął decyzję. - Wy dwaj, złożcie tutaj ciało podkomendanta. Przykryjcie je tarczą. Reszta niech weźmie broń i idzie za mną. Jeśli wieża została zdobyta, wróg zapewne nie wie, że tu jesteśmy. Możemy zaskoczyć ich zniemacka. Nie palić pochodni. Nie hałasować.

Zanurzywszy palce we krwi Trevalina, Steel posmarował nią czarny naramiennik swej zbroi, tak jak inny rycerz mógłby nosić wstążkę swej damy. Wydobył miecz - oręż swego ojca - i wyszedł na zewnątrz.

Jeden po drugim rycerze ciemności poszli za nim, oddając cześć poległemu.

Rozdział XXVI

OBJAWIENIE

Steel powoli i ostrożnie skradał się korytarzami wieży. Nic nie było widać. Rycerz nie spodziewał się tak gęstej ciemności. Wysłał kilku ludzi z powrotem po pochodnie. Błądzenie po ciemku było bardziej niebezpieczne niż napotkanie zaczajonego wroga.

Dziwne, uparte słońce wreszcie zaszło i w końcu zapadła noc. Gdzie jednak był blask gwiazd i poświata trzech księżyców, która powinna oświetlać im drogę? Czekał na powrót swych ludzi, Steel po omacku poszukał ściany, natknął się na okno i wyjrzał przez nie. Spojrzał w niebo, sądząc, że może wreszcie skończyła się susza i gwiazdy przesłoniła warstwa chmur.

Błyskawica rozjaśniła niebo - było czyste, bezchmurne i puste.

Bez gwiazd. Bez księżyców.

Steel do bólu oczu wbijał wzrok w nieskończenie ciemne niebo, szukając choćby najmniejszego światełka. Nie znalazł żadnego. Odsunął się od okna, nie chcąc zastanawiać się nad możliwym znaczeniem tego przerażającego zjawiska. Nadchodzili jego ludzie z pochodniami. Poleciał im nie zatrzymywać się i ostro rozkazywał patrzeć przed siebie, kiedy któryś zamierzał podejść do okna. Wkrótce poznają prawdę, lecz Steel ludził się, że dopiero wtedy, kiedy sam ustali, z czym mają do czynienia.

Idąc korytarzami, napotykali ślady zażartych walk. Ściany były osmalone i popalone, a gdzieś ziały wybite w nich dziury. Wędrówkę utrudniały zwaly gruzu, które zagradzały drogę. Potem zaczęli znajdować trupy, niektóre okropnie popalone. Jakiś straszliwy żar stopił ich zbroje z ciałami w jedno. Jeszcze gorsze były sterty pustych pancerzy, żalosne stosy szarych szat i rozsypanych składników zaklęć, zmięte i rozrzucone po kamiennej podłodze czarne habity ozdobione symbolami Jej Mrocznego Majestatu.

Co jakiś czas Steel nakazywał swym ludziom zatrzymać się. Wstrzymując oddechy, stali w ciszy i wytężali słuch - nasłuchiwali rozkazów, zwycięskich okrzyków,

chełpliwego śmiechu, krzyku jeńców, dumnych przekleństw więźniów.

Nie usłyszeli niczego, z wyjątkiem westchnienia gorącego wiatru, który dął w ruinach niegdyś najpotężniejszej twierdzy na Ansalonie.

Wciąż zdyscyplinowani rycerze ruszyli dalej, choć ich surowe, pobladłe oblicza odzwierciedlały przerażenie tym, co widzieli dookoła. Wyszli na środkowy dziedziniec.

Prawie całą przestrzeń wypełniało martwe ciało ogromnego czerwonego smoka. W świetle pochodni połyskiwały popękane łuski, długie rany na ciele i porwane błony połamanych i zmiażdżonych skrzydeł. Olbrzymia bestia zmarła z powodu niezliczonych ran; kamienny bruk dziedzińca był mokry i śliski od jej krwi.

- Rozproście się - rozkazał cicho Steel. Poczul chłodny dreszcz, gdy uświadomił sobie, że jego ludzie nie powinni mieć obaw, a tym samym i nadziei. - Sprawdźcie, czy ktoś nie przeżył i wróćcie tu z doniesieniami.

Rycerze rozdzielili się na dwu- i trzyosobowe grupy, po czym rozeszli się z bronią w rękę.

Steel wetknął żagiew w uchwyt na ścianie i zbliżył się do smoczej głowy. Stojąc wcześniej w bramie, dostrzegł ludzkie zwłoki.

Obok smoka leżał lord Ariakan. Musiał go dosiadać w tej ostatniej, rozpaczliwej bitwie, dopóki bestia nie spadła na ziemię, zmuszając Ariakana do pieszej walki z nieprzyjacielem. W zimnej dłoni wciąż ścisnął miecz z ostrzem złamanym, lecz pokrytym krwią, jakby toczył bój nawet wtedy, gdy oręż go zawiódł. Nigdzie wokół nie było widać ciał wrogów, z którymi się zmagał. Steel natknął się w pobliżu na oleiste, czarne plamy i oczyma wyobraźni ujrzał demony, które stają w ogniu po zetknięciu z kutą stalą.

Przyklęknął przy zwłokach swego zwierzchnika, który znalazł go i wychował na rycerza. Wyraźnie, jak w rozbłysku płonącej na kominku kłody, ujrzał Ariakana wchodzącego do domu dwunastoletniego chłopca i przeszywającego go spojrzeniem ciemnych oczu.

Proponuję ci ciężką pracę, bezlitosny wysiłek, surowe życie bez wytchnienia i wygód. Nie uzyskasz żadnych osobistych korzyści. Możesz mieć najwyżej nadzieję, że zasłużysz na szacunek towarzyszy broni. Wyrzekniesz się miłości rodziny i przyjaciół. Ich miejsce zajmie bój, chwała i honor. Przyjmujesz te warunki, Steelu?

- Przyjmuje, panie - Steel powtórzył słowa wypowiedzianej wówczas przysięgi.

Trudno było ustalić, która z wielu ran przyczyniła się do śmierci Ariakana. Jego oblicze wykrzywił grymas - nie bólu jednak, a zawziętości. Ariakan walczył dzielnie do

samego końca. Zawiodła go pęknięta klinga miecza, lecz nie odwaga. Steel teraz domyślał się już, czemu Objawienie przestało istnieć. Umarło wraz z człowiekiem, który je stworzył.

- Przyjmij jego duszę, Królowo - modlił się Steel, krztusząc się od łez. Zamknął wytrzeszczone oczy trupa i ułożył jego wykrzywione członki w pozie przypominającej spokojny wypoczynek. Znalazł odłamki pękniętego miecza i położył je na piersi Ariakana.

Wstał powoli. - Teraz walczysz u boku Jej Majestatu, panie. Godnie walczysz. Przyszykuj drogę nam wszystkim.

Stojąc samotnie na dziedzińcu ze spuszczoną głową, Steel zastanawiał się nad tym, co ma czynić dalej. Nieprzyjaciel odniósł zwycięstwo. Wieża Najwyższego Klerysta została zdobyta. Temu wrogowi nie zależało na okupacji i podbojach, nie zależało na twierdzach, ziemiach, miastach, bogactwie i poddanych. Ten wróg miał tylko jeden cel: zadawać śmierć. Najpotężniejsza z istniejących fortec została zdobyta, a jej obrońcy - najpotężniejsza siła na Krynnie - doszczętnie unicestwieni. Wykonawszy główne zadanie, nieprzyjaciel ruszył dalej, niosąc ze sobą pożogę, zgrozę i krew.

- Tylko my zostaliśmy - powiedział do siebie ogłuszony tą myślą Steel. - Co mamy zrobić? Objawienie przepadło, ale z pewnością może się odrodzić! - Popatrzył w puste niebo i rozłożył szeroko ramiona. - Królowo Mroku! Poradź, co mam robić! Udziel mi wskazówek!

Usłyszał szybko zbliżające się kroki lekko stąpającej osoby. Serce mu podskoczyło. Wzniósł miecz.

- Kto tam? - Zawołał.

Jego oczom ukazała się kobieta-rycerz w niebieskiej zbroi. Włosy miała kędzierzawe, ciemne, krótko ostrzyżone. Posłała Steelowi krzywy, czarujący uśmiech.

Steel opuścił miecz. Nie miał wątpliwości, że to odpowiedź jego królowej. Teraz otrzyma od niej rozkazy.

Kitiara zatrzymała się naprzeciw swego syna. Widząc krew na jego pancerzu, spoważniała. - Nie jesteś chyba ranny, Steelu?

- To krew mojego dowódcy, który poległ w obronie wieży.

- Steel poczuł, jak twarz mu płonie ze wstydu. - Nie brałem udziału w bitwie, matko. Mojemu szponowi rozkazano zostać w ukryciu...

- Wiem o tym - rzekła Kitiara, lekceważącym gestem przerywając zbędną

wypowiedź. - To ja wydałam ten rozkaz.

Wstrząśnięty Steel wytrzeszczył na nią oczy. - Ty! Rozkazałaś, żebym chował się przed bitwą! Mój honor...

- Do diabła z tymi bzdurami! - Warknęła Kitiara. - Pleciesz o honorze zupełnie jak ten ograniczony dureń, twój ojciec. Posłuchaj mnie, Steelu. Nie mamy wiele czasu.

Kitiara zbliżyła się do niego. Bijący od niej chłód przeniknął go i zmroził do szpiku kości, sprawiając, że oddychanie stało się bolesne. Jej słowa nie docierały do niego za pomocą słuchu, lecz wbijały się w serce.

- Przegraliśmy bitwę. Przegraliśmy wojnę. Siły Chaosu są zbyt silne. Nasza królowa zamierza uciec, póki jeszcze może. Szykuje się do odejścia i zabierze ze sobą najwierniejszych wyznawców. Dzięki memu wstawiennictwu, ty, mój synu, znajdziesz się w ich gronie. Chodź ze mną natychmiast!

- Mam pójść z tobą? - Steel przyglądał jej się z uwagą.

- Gdzie mam z tobą pójść?

- Do innego świata, mój synu! - Rzekła z zapalem Kitiara.

- Inny świat, którym zawładniemy i który podbijemy! A ty będziesz należał do naszych zwycięskich sił. Będziemy razem.

Stroskany Steel miał wątpliwości. - Powiadasz, że przegraliśmy wojnę?

- Czy muszę powtarzać? Pośpiesz się, mój synu. Chodź szybko.

- Moja królowa nie uciekłaby - oznajmił Steel, oddalając się od matki. - Jej Wysokość nie opuściłaby, nie zdradziłaby tych, którzy walczyli w jej imieniu, którzy polegli za nią...

- Polegli za nią? - Zaśmiała się Kitiara. - Oczywiście, że polegli za nią! To był ich przywilej. Nic im nie jest winna! Nic nie jest winna temu światu. Niech przepadnie. Będą następne. Nowe światy! Ujrzysz cuda, mój synu. A my zgarniemy te cuda, te bogactwa i przywłaszczymy je sobie! Wpierw jednak musisz zdjąć tę głupią elfią błyskotkę, którą nosisz na szyi. Pozbądź się jej.

Steel wyminął wzrokiem matkę i spojrzał na zwłoki lorda Ariakana i ciało wspaniałego, starego czerwonego smoka. Pomyślał o Trevalinie, który ostatkiem sił, śmiertelnie krwawiąc, wrócił do swego oddziału.

Płomień pochodni rozmywał mu się przed oczyma. Steel oparł się o ścianę, oddychając z trudem. Wydawało mu się, że ściana się poruszyła. Wszystko, co rzeczywiste i solidne, przestawało być dla niego oparciem.

Porzuconemu i zdradzonemu Steelowi nic już nie zostało. Objawienie

przepadło nie dlatego, że Ariakan przestał je widzieć, lecz dlatego, że samo przestało istnieć. Gwiazdy spadły z nieba i wszystkie go przygniotły.

- Chodź, Steelu! - Głos Kitiary nabrał ostrości. - Dlaczego się wahasz? Zdejmij ten klejnot.

- Nie, matko - odrzekł cicho Steel. - Nie pójdę z tobą.

- Co takiego? Nie bądź głupcem!

- Czemu nie, matko? - Spytał gorzko Steel. Zdaje się, że byłem nim przez wszystkie te lata. Wszystko, w co wierzyłem, było kłamstwem.

Kitiara zmierzyła go wściekłym wzrokiem. Jej oczy były ciemne jak puste niebo. - Chyba się pomyliłam. Sądziłam, że jest w tobie materiał na prawdziwego wojownika. Walka! Zwycięstwo! Władza! To jest wszystko. Nie ma nic poza tym! Postępuj jak twój ojciec, a zginiesz jak on - samotny i opuszczony, oddasz swe życie za jakąś nie wartą sprawę. Tej walki nie wygrasz, Steelu! - Wysyczała jego imię Kitiara. - Nie wygrasz!

- Masz rację, matko - powiedział spokojnie Steel. - Ja już przegrałem. Straciłem boginię, władcę i marzenia. Straciłem wszystko - dotknął klejnotu, który nosił na szyi pod czarną zbroją - z wyjątkiem tego, co jest we mnie.

- Odziedzyczyłeś to po mnie!

Gniew Kitiary przypominał uderzenie opancerzonej pięści w twarz. Steel odwrócił głowę, spuścił oczy.

Nagle nastrój kobiety uległ zmianie, gniew przygasł. Odezwała się głosem cichym i pieszczotliwym: - Jesteś zmęczony walką, Steelu, zasmucony poniesioną stratą. Nie powinnam była zmuszać cię teraz do podejmowania decyzji. Nie śpiesz się, synu. Pomyśl o mojej propozycji. Nowy świat. Nowe życie...

Opancerzona pięść stała się łagodną dłonią. Delikatne ciepło przypominające dotyk czarnego aksamitu musnęło go... I znikło.

Steel zamknął oczy i oparł się o kamienną ścianę, która teraz była twarda i mocna, dająca oparcie. Był zmęczony, lecz to osłabienie było czymś więcej niż znużeniem bitwą. Nie zadał przecież ani jednego ciosu. Mimo to był obolały, jakby pobito go, skopano i zostawiono w jakimś ciemnym zaułku. Zostawiono, by skonał w samotności.

Dlaczego miałbym umierać?

Nowe światy. Cuda... Podboje... Chwała...

Czemu nie? Do diabła, czemu nie? Matka ma rację. Ten świat jest skończony.

Nie ma mi już nic do zaoferowania.

Pustka, jaką Steel czuł w swym wnętrzu, dobijała go jak rana zadana pazurami smoka. Zdrada królowej wydarła z niego duszę, wysssała wszystkie soki, aż została tylko pusta skorupa.

Czemu nie miałyby wypełnić tej pustki wojną, gwałtowną rozkoszą bitwy, ekstazą zwycięstwa, przyjemnością grabieży. Nie będę już walczyć dla żadnego boga. Będę się bił dla własnego zysku. Ja będę wyciągał z tego korzyści!

Ścisnął klejnot w dłoni.

- Ona kłamie... - Powiedział czyjś głos, dobiegający z jego wnętrza, a może z zewnątrz. To już nie było ważne.

Steel nie otwierał oczu. - Nie próbuj mi przeszkodzić, ojciec. To koniec. Bitwa się skończyła i ponieśliśmy klęskę.

- Kitiara skłamała. Bitwa jeszcze się nie skończyła, przynajmniej nie dla wszystkich. Paladine i inni bogowie wciąż zmagają się z Chaosem. Dzieci magii, Lunitari, Solinari i Nuitari nadal toczą wojnę. Sargonnas złożył przysięgę krwi, że nie zaprzestanie walki. Chemosh wskrzesił zmarłych i wiedzie ich do boju. Wszyscy na Krynnie toczą beznadziejną walkę. Nie mówią o porzuceniu świata.

- Co im to da, ojciec? - Spytał Steel. Myślni wrócił do Ariakana, którego ciało leżało obok martwego smoka. - Kto ich nagrodzi? Kto zaśpiewa dla nich pieśni o bohaterach?

- Ty, Steelu - rzekł jego ojciec. - Ty uczcisz ich każdym dniem swego bardzo długiego życia.

Steel zamilkł. Trzymał klejnot mocno w garści, lecz sam nie wiedział, czy z nienawiści, czy z tęsknoty.

- Czego ode mnie oczekujesz, ojciec? - Spytał z pogardą i rozpaczą. - Chaosu nie można unicestwić.

- Nie, ale można zmusić go do odwrotu. Chaos uczynił wyrwę w świecie. Przez tę szczelinę sprowadził swoje sługi: cieniozjawy, ogniste smoki i demonicznych wojowników. Jednakże przez nią stał się podatny na atak. To słaby punkt jego planu. Zmuszony został zstąpić na naszą płaszczyznę istnienia. Zarówno Paladine, jak i Gilean są przekonani, że jeśli zdołamy złapać Chaos tutaj, na tej płaszczyźnie i pokonać go, będzie zmuszony porzucić walkę i zamknąć szczelinę, aby nie pochłonęła i jego.

- Jak mam walczyć z Chaosem? Jakiej broni użyć?

- Drużyna rycerzy uzbrojonych w osławione smocze lance musi zejść do Otchłani i tam stawić czoło Chaosowi i jego hufcom. Muszą ruszyć do boju, wiedząc, że nie ma dla nich powrotu. Muszą wyruszyć ze świadomością, że mogą zginąć nadaremnie, że nikt nie zostanie, by zaśpiewać im pieśni o bohaterach.

Steel stał niezdecydowany, a w jego duszy rozgorzała bitwa, która toczyła się każdego dnia od chwili, gdy się narodził. Ze spuszczoną głową stał w blasku pochodni pod bezgwiezdnym niebem, gdy zwaśnione strony toczyły bój, raniąc go i czyniąc z jego duszy spustoszone pole walki.

- Brightblade, nic panu nie jest?

Steel podniósł rękę i odpędził pytającego ciosem. Był zmęczony walką i obolały od ran. Był też wściekły, rozzłoszczony tym, że musiał przez to wszystko przejść.

- Daj mi spokój! - Krzyknął.

- Tak jest, panie. - Zaskoczony rycerz cofnął się o krok.

- Przepraszam, panie. Chciałem tylko zameldować, że...

- Nie, zaczekaj...

Steel zmrużył oczy i rozejrzał się. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest, ani skąd się tu wziął. Zobaczył zwłoki swego pana i odzyskał pamięć. Westchnął. Stwierdził, że kurczowo ściska klejnot na szyi.

Rozluźnił palce i wypuściwszy gwiezdny klejnot, wsunął go z powrotem pod pancerz. Otarł twarz z potu. Noc była gorętsza i bardziej parna niż dzień. Z upału i wycieńczenia zasnął na stojąco.

- Przepraszam. Chyba się zdrzemnąłem. Przestraszyłeś mnie. - Wysiłkiem woli Steel zmusił się do wysłuchania rycerza. - Możesz składać raport.

- Żadnych śladów wroga. Nie ma też śladu nikogo innego - to znaczy, nikogo żywego. Nikt nie ocalał. Ranni... - Mężczyzna przełknął ślinę. - Ranni leżący na pryzkach zostali wymordowani... Nie mieli najmniejszych szans.

Steel zaczął modlić się za ich dusze do Takhisis. Przerwał w pół słowa.

- Coś jeszcze? - Spytał zmęczonym głosem.

- Są też dobre wieści. Znaleźliśmy kilka żywych błękitnych smoków. Rozkazano im, podobnie jak nam, trzymać się z dala od bitwy. Przyłączyło się do nich też kilka srebrnych. Chyba przyleciały za późno. Były na Górze Srebrnego Smoka, gdzie strzegły grobowca Humy, gdy otrzymały rozkaz stawienia się w Wieży Najwyższego Klerysta.

- Rozkaz? Kto im go wydał?

Rycerz spojrzał Steelowi prosto w twarz. - Twierdzą, że sam Huma, panie.

Steel potrząsnął głową. - Coś jeszcze?

- Broń, jaką znaleźliśmy, była połamana i zniszczona, z jednym wyjątkiem. Znaleźliśmy stos lanc. Wyglądają na smocze. Ustawiono je zgrabnie pod ścianą, tuż przy schodach, panie.

- Smocze lance. - Steel przyjrzał się mężczyźnie. - Jesteś pewny?

- No nie, panie, niezupełnie. Żaden z nas nigdy ich nie widział. Odpowiadają jednak opisowi, jaki otrzymaliśmy.

- Gdzie one są? - Spytał Steel, który pomimo upału poczuł chłód. - Pokaż mi.

- Tak, panie. Tędy.

Rycerz poprowadził oficera korytarzami do wrót Komnaty Paladine'a. Z dołu biła srebrzysta poświata.

- To ten blask przyciągnął naszą uwagę, panie. Pomyśleliśmy, że tam na dole musi coś być. Znaleźliśmy jednak tylko lance.

Schodząc na dół, Steel przypomniał sobie wyraźnie, jak szedł już kiedyś tymi schodami w towarzystwie Caramona Majere i Tanisa Półelfa, by złożyć hołd swemu ojcu.

Wszyscy rycerze jego szponu zebrali się tam wśród kurzu i grobowców. Komnata sprawiała wrażenie dziwnie pustej, choć nie wydawało się, by ktoś ruszał ciała. Być może dusze dawno zmarłych wstały i ruszyły na wojnę. Pod ścianą stały zgrabnie ustawione lance, które błyszczały w blasku pochodni. Rycerze ciemności trzymali się z dala od lanc, mierząc je podejrzliwym, pełnym powątpiewania wzrokiem, wymieniając szeptem uwagi.

Czyżby to były te słynne smocze lance, które wykuł z magicznego srebra Theros Srebrnoreki? Czyżby to był oręż, który przyczynił się do klęski Królowej Ciemności? Jeśli to prawda, jakim sposobem znalazły się w grobowcu i dlaczego? Nikt wierny Takhisis nie mógł dotknąć tego pobłogosławionego i poświęconego służbie Paladine'owi oręża.

Steel podszedł do lanc, by przyjrzeć im się z bliska. Zapoznał się z opisami tej broni, podobnie jak zapoznał się z przebiegiem wszystkich bitew, w których użyto smoczycych lanc. Jeśli była to legendarna broń - a wszystko na to wskazywało - był to rodzaj lanc dla pieszego, krótszych i lżejszych od tych, które mocowano do siodła na grzbietach smoków.

Steel nachylił się nad jedną, by dokładniej się przyjrzeć. Był pełen podziwu dla mistrza, który ją wykonał. Każda lanca miała około dwa i pół metra długości, a

zarówno drzewce, jak i grot wykonano ze srebra - prawdopodobnie magicznego metalu pochodzącego z Góry Srebrnego Smoka. Legenda głosiła, że mógł je wykuć tylko człowiek ze Srebrną Ręką z Ergoth przy pomocy krasnoludzkiego wytworu, Młota Kharasa. Krawędzie grotu były ostre jak brzytwy i wyposażone w zadziory. Lance wyglądały na dobrze wyważone. Steel chciał podnieść jedną z nich.

Jego ramię przebiegł wstrząs, jakby trafiła go błyskawica, od której ręka zdrętwiała mu od palców do barku, a ciało przeszył żywy ogień. Przez kilka chwil stał sparaliżowany, niezdolny do ruchu. Trzymając się za porażone ramię, odskoczył do tyłu, próbując je rozmasować.

- Zabawny żart, ojcie - mruknął Steel. - Twój bóg musiał się z niego dobrze uśmieć. Wyrzekam się was wszystkich, każdego z was. - Usiłował podnieść rękę i chwycić wisior, by zerwać go z szyi, lecz nagły spazm odebrał mu władzę w ręce. - Kazałeś nam wziąć lance! Ruszyć do boju i pokonać Chaos! Ale jak, skoro te przeklęte lance są bezużyteczne...?

- Nie dla nas.

Steel przerwał swą tyradę.

Na szczycie schodów stała niewielka garstka wychudzonych, odzianych w łańchmany i noszących na plecach i barkach ślady chłosty rycerzy solamnijskich.

- Więźniowie! - Kilku rycerzy wyciągnęło miecze. - Wydostali się na wolność!

- Schowajcie broń - rozkazał Steel. - Nie przyszli tu walczyć z nami. Przynajmniej tak sądzę.

W jednym z rycerzy rozpoznał młodzieńca, którego wychłostano za jego błąd, kiedy obaj byli więźniami.

- Czemu tu jesteś, panie rycerzu? - Spytał Steel. - Nie wiedzieliśmy, że zbiegliście ze swych cel. Mogliście być już w drodze do Palanthis.

- Tak było - rzekł młody rycerz ze smutnym uśmiechem. Zszedł na dół i stanął naprzeciwko Steela. - Kiedy zaczęła się bitwa, byliśmy w lochach. Dozorcy zostawili nas i poszli walczyć. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Nic nie widzieliśmy, ale wszystko doskonale słyszeliśmy. Przerazające odgłosy niemal przyprawiły nas o utratę zmysłów. Sądziliśmy, że zostaniemy wymordowani w celach, lecz nieprzyjaciół nie zszedł do podziemi i nie znalazł nas. Coś uderzyło Wieżę, aż zatrzęsała się w posadach. Mury popękały. Posypały się kamienie. Już myśleliśmy, że zostaniemy żywcem pogrzebani. Wreszcie wstrząsy ustały. Wciąż żyliśmy, a co ważniejsze, obłuzowały się drzwi naszej celi. Uciekliśmy z więzienia. Chcieliśmy się wymknąć jednymi z bocznych

wrót w Rycerskiej Ostrodze, gdy usłyszeliśmy twoją - rycerz wskazał Steela - rozmowę z kimś o tym, że wojna nie została przegrana, że zamierzasz poprowadzić drużynę bohaterów do Otchłani.

Młody rycerz schylił się i wziął do ręki jedną z roztaczających srebrną poświatę lanc. Podrzucił ją w dłoni bez trudu. Tak jak Steel się domyślał, broń była świetnie wyważona.

Rycerze ciemności wymienili ostrzegawcze spojrzenia i zbliżyli się do Solamnińczyka, gotowi przeszyć go na wylot.

Rycerz solamnijski nie zwracał na nich uwagi. Opuścił lancę tak, że czubkiem grotu dotknął podłogi. - Nieczęsto spotyka się tak godnego i dzielnego człowieka. Jeśli przyjmiesz nas, Steelu Brightblade, pójdziemy do boju pod twym przewodnictwem.

Steel przyjrzał im się ze zdumieniem. - Mogliście uciec, wrócić do swych domów. Dlaczego wróciliście?

Młody rycerz pokiwał głową z powagą. - Słyszeliśmy, co powiedziałaś o śpiewaniu pieśni o bohaterach. Miałaś rację. Może nikt ich dla nas nie zaśpiewa. Przynajmniej jednak nie będziemy musieli przez całe życie śpiewać ich innym.

- Jeśli pójdziemy, uczynimy to bez cienia nadziei, że wrócimy żywi. Nie możemy nawet liczyć na to, że będą nam towarzyszyć nasi bogowie - dodał z gorzkim uśmiechem Steel. - Będziemy walczyć osamotnieni.

- Wiemy o tym, panie - rzekł młody rycerz solamnijski. - Rozumiemy i jesteśmy gotowi. Prosimy tylko, byście oddali nam zbroje i miecze.

Głupiś, synu! - Mówiła jego matka. - *Chcę odzyskać broń, żeby rzucić się na was!*

To przykład dla ciebie, synu - powiedział jego ojciec. - *Ci ludzie idą z honorem walczyć w imię słusznej sprawy.*

Steel otworzył zapięcie naszyjnika z gwiazdnym klejnotem. Łańcuszek zsunął mu się do ręki. Przez chwilę mocno ścisnął go w dłoni, a potem stanowczym gestem położył klejnot na grobie ojca.

Skłócone głosy ucichły. W grobowcu zapadła cisza. Rycerze stali w milczeniu, oczekując decyzji Steela. On zaś wy dobył broń, miecz swego ojca, który złamie się tylko wtedy, gdy i on się załamie.

- Sami zaśpiewamy pieśni o bohaterach.

Rozdział XXVII

PRZYGOTOWANIA

Rycerze Takhisis uczcili pamięć zmarłych słowami i pieśnią. Nie było czasu na nic innego - ani na godny pogrzeb, ani na spalenie ciał. Trupów było zbyt wiele. Niektórzy rycerze byli tym wzburzeni. Wspominali o padlinożernych ptakach, szakalach i innych, wstrętniejszych jeszcze bestiach, które mogły pożreć i zbecześcić zwłoki.

Paladyni ciemności otoczyli kołem ciało swego władcy, zastanawiając się, co mogą w pośpiechu uczynić dla zabezpieczenia zwłok poległych, gdy niespodziewanie zauważyli w swych szeregach kobietę.

Przyszła cicho, nie wiadomo skąd. Była przecudnej urody, a jej oczy miały kolor światła księżyca na błękitnej wodzie. Choć pozornie wydawała się spokojna, kryła w swym wnętrzu niebezpieczną siłę. Kobieta miała na sobie lśniąca od kropel wody zbroję, która przypominała rybie łuski. W jej ciemne włosy wplecione były morskie kwiaty i muszle. Rycerze rozpoznali ją i złożyli pokłon.

Była to Zeboim, bogini morza, matka Ariakana.

Przyklękła przy zwłokach swego syna i przyglądała mu się długo. Dwie łzy spłynęły po jej policzkach i skapnęły na zbroję jak błyszczące perły. Kobieta spojrzała na wieżę oświetloną migotliwym blaskiem pochodni, na drżące cienie, puste korytarze i ciche sale. W końcu jej wzrok padł na rycerzy.

- Nic nie zakłóci spokoju waszych zmarłych - rzekła bogini. - Popatrzcie. Posłuchajcie. Tej nocy ptaki nie krążą na niebie. Zwierzęta nie wyszły na łów. Nie brzęczą muchy. Każde stworzenie, od najnędnieszego owada do najpotężniejszego smoka wie, że tej nocy rozstrzygnie się jego los. Wszyscy czekają na koniec - my również.

Steel bez słowa dał znak swym ludziom. Zostawili boginię samą z poległym.

Rycerze solamnijscy założyli zbroje, które im odebrano, gdy zostali pojmani. Przypasali miecze i założyli hełmy. Chwyciwszy lance, dosiedli srebrnych smoków.

Przyleciały, by wziąć udział w bitwie o Wieżę Najwyższego Klerysta, ale niestety, za późno.

Paladyni ciemności wsiedli na trzymane w rezerwie błękitne smoki.

Steel był rozgoryczony, że nie znalazł wśród nich Flare. Jej towarzysze nie mieli pojęcia, gdzie zniknęła. Na wieść o rozkazach zabraniających udziału w walce, smoczyca wpadła w szał. Zionęła z pyska błyskawicą, omal nie zabijając oficera i wypalając ogromny kawał skały z górskiego zbocza. Potem, naburmuszona, przepadła gdzieś bez śladu. Nikt nie wiedział gdzie, lecz przypuszczano, że złamała rozkaz i poleciała walczyć na własny rachunek.

Steel szukał Flare wśród martwych smoków, łudząc się, że przed odejściem znajdzie ją, by móc oddać jej ostatnią przysługę. Z konieczności poszukiwania nie trwały długo. Nie znalazł jej wśród trupów innych niebieskich smoków. Mógł z tego jedynie wywnioskować, że leży gdzieś w lesie wśród skalistych gór Vingaard.

Dosiadał właśnie obcego smoka, gdy z góry dobiegł go gniewny okrzyk. Wzbijając skrzydłami kłęby kurzu, Flare wylądowała tuż przed nieznanym smokiem. Zbliżała się do niego, wyginając wyzywająco kark, rozpościerając skrzydła i smagając ogonem po bokach.

- To mój rycerz! - Zasyczała. - Tylko ze mną polec do boju!

Steel prędko się wtrącił, by nie dopuścić do sprzeczki, niosący go smok nie miał bowiem zamiaru ustąpić. Steel uprzejmie poprosił wierzchowca, by przyłączył się do grupy błękitnych smoków, które walczyły samodzielnie. Smok zgodził się niechętnie, dając wyraźnie do zrozumienia, że go obrażono. Kiedy Steel poprosił smoka o oddalenie się, Flare nie zaatakowała, choć i tak na odchodnym ukąsiła nieznanego w ogon.

Smoczyca i jeździec przywitali się serdecznie, uradowani, że obydwójce wciąż żyją i są cali i zdrowi.

- Inni mówili, że odeszłaś rozgniewana - powiedział Steel. - Gdzie byłaś? Dokąd poszłaś?

Flare potrząsnęła łbem; jej błękitna grzywa zaśniła w blasku pochodni. - Poleciałam zobaczyć tę szczelinę, o której wszyscy mówią. Chciałam zobaczyć na własne oczy, czy rzeczywiście istnieje. Przyznaję, że weszłam w tym podstęp - dodała, zerkając z ukosa na srebrne smoki. Zniżyła głos i spuściła głowę. - To nie podstęp, Steelu - rzekła. - W Otchłani rozgorzała straszliwa wojna. Byłam tam. Widziałam ją.

- Jak toczą się jej losy?

Oczy Flare rozbłysły. - Nasza królowa uciekła. Wiedziałaś o tym?

- Wiedziałem - szepnął ze smutkiem Steel.

- Niektórzy bogowie zbiegli razem z nią, a Hiddukel pierwszy. Zivilyn odszedł, mówiąc, że widział już wszystkie zakończenia i obawia się, że gdyby został, jego obecność mogłaby wpłynąć na rezultat walki. Gilean siedzi i pisze swą księgę, już ostatnią. Pozostali bogowie nadal walczą pod dowództwem Kiri-Jolitha i Sargonnasa, lecz znajdując się na tej samej płaszczyźnie nieśmiertelnych co Chaos, niewiele mogą zdziałać.

- A my możemy? - Spytał Steel.

- Tak, właśnie po to przybyłam, żeby cię o tym powiadomić. Widzę jednak - Flare rzuciła okiem na uzbrojonych mężczyzn - że już słyszałaś.

- Owszem, ale cieszę się, że wieści się potwierdziły.

Steel wspiął się na grzbiet smoczycy. Wzniósł sztandar rycerzy Takhisis, flagę z lilią śmierci i czaszką. Rycerze solamnijscy podnieśli własną chorągiew, którą ozdobił wizerunek zimorodka trzymającego w jednej łapie różę, a w drugiej miecz. W upalnym, dusznym powietrzu sztandary zwisały miękko i nieruchomo.

Nikt nie wiwatował. Nikt się nie odezwał słowem. Po raz ostatni chcieli się przyjrzeć światu, którego nie mieli więcej zobaczyć. Solamnijszczyki zniżyli sztandar w geście hołdu Wieży Najwyższego Klerysta. Steel opuścił chorągiew, oddając cześć poległym.

Smoki zerwały się do lotu i wraz z jeźdźcami wzbily się w puste, bezgwiazdne i bezbożne niebo.

Rozdział XXVIII

PODARUNEK.

POLECENIA

Na co czekamy? - Spytała zdenerwowana i poirytowana Usha. - Czemu wreszcie czegoś nie zrobimy?

- Już niedługo - szepnął Dougan.

- Zgadzam się - rzekł Tasslehoff, snując się smętnie, szurając nogami i wzbijając kłęby popiołu. - Sytuacja zdecydowanie stała się ciekawsza, kiedy te cieniopaskudy chciały nas złapać. Tylko nie myślcie sobie, że się bałem. Przynajmniej nie tak bardzo. Trochę się tylko spłoszyłem, widząc, że stoję naprzeciw siebie, kiedy nie stałem. A potem jeszcze usłyszałem, jak mówię do siebie takie okropne rzeczy... Jakbym stawał się niczym. A wiecie przecież, kim jestem.

Palin wzdrygnął się. - Nie mówmy już o tym. Usha ma rację. Powinniśmy coś zrobić.

- Tak, tak - powiedział Dougan, ale nie ruszył się z miejsca.

Krasnolud siedział na spalonym pniu drzewa, wachlując się kapeluszem. Miał poważną, zamyśloną minę i wydawał się nieobecny duchem. Przechylał głowę, jakby uważnie czegoś nasłuchiwał i wyteżał wzrok, jakby bacznie coś obserwował. Raz jęknął i zasłonił twarz dłonią, jak gdyby nie mógł już znieść tego, co widział i słyszał.

Pozostali przyglądali mu się z niepokojem i nadal zadawali mu pytania, nie otrzymując odpowiedzi. Wreszcie zrezygnowali. Usha i Palin siedli obok siebie, trzymając się za ręce i rozmawiając przyciszonymi głosami. Tas zaczął przetrząsać swoje sakiewki, uskarżając się na pył, który wywoływał kaszel.

- A więc już czas - oznajmił Dougan, raptownie zrywając się na nogi, co wszystkich zaskoczyło. - Są już w drodze. Musimy wyjść im na spotkanie.

- Jeszcze nie teraz - powiedział ktoś. - Jeszcze nie teraz.

Pośrodku kępy siedmiu sosen, w pobliżu roztrzaskanego ołtarza zjawił się Raistlin.

- Pięknie - mruknął Dougan, obrzucając maga niezbyt przychylnym spojrzeniem. - Tylko tego nam brakowało.

Przeszedł kilka kroków, kopiąc z irytacją kawałki drewna. Na wąskich wargach obserwującego go Raistlina igrał uśmiech.

- Stryju! - Palin radośnie witał Raistlina. - Jakie przynosisz wieści? Widziałeś te stwory, które nas napadły?

Usha niechętnie podążyła za nim.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie na mnie! - Zawołał Tas, w tej samej jednak chwili coś wyrzuciło do góry dnem jego sakiewki, z których wysypała się cała zawartość. Kender zmuszony był rzucić się do zbierania swoich drobiazgów.

Palin wszedł z Douganem do zagajnika. Usha nieśmiało została z tyłu, choć Palin chciał ją pociągnąć naprzód. - Idź porozmawiać ze stryjem - powiedziała, wysuwając dłoń z jego uścisku. - To ważna sprawa. Ja bym tylko przeszkadzała.

Przyglądający się tej scenie Raistlin mrużył złote oczy z niecierpliwością i pogardą. Palin poczuł się nieswojo i przeświadczony, że w jakiś sposób zawiódł stryja, zostawił Uszę bez słowa i pośpieszył do kępy drzew.

Raistlin spojrzał uważnie na bratanka. - O mały włos nie udałoby ci się. - Skierował oczy na miejsce, gdzie Palin stał w chwili ataku cieniozjaw.

Palin zaczerwienił się. - Przepraszam, stryju. To było takie... Okropne i... Dziwne i... - Poczuł się niezręcznie i umilkł.

Zimne spojrzenie Raistlina padło na Uszę. - Może byłeś roztargniony, nie mogłeś się skupić.

Palin oblał się jeszcze mocniejszym rumieńcem. - Nie, stryju. Nie sądzę. To... - Potrząsnął głową, wyprostował się i spojrzał Raistlinowi prosto w oczy. - Nie mam usprawiedliwienia, stryju. Gdyby nie Usha, byłbym tym, czym nazwał mnie ten potwór - niczym. To się jednak więcej nie powtórzy. Obiecuję.

- Powiadają, że więcej nauki wyciągamy z porażek niż z sukcesów. Dla dobra nas wszystkich mam nadzieję, że to przysłowie odnosi się również do ciebie. Na twoje barki ma spaść olbrzymia odpowiedzialność. Od tego zależy życie bardzo wielu istot.

- Nie zawiodę cię, stryju.

- Nie zawieź siebie samego.

Raistlin znów popatrzył na Uszę, która chowała się w cieniu spalonego drzewa.

- Dość tych bzdur - warknął Dougan. - Moim zdaniem, panie magu, młodzieniec spisał się świetnie, zważywszy na jego wiek i brak doświadczenia. A jeśli

nawet miłość do tej panienki odrobinę rozproszyła jego uwagę, to właśnie jej uczucie w końcu go ocaliło. Gdzie byłbyś teraz, Raistlinie Majere, gdybyś uważał miłość za siłę, nie słabość?

- Pewnie siedziałbym w kuchni u mojego brata i wyciągał z nosa złote monety ku ucieście dzieciarni - odparł Raistlin. - Wszystko poświęciłem dla magii, a ona nigdy mnie nie zawiodła. Była mi kochanką, żoną i dzieckiem...

- Dla niej nawet zabiłeś brata - powiedział Dougan.

- Prawda - odparł spokojnie Raistlin. - Jak już mówiłem, wyciągamy naukę z porażek. Dość już tego. Kończy nam się czas - i to dosłownie. Dalamar wrócił do Wieży. Przeżył wiele groźnych przygód, lecz nie będę marnować chwil, które nam zostały, by o nich opowiadać. Dość powiedzieć, że wraz z pozostałymi znalazł słaby punkt wroga. Chaos zmuszony był pojawić się na tej płaszczyźnie istnienia. Przyjął postać materialną, a to czyni go wrażliwym.

- Jest tak wrażliwy, jak góra na ciosy krasnoluda żlebowego z kilofem w ręku - mruknął Dougan.

- Nie powiedziałem, że łatwo będzie go pokonać. - Raistlin posłał krasnoludowi lekceważące spojrzenie. Jednakże w tym wszystkim jest pewien szkopuł.

- Tak, wiem o tym - westchnął Dougan.

- Więc wiesz, co trzeba zrobić?

- O tym też wiem. - Krasnolud szurał nogami z zakłopotania. - Zajmę się tym.

- Co mamy zrobić, stryju? - Spytał Palin.

- Masz zejść do Otchłani. Tam spotkasz Steela Brightblade i garstkę rycerzy, którzy podjęli się walki z Chaosem i jego sługami. Rycerzom potrzebny jest czarodziej. Ty nim będziesz.

- Rycerze nie ufają czarodziejom - rzekł Palin.

- Twoim zadaniem będzie ich przekonać. Nie będę cię okłamywał, bratanku. Jesteś jedynym czarodziejem, którego mógłby zaakceptować twój kuzyn, Steel. To właśnie główny powód, dla którego wysyłamy ciebie, a nie innego, silniejszego maga.

- Pójdę, stryju, i zrobię wszystko, co w mojej mocy - oznajmił Palin, a potem dodał żałośnie: - Choć nie sądzę, by w walce z Chaosem na wiele zdały się moje płatki róży i nietoperzowe guano.

Raistlin lekko się uśmiechnął. - Byłbyś zdumiony, czego można dokonać dzięki nim. Niemniej uzbroję cię w coś potężniejszego. Konklawe przysłała ci to - jako podarek.

Raistlin wyciągnął ręce przed siebie. Pełne popiołu powietrze zamigotało i pojawiła się księga. Był to bardzo stary i zniszczony wolumin. Jego suche stroniczki rozsypywały się w dłoniach. Czerwona skóra okładki popękała, a wyciśnięte na niej złoczone litery były prawie zupełnie wytarte. Zostały tylko wgłębienia, wypełnione kurzem i pajęczynami.

Magius.

Raistlin podał księgę Palinowi.

Młodzieniec wziął ją z czcią w drżące ręce. Z lękiem spojrzął na imię na okładce.

- Najcenniejsza księga w kolekcji Konklawe - rzekł Raistlin. - Wolno ją było czytać tylko tym, którzy osiągnęli najwyższe wtajemniczenie i nigdy nie pozwalano wynosić jej poza obręb Wieży w Wayreth. Niewielu na świecie wie w ogóle o jej istnieniu. Księga czarów Magiusa, największego wojennego czarnoksiężnika, jaki kiedykolwiek żył.

Uczył się razem z Humą - choć czynił to potajemnie, rycerze solamnijscy bowiem nigdy nie wyraziliby zgody na taką naukę. Wbrew wszelkim zakazom walczył jawnie u boku Humy. Zaklęcia i przeciwzaklęcia Magiusa były czarami bojowymi. Przydadzą ci się. Są jednak skomplikowane i trudne. Nie masz wiele czasu, by się ich nauczyć na pamięć. Musisz się bardzo skupić.

Raistlin zerknął na Ushę, która wychyliła się lekko zza drzewa.

Palin spojrzął w tym samym kierunku. Przez chwilę milczał, a potem wyciągnął rękę do dziewczyny i rzekł cicho: - Wiem, o czym myślisz. Nie chciałbym cię rozgniewać, lecz ja jej nie porzucę. Wiem, że jeśli jest twoją córką, nigdy nie będzie nas łączyć nic więcej niż teraz. Jej miłość jest błogosławieństwem, które będzie dla mnie tarczą i pancerzem - nawet w Otchłani.

Usha wzięła Palina za rękę i uściśniła ją mocno.

- Mam nadzieję, że to rozumiesz, stryju - rzekł z szacunkiem młodzieniec.

Oczy Raistlina rozbłysły. - Być może lepiej, niż ci się wydaje. Chodźmy. Już czas. Masz księgę czarów. Stań tu, przy ołtarzu, a zostaniesz przeniesiony do Otchłani. Portal stoi teraz otworem. Jej Wysokość nie widzi już potrzeby, by go chronić.

Palin uściskał Ushę i ucałował ją w policzek. Dziewczyna przytuliła się do niego na chwilę, wyszeptala słowa miłości i pożegnania, a potem wypuściła go z ramion. Młody mag podszedł do zniszczonego ołtarza, niosąc laskę Magiusa w jednej ręce, a jego księgę czarów w drugiej.

- Czy to zaklęcie rzuca Dalamar? - Spytał nagle Palin, przypominając sobie

złowieszcze słowa stryja.

- Dalamar być może już nie żyje - rzekł chłodno Raistlin. - Teraz czarami zajmuje się Dunbar Mastermate. Zegnaj, bratanku. Niech bogowie - ci, którzy jeszcze zostali - mają cię w swej opiece.

Dougan machnął kapeluszem.

- Zrań Chaos! - Krzyknął krasnolud. - Nie musisz robić niczego więcej, chłopcze! Wystarczy go zranić!

Czar zaczął działać. Palin wzniósł się w powietrze i poszybował jak morski ptak niesiony na skrzydłach burzy.

*

Usha, Raistlin i Dougan stali wśród obumarłych drzew w pobliżu zniszczonego ołtarza.

Usha miała łzy w oczach. - Już nigdy więcej go nie zobaczę.

- Och, nie sądzę, moja droga córko - rzekł z przekąsem Raistlin, uśmiechając się szyderczo.

- Nie musisz być taki uszczypliwy - powiedziała półgłosem Usha. - Powiem mu prawdę. Zamierzałam to zrobić w Palanthas. - Pokręciła głową. - Nie mogłam.

- Może to i lepiej - stwierdził zgryźliwie Raistlin. - Dopiero wtedy trudno byłoby mu się skupić.

- Znienawidzi mnie za to, że go okłamywałam.

- Wątpię, dziecko. Palin jest podobny do swego ojca. Kocha... I umie wybaczać. - Raistlin wsunął dłonie w rękawy swej czarnej szaty. - Muszę teraz wrócić do Wieży, nad Sadržawkę Widzenia. Żegnaj, Usho, której imię znaczy „świt”. Miejmy nadzieję, że to prorocze miano.

Podnosząc głowę, rzekł w przestrzeń wiszącego w powietrzu popiołu. - Jestem do twojej dyspozycji, Mastermate.

Wyzbywszy się strachu przed Raistlinem, Usha patrzyła, jak mag znika. Wyjawi Palinowi prawdę. Może Palin kocha ją wystarczająco mocno, by ją zrozumieć i przebaczyć. Nie mogła w pełni uwierzyć w to, że ktoś mógłby tak bardzo ją kochać. Opi tak, lecz nikt inny spośród Irdów. Zawsze sprawiała im zawód. Brzydula. To brzydkie ludzkie dziecko. Między innymi właśnie dlatego zaczęła kłamać i nie potrafiła przestać. Nie umiała znieść rozczarowania w oczach swego Opiekuna...

Dougan ciągnął ją za rękaw. - Wiem, że serce oddałaś temu młodzieńcowi, lecz jeśli reszta nie jest tymczasem zajęta, byłbym ci wdzięczny za pomoc.

- Ja też pomogę! - Zawołał Tasslehoff i zerwał się na nogi, aż zatańczyły pękate sakiewki, którymi był obwieszony. - Jestem pewny, że moja pomoc też się przyda!

- Owszem - rzekł zgryźliwie Dougan. - Gdybym miał skoczyć w paszczę czerwonego smoka, z radością zabrałbym cię ze sobą. Skoro jednak jest inaczej...

Usha chwyciła Tasslehoffa za ramię. - Stanowimy zespół. Gdzie ja idę, tam i on.

- Racja - stwierdził poważnie Tas. - Jak sobie przypominasz, wciąż mam kenderską łyżkę egzorcyzmów.

- Przynajmniej dopóki lord Dalamar nie zabierze się do liczenia swoich srebrnych sztućców. A co mi tam - burknął Dougan. - W przeszłości czasami był z ciebie pożytek, przynajmniej zdaniem Flinta Fireforge'a.

- Flint tak powiedział? O mnie? - Tas westchnął z zadowoleniem. - W przeszłości był ze mnie pożytek! - Powtórzył.

Wyjawszy połówki Szarego Klejnotu, Dougan mierzył je tęsknym, chciwym wzrokiem. Zdawało się, że podejmuje decyzję. Wreszcie westchnął, odwrócił głowę i podsunął klejnot Ushy.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Dougan drżącym głosem. - Sądziłem, że mi się uda, ale nie jestem w stanie. Z wszystkich rzeczy, jakie kiedykolwiek stworzyłem, ta przysporzyła mi najwięcej zmartwień. I ją kocham najbardziej. Nie potrafię jej zniszczyć. Ty będziesz musiała, dziewczyno.

Usha ścisnęła kamień w dłoni i popatrzyła na krasnoluda z niedowierzaniem.

- Jak?

- Kropla krwi, dziewczyno - rzekł Dougan. - Musisz złapać weń kroplę krwi.

- Czyjej?

- Jegomością.

Rozdział XXIX

W OTCHŁANI.

KSIĘGA, LASKA, MIECZ

Był już świt, kiedy rycerze dotarli do miejsca, w którym rozstał się Ocean Turbidus. Doprowadził ich hałas i huk jakby tysiąca wodospadów, który czyniła morską wodą spadającą do czeluści.

Podlatując bliżej, rycerze dostrzegli unoszące się nad nią obłoki pary wodnej, które odbijały refleksy złowieszczego słońca i lśniły wszystkimi kolorami cudownej tęczy. Smoki wleciały w chmury i zanurzyły się w kłębach gorącej, oślepiającej i dusznej mgły. Spoceni rycerze oddychali z trudem i wytężali wzrok, by ujrzeć cokolwiek w tych ruchomych białych oparach.

Flare знаła drogę. Raz już tu była. Słyszała odgłosy bitwy i widziała we mgle ciemność i ogień. Pod nimi ukazała się rozpadlina.

Smoki leciały spiralą w dół pomiędzy ścianami huczającej wody. Hałas był ogłuszający. Od ryku wodospadów dudniło w głowie, a wibracje grzmiących kaskad mogły zatrzymać pracę serca.

Rycerze i ich smoki zanurzali się coraz głębiej w rozpadlinie, aż wreszcie pochłonął ich mrok. Wraz z ciemnością zapadła cisza, straszniejsza od huku wody. Z tego powodu przez kilka strasznych chwil każdy się lękał, że stracił słuch.

Steel przerwał ciszę. Chciał przede wszystkim sprawdzić, czy słyszy własny głos.
- Gdzie jesteśmy?

- Wlecieliśmy do tunelu, który prowadzi do Otchłani - odparła Flare. - To droga, którą uczęszczają smoki. Stanowi tajemnicę i nikt jej nie strzeże. Wiedzie do miejsca w pobliżu portalu.

Smoki mknęły tunelem, na którego końcu wkrótce błysnęło czerwone światło. Gdy rycerze wylecieli z czeluści, znaleźli się pośród krajobrazu bardziej jałowego i pustego niż ciemność, z której się wyłonili. W tej pustce ujrzeli samotnego człowieka w białych szatach, który stał w pobliżu portalu i zdawał się ich oczekiwać. Kiedy

podlecieli bliżej, mężczyzna podniósł rękę, by ich zatrzymać.

- Kto to? - Zaciekawiał się Steel, patrząc na dół.

- Czarodziej Białych Szat - odparła z pogardą Flare, nie zwalniając ani nie przerywając lotu.

Steel bacznie przyjrzał się postaci, odnosząc wrażenie, że skądś ją już zna. Spostrzegł białe światło bijące ze szczytu laski.

- Stój! - Rozkazał Steel. - Postaw mnie na ziemi. Ja go znam.

- Panie, nie ma czasu! - Zaprotestowała Flare.

- To nie potrwa długo - obiecał Steel. - On kontaktuje się z magami. Może ma jakieś nowiny.

Flare już nie protestowała i zniżyła lot powolnym korkociągiem. Wylądowała w pobliżu portalu, ślizgając się na szarych skałach o czerwonym odcieniu.

Steel zeskoczył z siodła i szybko zbliżył się do Palina, który wyszedł mu na spotkanie.

- Co się stało, Majere? - Spytał Steel. - Dlaczego nas zatrzymujesz? Śpiesz się. Lecimy walczyć.

- Wiem - odparł Palin. - Dlatego was zatrzymałem. Zabierzcie mnie ze sobą.

Steel zmarszczył czoło i rzekł powoli: - Dziękuję za propozycję, Majere. Szanuję twą dzielność. Muszę jednak odmówić.

Pozostali rycerze i smoki krążyli im nad głowami, srebrne smoki tuż przy błękitnych, rycerze ciemności ramię w ramię z rycerzami światła.

- Wracaj do swego świata na powierzchni, Majere rzekł Steel. - Wracaj do kobiety, którą darzysz miłością. Wracaj do rodziców, którzy ciebie kochają. Poświęć im swój czas. Nie martw się, że ominęła cię bitwa. Jeśli nam się nie powiedzie, wojna sama cię znajdzie. Żegnaj.

Palin zagroził Steelowi drogę.

- Mogę zapobiec waszej klęsce - powiedział i wyciągnął księgę zaklęć. - Spójrz na imię na okładce. Ten wolumin dostałem od Konklawe czarodziejów. I mam ci to powiedzieć: wystarczy zranić Chaos.

- Zranić go? - Powątpiewał Steel.

- Tylko tyle. Tak mi powiedział na odchodnym bóg Reorx.

- Tylko tyle? - Flare węzowym ruchem nachyliła łeb, by wziąć udział w rozmowie. - Aż tyle! Nie mówimy o jakimś wodzu ogrów! Mówimy o Ojcu Wszystkiego i Niczego. Nawet w swej śmiertelnej postaci jest niewyobrażalnie

przerazający. Głową sięga wyżej niż szczyty gór Vingaard. Jego ramię jest długie i szerokie jak rzeka Torath. Jego włosy to żywy ogień, jego spojrzenie sieje zagładę, a ręka śmierć. Otaczają go ogniste smoki, cieniozjawy i demoniczni wojownicy. Zranić go! - Parsknęła Flare.

- Możemy to zrobić. Ty i ja - oznajmił spokojnie Palin, kładąc dłoń na księdze. - Razem przebyliśmy zagajnik Shoikan i wyszliśmy żywi. Niewielu śmiertelników może się tym pochwalić.

- Prawda - przyznał Steel z półuśmiechem. Zastanowił się, lecz nie trwało to długo. - Wojownik nigdy nie odtrąca użytecznego oręza. Zgoda, Majere, pojedziesz z nami. Wiedz jednak, że nie możemy pozwolić sobie na to, by cię chronić. Jeśli wpadniesz w tarapaty, będziesz musiał sam z nich wybrnąć.

- Zgadzam się - rzekł Palin. - Nie zawiedziesz się na mnie. Od ostatniej bitwy wiele się nauczyłem.

Steel ponownie dosiadł smoczyca. Podał magowi dłoń i pomógł mu sięść w siodle za swoimi plecami.

Flare rozpostarła skrzydła i poleciała dołączyć do pozostałych rycerzy. Na niebie płonęła coraz silniejsza i jaśniejsza czerwonopomarańczowa luna. Trudno było oddychać gorącym, cuchnącym powietrzem.

- Ile masz zaklęć? - Spytał Steel, przekrzykując świst wiatru w uszach. - Czy są potężne? Jakie dają skutki?

- O tym nie mogę rozmawiać - odparł Palin, ściskając księgę pod pachą. - Nie wolno mi.

Steel obejrzał się na niego i zniecierpliwiony uśmiechnął się od ucha do ucha. - Akurat. Nie masz ich aż tak wielu, prawda?

Palin uśmiechnął się. - Są bardzo skomplikowane. Nie miałem też dużo czasu, żeby się ich nauczyć.

- Więc ile ich jest?

- Jedno. Ale za to najlepsze - dodał poważnie Palin.

Rozdział XXX

CHAOS.

OJCIEC.

WSZYSTKO I NIC

Trzeba mu to przyznać - zauważył Tasslehoff Burrfoot, nie przestając patrzeć ku górze. - Jest naprawdę brzydki.

- Cicho! - Szepnął śmiertelnie przerażony Dougan. - Jegomość cię usłyszy!

- Obraziliby się?

- Nie, nie obraziliby się! - Burknął krasnolud ze złością. - Po prostu rozdeptałby nas jak robaki! Teraz siedź cicho i daj mi pomyśleć.

Tas miał szczery zamiar milczeć, lecz Usha była tak blada, wystraszona i nieszczęśliwa, że nie mógł powstrzymać się od szeptu. - Nie martw się. Palinowi nic nie będzie. Ma laskę i księgę czarów.

- Jak może wygrać z tym... Z tym czymś? - Pytała dziewczyna, ogarniając zalęknionym wzrokiem potwornego olbrzyma.

Słowo wypowiedziane przez Dougana przeniosło Uszę, Tasa i krasnoluda do Otchłani. Albo raczej magia boga sprowadziła Otchlań do nich. Nadal stali między siedmioma spalonymi sosnami, lecz reszta wyspy znikła. Zniszczony ołtarz Irdów znajdował się pośrodku kępy drzew, która z kolei rosła pośrodku pustkowia. Dougan, Tas i Usha chowali się za ołtarzem.

Nad nimi wznosił się niebotyczny Chaos.

Olbrzym był sam. Najwyraźniej nie zauważył drzew ani ołtarza, który wyrósł za jego plecami. Patrzył przed siebie, w czas i przestrzeń. Milczał. Wokół niego panowała cisza. Mimo to wydawało się, że z oddali dochodzą odgłosy bitwy.

- To mieszkańcy naszego świata walczą z Jegomościem i jego sługami - powiedział cicho Dougan. - Każdy toczy z nim bój na swój sposób, niezależnie od tego, gdzie się znajduje. Dzięki temu odwieczni wrogowie zawarli przymierze. Elfowie

walczą ramię w ramię z ogami. Ludzie i gobliny, krasnoludowie i smokowcy - wszyscy zapomnieli o sporach. Nawet gnomowie - niech bogowie im sprzyjają i mają ich w swej opiece. - Dougan westchnął. - Kenderzy też mają swój udział, niewielki, lecz cenny.

Podniecony Tas otworzył usta, by wygłosić jakąś uwagę, ale Dougan zmarszczył brwi i popatrzył na niego tak gniewnie, że Tas zamilkł.

- To dzięki nim, dziewczyno - Dougan poklepał Ushę po ramieniu - mamy szansę. Gdybyśmy musieli stawić czoło Chaosowi i wszystkim jego legionom... - Krasnolud potrzęsnał głową i wytarł spoconą twarz - sytuacja byłaby beznadziejna.

- Nie wiem, czy podołam, Douganie - rzekła roztrzęsiona Usha. - Nie wiem, czy mam dość odwagi.

- Będę przy tobie - powiedział Tas, ściskając ją za rękę. Kender popatrzył znów na Chaos. - Uff. Jest wielgachny - naprawdę bardzo, bardzo duży. I brzydki. Już wcześniej zdarzało mi się mieć do czynienia z dużymi, brzydkimi typami. Na przykład z lordem Sothem. I wcale się nie bałem. No, może tylko troszeczkę - w końcu był upiornym rycerzem i do tego okropnie potężnym. Potrafił jednym słowem zabić człowieka! Wyobrażasz to sobie! Ale mnie nie zabił. Przewróciłem się tylko i nabiłem sobie guza. I...

Dougan rzucił na kendera wściekle spojrzenie.

- Już ani pisnę - pokornie powiedział Tas i zasłonił sobie usta dłonią, co było jedynym sposobem, żeby zamilkł... Przynajmniej na jakiś czas. Dopóki nie znalazł dla dłoni ciekawszego zajęcia, jak na przykład szperanie w kieszeniach pochłoniętego czym innym krasnoluda.

Usha mocno ścisnęła w dłoniach Szary Klejnot. Podniosła wzrok na olbrzyma.

- Co mam... - Głos jej się załamał i musiała zacząć od nowa. - Co mam zrobić?

- Tylko to, dziewczyno. - Dougan mówił tak cicho, że Usha zmuszona była nachylić się, by coś usłyszeć. - Rycerze i twój chłopiec, Palin, zaatakują Chaos. Ten wezwie swe wojsko i rozgorzeje bitwa. To będzie ciężka walka, lecz rycerze są silni. Nie martw się. Gdyby któremuś z nich udało się zranić Chaos - pamiętaj, że wystarczy choćby draśnięcie - pojedyncza kropla krwi złapana w Szary Klejnot odda Jegomościa w nasze ręce.

Uwięzimy jego materialną esencję, rozumiesz? Będzie zmuszony tu zostać - w tym kształcie i postaci. Albo będzie musiał odejść.

- A jeśli postanowi zostać? - Spytała przerażona Usha. Cały pomysł wydawał jej

się niedorzeczny.

Dougan pogłaskał się po brodzie. - Nie zostanie, dziewczyno. - Krasnolud starał się być pewny siebie. - Nie robi tego. Ja i dzieci magii przemyśleliśmy to dokładnie. Jegomość nie znosi zamknięcia. Jego powłoka reprezentuje ład, choć na pierwszy rzut oka nie domyślilibyście się tego. Tym wszystkim wojskom i legionom trzeba wydawać polecenia i rozkazy. Chaos musi się nimi zajmować, wysyłać ich to tu, to tam. On jest już tym znudzony, dziewczyno. Ta zabawa przestaje mu się podobać.

- Zabawa... - Usha pomyślała o swoim narodzie, o zrujnowanych domach i spalonych ciałach. Łzy zakręciły się jej w oczach. Zmusiła się do spojrzenia na olbrzyma i przyglądała mu się długo i uważnie. Widziany przez łzy, rozmazany i niewyraźny Chaos nie wydawał się tak groźny. Mimo wszystko nie będzie to łatwe zadanie. Trzeba podkraść się do niego w chwili nieuwagi...

Nagle Chaos ryknął tak gromko, że ziemia się zatrzęsła, spalone konary sosen odłamały się i pospadały, a strzaskany ołtarz, za którym wszyscy się chowali, zadygotał. Ojciec nie grzmiał z gniewu. Zarykiwał się ze śmiechu.

- Reorxie! Ty nędzny, skomlaący, pokraczny, budzący litość boski pokureczu! Ostatnio podróżujesz w żalonym towarzystwie.

Dougan przyłożył palec do warg i wciągnął Uszę za stertę drewna. Chciał złapać Tasa, ale nie dosięgnął. Kender wciąż stał i gapił się na wielkoluda.

- Nie boję się ciebie! - Oznajmił Tas, przełykając ślinę i czując, jak w niewytłumaczalny i denerwujący sposób coś znieacka ścisnęło go za gardło. - Strasznie się cieszę, że widzę kogoś tak dużego i brzydkiego jak ty, ale skoro już cię zobaczyłem, naprawdę uważam, że powinieneś już sobie pójść.

- Mam sobie pójść? - Spytał szydyczko Chaos. - O, tak. Odejdę. Kiedy ta bryłka błota, którą nazywacie światem, rozwieje się jak kurz na wietrze. Nie masz się po co chować, Reorxie. Wiem, że tam jesteś. Wywęszyłem cię.

Chaos odwrócił się. Skierował pozbawione powiek oczy, w których niezmierzonej głębi czaiła się nicość, na trójkę ukrywających się i zdawał się wysysać z nich dusze. - Widzę boga, istotę ludzką i coś jeszcze - nawet nie wiem, co to.

- Coś! - Powtórzył oburzony Tas. - Nie jestem czymś! Jestem kenderem! A jeśli chodzi o niewielki wzrost - wolę już być niski, niż wyglądać jakby wypłuła mnie Góra Przeznaczenia.

- Tas, przestań! - Krzyknęła przerażona Usha.

Kender, który zdecydowanie odzyskał wigor, dopiero się rozgrzewał. - Czy to

twój nos, czy może wulkan wybuchł ci w twarz? Chaos zagrział. Jego puste oczy zaczęły się zwięzać.

- Douganie, każ mu przestać! - Błagała Usha.

- Nie, dziewczyno, jeszcze nie teraz - odszepnął Dougan.

- Patrz! Patrz, kto nadlatuje!

Na czerwonopomarańczowym niebie pojawiła się grupa niebieskich i srebrnych smoków. Na nich lecieli rycerze zaprzysiężeni ciemności i ci, którzy wierni byli światłu. Kiedy zbliżyli się do Chaosu, wydawało się, że smocze lance i miecze w ich rękach zapłonęły i rozblęły płomienną czerwienią.

Na czele leciała błękitna smoczyca niosąca na grzbiecie rycerza w czarnej zbroi. Za nim siedział czarodziej w białych szatach.

Chaos nie dostrzegł ich. Całą jego uwagę zajmował kender.

Rozpaczliwie starając się nie dopuścić do tego, by Chaos się odwrócił, Dougan zerwał się na nogi. - Ty paskudny olbrzymie! - Krzyknął krasnolud, wygrażając mu pięścią.

Tas obrzucił Dougana surowym wzrokiem. - To nie było zbyt oryginalne! - Mruknął do niego pod nosem.

- Nieważne, chłopcze - rzekł Dougan, rękawem ocierając pot z twarzy. - Tylko nie przestawaj mówić. Jeszcze kilka sekund... Tylko tyle...

Tas znów zrobił głęboki wdech, lecz powietrze i obelgi uszły z niego z głośnym sykiem, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

Chaos trzymał w gigantycznej ręce słońce - olbrzymią kulę roztopionej skały. Wszyscy troje czuli bijący od niej niezmierny żar.

- Kropla mojej krwi? Tego chcecie? - Rzekł Chaos głosem zimnym i pustym jak nocne niebo. - Sądzicie, że da wam władzę nade mną?

Ojciec Wszystkiego i Niczego znów gruchnął śmiechem. Zaczął żonglować słońcem, beztrudnie podrzucając je w powietrze i ponownie łapiąc.

- Nigdy mnie nie okiełznacie. Nie udało się to wam w przeszłości. Nie uda się wam także w przyszłości. Budujcie sobie twierdze, otoczone murami warownymi miasta i kamienne domy. Niech wypełni je światło, muzyka i śmiech. Ja jestem katastrofą.

Jestem morem i zarazą. Jestem morderstwem. Jestem nietolerancją. Jestem suszą i głodem, powodzią i obżarstwem. A wy - Chaos uniósł płomienną kulę, chcąc nią w nich cisnąć - wy jesteście niczym!

- Mylisz się! - Rozległ się dźwięczny, silny głos. - Jesteśmy wszystkim. Jesteśmy nadzieją!

Powietrze przeszła błyszcząca srebrem i czerwienią smocza lanca. Trafiła w słońce i rozprysnęła się. Słońce wybuchło i rozpadło się na tysiące kawałków płonącej skały, które spadły na ziemię jak ognisty deszcz, ochładzając się po drodze.

Chaos odwrócił się.

W szyku bojowym lecieli na niego rycerze z wymierzonymi lancami i uniesionymi, błyszczącymi srebrno i czerwono, mieczami. Wśród nich znajdował się odziany na biało, bez zbroi i oręża mag.

- Nadzieja? - Chaos znów się roześmiał. - Nie widzę nadziei! Widzę jedynie rozpacz!

Kawałki skały zmieniły się w demonicznych wojowników, piekielne sługi Chaosu stworzone ze zgrozy wszystkich, którzy kiedykolwiek żyli. Bezbarwne i zmienne jak złe sny demony pojawiały się przed każdym w innej postaci, przybierając kształt tego, czego walczący z nim najbardziej się obawiał.

Z rozpadliny wyleciały ogniste smoki. Stworzone na szydercze podobieństwo prawdziwych smoków ogniste bestie uformowane były z lawy. Łuski miały z obsydianu, skrzydła i grzywy z płomieni, a oczy z płonących węgli. Z pysków buchały im trujące wyziewy ziemskich głębin, a ze skrzydeł sypały się iskry, które zapalały wszystko, nad czym smoki przelatywały.

Na ten widok rycerzy ogarnęła rozpacz. Gdy przerażające bestie ruszyły do ataku, pobledli ze strachu i zgrozy. Sztandary wyslizgnęły im się z drżących rąk i zaczęły się chylić ku ziemi.

Chaos wskazał na rycerzy solamnijskich.

- Paladine zginął! Walczycie samotnie. Chaos odwrócił się ku rycerzom ciemności.

- Takhisis uciekła. Walczycie samotnie.

Chaos rozłożył ręce, które zdawały się obejmować świat.

- Nie ma nadziei. Nie macie bogów. Co wam zostało?

Steel wydobył miecz i uniósł go wysoko. Jego klinga nie odbijała blasku ognia, lecz jarzyła się srebrzystą bielą przypominającą księżyc na lodzie.

- Mamy siebie nawzajem - odparł rycerz.

Rozdział XXXI

Światło.

Cień.

Nóż zwany zabójcą królików

Muszę cię wysadzić, Majere - oznajmił Palinowi Steel. - Nie mogę walczyć, kiedy siedzisz mi za plecami.

- Ani ja nie mogę wojować z grzbietu smoka przyznał mag.

Flare wylądowała na ziemi. Steel podał Palinowi rękę i pomógł mu zeskoczyć z siodła. Chciał już ją cofnąć, lecz młody czarodziej chwycił go za dłoń i przytrzymał przez krótką chwilę.

- Wiesz, co robić? - Spytał z niepokojem.

- Rzucaj swoje czary, panie magu - odparł chłodno Steel. - Ja jestem gotów.

Palin pokiwał głową i uściskał mocno dłoń Steela.

- Żegnaj, kuzynie - powiedział.

Steel uśmiechnął się. Przez chwilę jego ciemne oczy spoglądały serdecznie.

- Żegnaj... - Umilkł, a potem dodał cicho: - Kuzynie.

Z przenikliwym okrzykiem bojowym Flare wzbija się w powietrze.

Słowa i przykład Steela roznieciły płomień odwagi w rycerzach światła i ciemności. Wojownicy podnieśli zwieszony sztandary i ruszyli do ataku.

Chaos oczekiwał ich z zamętem, szaleństwem, grozą i bólem. Buchnął ogień i zawył koszmarny istoty. Uzbrojeni w smocze lance rycerze solamnijscy zaatakowali ogniste potwory. Srebrne smoki z narażeniem życia zanurzały się w groźnych płomieniach, by zanieść swych jeźdźców bliżej celu. Spoceni od wściekłego upału rycerze zmrużyli oczy od ognistego blasku i rzucili lance. Ich wiara i silne ramiona sprawiły, że pociski poszybowały prosto i celnie. Kilka ognistych smoków padło trupem na ziemię i wybuchło w kłębach płomieni. Spadło też wiele srebrnych smoków z poparzonymi pyskami, wypalonymi oczami i strawionymi przez ogień skrzydłami.

Rycerze ciemności zmagali się z demonicznymi wojownikami, siekąc ich przekłętymi mieczami. Błękitne smoki walczyły pazurami i ciskały z paszcz pioruny. Jednak za każdym razem, gdy oręż przesywał serce demona, chłód próżni istniejącej przed początkiem czasu sprawiał, że metal rozpryskiwał się, a rękę przenikał mróz. Rycerze znosili ból, przerzucali miecze z bezwładnej kończyny do zdrowej i walczyli dalej.

Stojąc daleko za linią natarcia, Palin chwilowo nie brał udziału w bitwie. Zaciekły atak rycerzy zmusił demony i ogniste smoki do odwrotu i obrony. Wróg nie pozostanie jednak długo w defensywie. Machnąwszy olbrzymią ręką, Chaos sprowadzał posiłki, które nie nadchodziły jednakże z tyłów, a powstawały z ciał poległych.

Palin musiał szybko rzucić zaklęcie. Otworzył księgę Magiusa na właściwej stronie. Trzymając w lewej ręce księgę czarów, w prawej ścisnął laskę Magiusa. Jeszcze raz powtórzył sobie słowa zaklęcia. Nabrał tchu i zaczął je wypowiadać, gdy podniósł głowę i zobaczył Uszę.

Nie zauważył jej przedtem, chowała się bowiem za strzaskanym ołtarzem. Teraz jednak wstała i bojaźliwie obserwowała bitwę, trzymając w dłoniach Szary Klejnot. Co ona tam robiła?

Pragnął ją zawołać, lecz obawiał się, że mogłoby to ściągnąć na nią morderczą uwagę ojca bogów. Musiał pobiec do niej i ochronić ją, ale musiał też zostać tutaj, rzucić zaklęcie i obronić rycerzy.

Czar snuł się i pełzał mu po głowie, słowa zaklęcia zaczęły umykać i niknąć w szczelinach jego rozproszonej uwagi. Młody mag widział zaklęcie na stronicy księgi, lecz nie mógł skupić się na tym, jak je wymówić i nadać mu właściwe brzmienie, które miało tak wielką wagę. Słowa szybko stawały się bezsensownym bełkotem.

Miłość jest moją siłą!

Znów znajdował się na tej strasznej plaży i sparaliżowany potwornym strachem o życie braci, wyteżał wzrok i tak rozpaczliwie pragnął pomóc, że zupełnie ich zawiódł. Nie miało sensu tłumaczenie, że siły wroga były liczniejsze, że on sam był ranny, że nie mieli żadnych szans...

Wiedział, że raz już poniósł klęskę i że jego przeznaczeniem było znów ją ponieść.

Uczymy się na własnych porażkach, bratanku - usłyszał cichy szept.

Nagle słowa zaklęcia stały się zupełnie jasne. Wiedział, jak je wymówić.

Ustawił odpowiednio laskę i głośno i wyraźnie wymówił słowa. - *Abdis tukng! Kumpulah keputanya kuasahan!* - Z napięciem czekał, aż w jego żyłach zatętni podniecenie, które zwiastowało początek magii.

- *Burus longang degang birsih sekalilagang!*

Nie przychodziła jednak. Palin już zbliżał się do końca czaru. Wiedział, że słowa wypowiedział właściwie, że nie popełnił ani jednego błędu. Jeszcze kilka...

- *Degang kuashnya, lampar terbong kilat mati yangjahat!*

Nad nim wznosił się niebosiężny Chaos. Palił go ogień. Otaczała go śmierć. Zginie Steel, zginie Usha, Tas i Dougan, jego rodzice, jego dwie siostrzyczki i tak wielu jeszcze innych...

Poświęcenie. Ofiara złożona magii. Co ty złożyłeś magii w ofierze, bratanku? Ja oddałem zdrowie i szczęście. Zrezygnowałem z miłości - do brata i przyjaciół. Zrezygnowałem z jedynej kobiety, która mogła odwzajemnić moją miłość.

Poświęciłem to wszystko dla magii.

Co ty poświęcisz, bratanku?

Palin wymówił dwa ostatnie słowa zaklęcia. - *Xts vrie.* - Potem dodał spokojnym szeptem: - Poświęcam siebie.

Słowa w księdze czarów zalśniły srebrnobiałym blaskiem. Światło przecięło przez okładkę z czerwonej skóry, wsiąkając w dłoń Palina.

Mag poczuł dreszcz i mrowienie w całym ciele. Doznał ekstazy magii, niesłychanej rozkoszy i wyrafinowanego bólu. Nie bał się niczego, ani porażki, ani śmierci. Płynęła przez niego jasność i zbierała się w sercu.

Kryształ umieszczony w smoczej łapie na czubku laski Magiusa zapłonął srebrzystobiałą poświatą. Blask wzrastał się, aż zalśnił jaśniej od płomieni Chaosu. Światło odbijało się od srebrnych zbroi rycerzy solamnijskich i wciąż się nasilało. Czarne pancerze rycerzy ciemności pochłaniały blask, lecz go nie przyćmiewały. W magicznym świetle łuski srebrnych smoków błyszczały jak diamenty. Łuski błękitnych smoków były roziskrzonymi szafirami.

Kiedy poświata dotknęła szeregów Chaosu, demony wrzasnęły z bólu i złości. Cieniozjawy rozplynęły się jak dym wessany do komina. By uniknąć blasku, ogniste smoki zbaczały z drogi i padały pod ciosami błyszczących srebrzyście smoczych lanc.

Chaos zauważył światło. Widziany kątem oczu błysk drażnił go i denerwował. Postanowił więc się go pozbyć.

Przestał zaprzętać sobie uwagę dowodzeniem pułkami i poszukał źródła tej

przeklętej jasności. Dostrzegł laskę i niewielkie, nieistotne stworzenie, które ją trzymało. Popatrzył w światło, spojrział dokładnie w sam jego środek...

Magiczny impuls, który przeszył Palina, powalił go na kolana. Mimo to młodzieniec nie wypuścił laski. Z kryształu buchnęła jasność. Olśniewająco jasny, oślepiający strumień białego światła bił olbrzymowi prosto w oczy.

- Teraz, Steelu! - Krzyknął Palin. - Uderz teraz!

Steel Brightblade i Flare trzymali się z boku, niecierpliwie wypatrując okazji. Obojgu czekanie przychodziło z trudem. Zmuszeni byli patrzeć na śmierć swych towarzyszy i nie mogli nic zrobić, by im pomóc, ani ich nawet pomścić. Steel widział, jak Palin się waha i bezdźwięcznie błagał go o wytrwałość. Sukces kuzyna przyniósł mu niezmierną satysfakcję i zmuszony był przyznać, że rozniecił w nim serdeczne i nieoczekiwane poczucie braterskiej dumy.

Palin nie musiał mu przypominać krzykiem, kiedy ma zacząć atak. W chwili, gdy światło kryształu trysnęło Chaosowi prosto w oczy, Steel uniósł miecz i wbił ostrogi w boki Flare.

Chaos ryknął z wściekłości i gniewu. Chciał umknąć przed blaskiem, który go raził, oślepiał i kaleczył. Nie mógł jednak zamknąć pozbawionych powiek oczu. Wir ich mrocznej czeluści wsysał wszystko, na co patrzyły, również paraliżujące światło.

Flare leciała wprost na Chaos. Olbrzym potrząsał głową i kręcił nią na boki, chcąc się wyrwać spod władzy jasności. Wykrzykując słowa zachęty, Steel kierował smoczyką i nakłaniał ją, by wleciała w huczące płomienie włosów i brody giganta.

Steel osłaniał oczy dłonią, sam prawie już oślepiiony ogniem. Wybrał cel i pędził wprost ku niemu. Panował nieziemski upał, który rozgrzewał metal jego zbroi tak, że nie sposób było w niej wytrzymać. Steel dusił się w hełmie. Zerwał go z głowy i rzucił na ziemię. Ogień osmalił mu skórę. W przegrzanym powietrzu, które paliło płuca, nie można było oddychać. Mimo to Steel się nie zatrzymał. Chaos miał na sobie pancerz z adamantytu i rozżarzonego do czerwoności żelaza, lecz płyta osłaniała mu tylko pierś. Ramiona i nogi miał obnażone.

- Skreć! - Steel krzyknął do Flare i szarpnął za wodze, by zwrócić łeb smoczyki w prawo. - Podlec blisko jego barku!

Smoczyca spuściła głowę, przeleciała przez płomienną brodę ojca bogów i zionęła błyskawicą. Poraziła Chaos wyładowaniami elektrycznymi, które wprawiły go w jeszcze większą złość i gniew. Wiedząc, że nieprzyjaciel się zbliża, Chaos zaczął wymachiwać rękoma i oganiać się na oślep. Steel schylił się i schronił za karkiem Flare.

Smoczyca wzniosła prawe skrzydło, wykonała przewrót i przeleciała tak blisko rozpalonego napierśnika, że buchający od niego żar osmałił jej skrzydła. Steel z trudem oddychał. Oczy zaszyły mu łzami z gorąca, jednak nie zamknął powiek i nie spuszczał celu z oczu.

Smoczyca zbliżyła się do olbrzyma. Wychyliwszy się niebezpiecznie z siodła, Steel wznosił miecz i z dźwięcznym okrzykiem bojowym wbił klingę w gigantyczne ramię.

*

- Udało mu się, dziewczyno! Udało mu się! Wrzasnął Dougan, tańcząc i podskakując. - Teraz szybko! Szybko!

Miecz Steela utkwił w ciele olbrzyma. Chaos zabecztał i zawył. Nie widząc, co go ukłuło, odsunął gwałtownie rękę, wyrывая Steelowi miecz z dłoni.

Z rany wypłynęła błyszcząca kropla krwi.

- Teraz, dziewczyno, teraz! - Sapnął Dougan.

- Pójdę z tobą! - Krzyknął Tas. - Poczekaj tylko chwileczkę. Niech no znajdę tę łyżkę...

- Nie ma czasu! - Dougan popchnął Ushę. - Idź, dziewczyno. Już!

- Jeszcze chwilę. - Tas przetrząsał sakiewki. - Gdzie jest ta przeklęta łyżka...?

Usha spojrzała niepewnie na Dougana i grzebiącego w mieszku Tasa. Dougan machnął ręką.

Dziewczyna zaczęła się ostrożnie skradać.

Skup się na celu. Nie myśl o Palinie, nie myśl o Tasie, nie myśl o tym, jak jesteś przerażona. Myśl o Opiekunie i pozostałych. Myśl o tym, jak zginęli. Nigdy nic dla nich nie zrobiłam, nie wyraziłam im swej wdzięczności. Odeszłam bez podziękowania. To... Za moją rodzinę, za zaginionych Irdów.

Usha nie spuszczała z oczu lśniącej kropli krwi, która perliła się pod mieczem.

Podeszła jeszcze bliżej do olbrzymich nóg, do tych potwornej wielkości stóp, pod którymi ziemia się ugięła, trzęsła i pękała.

Kropelka krwi wciąż wisiała jak niedosięgły klejnot.

Nie spadła.

*

Miecz Steela - miecz jego ojca - utkwił w ciele Chaosu jak cierń.

Szarpiąc się, Chaos wyrwał Steelowi broń z ręki. Ostrze nie zraniło dotkliwie olbrzyma. Z rany wypłynęła zaledwie jedna kropla krwi.

Steel musiał znów zadać cios, lecz najpierw trzeba było odzyskać oręż. Zarówno on, jak i smoczyca tracili siły. Flare była ciężko poparzona, straciła jedno oko, a spalone na pysku łuski broczyły krwią. Delikatna błona jej osmalonych błękitnych skrzydeł była rozdarta.

Steel nie mógł złapać dość powietrza, by wypełnić płuca. Każdy rozpaczliwy oddech sprawiał mu dotkliwy ból. Był oszołomiony i miał zawroty głowy. Poparzoną skórę pokrywały pęcherze.

Zacisnął zęby, schylił się i poklepał Flare po karku.

- Musimy polecieć jeszcze raz, moja droga - powiedział. - Musimy to skończyć. Potem odpoczniemy.

Smoczyca pokiwała głową, zbyt zmęczona i obolała, by mówić. Niemniej znalazła dość siły, by z wyzywającym rykiem rzucić się naprzód i mimo postrzępionych skrzydeł znowu lecieć z jeźdźcem w bój.

Podleciała do zranionego ramienia Chaosu i w ostatniej chwili przed zderzeniem z olbrzymem zrobiła obrót przez skrzydło. Steel chwycił rękojeść miecza i resztkami sił wyszarpnął go z ręki wielkoluda.

Połyskliwa kropla krwi skapnęła z rany.

*

Usha zobaczyła ciekącą krew. Nadzieja dodała jej odwagi. Nie zważając na zagrożenie, jakim były nogi olbrzyma, które w każdej chwili mogły ją rozdeptać, rzuciła się naprzód, aby złapać kroplę.

Jednak w tej samej chwili klnący siarczyście Chaos machnął ręką i strącił coś, co dla niego było kłującym, denerwującym owadem.

Smoczyca nie miała w skrzydłach tyle siły, by uciec z jeźdźcem przed miażdżącą ręką. Chaos rozgniół ją jak muchę.

Smoczyca spadła z nieba ze złamanym karkiem, a jeździec razem z nią. Błysnęło srebrne światło i oboje roztrzaskali się o ziemię w pobliżu Palina. Skrzydło smoczycy lekko o niego zawadziło, wytrącając mu z ręki laskę i księgę czarów.

Srebrnobiałe światło zgasło.

Zdobyta takim wielkim kosztem kropla krwi spadła na ziemię i natychmiast wsiąkła w szary, wyschnięty na proch grunt.

Usha krzyknęła z rozpacz. Padła na kolana i zaczęła rozgrzebywać wilgotną, okrwawioną glebę, rozpaczliwie usiłując odzyskać choć odrobinę krwi.

Chłód padającego na nią cienia przeniknął ją do szpiku kości, zmroził jej ręce i

ściął lodem serce.

Chaos zobaczył ją, kiedy z Szarym Klejnotem w dłoniach nachylała się nad rozlaną krwią.

Zrozumiał, co mu grozi.

Ogłuszony i poraniony Palin gorączkowo szukał laski, która leżała gdzieś pod martwą smoczą. Zewsząd otaczał go gęstniejący mrok. Podniósł głowę. Olbrzym, który w pełni odzyskał już wzrok, wbijał puste, czarne oczy w Ushę.

Palin zerwał się na nogi.

- Usho, uważaj! Uciekaj! - Krzyknął.

Nie usłyszała go wśród ryku olbrzyma. A może nie zwracała na niego uwagi. Rozpaczliwie wpatrując się w skrwawioną ziemię, starała się odzyskać kroplę posoki i umieścić ją w połówkach Szarego Klejnotu.

Palin zostawił laskę i pobiegł Ushy na pomoc.

Nie zdążył.

Chaos machnął gigantyczną ręką, która zdawała się po drodze chwycić wiatr i pociągnąć go za sobą. Podmuch gorącego powietrza uderzył Palina, odrzucił go w tył i cisnął nim o ciało smoczycy. Mag poczuł wybuchający w głowie ból.

- Usha - zdołał szepnąć, czując mdłości i zawroty głowy. Nie poddawał się i w wyobraźni stał, lecz naprawdę jego ciało leżało w smoczej krwi. Strużka jego własnej ciepłej krwi spływała mu po twarzy. Był drobiną kurzu w jednym z pustych oczu olbrzyma, a potem już niczym.

Tasslehoff wyrzucał na lewo i prawo przedmioty ze swojej sakwy, zaśmiecając nimi ziemię. Okruch niebieskiego kryształu, kawałek skamieniałego drewna vallenowego, pasmo włosów z grzywy gryfa, zdechła jaszczurka na rzemieniu, uschnięta róża, biały pierścionek z dwoma czerwonymi oczkami, białe kurze piórko...

- Gdzie jest ta przeklęta łyżka? - Krzyknął, ogarnięty frustracją.

- Usho! Zostaw to, dziewczyno! Uciekaj! - Wrzasnął Dougan.

- Co tam? Co się dzieje? - Pełen zapachu Tas podniósł głowę. - Czy coś mnie ominęło?

Usha na klęczkach, ze łzami na twarzy grzebała w ziemi. Palin leżał w kałuży smoczej krwi jak porzucona lalka.

Olbrzym szurał potwornymi, obutymi stopami po ziemi z głośnym zgrzytem gigantycznych gładów, rozdeptując ciała martwych rycerzy i konających smoków. Usha i Palin znajdowali się dokładnie na jego drodze.

Zimna dłoń - krzywdząca jak pięść olbrzyma - ścisnęła serce kendera.

- On ich zmiażdży! - Krzyknął Tas. - Całkiem ich rozpląszczy! To... Jeszcze gorsze niż lord Soth! Moi przyjaciele nie mogą zostać rozdeptani! Musi znaleźć się ktoś duży, kto go powstrzyma!

Tas rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu pomocnego rycerza, smoka, albo nawet boga. Smoki i rycerze, którzy jeszcze zostali przy życiu, sami toczyli rozpaczliwe walki. Dougan zaś skulił się, pochylił głowę i spuściwszy bezwładnie ręce na podolek, jęczał: - To moja wina. Moja wina...

Tas wyprostował się i raptem uświadomił sobie, że jest najwyższą, najroślejszą osobą w pobliżu, stojącą jeszcze na nogach (pominąwszy olbrzyma). Duma wypełniła serce kendera i wyrwała je z lodowatych palców kurczowo ściskającej je ręki.

Tasslehoff odrzucił na bok sakiewki. Wydobywszy nóż - ten, który Caramon kiedyś nazwał Zabójcą Królików - podbiegł do leżących przyjaciół z szybkością, która jest wrodzoną cechą kenderów, dzięki której udało im się przetrwać w świecie pełnym rozgniewanych minotaurów, rozwścieczonych sklepikarzy i rozzłoszczonych szeryfów.

Tasslehoff zasłonił swym małym ciałem Ushę. Krzyknąwszy po kendersku: - A masz! - Dźgnął niebezpiecznego olbrzyma Zabójcą Królików w duży palec u nogi.

Magiczny nóż przebił skórzany but olbrzyma i trafił w ciało. Trysnęła krew. Bóg gwałtownie podniósł stopę, szykując się do rozdeptania błahej, denerwującej istoty, która go zraniła. Chaos tupnął. Wzbiły się chmury kurzu. Tasslehoff zniknął.

- Tas! - Zawołała z żalu i gniewu Usha. Chciała przyjść z pomocą przyjacielowi, kiedy usłyszała gromki krzyk Dougana.

- Udało ci się, dziewczyno! Popatrz! Spójrz na Szary Klejnot!

Oszołomiona Usha spuściła wzrok.

W środku jednej połówki klejnotu lśniła pojedyncza kropla krwi.

- Złóż obie połówki! - Dougan wstał i podskakiwał w miejscu. - Zamknij je! Pośpiesz się!

Chaos wył i grzmiał wokół niej. Jego płomienie paliły ją. Jego wichura próbowała ją rozpląszczyć. Usha miała wkrótce zginąć, lecz nie dbała o to. Palin nie żył. Wesoły kender nie żył. Srogi czarny rycerz nie żył. Opi nie żył. Wszyscy umarli i nic już nie zostało. Nadzieja też umarła.

Usha złożyła ręce, złożyła dwie połówki Szarego Klejnotu z krwią Chaosu zamkniętą w środku, i wtedy...

Zapadła cisza.

Cisza i ciemność.

Usha niczego nie słyszała, nie widziała i nie czuła, nawet ziemi pod stopami. Jedynym materialnym przedmiotem, jaki wyczuwała, był Szary Klejnot o zimnych, ostrych krawędziach faset.

Kamień rozjarzył się delikatnym, szarym światłem.

Usha upuściła go, lecz Klejnot nie spadł.

Szary Klejnot wzniósł się, poszybował bardzo wysoko w mrok, a potem raptownie wybuchł.

Miliony okruchów roziskrzonego kryształu rozprysło się na wszystkie strony i rozprzestrzeniło, rozsiewając w ciemności drobne punkciki światła.

To były gwiazdy. Nowe, obce gwiazdy.

Wszedł księżyc, pojedynczy i blady. Jego oblicze było łagodne, lecz obojętne.

W jego blasku Usha rozejrzała się.

Chaos zniknął. Dougan zniknął. Wokół leżały same trupy. Tak długo szukała wśród ciał poległych, aż znalazła Palina.

Biorąc go w ramiona, usiadła obok. Wsparła głowę na piersi Palina, zamknęła oczy, by nie widzieć obcych gwiazd i zimnego księżyca i postanowiła odszukać go w ciemnościach.

Rozdział XXXII

DESZCZ.

JESIEŃ.

POŻEGNANIE

Kropla chłodnej wody spadła mu na czoło. Padał lekki deszcz, chłodny i delikatny. Palin leżał w trawie z zamkniętymi oczami, rozmyślając o tym, że zapowiada się pochmurny, szary i posepny dzień na przejażdżkę, że jego starszy brat będzie się gorzko użalać na deszcz i prorokować, że zardzewieje mu zbroja i zniszczy się miecz; że jego drugi brat zaśmieje się, strząśnie krople wody z włosów i stwierdzi, że wszystkich czuć mokrym koniem.

A ja przypomnę im, że deszcz jest nam potrzebny, że powinniśmy być wdzięczni, że susza minęła...

Susza.

Słońce.

Ogniste, prażące słońce.

Moi bracia nie żyją.

Słońce nie zajdzie.

Powróciły przerażające i bolesne wspomnienia. Ciecz, która kapała na niego, nie była deszczem, lecz krwią. Chmury były cieniem stojącego nad nim olbrzyma. Palin bojaźliwie otworzył oczy i ujrzał ociekające deszczem liście vallenu, które właśnie zaczynały zmieniać kolor i przybierać ciepłe, czerwone i złote barwy jesieni.

Bezgranicznie zdumiony, usiadł i rozejrzał się. Leżał na polu, które musiało znajdować się w pobliżu jego ojczyzny, bowiem drzewa vallen rosną jedynie w jednym miejscu na Ansalonie - w Solace. Skąd tu się wziął? Jeszcze przed chwilą konał w Otchłani.

W oddali dojrzał całą i nietkniętą gospodę „Ostatni Dom”, jego dom rodzinny. Znad domowego paleniska wznosiła się cienka smużka dymu i snując się w deszczu,

roznosiła miłą woń.

Usłyszał w pobliżu łkanie.

U jego boku leżała skulona jak dziecko Usha, jedną ręką osłaniając głowę. Coś jej się śniło i były to straszne sny.

Palin delikatnie dotknął jej ramienia. Drgnęła i wykrzyknęła jego imię: - Palinie! Gdzie jesteś?

- Usho, to ja. Jestem tutaj - powiedział cicho.

Dziewczyna otworzyła oczy i zobaczyła go. Wyciągnęła ku niemu rękę, pochwyciła go w ramiona i mocno uściskała.

- Już myślałam, że nie żyjesz. Byłam sama, zupełnie sama, gwiazdy były zupełnie inne, a ty nie żyłeś...

- Nic mi nie jest - rzekł Palin i ze zdumieniem odkrył, że rzeczywiście jest zdrow i cały, choć ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był potworny ból.

Wyglądził jej prześliczne srebrne włosy i spojrzał w złote, zaczerwienione od łez oczy.

- A ty jesteś cała?

- Tak... Nic mi się nie stało. Olbrzym... Tas... Och, dobrzy bogowie! - Usha odtrąciła rękę Palina i z trudem wstała. - Tas! Olbrzym!

Odwróciła się i jęknęła, wstrzymując oddech.

Palin spojrzał w tym samym kierunku i teraz dostrzegł poległych.

Zwłoki rycerzy solamnijskich spoczywały obok ciał rycerzy Takhisis. Spośród tych, którzy polecili do Otchłani walczyć z Chaosem i jego przerażającymi hufcami, nie przeżył nikt. Wojownicy leżeli w godnych pozach z rękoma złożonymi na piersi i ze spokojnymi, wygładzonymi twarzami, z których wszelkie ślady krwi, strachu i cierpienia zmył łagodny deszcz.

Wbijając wzrok w zasłonę deszczu, Palin zauważył, że coś się rusza. Mylił się. Jeden z rycerzy wciąż żył. Palin szybko mijał rzędy poległych. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że był to Steel.

Rycerz miał twarz zalaną krwią. Klęczał, tak słaby, że ledwo mógł się utrzymać. Przyciskał do swej piersi zimną dłoń młodego rycerza solamnijskiego. Potem siły go opuściły i upadł na mokrą, brązową trawę.

Palin nachylił się nad nim. Wystarczyło tylko na moment spojrzeć, by zauważyć nadpaloną, popękaną, skrwawioną zbroję i blade oblicze ledwo dyszącego rycerza.

- Steelu!... - Zawołał cicho Palin. - Kuzynie.

Steel otworzył ciemniejące i gasnące oczy. - Majere... - Uśmiechnął się krótko, przelotnie. - Dzielnie walczyłeś.

Palin wziął rycerza ciemności za rękę. Jego ciało było chłodne. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Jakoś ci ulżyć?

Steel przechylił głowę i odwrócił wzrok. - Mój miecz.

Palin znalazł oręż przy konającym rycerzu. Podniósł go i włożył rękojeść w dłoń Steela.

Steel zamknął powieki. - Pochowaj mnie razem z pozostałymi.

- Dobrze, kuzynie - rzekł Palin przez łzy - tak uczynię.

Steel zacisnął palce na rękojeści miecza. Spróbował jeszcze raz go podnieść. - *Est Sularus...* - Ostatnim tchem wyszeptał solamnijskie słowa „Mój honor”. Ostatnie westchnienie konającego uniosło ze sobą zakończenie zdania: *oth Mithas*, „jest moim życiem”.

- Palinie. - Usha stanęła przy nim.

Palin podniósł głowę i starł z twarzy łzy i deszcz. - Co tam? Znalazłaś Tasa?

- Chodź, zobacz - rzekła półgłosem Usha.

Młody mag wstał. Ubranie miał mokre od deszczu, lecz jak na początek jesieni, powietrze było ciepłe. Dopiero kiedy mijał ciała poległych rycerzy, zastanowił się nad tym, co się stało ze smokami.

Wtedy ze strachem przypomniał sobie o lasce i księdze zaklęć.

Jednakże oba przedmioty leżały na swoich miejscach, laska Magiusa na trawie w pobliżu księgi czarów. Okładka z czerwonej skóry była osmolona i nadpalona. Palin ostrożnie dotknął księgę i otworzył ją. Nie znalazł w niej ani jednej kartki. Wszystkie spłonęły, zniszczone podczas rzucania ostatniego zaklęcia.

Palin westchnął, myśląc o wielkiej stracie. Mimo to był przekonany, że Magius ucieszyłby się z wieści, że jego magia przyczyniła się do pokonania Chaosu. Podniósł laskę i zaskoczony z niepokojem zauważył, że była jakaś dziwna. Zwykle ciepłe i miłe w dotyku drewno stało się zimne, szorstkie i chropowate. Laskę niewygodnie było trzymać. Odłożył ją z ulgą, dziwiąc się, co też mogło się z nią stać.

Podszedł do Ushy, która przyglądała się stercie rozrzuconych sakiewek. Kiedy nachylił się nad najcenniejszymi skarbami kendera, natychmiast zapomniał o lasce.

Obejrzał rozmaite przedmioty. Nie rozpoznał żadnego z nich. Nic dziwnego w przypadku kenderskich rzeczy, lecz prawie już wmówił sobie, że sakiewki należały do jakiegoś innego kendera, który je porzucił, zapewne po to, by szybciej zmykać, póki

nie podniósł jednej z nich. Ze środka wysypały się mapy.

- To mapy Tasslehoffa - rzekł, czując, jak zimny strach ściska mu serce. - Ale gdzie on jest? Nigdy by ich nie zostawił.

- Tas! - Zawołała szukająca go Usha. - Palinie, spójrz! Tu jest jego hoopak. Leży... W stercie... Kurzego pierza.

Palin rozgarnął pióra. Pod hoopakiem i pierzem znalazł chusteczkę z inicjałami FB, srebrną łyżeczkę elfiej roboty i poplamiony zakrzepłą krwią nóż.

- On nie żyje! - Szlochała Usha. - Nigdy nie zostawiłby swojej łyżki!

Palin podniósł oczy na drogę, która wiła się ochoczo do chwili, gdy połączyła się z następną, a potem jeszcze z następną, splatając się i rozgałęziając, lecz wiecznie prowadząc naprzód, wiodąc wszędzie, by w końcu zaprowadzić z powrotem do domu.

Droga nagle rozplynęła się w powietrzu.

- Jest tylko jeden powód, dla którego Tas zostawiłby swe najcenniejsze skarby - rzekł cicho Palin. - Znalazł coś ciekawszego.

*

Deszcz przestał siąpić. Szary dzień zmienił się w ciemną noc. Pokazały się nieznajome gwiazdy, rozsypane po niebie jak garść wróżebnych kamyczków rzuconych na czarną tkaninę. Wstał błądliwy, nieczuły księżyc i oświetlił im drogę.

Palin spojrział na gwiazdy i samotny księżyc. Zadrżał, spuścił wzrok i napotkał złote oczy Raistlina.

- Stryju! - Ucieszył się Palin, choć poczuł się nieswojo.

Laska nie dawała mu już oparcia. Była ciężka i zawadzała. Nie potrafił zgadnąć, co się z nią stało.

- Czyżbyś przyszedł zamieszkać z nami, skoro wojna ma się ku końcowi? Wojna chyba się już skończyła, prawda? - Spytał z niepokojem.

- Ta wojna się skończyła. - Stwierdził zgryźliwie Raistlin. - Będą jeszcze inne, ale to nie moje zmartwienie. Nie przyszedłem zamieszkać z wami. Jestem zmęczony. Wracam znów pograć się w długim śnie. Zatrzymałem się tylko w drodze, żeby się pożegnać.

Palin popatrzył na stryja z rozczarowaniem. - Musisz odejść? Tyle mnie jeszcze czeka nauki.

- To prawda, bratanku. Do końca twych dni, nawet kiedy będziesz już bardzo starym człowiekiem. Co z tą laską? Trzymasz ją, jakby jej dotyk sprawiał ci ból.

- Coś złego się z nią stało - rzekł Palin, ogarnięty narastającą obawą przed

czymś, czego się domyślał i co podejrzewał, lecz jeszcze nie wiedział na pewno.

- Daj mi ją - powiedział cicho Raistlin.

Palin wręczył mu laskę z niespodziewaną niechęcią.

Raistlin wziął ją do ręki i obrzucił pełnym podziwu spojrzeniem. Gładził ją i pieścił chudą dłonią. - *Shirak* - szepnął.

Światło zapaliło się, lecz potem zaczęło słabnąć i przygasać. Zamigotało i zgasło zupełnie.

Zrozpaczony Palin spojrział najpierw na laskę, a potem na samotny księżyc. Strach chwycił go za serce.

- Co się dzieje?! - Krzyknął przerażony.

- Może ja na to odpowiem, młody człowieku.

Drogą od strony gospody „Ostatni Dom” przyczłapał stary czarodziej w szacie mysiego koloru i wytartym kapeluszu o szpiczastej, złamanej główce. Czarodziej wytarł usta wierzchem dłoni.

- Świetne piwo - zauważył - jedno z najlepszych Caramona. To będzie doskonały rok. - Potrząsnął głową, wzdychając. - Będzie mi tego brakowało.

- Witaj, starcze - rzekł z uśmiechem Raistlin, podpierając się laską.

- Co mówisz? He? Czy to jakiś przytyk do mojego wieku? - Czarodziej nieprzychylnie łypał oczami spod gęstych brwi.

Odwrócił się do Palina i zauważył chusteczkę kendera, którą młodzieniec schował za paskiem. Czarodziej zjeżył się.

- To moje! - Wykrzyknął i wyrwał mu ją. Wymachiwał zdobytym kawałkiem materiału. - Tu są moje inicjały. FB. To znaczy... Mmmm. Fut-bol. Nie, to chyba nie tak. Flubber. Też nie...

- Fizban - podsunął Palin.

- Gdzie? - Starzec odwrócił się gwałtownie. - Do licha, zawsze mnie śledzi.

- Fizban! - Usha spojrzała na niego ze zdumieniem. - Ja cię znam! Opowiadał mi o tobie Opiekun. W rzeczywistości jesteś Paladine'em!

- Nigdy o nim nie słyszałem! - Oznajmił rozdrażniony starzec. - Ludzie zawsze nas ze sobą myślą, ale ja jestem dużo przystojniejszy!

- Ty żyjesz! - Rzekł z wdzięcznością Palin. - Chaos powiedział, że zginąłeś. To znaczy, powiedział, że Paladine zginął.

Fizban zmuszony był przez chwilę się zastanowić. - Nic z tego, nie sądzę, żeby to była prawda. - Zmarszczył brwi. - Chyba nie zostawiliście mnie znów w stosie

kurzych piór?

Palin poczuł ulgę, poweselał i przestał się bać. - Powiedz nam, co się stało. Zwyciężyliśmy, prawda? Pokonaliśmy Chaos?

Fizban uśmiechnął się, a potem westchnął. Z jego twarzy znikł wyraz otepienia i teraz widzieli przed sobą starego mężczyznę o łagodnym, zasmuconym i pełnym żalu, lecz zwycięskim obliczu.

- Chaos został pokonany, synu. Nie zniszczony. Ojca Wszystkiego i Niczego nigdy nie można zniszczyć. Zmusiliście go do ucieczki z tego świata. Przystał na to, lecz za wysoką cenę. Opuści Krynne, lecz to samo muszą uczynić jego dzieci.

- Ty... Chyba nie odejdziesz, prawda? - Krzyknęła Usha. - Nie możesz!

- Inni już odeszli - rzekł cicho Fizban. Przyszedłem wam podziękować... - Znów westchnął - i wypić ostatni kufelek piwa z przyjaciółmi.

- Nie możesz tego zrobić! - Powiedział osłupiały Palin, nie wierząc własnym uszom. - Jak możesz nas porzucić?

- Ponosimy tę ofiarę dla ocalenia naszego umiłowanego dzieła, synu - odparł Fizban. Jego wzrok padł na ciała poległych rycerzy i chusteczkę, którą trzymał w dłoni. - Tak jak oni poświęcili się dla ocalenia tego, co kochali.

- Nie pojmuję tego! - Szepnął w udręce Palin. - A co z laską? Co z moją magią? - Przycisnął dłoń do serca. Już nie czuję jej w sobie.

Raistlin położył dłoń na ramieniu Palina. - Kiedyś powiedziałem, że staniesz się największym z żyjących magów. Spełniłeś moje proroctwo. Sam Magius nigdy nie potrafił rzucić tego zaklęcia. Jestem z ciebie dumny.

- Ale księga została zniszczona...

- To nieważne - stwierdził Raistlin, a potem wzruszył ramionami. - Prawda, bratanku?

Palin gapił się na niego, wciąż nie rozumiejąc. Wtedy sens słów stryja dotarł do niego i trafił go w samo serce.

- Na świecie nie ma już magii...

- Takiej, jaką znałeś dotychczas. Może będzie inna. Twoim zadaniem będzie ją znaleźć - powiedział łagodnie Fizban. - Zaczął się właśnie wiek, który przejdzie do historii Krynne jako Wiek Śmiertelników. Myślę, że będzie to ostatni wiek. Ostatni, najdłuższy i być może, najlepszy. Żegnaj, mój synu. Żegnaj, moja córko.

Fizban ucisnął im dłonie. Potem zwrócił się do Raistlina. - No jak, idziesz? Nie mam czasu. Trzeba zbudować nowy świat. Zobaczmy. Jak to szło? Wziąć trochę błota,

zmieszać z odrobiną nietoperzowego guano...

- Żegnaj, Palinie. Dbaj o rodziców. - Raistlin podszedł do Ushy. - Żegnaj, Dziecię Irdów. Nie tylko pomściłaś swój lud, ale i odkupiłaś go. - Zerknął na przygnębionego Palina. - Wyjawiałaś mu już prawdę? Sądzę, że to mu zdecydowanie poprawi humor.

- Jeszcze nie, ale zamierzam - odrzekła Usha. - Obiecuję, stryju - dodała nieśmiało.

Raistlin uśmiechnął się. - Żegnaj - powtórzył. Odwrócił się i pomagając sobie laską, poszedł wraz z Fizbanem przez pole, na którym spoczywali umarli.

- Stryju! - Zawołał rozpaczliwie Palin. - Bogowie odeszli! Co teraz zrobimy, kiedy zostaliśmy sami?

Raistlin zatrzymał się i obejrzał. W świetle obcych gwiazd jego skóra lśniła złotawo, a złote oczy płonęły.

- Nie jesteście sami. Steel Brightblade powiedział wam to wcześniej. Macie siebie nawzajem.

*

Palin i Usha stali samotnie w pobliżu Solace na polu, które później ludność uzna za święte miejsce.

Mieszkańcy Ansalonu zbiorą się tu, by wybudować grobowiec z kamienia, który krasnoludowie przywieźli aż z Thorbardinu. Proste i stylowe mauzoleum wzniesiono z białego marmuru i czarnego obsydianu. Dookoła ludzie posadzili drzewa, które przywieźli z Qualinesti i Silvanesti elfowie pod wodzą króla Gilthasa.

Ciała rycerzy solamnijskich złożono w grobowcu obok ciał rycerzy Takhisis.

Pośrodku spoczywał Steel Brightblade na sarkofagu z rzadkiej odmiany czarnego marmuru. Odziany był w czarną zbroję. W rękach trzymał miecz swego ojca. Na drugim, wykutym z białego marmuru sarkofagu, leżało ciało Tanisa Półelfa. Miał na sobie zielony strój i skórzaną zbroję. U jego boku spoczywała laska z niebieskim kryształem, którą położyły tam dzieci Riverwinda i Goldmoon.

Kryptę zamknięto i zatrzaśnięto podwójne drzwi ze srebra i złota. Po jednej stronie wrót rycerze solamnijscy wryli różę, a po drugiej liliję. Imiona poległych rycerzy zostały uwiecznione na kamiennych płytach.

Nad drzwiami umieszczono tylko jedno imię, na pamiątkę jednego z najsłynniejszych bohaterów Ansalonu.

Tasslehoff Burrfoot.

Pod jego imieniem wyryto hoopak.

Mauzoleum nazwane grobowcem Ostatnich Bohaterów stało się pomnikiem wszystkich, którzy polegli w bitwie pod koniec tego strasznego lata.

Grobowiec bynajmniej nie stał się ponurym miejscem, a wręcz przeciwnie, dość wesołym, co rycerzy wprawiało w zakłopotanie. Kenderzy z całego Ansalonu przybywali tu z pielgrzymkami. Przeprowadzali dzieci i urządzali pikniki na okalających grób trawnikach. Jedli i opowiadali im o swym słynnym bohaterze.

Nie minęło wiele czasu - przynajmniej nie więcej niż jedno pokolenie, gdy każdy spotkany kender pokazywał ci jakiś ciekawy przedmiot, na przykład srebrną łyżeczkę, i przysięgał na swoją kitkę, że obdarzona jest wszelkiego rodzaju cudownymi mocami.

I że dostał ją od „wujka Tasa”.

Epilog

Flint Fireforge bezustannie dreptał pod drzewem w tę i z powrotem. Musiał się ruszać, bowiem ogień w kuźni wygasł i stary krasnolud zmarł na kość. Klaskał w dłonie, by ogrzać palce, tupał nogami, by rozgrzać stopy, burczał pod nosem i narzekał, żeby krew zaczęła w nim żywiej krążyć.

- Gdzie jest ten przeklęty kender? Powiedział, że tu będzie. Czekam i czekam. Tanis, Sturm i pozostali odeszli już dawno temu. Już sobie wyobrażam, gdzie teraz mogą być. Pewnie siedzą w jakiejś miłej, przytulnej gospodzie, popijają grzane wino z korzeniami i gawędzą o dawnych czasach, a gdzie ja jestem? No właśnie, nigdzie - burknął krasnolud. - Stoję pod usychającym drzewem, przy wygasłym palenisku kuźni i czekam na tego bęcwała kendera. A co on spocił? Zaraz wam powiem! - Flint tak się zasapał, że poczerwieniał na twarzy. - Pewnie siedzi w więzieniu. Albo jakiś minotaur powiesił go za kitkę. Albo jakiś rozszoszczony czarodziej zmienił w jaszczurkę. A może wpadł do studni, jak wtedy, gdy usiłował złapać swoje odbicie i to ja musiałem go stamtąd wyciągać, tyle że mnie też wciągnął do środka. Gdyby nie Tanis...

Flint narzekał, krążył, machał rękoma i przytupywał. Tak bardzo pochłonięty był tym narzekaniem, krążeniem, wymachiwaniem rękoma i tupaniem, że nie zauważył, kiedy ktoś pojawił się obok niego.

Do Flinta podkraść się od tyłu kender, odziany w jaskrawożółte spodnie i krzykliwą, obwieszoną pękatymi sakiewkami kapotę w czerwono-zieloną kratkę, i ledwo powstrzymując się od chichotu, przedrzeźniał krasnoluda.

Kender maszerował, klaskał w dłonie i tupał, depcząc Flintowi po piętach. Czynił tak do chwili, gdy krasnolud - zatrzymawszy się w pół słowa, by zapalić fajkę - sięgnął do mieszka z zieleń i zastał tam już czyjaś dłoń. Szybko przeliczył jej zawartość i nagle jak nie wrzaśnie, obracając się dokoła!

- Mam cię! - Flint capnął złodzieja.

Złodziej capnął Flinta.

Tasslehoff serdecznie uściskał przyjaciela. - Flincie, to ja!

- No! Najwyższy czas! - Sapnął Flint. - Ty matole! Widzisz, co narobiłeś? Przez ciebie upuściłem fajkę. No dobrze, już dobrze, chłopcze. Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Nie chciałem na ciebie nakrzyczeć. Po prostu mnie wystraszyłeś.

Usiłując jednocześnie śmiać się i szlochać, Tas odkrył, że łkanie i śmiech poplątały mu się w gardle, przez co ledwie mógł złapać powietrze. Flint uderzył przyjaciela w plecy.

Dzięki pomocy przyjaciela Tas złapał oddech i odzyskał zdolność mówienia.

- Wreszcie dotarłem. Założę się, że za mną tęskniłeś, prawda?

Nie zważając na gromkie „nie!” Flinta, Tas trajkotał dalej. - Ja za tobą tęskniłem. Przeżyłem niesłychaną przygodę. Muszę ci zaraz o niej opowiedzieć.

Zdjąwszy sakiewki z ramion, kender rozłożył je dookoła i rozsiadł się pod drzewem. - Od czego mam zacząć? Już wiem. Od kenderskiej łyżki egzorcyzmów. Dostałem ją od...

- Co ty robisz? - Spytał Flint. Wziął się pod boki i spojrzał wściekle na kendera.

- Odpoczywam sobie pod twoim drzewem - odparł Tas.

- Czemu pytasz? A ty sądzisz, że co robię? - Zaciekawiał się.

- Czy coś innego od tego, co mnie się wydaje? Bo jeśli tak...

- A niech cię wszyscy diabli! - Warknął Flint. - Nie chodzi o to, co robisz, ani o twoje poglądy na to, co robisz, tylko o to, czego nie robisz!

Tas spojrzał surowo na krasnoluda. - Mówisz od rzeczy. Jeśli tobie się wydaje, że nie robię tego, co powinienem, a mnie, że robię to, co powinienem, w takim razie...

- Zamilcz! - Jęknął Flint, łapiąc się za głowę.

- Coś się stało, Flincie?

- To się stało, że od twojego gadania rozboleła mnie głowa! O czym to ja mówiłem...

- Ano, że nie robię tego, co...

- Przestań! - Krasnolud ciężko dyszał. - Nie to miałem na myśli. Wstawaj. Nie mamy czasu na wylegiwanie się. Mamy się spotkać z Tanisem i pozostałymi gdzieś tam. - Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

- Może za chwileczkę - powiedział Tas, rozsiadając się jeszcze wygodniej. - Jestem okropnie zmęczony. Myślę, że odpocznę tu sobie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To bardzo ładne drzewo. Albo raczej byłoby ładne, gdyby nie te brązowe liście i smutny wygląd. Mam wrażenie, że ono się trzęsie. Chłodno tu. Zmarzłem. A tobie nie zimno?

- Zimno? Jasne, że mi zimno! Mróz przenika moje kości. Gdybyś przyszedł w porę...

Tas nie słuchał go. Oceniał sytuację.

- Wiesz co, wydaje mi się, że dlatego tobie i mnie, i temu drzewu jest zimno, że w kuźni nie pali się ogień.

- Wiem, że się nie pali! - Flint aż się zapluł ze złości. - Ja... Ale... Ty...

- No to całe szczęście, że wróciłem - oznajmił rezolutnie Tas. - Co ty byś zrobił beze mnie! Później dogonimy Tanisa i pozostałych. Do tego czasu wpakują się w kłopoty po uszy, a ty i ja będziemy musieli ich ratować. Jak za dawnych czasów. To może zapalisz ogień, a ja posiedzę sobie pod tym miłym drzewem i poopowiadam ci trochę. Aha, tak przy okazji, mam coś dla nas. - Tas pogrzebał w jednym ze swoich mieszkań, wyjął srebrną flaszkę i pokazał ją z dumą. - Najlepszy wyrób Caramona!

Flint przyjrzał się drzewu. Kuźni. Kenderowi. Potem flaszcze. Szczególnie flaszcze.

Krasnolud podrapał się po brodzie.

- Na Reorxa - mruknął - łyceczek nie zaszkodzi. Tyle, żeby się rozgrzać, nic więcej. Chyba zapłaciłeś za nią Caramonowi?

Flint wziął flaszkę, wyciągnął korek i ochoczo pociągnął nosem.

- Zapłacę - powiedział Tas, opierając się wygodnie i podkładając sobie sakiewkę pod głowę. - Przy następnej okazji. Na czym to stanąłem? Ach tak. Słynna kenderska łyżka egzorcyzmów. Bo widzisz, było sobie takie widmo i...

Kender plótl dalej. Flint popróbowował brandy, zasmakował w niej, pociągnął kilka łyków i wsunął flaszkę do kieszeni na biodrze.

Mają jeszcze czas, żeby dogonić Tanisa i resztę, całą wieczność.

- Pójdę chyba rozpalić w końcu ten ogień postanowił Flint. - Wszystko, byle nie słuchać paplaniny tego roztrzepańca.

Flint nazbierał drewna, ułożył je w palenisku i skrzesał ogień. Potem chwycił za miechy i rozdmuchał iskierkę, aż buchnęły płomienie.

Wkrótce w piecu zapłonął jasno ogień, który ogrzał krasnoluda, kendera i drzewo.

Flint usiadł i postanowił znów spróbować brandy, żeby przekonać się, czy rzeczywiście smakuje tak dobrze, jak za pierwszym razem.

Smakowała.

Podał flaszkę Tasowi, który pociągnął łyk i zwrócił butelkę krasnoludowi.

Ogień w piecu palił się coraz jaśniej.

*

Na nocnym niebie nad Ansalonem jaśnieje nowa, czerwona gwiazda, która na

wieki pozostanie nieruchoma i niezmienna na znak tego, że nawet w Wieku Śmiertelników ludzkość nie jest osamotniona.